

CHODZĄC NĘDZNYMI ULICAMI

CHARLAINE
HARRIS

PATRICIA BRIGGS
STEVEN SAYLOR
SIMON R. GREEN
DIANA GABALDON
CONN IGGULDEN

Pod redakcją
GEORGE'A R. R. MARTINA
i GARDNERA DOZOISA



Antologia

Chodząc nędznymi ulicami

Down These Strange Streets

Chodząc nędznymi ulicami tworzą opowiadania mroczne, zabierające czytelników do miejsc tyleż niesamowitych, co podejrzanych. Posiadłości wampirów czy złej sławy zaułki ponurych miast pełne są niezwykłych, częstokroć bezwzględnych i okrutnych stworzeń, a każda historia ma swą krwawą zagadkę i ekscytujące rozwiązanie.

Ten zbiór to bez wyjątku opowiadania z nurtu urban fantasy, a zatem czytelnik odnajduje tu zarówno mocne wpływy horroru, jak i klasycznej powieści detektywistycznej. Gratka tak dla miłośników H.P. Lovecrafta i Anne Rice, jak i Raymonda Chandlera!

Niezapomniane przeżycia gwarantują tacy autorzy, jak Charlaine Harris, Patricia Briggs, Steven Saylor, Simon R. Green, Diana Gabaldon czy Conn Iggulden.



*Naszemu przyjacielowi Jackowi Dannowi,
który chadzał nędznymi uliczkami*

BEKART

Na półkach księgarni pojawił się ostatnio ktoś nowy. Najczęściej można go znaleźć na tyłach, w działach science fiction lub fantasy, gdzie z pewną nonszalancją przechadza się między epickimi opowieściami fantastycznymi, przygodami dziejącymi się w kosmosie, legendami o mieczach i magii oraz cyberpunkowymi dystopiami. Niekiedy wędruje do przodu i zadaje się z bestsellerami. Nazywają go urban fantasy i w ciągu kilku ostatnich lat stał się najmodniejszym podgatunkiem na rynku wydawniczym.

Prawdę mówiąc, termin „urban fantasy” nie jest nowy. W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku istniał podgatunek o tej samej nazwie; pojawiały się w nim chyba głównie elfy grające w zespołach folkrockowych i jeżdżące na motocyklach po współczesnych miejskich krajobrazach – zazwyczaj w Minneapolis lub Toronto, bardzo sympatycznych skądinąd miastach.

To nowe urban fantasy jest być może jakoś spokrewnione z ową odmianą z lat osiemdziesiątych, ale jeśli tak, pokrewieństwo jest dalekie, ponieważ ten nowy jest na wskroś bękartem. Gnieździ się na ulicach zdecydowanie bardziej niebezpiecznych i brudnych niż jego starszy kuzyn, w Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles i anonimowych miastach, gdzie rynsztokami płynie krew, a nocą krzyki zagłuszają muzykę. Może

wciąż pałętają się tam jakieś elfy, ale jeśli tak, najpewniej uzależnione są od hery, koki albo silniejszych i dziwniejszych narkotyków, a może to elfie dziwki, które za alfonsa mają wilkołaka. Te cholerne wilkołaki są wszędzie, ale miastem tak naprawdę rządzą wampiry... No i nie można zapominać o zombi, ghulach, demonach, czarownicach i magach, inkubach i sukubach oraz wszystkich innych wstrętnych stworzeniach, które rozbijają się nocami. (Ani o tych jeszcze gorszych, tych, które są całkowicie cicho).

I jak w takim mieście być gliną?

Jak być prywatnym detektywem?

Ten bękart, jakim jest urban fantasy, to potomek dwóch starszych gatunków.

Jego matką jest horror. (Horror, powtarzam, bo nie chcę słuchać tych bzdur o „dark fantasy”; to tylko nieudolne próby naciągnięcia zasłony przyzwoitości na szczerzącą zęby czaszkę gatunku, który wywodzi się z sensacyjnych szmatławców i teatru Grand Guignol). Wszystkie te wampiry, wilkołaki, duchy i upiory, które włóczą się po mrocznych uliczkach dzisiejszego urban fantasy, narodziły się w getcie horroru; kształt i głos dali im Bram Stoker, Edgar Allan Poe, H.P. Lovecraft i pokolenia pisarzy, którzy podążyli ich wynaturzonymi, zniekształconymi śladami.

Ojcem dzisiejszego urban fantasy jest natomiast opowiadanie detektywistyczne. I to nie byle jakie opowiadanie detektywistyczne. Historyjki, w których

staruszki odgadują, kto zabił wikariusza w bocznej salce pubu za pomocą li tylko koronkowej serwetki, nie są częścią jego dziedzictwa. Nie, mówimy tu o mocnym, brutalnym *noir*. Przodkami Harry'ego Dredena, Anity Blake, Rachel Morgan, Mercy Thompson, Jayné Heller i reszty tego twardego gangu łowców demonów i zabójców wampirów, który zaludnia tylne uliczki i boczne drogi urban fantasy, mogliby być Sam Spade, Lew Archer, Travis McGee, Mike Hammer i Race William... a także, oczywiście, Philip Marlowe, słynny prywatny detektyw Raymonda Chandlera.

W swoim klasycznym eseju *Skromna sztuka pisania powieści kryminalnych*, opublikowanym w „Atlantic Monthly”, Chandler napisał:

[T]ymi nędznymi uliczkami musi chodzić ktoś, kto sam nie jest nędznikiem, ktoś, kto nie jest ani zdemoralizowany, ani tchórzliwy. [...] [Detektyw] musi być człowiekiem pełnym, człowiekiem przeciętnym, a jednak niezwykłym¹.

Bohaterowie i bohaterki urban fantasy świetnie wpasowują się w opis Chandlera... choć sądzę, że nawet samego Marlowe'a zaskoczyłoby to, jak bardzo niezwykli potrafili być. A może i nie.

Prawdę mówiąc, prywatny detektyw Chandlera, Hammetta i ich cyniczni następcy mają więcej wspólnego z wampirami i wilkołakami z horrorów niż z większością

ludzi prowadzących rzeczywiste dochodzenia. Podczas gdy ich fikcyjni odpowiednicy rozwiązują zagadki morderstw, rozpracowują spiski i spacerują po tak niebezpiecznych okolicach, że nie zapuszczają się tam nawet gliny, prawdziwi prywatni detektywi spędzają dni na dokumentowaniu cudzołóstw dla obślizgłych prawników zajmujących się rozwodami, zajmują się sprawami bezpieczeństwa spółek i wywiadem gospodarczym oraz badają fałszywe roszczenia ubezpieczeniowe. Twórcy urban fantasy posuwają się w tym motywie jedynie o krok dalej. Sam Spade ma więcej wspólnego z Harrym Dresdenem niż oni obaj z ludźmi, których można znaleźć w książce telefonicznej pod hasłem „Prywatny detektyw”.

Raymond Chandler napisał również:

Prywatny detektyw z opowiadań jest fantastycznym wymysłem, który zachowuje się i mówi jak prawdziwy człowiek. Może być całkowicie realistyczny pod każdym względem poza jednym: w znanym nam świecie taki człowiek nie byłby prywatnym detektywem².

Bohaterowie urban fantasy wywodzą się z nurtu brutalnej opowieści kryminalnej, a czarne charaktery, potwory i antagoniści mają korzenie w klasycznym horrorze, ale właśnie połączenie jednego z drugim daje temu podgatunkowi jego siłę. A to dlatego, że owe dwa gatunki są zasadniczo przeciwstawne. Horror to nurt

przesycony mrokiem i strachem, rozgrywający się we wrogim, niezrozumiałym dla ludzi uniwersum rodem z Lovecrafta, świecie, gdzie – zgodnie z sugestią Poe’go – śmierć ostatecznie włada wszystkim. Natomiast opowieści detektywistyczne, nawet ich ponura, brutalna odmiana, opierają się na racjonalności: świat może i jest mroczny, ale detektyw potrafi wprowadzić do niego światło, porządek i – tak! – sprawiedliwość.

Można by pomyśleć, że tej pary nie da się pogodzić. Ale bękarty potrafią łamać wszelkie zasady, na tym między innymi polega ich urok. Łańcuchy konwencji się do nich nie odnoszą.

Weźcie na przykład pod uwagę śledztwo w sprawie zwłok, z których ktoś upuścił całą krew.

Jeśli czytelnik natknie się na taką sytuację w horrorze, od razu wie, że gdzieś w okolicy czai się wampir. Gliny mogą się tego domyślić lub nie, zależnie od tego, w jakim świecie rozgrywa się akcja, ale czytelnik zna odpowiedź: na grzbiecie książki napisane jest HORROR.

Jeśli jednak taka sama sytuacja pojawia się w powieści kryminalnej... No cóż, wtedy czytelnik wie, że to na pewno nie był wampir, niezależnie od tego, jak to wygląda. Każda „realistyczna” powieść kryminalna posunęłaby się najwyżej do tego, że byłby to jakiś psychopatyczny morderca, któremu się wydaje, że jest wampirem.

W obu wypadkach oczekiwania związane z

gatunkiem literackim określają i kształtują doświadczenie, jakim jest dla nas lektura, oraz rzutują na sposób, w jaki postrzegamy wydarzenia zawarte w opowieści.

Prawdziwa niepewność pojawia się dopiero, kiedy na scenę wkracza bękart. Wtedy mamy do czynienia z formą hybrydową: po części fantazją, po części tajemnicą. Wszystkie konwencje trzeba podawać w wątpliwość. Nagle zagadka na powrót staje się zagadką. Może to wampir, może psychopata, może ani to, ani to, może i to, i to, a może coś zupełnie innego. Trzeba czytać dalej, żeby się dowiedzieć.

„Trzeba czytać dalej, żeby się dowiedzieć” to dla każdego pisarza najśłodsze słowa.

Oczywiście to nie autorzy współczesnego urban fantasy pierwsi skrzyżowali klasyczne historie detektywistyczne z fantazy i horrorem. Robił to już Poe, pisząc o zabójstwach przy Rue Morgue. Arthur Conan Doyle sprawił, że Sherlock Holmes stawiał czoło psu Baskerville'ów... i choć ostatecznie okazuje się, że pies ten jest istotą nadprzyrodzoną w takim samym stopniu co Lassie, dreszczyk wywołany przez opowiadanie bierze się z możliwości, że może jest jednak czymś znacznie mroczniejszym i bardziej przerażającym.

Potem mamy jeszcze Roberta A. Heinleina, najdziwniejszego prekursora urban fantasy ze wszystkich... ale jak inaczej zaklasyfikować moje ulubione opowiadanie Heinleina, *The Unpleasant Profession of Jonathan Hoag*, w którym przestraszony

Hoag wynajmuje małżeństwo detektywów, aby dowiedzieć się, jakąż to substancję ma pod paznokciami co rano po przebudzeniu. Czy to krew, czy... coś innego?

(Nie zepsuję wam frajdy z czytania, odpowiadając na to pytanie. Ptak jest okrutny³).

To właśnie wspaniała cecha tego bękarta. Uliczki, którymi chodzi, są równie nędzne jak te, którymi wędrowali Spade i Marlowe, ale zdecydowanie dziwniejsze... i mogą go zaprowadzić prawie wszędzie, jak pokazuje książka, którą trzymacie w rękach.

Tworząc ten spis treści, mój współsprawca Gardner Dozois i ja nie ograniczaliśmy się do jednego gatunku lub podgatunku. Zamiast tego skontaktowaliśmy się z autorami fantasy, powieści kryminalnych, detektywistycznych, romansów... oraz z niektórymi z najważniejszych autorów współczesnego urban fantasy. Poprosiliśmy ich tylko, żeby w opowiadaniu pojawił się prywatny detektyw i sprawa z nadprzyrodzonym niuansiem, rzeczywistym lub mniej. Niezależnie od tego, czy jesteście fanami nurtu detektywistycznego, urban fantasy, horroru czy science fiction, powinniście znaleźć na tych stronach swoich ulubionych pisarzy... a także innych, być może wam nieznanych, którzy według nas tak samo wam się spodobają. Przejdźcie się więc wraz z nami tymi nędznymi ulicami. Zobaczmy, dokąd nas zaprowadzą.

George R.R. Martin

1 lipca 2010

1 W Polsce esej opublikowano w tomie *Mówi Chandler*, przeł. Ewa Budrewicz, Czytelnik, Warszawa 1983 (przyp. tłum.).

2 Tłum. Marta Dziurosz.

3 Aluzja do zdania powtarzającego się w opisywanym opowiadaniu Heinleina (przyp. tłum.).

CHARLAINE HARRIS

Charlaine Harris, która trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”, jest autorką niezwykle popularnej serii o perypetiach Sookie Stackhouse, kelnerki telepatki z miasteczka na południu Stanów Zjednoczonych. W skład tej serii wchodzi książki *Dead Until Dark* (*Martwy aż do zmroku*, przeł. Ewa Wojtczak, Wydawnictwo MAG, 2009), *Living Dead in Dallas* (*U martwych w Dallas*, przeł. Ewa Wojtczak, Wydawnictwo MAG, 2009), *Club Dead* (*Klub martwych*, przeł. Ewa Wojtczak, Wydawnictwo MAG, 2010), *Dead to the World* (*Martwy dla świata*, przeł. Ewa Wojtczak, Wydawnictwo MAG, 2010) oraz siedem innych. Powieści o Sookie stały się też podstawą scenariusza uwielbianego serialu telewizji HBO *Czysta krew*. Aby zaspokoić ciekawość fanów, Harris wydała także przewodnik po cyklu o Sookie – *The Sookie Stackhouse Companion*. Harris to ponadto autorka czterotomowej serii o tematyce paranormalnej, której bohaterką jest Harper Connelly. Składają się na nią *Grave Sight* (*Grobowy zmysł*, przeł. Dominika Schimscheiner, Fabryka Słów, 2008), *Grave Surprise* (*Grób z niespodzianką*, przeł. Dominika Schimscheiner, Fabryka Słów, 2009) oraz dwie inne książki. Napisała również dwie serie detektywistyczne: ośmiotomowy cykl o Aurorze Teagarden (w tym *Real Murders* [*Prawdziwe morderstwa*, przeł. Martyna Plisenko, Wydawnictwo

Replika, 2012], *A Fool and His Honey*, *Last Scene Alive* i pięć innych, niedawno zebranych w *The Aurora Teagarden Mysteries Omnibus 1* i *The Aurora Teagarden Mysteries Omnibus 2*) i złożoną z pięciu części serię o Lily Bard. Ta druga składa się z książek *Shakespeare's Landlord* (*Czysta jak łąka*, przeł. Rafał Śmietana, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 2011), *Shakespeare's Champion* (*Czyste szaleństwo*, przeł. Anna Gralak, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 2011) oraz trzech innych, niedawno wydanych zbiorowo pod tytułem *The Lily Bard Mysteries Omnibus*. Harris napisała też osobne powieści *Sweet and Deadly* oraz *A Secret Rage*. Jest również redaktorką antologii *Crimes by Moonlight*, a także – wraz z Toni L.P. Kelner – *Many Bloody Returns* (*Krwawe powroty*, przeł. Magdalena Biało-brzeska, Fabryka Słów, 2009), *Wolfsbane and Mistletoe*, *Death's Excellent Vacation* i *Home Improvement: Undead Edition*. Jej najnowszą powieścią jest kolejny odcinek przygód Sookie Stackhouse *Dead Reckoning*.

W tym opowiadaniu zabiera nas w towarzystwie potężnej wampirzycy Dalii Lynley-Chivers na wystawne przyjęcie wydane dla różnych nadprzyrodzonych istot, na którym zabawa okaże się bardziej brutalna, niż nawet Dalia mogła się spodziewać.

ŚMIERĆ Z RĘKI DALII

Dalia Lynley-Chivers była swego czasu średniego wzrostu. Jej czas dobiegł końca wieki temu i we współczesnej Ameryce uważano ją za niezwykle niską kobietę. Ponieważ była wampirzycą i nawet wśród swoich pobratymców miała reputację zajadłej wojowniczkii, zazwyczaj traktowano ją z szacunkiem mimo jej drobnej budowy.

– Masz buzię jak róża – powiedział jej potencjalny dawca krwi, przystojny, krzepki śmiertelnik po dwudziestce. – Hej, maleńka, może przykucnę, żebyś mogła mnie dosięgnąć! Chcesz, żebym przyniósł ci stołek? – Zaśmiał się, najwyraźniej zachwycony swoim poczuciem humoru.

Gdyby nie poprzedził tych „zabawnych” komentarzy na temat wzrostu Dalii komplementem, połamałaby mu zębra i wyssała z niego całą krew; lubiła jednak komplementy. Mimo to musiał ponieść konsekwencje tej protekcjonalności.

Dalia rzuciła młodemu mężczyźnie spojrzenie tak srogie, że zrobił się niemal równie blady jak ona. Potem przesunęła się ostentacyjnie w lewo, w stronę następnej wolnej dawczyni, jasnowłosej mieszkanki przedmieść niewiele wyższej od niej samej. Kobieta rozłożyła ramiona, aby objąć wampirzycę, jakby zaczynały schadzkę, a nie karmienie. Dalia westchnęłaby, gdyby

mogła oddychać.

Była jednak głodna, a poza tym i tak zachowała się już dość wybrednie. Szyja tej kobiety znajdowała się na odpowiedniej wysokości, a sama dawczyni była absolutnie chętna, ponieważ przysłano ją z agencji. Dalia ugryzła. Kobieta wzdrygnęła się, gdy kły przebiły jej skórę, więc Dalia taktownie polizała ranę, żeby ją znieczulić. Wessała się mocno, a kobieta zadrżała w zupełnie inny sposób. Dalia zwykła pożywiać się uprzejmiem... na ogół.

Blondynka ścisnęła Dalię zaskakująco silnie i chwyciła garść jej gęstych, ciemnych loków, które opadały kaskadą niemal do pasa. Pociągnęła za włosy, ale nie po to, żeby ją od siebie odsunąć... wręcz przeciwnie.

W swoim wieku Dalia nie musiała pić zbyt dużo za jednym posiedzeniem (a może raczej podgryzieniem). Po kilku wypitych z przyjemnością łykach miała dość. Nie chciała być zachłanna i upiła tak niewiele, że kobieta mogłaby bez szkody dla siebie od razu ponownie oddać krew.

Dalia liznęła po raz ostatni, a kiedy ranki weszły w kontakt z powietrzem, naturalny koagulant w jej ślinie zaczął błyskawicznie działać. Blondynka wyglądała na rozczarowaną, że jest już po wszystkim, i aż próbowała Dalię zatrzymać. Wampirzyca z chłodnym uśmiechem stanowczo wyplątała się z jej uścisku. Dawczyni zwróciła się w stronę następnego wampira, Cedryka. Potem trzeba ją będzie powstrzymać; większość ludzi, którzy lubili być

gryzieni na tyle, że zapisywali się do agencji dawców, po prostu nie wiedziała, kiedy przestać.

– Mogłabyś być trochę miłsza – powiedziała z przyganą Taffy, najlepsza przyjaciółka Dalii. – Czy to by coś zaszkodziło, gdybyś powiedziała tej śmiertelniczce, jaką była dobrą dawczynią?

Dalia zignorowałaby każdego innego, kto ośmieliłby się doradzać jej w sprawie manier, ale Taffy dzieliło od niej tylko dwieście lat. Były najstarszymi wampirzycami w gnieździe, a ich przyjaźń przetrwała wiele prób.

Taffy, za życia niemal Amazonka, nawet teraz była imponującą kobietą. Miała metr siedemdziesiąt i spory biust; burza zmierzwionych jasnych włosów opadała jej za ramiona. Mąż Taffy, Don, był jedną z prób, które przetrwały, i to z powodu jego upodobań makijaż Taffy był mocny, a ubrania – obcisłe. Don sądził, że świetnie tak wygląda.

Oczywiście Don był wilkołakiem. Jego gust był w najlepszym razie wątpliwy.

Taffy pomachała Donowi, który stał przy stole z jedzeniem. Wilkołaki były zawsze głodne i potrafiły pić, aż kogut zapieje... a potem zjeść i koguta. Przyjęcie z otwartym barem i bufetem było rajem dla Dona i jego nowego ochroniarza, Berniego. Obaj maksymalnie korzystali z tej okazji, ponieważ ze względów politycznych ich obecność w gnieździe wampirów podczas uroczystości przejęcia władzy przez Joaquina była konieczna.

Dalia zauważyła, że Don i Bernie spoglądają pogardliwie na grupkę dawców. Wilkołaki uważały ludzi, którzy z własnej woli oddają krew wampirom, za największych degeneratów. Każdy szanujący się wilkołak wolałby, żeby zgolono mu futro. Dalia była pewna, że na osobności Don nie miałby nic przeciwko temu, żeby Taffy sobie nieco od niego łyknęła... a przynajmniej miała taką nadzieję. Poprzedni ochroniarz, z którym połączyło Dalię krótkie małżeństwo, nie sprzeciwiał się drobnym podgryzieniom.

Demony i półdemony, które tłoczyły się w kącie, wybuchnęły śmiechem na słowa jakiejś kościstej kobiety. Dalia odszukała wzrokiem pewnego półdemona, maniaka komputerowego, którego знаła lepiej niż pozostałych. Z przyjemnym dreszczem dostrzegła w grupce czerwonawą skórę i kasztanowe loki Melponeusa. Ich spojrzenia się spotkały. Wymienili poufne uśmiechy. Spędzili razem kilka pamiętnych wieczorów w sypialni Dalii na niższym poziomie posiadłości. Błysk w jasnych oczach Melponeusa powiedział wampirzycy, że demon miałby ochotę na powtórkę.

Może mimo wszystko czekała ją tego posepnego wieczoru jakaś przyjemność.

Wśród tłumu widać było kilka stworzeń, których Dalia nie rozpoznała. Nie były to oczywiście wróżki; wampiry zakochiwały się we wrózkach na śmierć – dosłownie. Obecne były jednak też inne istoty nadprzyrodzone, a także czarownica. Joaquin miał

reputację liberała i to on stworzył listę gości, którą otrzymała Lakeisha, mimo zmiany na szczycie wciąż pełniąc funkcję asystentki wykonawczej szeryfa. Lakeisha zareagowała na niektóre pozycje na liście grymasem, ale wykonała polecenia bez słowa komentarza. Wszystkie wampiry chodziły na palcach, dopóki nie poznały usposobienia swojego nowego przywódcy. Zanim Joaquina mianowano szeryfem, mieszkał samotnie, poza gniazdem, więc stanowił w znacznym stopniu tajemnicę.

Kiedy Taffy ujęła ramię Dalii i skierowała ją w stronę bufetu, aby dołączyć do Dona, Dalia oznajmiła:

– Nie bawię się dobrze, choć powinnam.

– Dlaczego nie? – zapytała Taffy. – Śmiertelnicy niedługo wyjdą, a wtedy będziemy mogli zachowywać się swobodnie. W końcu spodziewaliśmy się tego, co się wydarzyło. Cedryk coraz bardziej przywiązywał się do swoich przyzwyczajzeń. Jest leniwy i niedbały. Codziennie nosi kamizelkę. Jakież to staromodne! Nie potrafi nawet udawać, że odnalazł się w tym stuleciu.

Jak wszystkie wampiry, którym się wiodło, Dalia wiedziała, że kluczem do przetrwania wieków jest przystosowanie. Najbardziej widoczną metodą przystosowania się było zaś nadążanie za trendami w modzie i języku. Była to kluczowa umiejętność w czasach, kiedy wampiry się ukrywały; dzięki niej mogły wtopić się w tłum na tyle długo, aby dopaść ofiarę. Obecnie coraz częściej uczestniczyły w życiu politycznym i w biznesie, ale okazało się, że społeczeństwu wciąż

łatwiej je zaakceptować, jeśli upodabniają się do współczesnych Amerykanów. Poza tym trudno było im się pozbyć dawnych nawyków. Od „ujawnienia się” nieumarłych minęło zaledwie sześć lat – dla wampirów było to mgnienie oka.

– Spodziewałam się, że Cedryka będzie trzeba zastąpić – powiedziała Dalia. – Nie znam dobrze Joaquina i chyba martwię się o to, jak będzie sprawował rządy i jak będzie wyglądało życie w gnieździe w jego obecności. Przynajmniej jego wstąpienie na tron było bardzo konwencjonalne.

– Rzeczywiście, postawił na standardowe rozwiązania – zgodziła się Taffy. – Poza tym goście wkrótce nas opuszczą i będzie można się zacząć bawić. Jestem zadowolona z pierwszych posunięć Joaquina. Posiadłość wygląda wspaniale, piękniej niż podczas mojego wesela. – Postukała czubkiem buta świeżo wyfroterowaną drewnianą podłogę, na której rozłożone były dywany. Wielki salon, zastawiony meblami obitymi ciemną skórą, znajdował się na tyłach posiadłości i wychodził na ogród. Pewnej pamiętnej nocy Taffy wyszła za mąż w tym właśnie ogrodzie. Choć noc była chłodna, woda pluskała w fontannie na słabo oświetlonym dziedzińcu za drzwiami balkonowymi. Dzięki swojej zdolności widzenia w ciemnościach wampiry nie potrzebowały jasnych lamp.

Dalia była dumna z tego, że posiadłość – gniazdo i główna siedziba wampirów z Rhodes oraz okolic – jest elegancka, czysta i pięknie urządzona. Jednak ta duma

miała w sobie nutę nostalgii. Choć wszyscy przez dziesięciolecia próbowali zmobilizować byłego szeryfa, Cedryka, do położenia nowych wykładzin i wyremontowania łazienek, Dalia łapała się na tym, że brakuje jej starych elementów wyposażenia. Brakowało jej też szeryfa. Może zaliczał się do starego wyposażenia.

– Pójdę porozmawiać z Cedrykiem – oznajmiła.

– To niezbyt rozsądne, koleś – ostrzegła ją Taffy. Zawsze próbowała używać najnowszego slangu, choć słowa czasem się jej myliły albo pochodziły sprzed pięciu lat... albo i dziesięciu.

– Wiem – stwierdziła Dalia. Nowy szeryf, Joaquin, z pewnością obserwował, kto się zadaje z Cedrykiem; Dalia jednak nie bała się Joaquina, choć miała pewien szacunek dla jego przebiegłości. Usunięcie Cedryka przeprowadzone zostało ze swego rodzaju bezlitosną finezją. Cedryk zdążył się rozleniwzić na wygodnym stanowisku – które, jak uważał, już zawsze będzie należało do niego – i wykazał się głupim samozadowoleniem oraz brakiem świadomości sytuacji. – Dołączę do ciebie później – powiedziała. – Choć może zatrzymam się jeszcze na słówko z Melponeusem.

– Igrasz z ogniem. – Taffy wyszczerzyła zęby.

– Tak, ostatnio się w to zabawialiśmy. – Nawet półdemony potrafiły wytwarzać kule ognia. To wspomnienie spowodowało, że Dalia podeszła do byłego szeryfa z lekkim uśmiechem.

– Cedryku – powiedziała, nieznacznie skłaniając

głowę. Nawet ona nie miała ochoty prowokować Joaquina nazbyt unizonymi gestami względem Cedryka.

– Dalio – rzekł Cedryk głosem pełnym melancholii. –
Widzisz, jak pyszni się ten paw?

Joaquin, który siedział pośrodku grupy wampirów, ubrany był niebywale strojnie. Najwyraźniej czuł się jak władca świata w noc swej inicjacji. W smukłej, śniadej dłoni trzymał kielich Ryalty (mieszanki krwi europejskich monarchów, którzy utrzymywali rozpadające się pałace dzięki pieniądзом zarobionym na zawartości własnych żył). W tle słyhać było głos jego ulubionej artystki, Jennifer Lopez. Miał na sobie niezwykle elegancki grafitowy garnitur oraz jasnoszarą jedwabną koszulę, a w jego szkarłatny krawat wpięta była zabytkowa szpilka z perłą. Przymilała się do niego Glenda, wampirzyca z lat dwudziestych ubiegłego wieku, za którą Dalia nigdy nie przepadała.

– I ty mógłbyś się nieco bardziej wystroić, Cedryku – skomentowała Dalia.

Cedryk miał na sobie płowe spodnie i białą koszulę z lnu, a także wyszywaną w kwiaty kamizelkę – swój ulubiony strój. W jego szafie wisiało wiele kopii tych trzech sztuk odzieży.

Były szeryf zlekceważył jej uwagę.

– Glenda dobrze wygląda – powiedział. Glenda od czasu do czasu wślizgiwała się do sypialni Cedryka, choć bardziej po to, żeby przypodobać się szeryfowi niż z jakiegoś intensywnego uczucia. Dalia często widywała ich

razem, jak nocą przycinali róże w ogrodzie posiadłości. Za życia oboje pasjami hodowali róże... a przynajmniej Glenda tak o sobie mówiła.

Nie mogła mieć więcej niż dziewięćdziesiąt lat i faktycznie wyglądała tego wieczoru niezwykle kusząco w cienkiej, podobnej do halki niebieskiej sukience z jedwabiu, pod którą nie włożyła absolutnie nic. Gładziła gors koszuli Joaquina ruchem kogoś, kto wie, co jest pod materiałem. Dalia do pewnego stopnia ceniła jej spryt.

– Wiesz, że jest nikiem – powiedziała do Cedryka.

– Ale jakim ślicznym nikiem. – Cedryk odrzucił z twarzy długie, jasne włosy, po czym pociągnął łyk z butelki Red Stuff, taniej syntetycznej krwi, którą wampiry piły, aby udawać, że nie potrzebują lub nie pragną prawdziwej. Była to poza; Dalia widziała już tego wieczoru, jak Cedryk podchodzi do dawcy.

Napojowi Cedryka daleko było do krwi arystokratów pitej z kryształowego kielicha. Wąs byłego szeryfa zwisał ponuro i nawet złote kwiaty oraz pnącza zdobiące jego kamizelkę wyglądały na zwiędłe.

Śmiertelni dawcy odegrali już swoją rolę, więc uśmiechnięty młody wampir zaczął wyprowadzać ich z ogromnego salonu. Miał zabrać ich do kuchni, podać im przekąskę, pozwolić dojść do siebie po „oddaniu krwi” i zabrać do punktu odbioru. Na przestrzeni czasu okazało się, że to najlepszy sposób postępowania z przysyłanymi przez agencję śmiertelnikami. Jeśli nie pilnowało się ich na każdym kroku, wykazywali niepokojącą tendencję do

chowania się w posiadłości, aby móc oddawać krew raz za razem. Niektóre wampiry nie potrafiły się powstrzymać, a potem... trzeba było radzić sobie z martwymi dawcami i niepożądanym zainteresowaniem policji.

W salonie został już tylko dawca, który wcześniej zirytował Dalię. Wyglądało na to, że właśnie irytuje Dona, męża Taffy i przywódcę wilkołaków z Rhodes. To ostatecznie dowodziło jego głupoty. Dalia odwróciła się w stronę Cedryka.

– Zostaniesz w gnieździe? – zapytała. Naprawdę chciała wiedzieć. Na miejscu Cedryka spakowałyby walizkę w tym samym momencie, w którym król wybrał Joaquina.

– Prędzej czy później znajdę gdzieś mieszkanie – odparł obojętnym tonem Cedryk, a Dalia pomyślała, że zdanie to doskonale ilustruje jego wady jako przywódcy.

Choć w swoich najlepszych latach Cedryk był dynamicznym szeryfem, stopniowo zwolnił... i nie dało się tego opisać łaskawszym słowem. Gnuśność i samozadowolenie, które w ciągu dziesięcioleci zaczęły wkradać się w decyzje Cedryka, doprowadziły do jego upadku. To, że zakwestionowano jego władzę i mu ją odebrano, nie zdziwiło nikogo poza nim samym. Młodsze wampiry zaskoczone były tylko tym, że w ogóle otrzymał stanowisko szeryfa.

– Sytuacja się nie zmieni – powiedziała Dalia. Cedryk ośmieszyłby się, gdyby wałęsał się ponuro po posiadłości pod rządami Joaquina. – Jestem pewna, że pełniąc swoją

funkcję, sporo zaoszczędziłeś – dodała na pocieszenie. W końcu wszystkie wampiry mieszkające w gnieździe, a także te, które postanowiły żyć w okolicy na własną rękę, zasilają konto bankowe szeryfa.

– Mniej, niż sądzisz – powiedział Cedryk, a Dalia nie potrafiła powstrzymać drobnego gestu irytacji. Jej współczucie dla byłego szeryfa się wyczerpało. Poprosiła o wybaczenie i dodała niezgodnie z prawdą:

– Melponeus poprosił mnie o rozmowę.

Cedryk odprawił ją lekceważącym ruchem ręki. Niewiele już zostało z jego wcześniejszej uprzejmości.

Maszerując w stronę grupki demonów – niebotycznie wysokie obcasy ani trochę jej nie przeszkadzały – Dalia obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Cedryk otwiera drzwi korytarza prowadzącego do kuchni. Przeszedł przez próg w tej samej chwili co Taffy i Don. Glenda zawołała: „Taffy!” i podążyła za nimi.

Kiedy Dalia stanęła przed Melponeusem, jego towarzysze pospiesznie ustąpili jej miejsca. Choć była z natury bezpośrednia, przywiązywała też sporą wagę do swojej godności i nie przypadło jej do gustu to, że uśmiechnięci kumple demona łypali na nią chytrze. Sam Melponeus z pewnością to dostrzegł. Po ledwie chwili rozmowy zaprowadził ją do zacisznego miejsca.

– Przepraszam za moich przyjaciół – powiedział od razu. Dalia zmusiła się do przybrania miłszego wyrazu twarzy. – Kiedy widzą kobietę tak piękną jak ty, tracą nad sobą panowanie.

– Ty też je tracisz? – zapytała Dalia tylko po to, żeby zobaczyć, jak Melponeus traci rezon. Znał ją lepiej, niż myślała, ponieważ po kilku słowach pełnych zmieszania wyjaśnień wybuchnął śmiechem. Przez chwilę świetnie się bawili, tocząc słowną potyczkę, a potem zatańczyli.

– Może później... – zaczął Melponeus, ale przerwał mu krzyk.

W gnieździe wampirów krzyki nie były znów tak niespotykane, ale ten rozległ się w połowie ważnej uroczystości, więc przyciągnął powszechną uwagę. Wszyscy momentalnie obejrzelili się na wschód, w stronę skrzydła mieszczącego kuchnię.

– Stać! – zawołał Joaquin, aby powstrzymać tych, którzy już tam ruszyli. Wszyscy go usłuchali, co trochę zaskoczyło i zainteresowało Dalię.

Jeszcze bardziej interesujące było to, że Joaquin lustrował tłum, aż jego spojrzenie napotkało wzrok Dalii.

– Dalio – powiedział po angielsku z lekkim akcentem – weź ze sobą Katamoriego i sprawdźcie, co się stało. – Kilka wieków wcześniej Katamori był swego rodzaju policjantem.

Dalia z trudem zachowała beznamiętną minę.

– Tak jest, szeryfie – rzekła i wezwała ruchem głowy Matsudę Katamoriego, wampira, który mieszkał w pobliżu japońskiej dzielnicy. Katamori natychmiast stanął u jej boku; wyglądał na równie zaskoczonego tym wyróżnieniem. Szybko podeszli do drzwi na korytarz, który prowadził do kuchni posiadłości.

Nie był szeroki, a dywan ułożono w nim, żeby tłumił dźwięki, a nie upiększał. Oba wampiry czujnie zbliżyły się do wejścia do kuchni. Wahadłowe drzwi zablokowano, aby się nie zamknęły.

Kiedy na początku dwudziestego wieku budowano domostwo, architektowi nie mogło przyjść do głowy, że z kuchni korzystać będą istoty, które nie zwykły jeść. Wyłożoną białymi kaflami podłogę i potężną armaturę zachowano, a nawet raz czy dwa wymieniono od tamtej pory. Gdy Cedryk kupił tę posiadłość po okazyjnej cenie (pomogło rzucenie uroku), zostawił kuchnię w takim stanie, jakby w przyszłości wciąż była potrzebna do przygotowywania bankietów. Zazwyczaj armatura ze stali nierdzewnej lśniła w świetle lamp zwieszających się z wysokiego sufitu.

Teraz jednak stal pokrywały plamy czerwieni. Panował przemożny zapach krwi.

Dalia i Katamori stali tuż za drzwiami i nie widzieli ciała, ponieważ na środku pomieszczenia był długi drewniany stół, ale jakieś ciało na pewno się tam znajdowało. Jediną żywą istotą w kuchni była nieznana Dalii chuda dziewczyna, półdemon. Stała nieruchomo, bardzo blisko ciała, o ile nos nie mylił Dalii, a ręce miała podniesione. Rozsądnie z jej strony.

Zapach krwi sprawiał Dalii przyjemność, ale wolała świeżą, z żyjącego źródła, jak wszystkie wampiry poza nielicznymi dewiantami. Już kilka minut po opuszczeniu ciała krew traciła apetyczny zapach, przynajmniej według

Dalii. Wnioskując z delikatnego drgania nozdrzy Katamoriego, był tego samego zdania.

Stopy dziewczyny zasłaniał drewniany stół, przy którym pierwotnie służba miała przygotowywać jedzenie i jeść posiłki. Jednak woń krwi emanowała z miejsca, koło którego się znajdowała, a na lśniącej kuchni i lodówce na południowej ścianie widać było plamy czerwieni. Dziewczyna stała tuż przed lodówką.

Już miała coś powiedzieć, ale Dalia podniosła dłoń. Dziewczyna natychmiast zamknęła usta.

– Czy jest tu też twoja krew? – zapytała Dalia.

Póldemonica pokręciła głową.

Dalia i Katamori wymienili spojrzenia. Nie musiała podnosić oczu zbyt wysoko, aby popatrzeć mu w oczy. Katamori czekał na jej polecenia: stała wyżej w hierarchii. Ten milczący wyraz uznania bardzo się jej spodobał.

– Ja pójdę na prawo, ty na lewo – rzekła. Nie znała Katamoriego zbyt dobrze, ale wiedziała, że jako wojownik okrył się niemal taką samą sławą jak ona.

Drobny Japończyk zaczął bez słowa ostrożnie obchodzić północny kraniec stołu, wytyczając wzrok, słuch i węch. Na północnej ścianie znajdowały się ogromne okna, za którymi teraz było czarno. Powodowało to nieprzyjemne wrażenie, jakby noc przyglądała się temu, co dzieje się w kuchni, ale Dalia nie zamierzała dać się wyprowadzić z równowagi nocnym niepokojom. To ona była potworem z szafy.

Zaczęła okrążyć stół od południa. Wzdłuż ściany

znajdowały się płytki kuchenne, piekarnik, blat z nierdzewnej stali z półką na garnki i patelnie, a także ogromna chłodziarka i zamrażarka. Już po kilku krokach Dalia ujrzała miejsce zbrodni. Półdemonica stała na skraju kałuży krwi, która wypływała spod ofiary. Dalia objęła wzrokiem całą scenę, a potem zaczęła analizować szczegóły.

Ofiarą był młody mężczyzna, który ją wcześniej zirytował, śmiertelny dawca; ostatnio widziała go, jak sprzeczał się z Donem. Ktoś wyrwał mu tchawicę. Przez długie, długie lata swojego życia Dalia widziała znacznie brutalniejsze obrażenia, ale zirytowało ją to marnotrawstwo krwi.

Dziewczyna nie miała na sobie ani kropelki krwi; tylko gumowe podeszwy jej czerwonych trampek do kostek nieco pociemniały. Dalia uniosła delikatne czarne brwi i spojrzała na drugą stronę pomieszczenia.

– Katamori?

– Wielu tędy przechodziło – rzekł.

Z tej lakonicznej odpowiedzi Dalia wywnioskowała, że po swojej stronie kuchni nie znalazł niczego konkretnego poza skomplikowanymi tropami zapachowymi. Było to zrozumiałe: północna strona kuchni stanowiła najprostszą drogę do drzwi na drugim końcu pomieszczenia. Przez te drzwi wchodziło się do sieni, gdzie składowano ubrania do pracy w ogrodzie i na deszcz. Sień zamykały cięższe odrzwia, które prowadziły na szeroki koniec podjazdu służbowego. Wszyscy

śmiertelnicy, którzy tego wieczoru przybyli do posiadłości w roli dawców, dostali się do środka i wyszli właśnie tędy.

– Zostań na razie tam, gdzie jesteś – poleciła Dalia półdemonicy, a ta pokiwała gwałtownie głową. Ponieważ kałuża krwi i zwłoki zajmowały całą przestrzeń między stołem a urządzeniami kuchennymi, Dalia ugięła kolana, przeskoczyła stół i wylądowała lekko po drugiej stronie na swoich niesamowitych obcasach.

Przy końcu stołu zrównał się z nią Katamori i razem obejrzelili się na ciało. Odchodził od niego ciąg krwawych śladów stóp – zbyt dużych, aby należały do dziewczyny. Odciski stóp wiodły do drzwi sieni. Przyjrzelili się im wspólnie. Na gałce u drzwi i wstawionych w nie szybkach nie było śladów krwi. Dalia pochyliła się, aby powąchać gałkę, a potem wzruszyła ramionami.

– Dotknęła jej zakrwawiona ręka, ale to nam nic nie mówi – stwierdziła i pchnęła drzwi. Gotów na wszystko Katamori napiął mięśnie.

Sień była pusta.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia. Podłogę pokrywała gumowa mata, a po obu stronach ustawiono ławy. Pod nimi tkwiło kilka par butów, z których część stała tam od czterdziestu lat. Na rzędzie haczyków nad ławkami wisiały płaszcze. Przynajmniej jeden z nich, wymyślna peleryna z wielkim futrzanym kołnierzem, znajdował się tam od dwóch dziesięcioleci.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek miał zamiar po niego

wrócić – powiedział Katamori i pchnął kołnierz palcem. Uniósł się z niego kłęb kurzu. Dalia zauważyła, że większość haczyków też jest zakurzona. Tylko dwa były na tyle czyste, aby można było uznać, że niedawno ich używano.

Gałka solidnych drzwi prowadzących na zewnątrz była nieskazitelnie czysta, a kiedy Dalia nachyliła się nad nią, wyczuła nieznaczną woń krwi, ślad słabszy niż na wewnętrznych drzwiach.

– Morderca wyszedł tędy – rzuciła w stronę Katamoriego. – Zakończmy badanie kuchni, a potem złożymy raport.

Wrócili do kuchni.

Zanim śmiertelnicy wyszli, odłożyli talerze i filiżanki przy zlewie. Mdlejący dawcy nie sprzyjali interesom, więc agencja nalegała, aby wampiry poszły śladem punktów krwiodawstwa i podawały ludziom przekąski. Dalia i Katamori niczego nie znaleźli: ofiara nie podeszła do tego miejsca.

– Co mamy na razie? – zapytał Katamori.

– Bardzo świeżą woń wampira – odparła Dalia.

– Poza półdemonem wyczuwam tu ludzi, wilkołaka i przynajmniej dwa wampiry.

Wilkołaki. Usta Dalii zadrgały. Przede wszystkim jednak musiała przesłuchać jedyną żyjącą istotę w tym olbrzymim pomieszczeniu.

– Demonico – powiedziała – wytłumacz się.

Teraz, kiedy miała wreszcie chwilę, aby zwrócić

uwagę na ubiór dziewczyny, wytrzeszczyła oczy. Koścista istota, której krótkie włosy zafarbowane były na jaskrawy żółtozielony kolor, była ubrana w legginsy i obcisłą koszulkę z długim rękawem, wszystko czarne. Czerwone trampki wyraziście kontrastowały z liliową mini i podbitą futerką kamizelką z koziej skóry.

– Jestem Diantha – oświadczyła dziewczyna. A potem wypowiedziała długie zdanie, które być może było po angielsku.

– Milcz – przerwał jej Katamori – albo będę musiał cię zabić.

Diantha urwała w pół słowa i rozdziawiła usta. Dalia dostrzegła, jak niezwykle ostre są zęby półdemonicy, i odniosła wrażenie, że w jej drobnych ustach jest ich całe mnóstwo. Katamoriego czekałaby zajadła walka i Dalia miała nadzieję, że do niej nie dojdzie.

– Diantho, jestem Dalia. Mamy podobne imiona, prawda? – odezwała się. Od wieku albo dwóch nie próbowała przybrać kojącego tonu i teraz nie przychodziło jej to łatwo. – Musisz mówić tak, żebyśmy mogli cię zrozumieć. Może łatwiej będzie ci się uspokoić, jeśli się dowiesz, że nie podejrzewamy cię o popełnienie tej zbrodni.

– Nie? – Katamori wiedział dlaczego, ale chciał, żeby Dalia jasno to wytłumaczyła.

– Poza butami nie ma na sobie ani kropli krwi. – Dalia nie zadała sobie trudu, żeby zniżyć głos. Lśniące oczy Dianthy wpatrywały się w nią tak przenikliwie, że

wiedziała, iż dziewczyna potrafi czytać z ruchu warg.

– Jestem gońcem mojego wujaw Luizjanie – oznajmiła półdemonica. Najwyraźniej nie musiała nabierać tchu między słowami, ale tym razem przynajmniej mówiła na tyle wolno, że wampirom udało się ją zrozumieć.

– I trafiłaś na tę uroczystość, ponieważ...?

– Demony z Rhodes zostały zaproszone, zatrzymałam się tu na noc pod starczeni... – Kolejne słowa połączyły się w pozbawioną sensu plątaninę.

– Wolniej – przerwała Dalia, pilnując, żeby jej głos zabrzmiał stanowczo.

Diantha westchnęła głośno i z irytacją właściwą nastolatce, na którą wyglądała.

– Ponieważ miałam tu nocować, wzięli mnie ze sobą. – Robiła między słowami niemal widoczne przerwy. – Nie miałam nic innego do roboty, więc poszłam.

– Przyjechałaś z Luizjany załatwić jakąś sprawę biznesową i przybyłaś tutaj z demonami z Rhodes, ponieważ je zaproszono.

Kiedy Diantha przytaknęła, jej zielone, sterczące włosy kiwały się komicznie. Gdyby Dalia nie miała okazji widzieć, jak walczą demony, może i by się roześmiała.

– Jak trafiłaś do kuchni? – zapytał Katamori. Podczas rozmowy kobiet okrążył stół i zajął miejsce za plecami Dianthy. Ta obróciła się nieco, aby widzieć oba wampiry, ponieważ utknęła między nimi. Mimo uspokajających słów Dalii półdemonicy zdecydowanie nie podobała się sytuacja, w której się znalazła. Miała ugięte kolana i

dłonie zwinięte w pięści: była gotowa do walki.

Kiedy się jednak odezwała, jej głos był dość spokojny.

– Właśnie szłam do lodówki – powiedziała, wciąż pilnując się i mówiąc powoli. – Skończył się Sprite i pomyślałam, że nie zaszkodzi, jeśli sprawdzę, czy w kuchni nie ma go więcej. Poczułam zapach krwi...

Dalia podniosła ostrzegawczo dłoń, a Diantha zwolniła.

– Krzyknęłam, bo poczułam zapach krwi, kiedy w nią wdepnęłam.

– Nie wcześniej? – Większość istot nadprzyrodzonych miała bardzo czuły węch.

– Woń wampirów przytępiła mi węch – odparła Diantha.

Dalii to nie zdziwiło. Choć dla niej zapach wampirów był oczywiście bardzo przyjemny, wielokrotnie słyszała, że innym nadprzyrodzonym trudno go znieść.

– Czy krew wciąż płynęła, kiedy weszłaś? – Szersze strugi z arterii spływały niezwykle powoli z lśniących powierzchni urządzeń kuchennych, a pojedyncze krople, które pomknęły w dal, kiedy wyrwano tchawicę, zaczynały zasychać na skrajach.

– Trochę – powiedziała Diantha.

– Zastałaś tu kogokolwiek innego? – zapytał Katamori.

Diantha pokręciła głową.

Wampiry zerknęły na siebie, unosząc brwi. Dalii nie

przyszło do głowy żadne inne pytanie. Najwyraźniej Katamoriemu też nie.

– Diantho, za chwilę będziesz mogła się ruszyć. – Dalia i Katamori podeszli do zwłok z dwóch stron. – No dobrze. Wyjdź z kałuży. Zdejmij buty i zostaw je tutaj.

Półdemonica dokładnie wypełniła polecenia Dalii. Przysiadła na drewnianym stole, żeby zdjąć trampki. Starannie ułożyła zaplamione buty obok siebie na podłodze.

– Zostaćczyiść? – zapytała. Teraz, kiedy nie tkwiła już tak blisko ciała, wyglądała na znacznie pogodniejszą. Demony nieczęsto zjadały ludzi, więc bliskość zwłok nie była dla niej przyjemna.

– Myślę, że możesz już iść – odparła po chwili namysłu Dalia. – Nie opuszczaj posiadłości.

– Wróćenaprzyjęcie – powiedziała dziewczyna i tak zrobiła.

Wampiry bez słowa wróciły do swojego zadania. Dzięki świetnemu wzrokowi i węchowi nie potrzebowały szkieł powiększających ani latarek, aby przeanalizować to, co widziały.

– Dawcy weszli do kuchni, zjedli coś i się napili – zaczął Katamori. – Opiekował się nimi któryś wampir.

– Jak zawsze – wtrąciła zamyślona Dalia. – I to z tym wampirem trzeba będzie porozmawiać, ponieważ z jakiegoś powodu ten śmiertelnik tutaj został... a może się ukrył. W każdym razie ich opiekun powinien był to zauważyć.

– Przechodził tędy wilkołak, być może już po śmierci ofiary. Możliwe, że więcej niż jeden – ciągnął Katamori, który kucał, pochylony nad podłogą. Podniósł na Dalię przenikliwe ciemne oczy. Kiedy znów się nachylił, jego czarny warkocz opadł do przodu. Katamori odrzucił go na plecy.

– Możliwe – powiedziała Dalia, zmuszając się do zachowania neutralnego tonu. Wszystkie kłopoty, które spadną na wilkołaki, dotkną też Taffy. – Myślę, że powinniśmy powiedzieć Joaquinowi, aby jak najszybciej przysłał tu tego opiekuna.

Katamori się zgodził, ale z roztargnieniem. Dalia podeszła do drzwi wahadłowych. Tak jak się spodziewała, w korytarzu stała jedna z przyjaciółek Joaquina, smukła brunetka Rachel. Dalia wyjaśniła, o co jej chodzi, a Rachel pobiegła. Cedryk zakazał używania telefonów komórkowych w posiadłości, Joaquin zaś nie uchylił jeszcze tej decyzji, choć Dalia słyszała plotkę, że tak się stanie.

Po chwili Gerhard, który tego wieczoru pełnił obowiązki opiekuna, nadszedł korytarzem. Po jego sposobie poruszania się Dalia wywnioskowała, że jest rozgniewany, choć się uśmiechał. Ten wieczny uśmiech błyszczał równie intensywnie jak krótkie, złociste włosy Gerharda lśniące pod lampami niczym jedwab. Mieszkał w Rhodes od pięćdziesięciu lat, ale on i Dalia nigdy się nie zaprzyjaźnili.

Dalia nie miała wielu przyjaciół. Bynajmniej jej to

nie przeszkadzało.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał wampir. Mimo długiego pobytu w Stanach wciąż mówił z silnym niemieckim akcentem.

– Opowiedz mi, jak wyprowadziłeś stąd śmiertelników – powiedziała Dalia. – Jak to się stało, że ten tu został?

Gerhard zeszywniał.

– Sugerujesz, że zaniedbałem moje obowiązki?

– Próbuję ustalić, co się tu stało – odparła Dalia niezbyt cierpliwie. – To, jak wykonujesz swoje obowiązki, to problem Joaquina, nie mój. Ten człowiek jest tutaj. Nie powinno go tu być. Jak to wyjaśnisz?

Gerhardowi nie pozostało nic innego, jak odpowiedzieć.

– Zebrałem śmiertelnych przed ich wyjazdem. Weszliśmy do kuchni. Zgodnie z procedurą zaproponowałem im poczęstunek. Po dziesięciu minutach powiedziałem, że czas w drogę. Policzyłem ich, zanim odjechaliśmy, i liczba się zgadzała.

– Ale oto go tu mamy – powiedział Katamori, prostując się. – Albo więc pomyliłeś się w liczeniu, albo kłamiesz, albo dodatkowy śmiertelny zajął jego miejsce. Jaki jest tego powód?

– Nie wiem – odparł Gerhard głosem tak sztywnym, jakby go wykrochmalono.

– Idź i powiedz to Joaquinowi – rzuciła Dalia bez cienia współczucia.

– No dobrze. – Gerhard przeszedł do defensywy. – Ten człowiek i ja byliśmy umówieni. Pozwoliłem mu tutaj zostać, ponieważ po moim powrocie mieliśmy się spotkać.

– Choć już tego wieczoru oddał krew – powiedziała Dalia.

– Nazywał się Arthur Allthorp. Spędzałem z nim czas już wcześniej – przyznał Gerhard. – Potrafił nieraz... oddać krew. Uwielbiał to.

– Był wampofilem – podsumował Katamori. Zafascynowani wampirami wampofile słynęli z tego, że przekraczali granice rozsądku.

Gerhard kiwnął gwałtownie głową.

Ani Dalia, ani Katamori nie skomentowali faktu, że wcześniej ich okłamał. Równie dobrze jak on wiedzieli, że za to zapłaci.

– Był moim słabym punktem – oznajmił Gerhard zajadle. – Cieszę się, że nie żyje.

Ten nagły wybuch emocji zaskoczył Dalię i wzbudził odrazę u Katamoriego, który pozwolił Gerhardowi wyczytać to ze swej twarzy. Gerhard obrócił się na pięcie, żeby wyjść z kuchni, ale Dalia zatrzymała go pytaniem:

– O której wyszedłeś ze śmiertelnymi? Czy ten mężczyzna, Arthur, miał tutaj jakiegokolwiek towarzystwo, kiedy odprowadzałeś pozostałych?

Gerhard zastanawiał się chwilę.

– Kazałem im ruszać do samochodów o dziesiątej, ponieważ tę godzinę wyznaczyła agencja, która ich

przysłała. Nikogo innego tu nie było. Ale kiedy czekałem, aż pozostali dawcy wyjdą, słyszałem, że ktoś nadchodzi korytarzem. Jestem pewien, że była to między innymi Taffy.

Gdyby Dalia rozmawiała z nim w cztery oczy, powiedziałyby coś nieprzyjemnego. I tak wyczuła, że Katamori rzucił jej szybkie spojrzenie. Wszyscy w gnieździe wiedzieli, że mimo niefortunnego małżeństwa Taffy są przyjaciółkami. Dalii krótkie małżeństwo z wilkołakiem wybaczone właśnie dlatego, że tak szybko się skończyło. W wypadku Taffy wyglądało jednak na to, że ku konsternacji pozostałych wampirów z Rhodes, ma ona zamiar pozostać w związku z Donem, a nawet jest z nim szczęśliwa.

– Będzie trzeba odnaleźć Taffy oraz Dona i zadać im kilka pytań – powiedziała. – Gerhardzie, poprosisz o to Joaquina?

Gerhard szarpnął głową i wymaszerował z kuchni. Drzwi pchnął tak mocno, że jeszcze po jego wyjściu irytująco huśtały się tam i z powrotem.

Dalia ponownie zainteresowała się krwią, która spryskała urządzenia i tworzyła wciąż mokrą kałużę na podłodze.

– Wiem z doświadczenia – zwróciła się do Katamoriego – że trzeba ponad godziny, aby krew zaczęła schnąć. Biorąc pod uwagę jej lepkość i niską temperaturę otoczenia, sądzę, że zwłoki leżą tu od co najmniej trzydziestu minut.

Katamori kiwnął głową. Oboje byli ekspertami, jeśli chodziło o krew. Spojrzeli na zegar wiszący na ścianie. Wskazywał dziesiątą czterdzieści pięć.

– Jeśli Gerhard faktycznie wyszedł ze śmiertelnymi o dziesiątej... powiedzmy, że pięć minut zajęło mu zagonienie ich do odłożenia naczyń przy zlewie i wyprowadzenie ich na zewnątrz... Arthur został sam pięć albo dziesięć minut po dziesiątej. Rozmawiałam z Cedrykiem, a potem tańczyłam z Melponeusem. – Dalia próbowała zrekonstruować moment, w którym krzyk przerwał przyjęcie.

– Usłyszeliśmy Dianthę o dziesiątej trzydzieści – rzekł Katamori. Dalia z pewnym zaskoczeniem zauważyła, że ma na sobie zegarek, nietypowy dodatek u wampira.

– Znaleźliśmy się tutaj jakieś półtorej minuty później. Rozglądamy się od może dwudziestu minut. Ktoś wszedł zatem do kuchni między dziesiątą dziesięć a dziesiątą dwadzieścia pięć.

– A Arthur zmarł, ponieważ wyrwano mu tchawicę – stwierdził Katamori.

– Tak. Choć może wcześniej go uduszono. Trudno orzec bez usuniętej tkanki.

– Jest tutaj. – Katamori wskazał makabryczną kupkę skóry i chrząstki na wpół ukrytą pod krzesłem.

Dalia kucnęła, aby przyjrzeć się resztkom.

– Jest tak zmasakrowana, że i tak nie wiem, czy go uduszono. Ale tkankę odrzucono, a nie zjedzono.

Katamori skrzywił się z niesmakiem.

– Myślałam o tropie wilkołaka i o wszystkim, co oznacza jego obecność – ciągnęła Dalia. Wilkołak zjadłby ludzkie mięso, a przynajmniej zrobiłby to w swojej wilczej postaci.

– Sądysz, że zobaczyliśmy i wywąchaliśmy już wszystko? – zapytał Katamori, taktownie przemilczawszy kwestię wilkołaków.

– Przeszukajmy kieszenie śmiertelnika – zaproponowała Dalia, a Katamori kucnął po drugiej stronie zwłok. Dłonie Dalii poruszały się zwinnie, lekko i dokładnie. W kieszeni po swojej stronie znalazła kartkę z agencji dawców z wiadomościami na temat wyznaczonego miejsca spotkania i pory oddania krwi tego wieczoru. Tak jak powiedział Gerhard, po dawców należało pojechać o ósmej, a odwiedzić ich na miejsce odbioru o dziesiątej.

Dalia była ciekawa, czy Gerhard kazał Arthurowi dopilnować, aby wpisano go na listę dawców. To, że pupilek Gerharda znalazł się w tej właśnie grupie dawców, nie mogło być zbiegiem okoliczności. W ciągu ostatnich czterech lat utarło się, że gospodarze przyjęć, na które były zaproszone wampiry, wynajmowali dawców z zarejestrowanej agencji, aby mieć pewność, że oferowane przez nich ludzkie przekąski przebadano pod kątem chorób przenoszonych przez kontakt z krwią oraz psychoz. Istniał też wirus, którym wampiry mogły się zarazić od ludzi (Sino-AIDS), od kiedy zaś jeden z

dawców w Memphis wyciągnął na przyjęciu pistolet i zaczął strzelać do gości, sprawdzano ponadto, czy nie mają oni ukrytych zamiarów.

Dalia otworzyła portfel Arthura Allthorpa i wyciągnęła jego kartę dawcy; przedziurkowano ją siedem razy. Działo się to, ilekroć agencja gdzieś go wysyłała. Kiedy Dalia odwróciła ciało, żeby przeszukać drugą kieszeń spodni, Katamori przesunął dłońmi po nogach Arthura. Ku ich zaskoczeniu znalazł nóż przypasany do kostki. Cóż za niezwykle zaniedbanie. Nieudolność Gerharda z każdą chwilą okazywała się coraz większa.

Wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia, para wampirów wstała; zebrali już wszystkie informacje, których mogło dostarczyć im ciało. Rozejrzeli się po rozległej kuchni, sprawdzając, czy nie przegapili jakiejś wskazówki. Ciemność wciąż zaglądała przez wielkie okna. Krew wciąż lepiała się do nierdzewnej stali. Wampofil Arthur Allthorp wciąż nie żył.

Katamori zaryglował zewnętrzne drzwi, a potem wraz z Dalią opuścił kuchnię. Rachel zdążyła wrócić na stanowisko w korytarzu i Dalia poleciła jej, żeby pilnowała wahadłowych drzwi.

– Nie wpuszczaj nikogo do kuchni, dopóki nie będziemy pewni, że dowiedzieliśmy się wszystkiego – poleciła. – Z zewnątrz nikt nie wejdzie.

Rachel kiwnęła głową z przejętą miną. Dopiero sprawdzała się jako wampirzyca i Dalia była pewna, że powstrzyma każdego, kto będzie chciał zobaczyć ciało.

W salonie Joaquin na powrót zasiadł na podobnym do tronu fotelu zarezerwowanym dla szeryfa. Nastrój na jego przyjęciu zdecydowanie się pogorszył: odświętna atmosfera ustąpiła miejsca obawie. Goście niespokojnie kręcili się po pomieszczeniu. Demony i półdemony zbiły się w kącie w zwartą grupkę z Dianthą pośrodku, a wróżki (oreada, rzadko spotykany wodnik i elf) tłoczyły się obok nich.

Bernie Feldman, ochroniarz Dona, obserwował z wyraźną troską drzwi balkonowe. Stał w dziwnej pozie, jakby bolał go brzuch. Dalia podążyła oczami za jego wzrokiem. Nadchodzili Taffy i Don z ubraniami w nieładzie. Taffy trzymała buty w jednej ręce, a drugą ścisnęła dłoń Dona. Patrzyli na siebie wzrokiem, który Dalia mogła opisać jedynie jako „maślany”.

– Obrzydliwe – mruknęła, a Katamori zerknął na zakochanych.

– Przeszli przez kuchnię – stwierdził. – Będziemy musieli z nimi porozmawiać.

– Lepiej najpierw złożmy raport Joaquinowi.

Stanęli przed swoim nowym dowódcą. Dalia skłoniła głowę pod starannie wyliczonym kątem. Katamori pochylił się może centymetr niżej niż ona. Joaquin przyjął ich gest i czekał, aż złożą raport. W fotelu szeryfa prezentował się lepiej niż Cedryk. Był wysoki i smukły, miał rzadkie ciemne włosy i wielkie brązowe oczy. Nowy szeryf nie był wampirem tak długo jak Dalia (tylko dwa wampiry z Rhodes dorównywały jej pod tym względem),

ale wysokie stanowiska nie zawsze przypadają najstarszym.

Glenda uwiesiła się na oparciu jego siedziska, jakby bycie nową dupą Joaquina dawało jej jakieś wyjątkowe uprawnienia. Dalia przyjrzała się jej z obojętną miną. Jej antypatia pod adresem Glendy przeobraziła się z nieokreślonej w bardzo konkretną.

– Czego się dowiedzieliście? – zapytał Joaquin, skupiając na dwojgu śledczych całą uwagę. Dalii spodobał się ten wyraz szacunku.

– Śmiertelny nazywał się Arthur Allthorp. Był pupilkiem Gerharda. – Dalia dostrzegła już jasnowłosego wampira, który próbował przybrać stoicką minę, choć udawała mu się tylko posępna. – Gerhard pozwolił Arthurowi Allthorpowi zostać w kuchni, podczas gdy sam towarzyszył dawcom podczas powrotu do punktu odbioru. Widzę, że już ci to powiedział. – Przy Gerhardzie stali Troy i Hazel, wampiry, które z polecenia Joaquina wymierzały kary.

– Ponadto – dodał Katamori – śmiertelnik miał przy kostce nóż.

Kolejny gwóźdź do trumny Gerharda, być może dosłownie.

– Zmarł bardzo szybko: wyrwano mu tchawicę – powiedziała Dalia. – Wiemy, że zginął między dziesiątą dziesięć a dziesiątą dwadzieścia pięć, plus minus dwie minuty.

– Mniej więcej w tym samym czasie przechodzili

przez kuchnię śmiertelni dawcy, Gerhard, jeszcze jeden lub dwa wampiry, których nie udało mi się zidentyfikować, i co najmniej jeden wilkołak – dodał Katamori.

Wszyscy spojrzeli na Dona i Berniego, który do tej pory szeptał coś gorączkowo na ucho Donowi. Ten miał zaszokowaną, ponurą minę. Jedynym wampirem, który stał blisko nich, była Taffy; wsunęła rękę w zgięcie jego ramienia. Don poklepał jej dłoń, dziękując za poparcie. Bernie stał po drugiej stronie Dona, a jego twarz przybrała wyraz, który Dalia widziała już nieraz. Oznaczał on: „Jestem gotów zginąć, ale wolałbym, żeby to się nie stało”.

– Moje słowa nie zrobią ci różnicy, Joaquinie, ale ja tego nie uczyniłem – przemówił Don głębokim głosem. – Nie wyobrażam sobie powodu, dla którego miałbym zabić tego biednego drania, choć może kwestia motywu cię nie interesuje. – Gdyby Dalia miała szansę, być może doradziłaby Donowi, że nie jest to odpowiednia chwila na sarkazm.

– Don i ja rzeczywiście przeszliśmy przez kuchnię – odezwała się Taffy. – Ale tylko po to, żeby wyjść do ogrodu i porozmawiać.

– O czym? – zapytała Glenda.

– Deptałaś nam po piętach, więc zapewne już wiesz. Ale nie odpowiadam przed tobą. – W oczach Taffy pojawił się wojowniczy błysk.

– Każdy wampir, który zadaje się z wilkołakiem,

poniża się i traci status w gnieździe – oznajmiła Glenda, prostując się i odchodząc na krok od fotela szeryfa.

Dalia natychmiast zdała sobie sprawę z zagrożenia. Gdyby pozwoliła Taffy zająć się Glendą, w sytuację zaangażowałyby się Don i wszystko niepotrzebnie by się skomplikowało. Kiedy Glenda zrobiła kolejny krok w stronę Taffy, Dalia była gotowa. Skoczyła i kopnęła z całej siły, a Glenda poleciała w tył wśród fałd swojej pięknej przylegającej sukni. Dalia wylądowała z wdziękiem i okręciła się błyskawicznie, żeby się upewnić, czy atak był skuteczny. Glenda uderzyła o ścianę, a trzask jej pękających żeber usłyszeli wszyscy. Ześlizgnęła się na podłogę, brocząc krwią i skamłając.

Joaquin się nie ruszył, ale jego oczy płonęły. Troy i Hazel, wciąż pilnujący Gerharda, obnażyli kły. Przez długą, pełną napięcia chwilę wszyscy wlepiali oczy w Dalię.

– Wybacz, że ukarałam Glendę bez uprzedzenia, Joaquinie – powiedziała spokojnie. – Zadziałałam bez twojego pozwolenia, ale rozgniewała mnie jej bezczelność. Nie ma prawa wygłaszać takich sądów w twojej obecności. Tylko ty możesz zadecydować, kto należy do naszej społeczności, a kto nie. Glenda wykazała się niewybaczalnym brakiem szacunku.

Joaquin zamrugął.

– Interesująca interpretacja słów Glendy – stwierdził.

Nikt nie poszedł pomóc leżącej wampirzycy. Być może wszyscy bali się, że Dalia również ich uzna za

wroga.

– Faktycznie zachowała się bezczelnie – oznajmił Joaquin po chwili zastanowienia, a obecni rozluźnili się nieco. Dalia wiedziała, że niejeden wampir z przyjemnością popatrzyłby, jak jeszcze bardziej krzywdzi Glendę, ale ona dopięła już swego: przerwała potok jej oskarżeń.

– Wiecie, które wampiry przeszły przez kuchnię w tym kluczowym czasie? – ciągnął Joaquin.

– Jednym z nich był Cedryk – powiedziała Dalia. – Znam jego zapach zbyt dobrze, żeby pomylić go z innym. Widziałam też, że Glenda podążyła za Taffy, Donem, Berniem i Cedrykiem, ale nie jestem pewna, czy weszła do kuchni.

Joaquin uniósł z zaskoczeniem ciężkie brwi. Spojrzał na swojego poprzednika.

– Przeszedłem przez kuchnię – przyznał Cedryk. Opierał się o ścianę. – Podążałem tuż za Taffy i jej wilkołakiem, ale Glenda wyszła przede mną, nie po mnie. Chciałem z nią porozmawiać.

– Dlaczego? – zapytał Joaquin. Zmierzył wzrokiem Cedryka, którego haftowana błękitną nicią kamizelka była pognieciona na brzuchu. Nawet buty Cedryka były podniszczone, podczas gdy pantofle Joaquina lśniły jak lustro. Kontrast ów nie mógł wypaść mniej korzystnie dla Cedryka: wyglądał jak stary sum w porównaniu z podobnym do smukłej barakudy Joaquinem.

Pod ścianą Glenda z trudem podniosła się na kolana,

pojękując. Pewien wampir bez słowa zbliżył się do niej, aby mogła upić jego krwi. Dalia zwróciła uwagę, że przybrał możliwie najbardziej obojętną minę, jakby jego ramię tylko przypadkiem ułożyło się tak, iż Glenda mogła zaczerpnąć z żyły uzdrawiający łyk. Wbił nawet wzrok w podłogę, aby Dalia nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Uśmiechnęła się pod nosem. Dobrze było wzbudzać lęk.

– Dlaczego? – powtórzył Cedryk. – Ponieważ chciałem się przejść i miałem nadzieję, że mi potowarzyszy przez wzgląd na stare czasy. Ponieważ, jeśli nie przyszło ci to do głowy, to bardzo niezręczny dla mnie wieczór i potrzebowałem przyjaznego towarzystwa.

Demony wyglądały na rozbawione, wilkołaki na zawstydzone, a wampiry odwróciły wzrok. Nie zwykły przyznawać się do słabości. Tylko Dalia wyglądała na zamyśloną.

– Taffy, co się stało w ogrodzie? – zapytał Joaquin.

Taffy skłoniła przed nim głowę.

– Oczywiście odpowiem, skoro mój szeryf pyta – odparła uprzejmie, powtarzając wcześniejszy argument Dalii. – Rozmawialiśmy z Bernieem, ochroniarzem mojego męża, o tym, jak niemiło zachował się wobec jednej z demonic. – Wskazała głową Dianthę. – Bernie był na tyle... nieokrzesany... że wyśmiał jej sposób mówienia. Don uznał, że powinien nauczyć go paru rzeczy o dyplomacji. Jak widzisz, udało mu się to.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo już minęło, Bernie znów się zgarbił. Najwyraźniej coś go bolało. Pokiwał

głową, wyprostował się i syknął.

– Dzięki mojemu przywódcy zrozumiałem swój błąd – powiedział.

– W ogrodzie – ciągnęła Taffy – zaczęliśmy wspominać nasz ślub, który się tam odbył, i uczciliśmy to w odpowiedni sposób. – Uśmiechnęła się promiennie do Joaquina, zadowolona, że udało się jej sformułować to tak dyplomatycznie. Taffy nigdy nie grzeszyła subtelnością.

Don wyszczerzył do niej zęby i ścisnął ją ramieniem.

– Nieźle sobie poświętowaliśmy w krzakach – powiedział. – Choć było zimniej niż u czarownicy za pazuchą.

Jedyna obecna czarownica już miała zaprotestować, ale Dalia błyskawicznie odwróciła głowę w jej stronę i rzuciła jej znaczące spojrzenie. Kobieta od razu zamknęła usta.

– To jednak nie dowodzi, że śmiertelny nie zginął przez was – rzekł niezwykle rozsądnie Joaquin.

– Nie mamy na sobie ani kropli krwi, szeryfie – powiedziała Taffy i wyciągnęła ramiona, aby mógł im się przyjrzeć. – Kiedy Don udzielał Berniemu lekcji etykiety, nie przebił skóry. Mój mąż wie, że woń krwi jest drażliwa dla wampirów.

– Czy zabójca byłby splamiony krwią? – zapytał szeryf Dalię. – Widzieliście ranę.

– Zdam się w tej sprawie na Katamoriego – odparła. – Powszechnie wiadomo, że Taffy i ja się przyjaźnimy.

– Ruszający się z maksymalną szybkością wampir,

który już wielokrotnie zabił w ten sposób, mógłby uniknąć zabrudzenia krwią – stwierdził Katamori. – Każdy inny musiałby się przebrać. – Podeszedł do pary i obejrzał ją dokładnie. – Nie widzę ani nie czuję krwi na Taffy i Donie.

Ramiona Dalii być może rozluźniły się odrobinę.

– Ja pachnę krwią, ponieważ korzystałem tego wieczoru z dawcy – powiedział szybko Gerhard.

Tym razem to Dalia przeprowadziła uważne oględziny. Potem wyprostowała się i zawiadomiła Joaquina:

– Ma na sobie słaby ślad woni krwi i jedną jej kroplę na kołnierzu, ale nie jest to nic niepokojącego.

– Możesz mnie sprawdzić, Katamori – powiedział Cedryk, choć nikt tego nie zaproponował.

Katamori zerknął na Joaquina, który nie dał mu żadnego znaku, i podeszedł do Cedryka. Dalia wiedziała, że zbada byłego szeryfa dokładnie: Katamori nigdy za nim nie przepadał.

– Nie znalazłem krwi na ubraniu Cedryka – oświadczył Katamori – ale wyczuwam jej lekki zapach.

– Poczęstowałem się, kiedy byli tu dawcy – rzekł Cedryk, wzruszając ramionami.

Rozległo się walenie do drzwi posiadłości.

Dalia na wszelki wypadek zerknęła na zegar wiszący na ścianie. Była jedenasta piętnaście. Arthur Allthorp nie żył od jakiejś godziny. Melvin, młody wampir pełniący tego wieczoru obowiązki odźwiernego, wpadł do salonu

tak szybko, że poślizgnął się na drewnianej podłodze.

– Przyjechała policja, szeryfie – zawiadomił Joaquina. – Podobno doniesiono im, że w posiadłości znajdują się zwłoki.

– Jak długo możesz ich zatrzymać? – warknął Joaquin.

– Dziesięć minut – odparł Melvin.

– Przyda się. Idź – nakazał szeryf.

Melvin odszedł powoli w stronę wejścia. Patrzył na zegarek.

– Katamori i ja pozbędziemy się ciała – powiedziała Dalia i oboje odbiegli. Kiedy mijali Rachel, wciąż pilnującą drzwi wahadłowych, Dalia krzyknęła: – Ekipa sprzątająca, migiem!

Rachel ruszyła tak szybko, że trudno było nadążyć za nią wzrokiem, a Dalia usłyszała, jak już w salonie wykrzykuje kilka imion.

Nie po raz pierwszy trzeba było szybko ukryć ciało w posiadłości.

Gdy Katamori otwierał drzwi w sieni, Dalia wyciągnęła z szafki wiekowy obrus. We dwoje owinęli zwłoki w poźółkły materiał, aby krew nie kapała. Dalia chwyciła stopy, a Katamori ramiona. Zajęli się wynoszeniem ciała, podczas gdy ekipa sprzątająca wpadła przez wahadłowe drzwi. Sprawę ułatwiało to, że cały sprzęt do porządków trzymano w kuchni; gdy Katamori i Dalia taszczyli swój ciężar do sieni i przez zewnętrzne drzwi, zauważyła, że pełniące służbę wampiry otwierały

szafki, wyciągały wybielacz, odkręcały krany i przynosiły mopy.

Martwy mężczyzna był wysoki i ciężki. Katamori i Dalia byli podobnego wzrostu, więc ciężar ofiary rozkładał się między nimi równo, a poza tym oboje byli niebywale silni, zatem waga Arthura Allthorpa nie stanowiła problemu. Stanowiły go jego rozmiary. Zanieśli zwłoki przez ogród do wielkiej, eleganckiej fontanny umieszczonej pośrodku sięgającej kolan sadzawki. Posąg zdobiący fontannę przedstawiał kobietę owiniętą udrapowanym materiałem. Trzymała przechylony dzban, z którego woda spływała z pluskiem do sadzawki. Położyli ciało po najdalszej od domu stronie fontanny. Dalia wskoczyła na szeroki brzeg brodzika i nachyliła się ryzykownie nad wodą, by odszukać klucz ukryty w draperii rzeźby. Nie znalazła go w fałdzie, w której leżał zazwyczaj, i na moment ogarnęła ją panika. Wyczuła jednak chłód metalu w fałdzie poniżej. Wszystkie wampiry w posiadłości wiedziały, gdzie ukryty jest klucz, i raz czy dwa schowano go nie tam, gdzie należało. Czując falę ulgi, Dalia zeskoczyła na ziemię pochlapana nieco wodą.

Kucnęła, aby wsunąć klucz do dziurki w sporej płycie u podstawy fontanny. Wyglądała ona tak, jakby można było dzięki niej uzyskać dostęp do rur i mechanizmów napędzających fontannę, ale wampiry zaprojektowały ją w innym celu. Choć zwłoki Allthorpa były roślejsze od większości ciał, które ukryto tam wcześniej, i choć otwór

był częściowo zasłonięty, musieli jakoś sobie z tym poradzić. Dalia wczółgała się do środka, aby pociągnąć ciało, podczas gdy Katamori został na zewnątrz i wpychał nogi. Potem Dalia musiała przeczołgać się nad ciałem, przez co jej ubranie jeszcze bardziej się pogmiotło i zaplamiało krwią.

Kiedy skończyli, odgłosy z posiadłości kazały im się domyślić, że policja już tam wtargnęła.

– Nie mogą tak mnie zobaczyć – powiedziała Dalia, patrząc z niesmakiem na swoją sukienkę.

– Zdejmij ją zatem – poradził Katamori, podtrzymując płytę. – Mam pomysł.

Gdy policjanci wyszli na zewnątrz, aby przeszukać ogród, znaleźli Katamoriego i Dalię baraszkujących nago w fontannie. Na ten widok stanęli jak wryci. Nie chodziło tylko o to, że była chłodna jesienna noc; w świetle księżyca skóra Dalii była biała jak marmur.

– I to wszędzie – wymamrotał jeden z policjantów oniemiałym tonem. – A on jest ledwie odrobinę ciemniejszy.

– Chcieli panowie z nami porozmawiać? – zapytała Dalia, jakby dopiero ich zauważyła.

Stojący za nią Katamori objął ją w talii.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział. – Mamy co innego w głowie.

– Zimno mu za bardzo nie przeszkadza – mruknął drugi policjant. Choć próbował nie przyglądać się wampirom, wciąż zerkał w ich stronę. Dalia czuła, że

Katamori trzęsie się z rozbawienia. Nagość wywoływała u ludzi niezwykle dziwne reakcje.

– Nie, nie, nie przeszkadzajcie sobie. Nie ma w tej sadzawce żadnych ciał? – zapytał pierwszy policjant, uśmiechając się szeroko.

– Tylko nasze – odparła Dalia, próbując zamruczeć. Wyszło jej całkiem nieźle.

– Pewnie ktoś sobie robił jaja z tym zgłoszeniem – stwierdził Glina Numer Jeden. – Przepraszam, że zakłóciliśmy wam wieczór. Bylibyśmy tu dwadzieścia minut temu, gdyby na naszym podjeździe nie wylądował jakiś wrak.

To było interesujące, ale musieli dalej odgrywać swoje role.

– Wcale nam nie przeszkadzacie – powiedział Katamori i pochylił się, aby pocałować szyję Dalii.

– Poszukajmy w krzakach – odezwał się zgorszony Glina Numer Dwa.

Obaj policjanci sumiennie przeszukali ścieżki i rozgarnęli krzaki, próbując nie przyglądać się temu, co działo się w fontannie, a jednocześnie sprawdzić wszystkie miejsca, w których mogło być ukryte ciało.

Poza tym, w którym znajdowało się faktycznie.

Nie szło im jednak zbyt szybko, ponieważ bez przerwy oglądali się na Dalię i Katamoriego, których figle z każdą chwilą stawały się coraz namiętniejsze.

– O mój Boże – powiedział Glina Numer Jeden. – Oni rzeczywiście...

– Widziałeś, jak szybko potrafią się ruszać? – szepnął Glina Numer Dwa. – Cycki jej się trzęsą jak marakasy!

Kiedy policjanci wrócili do posiadłości, para wampirów usiadła na skraju fontanny. Nogi Katamoriego zasłaniały płytę zamykającą skrytkę, a Dalia usadowiła mu się na kolanach. Oboje wyglądali na zadowolonych i szeptali do siebie czule.

– Bardzo mnie to orzeźwiło. Co za świetny pomysł, Katamori – powiedziała Dalia.

– Wspaniale się bawiłem. Mam nadzieję, że kiedyś to powtórzymy. Nawet tutaj. Może jednak następnym razem bez publiczności. Ilu policjantów przyglądało się nam ze środka?

– Co najmniej pięciu, poza tymi dwoma, którzy weszli do ogrodu. Zauważyłeś, co znalazłam w skrytce?

– Tak. Joaquin będzie z nas bardzo zadowolony. Śmiertelni z pewnością nie zostaną długo. Myślę, że dobrze nam poszło odwracanie ich uwagi. Dziękuję.

– Och, cała przyjemność po mojej stronie – powiedziała szczerze Dalia.

Po półgodzinie Joaquin osobiście wyszedł do ogrodu, aby zawiadomić ich, że policja odjechała. Był tylko trochę zaskoczony, widząc, że wciąż są nadzy.

– Cieszę się, że spędziliście miło czas – powiedział. – Mieliście jakieś problemy z ukryciem ciała?

– Pozwól, że pokażę ci, co znaleźliśmy pod fontanną, kiedy otworzyliśmy skrytkę – rzekła Dalia i ponownie odsunęła płytę, aby wyciągnąć stertę ubrań. Nie należały

ani do niej, ani do Katamoriego. Strzepnęła kolejne sztuki odzienia i wyciągnęła je w stronę Joaquina. Szeryf długo milczał.

– No cóż – powiedział w końcu – zatem wszystko jasne. Wnieście je do środka, kiedy będziecie gotowi. Później przyślę tu Troya i Hazel, żeby na dobre pozbyli się zwłok. Cały ten incydent jest godny pożałowania. – Nowy szeryf robił na Dalii wrażenie szczerego. Odwrócił się i oddalił w stronę posiadłości.

Para naciągnęła własne ubrania, choć Dalia wcale nie miała ochoty wkładać poplamionej sukienki. Pozostawienie kupki zrzuconych ubrań przy fontannie było ryzykowne, ale akcent ten pasował do sytuacji. Katamori i Dalia obejrzelili się wzajemnie, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Ona nieco staranniej wsunęła jego koszulę za pasek, on zapiął jej w kostce niebotycznie wysokie szpilki. Podążyli za Joaquinem do jasno oświetlonego wnętrza.

Tłum zdążył się przerzedzić.

– Gdzie są demony? – zapytała Dalia Taffy siedzącą z Donem na kanapie.

– Wyszły wraz z policją – odparła Taffy, przeczesując palcami swoją grzywę. – Były na tyle rozsądne, żeby wycofać się w dobrym momencie.

– Nie szkodzi – stwierdziła Dalia. – Tylko Diantha była zamieszana w całą sprawę, a wiemy, że tego nie zrobiła.

– Melponeusowi było, zdaje się, przykro, że przed

wyjściem nie zdołał znów z tobą porozmawiać – ciągnęła chytrze Taffy. – Wyglądał trochę przez okno, kiedy policja tak bardzo zainteresowała się ogrodem. Myślę, że obudziło to w nim kilka niezwykle przyjemnych wspomnień.

– Posiadłaś tego demona? – Katamori był zaintrygowany.

– Tak – odparła Dalia. – Dzięki temperaturze i fakturze jego skóry było to bardzo interesujące doświadczenie. Oczywiście nie mógł równać się z tobą. – Potrafiła być uprzejma, kiedy chciała.

Joaquin i jego ochroniarze już czekali, aby Dalia i Katamori przedstawili im wyniki swojego śledztwa. Kiedy weszli do salonu, zgromadziły się w nim wszystkie wampiry z Rhodes. Sam szeryf zasiadł z powrotem w swoim potężnym fotelu i czekał obojętnie na ich doniesienia. Cedryk wciąż pił Red Stuff i wyglądał na jeszcze bardziej nieszczęśliwego, a całkiem już zdrowa Glenda wlepiła w Dalię gniewne spojrzenie. Oboje dołączyli jednak do tłumu. Nawet Don i Bernie wstali, aby towarzyszyć Taffy.

– Wybraliście świetny sposób na odwrócenie uwagi policji – zaczął Joaquin. – A teraz powiedzcie nam, co odkryliście.

– W podstawie fontanny ukryto zakrwawione ubrania – oznajmiła Dalia, a po tłumie poniósł się szmer. – Gdyby nikt nie zadzwonił na policję i gdybyśmy nie musieli ukryć ciała, być może nigdy byśmy ich nie znaleźli.

Ponieważ to morderca Arthura Allthorpa zadzwonił na policję, mając nadzieję, że przysporzy gniazdu kłopotów, można powiedzieć, że sam strzelił sobie w stopę.

Joaquin podniósł zaplamione zawiniątko. Woń krwi była naprawdę silna. Wilkołaki uniosły górne wargi w grymasie obrzydzenia; nawet one wołały świeżą krew. Szeryf dość dramatycznym gestem zademonstrował ubrania jedno po drugim.

– Cedryku, zdaje się, że należą do ciebie – powiedział.

– To nieprawda – odparł spokojnie Cedryk. Przesunął dłonią po swojej piersi. – Ktoś próbuje mnie zrobić. Nie przebierałem się tego wieczoru.

– Ależ tak – sprzeciwiła się Dalia. – Na początku przyjęcia kwiaty na twojej kamizelce były złote. Od czasu śmierci dawcy są niebieskie. – Niemal było jej przykro, że to mówi, ale Cedryk z czystej złośliwości prawie skazał gniazdo na spędzenie niezliczonych godzin na posterunku policji i wiele dni złej prasy, a także niemal zakończył rządy Joaquina, zanim się na dobre rozpoczęły. – Ubranie, które masz teraz na sobie, wkładasz zazwyczaj do pracy w ogrodzie. Zostawiasz je na wieszaku w sieni. Buty też.

Wszyscy spojrzeli na niechlujne obuwie Cedryka. Absolutnie nikt nie włożyłby go na przyjęcie, nawet były szeryf.

W niebieskich oczach Cedryka na moment rozbłysł strach. Tylko na moment; potem wampir zaatakował Dalię, wydając z siebie dziki skowyt.

Dalia spodziewała się tego już od dłuższej chwili. Ustąpiła w lewo szybciej, niż mogłoby za nią nadążyć czyjekolwiek spojrzenie, chwyciła prawe ramię Cedryka, kiedy ją mijał, wykręciła je w górę pod straszliwym kątem, a gdy były szeryf krzyknął, chwyciła go za włosy i szarpnęła.

Urwała Cedrykowi głowę.

Na chwilę zaległa cisza.

– Bardzo przepraszam – powiedziała pod adresem Joaquina. – Nie miałam zamiaru do tego doprowadzić. Taki bałagan...

– Rozpadnie się w proch i poodkurzamy – stwierdził Joaquin, całkiem udatnie pozorując spokój. Dalia przypomniała sobie, że nim zajął stanowisko szeryfa, wchodził w skład grupy pozbywającej się ciał. – Jeśli plama nie zejdzie z dywanu, kupimy nowy.

Te słowa nigdy nie padłyby z ust Cedryka i Dalia się rozpogodziła.

– Dziękuję, szeryfie. Prawie udało mu się mnie zaskoczyć – powiedziała, ledwie dowierzając temu, co mówi. Możliwe, że będzie jej brakowało Cedryka bardziej, niż podejrzewała.

– Kiedy śmiertelny atakuje policjantów, aby sprowokować ich do zastrzelenia go, nazywa się to „samobójstwem z ręki policjanta”. – Katamori skłonił się swojej nowej przyjaciółce i dodał z galanterią: – My będziemy to nazywać „śmiercią z ręki Dalii”.

JOE R. LANSDALE

Muzyka może i łagodzi obyczaje, ale jak dowiaduje się nieszczęsny prywatny detektyw w poniższym makabrycznym opowiadaniu, jej magia potrafi też otwierać drzwi... w tym drzwi do miejsc, do których nikt nie powinien się zapuszczać.

Joe R. Lansdale, płodny pisarz z Teksasu, jest laureatem Nagrody im. Edgara Allana Poe, British Fantasy Award, American Horror Award, American Mystery Award i International Crime Writer's Award. Ośmiokrotnie otrzymał również Nagrodę Brama Stokera. Choć być może najlepiej znany jest dzięki swoim horrorom i thrillerom, takim jak *The Nightrunners*, *Bubba Ho-Tep*, *The Bottoms*, *The God of the Razor* i *The Drive-In*, jest też autorem popularnej serii detektywistycznej o Hapie Collinsie i Leonardzie Pine – *Savage Season* (*Sezon na szaleńców*, przeł. Sławomir Stodulski, Beta-Books, 1991), *Mucho Mojo*, *The Two-Bear Mambo*, *Bad Chili*, *Rumble Tumble*, *Captains Outrageous* – a także powieści westernowych (*Texas Night Rider*, *Blooddance*) oraz wymykających się wszelkim klasyfikacjom książek w rodzaju *Zeppelins West*, *The Magic Wagon* i *Flaming London*. Do innych jego powieści zaliczają się: *Dead in the West*, *The Big Blow*, *Sunset and Sawdust* (*Odważna*, przeł. Tomasz S. Gałązka, Wydawnictwo C&T, 2010), *Act of Love*, *Freezer*

Burn, Waltz of Shadows, The Drive-In 2: Not Just One of Them Sequels oraz *Leather Maiden*. Jego powieści włączono także do takich cykli, jak *Batman* i *Tarzan*. Liczne opowiadania jego autorstwa zawarto w antologiach: *By Bizarre Hands, Tight Little Stitches in a Dead Man's Back, The Shadows Kith and Kin, The Long Ones, Stories by Mama Lansdale's Youngest Boy, Bestsellers Guaranteed, On the Far Side of the Cadillac Desert with the Dead Folks, Electric Gumbo, Writer of the Purple Rage, A Fist Full of Stories, Bumper Crop, The Good, the Bad, and the Indifferent, For a Few Stories More, Mad Dog Summer: And Other Stories, The King and Other Stories* oraz *High Cotton: Selected Stories of Joe R. Lansdale*. Zredagował zbiory opowiadań: *The Best of the West, Retro Pulp Tales, Son of Retro Pulp Tales* (jako redaktor towarzyszył mu przy tej okazji jego syn, Keith Lansdale), *Razored Saddles* (z Patem LoBrutto), *Dark at Heart: All New Tales of Dark Suspense* (ze swoją żoną, Karen Lansdale), *The Horror Hall of Fame: The Stoker Winners*, jak również antologię wydaną na cześć Roberta E. Howarda, *Cross Plains Universe* (wraz ze Scottem A. Cuppem). Antologia wydana w hołdzie jemu samemu nosi tytuł *Lords of the Razor*. Jego najnowsze książki to zbiór *Deadman's Road*, antologia *Flaming Zeppelins: The Adventures of Ned the Seal*, a także zredagowany przez niego zbiór *Crucified Dreams*. Mieszka z rodziną w Nacogdoches w Teksasie.

KRWAWIĄCY CIEŃ

Siedziałem tego wieczoru w lokalu Blue Light, dojadając porcję żeberek i słuchając bluesa, kiedy weszła Alma May. Niekiepsko wyglądała. Jej sukienka pasowała na nią tak, jak sukienki powinny pasować na wszystkie kobiety na świecie. Na głowie miała mały, płaski kapelusz przekrzywiony na bok jak talerz trzymany chwiejną ręką kelnera. Jej nogi na wysokich obcasach wyglądały jędrnie i piekielnie dobrze.

Oświetlenie w tej knajpie nie jest najlepsze – to jedna z jej zalet. Czasami niektórym to pomaga, ale ja znałem Almę May wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że w jej wypadku światło nie ma znaczenia. Byłaby taką samą laską w worku i kapeluszu z gazety.

Coś w jej twarzy od razu mi powiedziało, że się martwi, że coś jest nie tak. Zerknęła na wszystkie strony, jakby usiłowała przejść przez ruchliwą ulicę w jakimś dużym mieście i nie dać się przejechać.

Wziąłem swoje piwo, wstałem od stolika i podszedłem do niej. Wtedy dowiedziałem się, dlaczego się tak rozgląda.

– Szukałam cię, Richard – powiedziała.

– Co ty nie powiesz – odparłem. – No i masz, żeś mnie znalazła.

Popatrzyła na mnie tak, że przestałem szczerzyć zęby.

– Coś nie gra, Almo May?

– Może. Nie wiem. Ale musimy pogadać. Przyszło mi do głowy, że tu będziesz, i zastanawiałam się, czybyś mnie nie odwiedził.

– Kiedy?

– Teraz.

– Dobra.

– Tylko niech ci nie chodzą po głowie żadne sztuczki – uprzedziła. – To nie tak jak za dawnych czasów. Potrzebuję twojej pomocy i muszę wiedzieć, że mogę na ciebie liczyć.

– No, całkiem mi się podobają takie sztuczki, jakie kiedyś razem wyczynialiśmy, ale dobra, jesteśmy kumplami. W porządku.

– Miałam nadzieję, że to powiesz.

– Masz samochód? – zapytałem.

Pokręciła głową.

– Nie. Przyjaciel mnie podwiózł.

Przyjaciel? – pomyślałem. Jasne.

– No dobra – powiedziałem. – Zbierajmy się.

*

Można byłoby w sumie powiedzieć, że to szkoda, że Alma May zarabia na życie, obsługując klientów, ale kiedy to ty płacisz i to ty jesteś jednym z jej zadowolonych klientów, inaczej gadasz. A przynajmniej zaraz po fakcie. Później masz wyrzuty sumienia, jakbyś nasikał na *Monę Lizę*. Bo ta lala była naprawdę świetną czarną kobietą, która powinna mieć lepsze życie niż to

znoszenie tysięcy problemów tylko po to, żeby kupić coś do jedzenia i zrobić sobie rano kawę. Zaslugiwała na coś dobrego. Powinna była znaleźć faceta ze stałą pracą, który wziąłby z nią ślub i dobrze ją traktował.

Ale tak się nie stało. Kręciliśmy kiedyś trochę i nie chodziło tylko o interesy, o to, żebym dał jej pieniądze po tym, jak zrobiła mi dobrze. Nie, chodziło o coś więcej, ale się nam nie udało. Żyła w półświatku i nie wiedziała, jak się z tego wykaraskać. A co do tego, że zasługiwała na coś lepszego – to nie byłem ja. Cały mój dobytek stanowiło kilka niezłych garniturów, biało-czarne buty, kapelusz i pistolet – automat kalibru czterdzieści pięć, taki jak te, których kilka lat wcześniej używano na wojnie.

Alma May ćpała też trochę i choć udało się jej przestać, wpadła przez to w niezły dołek. Myślałem sobie, że nigdy z niego nie wyjdzie, chociaż nie miało to już nic wspólnego z ćpaniem. Chodziło tu o czas. Od czasu do czasu otwiera się dla ciebie okno i jeśli nie przeczołgasz się przez nie, to ono się zamknie. Wiem to. Moje okno zamknęło się jakiś czas temu. Wciąż byłem przez to wściekły.

Wsiedliśmy do mojego chevy'ego. Był to sześciolatek, model z czterdziestego ósmego. Przez te lata go trochę poprzerabiałem: kazałem założyć nowe opony i przednią szybę, potem świeże obicia foteli i tak dalej. Był lśniący i wyjątkowy.

Jechaliśmy szosą w niezłym tempie, a światła mknęły po asfalcie. Wilgotne od niedawnego deszczu koleiny

lśniły jak kolana wytartych spodni od garnituru.

– Do czego mnie potrzebujesz? – zapytałem.

– To trochę skomplikowane – odparła.

– Dlaczego właśnie mnie?

– Nie wiem... Zawsze byłeś dla mnie dobry i kiedyś coś nas łączyło.

– To prawda – powiedziałem.

– Co się z tym stało?

Wzruszyłem ramionami.

– Przestało łączyć.

– No, faktycznie. Czasami tego żałuję.

– Czasami żałuję wielu rzeczy – oznajmiłem.

Odchyliła się na siedzeniu, otworzyła torebkę i wyciągnęła papierosa. Zapaliła go, a potem opuściła szybę. Pamiętała, że nie lubię dymu papierosowego. Tytoń nigdy mnie nie jarał. Można się było od niego nabawić zadyszki, śmierdział i psuł się od niego oddech. Nie znosiłem, gdy wsiąkał mi w ubranie.

– Tobie jednemu mogę to powiedzieć. Tylko ty mnie wysłuchasz i nie pomyślisz, że jestem naćpana. Rozumiesz, co mówię?

– Pewno, mała, rozumiem.

– Gadam, jakbym była niegrzeczna?

– Nie. Gadasz normalnie. To znaczy opowiadasz jakieś dziwne rzeczy, ale nie tak, jakbyś była na haju.

– Pijana?

– Nie. Jakbyś miała zły sen i chciała o nim komuś opowiedzieć.

– Blżej – stwierdziła. – Nie chodzi o to, ale do tego mi znacznie bliżej niż do igły, bimbru czy wina.

Dom Almy May był na obrzeżach miasta. To jedyna niezgorsza rzecz, która jej się dostała od życia. Żadna posiadłość, mały domek, ale czysty i jaskrawy za dnia, pomalowany na kanarkowy kolor z ciemnoniebieskimi wykończeniami. Przy świetle księżycy też nie wyglądał źle.

Alma May nie pracowała z alfonsem. Nie potrzebowała go – była znana w mieście. Miała stałych klientów. Powiedziała mi kiedyś, że wszyscy są bezpieczni. Jakaś jedna trzecia z nich to biali goście z lepszej części Tyler Town. Poza nimi miała martwą matkę i ojca uciekiniera, no i jeszcze brata; miał na imię Tootie i lubił się włóczyć, grać bluesa i chlać. Ciągłe mu czegoś było trzeba, a Almie May – choć miała własne demony – zawsze udawało się dopilnować, żeby to dostał.

To był kolejny powód, dla którego musieliśmy zerwać. Choć ten jej brat nie był już gówniarzem, wciąż mieszkał z matką i pozwalał jej się oporządzać. Kiedy mamuśka zmarła, posypał się. Alma May zajęła jej miejsce, dostarczając mu whisky i bułki. Kupiła mu nawet gitarę. Żył z pieniędzy, które zarabiała na kurwieniu się, i wcale a wcale mu to nie przeszkadzało. Nie lubiłem go. Ale jedno powiem: ten chłopak potrafił grać bluesa.

Kiedy weszliśmy do jej domu, wysunęła z włosów szpilkę przytrzymującą kapelusz i rzuciła go na krzesło.

– Chcesz drinka? – zapytała.

– Nie mówię nie, tylko żeby nie był za słaby i pamiętaj, żeby nie wlać go do brudnej szklanki.

Uśmiechnęła się. Patrzyłem od drzwi salonu, jak idzie wyciągnąć butelkę spod kuchennego zlewu. Schylając się, pokazała mi, jak ciasno ta sukienka opina jej tyłek. Wzięła szklanki z szafki, nalała whisky i podała mi moją. Upiliśmy łyk, wciąż oparci o framugę drzwi między salonem a kuchnią. W końcu przeszliśmy na kanapę. Usiadła na drugim jej końcu, żebym pamiętał, po co tu jesteśmy.

– Chodzi o Tootiego – powiedziała.

Wychyliłem whisky do dna i odparłem:

– Spadam stąd.

Kiedy ją mijalem, złapała mnie za rękę.

– Nie bądź taki, skarbie.

– Teraz jestem skarbem?

– Wysłuchaj mnie, kochanie. Proszę. Nie jesteś mi nic winien, ale możesz udąć, że tak jest?

– Do diabła – rzuciłem i usiadłem z powrotem.

Przesunęła się nieco i powiedziała:

– Chcę, żebyś mnie posłuchał.

– Dobra.

– Po pierwsze, nie mogę ci zapłacić. Chyba że pracą.

– Nie w taki sposób – stwierdziłem. – Jeśli to zrobimy, ty i ja, to nie jako pracę. Niech to będzie przysługa.

Od czasu do czasu bawię się w detektywa dla ludzi, których znam, którym ktoś mnie polecił. Nie mam

licencji. W tym mieście nikt czarny nie dostałby licencji choćby na sranie potłuczonym szkłem. Ale byłem dość dobry w tym, co robiłem. Nauczyłem się tego na własnych doświadczeniach. Nie wszystko było też legalne. Chyba jestem prywatnym detektywem, tyle że naprawdę prywatnym. Jestem tak prywatny, że aż potajemny.

– Najlepiej byłoby, gdybyś posłuchał tego – powiedziała. – Nie będę musiała tyle wyjaśniać.

Na stoliku pod oknem był mały gramofon i sterta płyt. Podeszła do niego, uniosła wieko i włączyła. Płyta, którą chciała puścić, już leżała w środku. Uniosła ramię, ułożyła igłę w odpowiednim miejscu, cofnęła się i spojrzała na mnie.

Ależ ona była śliczna. Patrzyłem na nią i myślałem, że może powinienem być z nią zostać, z bratem czy bez brata. Wyglądała jak z obrazka.

A potem rozległa się muzyka.

*

To był głos Tootiego. Od razu poznałem. Słyszałem go nieraz. Tak jak mówiłem, facet był z niego taki sobie – zrobiłby wszystko, żeby tylko leżeć i grać na gitarze, przesuwając scyzorykiem po strunach, żeby zakwiczały właśnie tak, jak chciał – ale w bluesie był dobry. To mu trzeba było oddać.

W jego wysokim głosie brzmiała samotność, a grał na tej gitarze tak, że trudno było sobie wyobrazić, jakim

sposobem wydobywa z niej takie dźwięki.

– Przyjechałem tutaj, żeby słuchać płyt? – zapytałem.

Pokręciła głową. Podniosła igłę, zatrzymała płytę i zdjęła ją z talerza. Wyciągnęła inną z papierowej okładki, włożyła ją na miejsce pierwszej i opuściła igłę.

– Teraz posłuchaj tego.

W pierwszej chwili rozpoznałem muzykę Tootiego, ale potem melodia się jakoś zmieniła i zrobiła tak dziwna, że włosy na karku stanęły mi dęba. A później Tootie zaczął śpiewać i stanęły mi dęba włosy na grzbietach dłoni i ramionach. Powietrze w pokoju zrobiło się gęste, światła przygasły, a cienie wyczołgały się z kątów i usiadły obok mnie na kanapie. Nie żartuję. W pokoju zrobiło się ich nagle pełno, a ja słyszałem coś jakby ptaka uwięzionego pod sufitem, trzepoczącego szybko i mocno skrzydłami w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Muzyka znowu się zmieniła i poczułem się, jakby ktoś mnie wrzucił do studni, głębokiej, a te cienie otoczyły mnie jak brudna woda. W pokoju zaczęło strasznie śmierdzieć. Gitara nie brzmiała już jak gitara, a głos Tootiego nie brzmiał już jak głos. To było tak, jakby ktoś przeciągał brzytwą po betonie, próbując jodłować z gardłem pełnym odłamków szkła. W tej muzyce coś było, coś, co mlaskało, przemykało się, trąbiło i szalało, coś niepokojącego, jak wąż w atlasowej rękawiczce.

– Wyłącz to – powiedziałem.

Ale Alma May już to zrobiła.

– Nigdy nie posłuchałam jej dalej. Ledwie udaje mi

się ją wyłączyć. Mam wrażenie, że im dłużej ta muzyka gra, tym robi się potężniejsza. Nie chcę słyszeć reszty nagrania. Nie wiem, czybym to zniosła. Jak to możliwe, Richard? Jak to możliwe, że robią to same dźwięki?

Mnie się zrobiło aż słabo, jakbym dopiero co wyszedł z grypy i ktoś skopał mi tyłek.

– Potężniejsza? Co masz na myśli? – zapytałem.

– Nie sądzisz? Nie słyszałeś tego? Że robi się silniejsza?

– Tak. – Pokiwałem głową.

– A pokój...

– Cienie? Nie przywidziało mi się to?

– Nie – odparła. – Tylko że ilekroć jej słucham, jest nieco inna. Nuty robią się mroczniejsze, dźwięki gitary szarpią coś we mnie i za każdym razem to coś innego, coś głębszego. Nie wiem, czy czuję się od tego dobrze czy źle, ale na pewno dużo czuję.

– No – powiedziałem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Tootie przysłał mi tę płytę. Dołączył notkę: „Zagraj to, kiedy będziesz musiała”. Tak było na niej napisane. Nic więcej. Co to znaczy?

– Nie wiem, ale ciekaw jestem, dlaczego Tootie w ogóle ci ją przysłał. Dlaczego chciałby, żebyś posłuchała czegoś, od czego człowiekowi prawie się robi niedobrze...? I jak, u diabła, to zrobił, to znaczy, jak zagrał takie dźwięki?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Któregoś dnia odtworzę ją do końca.

– Nie robiłbym tego – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Sama słyszałaś. Myślę, że dalej robi się tylko gorzej. Nie rozumiem tego, ale wiem, że mi się to nie podoba.

– No. – Wsunęła płytę z powrotem do papierowego opakowania. – Wiem. To takie dziwne. Nigdy w życiu niczego podobnego nie słyszałam.

– I niczego takiego już więcej nie chcę usłyszeć.

– Ale człowiek robi się ciekawy.

– Ciekaw jestem wciąż tego samego. Dlaczego przysłał ci to gówno?

– Myślę, że jest z tego dumny. Nie ma niczego takiego na świecie. To... oryginalne.

– To na pewno – powiedziałem. – Czego chcesz ode mnie?

– Chcę, żebyś odnalazł Tootiego.

– Dlaczego?

– Bo myślę, że jest z nim niedobrze. Myślę, że potrzebuje pomocy. Wiesz, to... Kiedy to słyszę, wydaje mi się, że jest gdzieś, gdzie nie powinien być.

– A jednak chcesz odtworzyć tę płytę do końca – powiedziałem.

– Wiem tylko, że mi się to nie podoba. Nie podoba mi się, że Tootie ma z tym coś wspólnego, a ja nie wiem czemu. Richard, chcę, żebyś go znalazł.

– Skąd przysłano płytę?

Przyniosła mi opakowanie. Przez okrągły otwór widziałem miejsce, gdzie powinna być naklejona etykieta. Zobaczyłem tylko gołą płytę. Samo opakowanie wyglądało jak zrobione z papieru, w jaki owija się mięso. Było zaplamione.

– Myślę, że zapłacił gdzieś, żeby pozwolili mu to nagrać – powiedziałem. – Pytanie, gdzie. Masz adres, z którego to przyszło?

– Mam. – Poszła gdzieś i wróciła ze sporą brązową kopertą. – Przysłał to w tej kopercie.

Spojrzałem na adres zwrotny: hotel Champion. Pokazała mi notkę napisaną na naprawdę tanim papierze listowym z nagłówkiem z nazwą hotelu, numerem telefonu i adresem w Dallas. Papier wyglądał na stary i wyblakły od słońca.

– Dzwoniłam tam – powiedziała – ale niczego o nim nie wiedzieli. Nigdy o nim tam nie słyszeli. Mogłabym pojechać sama, ale... trochę się boję. Poza tym, wiesz, mam klientów i raty za dom do zapłacenia.

Nie miałem ochoty o tym słuchać, bo wiedziałem, jakich klientów ma na myśli i jak będzie zarabiała te pieniądze.

– No dobra. Co mam zrobić?

– Znajdź go.

– I co potem?

– Sprowadź go do domu.

– A jeśli nie będzie chciał wracać?

– Widziałam cię przy pracy. Przywieź go do domu.

Tylko nie strać panowania nad sobą.

Obracałem płytę w dłoniach.

– Pojadę się rozejrzeć. Więcej nie obiecuję. Będzie chciał wracać, to go przywiozę. Jak nie będzie chciał, to może nabiorę ochoty, żeby złamać mu nogę, i wtedy go przywiozę. Wiesz, że go nie lubię – powiedziałem.

– Wiem. Ale nie rób mu krzywdy.

– Jeśli pójdzie z własnej woli, nie zrobię. A jeśli nie, pozwolę mu zostać na miejscu, wrócę i powiem ci, gdzie jest i jak się ma. Co ty na to?

– Niech będzie – powiedziała. – Dowiedz się, co jest grane. Boję się, Richard.

– To tylko złe dźwięki – stwierdziłem. – Tootie pewnie czegoś się naćpał, zanim to nagrał, uznał, że to świetne, i wysłał tobie, bo był przekonany, że to najbardziej klawa muzyka od czasu Roberta Johnsona.

– Kogo?

– Nieważne. Ale sądzę, że kiedy już doszedł do siebie, pewnie nie pamiętał nawet, że to wysłał.

– Nie próbuj mi wmówić, że kiedykolwiek słyszałeś coś podobnego. Że słuchając tego, nie miałeś wrażenia, że skóra ci się zaraz ześlizgnie z kości. Że nie miałeś ochoty zanurzyć się w ciemności i nauczyć się ją lubić. Powiedz, że tak nie było. Powiedz, że to nie jest jak wyjście na ulicę tuż pod samochód, że nie jest jak jego światła w twoich oczach, powiedz, że nie miałeś ochoty wyjść przed jego maskę, choć bałeś się tego jak cholera, choć wiedziałeś, że za kierownicą siedzi diabeł albo coś jeszcze gorszego.

Powiedz mi, że nie czułeś nic takiego.

Nie mogłem. Nie powiedziałem więc nic. Siedziałem tylko na kanapie i się pocilem, wciąż wstrząśnięty wspomnieniem tej muzyki, która zagotowała we mnie krew.

– Jedna rzecz – odezwałem się. – Zrobię to, ale musisz mi dać zdjęcie Tootiego, jeśli jakieś masz, i tę płytę, żebyś jej więcej nie grała.

Przyglądała mi się chwilę.

– Nienawidzę jej – wskazała głową płytę, którą trzymałem – ale jakoś jestem do niej przywiązana. Jakby pozbycie się jej było pozbyciem się części mnie.

– Takie są moje warunki.

– Dobrze – powiedziała. – Weź ją, ale już.

*

Jechałem sam chevym pod wysokim, jasnym księżycem i nie potrafiłem myśleć o niczym poza tą muzyką, albo czymkolwiek był ten dźwięk. Wbił mi się w głowę jak siekiera. Na siedzeniu obok mnie leżały płyta, notka Tootiego, koperta i zdjęcie, które dała mi Alma May.

Po części miałem ochotę wrócić do niej i powiedzieć nie, nieważne. Niech zabiera płytę z powrotem. Ale inna część mnie, ta głupia, chciała wiedzieć, gdzie, jak i po co powstała ta płyta. Ta cholerna ciekawość nigdy nie odpuszcza.

Mieszkam na trzecim piętrze bez windy.

Rozchwierutane schody znajdują się na zewnątrz budynku i zatrzymują się na każdym poziomie. Ja mieszkam na samej górze.

Po drodze na górę próbowałem nie opierać się za bardzo o poręcz, bo trzymała się na słowo honoru. Otworzyłem drzwi, włączyłem światło i patrzyłem, jak karaluchy uciekają do kryjówek.

Odłożyłem płytę, wyciągnąłem zimne piwo z lodówki. A właściwie to była chłodziarka, taka na prąd. Ale za mojego dzieciństwa wszędzie były lodówki i trudno było mi się przestawić. Znowu wziąłem płytę do ręki i usiadłem w moim starym fotelu, z którego wyściółka wyłaziła jak bawełna z rozprutego worka.

Ponownie przyjrzałem się brudnej brązowej okładce, a potem zauważyłem, że rowki są ciemne i czymś ubrudzone, jakby coś się na nie wylało i zaschło. Próbowałem ustalić, czy to mogło mieć coś wspólnego z tamtymi szalonymi dźwiękami. Czy brud w rowkach mógł spowodować taki hałas? Nie wydawało mi się to prawdopodobne.

Chciałem nastawić płytę, posłuchać jej jeszcze raz, ale nie dałem rady. Od samego trzymania jej robiło mi się nieswojo. Czułem się tak, jakbym trzymał bombę i czekał, aż wybuchnie.

Wcześniej myślałem o tej płycie jak o wężu. Almie May przywiodła na myśl rozpędzony samochód z diabłem za kierownicą. A teraz skojarzyła mi się z bombą. Sporo uczuć jak na jeden poznaczony rowkami krążek wosku.

*

Następnego ranka z czterdziestkąpiątką w schowku na rękawiczki, brzytwą w kieszeni marynarki i płytą na siedzeniu obok mnie ruszyłem w stronę Dallas i hotelu Champion.

Dotarłem do miasta koło południa, zatrzymałem się przy barze dla kolorowych na obrzeżach i wszedłem do środka. Duża, gruba lala, która miała ładną buzię i naprawdę fajnie pachniała, zrobiła mi hamburgera. Potem przysiadła się do mnie i flirtowała ze mną, kiedy jadłem. To było w porządku. Lubię kobiety i lubię, jak flirtują. Gdyby przestały to robić, równie dobrze mógłbym ułożyć się na ziemi i umrzeć.

Kiedy ześmy tak flirtowali, zapytałem ją, czy wie, gdzie jest hotel Champion. Miałem oczywiście numer budynku, ale potrzebowałem dokładniejszych wskazówek.

– Och, tak, kotku, wiem, ale lepiej się tam nie zatrzymuj. Jest głęboko w części miasta dla kolorowych, i to nie tej lepszej, mówię ci, i nie ma znaczenia, że sam jesteś brązowy jak orzeszek. Typy stamtąd wbiją ci nóż, wleją twoją krew do kubka, zmieszają ją z whisky i wypiją. Za ładniusi jesteś, żeby cię pocięli. Na drugim końcu tamtej części są znacznie lepsze hotele.

Pozwoliłem jej podać kilka nazw, jakbym faktycznie zamierzał zatrzymać się gdzie indziej, ale dostałem adres hotelu Champion, zapłaciłem, zostawiłem jej spory napiwek i wyszedłem.

Okolica hotelu była dokładnie tak podła, jak mówiła ta kobieta. Ludzie wystawali na ulicach i wychylali się zza rogów, a wszędzie wałały się śmieci. Nie było to raczej miejsce, które mogło wzbudzać dumę.

Znalazłem hotel Champion i zaparkowałem przed nim. Na ulicy dwóch typków przyglądało się mojemu samochodowi. Jeden był chudy, drugi gruby. Byli wystrojeni w eleganckie kapelusze i buty, jakby mieli pracę. Ale gdyby ją mieli, nie obijaliby się w środku dnia, wlepiając gały w mojego chevy'ego.

Wyciągnąłem czterdziestkępiątkę ze schowka i wsunąłem ją za pasek na plecach. Marynarka przykryje ją jak należy.

Wysiadłem i zerknąłem na hotel. Był niebrzydki, jeśli się było ślepym na jedno oko i niewidomym na drugie.

Nie było odźwiernego, a drzwi wisiały na jednym zawiasie. W środku zobaczyłem zakurzone schody po lewej i odrapane drzwi po prawej.

Przede mną stało biurko. Przytwierdzona do niego była szyba, która sięgała sufitu. Nad blatem był w niej mały otwór zasłonięty drewnianą blokadą. Na szkle widać było ślady po muchach, a za szybą na stołku, niczym żaba na liściu, siedział jakiś facet. Był gruby i kolorowy, a we włosach miał niebieską włóczkę. Nie wyglądało to na ozdobę. Po prostu był paskudnym sukinsynem.

Kiedy odsunął blokadę, poczułem zapach potu, brudnej bielizny i gnijących zębów. Gdzieś z tyłu napływały stęchłe kuchenne wonie gotowanych świńskich

nózek i ogonów, które może i były świeże, kiedy świnia je straciła, ale teraz został już tylko zjełczały smród. Czuć było też kocimi sikami.

– Hej, człowieku, szukam kogoś – powiedziałem.

– Jak chcesz kobiety, musisz przywieźć własną – odparł. – Ale mogę ci podać numer albo dwa. Oczywiście nie gwarantuję, że będą czyste.

– Nie, szukam kogoś, kto się tu zatrzymał. Nazywa się Tootie Johnson.

– Nie znam żadnego Tootiego Johnsona.

Alma May usłyszała tę samą historyjkę.

– No dobra, znasz tego gościa? – Wyciągnąłem zdjęcie i przycisnąłem je do szyby.

– Może i wygląda jak ktoś, kto wynajął tu pokój. Nie zapisujemy tu raczej nazwisk i nie wymieniamy się nimi.

– Nie? Takie eleganckie miejsce.

– Powiedziałem, że może wygląda jak ktoś, kogo tu widziałem – rzekł. – Nie powiedziałem, że to na pewno on.

– Węszysz za mamoną?

– Węszenie jest niezbyt pewne – odparł.

Westchnąłem i schowałem zdjęcie do kieszeni marynarki, a potem wyciągnąłem z portfela banknot pięciodolarowy.

Wyglądało na to, że Ropuch uważa się za jakąś szychę.

– Tylko tyle? Pięć dolarów za cenne informacje?

Powoli i ostentacyjnie schowałem piątkę do portfela.

– To nic nie dostaniesz – powiedziałem.

Odchylił się na stołku, splótł krótkie palce i oparł je na okrągłym brzuchu.

– To ty też nic nie dostaniesz, dupku.

Podszedłem do drzwi po prawej i przekręciłem gałkę. Zamknięte. Cofnąłem się i kopnąłem je tak mocno, że poczułem siłę uderzenia aż na czubku głowy. Drzwi wyleciały z zawiasów i gruchnęły o ścianę z hukiem, który brzmiał jak wystrzał z pistoletu.

Wszedłem do środka, chwyciłem Ropucha za koszulę i dałem mu w twarz tak mocno, że spadł ze stołka. Kopnąłem go w nogę i krzyknął. Walnąłem go w pierś stołkiem, który potem wrzuciłem do korytarza prowadzącego do kuchni. Usłyszałem jakiś trzask i wrzask kota.

– Łatwo się wkurzam – powiedziałem.

– Psiakrew, widzę – odparł i podniósł rękę w obronnym geście. – Spokojnie, człowieku. Krzywdę mi zrobiłeś.

– O to chodziło.

Spojrzał na mnie tak, że zrobiło mi się go żal. Poczuję się jak dupek. Ale to nie powstrzymałoby mnie przed walnięciem go znowu, gdyby nie odpowiedział na moje pytanie. Kiedy jestem zdenerwowany, tracę rozsądek.

– Gdzie on jest?

– Dostanę te pięć dolców?

– Nie. Teraz dostaniesz moją dobrą wolę. Chcesz ją

stracić?

– Nie, nie chcę.

– To nie próbuj mnie wykiwać. Gdzie on jest, ty ropucho?

– W pokoju pięćdziesiąt dwa, na piątym piętrze.

– Zapasowy klucz?

Wskazał głową całą ich półkę. Klucze wisiały na gwoździach, a do każdego dołączony był drewniany wisiorek z namalowanym numerem. Znalazłem ten właściwy i zdjąłem go z gwoźdźca.

– Lepiej, żebyś mnie nie nabierał – ostrzegłem.

– Nie nabieram. Jest tam. W ogóle nie schodzi na dół. Ślęczy tam od tygodnia. Robi jakiś hałas. Nie podoba mi się to. Prowadzę przyzwoity biznes.

– No, naprawdę tu ładnie. Lepiej, żebyś nie kręcił.

– Nie kręcę. Przyrzekam.

– Dobra. Dam ci jeszcze radę: wykąp się. Wyciągnij to gówno z włosów. Te twoje zęby też nie wyglądają najlepiej. Wyrwij je. I zastrzel tego pieprzonego kota albo przynajmniej znajdź mu lepsze miejsce do sikania niż kuchnia. Śmierdzi tu jak w kiblu.

Wyszedłem z biurka, wróciłem na korytarz i wbiegłem po schodach.

*

Szybkim krokiem przeciąłem korytarz na piątym piętrze. Podłoga była pokryta białym linoleum w złoty wzór, które skrzypiało mi pod stopami. Na końcu

korytarza było okno, a zaraz obok drugie schody. Naprzeciwko nich znajdował się pokój Tootiego.

Usłyszałem jakieś ruchy na schodach. Domyśliłem się, co jest grane. Mniej więcej wtedy u góry schodów pojawili się dwaj chłopcy, których wcześniej widziałem na ulicy, wystrojeni w swoje eleganckie kapelusze i tak dalej. Szczęrzyli zęby.

Jeden z nich był mniej więcej rozmiaru cadillaca i miał błyszczący złoty ząb. Gość, który szedł za nim, był chudy i trzymał rękę w kieszeni.

– No proszę, toż to oddział alfonsów.

– Zabawny jesteś, czarnuchu – powiedział ten duży.

– No cóż, cieszcie się, że zdążyliście na mój występ.

Niedługo zmieniam lokal.

– Akurat – odparł.

– Ten grubas za szybą na dole nie płaci wam wystarczająco dużo, żebyście ze mną zadzierali – powiedziałem.

– Czasami, jak się nudzimy, lubimy po prostu z kimś pozadzierać.

– Czyżby?

– No – wtrącił się ten chudy.

To wtedy zobaczyłem, że chudzielec wyciągnął z kieszeni brzytwę. Ja też miałem jedną sztukę, ale praca z brzytwami jest paskudna. Jeszcze swojej nie otworzył.

Ten duży ze złotym zębem zacisnął palce w pięści. Pomyślałem sobie wtedy, że nie ma gnata ani brzytwy; a może po prostu lubił bić ludzi. Ja na pewno lubiłem.

Ruszyli w moją stronę, a ten chudy otworzył brzytwę. Wyciągnąłem czterdziestkępiątkę spod marynarki i powiedziałem:

– Powinieneś schować ją do kieszeni i oszczędzić na golenie.

– Och, właśnie zaraz będę golił – powiedział.

Wycelowałem w niego broń.

– To jeden pistolet na dwóch – stwierdził ten gruby.

– Prawda – powiedziałem – ale jestem bardzo szybki. Tak szczerze, to wiem, że jeden z was skończy jako trup. Tylko pewien jeszcze nie jestem, który.

– No dobra – rzekł grubas z uśmiechem. – Wystarczy.

– Obejrzał się na chudego z brzytwą. Chudy schował ją do kieszeni, odwrócili się i zaczęli schodzić po schodach.

Podszedłem bliżej klatki i nadstawiłem ucha. Słysząc było, że schodzą, ale nagle zatrzymali się w pół drogi. Tak jak myślałem.

Potem usłyszałem, że ci idioci wbiegają z powrotem na górę. Nie byli tak podstępni, jak im się wydawało. Grubas pierwszy wypadł z klatki schodowej na korytarz. Uderzyłem go rękojeścią pistoletu w tył głowy, tam gdzie kończy się czaszka. Tak jakby kicnął, poleciał na drugą stronę korytarza, uderzył głową o ścianę, a następnie przewrócił się i padł na podłogę, jak gdyby od początku zamierzał podskoczyć i uciąć sobie drzemkę.

Wtedy pojawił się ten drugi, z brzytwą w ręce. Otworzył ją i zauważył pistolet w mojej dłoni.

– Myślałeś, że ta spluwa zniknie? – zapytałem. –

Pojedzie na wakacje? – Kopnąłem go w jaja na tyle mocno, że upuścił brzytwę i padł na kolana. Schowałem pistolet na miejsce. – Chcesz w mordę, człowieku?

Wstał i ruszył na mnie. Dowaliłem mu prawego sierpowego, aż wypadł przez okno, które było tuż za nim. Po całym korytarzu rozprysnęło się szkło.

Podszedłem bliżej i spojrzałem w dół. Leżał na schodach przeciwpożarowych i widać było, że jego głowa ledwo co minęła poręcz. Popatrzył prosto na mnie.

– Ty rąbnięty sukinsynu. A gdyby tu nie było schodów przeciwpożarowych?

– Twój tyłek wprasowałby się w bruk. Jeszcze jest na to szansa.

Pozbierał się szybko i zbiegł po schodach jak wiewiórka. Obserwowałem go, aż zszedł na ziemię i pokuśtykał w dal uliczką, mijając przewrócone kosze na śmieci i przemykającego się obok psa.

Podniosłem jego brzytwę i wsunąłem do kieszeni obok swojej, po czym podszedłem do grubasa i kopnąłem go w głowę, bo mogłem.

*

Zapukałem do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Ze środka napływały jakieś dźwięki. Były podobne do tego, co słyszałem na tej płycie, ale nie identyczne i słabe, jakby dobiegały z daleka.

Nie było reakcji na moje pukanie, więc wsunąłem klucz do dziurki, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

Prawie zapało mi dech.

W pokoju było duszno i śmierdziało pleśnią, zgnilizną oraz rzeczami, które od dawna nie żyły. W porównaniu z tym gotowane świńskie nóżki, sikający kot i ten drań ze zgniłymi zębami z dołu pachniały jak perfumy.

Tootie leżał na wznak na łóżku. Miał zamknięte oczy. Zazwyczaj ubierał się jak spod igły, złotko, ale teraz jego koszula była pomięta, brudna i przepocona przy szyi i pod pachami. Spodnie też wyglądały paskudnie. Miał na sobie buty, ale nie miał skarpetek. Wyglądał, jakby ktoś go podpalił, a potem zgasił płomienie uderzeniami deski. Tak schudł, że jego twarz przypominała czaszkę, a pod ubraniem był kościsty jak szkielet.

Na prześcieradle pod jego dłońmi zobaczyłem plamy krwi. Obok łóżka leżała gitara, a po podłodze porozrzucone były całe sterty notatników. Niektóre były otwarte i zapisane. Do diabła, nie wiedziałem nawet, że Tootie potrafi pisać.

Ściana po drugiej stronie pokoju była poznaczona czerwoną i czarną farbą; namalowane na niej były najróżniejsze nuty i symbole, których nigdy wcześniej nie widziałem: zygzaki, kółka i proste ludzkie sylwetki. Na ścianie była też krew, najpewniej z poranionych palców Tootiego. Na podłodze stały dwie otwarte puszki z farbą, czerwoną i czarną, i tkwiły w nich pędzle. Porozlewana farba zaschła w pokrytych pęcherzami kałużach. Na gitarze widać było ślady krwi.

Z podłączonego do prądu gramofonu na szafce nocnej dobiegała ta dziwna muzyka. Od razu podszedłem do niego, podniosłem igłę i ją odsunąłem. I powiem wam, samo przejście przez pokój do gramofonu było jak brodzenie w błocie ze związanymi kostkami. Wydawało mi się, że im bliżej jestem płyty, tym głośniejsza jest muzyka i tym bardziej niedobrze mi się robi. Pękała mi głowa. Waliło mi serce.

Kiedy podniosłem już igłę i muzyka ucichła, nachyliłem się nad Tootiem i go dotknąłem. Nie ruszył się, ale widziałem, że jego pierś unosi się i opada. Jeśli nie liczyć jego dłoni, nie wyglądało na to, żeby był ranny. Spał mocno. Uniosłem jego prawą dłoń, obróciłem ją i przyjrzałem się dokładnie. Opuszki palców były pozacinane, jakby brzytwą. Od razu się domyśliłem, że to od gry na gitarze. Przyszło mi do głowy, że musiał nieźle przyciskać struny, żeby wydobyć z gitary dźwięki, które z niej wydobył. Sądząc po stanie pokoju, przestał dopiero niedawno.

Potrząsnąłem nim. Zamrugał kilka razy i w końcu otworzył oczy. Były przekrwione i podkrążone.

Kiedy mnie zobaczył, wystraszył się, a oczy uciekły mu w tył głowy jak w tej zabawce dla dzieci, w której trzeba trafić kulkami do dziurek. Po chwili znów spojrzał na mnie przytomnie i zapytał:

– Ricky?

Kolejny powód, dla którego go nie znosiłem. Nie lubiłem, jak ktoś mówił na mnie „Ricky”.

– Cześć, gówniarzu. Twoja siostra się o ciebie martwi
– powiedziałem.

– Muzyka – odparł. – Włącz z powrotem muzykę.

– Nazywasz to muzyką? – zapytałem.

Nabrał głęboko tchu i stoczył się z łóżka, prawie mnie z niego zrzucając. Potem zobaczyłem, że się wzdryga, jakby zobaczył, że jedzie na niego ciężarówka. Odwróciłem się i pożałowałem, że to nie ciężarówka.

*

Niech no spróbuję opowiedzieć, co zobaczyłem. Nie tylko to zobaczyłem, ale też poczułem. To było w powietrzu, którym oddychaliśmy, to wpychało się w moją pierś jak myszy owinięte drutem kolczastym. Ściana, na której Tootie namalował i narysował wszystkie te bzdury, się zatrzęsała.

A potem przestała w ogóle być ścianą. Stała się długim korytarzem, ciemnym jak grzech pierworodny. Coś się w nim ruszało, coś pełzało, prześlizgiwało się i wydawało mlaskające odgłosy jak roztrzęsiony stary pijak, który właśnie miał znów się napić. Pojawiły się gwiazdy, tłuste gwiazdy, które nie przypominały mi niczego, co widziałem na nocnym niebie. W tle wisiał księżyc koloru krwawiącego rybiego oka. Rzucił światło na coś, co zbliżało się do nas.

– Jezu Chryste – powiedziałem.

– Nie – rzekł Tootie. – To nie on.

Tootie przyskoczył do gramofonu, podniósł igłę i

położył ją na płycie. Rozległ się ten podły dźwięk, który usłyszałem u Almy May, i zrozumiałem, że to, co rozlegało się, kiedy wszedłem do pokoju, było końcówką tego samego nagrania, tą, do której wcześniej nie dotarłem.

Muzyka piszczała i wyła. Zgiąłem się wpół i puściłem pawia. Upadłem na łóżko, po czym spróbowałem się podnieść, ale nogi miałem jak z gumy. Ta płyta odebrała mi całą energię. A potem to zobaczyłem.

Żaden opis tego nie odda. To było... coś. Było całe spowite w cień i miało usta z przyssawkami, wierzgające macki i odnóża jak stonoga, ale ze stukającymi kopytami. Była też bulwiasta głowa oblepiona toczącymi dookoła czerwonymi i żółtymi ślepiami. Wszędzie przy tym czymś wirowały jak woda cienie. To coś miało dziób. A właściwie dzioby.

To coś wychodziło ze ściany. Macki pomknęły w moją stronę. Jedna dotknęła mojego policzka – jakby oparzył mnie gorący tłuszcz. Od tej istoty odłączył się cień, padł na podłogę, zrobił się czerwony i pociekł po deskach niczym struga krwi. W tym krwawiącym cieniu wiły się owady i czerwie, a muzyka wzbiła się na nutę tak głośną i tak piekielnie dziwną, że zazgrzytałem zębami. Miałem wrażenie, że ktoś wykręca moje bebechy jak mokrą szmatę. A potem zemdlałem.

*

Kiedy się ocknąłem, muzyka wciąż grała. Tootie pochylał się nade mną.

– Ten dźwięk – wymamrotałem.

– Można się do niego przyzwyczaić – powiedział Tootie – ale to coś tego nie potrafi. A może jeszcze nie potrafi.

Spojrzałem na ścianę. Korytarz zniknął. Widać było tylko tapetę pokrytą wzorami i plamami krwi.

– A jeśli muzyka się urwie? – zapytałem.

– Zasnę – rzekł Tootie. – Muzyka się skończy, a to coś znów przyjdzie.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. W końcu podniosłem się i usiadłem na łóżku. Dotknąłem policzka, gdzie trafiła mnie macka. Pulsował z bólu i czułem pod palcami pęcherze. Miałem też guza na głowie po upadku na podłogę.

– Prawie cię dopadło – ciągnął Tootie. – Myślę, że możesz stąd wyjść i nie będzie cię gonić. Ja nie mogę. Jak wyjdę, to pójdzie za mną. W końcu mnie znajdzie. Pewnie równie dobrze mogę być tutaj jak gdzie indziej.

Patrzyłem na niego i słuchałem, ale nie rozumiałem ani jednego cholernego słowa.

Płyta się skończyła. Tootie nastawił ją na nowo. Spojrzałem na ścianę. Nawet ta jedna cicha chwila mnie przestraszyła. Nie chciałem już nigdy widzieć tego czegoś. Nie chciałem nawet o tym myśleć.

– Nie spałem od wielu dni – powiedział Tootie i usiadł na łóżku. – Gdybyś nie przyszedł, to by mnie

dopadło, porwało mnie, zabrało mi duszę. Ale ty możesz odejść. To moja sprawa, nie twoja... Ja zawsze wpadnę w jakieś gówno, co nie, Ricky?

– No, to prawda.

– Ale tym razem to na serio. Muszę się postawić i choć raz być mężczyzną. Muszę walczyć z tym czymś i mam do tego tylko muzykę. Tak jak mówiłem, możesz odejść.

Pokręciłem głową.

– Przysłała mnie Alma May. Powiedziałem, że przywiozę cię z powrotem.

Z kolei to Tootie pokręcił głową.

– Nie. Nie jadę. Nic tylko mieszam siostrze w życiu. Nie zrobię tego.

– Pierwsze odpowiedzialne słowa, które od ciebie słyszę – oznajmiłem.

– Jedź. Zostaw mnie z tym. Poradzę sobie.

– Jak nie umrzesz z głodu i nie zemdlejesz z braku snu albo z pragnienia, wszystko będzie cacy.

Tootie uśmiechnął się do mnie.

– Taa. Tylko o to się muszę martwić. Mam nadzieję, że umrę właśnie z jednego z tych powodów. Bo jeśli przyjdzie po mnie to coś... No, nie chcę o tym myśleć.

– Pilnuj płyty. Przyniosę coś do jedzenia i picia, kawę. Myślisz, że wytrzymasz bez snu jakieś pół godziny?

– Tak. Ale wrócisz?

– Wrócę – obiecałem.

Na korytarzu okazało się, że grubas zniknął. Zszedłem po schodach.

*

Zanim wróciłem, Tootie zdążył posprzątać rzygi. Przeglądał notatniki. Siedział na podłodze i był nimi cały obstawiony. Gramofon miał pod ręką. Od czasu do czasu sięgał do niego i na nowo włączał muzykę.

Kiedy tylko znalazłem się z powrotem w pokoju i otuliły mnie dźwięki z płyty, zrobiło mi się niedobrze. Wcześniej poszedłem do garkuchni na tej samej ulicy i zmieniłem flaka. Najpewniej oponę przebił jeden z tych chłopaków, którym przyłożyłem. Stawiałem na tego pieprzonego szczęściarza, który spadł na schody przeciwpożarowe.

Poza tym na drzwiach po stronie pasażera widać było kilka długich rys, a przednią szybę ktoś stłukł. Po wyjściu z jadłodajni zaparkowałem zdemolowany samochód za hotelem, ulicę dalej, i wróciłem piechotą. Wyglądał już tak źle, że może nikt nie zechce go ukraść.

Postawiłem jedną z papierowych toreb na podłodze koło Tootiego.

– Oba hamburgery są dla ciebie – powiedziałem. – Mam tu dla nas kawę.

Wyjąłem z następnej torby wysoki kartonowy pojemnik z kawą i podałem mu go. Z drugim usiadłem na łóżku. Przy tym zapachu i dźwiękach w pokoju nic nie smakowało dobrze. Ale Tootie jadł jak oszalały.

Pochłonał te hamburgery i kawę, jakby umierał z głodu.

Kiedy skończył drugiego hamburgera, nastawił na nowo płytę i oparł się plecami o łóżko.

– Z kawą czy bez niej nie wiem, ile wytrzymam bez snu – powiedział.

– Czyli musisz pilnować, żeby muzyka nie przestała grać? – zapytałem.

– Tak.

– Połóż no się, prześpij kilka godzin. Będę pilnował płyty. Jak wypoczniesz, musisz mi to wszystko wytłumaczyć, a potem coś wymyślimy.

– Nie ma co wymyślać – rzekł. – Ale na Boga, chętnie się prześpię.

Wgramolił się do łóżka i natychmiast zasnął.

Włączyłem płytę od początku. Potem wstałem, rozwiązałem mu buty i je ściągnąłem. Do diabła, czy go lubiłem czy nie, był bratem Almy May. A poza tym nie życzylibym spotkania z tym czymś za ścianą mojemu najgorszemu wrogowi.

*

Usiadłem na podłodze tam, gdzie wcześniej siedział Tootie, i raz po raz włączałem płytę, próbując to wszystko zrozumieć, co nie było proste przy tej muzyce. Czasem wstawałem i spacerowałem po pokoju, a następnie wracałem na podłogę przy gramofonie, żeby mieć do niego blisko.

Przeglądałem notatniki. Były pełne nut

przemieszanych z bazgrołami podobnymi do tych na ścianie. Przy tych ohydnych dźwiękach trudno się było skupić. Jakby powietrze było pełne węży i brzytw. Poczulem, że ta muzyka odpycha coś siedzącego za tamtą ścianą. Poczulem też, że po drugiej stronie coś jest i się opiera.

*

Kiedy Tootie się obudził, było ciemno. Spał dobre dziesięć godzin, a ja byłem wykończony po tym całym pilnowaniu płyty i okropnych dźwiękach. Od przeglądania notatników rozboleła mnie głowa i nie rozumiałem ani trochę więcej niż na początku.

Poszedłem po więcej kawy, wróciłem do pokoju i usiedliśmy na łóżku. Piliśmy, a on od czasu do czasu nastawiał od nowa płytę.

– Jesteś pewny, że nie możesz po prostu stąd odejść?
– zapytałem.

Z jakiegoś powodu unikałem prawdziwego pytania. Czyli: Co to, u diabła, jest i co się dzieje? Może bałem się odpowiedzi.

– Widziałeś to coś. Jasne, mogę odejść. Mogę uciec. Ale dokądkolwiek pójdę, to mnie znajdzie. Więc kiedyś będę musiał się z tym zmierzyć. Niekiedy gram na gitarze to, co jest na płycie, żeby się nie zużyła. Tego się boję najbardziej.

Wskazałem notatniki na podłodze.

– Co to wszystko jest?

– Moje notatki. Zapiski. Przyjechałem tutaj napisać teksty, nowe utwory bluesowe.

– Tam nie ma słów, tam są nuty.

– Wiem – powiedział.

– Ale ty się ich nie uczyłeś. Ty po prostu grasz.

– Z powodu płyty potrafię czytać nuty, potrafię zapisać rzeczy, które rozumiem tylko wtedy, kiedy je zapisuję albo słucham tej muzyki. Wszystkie te symbole to nuty, a pozostałe znaki to nuty innego rodzaju. Oznaczają dźwięki, których nie umiałem zagrać jeszcze kilka dni temu. Nie wiedziałem nawet, że takie dźwięki są możliwe. Ale teraz mam w głowie pełno dźwięków i tych symboli, i wszystkiego innego, i mogę odpocząć tylko wtedy, kiedy je już zapiszę. Namalowałem je na ścianie, bo myślałem, że same te znaki powstrzymają to coś, żebym mógł uciec. Nie podziałało.

– Nic z tego nie kapuję – powiedziałem.

– No dobra – rzekł Tootie. – Spróbuję jak najlepiej wyjaśnić coś, co nie ma wyjaśnienia. Kilku chłopaków, którzy grają bluesa, powiedziało mi, że kiedyś trafili do takiego miejsca na południu miasta, które się nazywało Cross Road Records. To mały sklep z płytami przy skrzyżowaniu. Są tam najróżniejsze rzeczy i pracuje tam taki duży kolorowy facet z szerokim uśmiechem i przekrwionymi oczami. Powiedzieli, że zobaczyli to miejsce, zajrzeli tam i nawet usłyszeli, że z gramofonu na ladzie leci muzyka Roberta Johnsona. Za ladą siedział ten duży facet i zaprosił ich gestem, ale powiedzieli, że im się

nie spodobało, i nie weszli. Ale znasz mnie. Pomyślałem, że to właśnie takie miejsce, do którego chciałbym pójść. No i poszedłem. Jest przy skrzyżowaniu South Street z Way South.

Wchodzę tam i jestem sam w środku. Wszędzie płyty, w pudłach, na stołach. Niektóre mają etykiety, niektóre nie. Rozglądam się, próbuję skapować, jak się w tym połapać, i wtedy podchodzi do mnie ten duży gościu z uśmiechem i zaczyna mówić. Oddech mu śmierdzi jak niewytarty tyłek, a jego skóra wygląda jak czarna skała.

Powiedział: „Wiem, czego szukasz”. Sięgnął do pudła i wyciągnął płytę bez etykiety. Tylko że żadna płyta w tym pudle nie miała naklejki. Myślę sobie, że mnie nabiera, chce mi coś wcisnąć. Szykuję się do wyjścia, bo zaczynam dostawać na jego widok gęziej skórki. Wiesz, rusza się nienaturalnie. Jakby miał coś nie tak ze stopami. Ale i tak chodził, i to szybko. Jakby robił to, kiedy ty mrugasz.

Podchodzi do gramofonu, nastawia tę płytę i to był Robert Johnson. Przysięgam, to był on. Żaden tak nie grał jak on. To był on. Tylko że ja nigdy tej piosenki nie słyszałem, a myślałem, że znam wszystko, co kiedykolwiek nagrał.

Tootie łyknął kawy. Patrzył chwilę na ścianę, a potem znów puścił muzykę.

– Zamieńmy się miejscami, będę jej pilnował. Ty pij i mów. Opowiedz wszystko – powiedziałem.

Tak zrobiliśmy, a Tootie mówił dalej.

– No i, od słowa do słowa, on zaczyna mnie strasznie namawiać i w końcu pytam, ile za tę płytę. On na mnie patrzy i mówi: „Będzie cię to tylko kosztować trochę twojej bluesowej duszy. A kiedy wrócisz, będziesz musiał znowu coś kupić za kolejną jej część, aż cała zniknie i będzie moja. Bo na pewno wrócisz”.

Pomyślałem sobie, że chodzi mu o to, żebym mu pograł na gitarze, bo kiedyśmy rozmawiali, powiedziałem mu, że jestem muzykiem. Powiedziałem mu, że gitarę mam w pokoju, który wynajmuję, i jestem piechotą, a pójście po nią i powrót zajęłyby mi cały dzień, więc ten interes mi nie odpowiada. Poza tym kończyły mi się pieniądze. Tego wieczoru miałem gdzieś grać, ale wtedy miałem przy sobie może trzy dolary i trochę drobnych. Za pokój zapłaciłem za tydzień z góry i byłem tam od ledwie dwóch dni. Mówię mu to wszystko, a on na to: „Och, w porządku. Wiem, że potrafisz grać. Znam się na tych rzeczach. Chodzi mi o to, że jak dasz mi kroplę krwi i obietnicę, dostaniesz tę płytę”. No to zacząłem się zbierać, bo myślę sobie, że ten gość jest popieprzony jak sałatka z pomidorów, ale chcę mieć tę płytę. Mówię mu, że pewno, dam mu kroplę krwi. Nie będę ci kłamał, Ricky, myślałem, że zwinę tę płytę i z nią ucieknę. Tak bardzo chciałem ją mieć. Więc kropla krwi nie znaczyła wiele.

Na to on wyciąga zza lady igłę do gramofonu, podchodzi i dziabie nią mój palec, tak z nagłą, kiedy ja wciąż próbuję zrozumieć, jak udało mu się zbliżyć do mnie tak szybko. Trzyma moją rękę tak, żeby krew kapiała

– posłuchaj no tego – na płytę. Krew wpływa do rowków. „A teraz obiecaj mi, że twoja grająca bluesa dusza będzie moja, kiedy umrzesz”, mówi. Wiesz, myślałem, że tylko tak gada, więc powiedziałem mu, że może ją sobie wziąć. On na to: „Kiedy ją usłyszysz, będziesz potrafił ją zagrać. A kiedy ją zagrasz, jak już będziesz w tym naprawdę dobry, to przyjdzie, jak szczur wpychający nos w świeże ścierwo. To przyjdzie”.

„Co przyjdzie?”, pytam. „O czym ty mówisz?” „Zorientujesz się”, mówi on. Zanim się obejrzałem, stoi przy drzwiach i otwiera je z uśmiechem, i mówię ci, wydawało mi się przez moment, że widzę go na wylot. Widziałem jego czaszkę i kości. Wychodzę z płytą w ręce i kiedy tylko przestępuję próg, on zamyka drzwi i słyszę, że zasuwa rygiel.

Od razu myślę sobie, że muszę wytrzeć tę krew z rowków, bo ten postrzelony drań właśnie dał mi za nic zagubioną piosenkę Roberta Johnsona. Wziąłem chustkę, wyciągnąłem płytę z opakowania i zabrałem się do wycierania. Krew nie chciała zejść. Wpłynęła do rowków, wiesz.

Wróciłem tutaj i spróbowałem usunąć krew odrobiną ciepłej wody, ale to też nic nie dało. Byłem zły jak diabli, myślałem, że płyta nie pójdzie z tą krwią zaschniętą w rowkach. Nastawiłem ją i przyszło mi do głowy, że może igła zdrapie krew, ale kiedy tylko położyłem płytę na talerzu i ją włączyłem, zabrzmiała dokładnie tak jak w sklepie. Usiadłem na łóżku i posłuchałem jej trzy, cztery

razy, a potem wziąłem gitarę i spróbowałem zagrać to, co słyszałem, choć wiedziałem, że tak nie potrafię, bo te dźwięki nie były z gitary elektrycznej, jednak tak właśnie brzmiały. Ale posłuchaj tego: udało mi się. Umiałem to zagrać. Miałem nuty przed oczami, wypełniły mi całą głowę. Wyszedłem kupić notatniki i zapisałem to wszystko tylko po to, żeby mi głowa nie pękła, bo ilekroć słuchałem płyty i próbowałem zagrać tę muzykę, nuty skakały mi po czaszce jak świerszcze.

Podczas całej tej rozmowy puszczałem płytę raz po raz.

– Całkiem zapomniałem, że miałem tamtego wieczoru występ – ciągnął Tootie. – Siedziałem tutaj do rana i grałem. W południe następnego dnia potrafiłem już powtórzyć wszystko, co było na płycie. Późnym popołudniem zaczęło mi się robić jakoś niedobrze. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale czułem, że jakaś istota próbuje się przez coś przedrzeć. Wystraszyłem się tego i ścisnęło mnie w brzuchu.

Nie wiem, jak lepiej to powiedzieć. To było takie silne uczucie. Potem, kiedy grałem dalej, tamta ściana zniknęła, tak jak widziałeś, i dostrzegłem to coś. Tylko przez mgnienie oka. Ale pokazało mi się w całej swojej potwornej chwale.

Przestałem grać, a ściana znów pojawiła się na miejscu i zamknęła. Pomyślałem sobie: „Psiakrew, lepiej zjem coś i się prześpię albo coś”. Tak zrobiłem, a potem znów chwyciłem gitarę. Grałem jak szalony i zacząłem

ulepszać tę piosenkę, dodawać kawałki tu i tam. Ale to było tak, jakby te dźwięki nie pochodziły ode mnie. Jakby coś mi pomagało.

W końcu przestałem, kiedy moje palce krwawiły i bolały od skurczów, a ja zachryłem. Ale chciałem wciąż słyszeć muzykę, więc nastawiłem płytę. Melodia się zmieniła. To wciąż był Johnson, ale słowa były dziwne, nie po angielsku. To brzmiało jak jakieś zakłęcie i wtedy pojąłem, że Johnson naprawdę śpiewał na tej płycie, to było tak pewne jak fakt, że siedziałem w tym pokoju i że to zakłęcie i granie otwiera przejście dla owej istoty w ścianie. Tak jak powiedział tamten gość: była jak szczur wciskający pysk w świeże ścierwo. Wyglądało na to, że to ja jestem ścierwem. Kiedy puściłem płytę następnym razem, głos na niej nie należał już do Johnsona, tylko do mnie.

Miałem dość, więc wziąłem płytę i odniosłem ją do sklepu. Wyglądał tak samo jak wcześniej i tak jak wtedy byłem tam sam. On patrzy na mnie, podchodzi i mówi: „Już chcesz zerwać umowę. Poznaję. Wszyscy chcą. Ale nie ma mowy”.

No to spojrzałem na niego, jakbym miał skopać mu tyłek, ale on popatrzył na mnie tak, że zrobiłem się słaby jak kociak.

Uśmiechnął się do mnie i wyciąga inną płytę z tego samego pudła, bierze tę, którą mu dałem, i ją chowa, a potem mówi: „Zawarłeś umowę, ale za odrobinę twojej duszy dam ci to. Widzisz, otwarłeś przejście. Teraz ten

szczur musi się wgryźć w to mięso. Żeby to się stało, nie trzeba już więcej płyty ani twojego grania. Szczur musi jeść, ale już nie ma znaczenia, co zrobisz”.

Powiedział to i chwyta moją rękę, patrzy na palce poranione od grania i śmieje się tak głośno, że wszystko w sklepie się trzęsie, a potem ściska moje palce, aż zaczynają krwawić. „Odrobinę mojej duszy?”, zapytałem. Wtedy, i jeśli kłamię, niech zginę, on wysuwa język, który jest długi jak stary boa dusiciel i czarny jak dziura w ziemi, i liże mnie po szyi. Potem uśmiecha się i przebiega go dreszcz, jakby się właśnie napił czegoś chłodnego.

Tootie przerwał, rozpiął kołnierz i rozchylił go nieco. W połowie jego szyi był ślad, jakby go ktoś obrobił papierem ściernym.

– „Tylko na spróbowanie”, mówi on i wpycha mi płytę do ręki, która krwawi po tym, jak ją ścisnął. Patrząc na płytę, a ona jest jakaś gruba. Dotykam jej i okazuje się, że to dwie płyty w jednym opakowaniu. On mówi: „Dałem ci jedną więcej, bo byłeś bardzo smaczny, i może dzięki temu sobie dłużej wypoczniesz, jeśli masz gramofon, który zmienia płyty. Niech będzie, że robię się szczodry i miły na starość”.

Pozostało mi tylko wziąć płyty i wrócić tutaj. Nie miałem zamiaru nastawić żadnej. Prawie je wyrzuciłem. Ale potem to coś w ścianie, cokolwiek to jest, zaczęło wystawać. Dziura robiła się coraz większa, a ja widziałem to coś coraz lepiej, i ten czerwony cień padał na podłogę.

Zacząłem się zastanawiać, czyby nie uciec, ale nie chciałem tego tak po prostu wypuszczać, a w głębi duszy wiedziałem, że dokądkolwiek pójdę, to coś pójdzie za mną.

Zacząłem odtwarzać tę płytę w obronie własnej. Wkrótce zacząłem grać na gitarze. Jak się bałem, jak czułem, że to coś zaczyna przechodzić, grałem z całych sił i dziura się zamykała, a to coś wracało tam, skąd przyszło. Na chwilę.

Ale pomyślałem sobie, że powinienem się zabezpieczyć. Widzisz, posłuchałem obu tych płyt i było na nich to samo, mój głos, choć nigdy nie nagrałem ani nawet nie słyszałem tych piosenek. Wtedy zrozumiałem, że to, co było w moich notatkach, to, co wymyśliłem, miało odwrotne działanie do tej piosenki, którą grałem pierwszą. Nie wiem, czy to był tylko jakiś psikus, którego spletał mi ten typ ze sklepu, ale pojąłem, że to jakieś czary. Najpierw dał mi piosenkę, żeby to coś wpuścić, a potem dał mi inną piosenkę, żeby to zatrzymać. Pewno bardzo to było dla niego zabawne.

Uznałem, że trzymam to coś w szachu, więc wziąłem tę drugą kopię na pocztę i wysłałem ją Almie, jakby coś mi się stało. Pewnie myślałem, że to dla niej, do obrony, ale też po części byłem dumny z tego, co zrobiłem. Z tego, co potrafiłem. Umiałem już zagrać wszystko i nawet nie musiałem się nad tym zastanawiać. Normalny blues był jak bułka z masłem. Na tej gitarze wszystko przychodziło mi łatwo, nawet rzeczy, których nie

powinno się na niej dać zagrać. Ale zdaję sobie sprawę, że to nie byłem ja, tylko coś innego.

Ale kiedy wróciłem z poczty, kupiłem trochę farby i pędzle. Pomyślałem, że zapiszę nuty i te inne na ścianie. Zrobiłem to i już byłem gotowy się pakować, żeby powędrować dalej i popisać się swoimi nowymi talentami, kiedy nagle to coś zaczęło się przepychać. Nabrało sił, bo nie grałem muzyki, człowieka. Nastawiłem płytę i właściwie od tej pory tak tu siedzę.

Widzisz, to wszystko była sztuczka tego gościa ze sklepu. Zacząłem się zastanawiać, czy to nie był diabeł albo coś w tym rodzaju. Musiałem nieustannie grać w jego grę, żeby utrzymać to coś z daleka i zachować własną duszę. Ale ta gra trwała trzy minuty, sześć, gdybym zachował tę drugą płytę. Jeśli grałem na gitarze, mogłem po prostu powtarzać muzykę raz po raz, ale to mnie wykończyło. W końcu zacząłem bez przerwy nastawiać płytę. I tak od kilku dni.

Ten grubas z dołu przychodził po pieniądze, ale kiedy tylko przynosił własny klucz, otwierał choćby trochę drzwi i słyszał tę muzykę, znikał. I oto jestem, wciąż gram. Nie pozostało mi nic innego, jak grać albo pozwolić tej istocie wyssać moją duszę i dostarczyć ją temu typowi ze sklepu.

*

Tootie zajął się płytą, a ja poszedłem tam, gdzie według niego był sklep. Zamierzałem skopać temu

gościowi dupę albo wpakować mu kulkę w mózgownicę. Znalazłem South Street, ale nie Way South. Ta druga ulica, która powinna być Way South, nazywała się Back Water. Nie było tam też sklepu, tylko pusty, niezabezpieczony budynek. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Wszędzie było pełno kurzu i po śladach nóg widziałem, gdzie kiedyś ustawione były stoły. Ale wszystko, co kiedyś tam było, dawno zniknęło.

Wróciłem do hotelu, a kiedy wszedłem do pokoju, Tootie przysypiał. Płyta obracała się bezgłośnie na talerzu. Spojrzałem na ścianę i zobaczyłem, że dziób tego czegoś już ją nadgryzał. Nastawiłem płytę i tym razem, kiedy muzyka się skończyła, ono wciąż gryzło. Puściłem płytę jeszcze raz i jeszcze, a wtedy istota w końcu zniknęła. Robiła się coraz silniejsza.

Obudziłem Tootiego i powiedziałem:

– Wiesz, będzie trzeba sprawdzić, czy to coś potrafi przegonić mojego podrasowanego chevy'ego.

– Na nic się to nie zda – oznajmił Tootie.

– No to nie mamy nic do stracenia – odparłem.

Chwyciliśmy płytę i jego gitarę. W mgnieniu oka zbiegliśmy po schodach i wypadliśmy na ulicę. Kiedy mijaliśmy Ropucha, dostrzegł mnie, wstał szybko, poszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi. Gdybym miał czas, spuściłbym mu manto choćby dla zasady.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie zaparkowałem samochód, i okazało się, że stoi na czterech flakach, ma powybijane boczne szyby i odłamaną antenę. Płyta, którą

dała mi Alma May, wciąż leżała na siedzeniu. Sięgnąłem po nią i ułożyłem w dłoni obok tej drugiej. Więcej nie mogłem zrobić.

Jeśli chodzi o samochód, równie dobrze mogłem wrócić do wschodniego Teksasu, lecąc na mokrej gazecie.

Wtedy poczułem ten zapach. Ten, który czułem w pokoju. Spojrzałem w niebo. Słońce było jakby zakryte mgiełką. Nawet zielonkawie. Powietrze dookoła nas drżało, jakby się czegoś wystraszyło. Było ciężkie jak koc. Chwyciłem Tootiego za ramię i pociągnąłem go ulicą. Zobaczyłem przy krawężniku samochód, który wyglądał, jakby się nadawał: forda V-8. Kopniakiem wybiłem boczną szybę z tyłu, sięgnąłem do środka i otworzyłem drzwi.

Wślizgnąłem się za kierownicę, Tootie zajął miejsce pasażera. Schyliłem się, palcami i brzytwą obluzowałem kilka kabli pod deską rozdzielczą, zwałem je na krótko. Silnik zapalił i żeśmy ruszyli.

*

To w ogóle nie miało sensu, ale kiedy tak jechaliśmy przed siebie, z tyłu robiło się ciemno. Jakby toczyła się za nami wielka sterta budyniu czekoladowego. Rozbłyskiwały w nim gwiazdy. Wyglądały bardziej jak oczy niż gwiazdy. Widać było cienki księżyc pokryty czymś, co przypominało czerwony grzyb.

Wcisnąłem gaz do dechy. Prędkościomierz wskazywał sto dziesięć. Nie widziałem na trasie żadnego

innego samochodu. Ani jednego gliny, żadnej staruszki w drodze do sklepu. Gdzie, u diabła, wszyscy się podziali? Szosa wznosiła się i opadała, jakby próbowała uciec nam spod kół.

Krótko mówiąc, pędziliśmy co sił. Zatrzymałem się raz po paliwo i kazałem gościowi na stacji pospieszyć się z nalewaniem. Dałem mu więcej, niż warta była benzyna, a on wyszczerzył do mnie zęby, kiedy z piskiem opon ruszyliśmy dalej. Nie sądzę, by widział to, co my widzieliśmy: ciemne niebo i tę istotę na nim. To było tak, jakby trzeba było najpierw usłyszeć muzykę, żeby móc zobaczyć to coś albo żeby miało ono na ciebie jakiś wpływ. Dla niego świeciło słońce, a życie było piękne.

Kiedy dojechaliśmy do wschodniego Teksasu, spod maski ukradzionego forda unosił się dym. Zjechaliśmy ze wzgórza i przed sobą mieliśmy jasny dzień, a za nami nadciągała ciemność. Zaczęła pękać, tworzyć jakby korytarz, w nim zaś pojawiła się ta istota z dziobem, to... cokolwiek to było. Większa niż wcześniej, wyczołgiwała się z nocnego nieba jak przeciskająca się pod płotem łośnica. Próbowałem sobie wmówić, że to tylko moja wyobraźnia, ale nie byłem na tyle przekonany, żeby się zatrzymać i sprawdzić.

Dojechałem do stóp wzgórza, skąd było już widać drogę skręcającą w stronę domu Almy May. Nie wiem, dlaczego czułem, że przybycie tam jest ważne, ale miałem to w głowie: dotrzeć do Almy May i wypełnić naszą umowę, sprowadzić jej brata do domu. Oczywiście nie

wziętem poważnie pod uwagę tego, że to coś może nas gonić.

To właśnie wtedy silnik forda wybuchł z siłą, od której tłoki powgniały maskę od wewnątrz.

Samochód zjechał na luzie na drogę, która prowadziła do domu Almy May. Widzieliśmy go już – stał w słońcu. Ale nawet to światło słabło od nadciągającej w naszą stronę nocy.

Błyskawicznie otworzyłem drzwi, chwyciłem płyty z tylnego siedzenia i krzyknąłem do Tootiego, żeby uciekał. Porwał gitarę i w mgnieniu oka obaj pędziliśmy do Almy May.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem za sobą księżyc i gwiazdy, ale przede wszystkim to coś, wielokie i pokryte wrzodami, mackami, nogami i rzeczami, których nie potrafię nawet opisać. Wyglądało to tak, jakby ktoś wrzucił do miski robaki i ryby, i owady, i dzioby, i każdego rodzaju chorobę, i zamieszał trzepaczką.

Kiedy dobiegliśmy do domu Almy May, zacząłem walić w drzwi. Otworzyła z miną, po której widać było, że według niej waliłem za głośno, ale potem zerknęła za mnie i zbladła, prawie jakby była biała. Ona też słyszała muzykę, więc i ona to widziała.

Zatrzasnąłem za nami drzwi i natychmiast ruszyłem do gramofonu. Alma May zadawała najróżniejsze pytania, wykrzykiwała je najpierw do mnie, potem do Tootiego. Kazałem jej się zamknąć. Wyszarpnąłem jedną z płyt z opakowania, ułożyłem ją na talerzu, podniosłem igłę i...

prąd zatrzeszczał i zrobiło się ciemno. Nie było szans niczego zagrać na tym gramofonie. Świat na zewnątrz był oświetlony krwistoczerwonym księżycem.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Macki wdarły się do środka, przewróciły stolik. Jakies bibeloty spadły na podłogę i się stłukły. Choć potwór był wielki, wciskał się do domu, aż framuga drzwi trzeszczała; pęknięcie drewna brzmiało tak, jakby ktoś trząsał z bicia.

Ja i Alma May cofnęliśmy się bez zastanowienia. Czerwony cień, jaskrawy jak ognisko, odłączył się od potwora – wiły się w nim robaki – i zaczął sunąć po podłodze.

Ale nie w naszą stronę.

Płynął gładko jak rozlany olej do drugiego końca pokoju. Wtedy zrozumiałem. To coś nie chciało tylko przedostać się na tę stronę. Chciało dopełnić umowy, którą Tootie zawarł z właścicielem sklepu z płytami. Tootie to cały czas mówił, ale wtedy naprawdę to do mnie dotarło. Istota wcale nie przyszła po mnie czy po Alnę.

Przyszła po duszę Tootiego.

Rozległ się odgłos tak ostry, że natychmiast zakryłem uszy, a Alma May upadła na podłogę. To była gitara Tootiego – uderzył w struny tak mocno, że brzmiała, jakby była podłączona do prądu. Od energii tego jednego przeszywającego akordu ugięły się przede mną kolana. Był sto razy głośniejszy niż muzyka na płycie. To było nie do wiary, nie powinno być możliwe. Ale Tootie potrafił go zagrać.

Czerwony cień się zatrzymał, zwiął jak język.

Gitara grała dalej. To coś w drzwiach cofnęło się nieco, a potem Tootie krzyknął:

– Chodź po mnie. Weź mnie sobie. Zostaw ich w spokoju.

Wyteżyłem wzrok i w słabej poświacie czerwonego księżycyca zaglądnącego przez okno zobaczyłem, że cień Tootiego unosi gitarę wysoko nad głowę za gryf. Potem opadła i trzasnęła o podłogę. Poleciały drzazgi, puściły struny.

Krwawiący cień ruszył wtedy szybko. Pomknął po podłodze i na Tootiego, który krzyknął. Krzyczał jak ktoś, kto powoli płonie żywcem. Następnie potwór przebił się przez drzwi niczym wystrzelony z armaty.

Macki sięgały przed siebie, niezliczone odnóża przebierały po podłodze, a dzioby zaatakowały, szarpiąc Tootiego jak wściekły pies rozrywający na strzępy szmacianą lalkę. Krew rozprysnęła się po całym pokoju. Jakby wybuchła ogromna truskawka.

A potem stało się coś jeszcze. Z podłogi, z tego, co zostało z Tootiego, uniosła się sina mgła i na mgnienie oka dostrzegłem w niej jego twarz; ta twarz rzuciła mi coś jakby bezzębny uśmiech – w miejscu ust widać było tylko ciemną dziurę. Później, jakby ktoś wciągał do nosa parę znad zupy, dzioby tego czegoś wessały mgłę i było po Tootiem i jego duszy.

Istota odwróciła głowę w naszą stronę i na nas spojrzała. Wydała z siebie odgłos jak tysiąc kamieni i

porozbijanych samochodów staczających się z urwiska pokrytego żwirem i trawą, a potem zaczęła się cofać w stronę drzwi. Wydostała się za nie z dźwiękiem, jakby ktoś strzepnął mokry ręcznik. Krwawiący cień popędził za nią po podłodze, usiłując nadażyć; był jak piesek salonowy czekający na smaczny kąsek.

Kiedy istota i jej cień zniknęły, drzwi zatrzęsły się z hukiem, powietrze zrobiło się czyste, a w pokoju stało się jasno.

Spojrzałem w miejsce, gdzie wcześniej stał Tootie.

Nie zostało nic.

Ani jedna kość.

Ani kropla krwi.

Podniosłem roletę i popatrzyłem na zewnątrz.

Był ranek.

Na niebie ani jednej chmury.

Słońce wyglądało jak słońce.

Śpiewały ptaki.

Powietrze pachniało tak czysto jak oddech niemowlęcia.

Odwróciłem się do Almy May. Powoli podnosiła się z podłogi.

– To coś chciało tylko jego – powiedziałem. Myślałem o Tootiem zupełnie inaczej niż wcześniej. – Oddał się temu. Chyba po to, żeby ochronić ciebie.

Podbiegła do mnie i przytuliłem ją mocno. Po chwili puściłem ją i chwyciłem wszystkie płyty. Chciałem złamać je na kolanie, ale nie zdążyłem. Zrobiły się mokre

w moich rękach, rozpadły się i wciekły między deski podłogi jak czarna woda, i było po wszystkim.

SIMON R. GREEN

Wpisany na listę bestsellerów „New York Timesa” Simon R. Green jest autorem jedenastotomowej serii o Nightside, która podąża śladem nieustraszonego prywatnego detektywa do „ciemnego serca Londynu, gdzie zawsze jest trzecia nad ranem”, gdzie potwory oraz stworzenia z mitów i legend spotykają się... a czasem nawet zlecają ci jakąś niebezpieczną robotę. Książki o Nightside to: *Something from the Nightside* (Coś z Nightside, przeł. Mateusz Repeczko, Fabryka Słów 2011), *Agents of Light and Darkness* (Istoty Światła i Ciemności, przeł. Mateusz Repeczko, Fabryka Słów 2011), *Hex and the City*, *Hell to Pay* oraz siedem innych. Green napisał też serie fantasy, takie jak złożony z siedmiu tomów cykl o Hawku i Fisher (*No Haven for the Guilty*, *Devil Take the Hindmost*, *The God Killer* – wydany po polsku jako *Bogobójca*, przeł. Iwona Michałowska, Zysk i S-ka 2004 – oraz cztery inne książki) czy trzytomowy o Leśnym Królestwie (*Blue Moon Rising – Błękitny księżyc*, przeł. Dominika Schimscheiner, Fabryka Słów 2009 – *Blood and Honor* oraz *Down Among the Dead Men*); serie science fiction, takie jak pięciotomowy cykl o Deathstalkerze, zawierający książki *Deathstalker: Being the First Part of the Life and Times of Owen Deathstalker*, *Deathstalker War* oraz trzy inne, i związaną z nim trzyczęściową serię *Deathstalker Legacy* (*Deathstalker*

Legacy, Deathstalker Return oraz *Deathstalker Coda*), a także cykle opowiadań szpiegowskich w stylu fantasy, takie jak pięcioczęściowy *Secret Histories (The Man with the Golden Torc – Człowiek ze złotym amuletem*, przeł. Dominika Schimscheiner, Fabryka Słów 2012 – *Daemons Are Forever, The Spy Who Haunted Me, From Hell With Love* oraz *For Heaven's Eyes Only*). Jest również autorem samodzielnych powieści, takich jak *Shadows Fall* i *Drinking Midnight Wine*. Swój kolejny cykl o tematyce nadprzyrodzonej, *Ghost Finders*, zaczął książką *Ghost of a Chance* i kontynuuje go najświeższą pozycją – *Ghost of a Smile*.

W poniższym opowiadaniu detektyw John Taylor, nawykły do radzenia sobie z duchami, magami i ghulami Nightside, przyjmuje swoje najdziwniejsze jak dotąd zlecenie: od czarownicy, która straciła serce... i ma zamiar je odzyskać.

GŁODNE SERCE

Londyn ma ukryte serce; mroczne, tajemne miejsce, gdzie bogowie i potwory toczą bójki w bocznych uliczkach, gdzie cuda i dziwy kosztują grosze, gdzie wszystko i wszyscy są na sprzedaż, gdzie może się urzeczywistnić każdy sen. Szczególnie ten, z którego człowiek budzi się z krzykiem. W londyńskim Nightside zawsze jest ciemno, zawsze jest trzecia nad ranem, godzina, która wystawia dusze ludzi na próbę... której nie są w stanie przejść.

*

Piłem piółonówkę w najstarszym barze na świecie, kiedy do środka weszła femme fatale. W barze było cicho – a przynajmniej tak cicho, jak to możliwe. Grupa samic ghuli świętująca wieczorek panieński upijała się właśnie ginem i narzekała na jakość przekąsek. Są ghule, jest impreza. Była tam też para neandertalczyków – pochłonęli już tyle napojów z inteligentnymi lekami, że ewoluowali praktycznie na moich oczach – i czterej Wysłannicy z Zewnętrznego Mroku, którzy grali w zabijanego pokera i oszukiwali się nawzajem ile wlezie. Zwyczajna noc w barze Obcy Znajomkowie... dopóki nie weszła ona.

Maszerowała między stolikami z wysoko uniesioną głową, jakby była właścicielką tego miejsca albo przynajmniej planowała jego wrogie przejęcie. Stała na

baczność przed moim stolikiem, dostrzegła mnie z szerokim uśmiechem i pozwoliła zmierzyć się wzrokiem. Wysoka, smukła platynowa blondynka pod dwudziestkę w małej czarnej... z dużymi oczami, promiennym uśmiechem i makijażem na skalę przemysłową. Była dość atrakcyjna na swój przerażający sposób. Angielska róża z niejednym kolcem. Przedstawiła się wysokim, nieco zachrypniętym głosem i usiadła naprzeciwko mnie, nie czekając, aż jej to zaproponuję. Ponownie zaatakowała mnie tym uśmiechem. Wycelowany w kogokolwiek innego pewnie by zadziałał.

– Pan John Taylor, prywatny detektyw, prawda? – rozpoczęła rzeczowo. – Nazywam się Holly Wylde i jestem czarownicą. Mój były ukradł mi serce. Chcę, żeby pan je znalazł i mi je zwrócił.

Nie była to najdziwniejsza rzecz, o której odnalezienie mnie poproszono, ale uznałem za swój obowiązek unieść brew.

– Mówię całkiem dosłownie – powiedziała. – Każda czarownica potrafi wyciągnąć własne serce i trzyma je w jakimś bezpiecznym miejscu, aby nikt nie mógł jej do końca pozbawić życia. Dopóki serce jest całe, zawsze możemy wrócić. Wiem, że to średnio uczciwe, ale gdybym wierzyła w rzeczy w rodzaju fair play, w ogóle nie zostałabym czarownicą. Mój były, hańba jego plugawej duszy, był kiedyś moim mentorem. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem o magii, i posuwał żywiołowo co wieczór bez dodatkowych wpłat. Gideon Brooks, może

to nazwisko coś panu mówi?

– Nie, co dziwne – odparłem. – Znam wszystkich Głównych Graczy w Nightside, wszystkie prawdziwe grube ryby magicznego świata, ale jego nie.

Wzruszyła z wdziękiem ramionami.

– Jeśli chodzi o zakazaną wiedzę, to spora jej część jej zakazana z powodu Gideona. Jest bardzo potężnym, bardzo niebezpiecznym człowiekiem, ale się z tym nie obnosi. W każdym razie wydawało mi się, że świetnie się dogadujemy. Ale kiedy stwierdziłam, że nauczyłam się już dość, żeby opuścić Gideona i zacząć pracować na własny rachunek, on nagle zrobił się zaborczy. Myślałam, że łączy nas tylko relacja mentor–uczenica, z pewnymi korzyściami na boku, tymczasem on nie daje mi spokoju, wyznaje dozgonną miłość i twierdzi, że nie może beze mnie żyć! No cóż. Byłam zszokowana, panie Taylor. Nie wdaję się w związki emocjonalne, nie na tym etapie mojej kariery. Próbowałam zachować się uprzejmie, ale ile razy można mówić „Nie!” donośnym głosem. I tak to wygląda. Po jakimś czasie uspokoił się, przeprosił i powiedział, że po prostu się o mnie martwi. W porządku. Ale potem namówił mnie, żebym oddała mu swoje serce. Twierdził, że ochroni je solidnymi zaklęciami, abym była bezpieczna, kiedy już pójdę swoją drogą. I ja jak idiotka mu uwierzyłam. On ma moje serce, panie Taylor, i nie chce go oddać! A ktokolwiek posiada serce czarownicy, na zawsze ma nad nią władzę. Nigdy się od niego nie uwolnię.

W końcu urwała, żeby nabrać tchu, i znów obdarzyła mnie tym szerokim uśmiechem, któremu towarzyszyły wielkie oczy i głęboki oddech uwydatniający biust. Też się do niej uśmiechnąłem, nie bardziej szczerze niż ona. Mimo całej swojej prostodusznej szczerości i akcentu z dobrej szkoły Holly była fałszywa niczym zasady maklera inwestycyjnego. Podczas rozmowy rozglądała się po barze, prawie nie patrzyła na mnie, a kontakt wzrokowy nawiązywała najwyżej na kilka sekund. To dosyć niezawodny znak, że ktoś kłamie. Nie przeszkadzało mi to jednak; jestem przyzwyczajony do tego, że klienci mnie okłamują, a przynajmniej oszczędnie gospodarują prawdą. Moim zadaniem jest odnalezienie tego, o co prosi klient. Prawda ułatwia mi pracę, ale mogę pracować bez niej, jeśli muszę.

– Jakiego rodzaju jesteś czarownicą, Holly? – zapytałem. – Dobrą, złą, wiccańską czy z domku z piernika?

Mrugnęła do mnie wesoło.

– Nigdy nie pozwalam, aby ograniczało mnie to, jak inni mnie postrzegają. Jestem po prostu wolnym duchem, panie Taylor... a przynajmniej byłam, zanim poznałam Gideona Brooksa. Okropny człowiek. Niech pan powie, że mi pomoże. Ładnie proszę.

– Pomogę ci – powiedziałem. – Za tysiąc funtów dziennie plus koszt. I nie udawaj, że jesteś biedna. Sukienka, którą masz na sobie, kosztuje więcej, niż zarabiam w ciągu roku. Że nie wspomnę o butach.

Nie mrugnawszy okiem, rzuciła na stół kopertę. Kiedy ją otworzyłem, tysiąc funtów w gotówce odwzajemniło moje spojrzenie. Obdarzyłem Holly moim najlepszym uśmiechem zawodowca i schowałem kopertę. Nigdy nie należy kusić losu, szczególnie w barze takim jak Obcy Znajomkowie, gdzie ukradną ci złotą plombę, jeśli zaśniesz z otwartymi ustami. Holly nachyliła się nad stołem i zmierzyła mnie spojrzeniem, które w jej odczuciu było poważne.

– Powiadają, że ma pan wyjątkowy dar znajdowania różnych rzeczy, panie Taylor, magiczne trzecie oko, które widzi, gdzie wszystko jest. Ale to nie pomoże panu w znalezieniu mojego serca. Gideon schował je w specjalnej skrzynce z palisandru nazywanej Ukojeniem Serca. Nikt nie jest w stanie przeniknąć zaklęć otaczających tę skrzynkę i tylko Gideon może ją otworzyć. Nie znajdzie pan też jego ani jego domu. Gideon mieszka we własnym miniaturowym wymiarze, który łączy się z naszym światem tylko wtedy, kiedy on ma na to ochotę. Spotykałam się z nim wyłącznie wtedy, gdy pozwalał swojemu domowi się pojawić, i było to w różnych miejscach w Nightside. Nie widziałam go, odkąd ukraść moje serce.

Mówiąc to, patrzyła mi prosto w oczy, więc uznałem, że tym razem większość jej słów może być prawdą. Odchyliła się na krześle i raz jeszcze rzuciła mi ten promienny uśmiech. Robił naprawdę spore wrażenie. Wyćwiczenie go przed lustrem na pewno zajęło jej sporo

czasu.

– Wiem: proszę o odnalezienie zaginionego serca u zaginionego człowieka w zaginionym domu. Ale gdyby zlokalizowanie ich było proste, nie potrzebowałabym pana, prawda, panie Taylor?

Wstała. Była równie spokojna i opanowana jak wtedy, kiedy weszła, mimo swojej fascynującej łzawej historyjki.

– Jak mam się z tobą kontaktować? – zapytałem.

– Nijak. To ja skontaktuję się z panem. Pa, pa.

Pomachała mi wytwornie ręką na pożegnanie i odeszła, maszerując z wyprostowanymi plecami i ignorując otoczenie, jakby nie zasługiwało na jej uwagę. Zapewne tak zresztą było. Obcy Znajomkowie to raczej nie miejsce spotkań elity i nawet batem nie dałoby się go zagonić na wyższą półkę. Jeszcze chwilę sączyłem z namysłem piołunówkę, a potem podszedłem niespiesznie do długiego mahoniowego baru, aby zamienić kilka cichych słów z Alexem Morriseyem, który pełnił w Obcych Znajomkach funkcję właściciela, barmana i długoletniego utrapienia. Alex ubiera się na czarno tylko dlatego, że nikt nie wymyślił ciemniejszego koloru, i z pewnością zdobyłby medal olimpijski w ponuractwie oraz wyróżnienie za cierpienie egzystencjalne. Zaczął łysieć tuż po dwudziestce i nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że te fakty są połączone. Właśnie trącał patykiem przekąski, żeby sprawdzić, czy jeszcze dychają.

Przy barze unosiła się grupka duchów; ich

półprzezroczyste kształty przepływały przez siebie nawzajem, opróżniając puste od dawna butelki ze wspomnień wiekowych win. Tylko Alex mógł kilka razy sprzedać tę samą butelkę wina. Przeżegnałem się grzecznie, a one odpłynęły jak niepyszne, abym mógł porozmawiać na osobności z Alexem.

– Gideon Brooks – powiedział z namysłem, kiedy nakreśliłem mu sytuację. Zaczął czyścić brudną szklanę szmatą, którą wycierał z blatu rozlany alkohol, aby dać sobie czas na zastanowienie. – Nie jest to jedno z ważnych Imion, ale wiesz to równie dobrze jak ja. Oczywiście ci naprawdę potężni lubią się ukrywać. Ale ta skrzynka z palisandru, Ukojenie Serca... ta nazwa coś mi mówi. To jakiś bezcenny skarb, jeden z tych, które są warte tak wiele, że rzadko sprzedaje się je lub kupuje, a częściej wyrywa z martwych palców poprzedniego właściciela.

– Skarb – powtórzyłem. – Skarby zawsze przysparzają więcej kłopotu, niż są warte. A Nightside jest usiane tymi magicznymi sklepikami, które sprzedają absolutnie wszystko bez pytania i z pewnością bez gwarancji. Gdzie, u licha, mam zacząć?

Alex uśmiechnął się krzywo i cisnął na bar tanią ulotkę. „Pamiętki Raz Na Zawsze” – głosił brzydki druk. Powinienem był wiedzieć. W Nightside lądują wszelkiego rodzaju rzadkie i dziwne przedmioty z przeszłości, przyszłości i dowolnej liczby alternatywnych światów. Zaginione rupiecie niewidocznego uniwersum. A

ponieważ to Nightside, zawsze znajdzie się ktoś gotów na tym zarobić. Nigdzie nie było większego wyboru magicznych artefaktów i ogólnego dziwactwa niż na objazdowym targu Pamiątki Raz Na Zawsze. Ktoś tam na pewno będzie wiedział coś o skrzynce z palisandru. Zanotowałem aktualny adres bazaru, a kiedy podniosłem oczy, Alex szczyrzył do mnie zęby.

– Wiesz, z kim musisz porozmawiać – oznajmił. – Z Królową Kier. Na pewno tam będzie i wie wszystko, co można wiedzieć o artefaktach związanych z sercem. Sama Duża Dolores... Jestem pewien, że z niezwykłą przyjemnością odświeży znajomość z tobą.

– Przestań – powiedziałem. – Jedyna wartościowa rzecz, której się od niej nauczyłem, to żeby nie mieszać alkoholi.

– Według mnie stanowiliście wspaniałą parę.

– Chcesz w mordę?

*

Wyszedłem z Obcych Znajomków na wąskie, lśniące od deszczu ulice Nightside. Noc roiała się od ludzi oraz istot jak najdalszych od ludzi; wszyscy gorączkowo gonili za szkodliwymi dla nich rzeczami. Zewsząd błyskały gorące neony, a chłodna muzyka wypływała przez otwarte drzwi tego rodzaju klubów, które nigdy nie są zamknięte i w których można włożyć czerwone buty i tańczyć do pierwszej krwi. Egzotyczne zapachy jedzenia z niezliczonych zakątków świata, naganiacze w otwartych

drzwiach reklamujący atrakcje tak osobliwe, że nie ma na nie nazwy, której można byłoby użyć w towarzystwie, i oczywiście córki zmroku patrolujące rogi ulic; miłość na sprzedaż, albo coś bardzo podobnego. W Nightside nigdy nie jest daleko do nieba czy piekła, choć często to to samo miejsce, tylko pod nową nazwą.

Szedłem w stronę starej Hali Targowej, gdzie obecnie można było znaleźć Pamiątki Raz Na Zawsze, kiedy ktoś zrównał się ze mną dyskretnie i zwrócił moją uwagę. Był odstawiony jak członek gangu motocyklowego z lat pięćdziesiątych: cały w lśniącej czarnej skórze i wypolerowanych stalowych łańcuchach, ze skórzaną czapką z daszkiem i niemal przekonującym szpanem w stylu Brando. Miał najwyżej szesnaście, siedemnaście lat, twarz bladą niczym trup i wąskie, bezbarwne wargi. Jego oczy były ciemne, z opadającymi powiekami, o nienawistnym spojrzeniu. Szedł tym samym tempem co ja, a ręce wsunął głęboko do kieszeni skórzanej kurtki.

– Jestem Gunboy – powiedział monotonnym, spokojnym głosem, nawet na mnie nie patrząc. – Pan Sweetman chce z tobą porozmawiać. Natychmiast.

– Wszystkie linie są zajęte – rzekłem. – Proszę zadzwonić później.

– Kiedy pan Sweetman chce z kimś rozmawiać, ludzie z nim rozmawiają.

– Pan Sweetman jest szczęściarzem. Ale kiedy ja nie chcę z kimś rozmawiać, spycham go z chodnika, żeby pobawił się samochodami.

Gunboy wyciągnął rękę z kieszeni i skierował ją w moją stronę. Palce ułożył jak dziecko, które udaje, że trzyma pistolet. Pozwolił mi się jej dobrze przyjrzeć, a potem wycelował palec w rząd neonowych żarówek nad drzwiami gospody Pod Pysznym Rycerzem. Ledwo ruszył dłonią, a żarówki eksplodowały jedna po drugiej. Iskry pomknęły w noc. Rosły mężczyzna w zaplamionym krwią białym fartuchu wybiegł, żeby się poskarżyć, lecz zerknąwszy na Gunboya, natychmiast wrócił do środka. Młody zdmuchnął nieistniejący dym z palca, po czym od niechcienia przytknął mi palec do żeber. Nie uśmiechał się, a spojrzenie jego ciemnych oczu było pełne żaru i hipnotyzujące.

– Teoretyczny pistolet – powiedział, ledwie ruszając wargami. – Teoretyczne kule. Są prawdziwe, ponieważ w to wierzę. Moc pochodzi ode mnie, tak samo jak zwłoki, które za sobą zostawiam. Chodź ze mną albo zrobię w tobie kilka prawdziwych dziur.

Przyjrzałem mu się z namysłem. Przez lata przyswoiłem sobie kilka użytecznych i naprawdę dosyć przebiegłych sztuczek przydatnych w radzeniu sobie z wycelowaną we mnie bronią, ale wszystkie one zasadzały się na tym, że istniała jakaś broń, z którą trzeba było sobie poradzić. Obdarzyłem więc Gunboya swoim najlepszym chojrackim uśmiechem i pozwoliłem zaprowadzić się do jego pana. Był na tyle miły, że kiedy szliśmy razem, schował rękę do kieszeni. Nie wiem, czy w przeciwnym razie moja duma by to zniosła.

*

Okazało się, że pan Sweetman zatrzymał się w hotelu Des Heures – niezwykle ekskluzywnym, drogim miejscu, gdzie czas w każdym pokoju był osobno zakodowany. Można było zostać w pokoju dowolnie długo, podczas gdy na zewnątrz nie upływała ani chwila. Zapewniało to nadzwyczajną prywatność, o ile tylko miało się zamknięte drzwi. Można było tam spędzić całe życie – choć nie pytajcie, jak radzi sobie obsługa.

Gunboy zaprowadził mnie przed właściwe drzwi, zastukał w umówiony sposób, poczekał, aż się otworzą, a potem wepchnął mnie do środka. Palec, którym dźgał mnie w plecy, wystarczył, abym szedł, gdzie mi kazał. Pan Sweetman, potężny grecki dżentelmen w śnieżnobiałym kaftanie, już na nas czekał. Wstał z trudem z wyściełanego fotela i skinął mi swobodnie głową. Miał ogoloną czaszkę i ciemny makijaż oczu; rzucił mi uśmiech, gestem zapraszając, żebym usiadł. Spoczęliśmy, przyglądając się sobie z jawnym zaciekawieniem. Gunboy został przy drzwiach z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w przestrzeń.

– Pan Taylor! – zawołał Sweetman głębokim, wesołym głosem. – Cóż za zaszczyt, drogi panie, doprawdy! W Nightside można się natknąć na tyle żywych legend, że spotkanie jednej z nich to prawdziwa przyjemność! Jestem Elias Sweetman, człowiek o wielkim apetycie, wciąż głodny. Pan i ja musimy porozmawiać o

interesach... mam nadzieję, że z korzyścią dla obu stron. Może pan tu mówić otwarcie, panie Taylor. Mój drogi Gunboy dopilnuje, żeby nam nie przeszkadzano.

Gunboy rzucił mi spojrzenie mówiące, żebym się zachowywał, a potem znów oparł się o drzwi. Jego wzrok stał się mętny, kiedy tylko zaczął myśleć o tym, o czym zazwyczaj myślą nastoletni mordercy... cokolwiek to jest. Z uwagi na własną dumę musiałem coś przedsięwziąć w jego sprawie. Uśmiechnąłem się swobodnie do Sweetmana, kiedy on układał fałdy kaftana tak, aby siedziało mu się jak najwygodniej. Wyglądał na człowieka, który lubi wygody. Odwzajemnił mój uśmiech niczym ulubiony wujek, który – jeśli przyszłaby mu na to ochota – obrzuciłby mnie smakołykami.

– Pańska reputacja wyprzedza pana, panie Taylor, nie inaczej, więc nie owijajmy w bawełnę. Szuka pan aktualnie pewnego cennego przedmiotu, który szczególnie mnie interesuje. Chodzi o skrzynkę, panie Taylor, skrzynkę z palisandru. Oczywiście nazywano ją już wieloma imionami, co nieuniknione w wypadku skarbu, który w ciągu wieków tyle razy zmieniał właściciela, ale sądzę, że może pan ją znać pod nazwą Ukojenie Serca.

– Ta nazwa jest mi znajoma – odparłem wymijająco.

Wybuchnął ostrym śmiechem.

– Podziwiam ludzi, którzy nie odkrywają kart, nie inaczej, panie Taylor! Ale tutaj nie trzeba być nieśmiałym. Szukam skrzynki z palisandru od wielu lat, w wielu krainach i na wielu światach, przy okazji wdając się w

spory z równie poważnymi kolekcjonerami, ale teraz... skrzynka trafiła do Nightside. I oto jesteśmy. Tak... Muszę zapytać, panie Taylor: Dlaczegoż to interesuje się pan skrzynką?

Nie widziałem powodu do ukrywania prawdy, więc podałem mu skróconą wersję tego, co powiedziała mi Holly, zatajając tylko jej imię. Kiedy skończyłem, Sweetman ponownie wybuchnął śmiechem.

– Bez względu na to, co jak się okaże, zawiera skrzynka z palisandru, panie Taylor, mogę pana zapewnić, że zdecydowanie nie jest to serce jakiejś nieistotnej czarownicy. Nie, nie... Skrzynka kryje źródło ogromnej mocy. Serce potężnego człowieka, może nawet jakiegoś boga... Niektórzy powiadają, że znajduje się w niej zachowane serce wielkiego, prastarego boga Luda, oryginalny kamień węgielny Londynu. Inni twierdzą, że jest tam zaginione serce tego straszliwego maga sprzed wieków, Merlina Satanspawna. A może serce Nikoli Tesli, załamanego i zgorzkniałego świętego dwudziestowiecznej nauki. Nie wiadomo na pewno niczego poza tym, że skrzynka mieści źródło siły, dla którego warto zginąć. Albo zabić. Sama skrzynka z pewnością okryła się już taką sławą, że stała się przedmiotem godnym każdej kolekcji, niezależnie od tego, co może zawierać.

– A zatem – podsumowałem – źródło bogactwa i być może mocy. Nic dziwnego, że tylu ludzi chce ją zdobyć.

– Przez lata przechodziła z rąk do rąk, a po drodze

okrywała się coraz to większą i krwawszą legendą, panie Taylor. Jest bezcenna, ponieważ nie ma na świecie dość pieniędzy, żeby ją kupić. Trzeba być na tyle odważnym, żeby ją sobie wziąć i zatrzymać.

Był pochylony do przodu, oblizywał wargi, a jego oczy lśniły. Był tak blisko zdobyczy, której szukał od tak dawna, że niemal czuł jej smak, i tylko chęć upewnienia się, czy wie o niej tyle co ja, powstrzymywała go przed ostrzejszymi metodami przesłuchania. Ponieważ nie mógł mieć pojęcia, jak mało naprawdę wiem, ostentacyjnie odchyliłem się w fotelu i wyciągnąłem leniwie nogi.

– A co według pana jest w palisandrowej skrzynce? – zapytałem.

On też rozparł się wygodniej i zmierzył mnie pełnym namysłu spojrzeniem, nie spiesząc się z odpowiedzią.

– Mam powody przypuszczać, że zawiera ona serce Williama Szekspira, panie Taylor. Niektórzy mówią, że to serce samej Anglii.

– A co począłby pan z nim, gdyby już je zdobył?

Sweetman uśmiechnął się szeroko.

– Mam zamiar je zjeść, panie Taylor! Ostatnio tylko najbardziej niespotykane i wymyślne eksperymenty gastronomiczne potrafią podniecić moje wybredne podniebienie, a ten konkretny delikates powinien się okazać niezwykle zadowalający... Pan ma dar odnajdywania zagubionych rzeczy, panie Taylor. Proszę odnaleźć dla mnie tę skrzynkę. Bez względu na to, ile płaci panu ta mała czarownica, podwoję jej stawkę.

– Przykro mi – powiedziałem – ale muszę być lojalny wobec klientów.

– Nawet jeśli pana okłamują?

– Może szczególnie wtedy.

Podniosłem się, chcąc wyjść, a Sweetman natychmiast dał znak stojącemu pod drzwiami Gunboyowi. Ten wyprostował się, kiedy podszedłem, i wyciągnął dłoń z kieszeni skórzanej kurtki. Ja z kolei wyjąłem zza pazuchy trencza torebkę grubo mielonego pieprzu, którą zawsze mam przy sobie, i rzuciłem mu całą jej zawartość w twarz. Zaskoczony błyskawicznie cofnął głowę, ale było już za późno. Zaczął kichać z całej siły raz po raz, a spod zaciśniętych powiek wypłynęły mu łzy. Wymachiwał palcem, ale to mnie nie zmartwiło. Z nosem i oczami pełnymi pieprzu z pewnością nie mógł skoncentrować się na tyle, żeby jego teoretyczne pistolety zadziałały. Nigdy nie należy wychodzić z domu bez przypraw. Przyprawy to nasi sprzymierzeńcy. Bez problemu wyminąłem szlochającego Gunboya i otworzyłem drzwi. Zaryzykowałem szybkie spojrzenie przez ramię, na wypadek gdyby Sweetman miał własną broń, ale całkowicie przestał się mną interesować. Obejmował trzęsące się ramiona Gunboya i pocieszał go jak dziecko. Albo prawie jak dziecko.

Zamknąłem za sobą cicho drzwi i wyszedłem z hotelu Des Heures. Przynajmniej nie zmarnowałem czasu.

*

Stara Hala Targowa to wielka, podobna do stodoły przestrzeń, a objazdowy targ Pamiątki Raz Na Zawsze zastawił ją od ściany do ściany setkami straganów wszelkich rozmiarów. W tym jednym miejscu sprzedawano więcej rzadkich i niezwykłych artefaktów, niż mogło się to pomieścić w ludzkiej głowie. Spacerowałem między straganami, zerkając na nie od niechcienia i uważając, żeby nie okazać zbyt wielkiego zainteresowania. Nie, żeby oferowano coś szczególnego... Stare nagranie w systemie Betamax, na którym Elvis grał Kapitana Marvela w filmie *Shazam!* z jakiegoś innego świata, z sześćdziesiątego dziewiątego roku; jedną z trumien Drakuli w zestawie z oryginalną ziemią z grobu i certyfikatem autentyczności; zmumifikowaną głowę Alfreda Garcii roztaczającą silną woń meksykańskich przypraw; zwierciadło Doriana Graya.

W końcu dotarłem do straganu Królowej Kier, jakbym tylko przez przypadek zmierzał w jego kierunku. Duża Dolores jak zwykle sama zajmowała się całym kramem, wielka jak samo życie i po dwakroć jak ono imponująca. Mierzyła przynajmniej metr osiemdziesiąt, była mocno zbudowana i miała na sobie strój w stylu cygańskim, włącznie z ewidentnie sztucznymi długimi, czarnymi lokami i całym mnóstwem brzęczących bransoletek na umięśnionych ramionach. Palce jej wielkich dłoni pokrywało tyle ciężkich metalowych pierścieni, że mogłaby użyć ich jako kastetu, i nie

wyglądało na to, by miała się przed tym zawahać. Była dość atrakcyjna na swój potężny, mroczny, nawet smagły sposób. Rzuciłem jej swój wypróbowany przypochlebny uśmiech, a jej złowrogie spojrzenie nie zmieniło się o jotę.

Udałem, że oglądam przedmioty wystawione na jej straganie, aby zdała sobie sprawę, że ta nachmurzona mina nie wystarczy, żeby mnie odstraszyć. Duża Dolores lubiła tytułować się Królową Kier, ponieważ jej specjalnością były artefakty związane z sercem. Aktualnie miała na sprzedaż starannie zakonserwowane serce Giacomina Casanovy (większe, niż mogłoby się wydawać), fiolkę krwi Wampira Varneya oraz należącą niegdyś do Lewisa Carrolla talię kart, w której wszystkie kiery namalowane były krwią. Nic specjalnego...

– Masz tupet, że się tu pokazujesz, Taylor – powiedziała w końcu Duża Dolores.

– Tylko się rozglądam – rzekłem swobodnym tonem.
– Lubię się dobrze porozglądać.

– Wynajęłam cię, żebyś odnalazł mojego męża!

– No i odnalazłem. Nie moja wina, że ktoś wymazał mu pamięć i że cię nie pamiętał. I zdecydowanie nie moja wina, że sam kazał sobie wymazać pamięć, żeby cię nie pamiętać. Może powinniście byli spróbować terapii małżeńskiej...

Rzuciła mi groźne spojrzenie.

– Nie zadzwoniłeś potem. Ani razu.

– Nie po to mnie wynajęłaś.

– Czego chcesz, Taylor? Bo im szybciej zejdziesz mi

z oczu, tym lepiej.

– Co możesz powiedzieć mi o skrzynce z palisandru zwanej przez niektórych Ukojeniem Serca?

Nie potrafiła się powstrzymać przed zdradzeniem mi wszystkiego. Uwielbia popisywać się swoją wiedzą, a nikt nie wie o sercach więcej niż Królowa Kier.

– Skrzynka powstała wieki temu, podobno w przedrewolucyjnej Francji. Stworzono ją, by pomieścić cierpienie kochanka o złamanym sercu. Włożył je całe do skrzynki, aby się od niego uwolnić. Stąd nazwa: Ukojenie Serca. Jakież to francuskie. Ale krążą też inne opowieści... że zawartość skrzynki w ciągu wieków stała się czymś innym. Zmieniła się w coś... mroczniejszego. Bardziej głodnego. Dzięki temu skrzynka jest idealnym miejscem do przechowywania wszelkiego rodzaju magicznych i ważnych serc. Dlatego też miała tyle innych nazw. Łamacz Serc, Głodne Serce, Ciemne Serce; płacisz i wierzysz, w co chcesz. Z tego, co wiem, od lat nikt nie miał odwagi jej otworzyć. Każdy kolekcjoner z choćby dwiema działającymi szarymi komórkami trzyma się od niej z daleka. A teraz kup coś albo spadaj.

Kiwnąłem uprzejmie głową i oddaliłem się od jej straganu tak szybko, jak mogłem, byle tylko nie wyglądało to na ucieczkę. Dostałem od Dużej Dolores wszystko, czego chciałem, ale wciąż konieczna była wyspecjalizowana pomoc, jeśli miałem znaleźć Gideona Brooksa, jego podróżujący dom i skrzynkę z palisandru. Skoncentrowałem się więc i przywołałem swój

wyjatkowy dar. Powoli otworzyło się moje trzecie, tajemne oko. Rozejrzałem się po Hali Targowej swoim wyczulonym Wzrokiem, szukając tego, czego potrzebowałem – klucza, który otworzyłby wędrujące między wymiarami drzwi. Coś rozjarzyło się niedaleko, rozbłysło jakby rozgrzane do białości mistycznym znaczeniem. Ruszyłem szybko przed siebie i w końcu zatrzymałem się przed straganem, który nie oferował niczego poza kluczami wszelkiego rozmiaru i kształtu. Były tam klucze uniwersalne, które otwierały wszystkie drzwi, błogosławione srebrne klucze do ujawniania tajemnic, solidne żelazne klucze do usuwania zaklęć cnoty. Klucze są prastarymi symbolami i potrafią odczynić najróżniejszą magię symboliczną.

Wśród niezliczonych wiszących w szeregach kluczy jeden się wyróżniał: widziany moim trzecim okiem lśnił jasno. Był to prosty mosiężny klucz pokryty przedludzkimi znakami. Widziałem już kiedyś podobne w pewnych bardzo trudno dostępnych książkach. Był to klucz przywołujący, który nie tylko otwierał każde drzwi, ale transportował je do otwierającego. Dokładnie to, czego potrzebowałem. Niestety na kluczu nie było metki z ceną. W takim miejscu mogło to oznaczać jedynie, że jeśli musisz pytać o cenę, jest ona dla ciebie zbyt wysoka. Użyłem więc swojego daru, aby dostrzec chwilę, kiedy właściciel straganu był skupiony na czymś innym, wyciągnąłem rękę, wziąłem klucz i odszedłem.

Zawsze mogłem go oddać później, kiedy nie będzie

mi już potrzebny. Kiedy będę miał chwilę. Właściciel straganu naprawdę powinien był zainwestować w jakieś przyzwoite zaklęcia zabezpieczające.

*

Szedłem beztrąsko do najbliższego wyjścia z kluczem w wewnętrznej kieszeni, kiedy Holly Wylde wyłoniła się nagle z tłumu i zaszła mi drogę. Uśmiechnęła się ujmująco.

– Miałam przeczucie, że cię tu spotkam. I proszę! Nie cieszysz się, że znów się spotykamy?

– Nie wiem – odparłem. – Wolę, żeby klienci mówili mi prawdę, o ile to możliwe.

– Nie do końca skłamałam. – Wydęła dolną wargę. – No dobrze, nie powiedziałam ci wielu rzeczy o skrzynce, ale byłam pewna, że sam dowiesz się tego wszystkiego, kiedy zaczniesz szukać. Nie chciałam cię odstraszyć, a tak bardzo pragnę odzyskać swoje serce! Po prostu nie mam pojęcia, co bez niego pocznę.

Westchnąłem. Trudno było się na nią gniewać. Choć pewnie powinienem zrobić ten wysiłek.

– Dlaczego Gideon Brooks miałby schować twoje serce w tak cennym i ważnym pojemniku?

– Ponieważ wiedział, że to jedyna należąca do niego rzecz, której nie rozpracuję – odparła naturalnym tonem.

– I chcesz odzyskać tylko swoje serce? – zapytałem. – Nie zależy ci na bezcennej skrzynce?

– No cóż, gdyby przypadkiem wpadła nam w ręce,

byłby to miły dodatek. Czyż nie?

– Znowu trzepoczesz rzęsami – zwróciłem uwagę. –
Przestań.

– Przepraszam. To nawyk.

– Nie tylko my szukamy skrzynki. – Wróciłem na
grunt, który uznałem za bezpieczniejszy. Opowiedziałem
jej o Sweetmanie i Gunboyu, a ona tupnęła stópką i
rzuciła kilka przekleństw używanych zazwyczaj przez
dzieci.

– Ten grubas i jego kochaś. Wiedziałam, że węższą za
nią, ale nie sądziłam, że są tak blisko. Musimy odnaleźć
Gideona, zanim oni to zrobią! Im zależy tylko na
skrzynce. Moje biedne serduszko nic by ich nie obeszło.

– Sweetman sprawiał wrażenie przekonanego, że w
skrzynce jest serce kogoś słynnego albo ważnego –
powiedziałem.

– Może i tak. Kto wie? – Holly wzruszyła lekko
ramionami. – Kto wie, ile serc w niej wylądowało przez
lata? Mnie obchodzi tylko moje. Co ty tu w ogóle robisz?
Co za okropne miejsce, tyle tu kiczu i tandety. Czuję, że
od samego bycia tutaj robię się bardziej passé.

– Zdobyłem tu pożyteczny drobiazg, który sprowadzi
nam drzwi Gideona – oświadczyłem.

Pisnęła z podniecenia i odtańczyła przede mną
radosny taniec.

– Tak! Tak! Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz!

– Mówię swoim klientom wszystko – stwierdziłem
znacząco. – Jesteś pewna, że i ty nie powinnaś mi czegoś

jeszcze powiedzieć?

– Nie wydaje mi się – powiedziała Holly Wylde, a jej oczy były pełne całkowicie nieprzekonującej niewinności.

*

Opuściliśmy Halę Targową razem, po czym znalazłem względnie spokojne i ciche miejsce, gdzie ponownie przywołałem swój dar. Wzrok pomknął z mojej głowy w nocne niebo upstrzone gwiazdami liczniejszymi, niż się zwykłemu światu kiedykolwiek śniło, a potem spojrzałem w dół, na obracające się powoli ulice Nightside. Wszędzie dookoła widziałem subtelne migotania i rozbłyski magicznych działań, a także bardziej dramatyczne łuny i detonacje towarzyszące zabawom szalonych naukowców. Wielkie, niewyraźne kształty maszerowały tam i z powrotem, przechodząc przez budynki, jakby tych tam nie było; to tylko prastarzy Straszliwcy zajmowali się swoimi niepojętymi sprawami. Ulicami mknęły wszelkiego rodzaju pojazdy, które wiozły wszelkiego rodzaju towary oraz ludzi i nie zatrzymywały się ani na chwilę. Niektóre budynki po prostu zniknęły w różnych kierunkach, aby zastąpiły je inne domy odbywające własne zagadkowe podróże.

Każdy wie, że najtrudniej trafić w ruchomy cel.

Jeśli chodzi o moje pozostające na dole ciało, chwyciłem mocno klucz przywołujący i skupiłem dar z jego pomocą. Jeden z budynków natychmiast przykuł moją uwagę, gdy klucz natrafił na drzwi, których

szukałem. Budynek skakał po całym Nightside, pojawiając się i znikając pozornie na chybił trafił. Jednak teraz, kiedy miałem klucz przywołujący, był bardziej jak ryba na haczyku. Zacząłem ścigać Gideona Brooksa po Nightside, trzymając się blisko niezależnie od tego, ile razy próbował się mnie pozbyć. Mój umysł szybował niemożliwie szybko z miejsca na miejsce, niewidoczny i niemożliwy do wykrycia, aż w końcu Gideon Brooks się poddał, a jego dom spoczął w miejscu i już tak został. Zmaterializował się tuż przede mną, ukazując mi niepozorne drzwi, i wcisnął się między dwie zupełnie przyzwoite budowle, które niechętnie się odsunęły. Sprowadziłem z powrotem mój umysł i puściłem klucz. Drzwi przede mną wyglądały na niegroźne, ale na wszelki wypadek sprawdziłem je Wzrokiem. Potężne zaklęcia ochronne spowijały całe drzwi, a także unosiły się z trzaskiem dookoła budynku.

Podniosłem klucz, wymamrotałem odpowiednie Słowa i odblokowałem jedno po drugim zabezpieczenia. Trochę to potrwało. Holly zachichotała radośnie i zaklaskała.

Właśnie wtedy pojawił się Sweetman z Gunboyem. Po prostu nagle zobaczyłem, że idą ulicą w naszą stronę. Sweetman toczył się przed siebie w obszernym białym kaftanie niczym statek pod pełnymi żaglami, a Gunboy kroczył u jego boku jak pies bojowy na krótkiej smyczy. Holly aż syknęła na ich widok, jakby była zirytowanym kotem, i szybko stanęła za mną. Starannie wycofałem

Wzrok, aby móc skoncentrować się na sytuacji.

– Mój drogi panie Taylor – zaczął Sweetman, stając przede mną. – Dobra robota, proszę pana, doprawdy dobra robota! Byłem pewien, że uda się panu dopaść Gideona Brooksa, ale muszę przyznać, że nie spodziewałem się, iż będzie pan też w stanie wytropić jego niezwykle dom. Nie powinien pan robić tak zaskoczonych miny na mój widok, drogi panie, naprawdę. Nieoceniony Gunboy i ja śledzimy pana od chwili, kiedy wyszedł pan z hotelu.

– Nieprawda – stwierdziłem stanowczo. – Zauważyłbym to.

– No cóż, nie osobiście – zgodził się Sweetman. – Pozwoliłem sobie wsunąć małe, lecz niezwykle potężne urządzenie lokalizacyjne do kieszeni pańskiego płaszcza, kiedy pan zajmował się biednym Gunboyem. Ten drogi chłopiec naprawdę świetnie się sprawdza w roli pozoranta.

Zerknąłem na Gunboya.

– I jak się czujesz z tym, że ktoś cię tak wykorzystuje?

Wyciągnął rękę z kieszeni i wycelował ją w moją stronę.

– Robię to, co każe mi pan Sweetman. Wy też powinniście.

– Pozwolisz mu tak do siebie mówić? – spytała Holly zza moich pleców.

– Dopóki mierzy we mnie z tej teoretycznej broni, tak – odparłem. – Panie Sweetman, o ile rozumiem... i jestem

gotów usłyszeć, że się mylę... sprawa ma się tak. Chce pan zdobyć skrzynkę z palisandru oraz bardzo ważne serce, które ona według pana zawiera. Nie jest pan natomiast zainteresowany sercem tej młodej damy, które też znajduje się w skrzynce.

Sweetman skłonił z rozwagą swoją wielką głowę.

– Bez urazy, młoda damo, ale nie zainteresowałbym się twoim sercem w żadnych okolicznościach.

– Muszę przyznać, że jak na kogoś, kto nie chciał mnie urazić – powiedziała Holly – poszło ci fatalnie.

– Grunt w tym – wtrąciłem szybko – że ponieważ wszyscy chcemy od Gideona Brooksa czegoś innego, nie musimy skakać sobie do gardeł. Możemy wspólnie zdobyć skrzynkę, a potem podzielić się jej zawartością.

– Zwariowałaś? – rzuciła Holly i wybiegła zza moich pleców, żeby móc spiorunować mnie wzrokiem. – Zrezygnować ze skrzynki?

– Wynajęłaś mnie, żebym odnalazł twoje skradzione serce – powiedziałem. – Chcesz mi teraz powiedzieć, że skrzynka jest ważniejsza?

– Nie. Zależy mi tylko na sercu. – Zerknęła na Gunboya. – Dobrze byłoby mieć do dyspozycji sporą siłę rażenia, skoro mamy się zmierzyć z Gideonem Brooksem.

Gunboy spojrział na Sweetmana, a potem wsunął dłoń do kieszeni.

– Nie dąsaj się, chłopcze – powiedział Sweetman. – To bardzo nieatrakcyjne.

Uśmiechnąłem się do wszystkich.

– Uwielbiam zawierać kompromisy.

*

A potem wszyscy się obejrzeliśmy, ponieważ drzwi, przed którymi staliśmy, same się otworzyły. Byłem nieco rozczarowany, że straciłem okazję do popisania się tym, co potrafię zdziałać moim darem oraz kluczem przywołującym. Długą chwilę staliśmy nieruchomo, przyglądając się otwartym drzwiom, ale nie wyłoniło się zza nich nic groźnego; ukazywały tylko nieprzenikniętą ciemność. Spojrzeliśmy po sobie, po czym ruszyłem pierwszy – choćby dlatego, że wątpiłem, by ktokolwiek z pozostałych zareagował rozsądnie na niespodziewane okoliczności. Sweetman i Gunboy kroczyli za mną, a Holly szła na końcu.

Od drzwi prowadził prosty, słabo oświetlony korytarz, w którym nie widać było żadnych oznak magii. Mógł to być każdy inny dom. Kiedy weszliśmy, drzwi zamknęły się cicho za nami. Nasza czwórka wypełniła większość wąskiego przejścia. Drzwi po lewej uchyliły się powoli, a ja zaprowadziłem grupę do sąsiedniego pokoju. W razie wątpliwości należy pozorować pewność siebie. Pokój był spory i oświetlony ciepłym światłem. Nie było w nim mebli ani innego wyposażenia, tylko naga, drewniana podłoga i zwyczajnie ubrany mężczyzna w średnim wieku, o pospolitej twarzy, który siedział na krześle otoczonym wielkim pentagramem wypalonym w parkiecie. Trzymał proste drewniane pudełko, długie

może na trzydzieści centymetrów i dwa razy węższe.

Linie pentagramu rozjarzyły się nagle, kiedy Sweetman zbliżył się do nich; stanął jak wryty. Kształt zapłonął oślepiającym biało-niebieskim światłem nadprzyrodzonej energii. Sweetman cofnął się ostrożnie i dał znak Gunboyowi, ten zaś uśmiechnął się powoli i wyciągnął dłonie z kieszeni kurtki. Potem zamarł, spojrzał na Sweetmana niemal żałośnie i na powrót schował ręce. Wyglądało na to, że teoretyczne pistolety nie mogły się równać ze starszą, potężniejszą magią.

Zerknąłem na Holly. Wlepiała wzrok w Gideona, ale nie potrafiłem zinterpretować jej miny. Nie wyglądała na rozgniewaną czy przestraszoną, tylko bez reszty skoncentrowaną na skrzynce, którą trzymał.

– Jesteś czarownicą – powiedziałem do niej cicho. – Nie możesz nic zrobić?

Wciąż patrząc na Gideona, wykrzywiła nagle twarz. Może była to tylko kwestia tego grymasu, ale nie wyglądała już ładnie.

– Gdybym potrafiła przebić się przez jego zabezpieczenia, nie potrzebowałabym twojej pomocy.

– Nigdy nie lubiłaś polegać na innych – odezwał się miłym tonem mężczyzna siedzący na krześle. – I naprawdę nie potrafiłaś znieść tego, że ktoś ma nad tobą władzę, nawet kiedy przychodziłaś do niego uczyć się magii. Byłaś moją najlepszą uczennicą, moja droga... dopóki nie stałaś się niecierpliwa i nie próbowałaś wykraść moich tajemnic. A kiedy ci się to nie udało,

musiałaś zacząć szukać źródeł mocy we wszelkiego rodzaju nieodpowiednich miejscach. – Zerknął na mnie. – Cokolwiek panu powiedziała, nie może pan w to wierzyć. Powie i zrobi wszystko, żeby dopiąć swego. Spała z demonami, by nauczyć się od nich magii, której przekazania jej odmówiłem, kradła grymuary i potężne artefakty i ukradłaby moje serce... gdybym nie podjął środków ostrożności.

– Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić – powiedziała Holly. – Gdybym zdobyła twoje serce, nauczyłbyś mnie wszystkiego, czego bym zechciała. A jeśli chodzi o demony, absolutnie każdy był lepszy w łóżku niż ty.

Kobiety zawsze walczą nieczysto.

– Kazałem mojemu domowi się przemieszczać, żebyś mnie nie odnalazła – rzekł Gideon. – Powinienem był wiedzieć, że pójdziesz do osławionego Johna Taylora, człowieka, który potrafi znaleźć wszystko. Co panu powiedziała, panie Taylor? Kiedy akurat nie rzucała tych swoich ślicznych uśmiechów?

– Powiedziała, że ukradłeś jej serce – odparłem. – I schowałeś je w skrzynce z palisandru.

– Och, Holly. – Gideon aż wybuchnął krótkim śmiechem. – To moje serce jest w skrzynce, panie Taylor. Włożyłem je tam po tym, jak próbowała je ukraść, ponieważ nie mogła znieść myśli, że ktokolwiek mógłby trzymać ją w szachu.

– I... nic do niej nie czujesz? – zapytałem, żeby się

upewnić.

– Ach – rzekł Gideon. – Powinienem był wiedzieć, że to serce całej tej sprawy, że tak powiem. Czy to dlatego tu jesteś, Holly?

– Nigdy mnie nie kochałeś! – zawołała czarownica. Stała dokładnie naprzeciwko niego, tuż za granicami pentagramu, a jej drobne dłonie były zaciśnięte w pięści. – Zrobiłam wszystko jak należało, a ty i tak mnie nie pokochałeś!

– Nigdy nikogo nie kochałaś – stwierdził spokojnie Gideon. – Zawsze najbardziej uwielbiałaś władzę. Ja byłem tylko twoim mentorem.

Holly odwróciła się nagle do mnie.

– Wierzysz mi, prawda, John? Zdobędziesz dla mnie tę skrzynkę. A potem będziemy go mogli zmusić do wszystkiego!

– Przykro mi – powiedziałem – ale ani przez chwilę ci nie wierzyłem, Holly. Wynajęłaś mnie, żebym odnalazł skrzynkę z palisandru. Oto ona.

– To ona rozpuściła wieść, że mam skrzynkę – dodał Gideon. – Żeby chciwi ludzie z całego świata przybyli ją odnaleźć, a ona mogła ich na mnie napuścić. Na wypadek gdyby panu się nie udało, panie Taylor. Jak się pan czuje z tym, że ktoś pana tak wykorzystał?

Wzruszyłem ramionami.

– Ryzyko zawodowe.

Gideon Brooks zainteresował się Sweetmanem i Gunboyem.

– To naprawdę tylko zwykły pojemnik. Może trochę sławniejszy niż inne. Możliwe, że swego czasu mieścił w sobie jakieś ważne lub znaczące przedmioty, ale jedyne serce, które teraz zawiera, należy do mnie. Aby Holly nie mogła się do niego dostać.

Krótki wybuch śmiechu Sweetmana był jeszcze mniej wesoły niż zazwyczaj.

– Drogi panie, nie spodziewa się pan chyba, że w to uwierzę? Gonilem za tą skrzynką przez nieznanne miasta i zalane krwią ulice i będzie moja. Gunboyu, wyceluj swoje cudowne dłonie w pana Taylora i tę małą czarownicę. A teraz, panie Brooks... proszę oddać mi skrzynkę albo odpowiedzialność za wszystko, co mój pełen entuzjazmu młody towarzysz zrobi tej parze młodych ludzi, spadnie na pana.

Holly spojrzała na Gunboya, a potem na Gideona.

– Nie pozwoliłbyś mu mnie skrzywdzić, prawda, skarbie? Powiedziałaś przecież, że byłam twoją najlepszą uczennicą...

– Miałem przed tobą innych uczniów – oznajmił Gideon – a po tobie będą kolejni. Choć mam nadzieję, że następnym razem dokonam nieco rozważniejszego wyboru. Wbrew rozsądkowi wciąż całkiem cię lubię, Holly. Ale nie na tyle, żeby ryzykować moje serce.

– A co ze mną? – zapytał.

– Co z panem? – odparł Gideon.

– Aha – powiedziałem.

– No cóż – wtrąciła pogodnym tonem Holly – plan B.

– Obdarzyła Gunboya swoim najbardziej czarującym uśmiechem i nabrała głęboko tchu.

Sweetman zachichotał.

– Wierz mi, młoda damo, nie masz absolutnie niczego, czego mógłby pragnąć mój drogi Gunboy.

– Ale on ma coś, czego ja chcę – stwierdziła Holly. – Chcę jego serca.

Wyciągnęła nagle dłoń i zrobiła gest, jakby coś chwyciła, a Gunboy wygiął plecy w łuk i wrzasnął przeraźliwie, kiedy jego klatka piersiowa eksplodowała. Czarna skórzana kurtka się rozdarła, nagie ciało pod nią pękło, jego serce zaś wyrwało się ze swojego miejsca między kośćmi i pomknęło w powietrzu do czekającej ręki Holly. Gęsta krew pociekła między jej palcami; serce wciąż biło. Holly wykrzywiła swoje ładne różowe usteczka w krótkim grymasie niesmaku, a potem zacisnęła dłoń z nagłą, brutalną siłą, miażdżąc serce. Gunboy padł bezwładnie na ziemię z przerażeniem w wytrzeszczonych wciąż oczach i zakrwawioną, zmasakrowaną piersią. Sweetman wydał okrzyk bezgranicznego cierpienia i klęknął przy młodzieńcu, aby wziąć jego zwłoki w swoje potężne ramiona. Biały kaftan nasiąknął krwią, kiedy Sweetman kołysał Gunboya niczym śpiące dziecko. Po jego twarzy popłynęły łzy.

– A więc takiego rodzaju czarownicą jesteś – zwróciłem się do Holly.

Upuściła zmiażdżone serce na podłogę i strząsnęła krew z bladych palców. Uśmiechnęła się do mnie uroczo.

– Jestem czarownicą, której nie należy rozczarowywać. Mówiłam ci przecież, że Gideon zajmuje się zakazaną wiedzą, a ja tak pilnie słuchałam. A teraz bądź dobrym chłopcem i przynieś mi skrzynkę. Znajdziesz sposób na ominięcie zabezpieczeń Gideona. To przecież robisz najlepiej.

– Tak – rzekłam. – Ale nie wszystko mam ochotę zrobić.

Obrzuciła mnie zimnym, wyrachowanym spojrzeniem, a ja odwzajemniłem je niewzruszenie. Nigdy nie należy okazywać strachu.

– Kupiłam twoje usługi za tysiąc funtów dziennie – powiedziała w końcu Holly – a dzień się jeszcze nie skończył.

– Znalazłem dla ciebie skrzynkę – stwierdziłem. – Nie moja wina, że twojego serca w niej nie ma. Jednak po całym śledztwie wiem o niej pewnie więcej niż ty. Zrobiono ją, żeby pomieściła cały ból i zgryzotę czyjegoś złamanego serca. Ono wciąż tam jest. Uwięzione w środku od wieków robi się coraz silniejsze i coraz bardziej sfrustrowane. Od tak dawna jest samo, że na pewno bardzo już brakuje mu towarzystwa. Możesz znać skrzynkę jako Ukojenie Serca, i być może początkowo tak właśnie się nazywała. Teraz jednak ma inną nazwę: Głodne Serce.

Przywołałem swój dar, znalazłem drogę przez zabezpieczenia Gideona, a potem dzięki darowi otworzyłem kluczem skrzynkę z palisandru. Wieko się

uniosło, a spoczywające w środku Głodne Serce chwyciło Holly i w mgnieniu oka wciągnęło ją do środka. Porwałoby i mnie, gdyby Brooks natychmiast nie zatrzasnął wieka. Zmierzyliśmy się wzrokiem w cichym nagle pokoju.

– Chciała mojego serca – odezwał się Gideon. – Teraz może dotrzymać mu towarzystwa... na zawsze.

Sweetman, który wciąż obejmował ciało Gunboya, podniósł wzrok.

– Co to jest... Co naprawdę jest w tej skrzynce?

– To, z czego rodzą się krzyki⁴ – powiedziałem.

4 Aluzja do zdania kończącego mowę Prospera w *Burzy* Szekspira; w oryg. *The stuff that screams are made of* (przyp. tłum.).

STEVEN SAYLOR

Autor bestsellerów Steven Saylor jest jedną z najjaśniejszych gwiazd nurtu historycznej powieści detektywistycznej wraz z takimi autorami, jak Lindsey Davis, John Maddox Roberts i nieżyjąca już Ellis Peters. Jest autorem wielotomowej serii „Roma sub rosa” opowiadającej o przygodach Gordianusa Poszukiwacza, detektywa żyjącego w starożytnym Rzymie, który został wyraziście odmalowany w powieściach: *Roman Blood* (*Rzymska krew*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2001), *Arms of Nemesis* (*Ramiona Nemezis*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2001), *Catilina's Riddle* (*Zagadka Katyliny*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2002), *The Venus Throw* (*Rzut Wenus*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2002), *A Murder on the Appian Way* (*Morderstwo na Via Appia*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2003), *Rubicon* (*Rubikon*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2003), *Last Seen in Massilia* (*Ostatnio widziany w Massilii*, przeł. Janusz Szczepański REBIS, 2003), *A Mist of Prophecies* (*Mgliste proroctwa*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2004) oraz *The Judgment of Caesar* (*Werdykt cezara*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2004). Krótsze opowiadania o perypetiach Gordianusa zawarte zostały w *The House of the Vestals: The Investigations of Gordianus the Finder* (*Dom westalek*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2004) i *A Gladiator*

Dies Only Once: The Further Investigations of Gordianus the Finder (*Gladiator umiera tylko raz*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2005). Inne książki Saylora to *A Twist at the End, Have You Seen Dawn?* oraz potężna powieść historyczna niedotycząca Gordianusa *Roma: The Novel of Ancient Rome* (*Rzym*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2008). Najświeższymi pozycjami jego autorstwa są: książka o Gordianusie, *The Triumph of Caesar* (*Triumf cezara*, przeł. Janusz Szczepański, REBIS, 2009), oraz kontynuacja *Rzymu – Empire: The Novel of Imperial Rome* (*Cesarstwo*, przeł. Janusz Szczepański REBIS, 2011). Mieszka w Berkeley w Kalifornii.

Pełnym napięcia opowiadaniem *Mury i lemury* Saylor rozpoczyna całkowicie nową serię opowieści, w których młody Gordianus odwiedzi siedem cudów świata; jego towarzyszem podróży jest wiekowy grecki poeta Antypater z Sydonu. Cykl o siedmiu cudach świata rozgrywa się w latach 92–90 p.n.e., stanowi więc prequel do pierwszej części serii „Roma sub rosa”, *Rzymskiej krwi*, której akcja toczy się w 80 r. p.n.e. Gordianus i Antypater zapuszczają się daleko poza granice Rzymu i Grecji, aby odkryć, że ze świetności legendarnego Babilonu został już tylko cień, a samo miasto nawiedza i gnębi jego rozpustna przeszłość.

MURY I LEMURY

W Babilonie zobaczymy nie jeden, ale dwa ze wspaniałych cudów świata – oznajmił Antypater. – A przynajmniej to, co z nich zostało.

Poprzednią noc spędziliśmy w przykurzonej małej gospodzie nad Eufratem. Mój towarzysz podróży był milczący i naburmuszony, odkąd tego ranka wstał z łóżka – starzy ludzie z trudem znoszą podróże – ale w miarę jak zbliżaliśmy się do Babilonu, jadąc na południe wiekową drogą wiodącą wzdłuż rzeki, humor mu się poprawiał i stopniowo odzyskał energię.

Właściciel gospody powiedział nam, że od prastarego miasta dzieli nas najwyżej kilka godzin drogi, nawet biorąc pod uwagę niespieszne tempo naszych osłów, i przez cały ranek na niskim horyzoncie przed nami majaczyła smuga, która mogła być miastem; bardzo, bardzo powoli robiła się coraz wyraźniejsza. Tereny między Tygrysem a Eufratem i w promieniu wielu mil od nich są całkowicie płaskie: nie urozmaicają ich nawet niskie pagórki. Można by pomyśleć, że na tak ogromnej, pozbawionej rzeźby równinie da się sięgnąć wzrokiem nieskończenie daleko, ale unoszące się znad ziemi fale rozgrzanego powietrza zniekształcały widok, tak że bliskie i odległe obiekty nabierały niewyraźnego, a czasem nawet niesamowitego wyglądu. Oddalona wieża okazała się palmą, sterta dziwnie nieruchomych –

martwych? – ciało nagle zmieniła się w stertę żwiru ułożoną, zdaje się, przez tego, kogo zadaniem było utrzymywanie drogi w dobrym stanie.

Z górą godzinę próbowałem się połapać w podróżującej na północ grupie ludzi, która – przynajmniej tak mi się wydawało – nadciągała w naszą stronę. Drgające fale gorącego powietrza to powiększały grupę, to ją zmniejszały, potem ukryły ją całkowicie, a następnie znów ukazały. Początkowo uznałem, że to drużyna zbrojnych, ponieważ odniosłem wrażenie, że światło słońca odbija się od ich oręża. Potem zdecydowałem, że widzę tylko samotnego człowieka na koniu – może miał hełm albo inny element uzbrojenia, który lśnił niebieskawo. Jeszcze później ta zbliżająca się do nas osoba, grupa czy cokolwiek to było, zniknęła w mgnieniu oka. Przebiegł mnie dreszcz i zacząłem się zastanawiać, czy czeka nas spotkanie z zastępem zjaw.

W końcu spotkaliśmy nadjeżdżających z naprzeciwka podróżnych. Okazało się, że to kilku uzbrojonych strażników oraz dwa niewielkie, zaprzężone w osły wozy wyładowane stosami cegieł, ale zupełnie innych od tych, do których przywykłem. Były spore – boki większości mierzyły może stopę – i miały najróżniejsze kształty, a ich zewnętrzne powierzchnie pokryto jaskrawą glazurą: żółtą, niebieską albo wielokolorową. Nie były nowe – nierówne krawędzie i wciąż trzymające się ich resztki zaprawy wskazywały, że wydlubano je z jakiejś istniejącej budowli – ale spod odrobiny kurzu kolorowe glazury lśniły niczym

klejnoty.

Antypater był bardzo podekscytowany.

– Czy to możliwe? – mruknął. – Cegły z legendarnych murów Babilonu!

Stary poeta zgramolił się z osła i szurając nogami, podszedł do bliższego wózka. Wyciągnął dłoń i dotknąwszy jednej z cegieł, przesuwał palcami po połyskującym niebieskim szkliwie.

Woźnica zaprotestował i zawołał uzbrojonego strażnika, ten zaś dobył miecza i podszedł bliżej. Potem jednak, widząc wybałuszone z zachwyty oczy Antypatra, woźnica zaśmiał się i odprawił strażnika gestem. Powiedział coś do poety w mowie, której nie rozpoznałem. Najwyraźniej Antypater też nie, ponieważ podniósł wzrok na mężczyznę i zapytał:

– Mówisz grecki?

Pierwszy raz w życiu byłem w krainie, w której większość mieszkańców używała innego języka niż łacina lub greka. Antypater znał odrobinę partyjski, ale zauważyłem, że woli zwracać się do miejscowych łamaną greką, jakby jakimś sposobem była dla nich bardziej zrozumiała niż nieskazitelna wymowa, której używał zazwyczaj.

– Znam grecki, tak, trochę – odparł woźnica, zbliżając kciuk do palca wskazującego.

– Jedzcie z Babilonu, nie? – Antypater miał też w zwyczaju podczas rozmów z miejscowymi podnosić głos, jakby byli głusi.

– Z Babilonu, tak.

– Jak daleko? – Poeta wykonał skomplikowaną pantomimę, aby wyjaśnić, co ma na myśli.

– Do Babilonu? Stąd? Och, dwa godziny. Może trzy – poprawił się woźnica, zerknąwszy na nasze zmęczone osły.

Antypater spojrział w stronę smugi na horyzoncie, która powiększyła się znacząco, ale wciąż nie wyglądała, jakby miała się przeobrazić w strzeliste mury. Westchnął.

– Zaczynam się obawiać, Gordianusie, że po sławnych murach Babilonu być może nie zostało absolutnie nic. Gdyby były tak wielkie, jak mówi legenda, i gdyby istniały wciąż chociaż ich pozostałości, z pewnością już byśmy mogli je dostrzec.

– Cegły ze starych murów, tak – powiedział woźnica, który zrozumiał tylko część wypowiedzi Antypatra. Wskazał ładunek. – Sąsiad znalazł, zakopane za domem. Bardzo rzadkie. Bardzo cenne. Sprzedał bogatemu kupcowi z Ktezyfonu. Teraz sąsiad jest bogaty.

– Piękne, czyż nie, Gordianusie? – Antypater pogładził dłonią glazurowaną powierzchnię, a potem podniósł cegłę, aby spojrzeć na jej spód. – Na Zeusa, na tej nawet odcisnięto imię Nabuchodonozora! Musi zatem pochodzić z czasów jego rządów. – Przez chwilę miałem wrażenie, że Antypater zaraz zacznie deklamować, ponieważ spontaniczne tworzenie wierszy było jego specjalnością, ale myśli poety potoczyły się bardziej praktyczną ścieżką. – W Rzymie te cegły byłyby warte

fortunę. Mój patron Kwintus Lutacjusz Katulus ma kilka i wystawia je jako atrakcję w ogrodzie. Myślę, że za te pięć czy sześć babilońskich cegieł zapłacił więcej niż za wszystkie posągi w swoim domu razem wzięte. No cóż, w drogę.

Antypater dał woźnicy monetę za fatygę i na powrót dosiadł osła, po czym znów ruszyliśmy w powolną, miarową podróż w stronę migoczącej smugi w oddali.

Odchrząknąłem.

– Dlaczego te stare cegły są tak cenne? I dlaczego Babilończycy w ogóle budowali mury z cegieł? Wydawało mi się, że każdy porządny mur miejski powinien być z kamienia.

Antypater rzucił mi spojrzenie, od którego poczułem się, jakbym miał dziewięć lat, a nie dziewiętnaście.

– Rozejrzyj się, Gordianusie. Widzisz jakieś kamienie? W promieniu wielu mil nie ma ani jednego kamieniołomu. Ta część świata jest całkowicie pozbawiona kamieni nadających się do budowy świątyń i innych budynków, nie wspominając nawet o murach, które ciągną się milami i są tak szerokie, że mogą po nich jeździć rydwany. Nie, poza kilkoma świątyniami zdobionymi wapieniem i bituminem, które sprowadzono ogromnym kosztem, miasto Nabuchodonozora zbudowano z cegieł. Wytworzono je z gliny zmieszanej z drobno pociętą słomą, którą potem ukształtowano formami i utwardzono w ogniu. Co niezwykle, takie cegły są niemal równie mocne jak kamień, a w starożytnym

języku Chaldejczyków, mówiąc o cegle i kamieniu, używa się tego samego słowa. Oczywiście nie można w nich rzeźbić tak jak w kamieniu, ale można je ozdobić kolorowymi glazurami, które nigdy nie blakną.

– A zatem słynne mury Babilonu zbudował... – Zawahałem się przed trudnym imieniem.

– Król Nabuchodonozor. – Antypater wypowiedział je starannie, tak jak wtedy, kiedy rozmawiał z woźnicą. – Według legendy sam Babilon założyła asyryjska królowa Semiramida, która żyła w czasach Homera. Ale to dzięki znacznie późniejszemu królowi z dynastii chaldejskiej Babilon wzniósł się na szczyty świetności. Władca ten nazywał się Nabuchodonozor i rządził pięćset lat temu. Odbudował całe miasto tak, aby składało się z długich, prostych alei przecinających się pod kątem prostym – to znacznie różni się od znanego ci rzymskiego chaosu, Gordianusie – a ponadto ozdobił je wspaniałymi świątyniami bogów babilońskich, z których najważniejszymi są Marduk i Iszar. Wzniósł gigantyczny kompleks świątynny zwany E-temenanki, czyli „fundament nieba i ziemi”. To ogromny, siedmiopoziomowy ziggurat; niektórzy mawiają, że pod względem wielkości może się on równać piramidom w Egipcie i sam powinien zostać zaliczony do siedmiu cudów świata. Aby sprawić radość swojej medyjskiej królowej, która tęskniła do górskich lasów i ukwieconych łąk dalekiej ojczyzny, Nabuchodonozor zbudował wiszące ogrody, raj przycupnięty wysoko nad ziemią niczym

ptasie gniazdo. Otoczył też miasto murem wysokim na siedemdziesiąt pięć stóp i szerokim na trzydzieści; na jego szczycie mogły się wyminąć dwa rydwany. Mury wzmocniono blankami i wieżami sięgającymi ponad stu stóp, a na całej długości ozdobiono niebiesko-żółtymi wzorami i obrazami, aby Babilon Nabuchodonozora migotał z oddali niczym korale z lazurytu na złotym naszyjniku.

Zerknął z powątpiewaniem na horyzont. Smuga wciąż rosła, ale przypominała bardziej plamę błota niż klejnot – choć wydawało mi się, że zaczynam dostrzegać zarys ogromnej budowli, która wznosiła się ponad resztę smugi i lśniła wieloma kolorami. Czy to był ziggurat?

– Jaki los spotkał imperium Nabuchodonozora? – zapytałem. – Co się stało z jego murami?

– Imperia powstają i upadają. Nawet imperium rzymskie któregoś dnia... – Antypater nie po raz pierwszy dał upust pogardzie dla imperialnej władzy Rzymu, ale nawet tutaj, z dala od jego wpływu, wypowiadał takie słowa półgłosem. – Jak Chaldejczycy pokonali Asyryjczyków, tak Persowie pokonali Chaldejczyków. Sto lat po śmierci Nabuchodonozora Babilon zbuntował się przeciwko Kserksesowi, temu samemu perskiemu władcy, który wpadł na niedorzeczny pomysł podbicia Grecji. W Babilonie lepiej mu się powiodło: splądrował miasto i ograbił świątynie, a niektórzy powiadają, że zburzył też wielkie mury, niemal zrównując je z ziemią. Podobno zostały po nich tylko sterty glazurowanych

cegieł pożądaných przez kolekcjonerów z całego świata. Sto lat później, kiedy miasto najechał Aleksander, Babilończycy nie stawili mu oporu i wyszli go powitać, więc może faktycznie nie mieli już murów, które mogłyby ich obronić. Podobno Aleksander zamierzał przywrócić Babilonowi jego dawną świetność i uczynić z niego stolicę świata, ale udało mu się tylko umrzeć tam w wieku trzydziestu dwóch lat. Jego następca zbudował niedaleko, nad Tygrysem, nowe miasto i nadał mu własne imię. Nowa stolica, Seleucja, przejęła resztki bogactwa i władzy pozostałej w Babilonie, a prastare miasto popadło w dużej mierze w zapomnienie. Pamiętali o nim jedynie uczeni i mędracy, którzy przybyli tu tłumnie, zwabieni niskimi czynszami, oraz astrologowie, którzy podobno uważają ziggurat za idealne miejsce do obserwowania gwiazd.

– Mamy zatem sporą szansę spotkać w Babilonie astrologów? – zapytałem.

– Bez wątpienia. Astrologia wywodzi się od Chaldecycków. Wiem, że ta nauka wciąż jest nowością w Rzymie, ale wśród Greków zyskuje popularność, od kiedy babiloński kapłan Marduka o imieniu Berossos założył w czasach Aleksandra szkołę astrologii na Kos.

Jechaliśmy chwilę w milczeniu. Byłem już pewny, że najwyższy fragment zbliżającej się całej czas smugi w rzeczy samej jest wielokolorowym zigguratem górującym nad zarysem Babilonu. Widziałem też coś, co przypominało mur, choć niezbyt wysoki; miało jednak czerwonawobrazowy kolor, jakby było zbudowane ze

zwykłych glinianych cegieł, a nie z błyszczącego lazurytu i złota.

– A co z wiszącymi ogrodami, które Nabuchodonozor zbudował dla swojej żony? Nadal istnieją? – zapytałem.

– Wkrótce się przekonamy – odparł Antypater.

*

W końcu wzniósł się przed nami Babilon. Antypater nie ukrywał głębokiego rozczarowania.

– No cóż, byłem na to przygotowany. – Westchnął, kiedy przejeżdżaliśmy nad suchą fosą i przez bramę. Gdybyśmy natknęli się na taki mur gdziekolwiek indziej, uznalibyśmy go za dość imponujący – wznosił się na wysokość może trzydziestu stóp i ciągnął wzdłuż Eufratu jak okiem sięgnąć – ale zbudowano go ze zwyczajnych rudobrazowych cegieł. Ten mur z pewnością nie zaliczał się do cudów świata.

Przecieliśmy tętniący życiem targ pełen egzotycznych zapachów i interesujących postaci; miejsce to emanowało staroświeckim, zaściankowym urokiem, ale nie poczułem charakterystycznej ekscytacji towarzyszącej przebywaniu w jednym z wielkich miast świata, takim jak Rzym czy Efez.

A potem zobaczyłem przed nami Bramę Isztar.

Wtedy nie wiedziałem, jak się nazywa. Wiedziałem tylko, że rozdziawiłem nagle usta, a serce zabiło mi szybciej. Jasne światło słońca odbijało się od wielokolorowych kafli, nadając życie wspaniałym

podobiznom niezwykłych zwierząt: potężnych turów o ogromnych rogach, ryczących lwów i przerażających smoków. Inne wzory były bardziej abstrakcyjne – przypominały klejnoty albo kwiaty, tyle że gigantyczne. Dominował kolor niebieski, tyle jego odcieni, ile można zobaczyć w ciągu dnia na powierzchni morza, od jasnego błękitu południa po indygo północy. Widać też było wiele odcieni żółci i złota, a brzegi były soczyście zielone. Wznoszące się nad nami gzymsy ozdobiono dekoracyjnymi blankami, których wzór cieszył oko. Brama stanowiła jednak jedyny zachowany fragment: obie jej strony wieńczył krótki odcinek murów, które później urywały się raptownie.

Widząc nasze zadziwienie, grupa miejscowych podbiegła i zaczęła się przekrzykiwać, aby wciągnąć nas do rozmowy. W końcu Antypater skinął głową jednemu z ludzi, który chyba najbieglej posługiwał się greką.

– Co to jest? – zapytał.

– Wielki mur! – oznajmił mężczyzna. Miał postrzępioną brodę i brakowało mu kilku zębów.

– Ależ to nie może być całość muru – zaprotestował Antypater.

– Wszystko, co z niego zostało – powiedział miejscowy. – Kiedy Kserkses burzył mury Nabuchodonozora, kazał zostawić tę bramę, aby pokazać, jak wielką konstrukcję zniszczył. Nazywa się ją Bramą Isztar, ku czci bogini. – Wyciągnął dłoń, na której Antypater posłusznie położył monetę.

– Pomyśl tylko, Gordianusie – szepnął poeta – sam Aleksander przejechał przez tę właśnie bramę, kiedy triumfalnie wkroczył do miasta.

– Nic dziwnego, że chciał, aby jego stolica mieściła się tutaj – rzekłem, podnosząc wzrok, kiedy znaleźliśmy się pod wysokim łukiem. – Nigdy nie widziałem niczego podobnego. Jest naprawdę zjawiskowa.

– Wyobraź sobie wiele takich bram połączonych nie mniej zjawiskowym murem, który ciągnął się całymi milami – dodał Antypater. Pokręcił głową. – A teraz nic poza tą bramą już nie istnieje.

Ruszyliśmy dalej, a nasz rozmówca sprzed chwili podążył za nami.

– Pokażę wam wszystko – zaproponował. – Pokażę wam wiszące ogrody, dobrze?

Antypater się rozpogodził. Czy było możliwe, że legendarne ogrody wciąż istnieją, tak wiele wieków po czasach Nabuchodonozora i jego medyjskiej królowej?

– Niedaleko, niedaleko! – obiecał mężczyzna, pokazując nam kierunek. Zapytałem o jego imię.

– Dariusz – odpowiedział – jak wielki perski król. – Odsłonił w uśmiechu te zęby, które mu jeszcze zostały.

Przejechaliśmy przez nędzny plac, gdzie kupcy sprzedawali tanie bibeloty – miniaturowe tury, lwy i smoki – podróżnym, których było mnóstwo. Nie tylko my przybyliśmy tego dnia do Babilonu w poszukiwaniu słynnych cudów. Za labiryntem zakurzonych, krętych uliczek, które z pewnością nie miały nic wspólnego z

geometrycznie rozplanowanymi przez Nabuchodonozora alejami, w końcu dotarliśmy do podnóża potężnej ruiny. Wydawało się całkiem możliwe, że ta struktura sięgała nieba – albo kiedyś sięgała, nim zniszczył ją czas lub człowiek – więc do pewnego stopnia przypominała górę, choć niewielką.

Za namową Dariusza zeszliśmy na ziemię i podążyliśmy jego śladem. Nie uszliśmy jednak daleko, gdy jakiś inny człowiek zatrzymał nas i zażądał zapłaty za ten przywilej; obiecał też, że popilnuje naszych osłów. Antypater podał odźwiernemu odpowiednią sumę, a Dariusz zaprowadził nas do schodów wiodących między gruzami w stronę ciągu małych podestów. Wzdłuż nich ktoś rozmieścił liczne rośliny w donicach, a na niektórych podestach patykowate drzewka i podsuszone krzaki wyrastały prosto ze żwiru. Opłakany stan całości wywoływał raczej smutek niż podziw. W końcu dotarliśmy do otwartej platformy w pobliżu szczytu; stojące tam połamane kolumny i popękane spore cegły, którymi wyłożono nawierzchnię, świadczyły, że był tam niegdyś wspaniały taras, obecnie ocieniony palmami daktyłowymi i przesycony zapachem niewielkich drzew cytrynowych i pomarańczowych. Liście drzewa oliwnego o powykręcanych gałęziach połyskiwały srebrem i zielenią, ruszając się na wietrze.

– Daleko temu do zbudowanego przez Nabuchodonozora górskiego lasu – mruknął Antypater, sapiąc po wspinaczce. Sam miałem lekkie zawroty głowy.

– Jak podlewa się te wszystkie rośliny? – zapytałem.

– Ach, jesteś mądry, mój młody przyjacielu! – oznajmił nasz przewodnik. – Widzisz sekret wiszących ogrodów. Chodź, zobacz!

Dariusz poprowadził nas do widocznych niedaleko, otoczonych cegłami drzwi, które wychodziły na szyb wiodący pod łagodnym kątem w dół. Tym słabo oświetlonym korytarzem wspinał się w naszą stronę mężczyzna, który miał na ramionach nosidła z wiadrem wody na każdym końcu. Choć nosiwoda dyszał i był zlany potem, rzucił nam zmęczony uśmiech, kiedy wyszedł na światło dnia i minął nas ciężkim krokiem.

– Dobrze, że jesteśmy blisko rzeki, skoro ludzie muszą całymi dniami nosić wodę tym korytarzem – powiedziałem.

Antypater uniósł brwi.

– Ach, ale były czasy, Gordianusie, kiedy ten korytarz na pewno mieścił mechanizm, który zapewniał ogrodom stały dopływ wody. – Wskazał palcem tajemnicze resztki metalu przytwierdzone do ścian szybu. – Onezikritos, który widział te ogrody za czasów Aleksandra, mówi o urządzeniu podobnym do potężnej śruby, która obracając się, niosła w górę ogromne ilości wody. Wygląda na to, że po tym niezwykłym mechanizmie nic nie zostało, ale wciąż istnieje szyb, który najprawdopodobniej prowadzi do zbiornika zasilanego przez rzekę. Bez śruby nawadniającej pracowici mieszkańcy Babilonu postanowili pracą własnych rąk

utrzymać przy życiu choć resztki ogrodu, być może powodowani obywatelską dumą, z myślą o płacących za wizytę podróżnych takich jak my.

Kiwnąłem głową z powątpiewaniem. Wiszące ogrody może i były niegdyś imponujące, ale te zrujnowane szczątki nie mogły się równać z innymi cudami świata, które widzieliśmy podczas podróży.

Oddaliłem się na kilka kroków od wylotu szybu i stanąłem w miejscu, z którego roztaczał się widok na ziggurat.

Mury Babilonu zrównano z ziemią. Wiszące ogrody były zrujnowane. Ale wielki ziggurat wciąż wznosił się niczym góra nad burym miastem. Każdy z siedmiu coraz mniejszych poziomów był niegdyś innego koloru. Niemal wszystkie elementy dekoracyjne zostały rozebrane (podczas oblężenia Kserksesa i potem, przez szabrowników), a ceglane mury zaczęły się rozpadać, lecz fasada zachowała się na tyle, że można się było domyślić, jak kiedyś musiał wyglądać ziggurat. Pierwszy i największy poziom miał kolor ceglastej czerwieni, ale następny był śnieżnobiały (później dowiedziałem się, że wyłożono go importowanym wapieniem i bituminem), kolejny ozdobiono opalizującymi niebieskimi kaflami, jeszcze wyższy pokrywały szalone żółto-zielone wzory, i tak dalej. W epoce Nabuchodonozora efekt musiał być jak nie z tej ziemi. Tu i ówdzie na tle zeszpeconej, lecz przepięknej fasady zigguratu zauważyłem maleńkie kropki. Dopiero kiedy zobaczyłem, że się ruszają, że to ni

mniej, ni więcej, tylko ludzie, zdałem sobie sprawę z prawdziwej skali budowli. Była jeszcze większa, niż mi się wydawało.

Słońce w końcu zaczęło chylić się ku zachodowi, obrzucając słabnącymi promieniami pyliste miasto i zalewając ziggurat pomarańczowym światłem. Babilończycy nazywali go E-temenanki, fundamentem nieba i ziemi. Odniosłem silne wrażenie, że tak ogromnej i dziwnej konstrukcji nie mogły stworzyć ludzkie ręce.

To samo chodziło po głowie Antypatrowi. Stając obok mnie, zadeklamował:

Który wielki Cyklop zbudował ten potężny kurhan dla Semiramidy asyryjskiej?

A może to giganci, synowie Gai, wzniesli siedem jego pięter,

Aby sięgnęły siedmiu Plejad?

Niewzruszona, nieporuszona wieczna masa

Niczym wyniosła góra Athos cięży ziemi.

Choć byłem zmęczony po podróży i kręciło mi się w głowie, zauważyłem pomyłkę Antypatra.

– Powiedziałeś, że ziggurat zbudował Nabuchodonozor, a nie Semiramida – rzekłem.

Znów spojrzał na mnie, jakbym był dzieckiem.

– Licentia poetica, Gordianusie! Imię „Semiramida” łatwiej się wymawia i jest znacznie miłsze dla ucha. Któż potrafiłby skomponować wiersz zawierający słowo tak

kłopotliwe jak „Nabuchodonozor”?

*

Gdy zaczął zapadać zmrok, Dariusz pomógł nam znaleźć nocleg. Mała gospoda, do której nas zaprowadził, była według jego zapewnień blisko rzeki i choć czuliśmy jej woń, kiedy jedliśmy na dole skromny posiłek złożony z placków i daktyli, z naszego pokoju na górnym piętrze nie było jej widać. Co więcej, kiedy spróbowałem otworzyć okiennice, uderzyły o szpetny odcinek murów miejskich rozciągający się nad brzegiem.

– Jutro zwiedzacie E-temenanki – upierał się Dariusz, który dołączył do nas przy posiłku i towarzyszył nam do pokoju. – Kiedy mam się z wami spotkać?

– Jutro odpoczywamy – rzekł Antypater, padając na wąskie łóżko. – Nie masz nic przeciwko spaniu na tej macie na podłodze, prawda, Gordianusie?

– Właściwie zastanawiałem się, czy nie pójść na spacer – powiedziałem.

Antypater nie zareagował na moje słowa, już chrapał. Dariusz jednak żywiłowo pokręcił głową.

– Niebezpiecznie po zmroku – ostrzegł. – Zostań w środku.

Zmarszczyłem brwi.

– Zapewniałeś Antypatra, że to spokojna okolica, że nie ma tu złodziei.

– To prawda, nie trzeba się martwić rabusiami.

– Dlaczego zatem jest niebezpiecznie?

– Po zmroku ona wychodzi – odparł Dariusz z poważną miną.

– Ona? O kim ty mówisz? Wyjaśnij!

– Już mówię za dużo. Ale nie wychodź przed świtem. Wtedy się spotkamy! – powiedział i zniknął.

Padłem na ziemię i wyciągnąłem się na macie, myśląc, że nigdy nie zasnę przy głośnym chrapaniu Antypatra. Kiedy się ocknąłem, przez otwarte okiennice wpadało światło dnia.

*

Gdy zeszliśmy na śniadanie, słońce wisiało już wysoko. W pokoju dziennym był jeszcze tylko jeden gość poza nami. Ubrany był tak cudacznie, że na jego widok prawie się roześmiałem. Jak dotąd widywałem astrologów tylko na scenie, w komediach, i ten człowiek mógł być jednym z nich. Miał na sobie wysokie żółte nakrycie głowy, które przypominało ziggurat, oraz ciemnoniebieską szatę ozdobioną wyhaftowanymi żółtą nicią gwiazdami i konstelacjami. Czubki jego wysadzanych półszlachetnymi kamieniami butów były zawinięte do góry. Jego długą czarną brodę ufryzowano, zapleciono i pofarbowano żółtym proszkiem, tak że wyglądała jak promienie słońca bijące z dolnej szczęki.

Antypater poprosił nieznajomego, żeby do nas dołączył. Ten przedstawił się jako Muszezib, astrolog, który przybył do Babilonu z wizytą ze swojego rodzinnego miasta Ekbatany. Miał za sobą wiele podróży i

posługiwał się świetną greką, lepszą chyba niż moja.

– Przyjechałeś zobaczyć ziggurat – domyślił się Antypater.

– Albo to, co z niego zostało – odparł Muszezib. – Jest tutaj też bardzo dobra szkoła dla astrologów, w której, mam nadzieję, znajdę zatrudnienie jako nauczyciel. A wy?

– Chcemy po prostu zobaczyć miasto – powiedział Antypater. – Ale nie dzisiaj. Jestem zbyt zmęczony, a po wczorajszej podróży boli mnie całe ciało.

– Przecież nie możemy zwyczajnie siedzieć tutaj cały dzień – wtrąciłem. – Może niedaleko jest coś ciekawego.

– Słyszałem, że przy naszej ulicy jest mała świątynia Isztar – oznajmił Muszezib. – Jest niemal ukryta za wysokim murem i podobno zrujnowana; dawno temu zbezczeszczył ją Kserkses i potem nie poświęcono jej na nowo ani nie odbudowano. Nie sądzę, żeby było coś jeszcze...

– Ale nie możecie tam iść – powiedział właściciel gospody, który podsłuchał naszą rozmowę i teraz się do niej włączył. On też wyglądał jak aktor w komedii. Był rośli, zawsze uśmiechnięty i miał okrągłą twarz. Po jego potężnych ramionach można było wywnioskować, że potrafiłby zakończyć bójkę i wyrzucić winowajców na ulicę, gdyby w jego sennej gospodzie kiedykolwiek do tego doszło.

– Kto tego zakazuje? – zapytał astrolog.

Właściciel wzruszył ramionami.

– Nikt. Opuszczona świątynia należy do wszystkich i do nikogo. Mówią, że to wspólna własność. Ale nikt tam nie chodzi... przez nią.

Nadstawiłem uszu.

– O kim mówisz?

Właściciel gospody najwyraźniej uznał, że jego greka nie wystarcza, żeby to wyjaśnić, i zwrócił się do astrologa w mowie Partów.

Muszezib zrobił smutną minę.

– Nasz gospodarz mówi, że świątynia jest... nawiedzona.

– Nawiedzona? – powtórzyłem.

– Zapomniałem greckiego słowa, ale po łacinie mówi się na to chyba „lemur”?

– Tak – szepnąłem. – Chodzący po ziemi umarli. Istota, która kiedyś była śmiertelna, ale nie żyje już i nie oddycha. – Lemury, które nie były gotowe albo nie mogły przekroczyć Styksu i dostać się do krainy zmarłych, grasowały po ziemi. Zazwyczaj, choć nie zawsze, pojawiały się w nocy.

– Właściciel mówi, że w tej położonej niedaleko świątyni jest lemur – powiedział Muszezib. – Kobieta o przerażającej twarzy, ubrana w gnijące szmaty. Ludzie boją się tam chodzić.

– Jest groźna? – zapytałem.

Muszezib zamienił kilka zdań z oberżystą.

– Więcej niż groźna. Śmiercionośna. Ledwie kilka dni temu znaleziono na schodach świątyni człowieka,

który zaginął poprzedniej nocy. Miał skręcony kark. Teraz brama do świątyni jest zamykana, choć wcześniej tak nie było.

Więc to przed tym nocnym zagrożeniem ostrzegał mnie Dariusz. Bał się nawet powiedzieć na głos, co to za istota.

– Ale przecież w środku dnia... – zaczął Antypater.

– Nie, nie! – zaprotestowała żona właściciela gospody, która nagle do nas dołączyła. Była niemal tak rosła jak jej mąż, ale twarz miała zagniewaną. Pomyślałem, że to kolejny typ jak ze sceny: wybuchowa żona właściciela gospody. Mówiła po grecku lepiej niż on, a jej wyraźny akcent z Egiptu wyjaśniał aleksandryjskie smakołyki, które towarzyszyły naszemu miejscowemu śniadaniu. – Trzymajcie się z daleka od starej świątyni! – zawołała. – Nie idźcie tam! Umrzecie, jeśli tam pójdziecie!

Wyglądało na to, że jej mąż uznał ten wybuch za niestosowny. Zaśmiał się nerwowo i wzruszył ramionami, unosząc dłonie, a potem odprowadził ją na bok, szepcząc do niej i kręcąc głową. Jeśli próbował ją uspokoić, nie udało mu się. Po krótkiej sprzeczce machnęła ręką i odeszła gniewnie.

– To, że tak blisko grasuje lemur, musi być dosyć niepokojące – mruknął Antypater. – Przypuszczam, że szkodzi interesom. Myślisz, że to dlatego w gospodzie jest tak niewielu gości? Dziwię się, że nasz gospodarz w ogóle poruszył ten temat. No dobrze, skończyłem śniadanie,

więc wybacz mi, ale zamierzam wrócić do pokoju i spędzić cały dzień w łóżku. Och, nie rób tak przybitej miny, Gordianusie! Idź zwiedzać miasto beze mnie.

Z lękiem pomyślałem o zapuszczaniu się do tak egzotycznego miasta samemu, ale niepotrzebnie się martwiłem. Kiedy tylko wyszedłem na ulicę, dopadł mnie nasz przewodnik z poprzedniego dnia.

– Gdzie twój dziadek? – zapytał Dariusz.

Roześmiałem się.

– To nie mój dziadek, tylko towarzysz podróży. Jest zbyt zmęczony, żeby dziś wychodzić.

– Ach, to ja pokażę ci miasto, co? Tylko we dwóch.

Zmarszczyłem brwi.

– Obawiam się, że nie mam przy sobie wiele pieniędzy, Dariuszu.

Wzruszył ramionami.

– Co to są pieniądze? Przychodzą, odchodzą. Ale jeśli pokażę ci ziggurat, ty pamiętasz całe życie.

– Właściwie to jestem dość ciekaw tej pobliskiej świątyni Isztar.

Pobladł.

– Nie, nie, nie! Nie idziemy tam.

– Ale możemy chociaż przejść obok niej, prawda? Czy to tędy? – zapytałem.

Obok gospody stała zrujnowana budowla, która kiedyś musiała być konkurencyjnym zajazdem, lecz teraz była zamknięta, a jej okna zabito deskami; sam ten budynek sprawiał wrażenie nawiedzonego. Tuż za

opuszczonym domem ciągnął się ceglany mur z niewielką drewnianą bramą. Mur sięgał niewiele wyżej niż moja głowa. Za nim widziałem to, co zostało z dachu świątyni. Wyglądało na to, że się zapadł. Pchnąłem bramę i okazało się, że jest zamknięta. Przesunąłem palcami po murze: sporo zaprawy wykruszyło się spomiędzy cegieł. Te szczeliny stanowiłyby świetne oparcie dla stóp. Zrobiłem kilka kroków w tył, aby przyrzeć się murowi i znaleźć najwygodniejsze miejsce do wspinaczki.

Dariusz czytał mi w myślach. Chwycił mnie za ramię.

– Nie, nie, nie, młody Rzymianinie! Oszalałeś?

– Daj spokój, Dariuszu. Świeci słońce. Żaden lemur nie odważyłby się pokazać w tak piękny dzień. Wejście na mur i rozejrzenie się zajmie mi tylko chwilę. Możesz poczekać tutaj na mnie.

Dariusz protestował jednak tak zajadle, wymachując rękami i biadoląc w rodzimym języku, że porzuciłem plan obejrzenia świątyni i ruszyłem dalej.

Dariusz pokazał mi miejsce, które nazywał dzielnicą królewską. Semiramida i Nabuchodonozor zbudowali tam swoje pałace. Wyglądało na to, że z majestatu, który zrobił tak wielkie wrażenie na Aleksandrze podczas jego pobytu w Babilonie, nie zostało absolutnie nic. Imponujący niegdyś kompleks budowli, który ogołociono już z wszelkich ozdób, został, zdaje się, podzielony na prywatne domostwa i zatłoczone kamienice. Tarasy były zaśmiecone, a w całej dzielnicy unosiła się woń gotowanej ryby, zabrudzonych pieluch i duszących

przypraw.

– Powiadają, że to w tamtym pokoju zmarł Aleksander. – Dariusz wskazał otwarte okno, przez które dobiegała kłótnia jakiejś pary i płacz dziecka. Balkon był obwieszony suszącym się praniem.

Jeśli wielki ziggurat kiedykolwiek otaczał otwarty plac, dawno temu wypełniły go rozpadające się chaty z cegieł i błota, więc gdy skręciliśmy za róg, strzelista konstrukcja wyłoniła się tuż przed nami. Ziggurat prezentował się bardziej tajemniczo poprzedniego wieczoru, kiedy oglądałem go z oddali i w urzekającym świetle zachodzącego słońca. Widziany z bliska i w środku dnia sprawiał wrażenie prawie tak samo zaniedbanego jak stos gruzu, który niegdyś mieścił wiszące ogrody. Powierzchnie kolejnych poziomów były nierówne, przez co wielu tłoczących się na nich podróżnych potykało się nieustannie. Całe odcinki umocnień wychylały się na zewnątrz pod dziwnymi kątami, jakby w każdej chwili miały spaść na ziemię.

Dariusz nalegał, abyśmy się wspięli na samą górę. Żeby to zrobić, musieliśmy obejść pierwszy poziom, wejść po szerokich schodach na kolejne piętro, okrążyć je i powtórzyć cały proces. Zauważyłem, że Dariusz od czasu do czasu zatrzymuje się na moment, by przesunąć dłońią po murach. Początkowo sądziłem, że po prostu podziwia resztki ozdobnej kamieniarki albo glazurowanych cegieł, ale potem zdałem sobie sprawę, że ciągnie różne odłamki i sprawdza, czy cokolwiek się

obluzuje. Kiedy zobaczył moją minę, wybuchnął śmiechem.

– Szukam pamiątek, młody Rzymianinie – wyjaśnił. – Wszyscy to robią. Wszystko, co było cenne i dało się usunąć łatwo, bez szkody, już usunięto, i to dawno. Ale od czasu do czasu można znaleźć kawałek, który da się oderwać. I się go bierze. Wszyscy to robią. Dlaczego tak marszczysz brwi?

Wyobrażałem sobie właśnie, jak by to było, gdyby wielkie świątynie Rzymu traktowano z takim brakiem szacunku. Antypater twierdził, że prastarzy bogowie tej krainy nie różnią się od panteonu Greków i Rzymian właściwie niczym poza imionami i aspektami; Marduk był Jowiszem, Isztar była Wenus i tak dalej. Z pewnością nie należało podkraść kawałków świętego przybytku zbudowanego ku chwale Jowisza, nawet jeśli był on zrujnowany. Ale byłem tylko gościem, więc nie odezwałem się słowem.

W miarę jak wchodziliśmy wyżej, robiło się coraz tłoczniej – każdy poziom był mniejszy od poprzedniego. Otaczali nas podróżnicy w najróżniejszych strojach, rozmawiający w wielu językach. Sądząc po ubraniach, jedna z grup była z Indii, a inna – ludzie o skórze koloru szafranu i migdałowych oczach – przyjechała aż z Seriki, krainy jedwabiu. Wśród tłumu było też bardzo wielu astrologów; niektórzy odziani byli podobnie jak Muszezib tego ranka, a stroje innych były jeszcze dziwniejsze, jakby próbowali prześcignąć się nawzajem pod względem

absurdalnie wysokich czapek, wymyślnie ozdobionych szat i dziwnie ukształtowanych bród.

Na szóstym, przedostatnim poziomie usłyszałem, że ktoś wypowiada moje imię. Odwróciłem się i zobaczyłem Muszeziba.

Astrolog przywitał mnie skinieniem głowy.

– Znów się spotykamy.

– Mam wrażenie, że jest tu dziś każdy podróżny odwiedzający Babilon – powiedziałem, kiedy potrącili mnie przechodzący mężczyźni w egipskich nakryciach głowy. – Czy to kolejka?

Wyglądało na to, że trzeba się było ustawić w kolejce, aby wspiąć się po ostatniej kondygnacji schodów na najwyższy poziom. Kolejni goście byli wpuszczani na górę dopiero wtedy, kiedy poprzednia grupa schodziła. Kolejka zakręcała za róg.

Muszezib się uśmiechnął.

– Wejdziemy? – zapytał.

– Nie jestem pewien, czy mam ochotę stać w tej kolejce następną godzinę. I chyba nie mam dość pieniędzy – dodałem, dostrzegłszy, że ludzie pilnujący kolejki pobierają opłatę.

– To nie będzie konieczne. – Muszezib odprawił Dariusza lekceważącym ruchem ręki, a potem wziął mnie pod ramię i zaprowadził na przód kolejki. Nadzorcy natychmiast ustąpili mu drogi, skłaniając przed nim głowy.

– Czym zasłużyłeś na taki przywilej? – zapytałem.

– To dzięki mojemu strojowi – wyjaśnił. – Astrologowie nie muszą stać w kolejce wraz z podróżnymi, aby wejść na szczyt E-temenanki.

Na najwyższym poziomie wiał nieprzerwanie ciepły, suchy wiatr. Słońce świeciło prosto znad nas, nie rzucając cieni. W każdym kierunku rozciągał się niczym nieograniczony widok. Widziałem pod sobą cały Babilon, a z północy na południe wiał się Eufrat. Daleko na wschodzie zauważyłem Tygrys i lśniące miasta na jego brzegu, a w największej oddali majaczył łańcuch gór o ośnieżonych szczytach.

Muszezib zaczął przemawiać rozmarzonym tonem, patrząc na horyzont.

– Legenda mówi, że kiedy Aleksander wkroczył do Babilonu i dostrzegł opłakany stan E-temenanki, obdarzył astrologów złotem i misją przywrócenia zigguratowi jego dawnej świetności. „Prace mają być zakończone, kiedy wrócę z podboju Indii”, powiedział i wyruszył. Kilka lat później, po powrocie, zobaczył, że zadania nie wykonano, i przywołał do siebie astrologów. „Dlaczego E-temenanki wciąż jest w ruinie?”, zapytał. Astrologowie odpowiedzieli: „Dlaczego nie podbiłeś jeszcze Indii?”. Aleksander był wściekły. Nakazał zrównać budowlę z ziemią; chciał na tym terenie zbudować nowy ziggurat. Zanim jednak to się stało, Aleksander zachorował i zmarł, a E-temenanki pozostało nienaruszone i wciąż stoi, niczym góra powoli rozpadająca się w pył. – Wskazał środek poziomemu. – To miejsce jest teraz puste, ale za

czasów Nabuchodonozora stała tu maleńka świątynia. Nie było w niej żadnego posągu ani innej ozdoby, tylko wielka sofa ze złota z poduszkami i prześcieradłami z jedwabiu: sofa godna króla bogów. Każdej nocy wybrana przez kapłanów młoda dziewczyna z dobrej rodziny wchodziła sama na szczyt E-temenanki i do świątyni, po czym kładła się na sofie. Tam czekała na to, żeby Marduk zstąpił z niebios i spędził z nią noc. Kiedy następnego dnia schodziła po schodach zigguratu, kapłani ją badali. Jeśli okazywało się, że straciła cnotę, było wiadomo, że Marduk uznał ją za godną.

– A jeśli nadal była dziewicą? – zapytałem.

– Uznawano, że Marduk ją odrzucił, ku wiecznej hańbie jej samej i jej rodziny. – Muszezib się uśmiechnął. – Widzę, że unosisz brew, Gordianusie. Ale czyż twój wielki bóg Jowisz nie postępuje tak samo? Czyż nie zaznaje rozkoszy ze śmiertelnikami?

– Tak, ale we wszystkich opowieściach, które słyszałem, Jowisz sam wybiera partnerki, a potem je uwodzi. Kapłani nie dostarczają mu ich jedna po drugiej, aby pozbawił je dziewictwa. Świątynie Jowisza służą oddawaniu czci, a nie odbywaniu erotycznych schadzek.

Muszezib pokręcił głową.

– Wy, ludzie z Zachodu, zawsze inaczej zapatrywaliście się na te sprawy. Jednak czy to na dobre, czy na złe dzięki wpływowi Aleksandra i jego następców w Babilonie zatriumfowały greckie zwyczaje. Starych tradycji nie przestrzega się już w takim samym stopniu.

Obecnie dziewice nie wspinają się na ziggurat, żeby spędzić noc z Mardukiem, a kobiety nie chodzą już do świątyń Isztar, aby oddać się pierwszemu mężczyźnie, który za to zapłaci. – Dostrzegłszy moją reakcję, zaśmiał się głośno. – Naprawdę musisz się nauczyć bardziej panować nad mimiką, młody człowieku. Jak łatwo zaszokować was, Rzymian, nawet łatwiej niż Greków.

– Ale cóż to za zwyczaj, o którym mówisz?

– Za czasów Nabuchodonozora każda kobieta co najmniej raz w życiu musiała włożyć specjalne szaty i ozdobić głowę specjalnym wieńcem, a potem pójść nocą do jednej ze świątyń Isztar i usiąść na wyznaczonym do tego krześle w świętym przybytku. Zostawała tam, aż przyszedł nieznajomy, który rzucał jej na podolek srebrną monetę. Z tym mężczyzną musiała wejść do świątyni, ułożyć się na sofie i oddać mu się. Nie mogła odmówić nikomu, kto był w stanie zapłacić. Robiły to wszystkie kobiety, bogate i biedne, piękne i brzydkie, ku chwale Isztar.

– I ku radości każdego, kto miał monetę – mruknąłem. – Domyślam się, że młode, piękne kobiety wybierano od razu. Ale co działo się, jeśli kobieta była tak brzydka, że nikt się na nią nie decydował?

Muszezib kiwnął głową.

– To się zdarzało. Krążą opowieści o kobietach, które musiały zostać w świętym przybytku bardzo długo, miesiące, nawet lata. Oczywiście tak kłopotliwa sytuacja wkrótce przynosiła wstyd rodzinie. W takim wypadku

prędzej czy później za pomocą wymiany przysług lub jawnego przekupstwa nakłaniano kogoś, żeby poszedł do świątyni, zaoferował kobiecie monetę i spędził z nią noc. W ostateczności wybierano jednego z jej krewnych, żeby zrobił to, co konieczne. I w końcu kobiecie udawało się spełnić swój obowiązek względem Isztar.

Pokręciłem głową.

– Masz rację, Muszezibie. My, Rzymianie, zupełnie inaczej zapatrujemy się na te sprawy.

– Nie osądzaj tak szybko zwyczajów innych ludów, mój młody przyjacielu. Tak zwana rozpustna natura Babilończyków była dla nich zbawieniem, kiedy Aleksander wkroczył do miasta. Mógł zniszczyć je, tak jak wiele innych miast, ale kiedy żony i córki Babilonu z własnej woli oddały się jemu i jego ludziom, nie tylko udobruchało to zdobywców, ale skłoniło ich do uznania Babilonu za najwspanialsze miejsce na świecie.

Westchnąłem. Ze wszystkich krain, które objechałem z Antypatrem, w tym miejscu, wśród jego mieszkańców i ich zwyczajów czułem się najbardziej obco. Na szczycie tak zwanego fundamentu nieba i ziemi dotarło do mnie, jak jestem mały i jak wielki jest świat dookoła mnie.

Muszezib zauważył niedaleko znajomych astrologów, przeprosił i zostawił mnie samego. Jeszcze chwilę stałem na szczycie zigguratu, a potem zszedłem po schodach na niższy poziom, na końcu czekał na mnie Dariusz.

W drodze na dół powtórzyłem Dariuszowi rozmowę z astrologiem i zapytałem, co wie o starym zwyczaju,

według którego kobiety oddawały się mężczyznom w świątyniach Isztar.

– Muszezib może i jest astrologiem, ale nie wie wszystkiego – odparł mój przewodnik.

– Co masz na myśli?

– Mówi ci, że prędzej czy później każda kobieta zaspokajała mężczyznę w świątyni i wypełniała swój obowiązek. Nieprawda.

– Z pewnością żadna nie musiała czekać w przybytku bez końca.

– Niektóre kobiety nie miały rodziny, która mogłaby je uratować. Siedziały tak dzień po dniu, rok po roku, aż stawały się bezzębnymi staruchami i traciły wszelką szansę, żeby ktokolwiek zapłacił za noc z nimi.

– Co się z takimi działo?

– Jak myślisz? W końcu umierały na terenie świątyni, a Isztar rzucała na nie klątwę, bo ją zawiodły.

– Co za straszliwa historia! – Nagle wszystko, co zobaczyłem i usłyszałem tego dnia, połączyło się w moich myślach w całość. Przebiegł mnie dreszcz lęku. – Zrujnowana świątynia Isztar przy gospodzie i lemur, który podobno ją nawiedza. Myślisz...?

Dariusz kiwnął głową z powagą.

– Teraz rozumiesz! Wyobraź sobie, jaką czuje gorycz, wciąż uwięziona w miejscu, gdzie spotkały ją wstyd i cierpienie. Nic dziwnego, że zabiła człowieka, który kilka nocy temu śmiał wejść na teren świątyni.

– Czy dobrze rozumiem...

– Nie, nie mów o tym więcej! To tylko przyniesie pecha. Rozmawiamy o czymś innym. A w drodze powrotnej do gospody nie przejdziemy obok świątyni!

Wszystko to jeszcze bardziej rozbudziło moją ciekawość zrujnowanej świątyni i jej nadprzyrodzonej mieszkanki. Dariusz wyczytał to z mojej twarzy.

– Nie wracaj tam, młody Rzymianinie! – niemal krzyknął. – Jak sądzisz, co się stanie, jeśli ta starucha zobaczy jurnego młodzieńca takiego jak ty, któremu ledwie co wyrosła pierwsza broda? Widok kogoś takiego z pewnością doprowadziłby ją do szału... do morderstwa!

Był tak wzburzony, że szybko zmieniłem temat.

Resztę dnia spędziliśmy, spacerując po Babilonie, a ja byłem coraz bardziej przygnębiony. Wszystkie majestatyczne budowle, które niegdyś stanowiły chlubę miasta, były w ruinie albo w ogóle przestały istnieć. Wielu obywateli również było w złym stanie – nigdy nie widziałem tylu kulawych lub kalekich ludzi. Podobno ci nieszczęśnicy ściągali do Babilonu, aby korzystać z dobroczynnych instytucji prowadzonych przez astrologów i mędrców, których akademie przynosiły miastu najwięcej pieniędzy, na równi z ogromnymi kwotami zostawianymi przez podróżnych.

W końcu, kiedy zapadł zmrok, skierowaliśmy się w stronę gospody. Dariusz prowadził i zauważyłem, że nasza trasa różni się nieco od tej, którą wybrał rano; celowo wyminął zrujnowaną świątynię Isztar. Aby wynagrodzić go za to, że cały dzień pełnił obowiązki

przewodnika, zaproponowałem, żeby chociaż zjadł ze mną wieczerzę, ale ku mojemu zaskoczeniu podziękował i oddalił się pospiesznie, mówiąc, że wróci następnego ranka, kiedy Antypater już wypocznie i będzie gotowy również zwiedzić miasto. Czy było możliwe, że Dariusz bał się przebywać po zmroku nawet w takiej odległości od starej świątyni?

Kiedy tylko zniknął, odwróciłem się plecami do wejścia gospody i mijając opuszczony budynek obok niej, ruszyłem w stronę niskiego muru otaczającego starą świątynię. Nastąpiła mroczna, bezbarwna godzina, kiedy cienie robią się długie i zlewają w całość, pochłaniając resztki światła szarugi.

Przyjrzenie się murowi sprawiło mi większą trudność niż rano i w pierwszym miejscu, które wybrałem, wspinaczka okazała się niemożliwa. Jednak za drugim podejściem znalazłem ciąg odpowiednich szczelin i dotarłem na szczyt muru.

Ze stopami wsuniętymi bezpiecznie w szpary między cegłami oparłem łokcie o zwieńczenie muru i zajrzałem na drugą stronę. Świątynia rzeczywiście była zrujnowana: z dachu zostało niewiele, a w ścianach ziały dziury. Wszystkie ozdobne kafle i posągi, zdaje się, rozkradziono. Otaczający świątynię dziedziniec zamykała ściana sąsiedniego opuszczonego budynku i mury miejskie wiodące wzdłuż rzeki. Był pogrążony w cieniu i widziałem na nim tylko uschnięte drzewa oraz odłamki cegieł i płyt chodnikowych. Jednak kiedy moje oczy

przyzwyczały się do ciemności, wśród tego śmiecia dostrzegłem rząd sięgających pasa obiektów, które przypominały walcowate kikuty kolumn. Przyszło mi do głowy, że mogły to być ceremonialne krzesła o niskich oparciach wyrzeźbione z bloków kamienia: może były zbyt ciężkie, aby grabieżcy je porwali, a może zostały tam, ponieważ...

Na jednym z krzeseł, niemal ukrytym w cieniach, zamajaczyła mi niewyraźna sylwetka. Nie potrafiłem orzec, czy postać ta siedzi twarzą czy plecami do mnie... dopóki nie wstała i nie ruszyła w moją stronę powolnym krokiem.

Serce zabiło mi szybciej. Nie słyszałem nic poza krwią tętniącą mi w uszach. Absolutna cisza, która towarzyszyła zbliżającej się postaci, była niepokojąca.

Otworzyłem usta. Długą chwilę nie potrafiłem z siebie nic wykrztusić, a potem usłyszałem własny głos, zachrypnięty i o oktawę wyższy niż zazwyczaj, wypowiadający słowa:

– Mówisz grecki?

Postać w końcu wydała odgłos: straszliwy śmiech okropniejszy niż odgłos łamanych kości. Zmroził mi krew. Postać uniosła podobne do szponów dłonie i odsunęła rozpadający się wieniec, który zasłaniał jej twarz.

Czy ta istota mogła kiedyś być kobietą? Była obrzydliwa, z włosami niczym robaki i oczami lśniącymi jak odłamki obsydianu. Jej blade, gnijące ciało pokrywały

brodawki. Z czarnej otchłani jej rozdziawionych ust wystawały połamane zęby. To coś zbliżyło się do mnie, roztaczając smród rozkładu. Niski rechot istoty niespodziewanie przeobraził się w skowyt.

Zacząłem niezdarnie schodzić z muru, rozpaczliwie chcąc uciec jak najdalej. Jedna z moich stóp straciła nagle oparcie i poleciałem w tył.

*

Doszedłem do siebie, pólżąc na krześle ustawionym w pokoju dziennym gospody.

– Gordianusie, wszystko w porządku? – zapytał Antypater, nachylając się nade mną. – Co się stało? Napadnięto cię?

– Nie, upadłem...

– Na środku prostej drogi? Muszezib mówi, że właśnie tam cię znalazł. Dobrze, że akurat tamtędy przechodził, w przeciwnym razie wciąż byś tam leżał, na łasce każdego rzezimieszka w okolicy.

Choć wzrok miałem wciąż zamglony, dostrzegłem, że astrolog stoi niedaleko. Nieco dalej zgromadziło się kilku innych gości zajazdu. Wśród nich stał właściciel, wyższy od wszystkich o stopę. Zmarszczył brwi i pokręcił głową. Pogłoski o rabusiach szkodziły jego interesom.

– Nikt mnie nie napadł, Antypatrze. Po prostu... się przewróciłem. – Byłem zbyt upokorzony, żeby przyznać, że próbowałem wspiąć się na mur otaczający świątynię.

– Chłopiec na pewno ma padaczkę. Jest powszechna

wśród Rzymian – oznajmił jeden z gości, kręcąc nosem.

Wyglądało na to, że to wyjaśnienie zadowoliło pozostałych: cofnęli się i rozeszli.

Antypater zmarszczył czoło.

– Co się naprawdę stało, Gordianusie?

Muszezib także został przy nas. Nie widziałem powodu, żeby ukrywać przed nimi prawdę.

– Byłem ciekaw. Chciałem spojrzeć na starą świątynię Isztar, więc wspiałem się na mur...

– Wiedziałem! – powiedział Antypater. Rzucił mi gniewne spojrzenie, a potem uniósł brew. – No i? Co zobaczyłeś?

– Ruiny, zostały już tylko ruiny. I...

– Mów dalej – zachęcił mnie Antypater. On i Muszezib nachylili się bardziej.

– Zobaczyłem lemura – szepnąłem. – Na dziedzińcu świątyni. Zaczęła iść w moją stronę...

Muszezib prychnął kpiąco.

– Gordianusie, nie widziałeś lemura.

– Skąd wiesz, co widziałem?

– Kiedy młody mężczyzna o bujnej wyobraźni jest sam w obcym mieście i po ciemku zagląda na zrujnowany dziedziniec, który podobno nawiedza lemur... Nietrudno zrozumieć, dlaczego miałoby mu się wydawać, że rzeczywiście go widział.

– Ufam własnym oczom – powiedziałem z irytacją. Głowa zaczęła mi pękać. – Nie wierzysz w istnienie lemurów?

– Nie – oznajmił astrolog. – Obroty gwiazd, które kierują wszelkimi ludzkimi działaniami, nie pozwalają martwym przebywać wśród żywych. To niemożliwe z naukowego punktu widzenia.

– Ach, i na tym przykładzie widzimy, jak chaldejska astrologia wchodzi w konflikt z grecką religią, nie wspominając o zdrowym rozsądku – wtrącił się Antypater, jak zawsze gotów spełnić rolę pedanta, nawet w chwili, kiedy jego młody towarzysz podróży wciąż był ledwie przytomny po niebezpiecznym upadku. – Bogowie panują nad umarłymi tak samo jak nad żywymi...

– Jeśli wierzy się w tych bogów – przerwał mu Muszezib.

– Wy, astrologowie, zamiast nich czcicie gwiazdy! – Antypater uniósł dłonie.

– Nie czcimy gwiazd – zaprzeczył spokojnie Muszezib. – Badamy je. W odróżnieniu od waszych tak zwanych bogów potężne, zazębiające się mechanizmy firmamentu nie dbają o to, czy śmiertelnicy błagają o cokolwiek czy nie. Nie obserwują nas ani nie troszczą się o nasze zachowanie, działają zupełnie bezosobowo, kiedy wysyłają promienie swojej niewidzialnej mocy na ziemię. Ciała niebieskie kontrolują pływy i pory roku tak samo jak losy ludzkości i każdego człowieka z osobna. Bogowie, jeśli istnieją, może i są potężniejsi od ludzi, ale nimi też władają sympatie i antypatie gwiazd oraz ich koniunkcje...

– Co za bzdury! – stwierdził Antypater. – I ty

nazywasz to nauką?

Muszezib nabrał głęboko tchu.

– Nie rozmawiajmy na tematy, co do których nasze opinie tak się różnią. Musimy teraz zająć się twoim młodym przyjacielem. Lepiej ci już, Gordianusie?

– Byłoby, gdybyście się przestali sprzeczać.

Muszezib się uśmiechnął.

– Przez wzgląd na ciebie, Gordianusie, zmienimy temat. – Zerknął na właściciela gospody, który obsługiwał innych gości, i zniżył głos. – Cokolwiek widziałeś lub czego nie widziałeś, dobrze, że uspokoiłeś pozostałych gości w sprawie rabusiów na ulicach. Nasz biedny gospodarz z pewnością nie jest zachwycony wszystkimi tymi rozmowami o rzezimieszkach czy o lemurach, jeśli już o tym mowa. Wspomniał, że chce kupić ten pusty budynek tuż obok. Ma nadzieję w ciągu roku powiększyć o niego swoją gospodę.

Antypater rozejrzał się po niewielkiej grupce gości.

– Interesy nie idą mu, zdaje się, na tyle dobrze, aby mógł zapełnić choćby to miejsce, a co dopiero dwukrotnie większe.

– Nasz gospodarz jest optymistą – powiedział Muszezib, wzruszając ramionami. – Myślę, że trzeba być optymistą, żeby mieszkać w Babilonie.

*

Tej nocy spałem niespokojnie, dręczony koszmarami. W pewnej chwili ocknąłem się zlany potem. Wydawało

mi się, że obudził mnie dobiegający z oddali krzyk – nie skowyt lemura, ale wrzask mężczyzny. Uznałem, że musiało mi się to przyśnić. Zamknąłem oczy i spałem już głęboko, gdy przez okno wpadły pierwsze promienie słońca.

Kiedy wraz z Antypatrem zszedłem na dół, w pokoju dziennym nie było absolutnie nikogo poza Dariuszem, który na nas czekał. Podbiegł z oczami wytrzeszczonymi z ekscytacji.

– Chodźcie zobaczyć, chodźcie zobaczyć! – wołał.

– Co się dzieje? – zapytał Antypater.

– Musicie zobaczyć sami. Coś strasznego... w zrujnowanej świątyni Ishtar!

Podążyliśmy za nim. Na ulicy zgromadził się spory tłum. Brama w murze świątynnym była szeroko otwarta. Ludzie zaglądali do środka, ale nikt nie śmiał wejść na dziedziniec.

– Na co oni, u licha, tak patrzą? – mruknął Antypater. Przecisnął się na przód tłumu. Poszedłem za nim, ale Dariusz został z tyłu.

– O zgrozo! – szepnął Antypater, zajrzawszy przez bramę. Odsunął się nieco, żebym mógł się lepiej przyjrzeć.

W świetle poranka dziedziniec nie wyglądał tak przerażająco jak poprzedniej nocy, ale wciąż był ponury: pomiędzy popękanych płyt chodnikowych wyrastały chwasty, a za całością wznosił się brzydki, czerwono-brązowy mur. Wyraźniej zobaczyłem kamienne

krzesła, które dostrzegłem w nocy – wszystkie były teraz puste – a potem zwłoki na schodach świątyni.

Nie było widać twarzy mężczyzny – jego głowa była obrócona pod dziwnym kątem – ale miał na sobie znajomą niebieską szatę ozdobioną wyhaftowanymi żółtymi gwiazdami, a na nogach buty o zakręconych do góry czubkach. Czapka w kształcie zigguratu spadła mu z głowy i leżała obok na najwyższym stopniu.

– Czy to Muszezib? – szepnąłem.

– Może jakiś inny astrolog – odparł Antypater. Odwrócił się do tłumu za nami. – Czy jest tu Muszezib? Widział go ktoś dziś rano?

Ludzie pokręcili głowami i zaczęli mamrotać między sobą.

Musiałem się dowiedzieć. Przeszedłem przez bramę i przeciąłem dziedziniec. Usłyszałem za sobą okrzyki innych, w tym Dariusza, który zawołał:

– Nie, nie, młody Rzymianinie! Wracaj!

Wszedłem po schodach. Ciało leżało na brzuchu, z ramionami ułożonymi pod sobą. Nachyliłem się i zobaczyłem profil twarzy Muszeziba. Oczy miał szeroko otwarte, a zęby obnażone w grymasie. Głowę miał wykręconą w taki sposób, że nie było wątpliwości, iż ktoś skrzył mu kark. Uklęknąłem i ruchem ręki odgoniłem muchy tłoczące się na jego ustach i rżęsach.

Moją uwagę przyciągnął błysk światła słonecznego odbitego od czegoś wewnątrz leżącej tuż obok czapki. Sięgnąłem po nią i w środku znalazłem odłamek

glazurowanego kafla nie większy od mojej dłoni. Do jego krawędzi wciąż przylegały drobiny zaprawy, ale poza tym był w idealnym stanie. Glazura miała kolor bardzo ciemnego granatu, niemal czerni. Muszezib z pewnością zabrał odłamek z zigguratu poprzedniego dnia; odłamał go od murów. Co takiego powiedział Dariusz? „Wszyscy tak robią”. Najwyraźniej także bezbożni astrologowie, choć Muszezib nie był dumny z tego, że zabrał pamiątkę, skoro postanowił ukryć ją w nakryciu głowy.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem nad sobą podobiznę Isztar, płaskorzeźbę na wielkiej płycie wypalanej gliny wstawionej w fasadę świątyni; nie dostrzegłem jej poprzedniej nocy. Czy naprawdę mogła to być Wenus widziana oczami Babilończyków? Bogini była całkiem naga, ale mimo obfitych bioder i ogromnych piersi robiła na mnie wrażenie bardziej niepokojącej niż pociągającej: miała dziwne, stożkowate nakrycie głowy, potężne, złożone za sobą skrzydła i nogi zakończone szponami jak u wielkiego drapieżnego ptaka. Stała na grzbietach dwóch lwów, uczepiona ich pazurami, a towarzyszyły jej gigantyczne sowy z wytrzeszczonymi ślepiami.

Usłyszałem za sobą głos – kobiecy głos – przemawiający rozkazującym tonem, choć nie rozumiałem języka. Odwróciwszy się, zobaczyłem, że na dziedziniec weszła grupa ludzi; sądząc po fałdzistych lnianych szatach i nietypowych czapkach, byli to kapłani. Na ich czele kroczyła kobieta, która nie była już najmłodsza, ale wciąż uderzająco piękna. To ona

odezwała się przed chwilą. Na jej widok rozdziawiłem usta, ponieważ wyglądała niemal dokładnie tak jak Ishtar: miała na sobie taką samą stożkową czapkę, złotą pelerynę uszytą tak, żeby wyglądała jak złożone skrzydła, i wysokie buty, które zmuszały ją do dziwnego poruszania się i przypominały szpony. Początkowo sądziłem, oniemiały, że jest równie naga jak podobizna bogini, ale potem słońce załśniło na zwiewnej, niemal przezroczystej sukni do pól uda, której wycięcie ledwo mieściło jej piersi. Bardziej niż suknia zasłaniały je jej skrzyżowane ramiona. W jednej dłoni trzymała ceremonialny oścień z kości słoniowej, a w drugiej niewielki bat.

Kapłanka maszerowała przed siebie, nie zatrzymując się. Zrobiłem krok w tył, żeby zejść z drogi, przy okazji ukrywając za tuniką odłamek niebieskiego kafla.

Długą chwilę patrzyła na zwłoki, a potem obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.

– Nie jesteś Babilończykiem – powiedziała płynną greką.

– Przyjechałem z Rzymu.

Przechyliła głowę.

– To wyjaśnia, dlaczego jesteś wystarczająco głupi, żeby wejść na ten dziedziniec, podczas gdy ci, którzy wiedzą lepiej, trzymają się od niego z dala. Nie zdajesz sobie sprawy, że to miejsce nawiedza niespokojny duch?

– Właściwie to... – Zawahałem się. Byłem w Babilonie tylko przyjezdnym, a przyjezdnemu nie uchodzi się wtrącać. Potem zerknąłem w dół, na Muszeziba.

Muchy na powrót zaczęły się roić na jego twarzy. Przemykały po jego ustach i otwartych oczach, które wyglądały, jakby wciąż na mnie patrzyły. – Poprzedniej nocy widziałem tę istotę na własne oczy.

– Widziałeś ją?

– Lemura... Tak nazywamy te istoty po łacinie. Wspiąłem się na mur i zobaczyłem lemura na tym dziedzińcu. Był odrażający.

W oczach kapłanki pojawiło się zainteresowanie.

– Uciekłeś, młody człowieku?

– Nie do końca. Spadłem na ulicę i uderzyłem się w głowę. Więcej nie zobaczyłem lemura.

– Co o tym wiesz? – Wskazała ciało.

– Nazywa się Muszezib, pochodzi z Ekbatany. Zatrzymał się w tej samej gospodzie co ja, niedaleko stąd.

– Po co tu przyszedł?

– Nie wiem.

– Czy to on zepsuł zamek, który założyliśmy na bramie?

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową.

Odwróciła się i przemówiła do ludzi zagląających przez bramę.

– Ten zrujnowany przybytek nie jest już poświęcony. Mimo to kapłani Isztar przejmą odpowiedzialność za ciało tego człowieka, dopóki nie odnajdą się jego krewni. – Dała sygnał kapłanom.

Z widoczną niechęcią i zdenerwowaniem schylili się, aby podnieść i zabrać zwłoki.

Kapłanka obdarzyła mnie zaciekawionym spojrzeniem.

– Przez całe życie słuchałam opowieści o niespokojnym duchu, który tu mieszka. Ta historia musiała powstać wieki temu. Niektórzy w nią wierzą, niektórzy nie. Nigdy nie widziałam zjawy na własne oczy. Dopóki kilka dni temu nie zginął pewien mężczyzna, nigdy nie popełniono tu żadnej zbrodni. Tamten człowiek też miał skręcony kark i znaleziono go w tym samym miejscu. Dwie ofiary w kilka dni! Co mogło spowodować tego lemura, jak go nazywasz, do morderstwa? Muszę porozumieć się z boginią. Trzeba znaleźć jakiś sposób na przebłaganie tego niespokojnego ducha, zanim coś takiego stanie się kolejny raz. – Podniosła wzrok na płaskorzeźbę Isztar, której była lustrzanym odbiciem, a potem znów zerknęła na mnie. – Pozwól, że coś ci doradzę, młody Rzymianinie. Baw się dobrze podczas swojej wizyty w Babilonie... Ale nigdy więcej tu nie wracaj.

Odwróciła się i podążyła za kapłanami, którzy wynosili z dziedzińca ciało Muszeziba. Poszedłem za nią, patrząc, jak jej peleryna w kształcie skrzydeł lśni w świetle poranka. Była z bardzo przejrzystego, przylegającego materiału, który podkreślał zarys jej kołyszących się pośladków. Kiedy tylko wszyscy znaleźliśmy się na ulicy, bramę zamknięto i kilku ludzi zabrało się do naprawiania zamka. Kapłanka odeszła wraz ze switą. Szemrający tłum stopniowo się rozproszył.

*

Antypater chciał zobaczyć ziggurat. Dariusz, który nie mógł się doczekać, żeby oddalić się od nawiedzanej świątyni, zaproponował, że mu go pokaże, a ja poszedłem z nimi. Wizyta tam zajęła większość dnia. Antypater potrzebował odpoczynku przed wspinaczką na każdy kolejny poziom, a ponieważ w naszej grupie nie było astrologa, musieliśmy długo czekać w kolejce do wejścia na najwyższe piętro.

Kiedy spacerowaliśmy pod potężnymi, rozpadającymi się murami, od czasu do czasu wyciągałem ukradkiem kawałek kafla, który znalazłem w czapce Muszeziba. Byłem ciekaw, na którym piętrze zigguratu go zdobył. Jednak choć resztki glazurowanych kafli zachowały się w wielu miejscach, nie widziałem żadnych, które miałyby ten sam ciemnogrnatowy odcień co odłamek, który trzymałem w ręku.

W moich myślach ukształtował się pomysł, dookoła którego zaczęły wirować kolejne. Przyszło mi do głowy porównanie z tym, jak gwiazdy obracają się dookoła ziemi, i było ono odpowiednie, ponieważ w samym środku znajdował się astrolog Muszezib i jego los.

Kiedy tego dnia zwiedzaliśmy miasto, szedłem za towarzyszami tak zamyślony, że Antypater zmartwił się, czy nie jestem wciąż zamroczony po tym, jak uderzyłem się w głowę. Powiedziałem mu, żeby się nie martwił, i wyjaśniłem, że tylko się zastanawiam.

– Założę się, że marzysz o tej kapłance Isztar! – Dariusz zaśmiał się.

– Tak się składa, że może będę musiał znów się z nią spotkać – powiedziałem z namysłem.

– Na pewno. – Dariusz łypnął na mnie chytrze okiem, a potem zaproponował, że pokaże nam świątę przybytek, w którym urzęduje kapłanka. Starannie zapamiętałem jego lokalizację, żeby móc tam trafić samemu.

Wróciliśmy do gospody dopiero po zmroku. Mimo ostrzeżenia kapłanki chciałem raz jeszcze rzucić okiem na zrujnowaną świątynię, ale bałem się iść tam nocą. Poza tym wątpiłem, żeby w ciemnościach udało mi się znaleźć to, czego szukałem.

Następnego ranka obudziłem się wcześnie. Antypater wciąż chrapał. Narzuciłem ubranie i zszedłem cicho po schodach. Minąłem otwarte drzwi do kuchni przylegającej do pokoju dziennego i z pewną ulgą zobaczyłem, że oberżysta i jego żona już przygotowują śniadanie.

Bezgłośnie opuściłem gospodę i pospieszyłem ulicą. Brama świątyni znów była zamknięta, ale znalazłem miejsce, gdzie poprzednio wspiąłem się na mur. Dotarłem do jego szczytu, zawahałem się tylko moment, a potem przegramoliłem na drugą stronę i zeskoczyłem na dziedziniec.

Niezbyt jasne jeszcze światło poranka rzucało długie cienie. Przebiegł mnie dreszcz strachu. Od czasu do czasu wydawało mi się, że wśród cieni coś się rusza, i się wzdrygałem. Postanowiłem jednak, że zrobię to, po co tu

przyszedłem. Z walącym sercem okrążyłem dziedziniec, szczególnie zwracając uwagę na ścianę pustej gospody oraz miejsca wzdłuż muru od strony rzeki. Szukałem świeżo rozkopanej ziemi. Wkrótce ją znalazłem.

Uklęknąłem między powyrywanyymi chwastami i zacząłem kopać.

*

Słońce zdążyło już wspiąć się dość wysoko, zanim wróciłem do gospody.

– Gordianusie! Gdzie się, na Hades, podziewałeś? – zawołał Antypater. Wszyscy pozostali goście wyszli już zwiedzać. W pokoju dziennym siedzieli tylko poeta i Dariusz. – Zamartwiałem się o ciebie...

Zamilkłem, kiedy zobaczyłem, że za mną weszła grupa uzbrojonych ludzi, a także kapłanka Isztar.

Zaniepokojony łomotem stóp właściciel gospody wbiegł do pokoju i pobladał.

– Co się dzieje? – zawołał.

Część zbrojnych szybko otoczyła go i chwyciła za krzepkie ramiona. Inni wpadli do kuchni. Chwilę później wciągnęli do pokoju dziennego żonę właściciela, która krzyczała i klęła w mowie Egipcjan.

Westchnąłem z ulgą. Do tej chwili nie byłem całkowicie pewny, czy słusznie oskarżyłem właściciela gospody i jego żonę, ale ich miny dały jasno do zrozumienia, że są winni.

Reszta zbrojnych rozproszyła się, żeby przeszukać

lokal, zaczynając od prywatnej kwatery właściciela. Po chwili jeden z ludzi wrócił z małym, ale bogato zdobionym kuferkiem z drewna, który otworzył, aby kapłanka mogła się przyjrzeć zawartości. Zerknąłem mu przez ramię. Pudełko wypełniały kosmetyki, różne substancje i maści, ale ich kolory i faktury nie były zwyczajne; wyglądały jak wyposażenie kogoś, kto zajmuje się przebieraniem zawodowo, aktora albo ulicznego mima.

Nawet Rzymianie wiedzieli, że najszlachetniejsze trupy mimów pochodzą z Aleksandrii... tak jak żona właściciela.

– Nie dotykaj tego, ty świnio! – krzyknęła, wyrwała się strażnikowi, który ją trzymał, i podbiegła do mężczyzny z kuferkiem. Ten zbladł na jej widok i się cofnął. Ja zrobiłem to samo, ponieważ nawet bez upiornego makijażu ukazała mi się nagle twarz ohydneho lemura, którego widziałem na dziedzińcu świątyni. Usłyszałem też znów skowyt, który wtedy zmroził mi krew.

Niczym atakujący nosorożec kobieta ruszyła na kapłankę, która stała twardo w miejscu. Przygotowałem się na widowiskowe zderzenie, ale kapłanka uniosła ceremonialny oścień, zamachnęła się nim z całej siły i uderzyła żonę oberżysty prosto w twarz. Ta z ogłuszającym piskiem zatoczyła się w bok, wymachując ramionami i przewracając stoliki i krzesła.

Strażnicy dopadli ją i po chwili zacieklej walki

skrepowali.

Wszedł jeden z ludzi, którzy wciąż przeszukiwali gospodę, minął całe to zamieszanie i podszedł do kapłanki, żeby coś jej pokazać. Trzymał piękny, glazurowany kafel. Miał on kolor ciemnego granatu.

Antypater obrzucił spojrzeniem pogrążony w chaosie pokój dzienny, odwrócił się do mnie i zamrugął zdezorientowany.

– Gordianusie... proszę, wyjaśnij!

*

Znacznie później tego samego dnia, w innej gospodzie – zajazd, w którym mieszkaliśmy dotychczas, został zamknięty – Antypater, Dariusz i ja wnieśliśmy trzy kufle babilońskiego piwa i wypiliśmy za zmarłego Muszeziba.

– Wyjaśnij mi to jeszcze raz – powiedział Dariusz. Przesądna obawa przed starą świątynią owładnęła nim tak bardzo, że nie potrafił pojąć, iż lemur, który ją nawiedzał, wcale nie był lemurem.

Zwilżyłem gardło kolejnym łykiem piwa i zacząłem mówić.

– Jakiś czas temu, nie wiemy dokładnie dlaczego ani kiedy, ale niedawno, właściciel gospody albo jego żona przekopali okolice zrujnowanej świątyni. Dosłownie przekopali. I znaleźli ukryty do tej pory skład prastarych glazurowanych cegieł, bez wątplenia pochodzących ze zburzonych przed wiekami murów Nabuchodonozora,

które biegły niegdyś wzdłuż rzeki w miejscu, gdzie teraz stoi nowszy, prostszy mur. Od razu się zorientowali, że te cegły są warte fortunę. Dokonali jednak znaleziska na terenie starej świątyni. Sama ziemia stanowi wspólną własność i nie jest na sprzedaż, a wszelkie odnalezione tam przedmioty czy skarby niemal na pewno należały do kapłanów Isztar. Było jasne, że właściciel gospody nie ma prawa przywłaszczyć sobie cegieł, ale postanowił zrobić to mimo wszystko. Stwierdził, że najlepiej będzie kupić opuszczony budynek przylegający do świątyni, z którego on i jego żona mogliby mieć dostęp do dziedzińca i zakopanych tam cegieł. Negocjacje związane z zakupem tej działki trwały jednak dość długo i oberżysta zaczął się obawiać, że ktoś jeszcze pójdzie się tam rozejrzeć i znajdzie cegły. Stare opowieści o tym, że miejsce owo jest nawiedzone, okazały się świetnym sposobem na odstraszenie innych. Żona gospodarza wzięła na siebie odegranie roli lemura. Jak się dowiedzieliśmy, za młodu wstąpiła do trupy mimów w Egipcie. Sama z siebie potrafi budzić lęk, a w odpowiednim makijażu i za sprawą swoich umiejętności aktorskich wyglądała naprawdę przerażająco, jak sam się przekonałem. Jednak obecność lemura nie zadziałała na wszystkich. Przynajmniej jeden człowiek odważył się wejść kilka nocy temu na dziedziniec, być może ze zwykłej ciekawości, i on zginął pierwszy.

– Czy to żona gospodarza skrzyła kark tej pierwszej ofierze? – zapytał Antypater.

– Zapewne jest na to wystarczająco silna i widzieliśmy, na co ją stać, kiedy jest rozwścieczona, ale do morderstwa przyznał się jej mąż. Tymi swoimi ramionami każdemu potrafiłby skrócić kark.

– A Muszezib? Co astrolog robił na dziedzińcu w środku nocy? – zapytał Dariusz.

– Myślę, że kiedy tego wieczoru wszyscy poszliśmy spać, Muszezib doszedł do tego samego wniosku, co ja dzień później. Nie wierzył w lemura. Co zatem zobaczyłem naprawdę? Może ktoś udawał lemura... Ale po co? Muszezib w środku nocy wyłamał zamek, wślizgnął się za bramę i zaczął rozglądać. Nawet przekopał nieco okolicę i znalazł to, co schował pod czapką. – Podniosłem odłamek kafla. – Gdybym zobaczył jego dłonie i z pewnością zabrudzone palce, może wcześniej uświadomiłbym sobie prawdę, ale ramiona były ułożone pod ciałem, a kapłani usunęli zwłoki, nim zdążyłem im się przyjrzeć.

– Myślę, że patrzyłeś głównie na kapłankę Isztar – powiedział Dariusz.

Odchrząknąłem.

– W każdym razie właściciel gospody musiał się natknąć na Muszeziba na dziedzińcu. Wywiązała się bójka... słyszałem krzyk astrologa, ale wydawało mi się wtedy, że śnię... i oberżysta skrócił mu kark. Tak jak w wypadku poprzedniej ofiary zostawił ciało na schodach świątyni jako ostrzeżenie i tam znaleźliśmy biednego Muszeziba następnego ranka. Dopiero kiedy wspięliśmy

się na ziggurat, a ja nie byłem w stanie odszukać tam kafla o takim samym kolorze jak odłamek, który znalazłem w czapce Muszeziba, przyszło mi do głowy, że musiał go znaleźć gdzie indziej. Pomyślałem, że może na terenie starej świątyni... i reszta opowieści ukazała mi się w głowie. Dziś wczesnym rankiem zakradłem się na dziedziniec i znalazłem miejsce, w którym zakopano cegły. Odkryłem też zamaskowany, prymitywnie zrobiony otwór w ścianie pustego budynku stojącego obok świątyni. Natychmiast udałem się do kapłanki Isztar, aby opowiedzieć jej o moich podejrzeniach. Zwołała zbrojnych i wróciła ze mną do gospody. Poza kaflami, które oberżysta zdążył już wykopać, ludzie kapłanki znaleźli też tajemne przejście, które zbudował między własną kwaterą a pustym budynkiem, skąd z kolei można było niepostrzeżenie przedostać się na dziedziniec świątyni. Właśnie tą drogą on i jego żona wchodzili na dziedziniec, nawet kiedy brama była zamknięta. To tym sposobem tak zwany lemur mógł pojawiać się i znikać... a morderca dopaść swoje ofiary i uciec, nie stawiając stopy na ulicy.

– Co się stanie z tym oberżystą i jego potworną żoną?
– zapytał Antypater.

– Kapłanka mówi, że muszą zapłacić życiem za swoje zbrodnie.

– A co z tymi pięknymi ceglami? – zapytał Dariusz. Oczy mu lśniły na myśl o takim skarbie.

– Należą do kapłanów Isztar. Domyślam się, że już je

wykopują – powiedziałem.

– Szkoda, że ich nie dostałeś – westchnął Dariusz. – Nie lubię mówić o takich rzeczach, ale od pierwszego dnia nie otrzymałem ani monety za wszystkie usługi, które wyświadczyłem moim nowym przyjaciółom.

Zaśmiałem się.

– Nie obawiaj się, Dariuszu, dostaniesz zapłatę za swoje usługi! – Poklepałem ciężką od monet sakwę przy pasie. Tego popołudnia, kiedy zatrzymano już oberżystę i jego żonę, wezwano mnie z powrotem do świętego przybytku Isztar na prywatną audiencję u kapłanki. Wylewnie pochwaliła moją spostrzegawczość i uparła się, abym przyjął bardzo szczerą nagrodę.

Dariusz zerknął na sakwę, a potem uniósł brew.

– Czy wynagrodziła cię tylko w ten sposób, młody Rzymianinie?

Antypater też zmierzył mnie przenikliwym wzrokiem.

Poczułem przyływ gorąca. Czy się zarumieniłem?

– Prawdę mówiąc, nie – odparłem, ale o wszystkim, co zaszło między kapłanką i mną tego popołudnia, nie miałem zamiaru powiedzieć już nic więcej.

S.M. STIRLING

S.M. Stirling, coraz jaśniejsza gwiazda literatury science fiction – autor uważany przez wielu za naturalnego spadkobiercę Harry’ego Turtledove’a jako króla powieści z nurtu alternatywnej historii – jest twórcą bestsellerowej trylogii „Island in the Sea of Time” (książki *Island in the Sea of Time*, *Against the Tide of Years*, *On the Ocean of Eternity*), w której Nantucket przenosi się w czasie do 1250 roku, a także serii „Draka”. Ta druga obejmuje *Marching through Georgia* (*Szturm przez Gruzję*, przeł. Michał Jakuszczyński, Zysk i S-ka, 1998), *Under the Yoke*, *The Stone Dogs* (*Piąta kolumna*, przeł. Ewa Helińska, Zysk i S-ka, 2001) oraz *Drakon*, a także *Drakas!*, antologię opowiadań rozgrywających się w tym świecie, autorstwa innych pisarzy i pod redakcją Stirlinga. W serii tej lojaliści uciekający po rewolucji amerykańskiej zakładają zmilitaryzowane społeczeństwo w Afryce Południowej, a ostatecznie podbijają większość świata. Stirling napisał też pięcioletni cykl „Fifth Millennium” oraz siedmioletni „General” (wraz z Davidem Drakiem), a także powieści *Conquistador* i *The Peshawar Lancers*. Często, pisząc powieści, współpracuje z innymi autorami: Raymondem F. Feistem, Jerrym Pournelle’em, Holly Lisle, Shirley Meier, Karen Wehrstein oraz znanym ze *Star Treka* aktorem Jamesem Doohanem. Jego teksty pojawiły się też w zbiorach i

cyklach *Babylon 5*, *T2*, *Brainship*, *War World* oraz *Man-Kzin War*. Jego opowiadania zebrano w tomie *Ice, Iron and Gold*. „Emberverse”, postapokaliptyczny cykl Stirlinga, który trafił na listę bestsellerów „New York Timesa” i jest związany z powieściami z serii „Island in the Sea of Time”, składa się z trylogii *Dies the Fire*, *The Protector’s War* oraz *Meeting at Corvallis*, a także następnym powieści: *The Sunrise Lands*, *The Scourge of God*, *The Sword of the Lady*, *The High King of Montival* i *The Tears of the Sun*. W skład cyklu „Lords of Creation” zaś wchodzi tytuły *The Sky People* oraz *In the Courts of the Crimson Kings*. Jego najnowsze dzieło, cykl „Shadowspawn”, składa się z książek *A Taint in the Blood* i *The Council of Shadows*. Stirling urodził się we Francji, a wychowywał w Europie, Afryce i Kanadzie. Obecnie mieszka w Santa Fe w stanie Nowy Meksyk.

W zamieszczonej tu pełnej napięcia opowieści towarzyszymy zwykłemu gliniarzu, któremu przychodzi się uporać ze zdecydowanie niezwykłym przestępcą, wyposażonym w nadzwyczajne umiejętności i na pozór niepokonanym.

BÓL I CIERPIENIE

I

Sen.

Eric Salvador zawsze wiedział, że to sen. Nie mógł na niego wpłynąć ani się z niego wydostać, mógł tylko przyswajać widoki, zapachy, smaki i czuć przemożny, wstrętny lęk. W rzeczywistości na końcu wiejskiej uliczki, przy meczecie, nie stał spalony pojazd opancerzony. To było gdzie indziej, w tej dziurze pod Kandaharem, którą widział podczas swojego pierwszego okresu służby, i stał on tam tylko jeden dzień. To było połączenie wszystkich dołków prowadzących do samego Wielkiego Dołu.

Kilka innych rzeczy się zgadza, pomyślał.

To, jak Olsen wyrzucił w powietrze mały dron monitorujący typu Raven; brzęczenie silnika, z którym urządzenie wzbilo się w powietrze, aby zatoczyć nad nimi krąg; głupkowata naklejka z buzią odsłaniającą w uśmiechu kły, którą przyklepił na dziobie tego należącego do korpusu zabawkowego samolotu za trzydzieści pięć tysięcy dolców. Próbował też umocować pod skrzydłami małe sztuczne pociski Hellfire, a sierżant artylerii prawie nakopał mu za to do dupy. Ich tłumacz rozglądał się tak gorączkowo i pocił tak bardzo, że człowiek aż zaczął się zastanawiać, czy to tylko z upału albo zwykłego strachu, czy też wiedział więcej, niż mówił.

Chryste, ten pieprzony koszmar śnił mi się już tyle razy, że robi się ze mnie krytyk filmowy.

Smith za każdym razem zbliżał się do bramy w murze otaczającym kompleks budynków, tak samo jak to zrobił naprawdę tamtego dnia. Przepisowo, z nimi dwoma blisko po obu stronach; Jackson wysadzał zamek w bramie jednym nabojem – *bum* – i kiedy kulka rozrywała zardzewiały zamek, wypaczone stare deski wpadały do środka, na dziedziniec, a Smith szedł ich śladem ze swoim M4 przy ramieniu i z Jacksonem depczącym mu po piętach.

Wybuch zawsze był bezgłośny. Bezgłośny i w zwolnionym tempie; płomienie przeciekały przez kawałki drewna, dwaj mężczyźni przed nim wzbili się w powietrze, a on miał tylko tyle czasu, żeby pomyśleć: Cholera, tym razem nie jest dobrze, zanim dłoń olbrzyma uniosła go i odrzuciła w tył, aż poczuł zderzenie z czymś twardym i ból.

Tyle że tym razem było inaczej. Tym razem coś wyłoniło się z ognia i podeszło do miejsca, gdzie leżał z połamanymi zębami trącymi o siebie pod kamizelką kuloodporną, która uratowała mu życie.

Sylwetka się wykrzywiła, a jej nienaturalność sprawiła, że miał ochotę wykrzyczeć z płuc krwistą pianę, oczy były usiane żółtymi plamkami. A głos wślizgnął mu się do uszu:

– I kto był niegrzecznym chłopcem?

Zaczął się zapadać w suchą, pylistą ziemię, która

wdzierała się do jego ust, nosa i oczu; pył epok i imperiów.

– Niegrzeczny!

– Chryste!

Leżał w ciemnościach i dyszał, czując zapach własnego potu i czekając na pewność, że się obudził: czasami śniło mu się, że się ocknął, a potem całość zaczynała na nowo wirować mu w głowie. Sen już się zacierał, szczegóły załamywały się jak światło w kropli wody. Zaczął na oślep szukać przy łóżku papierosów, ale potem przypomniał sobie, że rzucił palenie.

– Idź spać – powiedział do samego siebie. – Sny i tak nie są gorsze niż pamięć.

Chryste.

*

Strażacy wyłączali już sikawki. Wilgotna para wzniosła się w nocne powietrze, a chłodna woda kapała z budynków po bokach, które oblano, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia. Po drugiej stronie ulicy stał nagi mur. Była pustynna zima, zimna i sucha. Od odpływających na północ białych szczytów gór Sangre de Cristo odbijało się światło księżyca.

– No to dlaczego się spalił, co? – zapytał Salvador śledczą z biura komendanta straży pożarnej.

– Podpalenie – odpowiedziała detektywowi. – Nie „się”, tylko ktoś go spalił.

– Okej, podpalenie. Fajnie byłoby poznać jakies

szczególne, Alice – powiedział.

– No właśnie. Nie potrafię znaleźć powodu, dla którego spłonął. Nie ma żadnych poszlak. Po prostu poszedł z dymem.

– I to jak.

Dał nura pod żółtą taśmą odgradzającą teren. Był krzepkim mężczyzną koło trzydziestki z szorstkimi włosami wciąż ostrzyżonymi na krótkiego jeża, z wąsem i siwą od zarostu żuchwą, który przytył ostatnio parę kilo, niewiele, nie dość, żeby zmieniło to twardy zarys jego sylwetki. Oliwkowy policzek przecinała głęboka blizna, którą pocierał kciukiem. Miejsce, gdzie od frunącego metalu miny pękła mu kość, czasami pobolevało. Blizna biegła pod wąsem, zniekształcając lekko wargę.

– Jedno ci mogę powiedzieć – dodała śledcza. – Było tu naprawdę gorąco.

– Przyspieszacz spalania? Nic nie czuję.

– To prawda, benzynę albo olej zazwyczaj daje się wyczuć. Ale za cholerę nie potrafiłabym tego udowodnić, może po wynikach z laboratorium... Ale ku temu bym się skłaniała. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Jakby chciał spłonąć. Nic nie wskazuje na to, żeby ogień pojawił się w jednym miejscu, a potem rozprzestrzenił. Wszystko, co mogło wejść w reakcję z tlenem, po prostu naraz poszło z dymem, szust. Nawet sztuce się stopiły, a do tego musi być znacznie goręcej niż podczas typowego pożaru domu.

Był to niewielki, piętrowy dom: jedno mieszkanie na

dole, drugie na górze. Znajdował się niedaleko Canyon Road oraz deptaku z galeriami, a także Acequia Madre, wiekowego kanału nawadniającego, co oznaczało, że był dosyć kosztowny. Nie stał jednak na tyle blisko, żeby zbudowano go z prawdziwej cegły *adobe*, która w Santa Fe oznaczała „stare” i „drogie”. Był w hiszpańskim stylu pseudopueblo, pokryty brązowym tynkiem, jak niemal każdy budynek w mieście, zgodnie z wytycznymi prawa budowlanego.

On i Alice współpracowali już wcześniej. Była nieco starsza od niego – mogła mieć trzydzieści pięć lat – i zawsze wyglądała na zmęczoną, a krótkie blond włosy miała rozczochrane. Podobało mu się, że nigdy nie pozwoliła umknąć żadnemu szczegółowi, niezależnie od tego, ile wymagało to od niej pracy.

– „Santa Fe, gdzie prestiż to dom z błota przy niewybrukowanej drodze” – zacytowała. – Czyli mało prawdopodobne, że to podpalenie dla zysku z ubezpieczenia. Za mało w tym pieniędzy.

– No. Na taki dom, kiedy jeszcze istniał, też nie byłoby mnie stać. Musiał się sfajczyć jak główka zapalki.

Z domu nie zostało dość dużo, żeby ustalić coś więcej. Znad poczerniałych resztek leżących na osmalonych betonowych fundamentach unosił się ciężki zapach mokrego popiołu. Salvador znów zamrugął. Ten zapach i to, jak kule przegryzły się przez cegły z gliny pod oknem, rzucając mu drobiny *adobe* w twarz. To, jak obcierała go kamizelka, strach, z jakim zmusił się do

wychylenia nad parapet i nakierowania czerwonej kropki celownika M4, to, jak *mouj* wlepił w niego spojrzenie wytrzeszczonych oczu na moment przed tym, jak seria pocisków zostawiła na jego ciele szereg czarno-czerwonych kropek i sprawiła, że zatańczył jak lalka z ruchomymi kończynami...

– Eric? – Głos Alice wyrwał go ze wspomnień.

– Przepraszam – powiedział. – Zamyśliłem się.

Oszczędziła mu obraźliwego współczucia, a on skinął jej głową w milczącej podziękę, wciąż trochę roztrzęsiony. Muszę sobie z tym poradzić. Flashbacki mogę mieć później.

– Przekaż mi analizę, kiedy tylko będziesz mogła – dodał.

Oczywiście, siedząc na tamtej kupie gruzu, mówiłem, że zajmę się tym później, żeby nie spieprzyć misji. Zdaje się, że to „później” jest teraz.

– Wyślę ci to na pada – powiedziała Alice. – Muszę zebrać jeszcze trochę próbek.

Odwrócił się. Cesar Martinez rozmawiał z rodziną Lopezów. Para siedziała w jednej z karetek, a trójka ich dzieci była u jakiegoś sąsiada albo krewnego. Ktoś przyniósł im styropianowe kubki z kawą. Nozdrza mu zadrgały, kiedy poczuł jej zapach, choć tak naprawdę miał ochotę na drinka. Albo papierosa. Powstrzymał obie chętki i wsłuchał się w łagodny, spokojny i współczujący głos swojego partnera. Tego młodego wilka czekała błyskotliwa kariera: potrafił sprawić, że ludzie chcieli mu

pomóc, był naprawdę dobry w ich uspokajaniu i nigdy nie lekceważył tego, co mieli do powiedzenia.

– Chciałem wejść z powrotem. Tamci zniknęli, a ja chciałem wrócić do środka i wtedy...

Cesar wydał pełen empatii pomruk.

– Jedliście kolację, kiedy ten człowiek wypędził was z domu?

– Chińszczyznę na wynos, od Chowa – powiedziała kobieta.

Jej mąż podjął wątek:

– Wszedł ten facet. Miał broń... Podobną do śrutówki, ale mniejszą, rozmiaru pistoletu – opowiadał Anthony Lopez. – I tak wyglądała na dość sporą. Tak jak on.

Zachichotał, czym zdobył sobie uznanie Salvadora. Kiedy rzeczywistość wdzierła się w to, co cywile uważali za swoje życie, nigdy nie było im łatwo.

– Po czym pan poznał, że to śrutówka?

– Dwie lufy. Wyglądały jak tunele.

– A ten mężczyzna?

– Był starszy ode mnie, koło pięćdziesiątki, może sześćdziesiątki, z krótkimi siwymi włosami, ale poruszał się szybko. Miał niebieskie oczy i trochę opaloną skórę, ale widać było, że jest różowa.

– Czyli białas, ale ogorzały?

– Właśnie. Ubrany cały na czarno, w skórę. Zaczął na nas krzyczeć: „Ruchy, ruchy, ruchy, wynocha stąd, uciekajcie, ale biegiem”. Posłuchaliśmy.

– Bardzo słusznie – powiedział Cesar.

– Ale ja chciałem wrócić. A potem dom spłonął... – szepnął. – Gdybym to zrobił...

Już byś nie żył, pomyślał Salvador. Z drugiej strony, gdyby ten facet was nie wygonił, wszyscy bylibyście martwi. Coś tu nie pasuje. Podpalaczy nie obchodzi, kto ucierpi, i z pewnością nie ryzykują własnego życia, żeby kogoś ostrzec.

Znów odezwała się pani Lopez:

– Na zewnątrz, kiedy wybiegliśmy, zobaczyliśmy młodszego mężczyznę. Nic nie robił, stał tylko z uniesionymi rękami, prawie jakby był naćpany albo coś. A tam stała furgonetka albo ciężarówka.

Wskazała mur otaczający działkę po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko miejsca, gdzie kiedyś był jej dom. Salvador zanotował sobie, żeby ktoś sprawdził, czy zachowały się ślady opon.

– Kiedy byliśmy już po drugiej stronie ulicy, ten młodszemu, no, jakby zemdlął. Starszy facet z bronią, ten w czerni, pomógł mu wsiąść do furgonetki, prawie go niósł. Zaciągnął go tam i wsadził na tylne siedzenie. Potem odjechali.

Cesar dotknął ekranu pada i włączył program do tworzenia portretów pamięciowych.

– Czy młodszemu mężczyzna wyglądał tak? – zaczął, a potem cierpliwie przeprowadził ich przez cały proces.

Zafascynowany nim jak zawsze Salvador zagapił się na to, jak zmieniał się i przekształcał obraz, powoli

przeobrażający się w coś, co tylko ekspert potrafiłby odróżnić od prawdziwego zdjęcia. Wiedział, że w dawnych czasach do tworzenia portretów wzywano specjalistów, ale teraz działa się to automatycznie. Dzięki funkcji rozpoznawania twarzy program potrafił nawet przeszukiwać bazy danych. Kiedy Lopezowie nie mogli już bardziej pomóc, Cesar dodał:

– Dziękuję, dziękuję wam obojgu. Możliwe, że będziemy musieli jeszcze z wami porozmawiać.

Westchnął głęboko, odwrócił się i oparł o tył karetki, patrząc na ekran pada.

– Ich wersje wydarzeń się zgadzały? – zachęcił go do mówienia Salvador.

– Tak, *jefe*⁵. Od samego początku, nie było tak, że słuchali się nawzajem i zmieniali historię.

Dotknął ekranu.

– No dobra, kolejność wydarzeń: kiedy pani Lopez wróciła do domu z dziećmi około piątej, na miejscu był samochód Ellen Tarnowski, lokatorki z górnego piętra. Pan Lopez, jej mąż, wrócił nieco później i też zwrócił uwagę na samochód, bo sąsiadki zazwyczaj o tej porze nie ma jeszcze w domu.

– Przyjaźnią się z nią?

– Znają się z widzenia, czasem ucinają pogawędkę na schodach. Mówią, że jest miła, ale nie mają z nią zbyt dużo wspólnego.

Wyższy rangą policjant mruknął i zerknął na własnego pada, szukając informacji. Pan i pani Lopez byli

odpowiednio urzędnikiem średniego szczebla we władzach stanowych i asystentką stomatologa. Ellen Tarnowski...

Pracuje w galerii Hans & Demarcio. Okej, artycha. Bóg jeden wie, że mamy ich tutaj pod dostatkiem.

W Santa Fe znajdowało się ponad trzysta galerii, a poza tym w każdej knajpie i barze z taco na ścianach wisiały najróżniejsze dzieła sztuki na sprzedaż. W dodatku co drugi kelner i kasjer w mieście był jakiegoś rodzaju początkującym artystą, tak jak w L.A. pełno kandydatów na aktorów. Jej zdjęcie z jakiejś strony internetowej, a może od Wydziału Komunikacji, wyjrzało z jego pada: blondynka, około dwudziestu pięciu lat, pełne czerwone wargi, krótki prosty nos, wysokie kości policzkowe, duże niebieskie oczy. Coś było w tych oczach, miały dziwne spojrzenie. Jakby znękanie. Sylwetka poniżej...

– Jezu.

– To samo powiedziałem. W każdym razie schodzi na dół zaraz po powrocie Lopez. Pani Lopez wygląda przez kuchenne okno i zwraca na nią uwagę, bo ma na sobie...

Ponownie zerknął do notatek.

– ...białą, jedwabną, prostą sukienkę i szal. Lopez wiedziała, że to najlepsza sukienka Tarnowski, na specjalne okazje, bo kilka miesięcy wcześniej o niej gadały. Była z nią inna kobieta. Mniej więcej w wieku Tarnowski, ale niższa, szczupła, z oliwkową cerą albo opalona, z długimi ciemnymi włosami, ciemnymi

oczami...

– W tym mieście na pewno rzuci się w oczy.

– *Sí*, a jeśli prowadzi się z *la Tarnowski*, na pewno tak będzie! Mam też jej portret pamięciowy, ale nie jest tak dokładny. Pani Lopez powiedziała, że jej ubrania wyglądały na bardzo drogie i miała naszyjnik z tanzanitu.

– Co to, do nędzy, jest tanzanit?

Inna rzecz, której mamy tu setki, to sklepy z biżuterią.

– Coś jak szafir, ale naprawdę drogi. Tak wyglądała.

Zademonstrował portret. Twarz trójkątna, lekko uśmiechnięta, okolona długimi, prostymi, czarnymi włosami. Też atrakcyjna, ale...

Przypomina mi tę norkę, którą miałem kiedyś w rękach. Ładna, a gryzła jak szatan. Potrzebowałem trzech szwów i szczepionki przeciwzęzcowej.

– Jakoś mi się nie wydaje, żeby była Latynoską – powiedział na głos, pieszcząc palcami niewielką bliznę u nasady prawego kciuka.

– Też tak sędzę, ale nie bardzo wiem dlaczego. Przy okazji, porównajmy to z portretem człowieka, którego zobaczyli przed domem, kiedy tamten stary gad z bronią ich wykurzył. Tego, którego stary wepchnął na tylne siedzenie.

Widząc ułożone obok siebie podobizny, Salvador uniósł brwi.

– Są pewni, że to nie ta sama osoba? Po ciemku i w odpowiednich ubraniach łatwo się pomylić.

Jego partner kiwnął głową; rzeczywiście, w pewnych

okolicznościach było to zaskakująco prawdopodobne.

– Podobny do Tajemniczej Kobiety, co? Ale to był facet, na pewno. Miał na sobie ciemną kurtkę z rozpiętym zamkiem, a pod spodem koszulkę. Według pani Lopez wyglądał na wysportowanego. Nie jak paker, ale jak ktoś, kto dużo ćwiczy. Jemu przyjrzała się dokładniej niż kobiecie, przeszli tuż obok niego. Aha, w bazach danych nie ma nic na temat ani jego, ani jej, ale popatrz na to.

Przesunął palcami po ekranie, a portrety się nałożyły. Potem dotknął palcem okienka funkcyjnego.

– Okej, ta maszynka sądzi, że są krewnymi – stwierdził Salvador. – Sam bym na to wpadł.

– Ale czy potrafiłbyś określić, że prawdopodobieństwo wynosi pięćdziesiąt trzy procent?

– Jasne. Powiedziałbym po prostu: „Prawdopodobieństwo wynosi pięćdziesiąt trzy procent”. Albo, używając staromodnego ludzkiego języka, *certainement*. No dobra, wróćmy do tego, co Tajemnicza Kobieta robiła wcześniej. Razem z Tarnowski wsiadają do jej samochodu i odjeżdżają około piątej trzydzieści, może kilka minut wcześniej.

– Tajemnicza Kobieta prowadziła. Tarnowski wyglądała na roztrzęsioną. – Cesar zajrzał do notatek. – Tak, pani Lopez mówiła, że Tarnowski wyglądała, jakby miała się przewrócić, może była chora i ta druga pomogła jej wsiąść do samochodu.

– Już dwojgu ludziom trzeba było pomagać wsiąść do

samochoodu. Coś tu śmierdzi.

– A dwie i pół godziny później ktoś wbiega do domu, machając obrzynem, podczas gdy brat, kuzyn czy kto tam Tajemniczej Kobiety stoi na zewnątrz, nie zwracając uwagi na nic i mówiąc do siebie w dziwnym języku...

– Dziwnym języku?

– Usłyszeli tylko kilka słów. Nie był to angielski ani hiszpański, żaden język, który dałoby się rozpoznać. Przemawia w tym języku, upada, gad z bronią mu pomaga, odjeżdżają, a kilka minut później zupełnym przypadkiem z domu zostają zgłiszcza.

Salvador westchnął i podniósł kołnierz płaszcza; było ciemno i zimno.

– Muszę się napić. Wyślij do wszystkich zawiadomienie, że szukamy Ellen Tarnowski, i oznacz jej nazwisko w systemach służb miejskich i szpitalach w całym stanie. Jeśli chodzi o tego *gringo* z obrzynem... użyj protokołu rozpoznawania twarzy na kamerach monitorujących. Możemy go zwinąć za narażenie na niebezpieczeństwo utraty życia, wtargnięcie, pogroźki, podejrzenie podpalenia, nieświeży oddech, cokolwiek.

– *Sí*, i śmiecenie. Tajemniczą Kobietę i Tajemniczego Mężczyznę też?

– Jasne, czemu nie? Niech wszyscy pojawią się na posterunku, przeprosić możemy później.

Usiadł i zaczął dźgać palcem ekran. Miał zamiar następnego ranka zacząć podążać śladami tej Tarnowski. Jak dotąd nikt nie umarł, a on chciał, żeby tak zostało. Jej

miejsce pracy będzie dobrym punktem wyjścia.

II

Jedną z radości w życiu policjanta, pomyślał następnego dnia Eric Salvador, żałując, że nie wziął przy śniadaniu więcej paracetamolu, spotykasz najróżniejszych ludzi. Większość z nich cię nienawidzi. *Asi es la vida*⁷. Ona przynajmniej raczej nie spróbuje wysadzić mnie w powietrze bombą z nawozu sztucznego.

Giselle Demarcio była po pięćdziesiątce, miała napiętą skórę na suchej twarzy i lekki akcent ze Wschodniego Wybrzeża. Ubrana była w typowe dla Santa Fe swobodne ciuchy: luźną bluzkę, falbaniastą spódnicę i nosiła srebrną biżuterię.

Modna wersja tego, co nosiła po domu moja prababcia, pomyślał cynicznie Salvador; jego rodzina, a przynajmniej jej hiszpańska część, mieszkała w Santa Fe od siedemnastego wieku. Jeśli poczeka się dość długo, wszystko, co stare, staje się na powrót nowe. Bogate białasy wysiadają z autobusu i wprowadzają się do wypicowanych domów z *adobe*, a ty lądujesz w domu na kółkach przy Airport Road.

Zamiast obrączki miała na palcu biały ślad i idealnie pasowała do przestronnego, jasnego wystroju galerii Hans

& Demarcio. Zwrócił uwagę, że nie zaprosiła go do swojego biura, ale do na wpół publicznej sali spotkań. Przynajmniej sztukę na ścianach potrafił zrozumieć: były to prawdziwe obrazy przedstawiające prawdziwe sceny, ale w odróżnieniu od wielu innych galerii na Canyon Road nie byli to kowboje i pueblo rodem z westernu, tylko starsze rzeczy. Czuć było bardzo słaby zapach dymu z polan miejscowej sosny płonących w wystylizowanym na kive kominku. Całość aż śmierdziała pieniędzmi. Czasy, kiedy Canyon Road wabiła artystów niskimi czynszami, bardzo dawno minęły.

Santa Fe, miasto, w którym dziesięć tysięcy mieszkańców mogłoby kupić cały stan, a pięćdziesięciu tysięcy nie stać na obiad, pomyślał.

– Miałby pan ochotę na kawę, oficerze? – zapytała Demarcio.

Chwileczkę, pomyślał Salvador. Nie jest wrogo nastawiona. Z jakiegoś powodu się boi. Nie mnie, ale szaleje z przerażenia i dobrze to ukrywa.

– Dziękuję – odparł, biorąc filiżankę. – Jak miło.

Kawa była świetna, szczególnie w porównaniu z tym, co pijał w domu albo na posterunku; miała bogaty, orzechowy posmak. Cieszył się nią i czekał. Większość ludzi nie potrafi znieść milczenia. Wykańcza ich nerwowo i w końcu wyskakują z czymś, żeby tylko je przerwać. Cierpliwości i milczenia nauczyło Salvadora życie.

– Martwię się o Ellen – powiedziała nagle kobieta.

Detektyw mruknął uspokajająco.

– Pani Tarnowski pracowała u pani? – zapytał.

– Pracuje. Jest moją asystentką, ale nie pojawiła się dziś rano. To jednak zrozumiałe, biorąc pod uwagę pożar i w ogóle. Nie jest sekretarką, skończyła historię sztuki na Uniwersytecie Nowojorskim, a ja przyuczałam ją do pozyskiwania dzieł. Ja... To kochana dziewczyna, ale wplątała się w coś, prawda?

– Niech pani mi to powie, pani Demarcio – odparł Salvador.

– Nigdy mi się nie podobał ten jej chłopak. Spotkała go jakiś rok temu podczas gry w tenisa na kortach pod miastem i oni, no cóż, to się stało strasznie szybko. Niepokoił mnie. A potem pojawiła się jego siostra...

Salvador zamrugał. Siostra... kobieta, która była z Tarnowski?

– Chłopak? – zapytał.

– Adrian Brézé.

– Ach... – mruknął Salvador.

Mówiąc, wpisał nazwisko na klawiaturze dotykowej pada i wybrał dość wyspecjalizowaną funkcję wyszukiwania. Dawno temu opanował sztuczkę jednoczesnego czytania z ekranu i uważnego słuchania rozmówcy.

– To interesujące. Ma pani jego zdjęcie?

Interesujące było to, że Salvador nie miał jego zdjęcia. W ogóle miał niewiele. Czasy były takie, że zazwyczaj w powodzi danych na temat dosłownie każdej osoby można było utonąć. Teraz pojawiły się tylko

podstawowe informacje, numer ubezpieczenia społecznego i paszportu oraz adres daleko, daleko za zachodnią granicą miasta. Właściwie to tuż za hrabstwem Santa Fe. Szybko zerknął na Google Earth: wielki dom na niskiej górze albo wysokim wzgórzu, dokładnie u podnóża gór Sangre de Cristo, na pustkowiu.

Nie ma nawet zdjęcia paszportowego. Ktoś lubi prywatność, pomyślał ze wzrokiem wbitym w adres. A potem: Hej, a może... Nie, nikt nie potrafi umknąć netowi.

Demarcio się zawahała, a potem wyciągnęła z szuflady oprawione zdjęcie. Szkło w ramce było pęknięte, jakby ktoś rzucił nią o ścianę.

– Powiedziała mi, że ma zamiar z nim zerwać. Nie potrafiła już znieść jego chłodu emocjonalnego i kłamstw. Potem, wczoraj, nie pojawiła się w pracy.

– A więc nie było jej już dzień przed pożarem – powiedział Salvador, patrząc na zdjęcie. – Nie zadzwoniła? Nie dała znać?

– Nie. To do niej niepodobne. To najbardziej godna zaufania osoba, która dla mnie kiedykolwiek pracowała.

Zdjęcie pod pękniętym szkłem ukazywało dość młodego mężczyznę, choć po bliższym przyjrzeniu się Salvador uznał, że może być jego rówieśnikiem. Właściwie równie dobrze mógł mieć dwadzieścia pięć, jak i trzydzieści pięć lat. Ciemne włosy, nieco dłuższe niż były modne, twarz człowieka z rejonu Morza Śródziemnego. Przystojny, może aż za bardzo.

Androginiczny, tak się mówi. Ale jest w nim też coś niepokojącego.

– On... – Demarcio zmarszczyła brwi. – Wie pan, spotkałam go kilkanaście razy i wysłuchiwałam, jak ona o nim mówiła, a mówiła dużo, i naprawdę nie potrafię panu zbyt pomóc. Jest bogaty... myślę, że bardzo bogaty. Stare pieniądze, ale to tylko moje wrażenie, nie wiem na pewno. Ellen też nie chciał zdradzić na ten temat za dużo, wciskał jej tylko jakieś kity o „inwestycjach”. Urodzony w Stanach, ale ma lekki akcent, chyba francuski, co pasowałoby do nazwiska. Wiem, że mówi po francusku, włosku i hiszpańsku... a tak, i jeszcze po niemiecku. Nie wiem, skąd bierze pieniądze ani gdzie studiował, ani w ogóle nic.

Salvador przyjrzał się zdjęciu. Dyskretnie otworzył na padzie portret pamięciowy. Podobieństwo mężczyzny na zdjęciu do tego, który stał nieruchomo przed domem Lopezów tuż przed pożarem, było niewątpliwe. Salvador wczytał zdjęcie do pada, a program porównał podobizny i dał pozytywny wynik.

– Powiedziałyby pani, że to Adrian Brézé? – zapytał i pokazał jej ekran.

– Absolutnie tak – odparła.

– A to jego siostra? – ciągnął, otwierając portret pamięciowy kobiety, którą Lopezowie widzieli z Ellen Tarnowski.

– No cóż... – To zdjęcie nie było równie wyraźne. Lopezowie widzieli jej twarz jedynie w przelocie i przez

okno. – Tak, chyba tak. Uderzające podobieństwo, prawda? Jak bliźniacy, tylko musieliby być dwujajowi.

– A tego człowieka pani widziała?

Tym razem portret przedstawiał starszego mężczyznę z bronią, który wygonił Lopezów z domu... i pewnie uratował im życie, biorąc pod uwagę, jak szybko spłonął budynek.

– Nie, raczej nie. To znaczy jest podobny do wielu ludzi, których widziałam, ale nikogo konkretnego nie przywodzi mi na myśl.

Salvador mruknął. Faktycznie, była to dość pospolita twarz jak na białego faceta. Na oczekaniu powiedziała, że to ktoś z Teksasu albo gdzieś z południa. Coś w zarysie kości policzkowych nasuwało na myśl szkocko-irlandzkiego prostaczka, tak samo jak pociągła twarz i wydłużona czaszka, ale nawet to było tylko hipotezą. Niewiele wiedział o tym typie ludzi.

– Uważa pani, że Brézé byłby zdolny do, hmm, brutalnego zachowania?

Umilkła na długą chwilę, wlepiając wzrok we własne dłonie. Kiedy na powrót spojrzała mu w oczy, znów odezwał się w nim dzwonek alarmowy.

– Myślę, że byłby zdolny do wszystkiego. Absolutnie wszystkiego.

– Łatwo tracił panowanie nad sobą?

Pokręciła głową.

– Nie. Zawsze był uprzedzająco grzeczny. Ale ja to czułam.

To na pewno bardzo pomoże w sądzie.

– No dobrze, a czy później tego samego wieczoru widziała pani jeszcze panią Tarnowski?

Teraz Demarcio oblała się rumieńcem.

– Tak, z panią Brézé... Adrienne Brézé. W La Casa Sena jadły kolację niedaleko mojego stolika.

Była to droga restauracja na Palace Avenue, tuż przy głównym placu; mieściła się w starym, odnowionym domu z cegły *adobe*, który pierwotnie był miejską rezydencją *hacendado*⁸. Bynajmniej nie była najdroższa w mieście, ale znajdowała się w czołówce.

– Nie rozmawiała pani z nimi?

– Nie. One, hmm, nie sprawiały wrażenia, jakby chciały mieć towarzystwo. – Uniosła wzrok i znowu zarumieniła się lekko. – Wyglądały na dość zajęte.

Ach tak, pomyślał Salvador. W ten sposób zajęte. To podpalenie czy kiepski film? Siostra odbija ją bratu, więc brat podpala jej dom? Skąd tacy ludzie w ogóle się biorą? Wychodzą z ekranów telewizorów, a może scenarzyści znają takich i używają ich jako materiału poglądowego?

– Znała pani Adrienne Brézé na gruncie towarzyskim?

– Nie. Widziałam ją wtedy po raz pierwszy. Nawet nie miałam pojęcia, że Adrian ma siostrę.

– Skąd zatem znała pani jej nazwisko? – zapytał.

Zdesperowane spojrzenie.

– Zapytałam *maître d'hôtel* w La Casa Sena, naturalnie! Jestem tam stałym gościem. Adrian też.

Ukrył uśmiech. Myślę, że pani Demarcio jest miła. Martwi się o Tarnowski. Ale sądzę też, że to pierwszej wody plotkara.

– Dziękuję, pani Demarcio...

– Jak to, nic mi pan nie powie?

Westchnął. Zazwyczaj nie mówił, ale nie mógł sobie pozwolić na utratę tego źródła.

– Badamy okoliczności pożaru, który wybuchł w mieszkaniu pani Tarnowski, i próbujemy ją znaleźć.

Zmrużyła nieco oczy. To znaczyło: „Sądzymy, że ktoś puścił je z dymem”, tylko zostało subtelniej wyrażone.

– A jej zniknięcie?

– Ach, tak. Nie ma powodu, aby uznać, że to cokolwiek poza nagłą przeprowadzką...

– Nie ma też powodu, aby uznać, że to nagła przeprowadzka. Rozmawiałam z Lopezami. Tam przecież był człowiek z bronią.

Salvador znów westchnął. Santa Fe to nieduże miasto.

– To prawda. Szuka go policja z Santa Fe, Albuquerque i stanowa. Oto moja wizytówka.

Przesunął kartonik w jej stronę po niskim stoliku.

– Proszę natychmiast mnie zawiadomić, jeśli pani Tarnowski się z panią skontaktuje albo dowie się pani czegokolwiek innego.

Przed galerią spotkał się z Cesarem i ruszyli do końca Canyon Road, po czym skręcili w prawo i przeszli mostem nad całkowicie suchym korytem małej, typowej

dla Santa Fe rzeki z wąskim pasem trawy i topolami na brzegu. To doprowadziło ich do Palace Avenue, nieco na północ od katedry, której bryła z czerwonego piaskowca górowała nad otynkowanymi fasadami sąsiadujących budynków z *adobe*. Salvador wepchnął pięści do kieszeni podbitej kożuchem kurtki i zrobił nachmurzoną minę, przystając tylko po to, żeby pokazać środkowy palec kierowcy mercedesa, który przejechał na żółtym świetle i prawie ich potrącił. Zaraz potem rdzewiejący gruchot z drzwiami od strony kierowcy umocowanymi za pomocą drutu zrobił to samo.

– Wszystko to porąbane – pożałił się, kiedy opowiedział już wszystko partnerowi. – Ale przynajmniej nasze portrety pamięciowe mają już imiona. Adrian i Adrienne Brézé.

– Fakt, to popieprzone, *amigo* – odparł pogodnie Cesar – a to dlatego, że w bazach danych wciąż nic nie można znaleźć, choć mamy nazwiska. Ci ludzie nie mają adresów e-mailowych, kont w banku... Wysłałeś list gończy?

– Tak, do miejscowych, stanowych, Fagasów Brutali i Idiotów oraz Departamentu Niebezpieczeństwa, czyli szpicli. Trochę to może potrwać, mimo że ich systemy są teraz powiązane.

– Znalezienie czegokolwiek nie powinno „trochę trwać”. Każdy zostawia ślady. Pytanie, przyjacielu, czy powinniśmy uważać to za śledztwo w sprawie podpalenia czy jakiegoś rodzaju porwanie? Zemsta wzgardzonego

kochanka, który pali dom i porywa dziewczynę?

– Trochę na to za wcześnie.

Cesar wyszczerzył zęby i pokazał na swoim padzie zdjęcie starego, ale zadbanego priusa.

– Porzucony samochód na Palace, wystawiono mandat i godzinę temu odholowano. Zarejestrowany na nazwisko...

– Ellen Tarnowski.

– Więc może nie jest tak wcześnie.

Pad Salvadora zapikał.

– Ja pieprzę. Popatrz.

Zdjęcie pochodziło z kamery monitorującej na lotnisku w Albuquerque, większym mieście oddalonym o godzinę jazdy na południe; wyłapał je software rozpoznający twarze.

– To Brézé i nasz tajemniczy człowiek z bronią, bez dwóch zdań. Wciąż ubrany w czarną skórę. Lot wczoraj wieczorem, o dziewiątej trzydzieści, do San Francisco. Czekać chwilę...

Postukał palcem w ekran.

– O kurwa.

– Co jest?

– Nie mieli biletów. Patrz.

– Może wystawiono je na inne nazwisko?

– Nie, zgodnie z rejestrem biletów były dwa wolne miejsca w pierwszej klasie. Ale zobacz, kiedy dostali zezwolenie na start, zaprotokołowali, że zajęte są wszystkie miejsca w pierwszej klasie. Tylko do tych

dwóch nie dopisano żadnych nazwisk. Co podobno nie powinno być możliwe, łamie trzy prawa i dwadzieścia przepisów.

Cesar syknął z frustracją.

– *Mierda*9, przez moment myślałem, że zdobędziemy nazwisko pana Obrzyna. Jak tam na drugim końcu?

– Samolot wylądował na San Francisco International... Tamtejsze kamery monitorujące niczego nie wyłapały, a powinny.

Młodszy mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Może wysiedli po drodze, *si*?

– Jasne, na wysokości dwunastu kilometrów. Przynajmniej możemy odrzucić teorię o porwaniu, Cesar. Ale Tarnowski wciąż się nie odnalazła, nawet jeśli pan Narzeczony jej nie porwał. Chyba że trzyma ją gdzieś ktoś trzeci.

– No dobra, mamy ostatnie znane miejsce jej pobytu w Santa Fe. To tutaj.

Budynek mieszczący La Casa Sena i kilka ekskluzywnych sklepów pochodził z dziewiętnastego wieku, był zbudowany z *adobe* i wypalanej cegły, a pośrodku miał patio z sadzawką oraz ogromną topolą. Pierwotnie była to pseudoforteca o trzydziestu trzech pokojach, połączenie domu mieszkalnego, miejsca pracy i magazynu; otaczający ją gładki mur obronny był gruby na ponad metr i miał za zadanie utrzymać z daleka Apaczów, bandytów, buntowników oraz poborców podatkowych, zarówno Meksykanów, jak i *gringos*. Teraz znajdowała

się tam winiarnia, kilka butików z wyszukaną biżuterią i bibelotami, a także restauracja, która zajmowała dwa boki prostokąta.

Pod topolami stały żelazne stoliki ogrodowe, puste o tej porze roku. Klomby też były wyschnięte i brązowe. Oszklony prostopadłoscian przy wejściu chronił oryginalną studnię, która dostarczała wody całemu kompleksowi. Salvador zerknął na menu wiszące przy drzwiach – restauracja była jeszcze zamknięta.

– Jadłeś tu kiedyś? – zapytał.

– Dwadzieścia pięć za kanapkę z szynką? – odparł Cesar, zerkając na ceny. – Jesteś *loco*10?

– Jadłem tu raz kolację. Mieliśmy rocznicę, ostatnią, zanim Julia zażądała rozwodu. Co dziwne, jedzenie było cholernie dobre.

– Jezu, jeśli lunch kosztuje tyle, to ile za kolację dla dwojga?

– Mniej więcej tyle, ile za wycieczkę do Paryża. – Salvador uśmiechnął się szeroko i przeczytał drobny druk. – A w kanapce z szynką jest aioli z zielonego chili, ciabatta, dojrzały gouda z Wisconsin...

– To i tak dwadzieścia pięć dolców za pieprzoną kanapkę z szynką. Okej, szynką i serem. Nie obchodzi mnie, czy masło zrobili z mleka Najświętszej Marii Panny.

– Mogę panom jakoś pomóc? – zapytała młoda kobieta z muszką pod szyją, otwierając drzwi od wewnątrz. – Lunch serwujemy dopiero od...

Pokazali jej odznaki.

– Przyszliśmy porozmawiać z kierownikiem.

To spowodowało szybkie działanie.

– Jestem Tortensen...

Po prezentacjach kierownik zaprowadził ich do swojego biura, a Salvador miał wrażenie, że połowa zawartości jego portfela wyparowała od samego wejścia do urzędzonego w bladych kolorach wnętrza w pustynnym stylu. Nawet biuro było eleganckie. Właściciel był zmartwiony, po trzydziestce, miał brązowe włosy i szczupłe, niemal wychudzone ciało.

– W czym mogę pomóc, panowie? – zapytał, oblizując nerwowo wargi.

Salvador odchylił się na krześle. Wiedział, że potrafi niektórych onieśmielić, szczególnie tych, którzy żyli pod kloszem. Nie musiał się przy tym szczególnie wysilać, nawet jeśli chodziło o ludzi, którzy myśleli o nim jak o czymś, co w gorący dzień trzeba zdrapać z podeszwy buta.

– Mieliście wczoraj dwie klientki – zaczął. – Mniej więcej między piątą trzydzieści a siódmą trzydzieści. Ellen Tarnowski i Adrienne Brézé. Proszę o szczegóły.

Mężczyzna wzdrygnął się niemal niepostrzeżenie, ale potem zacisnął usta.

– Obawiam się, że nasza dyskrecja...

Cesar przerwał mu z łatwością:

– Dom pani Tarnowski spłonął wczoraj wieczorem. Podejrzewamy podpalenie. Jej samochód znaleziono

niedaleko stąd i odholowano. Mamy potwierdzenie z niezależnego źródła, że była tu wczoraj wieczorem. Jest uważana za zaginioną, a ostatnio widziano ją tutaj.

Salvador kiwnął głową.

– Więc naprawdę bylibyśmy wdzięczni za współpracę przy śledztwie w sprawie podpalenia i być może porwania.

Kierownika przebiegł dreszcz; żeby jeszcze skuteczniej zwrócić jego uwagę, chyba trzeba byłoby wrzasnąć: „Terrorysty!”.

– Pozwolą panowie, że zadzwonię w kilka miejsc – oznajmił, wyciągając telefon.

Cesar zaczął pracować na swoim padzie. Salvador skrzyżował ramiona na piersi i z przyjemnością patrzył, jak spocony kierownik próbuje wrócić do własnej rutyny. Do biura weszli jacyś ludzie, żeby porozmawiać z Tortensenem o dostawach i innych rzeczach, które zapewne były bardzo ważne. W końcu pojawił się mężczyzna tuż po dwudziestce o nieco udręczonej minie; był smukły i przystojny, ale wyglądał, jakby naprawdę nie nawykł do tak wczesnego wstawania. Biorąc pod uwagę, że pracował na nocną zmianę jako kelner, może tak właśnie było.

– Ach, to właśnie Joseph Morales, panie władzo – powiedział Tortensen. – Obsługiwał wczoraj A17... ich stolik.

*Maricón*11, pomyślał Salvador. Właściwie nie miał nic przeciwko nim. Znał jednego, który obsługiwał

wyrzutnię javelinów jak artysta. Potrafił wstrzelić pocisk przez otwór strzelniczy... co z pewnością dałoby się przerobić na jakiś niezły świński dowcip.

– Miło panów poznać – zwrócił się do policjantów Morales. Ewidentnie nie mówił szczerze, ale przynajmniej starał się to ukryć. – Jak mogę pomóc?

Kierownik restauracji zaczął coś mówić, ale Salvador uciszył go gestem.

– Interesują nas dwie osoby, które wczoraj wieczorem siedziały przy jednym z pana stolików.

Podniósł pada ze zdjęciem twarzy Tarnowski.

Kelner się zaśmiał; był to prawie chichot.

– Och, one. Tak, dobrze je pamiętam. Zamówiły... a właściwie pani Brézé zamówiła...

Wymienił szybko listę dań. O większości z nich Salvador w życiu nie słyszał. Uniósł dłoń.

– Ile to razem wyszło?

– Z winami? Jakieś... dwa tysiące pięćset.

Kierownik sprawdził we własnym komputerze i kiwnął głową na potwierdzenie. Cesar wydał z siebie zduszony odgłos, który najprawdopodobniej zaczął się jako pełen udręki jęk, który potem nabrał tonu oburzenia, a w końcu zatrzymał się za zaciśniętymi wargami.

– Napiwek?

– Bardzo hojny. Siedemset.

Już na zewnątrz Cesar pokręcił głową.

– Siedemset jako sam napiwek?! I ty tu przyszedłeś?

– Zaczynałem się wtedy martwić o małżeństwo,

chciałem pokazać Julii, że myślę o czymś poza pracą. Nie zadziałało. Trzy tygodnie później powiedziała, że mieszkając tutaj, jestem tak samo daleko jak wtedy, kiedy wysłali mnie do Kandaharu.

– *Ai!*

– Miło, no nie? Co teraz?

– Postaram się sprawdzić, czy ktoś w okolicy widział tę furgonetkę, którą Adrian Brézé i Tajemniczy Mężczyzna w Skórze odjechali spod płonącego domu.

Salvador się zaśmiał.

– A ja wrócę nadgonić zaległości w robocie papierkowej. Nie wolałbyś, żeby to był serial telewizyjny?

– Żebyśmy mogli się zajmować tylko jedną sprawą naraz? *Sí*, przeszło mi to przez myśl.

III

– Dobra – powiedział Cesar dwa tygodnie później. – Nie zgadniesz. Mam coś śmiesznego w sprawie Brézé.

– Powiedz mi coś śmiesznego. Przydałoby się.

Salvador łyknął kwaśnej kawy z kubka i wyjrzał przez okno na rachityczną sosnę, z której gałęzi kapały soki; znowu, jak co dziesięć, dwadzieścia lat, mieli plagę chrząszczy. Wkrótce potanieje drewno na opał; będzie mógł wyjeżdżać w weekendy pick-upem i załadować całą

pakę w zamian za pocięcie bali i ich odtransportowanie.

Ta perspektywa bawiła go znacznie bardziej niż sprawa, nad którą właśnie pracował.

Facet leje kobietę, kobieta dzwoni po gliny, wnosi oskarżenie, po czym zmienia zdanie, para pozywa gliny do sądu. Czemu nie poszedłem w sprzedaż ubezpieczeń?

– Zabawne są wyniki analizy DNA z rzygów, które znalazłem na śmietniku za Whole Foods – powiedział Cesar.

– Życie policjanta to świetna zabawa, co? Grzebanie po śmietnikach za rzygami?

– *Sí, jefe*. Dobra, czysta praca za biurkiem, właśnie taka, jakiej chciała dla swojego dziecka moja matka, kiedy przebrnęła przez rzekę, żeby urodzić mnie na amerykańskiej ziemi. W każdym razie w rzygach jest krew.

– Pamiętam, że mi to mówiłeś. Parkingowy twierdzi, że to rzygi Adriana Brézé, tak?

– Tak, widział, jak ten rzygał przez tylne drzwi furgonetki. Myślał, że jest pijany. Jestem prawie pewny, że Brézé mu zapłacił, żeby o tym zapomniał: sporo się napocił, zanim coś powiedział, i musiałem palnąć mu całą mówkę o porwaniu i podpaleniu. Krew też widział.

– Czyli facet ma wrzody. Nawet bogaci je mają. Co nam to daje?

Cesar podrapał się w wąsa, a Salvador wysiłkiem woli powstrzymał się przed zrobieniem tego samego.

– Nie jestem pewien, czy cokolwiek – powiedział –

ale to zabawne. Bo DNA w rzygach nie jest takie samo jak DNA we krwi. Co więcej, DNA z krwi jest na liście Czerwonego Krzyża. Oddała ją jedna z dawczyń, niejaka Shirley Whitworth, w przychodni przy skrzyżowaniu Rodeo i Camino Carlos Rey. Wygląda na to, że krew zniknęła z ich systemu. Nie chcą o tym pisać ani słowa. Trzeba będzie nad tym popracować.

Salvador mruknął pod nosem.

– Czy ja dobrze rozumiem? Rzygi należą do tego Brézé...

– Prawdopodobnie. Męskie chromosomy w płynach ustrojowych. Ale nie znaleźli go w bazie DNA.

– Nic dziwnego, zaczęli ją prowadzić ledwie kilka lat temu i oznacza to wyłącznie, że nie jest dawcą, nie aresztowano go, nie był w szpitalu i tak dalej. Ale krew na pewno należy do tej dawczyni z Czerwonego Krzyża?

– *Sí*. I co, śmieszne, nie?

– Śmieszne w sensie kurewsko dziwne, nie w sensie „chce mi się śmiać”. Czyli krew musiała być w jego żołądku, tak?

Obaj zachichotali.

– Wiemy chociaż, że gość wychodzi za dnia, co? – powiedział Cesar.

– Tak, i skóra mu się nie skrzy w słońcu. Głupio bym się czuł, ścigając kogoś, kto wygląda jak chodząca kula dyskotekowa... ale przecież wypił tę krew... może to jakiś zboczony kult?

– Nie dziwię się, że puścił pawia – dodał wciąż

rozbawiony Cesar. – Tak jak picie słonej wody, wiesz? Krew to w końcu słona woda, morska woda. Moja matka dawała nam słoną wodę i musztardę, kiedy się przejedliśmy i trzeba było sprowokować torsje.

Salvador poczuł, że jego umysł się ożywił, a fakty się łączyły mimo znużenia tuzinem spraw, które donikąd nie zaprowadzą. Wtedy zadzwonił jego telefon. Kiedy skończył rozmowę, miał zmarszczone brwi.

– Co nowego, *jefe*?

– Naczelnik chce nas widzieć.

Naczelnik miał niewiele większe biuro niż on sam; Santa Fe było niewielkim miastem, wciąż sporo mu brakowało do stu tysięcy mieszkańców. Pomieszczenie znajdowało się na drugim piętrze, na rogu budynku, i miało większe okna. Naczelnik miał też trzy gwiazdki na kołnierzu munduru. I tak zarabiał znacznie mniej niż taka Giselle Demarcio. Z drugiej strony jednak jego pieniądze nie pochodziły z San Francisco, L.A. czy Nowego Jorku.

Cesar z sykiem nabrał powietrza, a Salvador poczuł, że odruchowo mruży oczy. Wraz z naczelnikiem czekało na nich dwoje urzędasów w eleganckich garniakach. Kobieta i mężczyzna, czarna i białas. Oboje na pewno spoza stanu; gdyby musiał zgadywać, powiedziałaby, że czarnoskóra kobieta to FBI, a młodszy od niej facet to jakiś szpicel, ale nie z za biurka. Jakiegoś rodzaju były wojskowy, ale zdecydowanie jeszcze nie na emeryturze.

Pewnie z Armii Wirginii Północnej, vel Waffen-CIA.

– Siadajcie – powiedział naczelnik.

On z kolei był do tego samego stopnia miejscowy jak Salvador i bardziej niż Cesar, mógł być starszym kuzynem Salvadora – właściwie łączyło ich dalekie pokrewieństwo. Teraz całkiem wiarygodnie udawał kogoś, kto pierwszy raz w życiu widzi ich dwóch: jego twarz wyglądała jak jedna z drewnianych rzeźb sprzedawanych na Canyon Road.

Odezwał się facet w garniturze:

– Pracujecie nad sprawą dotyczącą rodziny Brézé?

– Tak – potwierdził Salvador. – Szefie, kim są ci ludzie?

– Nie musicie wiedzieć – odparła kobieta obojętnym tonem. Jakimś sposobem sprawiała wrażenie, jakby miała ciemne okulary, choć tak nie było. Dodała ciszej: – Nie chcecie wiedzieć.

– Z Departamentu Bezpieczeństwa – odezwał się naczelnik.

– Departament Bezpieczeństwa interesuje się dziwnymi trójkątami miłosnymi? – zapytał ze sceptycyzmem Salvador. – Poza tym „Departament Bezpieczeństwa” to jak „człowiek”, mało konkretna nazwa. Jesteście z FBI, CIA, NSA, skąd?

– Nie musicie wiedzieć. Musicie natomiast wiedzieć, że my się zajmiemy tą sprawą – powiedział mężczyzna.

Chwileczkę, pomyślał Salvador. On się boi. Ma to pod kontrolą, jest wyjątkowym betonem, a widziałem niejednego... cholera, byłem jednym z nich. Ale się boi.

Kiedy przyszło mu to do głowy, zaczął się z lekkim

niepokojem zastanawiać, czy i on nie powinien się bać. Ten mężczyzna był kimś, kim on sam mógł zostać, gdyby sprawy potoczyły się choć trochę inaczej z tamtą miną.

– Jak się tym zajmiecie? – zapytał Salvador, patrząc w jego blade oczy.

– Przydzieliliśmy ją jednym z naszych najlepszych ludzi.

– O Chryste... – zaczął.

– Eric, odpuść. Natychmiast – przerwał mu naczelnik. On też się boi.

– Hej, szefie, nie ma problemu – wtrącił się Cesar. – I tak mamy dość roboty. Jasne, odpuścimy, sprawy bezpieczeństwa narodowego, nie wiemy więcej niż to konieczne, tak?

Urzędasy spojrzały po sobie, a potem zerknęły na Salvadora. Kiwnął głową.

– Okej – zgodził się. – Nie urodziłem się wczoraj. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, tak to się mówi? I jeśli nie chcę, żeby moje ostatnie słowa brzmiały: „Do diabła...”.

– Nie masz pojęcia – powiedziała kobieta, patrząc w przestrzeń. – Nie masz bladego pojęcia.

Potem przeniosła wzrok na niego.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Nie było pożaru. Rodzina Brézé nie istnieje. Nigdy o nich nie słyszałeś, a przede wszystkim nie stworzyłeś żadnych zapisów ani dokumentów na ich temat. To zostanie sprawdzone.

– Jasne. – Wyszczrzył zęby. – Co zostanie

sprawdzone? O kim?

Salvador zaczął przeklinać, dopiero kiedy wrócili do własnego biura: po angielsku, hiszpańsku i w paszto, chyba najlepszym języku do obrzucania ludzi błotem, jaki kiedykolwiek słyszał, choć znał ludzi, którzy twierdzili, że arabski bardziej się do tego nadaje.

– Chodźmy na lunch – zaproponował Cesar, puszczając do niego oko.

Racja, pomyślał Salvador. Muszę pamiętać, że teraz wszystko może być pluskwą.

– Dobra, zjadłbym burrito.

Kiedy już znaleźli się na zewnątrz, Cesar zapytał:

– Jak szybko chcesz zacząć się rozglądać, *jefe*?

Salvador wypuścił powietrze i zatoczył głową półkole, masując kark dłonią w kształcie łopaty. Mięśnie jego szyi były w dotyku jak wiązka żelaznych prętów. Uciskał okolice srebrnego łańcuszka, na którym nosił zawieszony krzyżyk.

– Czyli teraz to pieprzeni biali terroryści, co? – zapytał.

– Tak. Biali terroryści i wampiry. Może Osama ich ukąsił? – rzucił Cesar, wciąż się uśmiechając.

– Albo na odwrót.

– Co się, do nędzy, dzieje? – Cesar spoważniał.

– Szanse na to, że od tamtych ludzi się tego dowiemy...

– ...*nada*12.

Cesar spojrzał w bezchmurne, niebieskie niebo.

– Może ci Brézé są po prostu tak bogaci, że mogą wyeliminować wszystko, co im się nie podoba? Niech będzie, że jestem cyniczny...

– E, nie... – Salvador pokręcił głową. – Do tego trzeba czegoś więcej niż pieniędzy. Przy sprawach z takimi ludźmi, szpiclami, konieczne są wpływy polityczne. Na pewno byli agentami federalnymi, i to nie zwykłymi gryziórkami. Gównu powiedzą nam, glinom z zadupia. Szef nie wiedział ani trochę więcej niż my, wypełniał tylko rozkazy.

– Pewny jesteś?

– Znam go od dawna.

– No to... – zaczął Cesar i oparł się plecami o ścianę
– ...na jak długo chcesz to odstawić, zanim złamiemy naszą uroczystą obietnicę i zaczniemy się znów rozglądać?

– Ze dwa miesiące – powiedział Salvador. – Przede wszystkim zbierz dane na kartę pamięci, zrób kilka kopii i daj mi jedną. Wyczyść swojego pada i wszystko, co masz w biurze. Nie możemy łączyć niczego związanego z tą sprawą z czymkolwiek innym.

Cesar uśmiechnął się szeroko.

– Podoba mi się ten pomysł, *jefe*.

*

Sen.

Mdlące przerażenie się wzmogło, kiedy płomienie buchnęły przez drzwi, a on poleciał do tyłu i gruchnął o

ziemię bezwładnie. Tym razem zobaczył postać, która wyszła z ognia.

Była to kobieta, młoda, naga, ze śliczną twarzą jak u lalki i skośnymi oczami, włosami upiętymi w wymyślną fryzurę w azjatyckim stylu. Gdyby zobaczył ją na zdjęciu, napaliłby się. Teraz jednak poczuł się tak, jakby w całym wszechświecie gigantyczne paznokcie przesuwwały się ze zgrzytem po tablicy, jakby powinien zacząć uciekać i nigdy nie przestać, i czuł też smród, który wcale nie był fizyczny, i zaczęły szarpać nim torsje.

– I kto był niegrzecznym chłopcem? – zanuciła.

Potem klękła przy ciele Johnsona, tylko że to już nie był Johnson, lecz Cesar, też nagi. Tarzali się w pyle, spółkując jak psy, ale Cesar krzyczał. Kiedy podniosła głowę, usta miała skąpane we krwi, która kapła z jej podbródka i ciekła z gardła Cesara. W jej ciemnobrązowych oczach lśniły żółte plamki.

– Wprost uwielbiam dzielnych mężczyzn – powiedziała. – Są przepyszni.

*

– Chryste!

Tym razem odnalazł dłonią papierosy. Zapalniczkę udało mu się uruchomić dopiero za trzecim razem. Ciemny kamień zaśnił jak oczy, a Salvador napełnił płuca dymem. Sięgnął niezgrabnie do włącznika światła i usiadł ze stopami na podłodze. Znów się zaciągnął, kaszlnął, zaciągnął się raz jeszcze. Po chwili przestały mu się trząść

ręce i zerknął na zegarek. Była dopiero trzecia, co oznaczało, że spał niecałe dwie godziny. W sypialni było duszno mimo ciepłego wiatru, od którego żaluzje obijały się o framugę okna. Pot na jego plecach i bokach zaczął stygnąć.

Spojrzał na telefon.

– Nie zadzwonię. Cesar dużo znosi, ale nie sypia sam. Nie mogę mu powiedzieć, że miałem zły...

Telefon zadzwonił. Salvador odebrał.

– *Jefe?*

– Jest pod tym numerem ktokolwiek inny?

– Przyjeżdżaj. Mam coś, co musisz zobaczyć.

*

Salvador wiedział, że coś jest nie w porządku. Czuł to, jak dreszcz przebiegający po karku. Dom był pogrążony w całkowitych ciemnościach; jedyne światło rzucała latarnia, co nawet o trzeciej trzydzieści było cholernie dziwne, biorąc pod uwagę, że Cesar dopiero co do niego dzwonił. Nowy, sprowadzony z Chin samochód jego partnera stał na podjeździe. Ziemia między ulicą a domem była pokryta żwirem, z którego wystawało kilka chwastów. W okolicy panowała całkowita cisza, a gwiazdy świeciły jasno. Niedaleko pojawił się kot, spojrzał na niego oczami, które na moment zamieniły się w zielone lusterka, a potem odszedł. Wszystko inne było pogrążone w bezruchu.

– Cholera – powiedział bezgłośnie, wyciągnął glocka

i kciukiem go odbezpieczył.

Dotknął drzwi. Otworzyły się do środka. Przeszedł przez korytarz, odruchowo kierując lufę w górę, po czym wsunął bark w przestrzeń między drzwiami sypialni a ścianą. Wtedy poczuł zapach. Spojrzał w dół. W półmroku wydawał się czarny, ale lepkiego płynu pod jego podeszwą nie dało się pomylić z żadnym innym.

*

– No cóż, to nietypowe – stwierdził naczelnik.

Ludzie od medycyny sądowej chodzili po pokoju. Większość z nich zajmowała więcej niż jedno stanowisko; policji Santa Fe nie było stać na wymyślne hierarchie.

Salvador poczuł przyływ gniewu, który odruchowo stłumił. Gniew nic nie da... a on sam powiedział coś podobnego. Takie rzeczy się mówi, żeby łatwiej poradzić sobie z tym, co się widzi. Zazwyczaj to pomaga.

Cecile leżała na łóżku. Zwłoki zwykle nie wyrażają zbyt wiele, ale też zwykle nie są wygięte w konwulsyjny pałak, który nigdy nie minie. Trzeba będzie połamać jej kości, żeby zmieścić ją w worku. Wyraz jej twarzy nie przypominał niczego, co Salvador kiedykolwiek widział. Obliznął usta i poczuł słony smak potu.

Cesar był nagi i leżał na brzuchu między łóżkiem a oknem. Broń trzymał w prawej dłoni, a podłoga dookoła niego była usiana mosiądzem czternastu wystrzelonych pocisków. Większość leżała w krzepnącej krwi, która była już ciemnoczerwona, z brązowymi plamami. W lewej ręce

ściskał nóż, nie przeznaczony do walki, tylko sztuciec. W szyję miał wbity kawałek szkła szerokości męskiej dłoni, którego czubek wystawał z karku.

– Zamordował ją, a potem popełnił samobójstwo – powiedział cicho naczelnik.

Salvador drgnął. Starszy mężczyzna nie spojrzał na niego.

– Właśnie to się stało, Eric.

Nieczęsto mówi do mnie po imieniu.

– Zapewne to właśnie wykażą dowody. Panie naczelniku – dodał Salvador.

To nie pierwszy przyjaciel, którego widzę martwego. Wtedy się nie załamalem, nie płakałem. Pracowałem dalej. Teraz też mogę tak zrobić.

Wcześniej nie był też tak wściekły. Kiedy siedział na pustyni, odstrzelił wszystkich przeciwników, jakich zdołał, i zebrała się tego okrągła liczba, ale zazwyczaj ich nie nienawidził. Najczęściej czuł jakby zgorzkniałą odrazę; tak naprawdę tamta sytuacja nie była wystarczająco osobista, żeby miał kogoś nienawidzić.

Ta sytuacja jest bardzo osobista.

– Naczelniku.

Człowiek z grupy zbierającej dowody obszedł kałużę krwi i zbliżył się do nich.

– Mamy coś na parapecie po zewnętrznej stronie. Coś trochę dziwnego. Salvador, mówiłeś, że o której tu byłeś?

– O trzeciej trzydzieści. Pół godziny po tym, jak... Cesar do mnie zadzwonił.

Noc wciąż była ciemna, ale miała w sobie bezruch, który zapowiadał świt.

Salvador pokręcił głową ze zdumieniem. Mężczyzna podniósł swojego pada. Smuga na parapecie, której zdjęcie zrobił, zmieniła się w odcisk. Odcisk łapy.

– Widziałeś jakiegoś psa? Albo inne zwierzę?

– Nie – odparł bezbarwnym tonem. – Tylko kota.

– No, to nie pasuje. – Odcisk był zbyt duży jak na domowego kota. – Pewnie po prostu zapach zwabił jakieś zwierzę.

– Czas zgonu?

– Niedawno, ale w tak ciepłą noc trudno orzec dokładnie. Wszystko podpada pod czas między tym, kiedy odebrałeś telefon, a chwilą, gdy nas zawiadomiłeś.

Naczelnik położył mu rękę na ramieniu i wyprowadził go na zewnątrz. Salvador pogmerał niezgrabnie w kieszeniach kurtki, wyciągnął papierosa i zapalił.

– Wiesz, że nie możesz uczestniczyć w tym śledztwie, Eric – powiedział starszy mężczyzna. – Wracaj do domu. Prześpij się. Napij się, a potem prześpij, jeśli tego potrzebujesz. Weź kilka dni wolnego.

Salvador kiwnął głową, rzucił papierosa na zarośnięty chwastami żwir podwórza i poszedł miarowym krokiem do swojego samochodu. Zawrócił bardzo starannie i równie uważnie pojechał na St. Francis, do skrzyżowania z Rodeo i zjazdu na I-25. Dopiero wtedy zatrzymał się przy zabitym deskami kompleksie niskich budynków,

zbudowanym przez jakiegoś szalonego optymistę na przełomie pierwszej i drugiej dekady wieku. Pierwotnie zapewne miały to być gabinety lekarskie albo biura agentów nieruchomości.

– Dobra, Cesar, mów, co masz – powiedział na głos i wsunął kartę pamięci, którą wcześniej zwędził, do czytnika w padzie; nikt by nie zauważył, nawet gdyby zostawił buty w kałuży krwi. – Lepiej, żeby to nie były twoje podatki. Powiedz mi, gdzie ten *cabron*13 i jak go dopaść.

Na ekranie pojawił się tylko jeden plik, wideo. Salvador dotknął go palcem.

Pojawił się obraz. W okienku w prawym dolnym rogu widać było cyfry 3.10. Cesar był spocony i miał na sobie szlafrok, ale przed nim, w zasięgu kamery pada, leżał glock; w tle rysowało się domowe biuro, a zarazem pokój telewizyjny, oświetlone tylko jedną lampką.

– Nagrywam to przed twoim przyjazdem, *jefe*, bo mam naprawdę złe przeczucie. Siedziałem dziś w sieci i dostałem pytanie z laboratorium w Quantico, do którego posłaliśmy wtedy rzygi i krew do analizy, pamiętasz? Powiedzieli, że odkryli jakieś „interesujące anomalie”, i czy chcę więcej informacji o tym całym Brézé. Dołączyli plik, wyglądał na czysty, był dość duży.

Podobizna Cesara oblizwała wargi. Salvador to zobaczył, ale jego umysł podsunął mu obraz Cesara leżącego z twarzą w kałuży własnej krwi.

– No dobra, to było głupie. Powinienem był zapytać

„kto tam?” albo po prostu wrzucić to do spamu. Nam nie szło, zakradanie się pod dom Adriana Brézé to szczyt desperacji, więc ściągnąłem ten plik. Oto, co dostałem, powtórzone mnóstwo razy.

Pojawiły się litery, cały akapit napisany wytłuszczoną czcionką:

–

alemaszprzejebanealemaszprzejebanealemaszprzejebane –

– Ja...

– Cesar! – Krzyk, kobiecy głos, wysoki i zdesperowany. – Nie... Nie... Proszę, nie!

Potem już tylko więcej krzyków. Cesar chwycił pistolet i wybiegł. Do Salvadora dotarło, że on też zaczął wrzeszczeć, kiedy rozległy się strzały. Przez długą chwilę dobiegały jakieś inne dźwięki. Potem na ekranie pojawił się ktoś inny.

Kobieta, którą widział we śnie; poznał ją, choć jej twarz była jak płynna płachta matowej czerwieni. Błyskały tylko złote plamki w jej oczach, a także bardzo białe zęby, kiedy już je oblizwała.

– Ale masz przejebane – powiedziała melodyjnie, a ekran zgasł.

*

Żeby dotrzeć do domu Adriana Brézé, musiał

przejechać szesnaście kilometrów na północ po I-25, a potem skręcić na wschód. Pusta autostrada wiodła przez noc, chłodne powietrze wpływało przez otwarte szyby, opony szumiały. Jechał na śmierć – ale może się czegoś dowie. Może świat znowu nabierze sensu.

Odkąd to on w ogóle ma sens? Mam trzydzieści dwa lata, nie mam żony ani dzieci, a mój najlepszy przyjaciel właśnie zginął, bo nie potrafiłem dojść do tego, co się dzieje. Jedyne, w czym kiedykolwiek byłem dobry, to zabijanie i zastraszanie ludzi. Cesar był dwa razy mądrzejszy ode mnie, a teraz nie żyje, i jego dziewczyna też.

Jechał na wschód, a potem znów na północ po ubitej drodze. Góry Sangre widniały nisko na horyzoncie w świetle bliskiego pełni księżyca. Samochód i gwiazdy były jedynymi źródłami światła, kiedy Salvador zostawił za sobą ostatnią stację benzynową; tylko kilka nisko zawieszonych, odległych iskierek znaczyło domy. Droga wiła się w ciemnej jak smoła nocy aż do stromego spadku po lewej, trzydziestu niemal pionowych metrów w dół, na skraju wyżyny. Zmusił się do wciśnięcia hamulca, kiedy koła zaczęły się ślizgać, a grad żwiru poleciał w przestrzeń i zniknął. Zacisnął dłonie na kierownicy.

– Czy ja próbuję się zabić? – mruknął. – Nie. Jeszcze nie. Muszę się dowiedzieć, co to wszystko znaczy.

Wysiadł i przeszedł ostatni odcinek drogi. Otaczały go silne nocne zapachy, podobna do skóry i potu woń krzaków *chamiso*, przenikliwy żywiczny zapach

krwawiących sosen. Pod stopami chrzęścił żwir – od zniknięcia Adriana Brézé minęło prawie sześć miesięcy, a gosposia przychodziła sprzątać dom tylko raz w miesiącu. Dom był wbudowany w sam skraj klifu: ostatni spadek drogi ukazał mu jego ściany, wyłożone polnymi kamieniami. Ogromne, obite miedzią drzwi otworzyły się pod dotykiem jego ręki, a na wysokim, metalowym suficie zapaliło się kilka łagodnych świateł.

No, mniej więcej tego się spodziewałem, pomyślał.

Cała przeciwległa ściana była ze szkła; znajdowała się dokładnie na skraju klifu, którego wyblakłe w świetle księżyca granie i żeby opadały do pofałdowanej powierzchni półpustyni rozciągającej się na wschodzie aż po horyzont. Na ścianach wisiało kilka bardzo starych, pięknych obrazów.

– Dlaczego myślałem, że coś tu znajdę? – powiedział na głos.

– Może wróżka ci powiedziała.

Głos rozległ się jakby zza niego. Obrócił się. Nic. Odwrócił się znowu – i zobaczył tę kobietę. Poczował falę okropnej radości. To nie był sen ani piksele. Stała przed nim prawdziwa osoba. Dostrzegł nawet bliznę po usunięciu wyrostka.

Uniósł glocka przepisowo, lewą dłonią podtrzymując prawą.

Trzask. Trzask.

Dziesięciomilimetrowe pociski wbiły się w jej brzuch, a ona zgięła się wpół.

Trzask.

Dwa w sam środek, jeden w czoło; od tego ostatniego szarpnęła głową w bok w wirze długich czarnych włosów i chmurze krwi. Kula przebiła się przez okno za nią, zostawiając po sobie popękane gwiazdzące szkło. Idąc w jej stronę, poczuł, że zaczyna szczyrzyć zęby. Usiane złotymi plamkami oczy już zachodziły mgłą.

Potem podniosła głowę.

– Och, bolało – powiedziała. – To może być całkiem sexy, wiesz? Na początek. Potem ja będę mogła zadać ból tobie. Lubisz to, kochasiu?

Salvador odskoczył w tył, prawie upadł, niemal kładąc się na malachitowej powierzchni szklanego stolika, po czym z wysiłkiem kucnął, przybierając pozycję do strzału.

Trzask. Trzask. Trzask.

Dziesięć strzałów. Pięć celnych. Pięć pocisków przebiło ogromne okno; najpierw pojawiły się na nim kolejne promieniste rysy, a potem roztrzaskało się kaskadą mlecznych odłamków.

– Och, och, jaki jesteś brutalny. – Kobieta zbliżała się do niego ze śmiechem.

Sięgnęła ręką do jego szyi. Potem cofnęła ją gwałtownie i syknęła:

– Naprawdę trzeba coś zrobić z tymi srebrnymi łańcuszkami. Może dałoby się ludziom wmówić, że wywołują raka?

Dotknęła plamy krwi na swojej skroni i wsunęła

palce do ust, przesuając po nich językiem.

– Mmm, pyszna! Ale powinieneś zdjąć ten głupi łańcuszek, prawda? Właśnie tak...

Jej oczy zaczęły rosnać, a żółte plamki łączyć się jak krople płynnego złota w dwa jeziora ognia. Głębia, głębia wciągająca go do wirującej...

Krzyknęła z bólem i furją. Potężne, trzymetrowe skrzydła zatrzepotały za nią, podczas gdy szpony się zacisnęły, a zakrzywiony dziób wbił w jej szyję. Pantera śnieżna toczyła się po podłodze...

...pantera...?

Zadając błyskawiczne ciosy pazurami. Orzeł opadł na podłogę, przeobrażając się w wielkiego płowego stwora, i ogromne koty zaczęły przewalać się po podłodze, wyjąc, uderzając łapami i rzucając się sobie do gardeł. Meble rozpadały się na kawałki, a stłuczone szkło chrzęściło pod ciężarem zwierząt. Potem mężczyzna stanął plecami do Salvadora – napięte mięśnie jego smukłego ciała falowały – miażdżąc kciukami jej krtań. Ona odchyliła się do tyłu i zaparła kolanem o jego klatkę piersiową, wciąż wydając z siebie to zwierzęce warczenie i sięgając rękami między jego przedramiona...

Trzask!

Tym razem znacznie głośniejszy. Podwójne uderzenie i jej czaszka zaczęła się odkształcać na skutek fali energii kinetycznej, potem nastąpił rozbłysk, a chwilę później zniknęła. Krew opadła na podłogę i rozszedł się ostry, kwaśny zapach żelaza i soli. Mężczyzna osunął się na

moment na jedno kolano, dysząc, a potem wstał i się odwrócił.

– Jesteś Adrian Brézé – powiedział Salvador, próbując na powrót uruchomić swój umysł.

Broń uniosła się niemal bez jego świadomego udziału. Szczupły, ciemnowłosy mężczyzna wycelował w niego palec.

– Nie. Nawet o tym nie myśl. To był długi dzień.

Obejrzał się przez ramię; bledszy odcień nocnego nieba wskazywał, że zbliża się świt. Skrzywił się nieco.

– Powinienem przybrać materialną postać. Zaraz wracam, oficerze Salvador.

Salvador spojrział w dół, na pistolet. Właściwie dlaczego nie? – pomyślał i zaczął go unosić do ust. Tak jest bezpieczniej. Tylko amatorzy próbują strzelać sobie w głowę...

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu.

– Dlaczego mnie nie zabijesz? Dlaczego mnie nie zabijesz?! – krzyknął. – Dlaczego mnie po prostu, do cholery, nie zabijesz?!

– Chciałeś powiedzieć: „dlaczego oni cię nie zabijają” – poprawił mężczyzna. – Mogę ci powiedzieć, jeśli chcesz.

– Jesteś jednym z nich.

Brézé był drobny, nie całkiem średniego wzrostu, miał bladą skórę o oliwkowym odcieniu, ciemne włosy i brązowe oczy ze złotymi plamkami...

– Jesteś Adrian Brézé!

– Tak.

Salvador nabrał powietrza, wstrzymał oddech, a potem je wypuścił.

– Okej, rozumiem, mam uwierzyć, że ty jesteś dobrym potworem.

– Och, jest świetnym potworem, możesz mi wierzyć. Ale jest mój.

Salvador drgnął na dźwięk drugiego głosu, spojrzał na pistolet i odłożył go na stolik, na którym przysiadł. Dookoła miedzianej szkatułki leżały smukłe papierosy, które się z niej wysypały. Wziął jednego i zapalił; w głębi duszy był dumny, że nie trzęsą mu się ręce. Drugi głos należał do kobiety. Była wysoką blondynką, ubraną w ciemne sportowe ciuchy i wysokie buty, z dzianinową czapką na głowie i karabinem w ręku. Rozpoznał go – duży, brytyjski sprzęt snajperski ze stopu używanego przy budowie samolotów, o dalekim zasięgu.

– Pani... Ellen Tarnowski.

– Formalnie rzecz biorąc, już Ellen Brézé. Nie, nie jestem jedną z nich. Nie da się tym zarazić przez ugryzienie. – Niespodziewany uroczy uśmiech. – Wierz mi, przekonałam się! Nawet przez poślubienie jednego z nich.

– Mam wrażenie, że się zmieniłaś.

– Musiałam... hmm... wziąć kilka lekcji, jak być twardej, tak to ujmijmy.

– Zabiłaś ją.

Przeniósł wzrok na kałużę krwi. Nie było ciała.

– Och, tak. – W jej ogromnych, turkusowych oczach na moment pojawiła się zajadła satysfakcja. – Ciało gdzieś jest, pewnie daleko stąd, ale jest już puste.

– To... nie była jego siostra, prawda?

– Nie. To była Michiko, przyjaciółka jego siostry. Taka niedoszła Pani Najczarniejszej Ciemności.

Wrócił Brézé. Był już ubrany, podobnie jak ona. Lekka kurtka zakrywała kaburę na ramię z nożem ułożonym rękojeścią w dół po jednej stronie i glockiem po drugiej.

– No dobra – powiedział Salvador, zaciągając się papierosem. – Mów, co jest grane. Wiem, że tak naprawdę leżę gdzieś nafaszerowany lekami i wyję do księżyca.

To sprawiło, że Brézé się uśmiechnął.

– Jestem Pomiotem Cienia... tak się nazwaliśmy. Ale... no cóż, próbuję nie być potworem. To skomplikowane. Możesz się o tym wszystkiego dowiedzieć albo możesz o tym zapomnieć. Jeśli zapomnisz, możesz zacząć nowe życie. Jeśli chcesz się uczyć, najpewniej zginiesz... ale przynajmniej będziesz wiedział, dlaczego walczysz, *mon ami*.

– Jeśli zaproponujesz mi niebieską i czerwoną pigułkę, chyba cię, kurwa, zabiję.

Oboje się zaśmiali.

– Tak naprawdę to dwie adnotacje w dokumentach. Wybieraj.

– Albo wiedza i spróbujesz włączyć się w walkę. Albo ignorancja... i długie życie.

Salvador zerknął na niedopałek papierosa. Rzucił go w sam środek kałuży krwi, gdzie zgasł z sykiem.

– I to ma być wybór?

5 *Jefe* (hiszp.) – szef (przyp. tłum.).

6 *Gringo* (hiszp.) – cudzoziemiec, osoba nieznająca hiszpańskiego, turysta (przyp. tłum.).

7 *Asi es la vida* (hiszp.) – takie jest życie (przyp. tłum.).

8 *Hacendado* (hiszp.) – właściciel hacjendy, dużego gospodarstwa w Ameryce Łacińskiej i Hiszpanii (przyp. tłum.).

9 *Mierda* (hiszp. pot.) – gówno (przyp. tłum.).

10 *Loco* (hiszp.) – szalony (przyp. tłum.).

11 *Maricón* (hiszp. obelż.) – pedał (przyp. tłum.).

12 *Nada* (hiszp.) – zero, nic (przyp. tłum.).

13 *Cabron* (hiszp. pot.) – dupek (przyp. tłum.).

CARRIE VAUGHN

Autorka bestsellerów Carrie Vaughn jest twórczynią niezwykle popularnego cyklu powieściowego o przygodach Kitty Norville, która prowadzi w radiu nocny program z udziałem słuchaczy dotyczący zjawisk nadprzyrodzonych, a przy okazji jest też wilkołakiem. Książki o Kitty to między innymi: *Kitty and The Midnight Hour* (*Kitty i nocna godzina*, przeł. Marta Czub, Wydawnictwo Amber, 2010), *Kitty Goes to Washington* (*Kitty i nocny Waszyngton*, przeł. Marta Czub, Wydawnictwo Amber, 2010), *Kitty Takes a Holiday* (*Wakacyjne noce Kitty*, przeł. Agnieszka Kabala, Wydawnictwo Amber, 2011), *Kitty and the Silver Bullet* (*Srebrna kula*, przeł. Marta Czub, Wydawnictwo Amber, 2012), *Kitty and the Dead Man's Hand*, *Kitty Raises Hell* oraz *Kitty's House of Horrors*. Opowiadania Vaughn ukazywały się w czasopismach „Jim Baen's Universe”, „Asimov's Science Fiction”, „Subterranean”, „Realms of Fantasy”, „Paradox”, „Strange Horizons”, „Weird Tales”, „All-Star Zeppelin Adventure Stories”, zbiorze *Wild Cards: Inside Straight* i w innych miejscach. Najświeższe pozycje w dorobku Vaughn to *Steel* (jej druga próba wejścia w świat literatury młodzieżowej), *After the Golden Age* oraz dwie nowe powieści o Kitty, *Kitty Goes to War* i *Kitty's Big Trouble*. Vaughn mieszka w stanie Kolorado.

Tutaj zabiera nas do świata Kitty, aby przejmująco pokazać, że nie porzuca się starych przyjaciół, nawet jeśli – a może zwłaszcza jeśli – jest się nieśmiertelnym.

WCIAŻ TA SAMA STARA HISTORIA

Rick obudził się o zachodzie słońca i znalazł na poczcie głosowej wiadomość od swojej starej przyjaciółki. Helen mówiła zaniepokojonym głosem, ale nie podała mu żadnych szczegółów. Nie powiedziała nawet, że się boi lub że potrzebuje pomocy, a jednak jej ściszony głos brzmiał tak, jakby nieustannie oglądała się przez ramię. Rick chwycił płaszcz, poszedł na górę, na tyły sklepu, gdzie zaparkowane było jego srebrne bmw, i pojechał do niej.

Była cicha, zwyczajna letnia noc. Centrum Denver płonęło od świateł. Z jego perspektywy wieżowce wyglądały jak rozjarzone muchomory: wyrosły tak szybko, wypierając wszystko, co było przed nimi. Denver zaczęło pozbywać się reputacji zaścianka, w którym hoduje się krowy, i przeobrażać w kolejną typową metropolię dopiero w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Rick czasami tęsknił za tym zaściankiem, choć wciąż widywał jego ślady. Union Station nadal istniała, a poza tym był oczywiście budynek zgromadzenia stanowego i wiktoriańskie posiadłości w jego okolicach. Wysiliwszy pamięć, Rick potrafił przypomnieć sobie lata ich świetności. Miasto miało w sobie jeszcze trochę energii, która pozostała po boomie górniczym. Dlatego właśnie Rick nie wyjechał.

Helen mieszkała kilka mil na południe, przy jednej z

przecinających się pod kątem prostym ulic otaczających uniwersytet, w domu nie aż tak wiekowym czy wielkim jak wiktoriańskie wille, ale i tak starym w porównaniu z resztą miasta. Wprowadziła się tam w latach pięćdziesiątych, kiedy Rick kupił jej ten dom. Nawet w tamtych czasach Denver rozwijało się prężnie. Miasto było jak nieustannie zmieniający się kolaż; kolejne najważniejsze obiekty powstawały i znikwały, a punkty orientacyjne, dookoła których funkcjonował Rick, zmieniały się subtelnie w ciągu dekad.

Punkty takie jak Helen.

Zaparkował na ulicy przed jej jednopiętrowym domkiem. Był jasnoniebieski z białymi wykończeniami, zbudowany na planie kwadratu i miał okna z okiennicami oraz ganek z wielokolorowymi petuniami w wiszących doniczkach. Wszystkie światła były pogaszone.

Przez chwilę stał na betonowym chodniku przed domem i badał otoczenie swoimi nadludzkimi zmysłami: wzrokiem, słuchem i smakiem. Ulica, trawnik i sam dom były nienaruszone. Sąsiedzi oglądali telewizję. Przecznice dalej starszy mężczyzna spacerował z wielkim psem. Wszystko to było zupełnie zwyczajne, tyle że dom przed nim był pogrążony w ciszy. Nie było w środku ani jednej żyjącej istoty: wyczułby zapach krwi, usłyszał bicie serca.

Kiedy zaprzyjaźnił się z Helen, wiedział, że ten dzień nadejdzie. Ten dzień zawsze nadchodził. Ale tym razem okoliczności nie były naturalne. Wspiął się po schodach prowadzących do drzwi – nie były zamknięte na klucz.

Ostrożnie wszedł do środka, wymijając miejsca, gdzie deski podłogi skrzypiały, i dotarł do dywanu w salonie. Wszystko – meble, zdjęcia, półka na książki, małe pianino w kącie – było na swoim miejscu. Niski stolik w stylu modernistycznym, lampa w kształcie stożka przy kanciastym fotelu, jedwabne lilie w wazonie z kryształ. Bibeloty starszej kobiety: jak wyjęte z innego miejsca, innego czasu, pozornie idealnie zachowane. Ale dla Ricka była ona po prostu Helen, taką samą jak zawsze.

Idąc po dywanie, który tłumiał jego kroki, dotarł do kuchni na tyłach. Znalazł ją tam, na podłodze wyłożonej linoleum. Nie żyła od dawna – wskazywała na to jej zimna skóra i zapach zaschniętej krwi na podłodze.

Stojąc w drzwiach, potrafił zrekonstruować przebieg wydarzeń. Siedziała przy stoliku z laminatu, pijąc herbatę. Filizanka i spodek wciąż stały na miejscu, nieruszone, wraz z cukierniczką. Musiała odstawić filizankę, zanim się przewróciła. Upadek był gwałtowny: krzesło leżało na ziemi. Przeczłoła się krok lub dwa, niedaleko. Być może złamała przy upadku biodro albo nogę – w jej wieku należało się tego spodziewać. Tył niebieskiej, jedwabnej sukienki znaczyły plamki krwi rozchodzące się od ciemnej dziurki wielkości monety. Kiedy nabrał głęboko tchu, wyczuł zapach prochu strzelniczego. Ktoś strzelił jej w plecy i umarła.

Po takim życiu... taka śmierć.

Czyli było po wszystkim. Zakończyła się trwająca ponad sześćdziesiąt lat znajomość. Czas się pożegnać,

opłakać ją i ruszyć dalej. Robił to już nieraz. Potrafił podejść do tego filozoficznie: taka jest naturalna kolej rzeczy i tak dalej. Ale tym razem było inaczej i nie miał zamiaru porzucić Helen, nawet teraz, kiedy nie miało to już znaczenia. Postąpi jak należy – po ludzku.

Wyciągnął komórkę z kieszeni płaszcza i zadzwonił na numer alarmowy.

– Halo. Chcę zgłosić morderstwo.

*

Kiedy weszła do środka, spojrzał na nią każdy mężczyzna w barze: umalowane na czerwono usta, niebieska spódniczka kołysząca się dookoła idealnych nóg. Sprawiała wrażenie, jakby tego nie zauważyła. Podeszła od razu do baru i wspięła się na stół.

– Podwójną szkocką z lodem – powiedziała.

Rick odłożył ściereczkę, którą wycierał bar, i oparł się o blat naprzeciwko niej.

– Wyglądasz, jakbyś chciała coś uczcić.

– Tak jest. Pomożesz mi w tym czy będziesz się tylko gapił?

Uśmiechając się, sięgnął po szklaneczkę i nalał podwójną whisky, a potem jeszcze trochę.

– Muszę zapytać – powiedział, wracając do miejsca, gdzie siedziała. Cieszył się tym, że każdy facet w barze Murrya patrzy na niego z zazdrością. – Co to za okazja?

– Naprawdę musisz zapytać, co? Nie jestem pewna, czy powinnam ci mówić.

– Po prostu nieczęsto panie przychodzą tu same, żeby coś świętować.

Bar Murraya był lokalem dla klasy robotniczej, jak na standardy East Colfax speluną. Okolica zaczęła podupadać, kiedy lokalne przedsiębiorstwa i mieszkańcy przenieśli się do centrum i na miejscu zostali tylko ci, którzy nie mieli dokąd iść. Rick już wiele razy widział takie sytuacje: rozpoznawał znaki. Murray nie tracił pieniędzy, ale nie miał na tyle dużych zysków, żeby zainwestować w swój lokal. Lakier złuszczył się z parkietu, meble pochodziły sprzed dekady. Tanie piwo i alkohol były normą, a na ścianach wciąż wisiły plakaty reklamujące obligacje wojenne, choć Japonia poddała się półtora roku wcześniej. A może po prostu za bardzo lubił plakaty z Betty Grable, które na nich przykleił, żeby je zerwać.

Kobieta zarumieniła się i spuściła wzrok, co pozwoliło mu domyślić się czegoś na temat jej usposobienia. To wzruszenie ramion było znacznie bardziej nieśmiałe niż jej nonszalanckie wejście do baru.

– Dostałam pracę – powiedziała.

– Gratuluję.

– Nie powiesz mi, że taka ładna dziewczyna jak ja powinna znaleźć sobie porządnego faceta, wyjść za mąż, ustatkować się i dać swojej matce powód do dumy?

– Nie.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się i zagryzła wargę.

Nowy klient w czystym garniturze podszedł do baru,

położył na nim kapelusz, a potem rzucił na wypolerowane drewno kilka banknotów. Rick skinął głową kobiecie i poszedł przyjąć jego zamówienie. Potem zrobił się ruch, a Rick podawał drugie i trzecie kolejki mężczyznom, którzy przyszli po pracy i się zasiedzieli. Po porze kolacji kolejni klienci przyszli na drinka przed snem. Rick pracował, nalewając piwa oraz trunki i uśmiechając się grzecznie, kiedy starsi mężczyźni mówili do niego „synu” i „chłopcze”.

Nie potrzebował tej pracy. Po prostu lubił od czasu do czasu przebywać wśród ludzi. Pracował tu i tam w barach – barach, saloonach, gospodach – od prawie dwustu lat.

Spodziewał się, że kobieta szybko skończy drinka i od razu wyjdzie, ale ona sączyła alkohol, jakby delectowała się tą chwilą, jakby chciała pobyc w tłumie. Uniknąć samotności. Rick to rozumiał.

Nie był zaskoczony, kiedy chudy facet o zaczerwienionej twarzy, który chyba wypił o jednego za dużo, zbliżył się chyłkiem do baru i podkradł do niej jak polujący kot. Rick czekał na jej reakcję. Może przyszła tutaj świętować, ale może szukała też czegoś więcej, i nie miał zamiaru jej w tym przeszkadzać. Ale gdy mężczyzna się odezwał – proponując, że postawi jej kolejnego drinka – pokręciła głową. Kiedy zaczął nalegać, odchyliła się i odwróciła od niego. Potem położył jedną dłoń na jej ramieniu, a drugą, pod barem, na nodze. Odepchnęła go.

Wtedy Rick stanął naprzeciwko nich. Oboje zamarli z

wahaniem, mrugając.

– Proszę pana, naprawdę powinien pan już iść, prawda? – rzucił Rick.

– Nie twój interes – odparł pijak.

– Jeśli ta pani nie chce mieć towarzystwa, powinien pan zostawić ją samą. – Spojrzał mężczyźnie w oczy i odrobinę wyteżył wzrok. Nasycił głos subtelnym tonem ostrzeżenia, tak że jego słowa nabrały mocy. Gdyby oczy mężczyzny zaszyły mgłą, większość gapiów zrzuciłaby to na karb alkoholu.

Mężczyzna wycelował w niego palec i otworzył usta, ale Rick skupił spojrzenie nieco bardziej i pijak zamrugał z dezorientacją.

– Niech pan już idzie – powiedział Rick.

Człowiek przytaknął słabo, wcisnął kapelusz na głowę i zatoczył się w stronę drzwi.

Kobieta odprowadziła go wzrokiem, a potem odwróciła się z powrotem do Ricka z uśmiechem zadziwienia na twarzy.

– To było niesamowite. Jak to zrobiłeś?

– Jak człowiek pracuje dość długo za barem, uczy się radzić sobie z ludźmi.

– To pewnie już długo jesteś barmanem.

Rick tylko się uśmiechnął.

– Dzięki za pomoc – powiedziała.

– Nie ma o czym mówić.

– Naprawdę nie przyszedłam tutaj na podryw. Po prostu chciałam tylko drinka.

– Wiem.

– Ale nie odmówiłabym... propozycji spotkania. Pójścia na kolację, do kina czy gdzieś. Gdyby poprosił odpowiedni facet.

No to Rick poprosił. Miała na imię Helen.

*

Rick odpowiedział na pytania dyżurującego policjanta, a potem usiadł w fotelu w salonie, aby poczekać na oficera z dochodzeniówki. W ciągu tych trzech kwadransów policjanci wchodzili i wychodzili z domu, który z każdą chwilą coraz mniej wyglądał jak dom Helen.

Kiedy pojawiła się policjantka śledcza, Rick wstał, żeby się z nią przywitać. Była to kobieta średniego wzrostu i takiejże budowy, ciągle rozglądająca się pilnie i analizująca szczegóły otoczenia. Czarne włosy spięła w krótki koński ogon i miała na sobie nijaki ciemny garnitur i białą koszulę. Ubierała się tak, żeby nie zwracać uwagi, ale autorytet, jakim emanowała, i tak ją wyróżniał.

Dostrzegła Ricka i zmarszczyła brwi.

– O cholera. To ty.

– Oficer Hardin – odparł rozbawiony tym, jak niezadowolona jest na jego widok.

Jessi Hardin wyciągnęła w jego stronę palec.

– Poczekaj tutaj.

Usiadł z powrotem i odprowadził ją wzrokiem, kiedy poszła do kuchni.

Pół godziny później ludzie od koronera wtoczyli do domu nosze na kółkach, a Hardin wróciła do salonu. Przysunęła krzesło o wysokim oparciu i ustawiła naprzeciwko Ricka.

– Spodziewałam się, że znajdę na jej szyi ślady po ugryzieniu.

– Nie zawiadomiłbym was, gdybym to zrobił – powiedział.

– Ale to ty odkryłeś ciało?

– Tak.

– Co tu robiłeś? – Wyciągnęła z kieszeni niewielki notatnik i długopis, jak w telewizji.

– Helen od lat była moją przyjaciółką.

Długopis znieruchomiał nad kartką.

– Co to w ogóle znaczy?

Wcześniej myślał, że tym razem czeka go miła odmiana, że nie będzie musiał unikać tematu, wymyślać wiarygodnego wytłumaczenia dla swojej wiedzy, ukrywać tego, że znał Helen przez prawie całe jej życie, choć wyglądał na trzydziestolatka. Hardin wiedziała, z kim ma do czynienia. Jednak było mu zaskakująco trudno porzucić półprawdy, którymi się zawsze wykręcał.

Gdyby rozmawiał z kimkolwiek innym, powiedziałby, że Helen była przyjaciółką jego dziadka, którą od czasu do czasu odwiedzał, że niekiedy naprawiał w jej domu różne rzeczy. Hardin jednak by w to nie uwierzyła.

– Poznaliśmy się w czterdziestym siódmym i

przyjaźniliśmy przez te wszystkie lata.

Hardin zmrużyła oczy, jakby się namyślając.

– Niech sprawdzę, czy dobrze rozumiem. W czterdziestym siódmym miała ile, dwadzieścia lat? Dwadzieścia pięć? A ty... wyglądałeś dokładnie tak jak dzisiaj?

– Tak.

– I od tamtej pory się przyjaźniliście.

– Mówi pani o tym tak, jakby to panią dziwiło.

– Po prostu czego innego się spodziewałam.

Bez wątpienia w jej myślach tworzył się jakiś obraz: Rick i dwudziestopięcioletnia Helen stanowiliby piękną parę. Ale Rick i dziewięćdziesięcioletnia Helen?

– Może powinna pani trzymać się standardowych pytań – zauważył Rick.

– No dobra. Powiedz mi, co zobaczyłeś, kiedy tu przyjechałeś. O której to było?

Opowiedział jej wszystko, wspominając o zgaszonych światłach i o tym, że dom wyglądał na opuszczony. Wyjaśnił, że od razu poczuł, iż coś jest nie w porządku, więc nie był zaskoczony, kiedy znalazł Helen w kuchni.

– Zadzwoiła do mnie dziś w ciągu dnia. Nie mogłem odebrać, ale zostawiła mi wiadomość. Miała zmartwiony głos, ale nie powiedziała dlaczego. Przyjechałem, gdy tylko mogłem.

– Wiedziała więc, że coś jest nie tak. Spodziewała się, że coś się stanie.

- Tak sędę.
 - Masz pojęcie, dlaczego ktoś chciałby zamordować staruszkę?
 - Tak – odpowiedział. – Mam.
- *

Pewnego wieczoru pojawiła się w barze pod koniec jego zmiany. Nie byli umówieni, więc najpierw go to zaskoczyło, a potem zmartwiło. Podbiegła do niego i dopadła baru, chwytając się go kurczowo, jakby miała się przewrócić. Z trudem łapała oddech, a oczy miała zaczerwienione. Niedawno płakała.

Wziął ją za ręce i ścisnął mocno.

- Co się stało?
- Och, Rick! Jestem w strasznych tarapatach. On mnie zabije, już nie żyję...
- Helen! Uspokój się. Odetchnij głęboko. O co chodzi?

Zachłysnęła się kilka razy oddechem. Wyprostowała się, odwzajemniła uścisk dłoni Ricka i udało jej się powiedzieć coś składniej:

- Potrzebuję kryjówki. Muszę zniknąć na jakiś czas.

Mogła mieć najróżniejsze problemy. Może jakiś krewny z małego miasteczka przyjechał ją odnaleźć i ściągnąć z powrotem do domu po ucieczce. Może była kimś zupełnie innym niż miastowa dziewczyna o ładnej buzi, za jaką chciała uchodzić. Od kiedy ją poznał, wiedział, że coś ukrywa. Nigdy nie wspominała o swojej

przeszłości.

– Co się stało? – zapytał znowu.

– Powiem ci wszystko, tylko proszę, pomóż mi się ukryć.

Wyszedł z baru, objął ją ramieniem i zaprowadził do pokoju na tyłach. Był tam niewielki magazyn pełen drewnianych skrzynek, z których część była pusta i czekała na wyniesienie, a część była wyładowana butelkami alkoholu. Kiedy bar był otwarty, poza Rickiem wchodził tam tylko Murray. Znalazł solidną, pustą skrzynkę, postawił ją do góry nogami, odkurzył i usadził na niej dziewczynę.

– Mogę zamknąć za pół godziny, a wtedy opowiesz mi, co się stało. Dobrze?

Wytarła nos w chusteczkę i pokiwała głową.

– Mogę coś ci przynieść? – zapytał. – Butelkę wody sodowej? Trochę whisky?

– Nie, nie. Na razie niczego mi nie trzeba. Dziękuję.

Wróciwszy za bar, wyczulił zmysły, sprawdzając każdy cichy dźwięk, każdy zapach, każde źródło światła i to, jak spowijały je cienie. W jego świadomości stuknęło bicie każdego serca, a było ich kilkanaście. Ta kakofonia, przypominająca odgłos kamieni grzechoczących w puszczy, obudziła w nim głód – ukrytą świadomość, że mógłby zabić wszystkich obecnych i nasycić się ich krwią, zanim zdążyliby się zorientować, co się dzieje.

Tego wieczoru już się pożywił. Zawsze to robił przed przyjściem do pracy, inaczej by nie wytrzymał. Dzięki

temu mógł nie zwracać uwagi na bicie serc tworzące dźwiękowe tło świata.

Nikt dookoła nie był zaniepokojony, zmartwiony, niczego nie szukał ani nie zachowywał się w sposób, którego nie można by się spodziewać po ludziach siedzących w barze na pół godziny przed jego zamknięciem. Większość gości się uśmiechała, część była pijana, wszyscy byli spokojni.

To się zmieniło dziesięć minut później, kiedy przysadzisty mężczyzna w niezwracającym uwagi garniturze i wytartym kapeluszu wszedł do środka i przyjrzał się każdemu klientowi z osobna. Rick zignorował go i czekał. Facet zgodnie z jego oczekiwaniami podszedł do baru. Serce biło mu szybko, a pachy i czoło miał mokre od potu.

– Co podać? – zapytał Rick.

– Weszła tu może dziewczyna mniej więcej tego wzrostu, z brązowymi włosami, w niebieskiej sukience? – zapytał mężczyzna. Pod marynarką miał kaburę z pistoletem.

Niektórzy goście obejrzelili się na nich. Rick był pewien, że wszyscy zwrócili uwagę na wchodzącą Helen. Czekali na jego odpowiedź.

– Nie – odparł – nie widziałem nikogo takiego. To tego rodzaju dziewczyna, która weszłaby sama do takiego baru?

– Tak. Myślę, że tak.

– Nie przyjmujemy już zamówień. Wątpię, żeby

miała tu przyjść tak późno. Ale może pan poczekać.

– Tak zrobię.

– Mogę coś podać?

– Tonik.

Rick nalał napój i przyjął zapłatę. Facet nie dał mu napiwku.

Goście zaczęli wychodzić, kiedy zbliżyła się godzina zamknięcia baru, a krzepki mężczyzna wciąż obserwował drzwi. Siedział w rozpiętej marynarce i pilnował, żeby mieć wolną prawą rękę, aby w każdej chwili móc sięgnąć po broń. Czy gdyby Helen weszła teraz do środka, zastrzeliłby ją na miejscu? Miał aż tak nie po kolei w głowie?

Rick był ciekaw, co takiego Helen zrobiła.

Kiedy zostali w barze sami, powiedział:

– Muszę już zamykać, proszę pana. Przykro mi, że pańska dziewczyna nie przyszła.

– To nie moja dziewczyna.

– No cóż. Kimkolwiek jest, tu jej nie ma. Musi pan już iść.

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

– Kim byłeś w czasie wojnie, młody?

– Dostałem 4-F – odparł Rick.

Był przyzwyczajony do takich spojrzeń, jakie rzucił mu teraz gość. 4-F: zwolnienie ze służby wojskowej z powodów zdrowotnych. Rick wyglądał na wysportowanego, zdrowego mężczyznę w sile wieku. Musiał nieźle zrobić w konia komisję poborową, żeby

wykręcić się od służby, co oznaczało, że był nie tylko tchórzem, ale też oszustem. Pozwalał ludziom dochodzić do dowolnych wniosków na jego temat. Wiedział, że przeżyje ich wszystkich.

– Jeśli mogę zapytać... – zaczął mężczyzna.

– Mam uczulenie na słońce. – Używał tej wymówki przez całą wojnę.

– Hmm. Kto słyszał o czymś takim? – Rick wzruszył ramionami. – Wiesz, gdzie ja służyłem? W piechocie. We Włoszech. Postrzelili mnie dwa razy, młody. Ale nie byłem im dłużny. Jestem większym twardzielem, niż na to wyglądam.

– Nie wątpię, proszę pana.

Facet nie był pijany. Roztaczał woń potu, brudnych ubrań i płynu po goleniu, ale nie alkoholu. Mógł jednak być trochę stuknięty. Wyglądał, jakby czekał, aż Rick wda się z nim w bójkę.

– Jeśli zobaczę tę dziewczynę, mam jej powiedzieć, że pan jej szuka? – zapytał Rick.

– Nie. Jestem pewien, że nie było jej w okolicy. – Ześlizgnął się ze stołka i nasunął kapelusz niżej na czoło. – Uważaj na siebie, młody.

– Pan też.

W końcu wyszedł, a Rick zamknął drzwi od środka.

Nie byłby zaskoczony, gdyby wrócił do magazynu i nie zastał tam Helen – gdyby z jakiegoś powodu uciekła. Ale wciąż siedziała na skrzynce w rogu. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami.

– Ktoś cię szukał – powiedział Rick.

Wzdrygnęła się, zaskoczona. Wszedł za cicho. I tak wyglądała jak osoba ścigana przez człowieka z pistoletem.

– Kto? Jak wyglądał? – zapytała, a Rick go opisał. W jej oczach pojawiła się udręka i rozpacz. – To Blake. Nie wiem, co robić. – Pociągnęła nosem, ocierając go chusteczką. Znow zaczęła płakać. – Zabije mnie, jeśli mnie znajdzie, na pewno zabije.

– Jeśli nie masz nic przeciwko gorzkiej kawie, możemy dokończyć to, co zostało w ekspresie, i wszystko mi opowiesz. – Uruchomił swoją moc perswazji, żeby się rozluźniła. – Nie mogę pomóc, skoro nie wiem, co się stało.

– Nie chcę cię w to wciągać, Rick.

– To dlaczego tu przyszłaś?

Nie potrafiła odpowiedzieć.

Nalał kawy do kubka, wsunął go jej do ręki i czekał, aż Helen zacznie mówić.

– Dostałam pracę, no nie? To dobra praca, dobrze płacą. Ale czasami... no cóż. Dostarczam różne rzeczy. Mam się nie dopytywać, co jest w paczkach. Po prostu idę tam, gdzie mi każą, i nie zadaję pytań.

– Powiedziałaś mi, że pracujesz jako maszynistka.

– Co miałam zrobić, powiedzieć ci prawdę?

– Nie, masz rację. To nie moja sprawa. Mów dalej.

– Jest taki warsztat na wschodzie, przy Champa Street...

– Niebezpieczna okolica.

– Nigdy nie miałam tam żadnych problemów. Zazwyczaj po prostu wchodzę, kładę torbę na półce i od razu wychodzę. Dzisiaj usłyszałam strzały. Odwróciłam się i zobaczyłam Blake'a, właśnie zastrzelił Mikeya... faceta z warsztatu, który odbiera przesyłki... a z nim jeszcze dwóch gości. Trzymał pistolet, który wciąż dymił. Zastrzelił ich. Nie wiedziałam, co zrobić. Jest tam tylne wyjście, więc zaczęłam biec w jego stronę, a on mnie zauważył, wiem, że mnie zauważył...

Rick kucnął obok niej, odebrał od niej kubek i ścisnął jej dłoń. Były lodowate. Jego ręce nie były dość ciepłe, żeby mógł ją ogrzać.

– Teraz chce dokończyć sprawę – powiedział Rick.

– Tak się głupio złożyło! Gdybym przyszła pięć minut wcześniej, wszystko byłoby w porządku, niczego bym nie zauważyła.

Rick spierałby się w tej kwestii: i tak pracowałyby przecież jako posłaniec dla jakiegoś syndykatu.

– Brałaś pod uwagę pójście na policję? Zapewne mogliby cię ochronić. Gdyby udało im się zamknąć Blake'a, nie musiałybyś się martwić.

– Myślisz, że to naprawdę tak działa? Nie mogę pójść do glin. Aresztowaliby mnie równie szybko jak jego.

– To wyjedź z miasta – zaproponował Rick.

– I dokąd miałabym pojechać? Co robić? Za jakie pieniądze?

– Mogę ci dać pieniądze – odparł.

– Z pensji barmana? Dokąd bym za to dojechała, do

Colorado Springs? Nie, Rick, nie poproszę cię o pieniądze.

Pochylił głowę, żeby ukryć uśmiech. Biedna mała, wydawało się jej, że tylko ona ma wielkie tajemnice.

– Ale o kryjówkę mnie prosisz.

– Przepraszam. Po prostu nie wiedziałam, dokąd pójść, nie mam tu innych znajomych. Teraz cię w to wciągnęłam, a jeśli Blake się dowie, ciebie też zacznie ścigać.

– Helen, nie martw się. Coś wymyślimy. – Potarł jej dłonie, próbując ją uspokoić. Nie ma w mieście innych znajomych. W to wierzył.

– Pewnie mnie teraz nie znosisz.

Wzruszył ramionami.

– Niezbyt by to było sensowne.

Przechyliła głowę z zaciekawieniem.

– Jesteś inny niż wszyscy, wiesz?

– Tak. Wiem. Słuchaj, znam miejsce, gdzie Blake na pewno cię nie znajdzie. Możesz tam zostać przez kilka dni. Może wszystko przycichnie. Może złapią Blake'a. W tym czasie będziesz mogła obmyślić jakiś plan. Co ty na to?

– Dzięki, Rick. Dzięki.

– Nie ma za co.

*

Jeden z policjantów w mundurach wszedł do salonu i podał Hardin styropianowy kubek z kawą. zaproponował

ją też Rickowi, który podziękował.

– Czyli miała kryminalną przeszłość – powiedziała Hardin. – Trafiła do więzienia?

– Nie – odparł Rick. – Była gońcem, kurierem. Nigdy nie wdała się w nic poważniejszego.

– Prostyucja?

– Nie, nie wydaje mi się. – Był prawie pewien, że by wiedział, gdyby się tym zajmowała. Ale tak naprawdę nie mógł z całą pewnością orzec, co robiła, zanim ją poznał. – Wiem, że widziała rzeczy, których zapewne nie powinna była widzieć. Zeznawała w procesie o morderstwo.

– Powiedziałeś, że to było ponad sześćdziesiąt lat temu. Z pewnością każdy, kto chciałby się pozbyć świadka, od dawna nie żyje – zaproponowała Hardin.

– Pytała pani, czy znam powód, dla którego ktoś mógłby chcieć ją zabić. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Nie miała wielkiego majątku, a nawet jeśli, nie miała też komu go zostawić. Wiem tylko, że sześćdziesiąt lat temu kilku ludzi miało powód, żeby chcieć jej śmierci.

– Tylko wampir uznałby badanie motywów poprzedzających morderstwo o sześćdziesiąt lat za rozsądne.

Nie pomyślał o tym w ten sposób, ale miała rację.

– Ma pani jeszcze jakieś pytania?

– Czym zajmowała się potem? Rozumiem, że nie była gońcem przez cały ten czas.

– Rzuciła to. Pracowała w sklepie. Przeszła na emeryturę jakieś piętnaście lat temu. Prowadziła bardzo

spokojne życie.

– I mówisz, że nie ma żadnej rodziny? Nie wyszła za mąż, nie urodziła dzieci?

– Nie. Myślę, że wyznaczyła mnie na swojego wykonawcę testamentu. Mogę się zająć przygotowaniem do pogrzebu.

Ponownie przestała na chwilę pisać.

– Myślisz, że była samotna?

– Nie wiem. Nigdy mi o tym nie mówiła. – Pomyślał, że zapewne czuła się osamotniona, przynajmniej czasami.

– No cóż, przeszukam archiwa, ale nie jestem pewna, czy w ogóle mamy zapisy z tak dawna. Pamiętasz cokolwiek na temat procesu, w którym była świadkiem?

– To było w czterdziestym siódmym – powiedział. – Zeznawała przeciwko Charlesowi Blake'owi. Dostał dożywocie.

Pokręciła głową.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. I zapewne powiesz mi, że twoje wspomnienia z tamtych czasów są tak świeże, jakby to było wczoraj?

– Nie. Nawet ja wiem, że to było dawno.

Prawdę mówiąc, musiał się przez chwilę zastanowić, żeby przypomnieć sobie, jak wyglądała wtedy Helen – młoda, zalotna, z kręconymi włosami i w przylegających do ciała sukienkach. Kiedy myślał o Helen, przed jego oczami pojawiała się stara kobieta, którą się stała. Ta zmiana nie wzbudzała w nim nawet żadnych silnych emocji – po prostu tak się działo. Jego śmiertelni znajomi

starzeli się i umierali. Wolał, żeby działo się tak, niż żeby nie zdążyli się zestarzeć przed śmiercią.

Wielu jego pobratymców nie zadawało sobie takiego trudu, ale Rick wciąż lubił funkcjonować w świecie, stanowić jego część. Spotykać ludzi takich jak Helen. Nawet jeśli oznaczało to częstsze pożegnania.

Hardin się zamyśliła.

– Gdybym była nieśmiertelna, zwiedzałabym świat. W końcu nauczyłabym się francuskiego.

Rick zachichotał. Nie znał francuskiego.

– A jednak wampiry mają w zwyczaju pozostawać w jednym miejscu. Patrząc, jak świat zmienia się dookoła nich.

– Więc jesteś tutaj od pięciuset lat?

– Nie konkretnie w Denver, ale na Zachodzie tak. I widziałem sporo niesamowitych rzeczy.

– Dużo morderstw? – zapytała.

– Kilka – odparł.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, bez wątpienia zastanawiając się nad kolejnymi pytaniami. W końcu tylko pokręciła głową.

– Zadzwoń, jeśli będę potrzebowała więcej informacji.

– Oczywiście.

Uśmiechnęła się krzywo.

Policjanci właśnie odgradzali dom jako miejsce zbrodni. W kuchni pojawiły się żółte etykiety oznaczające dowody – filiżankę, stół, plamy na podłodze i

blacie. Ganek ozdobiła żółta taśma trzepocząca na lekkim wietrze. Był już czas, żeby Rick odszedł. Raz na zawsze. Stał jeszcze na chwilę, aby po raz ostatni obrzucić wzrokiem salon. To był koniec.

Odjechał samochodem, początkowo krążąc bez celu, chcąc się po prostu zastanowić. Potem skierował się w stronę starych okolic, baru przy Colfax Avenue i warsztatu przy Champa Street. Wciąż widać było ślady tego, jak wyglądały kiedyś – zauważył zarys fasady przemalowywanej kilkanaście razy w ciągu lat. Dookoła od półwiecza wznosiły się i rozsypywały wieżowce, budynki biurowe i ekskluzywne lofty. Jeźdnie poszerzono, stan chodników poprawiono, zmieniono znaki drogowe. Zmieniły się też samochody i ubrania, które nosili ludzie, choć o tej porze widział na ulicach tylko nielicznych młodych mężczyzn palących papierosa przed klubem. Żaden z nich nie miał na głowie kapelusza.

Gdyby Charles Blake w ogóle jeszcze żył, wciąż siedziałby w więzieniu. Czy miał krewnych? Wspólnika, z którym zaplanował zemstę? Rick mógł zadzwonić do Departamentu Więziennictwa, namówić kogoś do wyjawienia mu wszystkiego na temat Blake'a. Choćby po to, żeby zamknąć ten wątek i zakończyć historię Helen we własnych myślach.

Mógł też pozwolić oficer Hardin wykonać jej pracę. Miała rację: kryminalna przeszłość Helen sprzed sześćdziesięciu lat najprawdopodobniej nie miała nic wspólnego z jej śmiercią. Może zginęła przez przypadek.

Ktoś należący do gangu spudłował, strzelając z jadącego samochodu. Wszystko mogło się zdarzyć, absolutnie wszystko. Hardin nie potrzebowała jego pomocy, żeby dowiedzieć się, co naprawdę się stało.

Czas pozwolić Helen odejść.

*

Zaprowadził ją do Artura.

Arturo był władcą wampirów z Denver, co oznaczało, że to on ustanawiał zasady, a każdy wampir, który chciał mieszkać na jego terenie, musiał ich przestrzegać. Rick się ich trzymał – przeważnie. Nie zgodził się jednak na mieszkanie pod dachem Artura w roli jednego z kilkunastu sługusów. Rick trzymał się na uboczu, żył tak, jak chciał, nie zwracał na siebie uwagi i nie kwestionował otwarcie władzy Artura, więc ten pozwalał mu na niezależność. Wiele innych wampirów uważało, że Rick jest ekscentryczny – nawet jak na wampira – a jemu to nie przeszkadzało. Dom Artura był jednak jedynym miejscem w mieście, gdzie Blake’owi absolutnie nie udałoby się odnaleźć Helen.

Arturo był właścicielem niewysokiego ceglanego budynku na wschód od śródmieścia. Na parterze mieścił się sklep meblowy, który nieczęsto był otwarty, ale jego prawdziwym zadaniem było odwracanie uwagi od piwnicy. Pod ziemią, z dala od okien i światła słonecznego, mieszkały i prowadziły swoje małe imperium miejscowe wampiry.

Rick przeszedł wraz z Helen dwanaście przecznic dzielących bar Murraya od sklepu z meblami, obejmując ją opiekuńczo ramieniem. Wtulała się w niego, rozglądając się z obawą. To, jak Rick się poruszał, jak rzucał cienie i wciągał ją w zasięg swojego wpływu, uniemożliwiało Blake'owi odnalezienie ich. Ale ona o tym nie wiedziała.

Na tyłach sklepu z meblami betonowe schody prowadziły do położonych pod poziomem ulicy, zwyczajnych drzwi. Rick do nich zastukał.

– Blake cię tu nie znajdzie – powiedział.

– Ufam ci – odparła. Wciąż oglądała się na szczyt schodów, jakby oczekując, że zaraz pojawi się tam Blake z pistoletem w dłoni.

Tak naprawdę powinien był wsadzić ją do pociągu jadącego do miasteczka, z którego przyjechała, gdziekolwiek to było. Kazać jej znaleźć dobrego męża i się ustatkować. Zamiast tego przyprowadził ją tutaj, a ona mu ufała.

Drzwi się otworzyły, Rick stanął twarzą w twarz z obecną odźwierną, młodą kobietą w prostej jedwabnej sukience, która była modna dziesięć lat wcześniej. Estelle jednak nie zauważyłaby tego: większość tego czasu spędziła pod ziemią.

Helen zagapiła się na nią. Dla niej Estelle wyglądała na pewno jak dziewczynka przebrana w ubrania swojej matki, w za długiej spódnicy i z za małym dekoltem.

– Witaj, Estelle. Potrzebuję pokoju na kilka nocy.

– Arturo się ciebie spodziewa? – zapytała, obrzucając Helen uważnym spojrzeniem i zapewne dochodząc do własnych wniosków.

– Nie. Ale nie sędzę, żeby miał coś przeciwko. A ty?

Wydęła dolną wargę, otworzyła drzwi szerzej i wpuściła ich do środka.

Korytarz był wyłożony dywanem i słabo oświetlony dwiema osłoniętymi żarówkami.

– Znajdę go tam, gdzie zawsze? – rzucił Rick przez ramię.

– Pewnie. Jest nawet w dobrym humorze.

Helen spojrzała na niego pytająco. On tylko poprowadził ją dalej, przez drzwi na końcu korytarza i do sporego pokoju.

Panowała tam atmosfera jak w salonie z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Było duszno, ciepło i aż gęsto od zgaszonych kolorów oraz bogatych tkanin, perskich dywanów i aksamitnych makat. Jeden z kilkunastu sługusów Artura, Angelo, młody narwaniec, palił papierosa, celowo nabierając powietrza do płuc i ponownie je wypuszczając wraz z dymem – oddychał tylko po to, żeby móc palić. Tytoń i tak nie miał na niego żadnego wpływu. Może lubił przyglądać się dymowi. A może był to tylko nawyk. Angelo miał ledwie sto lat.

Z punktu widzenia Ricka większość wampirów Artura była młoda. Ale też myślał tak o niemal wszystkich.

Zgromadzone wampiry, nasycone ludzką krwią, która

umożliwiała im egzystencję, najprawdopodobniej omawiały swoje wyczyny z tego wieczoru. Ich najnowsza metoda polowania polegała na zlokalizowaniu jakiegoś przyjęcia, wproszeniu się na nie, zahipnotyzowaniu wszystkich gości i uraczeniu się ich krwią. Nikogo nie zabijali ani nie przemieniali – to za bardzo zwróciłoby uwagę – a cała grupa budziła się następnego ranka, myśląc, że przeżyła wspaniały, choć nieco dziwny wieczór. Rick już nieraz radził Arturowi, aby otworzył restaurację czy klub i pozwolił, by ludzie sami przychodzili do niego.

Arturo – wedle wszystkich niezwykle przystojny, z burzą złotych włosów nad kwadratową twarzą – pólleżał w ogromnym fotelu z nogami przerzuconymi nad jednym z podłokietników. Spojrzał na Ricka i uniósł brwi z zaskoczeniem.

– Co nam przyniosłeś, Ricardo?

Wampiry, mężczyźni i kobiety, wyprostowały plecy z ożywieniem i spojrzały na Helen niczym wataha wilków.

– Musi się gdzieś zatrzymać – powiedział Rick. – Jest pod moją ochroną.

– Ricardo? – szepnęła do niego Helen, a on ją uciszył.

– Chciałbym tylko skorzystać z wolnego pokoju na kilka nocy, jeśli to możliwe.

Młody mężczyzna – wyglądał na jakieś dwadzieścia kilka lat, nieco mniej niż Rick – rozważył tę prośbę, stukając palcem o podbródek.

– Oczywiście. Dlaczego nie?

– Dzięki.

Wciąż obejmując Helen ramieniem, zawrócił z nią do korytarza, otworzył pierwsze drzwi po prawej i wprowadził ją do środka.

– Rick? Co to za miejsce, jakiś pensjonat?

– Coś w tym rodzaju.

– Kim są ci wszyscy ludzie?

W pokoju panował całkowity mrok. Helen aż się zachłysnęła oddechem, kiedy zamknął drzwi.

– Rick?

Bez problemu odnalazł lampę stojącą w rogu i zapalił światło.

Jedynymi meblami w pokoju były podwójne łóżko z całą masą poduszek i pikowaną atlasową kołdrą, dębowa komoda i lampa. Miejsce to służyło do przesypiania dnia i przechowywania ubrań. Dywan na drewnianej podłodze tłumił odgłos kroków.

Helen gapiła się na to wszystko.

– To burdel. Przyprowaździłeś mnie do burdelu.

Gdyby zaprzeczył, musiałby jej wszystko wyjaśnić, a tego chciał uniknąć.

– Masz coś przeciwko temu? – zapytał. – Mogę znaleźć inne miejsce.

Zawahała się, a potem pokręciła głową i powiedziała:

– Nie. W porządku. Jeśli nie jest to jeden z lokali Blake’a.

– Nie.

Wyprostowała ramiona, jakby zbierając się w sobie.

– Myślę, że chyba mam ochotę na tego drinka, którego wcześniej proponowałaś.

– Będę musiał wrócić po niego do salonu. Masz coś przeciwko temu, żeby tu poczekać?

– Nie, poradzę sobie – powiedziała z dzielnym uśmiechem.

Wyszedł z pokoju. W korytarzu czekał Arturo, oparty o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Ricardo.

– Arturo.

– Przyprowadziłeś ją tutaj, ponieważ chcesz ją ukryć. Dlaczego?

– Ma kłopoty.

– Jakie?

– Zwyczajne. Naraziła się nieodpowiednim ludziom.

– Dziewczyna z zaścianka, która próbuje przetrwać w mieście?

– Coś w tym rodzaju.

– Hmm. To urocze. No cóż, zawsze chętnie wyświadczę przysługę ładnej dziewczynie. Ale będziesz moim dłużnikiem, tak?

Rick pochylił głowę, aby ukryć uśmiech. Radził sobie z Arturem, pozwalając mu myśleć, że zawsze ma przewagę.

– Tak to zazwyczaj działa.

– Świetnie.

– Zakładam, że zawartość barku liczy się jako część przysługi?

– Co? Teraz musisz najpierw upijać dziewczyny? – zapytał Arturo z udawanym zdziwieniem.

– Dziękuję, Arturo. – Rick wyminął go i poszedł do salonu.

Wrócił do pokoju ze szklaneczką z lodem i butelką whisky. Helen siedziała na łóżku. Jej zakiet leżał na komodzie, buty rzuciła w kąt i właśnie zdejmowała pończochy. Rick zaczął przeproszać i wycofywać się z pokoju, ale go zawołała.

– Przepraszam, chciałam tylko, żeby było mi wygodnie, skoro mam tu zostać na dłużej – powiedziała.

Postawił szklaneczkę na komodzie i nalał whisky na palec.

– Ricardo, tak? – zapytała. – Jesteś Meksykaninem? Nie wyglądasz na Meksykanina.

– Jestem Hiszpanem – odparł. – A przynajmniej jeśli sięgnie się dość daleko w przeszłość.

– Hiszpanem, co? To romantyczne.

Podał jej whisky, którą zaczęła saczyć, uśmiechając się do niego znad szklaneczki.

– Przyniosłeś tylko jedną szklanę. Ty nie będziesz pił?

– Nie, nie mam ochoty – odparł.

– Usiądziesz przy mnie?

Oto punkt zwrotny. Przeżył ich już dość wiele, aby potrafić je rozpoznać.

– Helen, nie przyprowadziłem cię tutaj, żeby wykorzystać sytuację.

– Mimo łóżka i tego, że jesteśmy w burdelu? – Jej uśmiech stał się kpiący.

– Naprawdę będziesz tu bezpieczna – powiedział, choć jego protesty zaczęły brzmieć słabo. Prawdę mówiąc, chciał usiąść przy niej, a wargi aż go mrowiły z pragnienia, aby ją pocałować.

Kiedy go nie było, zdążyła poprawić pomadkę na ustach. Górny guzik bluzki był rozpięty, skraj spódniczki odsłaniał kolana, a nogi miała nagie. Wydawało się jej, że go uwodzi. Ale gdyby tylko usiadł na łóżku, straciłaby kontrolę nad sytuacją. Nie wiedziała o tym i tak by już pozostało, gdyby to odpowiednio rozegrał. A zatem: co tak naprawdę miał zrobić, żeby postąpić właściwie?

Wypiła resztę whisky i poklepała łóżko obok siebie – tuż obok siebie – a on usiadł. Położył ramię na wezglowiu za nią, a ona wtuliła się w niego.

– Przez to, jak pracuję, nie spotykam wielu miłych facetów. Ty jesteś miły, Rick.

– Skoro tak mówisz.

– Tak mówię.

Przycisnęła dłoń do jego policzka, przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta. Była chętna, wręcz natarczywa. Kim był, żeby jej odmówić? Smakowała whisky i żarem. Był to pełen życia, cudowny smak. Rick wyjął szklaneczkę z jej dłoni i odstawił na podłogę, a potem znów zaczął całować Helen, obejmując ją mocno ramionami, więząc ją. Szarpała guziki jego koszuli.

Ogień, który wtedy w nim zapłonął, nie miał

seksualnej natury. Był to głód. Instynktowny, pierwotny, dojmujący głód, jakby nie jadł od wieków. Jego jedyny pokarm, jedyne, co mogło przynieść mu ulgę, znajdowało się pod jej skórą. Gdyby uwolnił tego potwora, rozdarłby ją na strzępy, rozlałby ją po całym łóżku, brodziłby w jej wnętrznościach, aby tym więcej krwi pochłonać.

Był jednak lepszy sposób.

Powoli, delikatnie całował jej usta i podbródek, wziął do ust płatek jej ucha i zaczął ssać, aż westchnęła, po czym przesunął wargi w dół jej szyi, pieszcząc obojczyk i rozpinając kolejne guziki bluzki. Odsunął biustonosz, aby odsłonić idealnie mieszczącą się w dłoni pierś. Helen sięgnęła w tył, wiercąc się, aby rozpiąć całą konstrukcję. Kiedy po raz pierwszy zobaczył nowoczesny biustonosz, wydawało mu się, że można sobie z nim poradzić znacznie łatwiej niż z gorsetem. Ta sztuka bielizny przedstawiała jednak własne trudności. Tak samo jak rozsznurowywanie gorsetu, rozpinanie go dało im obojgu powód do śmiechu.

Podniosła się na tyle, żeby zabrać się do jego koszuli; pozwolił jej ją zdjąć i odrzucić. Potem znów ułożył Helen na łóżku i przejął inicjatywę, zdejmując kolejne sztuki odzieży – do pasa do pończoch też wciąż się przyzwyczajał – i przesuwał chłodnymi dłońmi po każdym rozpalonym fragmencie jej ciała, całując po drodze. Dopiero kiedy jej rozkosz sięgnęła szczytu, wziął to, czego potrzebował, z niewielkiego, ostrożnego ukąszenia w szyję.

Jej krew była ekstazą.

Jej serce, bijące mocno z podniecenia, ofiarowało mu silny strumień. Mógłby w mgnieniu oka wykrwawić ją na śmierć, ale upił tylko kilka łyków. Nie dość, żeby całkowicie zaspokoić głód, ale to wystarczyło do przeżycia kolejnych kilku dni. Wampiry nauczyły się tego dawno temu: znacznie rozsądniej było zachować ludzi przy życiu, aby dalej produkowali krew. I o ile głębszy był jej smak, jeśli wzięło się ją po dobroci, a nie przemocą.

Polizał ranę, aby krew szybciej zaczęła krzepnąć. Helen leżała bezwładnie, a jej oddech zwolnił. Nachylił się i odwrócił jej twarz, tak aby patrzeć prosto na nią. Miała otwarte oczy i rozszerzone źrenice. Marszczyła brwi, a jej mina była na wpół zadziwiona, na wpół zdezorientowana. Może nawet zraniona. Nie przestając zaglądać jej w oczy, skoncentrował się na niej, kierując siłę woli do jej wnętrza, i odezwał się cicho:

– Nie będziesz tego pamiętać. Zapamiętasz wyłącznie rozkosz, nic innego. Jestem tylko zwykłym mężczyzną, kochankiem, a o wszystkim innym zapomnisz. Prawda? – Pokiwała powoli głową. Zmartwiona mina i zmarszczki dookoła oczu zniknęły. – To, co dobre, Helen. Zapamiętaj to, co dobre, a resztę puść w niepamięć. Teraz śpij. Śpij, aż cię obudzę.

Powieki jej opadły i westchnęła.

Już prawie nadszedł świt. W pokoju nie było okien, ale on to wyczuł. Ciepłe zadowolenie, które zawsze

pojawiało się po zerowaniu, połączyło się z letargiem wywołanym nadejściem dnia. Był bezpieczny i spokojny, więc pozwolił usypiającemu działaniu poranka zrobić swoje, aż zapadł w niebyt, wciąż trzymając Helen za rękę.

*

Następnego wieczoru Rick odebrał wiadomość od śledczej Hardin. Oddzwonił natychmiast.

– Halo, Rick? Czy ty masz w ogóle nazwisko?

– Znalazła pani coś?

– Tak. Sprawdziłam Charlesa Blake’a. Nie tylko wciąż żyje, ale też cztery miesiące temu został zwolniony warunkowo.

Przez mgnienie oka odniósł wrażenie, że powietrze nieruchomieje, a dźwięki cichną. Skoncentrował świadomość wyłącznie na najbliższym otoczeniu – na telefonie, tym, co właśnie powiedziała mu Hardin, na swojej reakcji. Poczul zimno i napięcie, zacisnął mocno rękę, a jego usta wykrzywił grymas drapieżcy.

Zrobił kilka powolnych wdechów, żeby się uspokoić i móc dalej rozmawiać.

– Myśli pani, że ją zabił?

– Myślę, że wynajął kogoś, żeby to zrobił za niego. Możliwe, że w więzieniu wyświadczał ludziom przysługi i po jego wyjściu musieli mu się zrewanżować. Z tego, co wiem, facet był niezwykle pomocny. Nie mogę za bardzo wdawać się w szczegóły, ale na miejscu zbrodni znaleźliśmy niewiele dowodów, co wskazuje, że zrobił to

ktoś doświadczony. Tylne drzwi były otwarte. Myślmy, że mógł odwiedzić ją wcześniej w ciągu dnia. Na pewno wtedy do ciebie zadzwoniła.

Jakie to małostkowe, chować urazę tak długo. Jakie to w stylu wampira, a jednak też ludzkie. Bardzo możliwe, że właśnie ta uraza utrzymała Blake'a przy życiu przez cały ten czas.

– Jak się czujesz? – zapytała. – To na pewno dla ciebie szok.

Brzmiało to jak zdanie, które mówi rodzinom ofiar. Uśmiechnął się na myśl, że zaraz zaproponuje mu spotkanie z terapeutą.

– Wszystko w porządku. To nie szok. Spodziewałem się tego przez sześćdziesiąt lat. Jeśli chodzi o Blake'a... wie pani, gdzie jest? Aresztowaliście go?

– Obawiam się, że nie mogę omawiać szczegółów toczącego się śledztwa. Pomyślałam tylko, że chciałbyś to wiedzieć.

– Dziękuję. Jestem wdzięczny.

Skończyli rozmowę, a Rick zaczął się zastanawiać. Mógł odnaleźć Blake'a. Był on teraz starym, bardzo starym facetem. Większość czasu spędził w więzieniu i pewnie nie miał zbyt wielu powodów do życia. Dopełnił już swojej zemsty i Rick nie sądził, żeby zależało mu na ucieczce z miasta czy ukryciu się. A poza tym to miasto należało teraz do Ricka.

Hardin nie aresztowała jeszcze Blake'a, ponieważ wciąż zbierała dowody dla prokuratury oraz nakazy. Rick

był absolutnie pewien, że wykona swoje zadanie jak najlepiej i że dzięki niej sprawiedliwości stanie się zadość.

W tym wypadku nie miał zamiaru czekać.

Kiedy już zabił Artura i zastąpił go na stanowisku władcy wampirów w Denver, przeobraził gniazdo. Salon był teraz biurem z funkcjonalnymi sofami i stolikiem do kawy oraz biurkiem i półkami na książki do pracy. Zamyślony Rick obszedł biurko. Blake na pewno miał kuratora, który będzie wiedział, gdzie go szukać. Może mieszkał nawet w jakimś ośrodku przejściowym dla byłych więźniów. Po tak długim pobycie w więzieniu było wątpliwe, czy ktokolwiek z jego rodziny czy przyjaciół wciąż żyje. Nie miał dokąd pójść. A jeśli rzeczywiście był w takim stanie, jak podejrzewał Rick, pewnie nawet się nie chował.

Przerzucił kartki rejestru i znalazł niedawno wpisane do niego nazwisko. Kobieta, która w latach siedemdziesiątych zajmowała się sutenerstwem – a na boku też szantażami. Odsiedziała swoje, znała system i była mu winna przysługę.

– Cześć, Carol. Tu Rick. Muszę się dowiedzieć, kto jest kuratorem niedawno zwolnionego przestępcy.

*

Zapadła noc, a Rick się obudził.

Helen odwróciła się na bok przez sen i leżała skulona, przytulona do niego, z dłońmi na jego ramieniu. Wyglądała słodko i bezbrinnie.

Nachylił się i odetchnął przy jej uchu.

– Obudź się, Helen.

Otworzyła oczy. Usiadła, odsuwając się od niego, a jej wzrok był oszołomiony, jakby próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest i jak tam trafiła. Ubranie miała w nieładzie, a włosy potargane.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Spojrzała na niego wilkiem.

– Dosypałeś mi czegoś do drinka?

– Nie.

Obrzuciła samą siebie wzrokiem, po czym zaczęła zbierać swoje ubrania, zapinać guziki i przeczesywać włosy palcami.

– Ty nawet nie zdjąłeś spodni, prawda? – zapytała kpiąco.

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Nieważne. Najważniejsze, że masz się dobrze.

– Tak, więcej niż dobrze. Jesteś nie z tej ziemi, Rick, wiesz?

– Na drugim końcu korytarza jest łazienka.

– Która godzina?

– Zmrok – powiedział. – Zaraz ruszam do Murraya, żeby sprawdzić, czy Blake się tam pokaże. Powinnaś tu zostać.

Na wzmiankę o Blake’u zmarkotniała, garbiąc się i krzyżując ramiona na piersiach. Odgarnął jej włosy z twarzy i pocałował delikatnie w czoło.

– Będę tu bezpieczna? – zapytała.

– Tak. Obiecuję.

– Co będzie, jeśli Blake faktycznie się pojawi? Co możesz zrobić? Rick, jeśli on cię skrzywdzi z mojego powodu...

– Wszystko będzie dobrze, Helen.

Umył się, znalazł świeżą koszulę, przeczesał włosy i wyszedł z gniazda.

Blake rzeczywiście odwiedził tego wieczoru lokal Murraya. Rick trzymał się swojego miejsca za barem, skąd obserwował, jak Blake rozgląda się po pomieszczeniu, a potem wybiera stołek w pobliżu barmana.

– Jednego bourbona – wymamrotał.

Rick nalał i pchnął szklaneczkę w jego stronę.

Blake wychylił alkohol jednym haustem, marszcząc gniewnie czoło. Po jakimś czasie, kiedy było już jasne, że Helen się nie pojawi, zagapił się na Ricka, któremu nie sprawiło trudności udawanie, że tego nie widzi. Blake oparł się na łokciu i odsunął połą marynarki, żeby było widać pistolet w kaburze.

– I co, pojawiła się? – zapytał.

– Kto? Tamta dziewczyna?

– Wiesz, o kim mówię.

– Mogę spytać, dlaczego pan jej szuka?

– Chcę z nią tylko porozmawiać. Możemy się dogadać. Wiesz, gdzie się schowała, prawda?

– Naprawdę nie mogę panu pomóc.

Blake zmierzył go wzrokiem spod zmrużonych

powiek, a Rick wiedział, co chodzi mu po głowie. Myślał, że patrzy na mięczaka, tchórza, młodziaka, który przesiedział wojnę i którego łatwo byłoby pokonać w walce. Blake myślał, że wystarczy, aby pomachał bronią i złamał Rickowi nos, a ten zaprowadzi go prosto do Helen, bo żadna kobitka nie jest tego warta.

Rick się uśmiechnął, wiedząc, że to doprowadzi Blake'a do furii. Ten skrzywił się, rozwścieczony, i wyszedł.

Rick już mógłby opisać, jak będzie wyglądała reszta wieczoru. Wiedział, co się wydarzy, jak to wszystko się rozegra, ta odrobina miejskiego teatru: przewidywalna, a jednak z jakiegoś powodu satysfakcjonująca. Minęła pora, kiedy przestał podawać alkohol, i zaproponował, że to on zamknie bar. Zasunął rygiel, ułożył krzesła do góry nogami na stołach, szybko zamiótł podłogę i wytarł bar, powyłaczał światła i wyszedł tylnymi drzwiami. Blake już na niego czekał.

Wyskoczył z cienia z pięścią gotową do prawego sierpowego. Najwyraźniej chciał znokautować Ricka i uniemożliwić mu zorientowanie się w sytuacji.

Rick zszedł mu z drogi. Blake się potknął, a Rick obrócił błyskawicznie. Chwycił koszulę Blake'a, przez co ten jeszcze bardziej stracił równowagę, i walnął jego głową o mur. Mężczyzna osunął się na ziemię, młóćąc ramionami, próbując uchwycić się Ricka, ściany, czegokolwiek. Wszystko to trwało krócej niż sekundę – Blake nie miał nawet szansy uświadomić sobie, że jego

prawy sierpowy chybił. Pomyślał zapewne, że świat przewrócił się do góry nogami.

Rick wykręcił Blake'owi ramię i przeciągnął go kilka kroków po chodniku. Staw barkowy trzasnął. Blake zawył. Wciąż trzymając za to samo ramię, Rick obrócił Blake'a twarzą w górę. Policzek i żuchwę pokrywały krwawiące zadrapania. Rick wskoczył na niego i przycisnął do ziemi, trzymając go w miejscu dzięki swojej sile, a nie wadze – Blake był potężniej zbudowany. Nachylił blisko twarz, aby poczuć zapach gęstego, słodkiego płynu, którym broczyły rany. Mógł wyssać z mężczyzny życie.

Uliczkę zalało światło reflektora, które oślepiło nawet Ricka. Osłonił twarz uniesionym ramieniem. Choć zmrużył oczy, dopiero po chwili dostrzegł, że do zaułka wjechał wóz policyjny.

– Wy dwaj! Dość tego! – krzyknął mężczyzna wychylający się przez okno od strony kierowcy.

Rick wstał i podniósł ręce. Blake wciąż dochodził do siebie, drapiąc rozcięcie na twarzy i potrząsając głową jak jakiś stwór z jaskini wychodzący na światło dnia.

Glina miał partnera, który wyskoczył z miejsca pasażera i podbiegł do nich z pałką w ręku. Pchnął Ricka na ceglany mur i przeszukał.

– Co to? Pijacka bójka?

Rick się nie odezwał i nie zareagował. Mógł się wyrwać, ogłuszyć policjanta ciosem i zniknąć w mroku. Czekał jednak, zaciekawiony.

- Co tam masz? – zapytał kierowca.
- Dwóch pijaków. Zwijamy ich?
- Czekaj chwilę... ten facet na ziemi. Czy to Charles Blake?

Glina chwycił Blake'a za kołnierz i powlekł do światła.

- Dobra, bierzemy obu.

Siedząc wraz z Blakiem na tylnym siedzeniu wozu policyjnego, Rick próbował zdecydować, czy powinien być rozbawiony czy zmartwiony. Do świtu zostało jeszcze kilka godzin. Miał czas, żeby zobaczyć, jak potoczą się sprawy. Blake był zgięty w pół, rzeził i od czasu do czasu rzucał Rickowi wściekłe spojrzenia.

W ciągu godziny Rick znalazł się w pokoju przesłuchań o nagich, wilgotnych ścianach, gdzie rozmawiał z ubranym po cywilnemu oficerem z dochodzeniówki, facetem o nazwisku Simpson. Śledczy zapalił papierosa i wyciągnął paczkę w stronę Ricka, który odmówił.

- Aresztowano cię, bo biłeś się z Charlesem Blakiem w uliczce za barem Murraya – oznajmił.

- Tak jest – potwierdził Rick.

- Może wyjaśnisz dlaczego?

Rick odchylił się na krześle i skrzyżował ramiona na piersi.

- Spodziewałem się, że po przyjeździe tutaj trafię do izby wytrzeźwień, ale interesujecie się Blakiem. Mogę wiedzieć dlaczego?

– Co o nim wiesz?

– Naprzykrza się jednej dziewczynie, którą znam.

– Twojej dziewczynie? – Rick wzruszył ramionami, a śledczy strzepnął popiół na podłogę. – To dlatego mu przywalileś? Chyba nie mogę cię za to winić.

– Czy Blake jest niebezpieczny?

– A jak myślisz?

– Myślę, że tak – powiedział Rick.

Śledczy przyjrzał mu się uważnie, ale Rick nie zdradzał zbyt wiele. Gdyby zaszła taka potrzeba, mógł spojrzeć policjantowi w oczy i namówić go, żeby go wypuścił. Z pewnością tak się to skończy, jeśli wciąż będzie na posterunku, kiedy zacznie się zbliżać świt.

W końcu śledczy powiedział:

– Masz rację. To główny podejrzany w sprawie o morderstwo. Masz coś jeszcze na jego temat, czym chciałbyś się podzielić?

To poddało Rickowi pewien pomysł.

– Chyba znam kogoś, kto mógłby wam pomóc.

– Jeśli cię wypuszczę... Wiem, o co ci chodzi.

– Jestem barmanem u Murraya. Nie ucieknę wam.

– I jak cenne są te twoje informacje?

– Myślę, że warto na nie trochę poczekać.

– Wiesz co? Jesteś trochę za sprytny jak na barmana.

Tylko tym się zajmujesz?

Rick zaśmiał się cicho.

– Teraz tak.

– Potrzebuję dowodów winy Blake'a, jeśli mamy

zatrzymać go za kratkami... i z dala od twojej dziewczyny. Możesz mi pomóc?

– Wstąp do Murraya jutro wieczorem, będę miał odpowiedź.

Policjant go wypuścił.

Rick wiedział, że przynajmniej przez jakiś czas będzie śledzony. Wrócił do domu Artura okrężną drogą i udało mu się zniknąć, a przynajmniej z punktu widzenia tego, kto za nim szedł.

Helen czekała na niego w salonie, siedząc wraz z Arturem na obitej bordowym aksamitem sofie. Rick spędził chwilę, uspokajając się, i nie rzucił się momentalnie między nich dwoje. Ona była uśmiechnięta, a Arturo tylko coś do niej mówił.

– Ricardo! Miałem nadzieję, że nie wrócisz, że zostawiłeś nam Helen.

Helen zachichotała. Trzymała pustą szklaneczkę. Pewnie siedzieli tak już kilka godzin.

– Dzięki, że się nią zająłeś – powiedział Rick.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę.

– Helen, musimy porozmawiać. – Rick wskazał dłonią drzwi.

– Twój przyjaciel potrafiłby każdego oczarować, Rick – oznajmiła.

– To prawda. Chodźmy.

Podniosła się z sofy. Zerkając przez ramię, pomachała Arturowi, który odpowiedział pobłażliwym uśmiechem. Rick objął ją ramieniem i zaprowadził do

pokoju.

– Nie gniewaj się – powiedziała. – Musiałam go zapytać, czy jest tu telefon.

– Do kogo dzwoniłaś?

– Na policję – odparła i spuściła wzrok. – Nie chciałam, żeby coś ci się stało, więc zadzwoniłam na policję i powiedziałam im, że w barze u Murraya mogą być kłopoty.

Faktycznie były kłopoty, a policja się pojawiła.

– Prawie zdążyłem się uporać z Blakiem, kiedy przyjechali – powiedział. Nie powiedział: *Powinnaś była mi zaufać.*

Zbladła.

– Co się stało?

– Jest teraz w więzieniu, ale nie zostanie tam, jeśli nie znajdą się dowody na to, że popełnił tamte morderstwa. Wiedzą, że to zrobił, ale nie mają dowodów.

Zaczęła chodzić tam i z powrotem wzdłuż łóżka. Jej ramiona się napięły, załamała ręce.

– Myślę, że powinnaś z nimi porozmawiać, Helen. Złożysz zeznanie, a Blake pójdzie siedzieć i nie będzie cię nękał. Będziesz bezpieczna.

– Nie mogę tego zrobić, Rick. Nie mogę nic powiedzieć. On mnie zabije, on...

– Nie zrobi tego, siedząc w więzieniu.

– A jeśli wyjdzie? Pierwsze, co zrobi, to zacznie mnie ścigać.

– Najpierw go zabiję – powiedział Rick.

– Rick, nie. Nie chcę, żebyś wpadł przeze mnie w tarapaty. Nie wiem nawet, dlaczego się mną opiekujesz, ledwie mnie znasz...

– Robię to, bo mogę – odparł. – Ale jeśli pójdziesz na policję, oni zajmą się Blakiem.

Podeszła bliżej i przywarła do niego, zarzucając mu ramiona na szyję i opierając głowę o jego pierś. Znowu to. Była tak blisko, że słyszał krew pulsującą w jej żyłach, tuż pod skórą. Była zarumieniona i taka ciepła. Przesunął twarzą po jej włosach, chłonąc to ciepło.

– Helen – powiedział z jakąś desperacją w głosie.

– Co takiego? – zapytała.

– Nie... nie jestem dla ciebie odpowiednim facetem. To niebezpieczne...

– Dlaczego? – Odsunęła się. – Co z tobą? Jesteś taki miły, ale... nie boisz się Blake'a i wciąż mówisz tak, jakbym to ja powinna bać się ciebie. Co przede mną ukrywasz?

Odpowiedź na to pytanie była bardzo długa. Przesunął Helen tak, żeby widzieć jej twarz, dotknął gładkiej skóry policzka, a potem pulsu bijącego na jej szyi. Powinien ją uśpić i sprawić, że zapomni o tym wszystkim. Nigdy nie powinien był iść z nią na tamtą pierwszą randkę. A życie było zbyt długie na takie żale. Nawet nieśmiertelni potrzebują przyjaciół.

– Czytałaś kiedyś *Drakulę*? – zapytał.

– Co, tego jak Bela Lugosi?

– Nie do końca. Ale tak.

– Tak, wieki temu. Film bardziej mi się podoba.

– Wampiry istnieją naprawdę.

Zachichotała.

– Słucham?

Ujął jej dłoń i położył ją sobie na piersi, tam, gdzie nie biło jego martwe serce.

– Co czujesz?

Przestała się uśmiechać. Przesunęła ręką tu i tam, przyciskając ją mocno do jego piersi i żeber. Wlepiała w niego wzrok.

– Co mam powiedzieć? Że oszalałeś?

– Połóż się i leż nieruchomo – poprosił.

– Co?

Usadził ją na łóżku, ułożył poduszki w stos i pchnął ją, żeby się o nie oparła. Pocałował ją. Odwzajemniła pocałunek entuzjastycznie, choć zdezorientowana. Napawając się jej zapachem, ciepłem i bliskością jej krwi, pozwolił swojemu głodowi się obudzić.

Pocałował jej szyję po raz ostatni, po czym wziął Helen za rękę i wyprostował przed sobą jej ramię. Tym razem nie uciekł się do hipnozy, nie ukrył przed nią wspomnień. Pozwolił jej zobaczyć, czym jest. Przysunął usta do zgięcia łokcia – zostawił tam kolejne pocałunki, powolne i czułe, i przesunął językiem po żyłach. Jęknęła cicho.

Zaczął ssać skórę jej nadgarstka, aż nabiegła krwią.

– Rick? Co robisz? Rick?

– Powiedziałem, żebyś leżała nieruchomo. – Pchnął

ją na poduszkę i znów zajął się nadgarstkiem.

W końcu ugryzł, a ona nabrała gwałtownie powietrza. Leżała jednak nieruchomo.

Helen była nieufna, więc jej krew smakowała nieco mniej słodko. Wciąż jednak była dość słodka, a dziewczyna nie zaczęła panikować. Kiedy Rick polizał ranę, żeby się zagoiła, i zerknął na Helen, miała przytomne spojrzenie. Niepewne, ale przytomne. Poczuł ulgę. Ułożył jej zgięte ramiona na brzuchu i objął ją, układając sobie jej głowę na ramieniu. Rozluźniła się w jego uścisku.

– Nie rozumiem – szepnęła.

– Nie oczekuję tego od ciebie. Ale czy wierzysz, że zaopiekuję się tobą, jeśli Blake wyjdzie na wolność?

Kiwnęła głową. Pocałował ją w czubek głowy i poczekał, aż zaśnie.

Następnego wieczoru wziął ją ze sobą do baru Murraya, gdzie czekał na nich śledczy Simpson. Ręce się jej trzęsły, ale Rick nie odstępował jej ani na krok, więc stała wyprostowana i mówiła wyraźnie. Simpson obiecał, że w zamian za zeznania nie postawią jej zarzutów za żadne z drobnych przestępstw, jakie popełniła. Sprawa przeciwko Blake'owi trafiła przed sąd, a Helen była głównym świadkiem oskarżenia. Blake'a skazano i odesłano do więzienia na bardzo długo. Rick był pewien, że nigdy więcej go nie zobaczy.

*

Musiał tylko trochę poszukać – odwiedzić biuro kuratora, uciec się do odrobiny manipulacji, spojrzeć informatorowi głęboko w oczy – żeby się dowiedzieć, w którym ośrodku mieszka Blake. Pojechał tam, na wschód od centrum, z absolutną determinacją. Nieczęsto się mylił, ale pomylił się co do Blake’a i zawiódł Helen. Małostkowa zemsta tego nie naprawi. Ale może dzięki niej szale wagi przechylą się na powrót we właściwą stronę.

Budynek był cofnięty nieco od ulicy, zaniedbany i rozjarzony światłami, nic nie wskazywało na to, co to za miejsce. Rick był ciekaw, czy mieszkający w okolicy ludzie wiedzą. Zaparkował przy krawężniku, wsunął rękę do kieszeni i ruszył w stronę drzwi.

Budynek stawiał mu opór. Rick zwolnił. To miejsce było chronione. Biorąc pod uwagę jego przeznaczenie i fakt, że ludzie nieustannie się tam wprowadzali i wyprowadzali, Rick nie był pewien, czy tak będzie. Będzie miał do czynienia z publiczną instytucją czy z domem? Ale oto otrzymał odpowiedź – był to dom. Rick nie mógł wejść do środka bez zaproszenia. Kiedy dotarł do drzwi wejściowych, odpychająca go siła była niczym niewidoczna ściana – prawie mógł przycisnąć do niej rękę, ale nie potrafił się przez nią przebić.

No cóż. W takim razie musiał spróbować zwykłego, przyziemnego blefu.

Zapukał do drzwi. Wizjer przesłonił cień i dało się słyszeć głos:

– Kto tam? Czego chcesz?

– Nazywam się Rick. Jestem starym przyjacielem Charlesa Blake’a, słyszałem, że tu mieszka. Mogę się z nim zobaczyć?

– Wiesz, która godzina?

– Tak, przepraszam. Dopiero skończyłem pracę, jestem barmanem.

– Chwilę. Pójdę po niego.

– Mógłbym poczekać w środku?

Po krótkiej, pełnej wyczekiwania chwili Rick usłyszał odgłos odsuwanej rygla i drzwi się otworzyły. Gburowaty facet po czterdziestce odsunął się i przytrzymał drzwi.

– Wejść.

Rick wszedł.

Salon wyglądał na podniszczony i smutny. Były tam wiekowe meble, wytarte dywany i zaplamione ściany. Pachniało stęchlizną. Na tablicy informacyjnej wisiały listy przepisów, zawiadomienia, drobne ogłoszenia i ostrzeżenia. Panowała tam atmosfera jak w instytucji, ale dla niektórych z lokatorów mógł to być pierwszy prawdziwy dom. Ośrodek przejściowy, zaiste.

– Nie ruszaj się stąd – powiedział facet i odszedł prowadzącym na tyły korytarzem.

Rick czekał z rękami w kieszeniach.

Odźwierny wrócił po długiej chwili. Serce Ricka zabiłoby w tym czasie wiele razy, gdyby mogło. Za nim szedł bardzo stary mężczyzna, który ciągnął ze sobą

wózek z niewielką butlą tlenową połączoną rurkami z jego nosem. Oddychał chrapliwie. Wyglądał jak cień samego siebie: był drobniejszy niż ostatnio, kiedy Rick go widział, zwiędły i zapadnięty w sobie, skóra jakby zwisała z jego zgarbionej sylwetki. Miał na sobie T-shirt i wystrzępione, wyblakłe dzinsy. Wyglądał na smutnego i pokonanego. Pozostał mu tylko gniewny grymas – to Rick rozpoznał.

Starzec zatrzymał się na jego widok. Byli dwoma duchami mierzącymi się wzrokiem z przeciwległych końców pokoju.

– Cześć, Blake – powiedział Rick.

– Kim jesteś? Jego wnukiem?

Rick odwrócił się do portiera i patrzył na niego, aż ten spojrział mu w oczy.

– Mógłbyś zostawić nas samych na chwilę? – Nasycił tę sugestię siłą.

Mężczyzna wyszedł do korytarza.

– Bill... Bill! Wracaj! – Zdarty głos Blake'a przeszedł w kaszel.

– Nie jestem jego wnukiem – powiedział Rick.

– Co jest grane?

– Opowiedz mi o Helen, Blake.

Starzec wybuchnął podobnym do kaszlu śmiechem, jakby myślał, że to żart. Rick tylko na niego patrzył. Nie musiał wywierać na niego wpływu – wystarczyło, że przed nim stał. Podbródek Blake'a zadrżał.

– Co mam ci o niej powiedzieć? He? Co?

Rick chwycił rurkę wiszącą przy klatce piersiowej

Blake'a i szarpnął. Blake zatoczył się do tyłu, a jego otwarte usta odsłoniły obluzowaną, źle dopasowaną protezę. Rick chwycił jego koszulkę w garść i przeszedł z nim pod ścianę, o którą walnął nim raz i drugi, nasłuchując, aby wychwycić trzask pękających kości.

– Myślałeś, że nikt nie będzie wiedział – szepnął mu prosto w twarz. – Myślałeś, że nikt nie będzie pamiętał.

Blake bełkotał coś, charcząc i szamocząc się słabo, bezskutecznie.

Drzwi frontowe otworzyły się z hukiem.

– Stać!

Rick rozpoznał kroki, głosy, oddechy. Śledcza Hardin wpadła do pokoju z dwoma policjantami w mundurach. Zerknął przez ramię – celowała do niego z pistoletu. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Miażdżył pięściami szyję Blake'a.

Starzec umierał mu w rękach. Rick nie musiałby ruszyć palcem, żeby go zabić. Nie miał nawet ochoty napić się jego krwi – byłaby chłodna, stęchła, niesmaczna. Rick wypłułby mu ją w twarz. Mógł zrobić to wszystko na oczach Hardin, bo cóż mogłaby na to poradzić?

– Rick! Odsuń się od niego!

Hardin pogrzebała w kieszeni marynarki i wyciągnęła prosty krzyżyk, dwa złutowane kawałki srebra. Ochrona przed wampirami. Rick się uśmiechnął.

Blake musiał wiedzieć, że zamordowanie Helen nie ujdzie mu na sucho. Co on sobie myślał? Czego tak naprawdę chciał? Rick spojrzał na niego, na

wytrzeszczone oczy o żółtawych białkach, obwisłą twarz usianą dziobami po ospie i popękkanymi naczynkami krwionośnymi. Spodziewał się, że zobaczy w tej twarzy pragnienie śmierci, pełen determinacji fatalizm. Ale Blake się bał. Rick wzbudził w nim przerażenie. Ten człowiek, któremu ciało właśnie odmawiało posłuszeństwa, nie chciał umierać.

Pojąwszy to, Rick nabrał tym większej ochoty, żeby go udusić. Chciał w ten sposób uzasadnić jego przerażenie. Mimo to puścił Blake'a i cofnął się, zostawiając go w rękach Hardin.

Starzec padł na kolana, przewracając butlę tlenową. Wyciągnął przed siebie ręce o drżących palcach zakrzywionych niczym szpony.

– On nie żyje! Nie żyje! Musi nie żyć! Musi! – szlochał.

Może zostawienie go na kolanach, płaczącego na oczach policjantów, było dostateczną zemstą.

Rick podniósł ręce i zszedł z linii ognia.

– Oszczędziłbym pani papierkowej roboty.

– Musiałabym wypełnić inne formularze. Coś ty sobie, do cholery, myślał?

Mundurowi musieli podnieść Blake'a i niemal wywlec go z pokoju. Nie zadali sobie trudu, żeby założyć mu kajdanki. Blake wyglądał, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Jego usta poruszały się bezgłośnie, każdy oddech świszczwał w płucach, a nogi nie potrafiły utrzymać jego ciężaru.

– Rozumiem, że zebrała pani dowody – powiedział Rick.

– Znaleźliśmy faceta, który pociągnął za spust, i puścił farbę. Blake go wynajął.

Z pewnością nie sprawiał wrażenia człowieka, który niedawno kogoś zamordował.

– Czyli już po wszystkim?

– Czego jeszcze chcesz?

– Chciałem znaleźć się tu pięć minut wcześniej – wyjaśnił. Choć to tak naprawdę nie miało znaczenia. Wszystko to i tak zniknie z otaczających go wspomnień.

– Muszę poprosić, żebyś opuścił budynek – powiedziała. Już nie celowała w niego z pistoletu, ale też go nie schowała. – Nie myśl, że cię za coś nie aresztuję, bo to zrobię. Coś na ciebie znajdę.

Rick kiwnął głową.

– Dobrej nocy.

Wrócił do samochodu i odjechał, zamykając kolejny rozdział.

*

Rick nie mógł przychodzić do sądu, ale co wieczór spotykał się z Helen, aby omawiać przebieg procesu. W końcu przyszła do baru Murraya, ocierając chusteczką łzy ulgi, aby zawiadomić go o wyroku skazującym. Skończył zmianę wcześniej i wziął ją do swojego mieszkania w suterenie w dzielnicy Capitol Hill. Skoro Blake siedział za kratkami, Rick nie bał się jej tam zaprowadzić. Był

właścicielem budynku: górną jego część wynajmował przez agencję, a okna w suterenie mógł zaślepić, nie zwracając niczyjej uwagi. Wystrój był prosty – łóżko, fotel, komoda, radio i nieużywana kuchnia.

Położyli się razem na łóżku. Objął ją mocno ramieniem, a ona wtuliła się w niego. Rozmawiali o przyszłości, która zawsze była dla niego dziwnym tematem. Helen postanowiła poszukać bardziej konwencjonalnej pracy i spróbować zwyczajnego życia.

– Nie wiem tylko, co zrobić z tobą – powiedziała, odchylając głowę, żeby na niego spojrzeć.

Znał to: zdarzyło mu się już leżeć w łóżku z kobietą, którą lubił, którą po namyśle i przy odrobinie zachęty mógłby pokochać, tyle że ich uczucie nigdy nie mogło być całkowicie wzajemne, a związek – sprawiedliwy. Wciąż nie wiedział, co powiedzieć. *Mógłbym odebrać ci resztę życia, a tobie nie zostałoby... nic.*

Na głos powiedział:

– Jeśli chcesz, mogę zniknąć i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Może tak byłoby lepiej.

– Nie chcę tego. Choć chciałabym... – Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. – Ale nigdy nie zabierzesz mnie na wycieczkę, nie obejrzysz ze mną wschodu słońca ani nie poprosisz mnie o rękę, prawda?

Pokręcił głową.

– Dałem ci już wszystko, co mogłem.

Poza jednym. Nie powiedział jej jednak, że może ją zarazić, upodobnić ją do siebie, aby ona też żyła wiecznie

i już nigdy nie zobaczyła wschodu słońca. Nie miał zamiaru tego robić.

– To wystarczy – powiedziała, przytulając go. – Przynajmniej na razie to wystarczy.

CONN IGGULDEN

Conn Iggulden, autor powieści historycznych, ma na koncie bestsellerowy cykl „Imperator – The Gates of Rome” (*Bramy Rzymu*, przeł. Bogumiła Malarecka, REBIS, 2004), *The Death of Kings* (*Śmierć królów*, przeł. Bogumiła Malarecka, REBIS, 2004), *The Field of Swords* (*Pole mieczy*, przeł. Bogumiła Malarecka, REBIS, 2005) oraz *The Gods of War* – o życiu Juliusza Cezara, a także serię o Dżyngis-chanie: *Wolf of the Plains* (*Wilk ze stepów: Dżyngis-Chan*, przeł. Radosław Botev, Bellona, 2008), *Lords of the Bow*, *Bones of the Hills* i *Empire of Silver*. Jest także współautorem bestsellerowych niebeletrystycznych książek *The Dangerous Book for Boys* i *The Dangerous Book of Heroes*, a także *Tollins: Explosive Tales for Children* (*Toliny: wystrzałowe opowieści dla dzieci*, przeł. Patryk Gołębiwski, Świat Książki, 2010). Jego najnowsza książka to napisana wspólnie z Lizzy Duncan *Tollins 2: Dynamite Tales*.

W tym pełnym werwy opowiadaniu zabiera nas na wycieczkę z nonszalanckim kanciarzem, który tworzy dla siebie nowy zawód – pogromcy duchów – ale odkrywa, że niektóre duchy trudniej rozgromić niż inne.

DAMA LUBI KRZYCZEĆ

Myślę o sobie jako o przedsiębiorcy na małą skalę, świadczącym potrzebną usługę. Jestem tylko jednym ze stu milionów zwykłych gości, którzy płacą rachunki dzięki talentom otrzymanym od Boga. Nie mam wymyślonej nazwy na to, co robię. Nie jestem magikiem i szczerze mówiąc, na klientach, którzy do mnie trafiają, takie rzeczy nie robią wrażenia. Gdybym nazwał swój biznes Życie Pozagrobowe SA albo coś w tym rodzaju, no cóż, mój samochód nie dojechałby szybciej na miejsce. Na pewno nie ten samochód. Jestem solą amerykańskiej ziemi, przyjaciele. W każdym razie z naszej czwórki tylko ja zarabiam pieniądze, więc koszty mam niewielkie.

Zabrałem się do tego z myślą o stworzeniu kroniki kilku dziwnych lat, ale tak naprawdę nie mam ochoty dzielić się swoimi złotymi myślami. Nie po to, żeby ktoś mógł codziennie brodzić w podobnym gównie. Gdybym był ojcem, nie polecałbym takiej drogi zawodowej, rozumiecie? Na początku, kiedy chodziło tylko o przeglądanie nekrologów i chodzenie po domach, było okej. Każdy chce powiedzieć kilka ostatnich słów świeżemu nieboszczykowi. Jeśli chcecie wiedzieć, na pierwszym miejscu jest „Przepraszam”, drugi przypada zdaniu: „Powinnam była częściej ci mówić, że cię kocham”, a potem idzie mój osobisty faworyt, najróżniejsze odmiany pytania: „Jest ci tam dobrze?”. Nie,

moja droga pogrążona w żałobie wdowo z włosami wciąż postawionymi na lakier po pogrzebie, on nie żyje, oczywiście, że nie jest mu dobrze. Przyznaję, że wtedy nie miałem zielonego pojęcia, czy jest mu dobrze czy nie. Teraz wiem trochę więcej, ale do tego dojdę później. Kiedyś zapewniałem tylko, że biedny Brian ma się dobrze, tęskni za nią i czeka, aż spotkają się w niebie. Jeśli dobrze się do tego zabrałem, miałem też kilka niezłych strzałów. No dobra, jak już mówię, to wam powiem. Strzał jest wtedy, kiedy uda się wam odgadnąć szczegół, o którym ich zdaniem na pewno nie macie pojęcia. „Mówi, że pamięta tamten wieczór na Malediwach, czy to dla pani coś znaczy?” Ten cudowny moment i patrzenie, jak ostatni ślad cynizmu znika z ich oczu, nigdy mi się nie znudzi. Wystarczy wykorzystać efekt Barnuma i zebrać trochę materiałów.

Może mam jednak nieco wiedzy, którą warto przekazać innym. Efekt ten stał się sławny dzięki P.T. Barnumowi, ale wszystko zaczęło się od wykładowcy o nazwisku Forer, jeszcze w latach czterdziestych. Mogę powtórzyć początek tej listy z pamięci, oto ona:

„Bardzo chcesz, aby ludzie cię lubili i podziwiali. Masz tendencję do samokrytyki. Choć masz pewne wady, rekompensują je zazwyczaj twoje zalety. Miewasz poważne wątpliwości co do tego, czy twoje decyzje lub czyny były właściwe”. I tak dalej. Łapiecie? To odnosi się do każdego. Połączcie kilka tych zdań z odrobiną danych zebranych na temat konkretnej osoby i macie materiał,

który zapamięta na zawsze.

Ludziom nigdy nie przychodzi do głowy, że mogę po prostu trochę popracować, zanim stanę przed ich drzwiami. Internet jest dobry, ale najbardziej lubiłem stare mikrofiszki w bibliotekach. Artykuły z gazet się przydawały, ale perełki najczęściej znajdowałem w archiwach sądowych i spisach wyborczych. Wszystko to publiczne informacje. Obecnie o jakiejś połowie swoich klientów wciąż dowiaduję się wszystkiego przez Google i mikrofiszki – nie słyszeli o Facebooku, są za starzy. Reszta to betka. Facebook likwiduje konto dopiero tydzień po śmierci, a polityka prywatności tej strony, no cóż, najczęściej stanowi różnicę między tym, czy trafiam w sedno czy nie. Bylibyście zdumieni, czego można się dowiedzieć w dziesięć minut.

Trzeba jedynie raz trafić w dziesiątkę, a po waszym wyjściu tylko to będą pamiętać. Przychodzicie do ich domu i rozglądacie się jak szaleni, chłonąc najdrobniejsze szczegóły. Przy starszych paniach pytacie, czy możecie skorzystać z toalety, gdzie sprawdzacie naklejki na lekach. Ślicznie trafiłem zaraz na początku, kiedy znalazłem sporo buteleczek z insuliną i jednorazowych strzykawek. Sprawdziłem jej imię na nieotwartych jeszcze i opisanych pudełkach, a potem musiałem powiedzieć tylko: „John prosi, żeby pamiętała pani o zastrzykach” i już było po niej, zaczęła szlochać, jakby nigdy nie miała przestać. Kiedy było po wszystkim, zarobiłem dwie słodkie stówki w godzinę, licząc czas dojazdu. Myślę, że

to wtedy zdałem sobie sprawę, że nie muszę wracać do pracy i mogę to robić na cały etat.

Z początku nie wychodziło tak, jak bym chciał. Tamtego dnia wpadło mi więcej szmalu niż w ciągu następnego miesiąca, ale musiałem nauczyć się fachu i zarabiałem dość, żeby przeżyć. Mogłem zbierać wiadomości w miejscowych bibliotekach, to nic nie kosztowało.

No cóż, ta opowieść nie toczy się tak, jak chciałem. Skoro wychodzi na to, że jednak dzielę się moimi zebranymi przez lata złotymi myślami, opowiem wam o najlepszym i pozwolę osądzić, czy wy bawicie się w pracy choć w połowie tak dobrze. Gotowi? Oto, co jest świetne. Jak człowiek pracuje w barze z kanapkami, nigdy nie będzie głodował. Jeśli odwiedza wdowy, zaskakująco często zdarza mu się popogrzebowy seks. Nie ma większego afrodyzjaku niż smutek. Z doświadczenia mogę wam powiedzieć, że najlepszy jest trzeci dzień po, kiedy wszyscy krewni w końcu nakazują sobie nawzajem pozwolić wdowie opłakiwać męża w spokoju, co oznacza, że naprawdę chcą już wrócić do własnego życia.

Rozpoznaję najlepsze okazje prawie od razu, kiedy tylko otworzą drzwi, a czasem wystarczy, że przeczytam nekrolog. Rosły, silny mąż, który odszedł za wcześnie, synowie mieszkający w innym stanie. Te dziewczyny są jak szybkowary: wszystkie emocje tylko czekają, aby wybuchnąć. Mówię wam, po jakimś czasie na sam widok słowa „rak” robiło mi się ciepło. Nic tak nie podsyca

apetytu jak długa głodówka. Choć ci poczciwcy starają się jak mogą, faceci z rakiem nie są najlepszymi kochankami.

Wszystko to wzięło w łeb, albo się poprawiło, albo zmieniło moje życie, jakkolwiek to nazwać, kiedy spotkałem Dameę. Wciąż nie wiem, jak ma na imię, a jeśli potrafi mówić, nigdy nie rozmawia ze mną. To moje przekleństwo, że muszę codziennie mieć do czynienia z kobietami. To one nie mają nic przeciwko temu, żeby znaleźć w torebce pięćdziesiąt dolców w zamian za kilka słów wypowiedzianych moim wyćwiczonym, łagodnym głosem. Nie mogę powiedzieć, że ich nie rozumiem, jak jakiś moczymorda, którego moglibyście spotkać w barze. Ja je rozumiem – po prostu za nimi nie przepadam. One nie myślą tak jak my, rozumiecie? Gdyby nie pieniądze i seks, chyba bym w ogóle z nimi nie rozmawiał. Porąbane, co do jednej. Miałem surową matkę, może ona mnie zraziła, nie wiem. Facet może pisać dla nich wiersze albo wysyłać im kwiaty, ale to długo nie trwa, kiedy już zrobił wszystko, co należy, nie? Małżeństwo jest tylko po to, żeby nie trzeba było szukać daleko, jak człowieka najdzie chęćka, i może żeby stworzyć dobry dom dzieciakom. Wolelibyście nie potakiwać, ale wiecie, że stary Jack Garner mówi prawdę. I nie, oczywiście nie jest to moje prawdziwe nazwisko. To znaczy noszę je przez całe życie, ale urodziłem się z innym.

Jeśli chodzi o Dameę, to cały nasz kontakt sprowadza się do tego, że dmucha mi do uszu jak wiatr. Tak się składa, że to zaskakująco przydatne, ale do tego też dojdę.

Słuchajcie, musicie mi pozwolić opowiedzieć tę historię po mojemu.

W tamtych czasach reklamowałem swoje usługi. Wciąż to czasem robię, choć stawki mocno podskoczyły i szczerze mówiąc, jest spora konkurencja. Kiedy notowania giełdowe spadają, u mnie interesy zawsze idą lepiej, nie wiem czemu. Och, pewnie można byłoby rzucić jakiś głodny kawałek o sępach żerujących na ofiarach ciężkich czasów, ale ja widzę to inaczej: oferuję ludziom życzliwość, kiedy naprawdę jej potrzebują. Jestem filantropem – tak, wiem, co to słowo znaczy. Kiedy opuszczałem moje klientki, zazwyczaj miały uśmiech na ustach. Poza tym też płakały, ale najczęściej uśmiechały się przez łzy.

Dzięki mojej metodzie, czyli zaczynaniu od lokalnej gazety i szukaniu w niej nekrologów, stać mnie było na paliwo, marynarki i rachunki za komórkę. Ale od czasu do czasu, szczególnie jeśli zaczynałem pracę w nowej okolicy, zamawiałem kilka ogłoszeń w miejscowych dziennikach. Wykupywanie miejsca w specjalistycznych czasopismach po prostu nie ma sensu, więc możecie zaoszczędzić te kilka dolców. Pełno tam oszustów – naturalnie – ale klienci, których chcecie pozyskać, nie znajdują co miesiąc „Świata Duchów” w swoich ładnych skrzynkach pocztowych, jarzycie?

Odebrałem telefon z rodzaju tych, od których do dziś dostaję dreszczu radości. Przez telefon nie potrafiłem zgadnąć, ile miała lat, i mówiła z jakimś akcentem,

którego nie potrafiłem rozpoznać. Wydawało mi się, że może był holenderski, więc wyobraziłem sobie sporą babę, może z jasnymi warkoczami, piekącą strudel jabłkowy. Zabawiałem się takimi fantazjami, kiedy rozmawialiśmy. Wyciągnąłem mapy, przyłożyłem telefon do piersi i uśmiechnąłem się szeroko. Penacook w stanie New Hampshire, jakaś zapomniana przez Boga i ludzi wiocha w środku hrabstwa Merrimack. Ładne nazwy, nie znałem tych okolic zbyt dobrze. Powiedziałem jej, że jestem czterysta mil od niej i że musiałbym zrezygnować z innego zlecenia. Chciałem ją wybadać na okoliczność pieniędzy, no nie? Ale choć śmiesznie wymawiała samogłoski, była niezła. Podałem swoją cenę, a ona tylko zamilkła na chwilę, a potem się zgodziła. Nie negocjowała, co bardzo lubię u klientów.

Później rozmowa zrobiła się trochę dziwna. Zapytałem ją, z kim chce się skontaktować w zaświatach, a ona na to, że nie, że mam się pozbyć ducha. Dodała, że ani trochę nie interesuje jej, co ów duch ma do powiedzenia, chce tylko, żeby wyniósł się z jej domu.

Niewiele brakowało, żebym kazał jej zadzwonić po Pogromców Duchów i się rozłączył. Przysięgam, zrobiłbym to, gdyby nie zdążyła się już zgodzić na wprost absurdalną stawkę za paliwo. Może w tamtym tygodniu nie zarobiłem zbyt wiele, nie pamiętam, ale powiedziałem jej, że będę na miejscu za dwa dni, a ona syknęła, burknęła coś z niezadowoleniem i w końcu się zgodziła, jakby to nie ona miała do mnie interes. One nie myślą jak

my. Logika jest im obca. Już wtedy się spodziewałem, że ta raczej nie będzie mi szlochać na ramieniu. Okazało się, że miałem rację, ale przecież jestem medium. Od czasu do czasu powinienem mieć rację. Zwróćcie uwagę na ten wywód? Jestem samoukiem, ale i tak potrafiłbym wam skopać tyłek.

Penacook to jedno z tych ładnych miasteczek fabrycznych. Ma jakieś dwieście lat i jest z tego bardzo dumne. Jest tam rzeka, kilka kościołów z wysokimi wieżami i ładny, stary pomnik upamiętniający wojnę secesyjną, jak w tysiącu innych miast. Nie zbliżam się do kościołów, choć można by pomyśleć, że działamy w tej samej branży, prawda? Chcemy dać ludziom trochę nadziei. Zlokalizowałem adres na Fisher Street, po czym wynająłem pokój w najtańszym hotelu, jaki udało mi się znaleźć, żeby przebrać się w czarny garnitur i przeczekać kilka godzin. To, co robię, nie pasuje najlepiej do jasnego światła dnia. Najlepszy jest wieczór, kiedy cienie robią się długie. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie są wtedy odrobinę bardziej podatni na sugestie.

Mogę wam powiedzieć, że byłem rozczarowany, kiedy pani Weathers otworzyła drzwi. Była wysoka, wyższa ode mnie, chuda i trochę koścista, a po jasnych warkoczach nie było ani śladu. Siwe włosy miała zaczesane do tyłu tak mocno, że ta fryzura pewnie odjęła jej kilka lat. Rozejrzała się we wszystkie strony, jakby wstydziła się, że otwiera mi drzwi, a potem zagoniła mnie do środka.

Wiecie, to nie jest tak naprawdę sedno mojej opowieści. Zawsze za bardzo wdaję się w szczegóły, kiedy wspominam pierwsze spotkanie z Damą. Wciąż pamiętam, jak zamknęły się drzwi, i wciąż się zastanawiam, co kazała w nie wmontować pani Weathers, bo zrobiło się straszliwie cicho. Poczułem się tak, jakby ktoś owinał mnie w wełnę, jakby grube dywany chłoneły wszelkie dźwięki, aż zachciało mi się coś powiedzieć tylko po to, żeby się upewnić, czy usłyszę własny głos. Przypominam sobie, że był tam stary zegar stojący, równie wysoki jak staruszka, ale wahadło nie poruszyło się ani razu. Pewnie można by nazwać go eleganckim, ale ja nazwałem go drogim i nozdrza zaczęły mi się rozdymać, bo mam nosa do kasy.

Zrobiła herbatę i chyba nie muszę mówić, że podała ją w najlepszej porcelanie, co? Filizanka była tak delikatna, że bałem się, że pęknie mi w rękach. Zbierałem wszystkie wiadomości z otoczenia, przygotowując swoją gadkę, ale kobieta nie przypominała moich zwykłych klientek. Żadnych zaczerwienionych oczu czy drżących rąk, nic poza tym beznamiętnym spojrzeniem niebieskich oczu, które czułem na sobie, kiedy piłem importowaną herbatę Assam.

Okazało się, że pani Weathers mieszkała w tym domu ledwie od dwóch miesięcy. Wiedziałem już, że pracowała kiedyś jako nauczycielka: dostrzegłem oprawione zdjęcie jej młodszej wersji, ubranej w długą spódnicę, z dorosłymi z tyłu i uśmiechniętymi dzieciakami z przodu.

Zwracam uwagę na takie szczegóły, ale pozwoliłem jej opowiedzieć, że przeszła na emeryturę i mieszka sama. Sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo miała ochotę mówić o tym, dlaczego mnie sprowadziła, więc trochę ją podpuściłem, na moment kładąc dłoń na jej ramieniu. Zabawne, jak często to działa. To jak jakiś wyzwalający impuls.

Właśnie zastanawiałem się po raz kolejny nad moją stawką, kiedy w końcu zdobyła się na to, żeby opowiedzieć mi o duchu, którego chciała się pozbyć. Kiedy opowiadała mi o snach, w których słyszała krzyki, pokiwałem głową, jakbyśmy wszyscy je mieli. Było prawie tak, jakby jednak czytała „Świat Duchów”, jakby miała na toaletce najnowszy numer ze spisem sygnałów świadczących o obecności ducha. Chłodny wiatr w zamkniętym pokoju – obecny. Szepty prosto do ucha – obecne. Nagłe, pozbawione przyczyny przypląwy przerażenia – obecne. Zacząłem myśleć, że brakuje jej wyobraźni, no nie? Kiedy powiedziała, że najczęściej zdarza się to w piwnicy, wstałem, jakbym był strasznie podekscytowany, i poprosiłem, żeby mnie tam zaprowadziła. Pomyślałem sobie, że pewnie jakąś godzinę zajmie mi postukanie w ściany, może spalenie kilku piór i odśpiewanie mojego potężnego, starego zaklęcia Indian Arapaho: „Ohule, ohule, ohule, heloney ma halitule, pifafte ifantauy, heloney, heloney yesauey”. Albo, jeśli naprawdę znasz się na gusłach, „Ogórek, ogórek, ogórek, zielony ma garniturek i czapkę, i sandały, zielony, zielony

jest cały”. Potem oznajmiłbym, że miejsce zostało oczyszczone ze złych duchów, odebrałbym... może cztery stówy plus wydatki i ruszył w drogę. Najśmieszniejsze jest to, że wierzyłem, że to by zadziało. Nietrudno przepędzić coś, co istnieje wyłącznie w czyjejś wyobraźni, jeśli tylko ten ktoś w ciebie wierzy. Naprawdę nie miałem wtedy pojęcia, że duchy w ogóle istnieją.

Od tamtej pory doszedłem do wniosku, że Dama chciała opuścić ten dom. Bóg jeden wie, dlaczego się mną zainteresowała. Musiałaby tylko przesiedzieć cierpliwie mój lipny rytuał, a potem na zawsze zniknąłbym z ich życia.

Na dole wcale nie było ciemno. Była to schludna, nowoczesna piwnica, pomalowana na biało, z niewielkim zaciekiem w rogu. Pamiętam słaby zapach wilgoci i to, że pomyślałem o zarodnikach grzybów. Niewiele więcej mogłem zrobić, tym bardziej że pani Weathers mi się przyglądała. Jakieś stare meble, zwinięty wąż ogrodowy i kilka skrzynek nadawały temu miejscu wygląd jak najdalszy od nawiedzonego. Bardziej przypominało to opuszczone biuro niż wrota zaświatów.

Mimo wszystko traktuję kochane, zielone dolary nie mniej poważnie niż inni. Spędziłem większą część godziny, dotykając każdej ściany, przypatrując się świeżemu tynkowi, przesuwając palcami po każdej szczelinie. Czasami tak mnie nachodzi. Zdążyłem się nauczyć, że trzeba odprawić jakiś rytuał. Nie można po prostu stanąć pośrodku pokoju i zacząć mamrotać.

Omial nie dostałem zawału, kiedy Dama pierwszy raz dmuchnęła mi w ucho. Piwnica była szczelna i znajdowało się w niej tylko maleńkie okienko na wysokości ziemi, zbyt wąskie nawet na to, żeby przecisnęli się przez nie chłopcy z sąsiedztwa. Nie było szansy na przeciąg i nie był to jakiś delikatny powiew, który mógł być omamem. Po prostu ktoś dmuchnął mi mocno do ucha, aż podskoczyłem. Muszę przyznać, że wyrwał mi się krótki okrzyk, ale kiedy odwróciłem się do pani Weathers, stała na drugim końcu piwnicy i tylko uśmiechała się w ten swój cierpki sposób.

– Właśnie takie rzeczy muszę znosić, panie Garner – powiedziała, aż triumfując. – Więc byłabym wdzięczna, gdyby przestał się pan wygłupiać i po prostu wypędził to coś z mojego domu. Jeśli pan potrafi.

Ugryzłem się w język i nie powiedziałem, że w jej wieku powinna się cholernie cieszyć, że ktokolwiek ma ochotę dmuchać jej do ucha. Taki byłem wystraszony tym, co się stało.

– Sześćset dolarów plus wydatki – rzuciłem w końcu. Jeszcze nigdy nie zażądałem takiej sumy.

Skrzywiła usta pogardliwie i zobaczyłem żółte zęby.

– Dobrze, panie Garner, ale chcę zobaczyć efekty.

– A ja będę potrzebował spokoju. Dostanie pani to, czego chce, proszę się nie martwić. – Grałem na czas. Nie pomogło mi to, że mówiąc, poczułem kolejne dmuchnięcie w ucho. Potarłem je, a ta stara wiedźma spojrzała na mnie tak, jakby doskonale wiedziała, co się

dzieje. Pewnie tak było. Patrzyłem, jak wchodzi po schodach, a potem zostałem sam w tej wesołej, absolutnie nie przerażającej, dobrze oświetlonej piwnicy. – No dobra – powiedziałem. Pamiętam, że serce mi waliło i czułem się dosyć głupio. – Jeśli ktokolwiek tu jest, jeśli nie marnuję całkiem fajnego wieczoru, dmuchnij jeszcze raz w moje cholerne ucho. No, spróbuj.

Co tu dużo gadać, dmuchnęła, a ja prawie posikałem się w gacie. Nie było was tam, więc mi nie mówcie, że nic w tym straszego. Rzuciłem się w tamtym kierunku i zrobiłem kilka kroków. Dmuchnęła mi w prawe ucho, a ja poleciałem w tamtą stronę, młóćąc ramionami, jakby obsiadł mnie rój szerszeni. Na pewno nie wyglądało to zbyt godnie, ale nikt nie patrzył.

Znalazłem się blisko ściany na drugim końcu piwnicy i kiedy tylko odwracałem się z powrotem ku środkowi pomieszczenia, czułem to łaskotanie, jakby chciała, żebym nie ruszał się z miejsca. Tak przy okazji, nie wiem dokładnie, kiedy zacząłem nazywać ją Damą. Moja pierwsza żona lubiła mi dmuchać do uszu, może mi się skojarzyło.

Przez jakiś czas stałem tak twarzą do farby i tynku, dysząc jak po biegu. Nawet nie potraficie sobie wyobrazić, jak mnie to wszystko zaskoczyło. Och, rozmawiałem z umarłymi już od lat, kiwając mądrze głową i przekazując każdą mętną, choć pokrzepiającą wiadomość, którą chciał usłyszeć klient. To, że naprawdę poczułem ducha, nie, wręcz nawiązałem z nim kontakt,

trochę mną wstrząsnęło. Zmieszany też byłem.

Oczywiście przeszedłem się po piwnicy. Nie stałem tylko tam, gdzie chciała Dama. Ale za każdym razem goniła mnie z powrotem w to samo miejsce, okręcając mnie w lewo i w prawo albo dmuchając mi w tył głowy, żebym przesunął się w przód. Ta zabawa na jakiś czas mnie pochłonęła, a jeśli mi nie wierzycie, to tylko dlatego, że nie macie pojęcia, jakie to wszystko było ekscytujące. Raz po raz stawałem przed tym samym płatem świeżo pomalowanego, jeszcze lśniącego tynku. Czułem na włosach delikatny nacisk, jakby chciała, żebym przeszedł przez cholerną ścianę.

– Nie mogę – powiedziałem na głos. – Widzisz w ogóle, że tu jest ściana?

Pamiętam, że myślałem o ukrytych korytarzach, może o starym lochu, gdzie odnalazłbym ukryte kości. Jak widzicie, zdążyłem trochę poczytać w tym temacie. Przyznaję, że zaczęło mnie to interesować, ale zorientowałem się, że pani Weathers mogłaby odmówić mi zapłaty, gdybym wyrąbał wielką dziurę w ścianie, więc przywołałem ją z powrotem.

Przerzuciłem się z powrotem na rzeczowe, pełne powagi i troski zachowanie.

– Najsilniej odczuwam ją przy tej ścianie – powiedziałem, przesuwając po murze dłońmi. – Czy za nią coś jest? Na przykład inny pokój?

Weathers wzruszyła ramionami, ale dla odmiany zrobiła zmartwioną minę.

– Nie wiem. Może poprzedni właściciele coś zamurowali – powiedziała.

Wyglądało na to, że czytała te same dreszczowce co ja. Przesunęła ręką po włosach, jakby poczuła, że wylądowała na niej mucha. Po raz pierwszy zrobiło mi się żal tej starej wiedźmy.

– Będę potrzebował młotka, największego, jaki pani ma – oznajmiłem.

Zagryzła wargę ze zmartwienia, ale w końcu kiwnęła głową i poszła. Stojąc twarzą do ściany, czułem z tyłu głowy nieustanny nacisk i zacząłem zdawać sobie sprawę, jakie cholernie irytujące musi być znoszenie tego codziennie. Nie na tyle irytujące, żeby wybulić sześćset dolarów – przynajmniej nie dla mnie – ale Weathers sprawiała wrażenie osoby, którą stać na taki wydatek.

Kiedy wróciła z młotkiem, zabrałem się do roboty jak jakiś osiłek, waląc w tynk, aż odpadł, a potem zdwajając wysiłki przy ceglach, które były pod nim. Najśmieszniejsze jest to, że narobiłbym znacznie mniejszych szkód, gdybym się uważniej przyjrzał. Chwilę mi zajęło, zanim dostrzegłem, że dwie cegły nie pasują do reszty. Myślałem o ukrytych pokojach, skarbie Ala Capone, Bóg wie o czym jeszcze. Cofnąłem się, cały spocony, dopiero kiedy dogrzebałem się do folii i gołej ziemi. Izolacja przeciw wilgoci nie jest zbyt złowroga, a mnie opadło okropne uczucie, że właśnie sam pozbawiłem się wypłaty. Wtedy dokładniej przyjrzałem się cegłom. Po tym całym waleniu młotkiem zdążyły się już obluzować

na tyle, że mogłem je po prostu wyciągnąć.

Zauważyłem, że Weathers wciąż stoi na schodach, jakby bała się wejść do pomieszczenia. Czułem na sobie jej wzrok, kiedy wysunąłem cegły z muru i odłożyłem na podłogę. Wciąż nie wiem, co miałem nadzieję odnaleźć, ale ostatecznie prawie się rozczarowałem. Nie był to nawet wielki otwór – tylko dość miejsca, żeby włożyć tam rękę. Była to kryjówka, jaką mogłoby znaleźć sobie dziecko, a potem o niej zapomnieć. W domu mojej mamy miałem podobną, pod starymi deskami podłogowymi.

W dziurze leżał kosmyk brązowych włosów zwinięty w kółko i związany czerwoną tasiemką, która wyglądała, jakby napoczał ją jakiś robal. Wyciągnąłem go na światło dnia, a w powietrzu dookoła mnie zaszła jakaś zmiana. Trudno to opisać, ale poczułem się trochę jak w samolocie schodzącym do lądowania, kiedy zatykają ci się uszy i nagle słyszysz trochę gorzej. Wlepiając wzrok w kosmyk, zatkałem nos i zrobiłem tak, jakbym chciał go wydmuchać, ale to nie pomogło. Po prostu wiedziałem, że znalazłem autentyk, że duch jest powiązany z włosami.

– To szczątki – zwróciłem się do stojącej za mną Weathers. Mój głos zabrzmiał dziwnie, wciąż był stłumiony, jakbyśmy właśnie szybko obniżyli lot nad lotniskiem O’Hare. Znowu zatkałem nos i dmuchnąłem mocno, żeby odetkać sobie uszy. Dalej nic. Trochę zaczęło mnie dusić. No cóż, był na to sposób.

Sięgnąłem do kieszeni spodni i wyciągnąłem zapalniczkę. Ponieważ to ja spisuję tę historię, mógłbym

wam powiedzieć, że była to naprawdę fajna zippo, ale tak naprawdę miałem przy sobie najtańszą butanową zapalniczkę, jaką można kupić. Pamiętam, że ręka mi się trzęsła, kiedy przekręciłem kciukiem kółko, a gdy pojawił się płomień, ciśnienie powietrza znowu się zmieniło, tak drastycznie, że prawie się zachłysnąłem. Nie było wiatru, ale nagle nie opadaliśmy już w stronę Chicago przez gęstą mgłę, tylko staliśmy po prostu w piwnicy, gapiąc się na zapalniczkę.

Zbliżyłem płomień do włosów, a on całkiem niespodziewanie zgasł. Poczułem oddech na palcach, ale i tak uruchomiłem zapalniczkę jeszcze raz, żeby zobaczyć, jak to się dzieje. Płomień pojawił się, a potem zniknął, kiedy Dama go zdmuchnęła.

Stałem tak przez jakiś czas, myśląc nieco bardziej intensywnie niż zazwyczaj. Chciała, żebym odnalazł kosmyk z tą żalostną tasiemką, ale nie miała ochoty zostać uwolniona. Jak już mówiłem, nie wiem, czemu wybrała właśnie mnie, ale zawsze miałem urok Garnerów. Przynajmniej mama tak mi mówiła. To jednak nie miał być komplement.

Wyniosłem ten drobiazg z domu, jakby był odbezpieczonym granatem, zatrzymując się tylko po to, żeby przyjąć zapłatę w gotówce, którą stara Weathers wyjęła z puszeki w kuchni. Cholera, uczciwie zarobiłem te pieniądze. Nie wsunąłem nawet kosmyka do kieszeni, tylko niosłem go przed sobą, aż zeszywniało mi ramię. Wtedy nie czułem oddechu na karku. Pojawił się dopiero,

kiedy opuściłem Fisher Street i zacząłem się oddalać.

Nie potrafię dokładnie wyjaśnić, dlaczego tamtego dnia postąpiłem tak, a nie inaczej. Łatwo byłoby wrzucić kosmyk włosów do klozetu albo – jeszcze lepiej – do rzeki, żeby trafił do morza. Może bym to zrobił, gdybym się bał, ale musicie zrozumieć, że to była treść mojego życia. W końcu miałem dowód, że nie zmarnowałem tak całkiem tego całego czasu. Nigdy nie twierdziłem, że jestem porządnym człowiekiem, ale też nigdy nie chciałem być kompletnym oszustem. Czułem się tak, jakbym odnalazł własny kamień z Rosetty, klucz, który otworzy mi wszystkie drzwi. Do pewnego stopnia była to prawda.

Zostałem w Penacook jeszcze kilka dni i kupiłem pudełko, które noszę do dzisiaj. Jest niewielkie, mniej więcej rozmiaru talii kart, zrobione z mosiądzu i wyłożone macicą perłową. Kosmyk pojechał ze mną i od tamtej pory, no, chyba nawiedza mnie duch.

Dama nie pokazała się przez kilka kolejnych dni. Oszczędzę wam szczegółów na temat tego, jak próbowałem ją zmusić do odstawienia pokazu – raz dla roznosiciela gazet i raz w barze, kiedy za dużo wypilem. Nie ruszyła się z pudełka, a potem, tylko żeby mnie wkurzyć, dmuchała mi do uszu przez całą drogę do domu, aż waliłem się po głowie z frustracji. Miałem dość pieniędzy na życie i spędziłem ten czas na rozmyślaniach. A co, jeśli każdy duch ma swoje połączenie ze światem, takie jak włosy Damy? Trochę mi to zajęło, ale po jakimś

tygodniu znalazłem się w hrabstwie Franklin, w stanie Massachusetts. Znow się zatrzymałem, żeby zamówić nowe ogłoszenia we wszystkich miejscowych gazetach. Po raz pierwszy od lat zmieniłem ich treść i sprzedawałem swoje usługi jako „Łowca duchów – satysfakcja gwarantowana albo zwrot pieniędzy”. Nie zaszkodziło, że zarobiłem u pani Weathers więcej niż za poprzednie sześć zleceń razem wziętych. Nawet nie narzekałem, ile w gazetach sobie liczą od słowa. To była żyła złota.

Przyznam szczerze, że pierwszych kilka miesięcy było koszmarnych. Nie chodziło o to, że nikt nie dzwonił. Dzwonili. I to tak często, że zastanawiałem się nawet nad załatwieniem sobie drugiej komórki do pracy. Problem polegał na tym, że we wszystkich domach, które odwiedziłem, nie było nic bardziej nadprzyrodzonego niż myszy w ścianach. Mimo to przyswoiłem sobie konieczne umiejętności i skompletowałem skrzynkę z narzędziami, z której byłby dumny każdy stolarz. Potrafiłem w godzinę skuć tynk w pokoju, a zaci budowlancy i malarze ze stanu Massachusetts myśleli pewnie, że święta nadeszły wcześniej, tyle im zostawiałem dodatkowej roboty. Znajdowałem wyjące rury, gniazda szczurów, ptaki uwięzione w kominach, najróżniejsze rzeczy, ale Dama siedziała cicho. Na ulicy wciąż czasami łaskotała mnie w głowę, tylko żeby mi pokazać, że wciąż jest przy mnie, ale w domach była niewzruszona jak zapewne powinien być grób.

Skończyły mi się pieniądze i na jakiś czas musiałem

wrócić do starej roboty, żeby moje ogłoszenia dalej się pojawiały i żeby było mnie stać na benzynę. Nie podobało jej się to. Czuję na twarzy jej oddech, którym odpychała mnie za każdym razem, kiedy szedłem na seans, aż musiałem zostawiać pudełko w pokoju motelowym.

Wszystko to zmieniło się tamtej zimy, po sporych opadach śniegu. Dostałem telefon dzięki ostatnim reklamom, choć zlecenie oznaczało, że musiałem pojechać do miasta o nazwie Montague, oddalonego o jakieś czterdzieści mil. Nie stać mnie było na łańcuchy i podróż była trudna: około czterech godzin posuwania się po drodze z włączonymi wycieraczkami i światłami ginącymi w śnieżycy. Poza tym ciągle śmigały obok mnie te wielkie ciężarówki, od czego robiłem się nerwowy.

Miałem ze sobą narzędzia i pudełko Damy. Może sobie to tylko wyobraziłem, ale kiedy zadzwoniłem do drzwi wielkiego, starego domu przy Treadle Road, na południe od Main Street, poczułem jakieś podniecenie. Otworzyła mi młoda Azjatka. Uśmiechnąłem się do niej, myśląc, że obecność służby to dobry znak, jeśli chodzi o moją wypłatę. Poczułem też lekki nacisk z tyłu głowy, który popchnął mnie do domu za gospożą.

Myliłem się już nieraz, ale nie wtedy. Trafiłem do prawdziwej biblioteki wypełnionej książkami od podłogi po sufit. Mężczyzna, który w końcu przyszedł ze mną porozmawiać, był młody jak na właściciela takiego domu. Byłem ciekaw, czy go odziedziczył, czy też był jakimś maklerem giełdowym robiącym zawrotną karierę albo

kimś w tym rodzaju. Przez całą naszą rozmowę robił wrażenie skrępowanego, a ja nie potrafiłem go wyczuć. Okazało się, że to jego żona do mnie zadzwoniła, ale właśnie przebywała poza miastem. Widać było, że on wolałby mnie wywalić na zbity pysk, ale wciąż padał śnieg, a ja odniosłem wrażenie, że jego żona nie należy do kobiet, którym można się sprzeciwić. Spotkałem w życiu kilka takich.

Zaprowadził mnie na górę, cały czas się kręcąc, jakby nie wiedział, co zrobić z rękami. Nie zaproponował mi drinka ani nic i czułem, że będzie stał nade mną, żebym nic nie ukradł. Nie miałem jednak nic przeciwko temu, bo Dama pchała mnie przez całą drogę, jakby wiedziała, że na piętrze znajdę coś niezwykłego.

Schody kończyły się korytarzem z kilkorgiem drzwi. Ku mojemu zaskoczeniu i coraz większemu zainteresowaniu, jedno z nich gospodarz musiał otworzyć kluczem, zanim mogłem wejść do środka. Dostrzegł moje spojrzenie i się skrzywił.

– Tu zawsze jest zimno, nawet po włączeniu centralnego. Zdaje mi się, że nie ocieplono porządnie tego pokoju, kiedy budowano dom.

Uśmiechnąłem się tylko uprzejmie, a on znów zrobił ten grymas i wprowadził mnie do środka.

Było tam zimno. Nie mroźno, ale w porównaniu z resztą domu zdecydowanie chłodniej. Od razu poczułem, że Dama na mnie dmucha, ale nie chciałem, żeby się wydawało, że to łatwizna.

– Za tego rodzaju robotę biorę zazwyczaj sześćset dolarów – powiedziałem.

Zrobił minę, jakby właśnie ugryzł cytrynę, ale ja tylko wbiłem w niego wzrok.

– Powinien pan wiedzieć, że wcale nie wierzę w te rzeczy – odparł, jakby to dawało mu nade mną przewagę.

Poczekalem, aż pomyśli o żonie i o tym, jaka będzie zła, jeśli się przyzna, że mnie odesłał. Rzecz w tym, że byłem już gotów zrobić to za darmo, byle tylko sprawdzić, co się stanie. Przetrzymałem go jednak, aż pokiwał głową.

– W gotówce – dodałem.

Widać było, że z trudem powściąga szyderczy uśmiezek.

– Oczywiście – powiedział.

Dałem mu spokój. Były czasy, że zadałbym sobie trud, żeby takiego gościa wkurzyć, może nawet trochę go pognębić, ale chciałem już zabrać się do roboty i czułem, że Dama popycha mnie w głąb pokoju.

Wszystko zajęło około pięciu minut, może mniej. Od tamtej pory nauczyłem się, żeby nie robić tego tak szybko. Dama zaprowadziła mnie w odpowiednie miejsce, a ja naciąłem deskę piłą, po czym podniosłem odpowiednią jej część młotkiem z pazurem. W kurzu pod spodem leżał poczerniały od sadzy kawałek kości.

– Mieliście tu kiedyś pożar? – zawołałem przez ramię.

Facet wyglądał na przerażonego zniszczeniami,

których narobiłem, ale pokiwał głową.

– Za czasów mojego dziadka – powiedział.

To byłby niezły strzał, właśnie coś takiego, czego według niego nie mogłem wiedzieć, choć miejscowe gazety z tamtych czasów na pewno o tym trąbiły.

– I ktoś zginął w tym pożarze, w tym pokoju – powiedziałem. To nie było nawet pytanie.

Facet tylko się na mnie gapił, kiedy wyciągnąłem kość. Nie potrafiłem rozpoznać, z jakiej części ciała pochodziła. Może z kostki u nogi, nie wiem. Ów kawałeczek wystarczył jednak, aby przywiązać ducha do tego miejsca. Poczułem, że temperatura spada, choć nie stało się nic specjalnego, mróz nie namalował wzorów na oknie. To nie był potężny duch. Takie miałem spotkać później.

Wyniosłem kość z domu, a facet zapłacił mi gotówką. Po jego szyderczych uśmieszkach i pretensjach nie został nawet ślad. Kiedy poszedł na chwilę do pokoju i poczuł, że jest w nim ciepło, w jego oczach pojawiło się zdumienie. Wsadziłem kość do kieszeni i odniosłem wrażenie, że otacza mnie zima. Kiedy mężczyzna uścisnął mi rękę, poczułem, że wzdrygnął się z zimna.

– Zniszczę ją – obiecałem.

Tak też zrobiłem. Nie byłem wtedy gotowy na kolejnego sublokatora, a duch, od którego tylko robiło się zimno, na nic by mi się nie przydał.

Nie wiem, co powiedział żonie, ale ta dziewczyna miała kontakty, a w Massachusetts jest sporo starych

domów. Zostałem tam przez pół roku i miałem mnóstwo zleceń. Oczywiście wciąż zdarzały się zwyczajowe ślepaki, ale Dama pomogła mi przy dwóch prawdziwych nawiedzeniach i sprawy potoczyły się same. Podwyższyłem stawkę za duże posiadłości i po raz pierwszy w życiu zacząłem zarabiać prawdziwe pieniądze. Dość dużo, żeby wymienić skrzynię biegów. Przez jakiś czas zastanawiałem się nawet nad wynajęciem domu, ale lepiej się czuję w ruchu, zawsze tak było. Oczywiście w przeszłości po prostu uciekałem od złych wspomnień. Pięćdziesiąte urodziny spędziłem w motelu i nawet kupiłem sobie cholerny tort i świeczkę. Dama ją zdmuchnęła, a ja wypilem butelkę dobrej whisky.

Geronima znalazłem w połowie następnego roku. Dobra, wiem, co powiecie, i zgadzam się z wami. Dlaczego ten stary szaman z plemienia Apaczów miałby nawiedzać opuszczoną posiadłość w Karolinie Północnej? Zgaduję, że kimkolwiek naprawdę był, po prostu lubi używać innego imienia. Nie wiem, czy był nowojorskim maklerem, który skoczył z okna, czy tylko poganiaczem bydła z lat trzydziestych. Wiem natomiast, że jest potężny, i to się liczy. Właśnie z tego powodu powlokłem się dwieście mil na południe, kiedy usłyszałem o tym rozpadającym się starym domu. Od półwiecza nikt nie odważył się tam zamieszkać.

Ma dość siły, żeby do mnie mówić. Możliwe, że dzięki pracy z Damą zrobiłem się bardziej wrażliwy, nie wiem, ale słyszę szept starca i rozumiem około jednej

czwartej z tego, co mówi. Dama i ja znaleźliśmy jego szczątki w zwyczajny sposób, ale wszystko inne było niezwykle. Zdążyłem się przyzwyczaić do myślenia o duchach jako o słabych istotach – wyziębiony pokój to nie *Lśnienie*, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć. Geronimo potrafił rozpętać burzę i kiedy znaleźliśmy jego szczątki, dookoła nas unosił się wir starych książek i kurzu. Musiałem schować się pod wiekowymi drzwiami piwnicy, kiedy wykopywałem jego kości. Sądzę, że pewnie go zamordowano, ponieważ bliskich nie wolno zakopywać w ogrodzie, nawet w Karolinie Północnej.

Wykopałem wszystkie szczątki i zaniósłem do pieca w piwnicy. Rozpalenie w nim zajęło mi pół dnia i musiałem cztery razy iść do sklepu z narzędziami, ale do spopielenia kości trzeba naprawdę wysokiej temperatury. Nie można ich po prostu polać benzyną i stanąć z założonymi rękami. Trzymałem w ręku ostatni kawałek poźółkłej kości, kiedy Dama dmuchnęła mi w twarz. Kiedy zacząłem palić szczątki, w domu zrobiło się bardzo cicho i wyczuwałem napięcie, jakby zbliżała się burza.

Zdążyłem już nabrać zaufania do Damy, więc wsadziłem tę starą kość do pudełka i wziąłem ze sobą. Może Dama z nim porozmawiała. Może opowiedziała mu o ekscytującym życiu w drodze i postanowił do nas dołączyć. Psiakrew, może duch w opuszczonym domu czuje się samotny, nie mam pojęcia. Nie potrzebowałem go tak naprawdę, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Dama była moim zwiadowcą, a ja zacząłem

wyrabiać sobie nazwisko. Zaczęły nawet węszyć koło mnie stacje telewizyjne, ale nie chciałem, żeby ktoś pokazywał moją twarz w całym kraju. Kilka osób bardzo by się ucieszyło na jej widok, a ja nie chcę ich nigdy więcej oglądać na oczy.

Na początku mówiłem, że jest nas czworo. Ten, który dołączył do mojej rodzinie jako ostatni, był mniej więcej tak mocarny jak Geronimo. Potrafił tak ciskać przedmiotami, że byście nie uwierzyli. Znalazłem go w starym domu w Georgii, tak zarośniętym zielskiem, że wyglądał, jakby zaraz miał się zapaść w bagnistą ziemię. Kilka razy niemal wpadłem do dziur w podłodze. Na ścianach widniało graffiti, a cały parter był usiany puszkami po piwie i nawet śladami po ogniu: dzieciaki próbowały go podpalić. Myślę, że dom był zbyt zawilgocony, żeby spłonąć.

Zacząłem szukać szczątków, a on ruszył na mnie w postaci burzy pyłowej, rzucając mi w twarz kurz zebrany w ciągu stu lat. Przez chwilę nic nie widziałem i tylko dzięki wskazówkom Damy wydostałem się na światło dnia. Jestem jednak profesjonalistą, a kupienie gogli i kombinezonu przed drugą wizytą nie stanowiło problemu. Okazało się, że mi się nie przydały. Dotarłem do starej kuchni i kiedy zerwał się wiatr, otworzyłem pudełko.

– Poznaj dzieciaki – powiedziałem.

No i wiatr ucichł od razu. Wyobraziłem sobie, że obwąchują się nawzajem jak psy.

– Mogę zabrać cię w miejsca, których inaczej nigdy

byś nie zobaczył – dodałem.

Tak oto w mojej szkatułce pojawił się stary złoty medalion z kosmykiem włosów kochanka. Tego ducha nigdy nie słyszałem, ale Geronimo powiedział mi, że ma na imię Thomas, więc tak go nazywałem.

Razem jeździliśmy po kraju może przez trzy lata. Nigdy więcej nie znalazłem innego ducha takiego jak Tom czy Geronimo, a jeśli miałem choćby najdrobniejsze kłopoty, otwierałem tylko pudełko, a powietrze robiło się naprawdę ciężkie, gdy duchy załatwiały porachunki. Nie wiem dokładnie, jak można spuścić lanie duchowi, ale wyglądało na to, że chłopcy strasznie się cieszyli, kiedy zdarzała się taka okazja. Mógłbym tak działać bez końca, tylko że na jesieni dwa tysiące czwartego spotkałem w końcu Erwina Trommlera. To trochę przez niego zacząłem te zapiski, więc jeśli macie problemy z koncentracją, kiedy przekazywałem wam moje mądrości, może nadszedł czas, żeby usiąść prosto i łyknąć tej zimnej kawy.

Pracowałem od kilku lat na Wschodnim Wybrzeżu i zastanawiałem się, czy nie pojechać dalej na zachód, może do Memphis. Przyszło mi do głowy, że ktoś z moimi umiejętnościami powinien odwiedzić Graceland, no nie? Jeśli od razu nie załapaliście, to nigdy nie załapiecie, więc się nie przejmujcie.

Zanim pojechałem, dostałem telefon z Long Beach, ze stanu New Jersey, na samym wybrzeżu. Przedstawiła się „Gorski”, nie powiedziała, czy pani, czy panna, więc

wiedziałem, że będzie brzydka. Chociaż nie bawiłem się już w te rzeczy. Okazało się, że wynoszenie śmieci po duchach nie skłania klientek do uwieszania się na mnie tak jak rozmawianie ze zmarłymi. Obliczyłem odległość i pomyślałem, że mogę przyjąć to zlecenie, a potem skierować się na zachód i dotrzeć do Graceland na jesieni.

Kiedy wjechałem w jej ulicę, czekała na mnie na schodach. Okazało się, że nie wygląda najgorzej. Miała ciemne włosy i zachowywała się dość oficjalnie, może była trochę pulchniejsza, niż lubię, ale nie zapuściła się jeszcze za bardzo. Zauważyłem ją i zaparkowałem, po czym wziąłem pudełko z przedniego siedzenia. Wiem, że mogli podróżować w bagażniku, ale z jakiegoś powodu wydawało mi się, że byłby to brak szacunku.

Kiedy wszyscy weszliśmy do środka, rozejrzałem się i z zadowoleniem dostrzegłem oznaki poważnego szmalu. Mam niezłe oko do antyków i było tam kilka ładnych okazów. Okolica też była dobra. Nie chodzi o to, że biednym ludziom bym nie pomógł, bardziej o to, że muszę zarabiać na życie, a biedni nie płacą tak dobrze. Dlatego też rozluźniłem się nieco, siedząc na kanapie, która musiała kosztować więcej niż mój samochód.

– Proszę opowiedzieć mi o swoim ojcu – powiedziałem.

Miałem już wtedy wyćwiczoną gadkę, głównie po to, aby mieli wrażenie, że wiedzą, za co płacą. Czułem na karku oddech Damy, więc wiedziałem, że tutaj nie ma ściemy. Rozmawianie z klientami nie pomagało w

odnalezieniu szczątków, ale gdybym tego nie robił, byłbym chyba najbardziej samotnym facetem na świecie.

Musicie wiedzieć, że jej ojciec, Erwin, zmarł ledwie kilka dni wcześniej. Gdyby to był inny rodzaj sprawy i gdyby babka była miłsza dla oka, mogłoby się z tego zrobić fajne popołudnie. Tak jak wspominałem, już tego nie robię, ale nie wyczułem u niej nawet odrobiny żalu. Siedziała spokojnie i mówiła, a ja przez cały czas miałem wrażenie, że niczego nie zdradza. Cholera, może naprawdę jestem jasnowidzem. Powiedziała mi, jak się nazywał i że przyjechał do Stanów przez Ellis Island, dawno temu. W chwili śmierci miał koło dziewięćdziesiątki. Widziałem, że wcale nie ma ochoty o nim mówić. Wyciągałem więc od niej kolejne szczegóły, a ciekawość nie dawała mi spokoju.

– Czuję w domu jego ducha – wyznała. – Różne rzeczy same się przesuwają i słyszę hałasy... To nie tylko koszmary senne. Jeśli wróci tu pan dziś wieczorem, też pan to poczuje. Nikt nie będzie tu mógł mieszkać, dopóki on nie zniknie. Tylko tyle musi pan wiedzieć.

– Proszę pani, proszę mnie nie pouczać na temat mojej pracy – obruszyłem się. – Jeśli mówię, że muszę wiedzieć więcej, to dlatego, że tak jest. Mogę po prostu stąd wyjść i może znajdzie pani jakiegoś innego frajera, nie wiem. Ale mówię pani, nikt inny nie potrafi tego, co ja. Jeśli naprawdę chce się pani go pozbyć, niech będzie pani ze mną szczerą.

Patrzyła na mnie przez długą chwilę, a ja poczułem

dreszcz, jakbym zaraz miał coś odkryć.

– Urodziłam się tutaj, panie Garner. Ale mój ojciec pochodził z Niemiec.

– No cóż, ludzie muszą skądś pochodzić – powiedziałem.

Moja babcia przyjechała przez Ellis, wraz z małą córeczką. Przez chwilę się zastanawiałem, czy mogły stać w kolejce z młodym Erwinem Gorskim.

– Przyjechał w czterdziestym czwartym. Naprawdę nazywał się Erwin Trommler. Podawał się za Polaka i płynnie mówił po polsku. Ukrył się w Stanach. – Zawahała się, a ja miałem już jakieś przeczucie, ale nie jak jasnowidz, po prostu zrobiło mi się niedobrze.

– Proszę powiedzieć wszystko – zwróciłem się do niej cicho i dotknąłem jej ramienia. – Muszę wiedzieć.

W jej oczach lśniły łzy. Miałem wrażenie, że patrzę, jak pęka jej serce.

– Pracował przez trzy lata w Bergen-Belsen, panie Garner. Nie wiem dokładnie, co tam robił, ale zarobił dość pieniędzy, żeby zdobyć fałszywe papiery i wyjechać przed końcem.

Belsen. Wiedziałem o tym miejscu więcej niż ona. Brytyjczycy znaleźli tam tysiące ciał, które zostawiono na ziemi, żeby zgniły. Tych, którzy przeżyli, widziałem na jednych z najbardziej wstrząsających zdjęć, jakie kiedykolwiek zrobiono. Chodzące szkielety z martwymi oczami. Noworodki, kobiety, dzieci w stertach. Jeśli jest jedna rzecz, za którą Bóg oceni ludzkość, jedna rzecz,

która w Dzień Sądu przyniesie nam hańbę, będzie to obóz koncentracyjny w Belsen.

– Mój ojciec był zimnym człowiekiem, panie Garner. Nigdy nie mówił o swojej przeszłości. Przejrzałam jego papiery, dopiero kiedy zmarł. – Wzdrygnęła się, a ja pomyślałam, że nie miałbym ochoty oglądać tego, co znalazła. Ani teraz, ani nigdy. Niektóre rzeczy potrafią wryć się tak głęboko w umysł, że nie da się ich pozbyć. – Wróci pan wieczorem, panie Garner? Nie spałam tutaj, od kiedy umarł, ale wciąż go czuję. Chcę, żeby zniknął. Chcę, żeby umarł na dobre.

Pokiwałam głową, myśląc, że do tej sprawy będę się musiał przygotować.

– Proszę się trzymać z dala od domu – poleciłem. – Wrócę tutaj, kiedy się ściemni. – Trzeba było jej oddać, że nawet nie mrugnęła okiem na myśl o daniu mi klucza do domu pełnego antyków. Chyba zobaczyła coś w moich oczach, kiedy jej słuchałem. Zaufała mi. Prawie zdążyłem zapomnieć, jakie to miłe uczucie.

O zachodzie słońca znów stanąłem przed tym starym domem, czując się trochę tak, jakbym zajmował się dezynsekcją i przyszedł wytępić karaluchy. Miałem ze sobą narzędzia, gogle i kombinezon. Pewnie nawet wyglądałem jak deratyzator. Zabrałem też małe mosiężne pudełko z Damą, Geronimem i Tomem. Dama wpychała mnie do środka, nie przestając dmuchać mi w kark, więc wiedziałem, że pali się do tego zadania tak samo jak ja.

Otworzyłem drzwi i zamknąłem je cicho za sobą.

Przez lata odwiedziłem już dość dużo domów, żeby wiedzieć, że ten duch jest naprawdę rozwścieczony. Ani trochę mi to nie przeszkadzało. Sam byłem wściekły jak cholera.

Zatrzymałem się w oświetlonym księżycem przedpokoju i uśmiechnąłem pod nosem, kiedy poczułem, że powietrze się rusza i zestala. Znam dotyk Damy – to było coś innego. Może powinienem był się przestraszyć, czując zimne palce na twarzy, ale nie. Naprawdę chciałem, żeby się objawił. Chciałem, żeby ze mną powalczył.

– Przywołuję cię, Erwinie Trommler – powiedziałem na głos. – Przyjdź do mnie i zobacz, co dla ciebie mam.

Wydawało mi się, że Geronimo i Tom są silni, ale nic nie przygotowało mnie na chwilę, kiedy palce zacisnęły się na mojej szyi. Zwykle rzucają przedmiotami raczej na oślep, ale ten duch miał kontrolę i moc. Zacząłem się dusić, a choć machałem rękami, chwytalem tylko powietrze.

Otworzyłem pudełko. Pewnie tak naprawdę nie muszę tego robić, ale i mnie, i im to pasuje. Myślę, że lubią wyskakiwać na jakiegoś ducha, któremu się wydaje, że jest niezłym draniem. Palce momentalnie puściły, a ja zacząłem kaszleć i rzezić, masując szyję.

– Bierzcie go – rzuciłem.

Jakbym stał w oku cyklonu. Każdy cholerny przedmiot w domu roztrzaskał się jak podczas trzęsienia ziemi, a w powietrze poleciały odłamki. Gdyby nie gogle,

pewnie straciłbym oczy. Mówię wam, nigdy nie widziałem takiej bójki, po raz pierwszy nie byłem pewny, czy Geronimo i stary Tom sobie poradzą.

Walczyli tak zajadle, że przebijali się przez ściany: widziałem, jak ni stąd, ni zowąd pojawiają się w nich ogromne dziury. Hałas był straszliwy i przez moment byłem ciekaw, czy zanim to wszystko się skończy, zobaczę za oknami policyjne koguty. Dom stał dość daleko od innych przy tej ulicy, ale nie miałem pojęcia, jak wytłumaczyłbym całą sprawę glinom, gdyby się pojawiły. Z sufitu opadał tynk i nawet żarówki się posypały. Ruszyłem za walczącymi, zataczając się. Czasami migały mi niewyraźne kształty i cienie, coś stękało i siłowało się w kurzu. Moja trójka sprowadziła go na jakiś czas do parteru, ale podniósł się i rzucił Geronimem przez cały pokój. Powietrze było gęste i wiał wiatr, jakbyśmy stali na szczycie klifu.

Zacząłem się martwić, czy nie jest dla nas za silny, ale wtedy w świetle księżycy dostrzegłem Dameę. Była ledwie smugą, podobną do skrawka materiału szarpanego wiatrem, ale natarła na niego, kiedy Geronimo padł na ziemię, i zaraz potem po raz pierwszy usłyszałem jej krzyk. Nie wiedziałem nawet, że tak potrafi. Boże, nigdy więcej nie chcę tego słyszeć.

Zabolało tak, że osunąłem się na kolana. Zęby mi wibrowały, w czaszce brzęczało i miałem wrażenie, że zaraz puszcę pawia. Miałem tylko nadzieję, że pieprzonemu Erwinowi Trommlerowi jest jeszcze gorzej.

Wrzask trwał, a mój obiad wylądował na dywanie, choć nawet nie było tego widać – kurz pokrywał wszystko. Wciąż targały mną torsje, kiedy hałas ucichł i zapadła cisza tak całkowita, że miałem wrażenie, jakbym ogłuchł. Potem usłyszałem przejeżdżający obok domu samochód i się podniosłem. Byłem trochę roztrzęsiony, ale szczyrzyłem zęby. Dama lubi pokrzyzczeć, kto by pomyślał? Zagoniła starego ducha do kąta, a ja czułem, że Geronimo i Tom stoją nad nim, jakby rzucali mu wyzwanie, żeby wstał i znów ich zaatakował.

Rzuciłem okiem na zniszczenia i zrobiło mi się żal córki Trommlera, ale nie za bardzo. Wciąż miałem zadanie do wykonania i prawie zaszlochałem, kiedy znów poczułem na szyi oddech Damy. Erwin Trommler nie śmiał się ruszyć, kiedy szukaliśmy jego szczątków. Spodziewałem się włosów albo czegoś w tym rodzaju. Zamiast tego jednak z pomocą Damy znalazłem na strychu pudełko starych zębów. Miały złote plomby i myślę, że dlatego je zachował. Przypomniało mi się, jak naziści wyrywali Żydom w obozach złote zęby, i zanim zszedłem na dół, trochę popłakałem. Nie wstydzę się tego.

Zrobiła się już północ, a ja nadal nie wykonałem zadania. Mogłem spalić zęby, ale przed całą sprawą miałem kilka godzin na zastanowienie się i kupienie paru rzeczy. Nie chciałem niszczyć tych szczątków. Chciałem, żeby przetrwały tysiąc lat, mniej więcej tak długo, jak – według niego – miała przetrwać Trzecia Rzesza. Wypełniłem więc mały plastikowy pojemnik

przezroczystą żywicą i włożyłem zęby do środka. Wypaliłem parę papierosów, kiedy masa zastygała. Wyglądało to jak jakieś prehistoryczne stworzenie uwięzione w bursztynie.

Potem wziąłem cienki ołowiany arkusz i owinąłem dookoła pojemnika, zaginając metal kciukami. Nie prezentowało się to ładnie, ale było przyjemnie ciężkie w dłoni.

Biorąc pod uwagę, jakich narobiliśmy szkód, głupio się czułem, zamykając za sobą drzwi na klucz. Dom wymagał solidnego remontu, a wszystkie pokoje na pierwszym piętrze trzeba było wręcz odbudować, ale byłem zadowolony. Kiedy jechałem nad ocean, księżyc świecił jasno. Tego popołudnia wynająłem łódź i choć nie miałem zielonego pojęcia o żeglowaniu, doszedłem do wniosku, że dam radę wypłynąć na głęboką wodę i wyrzucić ten obciążony ołowiem pakuneczek za burtę, aby utonął w bezkresnym mroku. Chciałem, żeby się udławił wiecznością.

Mówiłem wcześniej, że przy urodzeniu nadano mi inne imię. Moja matka była twardą kobietą, ale może to dlatego, że widziała rzeczy, których nikt nie powinien oglądać. Wciąż pamiętam spłowiełe, niebieskie cyfry na jej przedramieniu. Nigdy o tym nie wspominała i dopiero po latach dowiedziałem się, co to znaczyło i dlaczego nawet w lecie nosiła długie rękawy. Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, zmieniła mi nazwisko z Jacob Grossman na Jack Garner. Jak wielu ludzi przed nią, zaczęła nowe

życie w Nowym Świecie. Dużo zostawiła za sobą, ale te niebieskie znaki nigdy nie zeszły.

Wstałem w łodzi i wyciągnąłem rękę z pojemnikiem nad wodę. Nawet tutaj, gdzie światła miasta były tylko iskierkami w oddali, czułem, jaką musieli stoczyć bójkę, żeby go unieruchomić. Och, walczył, oczywiście, że walczył. Mam nadzieję, że cała trójka zrobiła mu krzywdę, kiedy zdobyła nad nim przewagę. Upuściłem szczątki, a one zniknęły w czerni. Poczułem, jakby spadł mi z serca wielki ciężar, z którego wcześniej nawet nie zdawałem sobie sprawy. Było to fajne uczucie i zostałem na falach, żeby obejrzeć wschód słońca.

Chciałbym powiedzieć, że potem przeszedłem na emeryturę, ale tak się nie stało. Pojechałem do Memphis.

LAURIE R. KING

Opowiadanie to jest fascynującym spojrzeniem w niezbyt odległą przyszłość, kiedy to – niestety – wciąż szerzy się nietolerancja.

Laurie R. King, której książki trafiały na listę bestsellerów „New York Timesa”, laureatka nagrody im. Edgara Allana Poe, jest autorką jedenastotomowego cyklu powieści detektywistycznych o Mary Russell. Należy on do najbardziej udanych współczesnych hołdów oddanych Sherlockowi Holmesowi i opowiada o przygodach młodej kobiety, która poznaje Holmesa, gdy przechodzi on na emeryturę w hrabstwie Sussex i zaczyna zajmować się pszczelarstwem. Zostaje jego uczennicą, potem partnerką, a w końcu żoną. Powieści o Mary Russell to: *The Beekeeper's Apprentice (Uczennica pasiecznika, czyli o oddzieleniu królowej*, przeł. Tomasz Bieroń, Zysk i S-ka, 2001), *A Monstrous Regiment of Women*, *The Game*, *The Language of Bees* i siedem innych. King jest również autorką pięcioczęściowego, dziejącego się współcześnie cyklu detektywistycznego o Kate Martinelli, złożonego z książek *A Grave Talent*, *To Play the Fool*, *With Child*, *Night Work* oraz *The Art of Detection*, oraz powieści *A Darker Place*, *Keeping Watch*, *Califia's Daughters*, *Touchstone* oraz *Folly*, która zdobyła Macavity Award. Jej najnowsza powieść to *Pirate King*, kontynuacja cyklu o Mary Russell.

BŁOTNY DIABEL

Spojrzałem na moją siedzącą po drugiej stronie biurka nową klientkę, ciekaw, co by powiedziała, gdybym wyciągnął butelkę i zaproponował jej drinka.

Postanowiłem, że może jest jednak trochę za wcześnie. Sprawiała wrażenie purytanki.

– Panno Savoy...

– Pani.

Wdzięk, z jakim uniosła podbródek, nie pasował do ostrego tonu, jakim mnie poprawiła, ale nie skomentowałem tego. Spojrzałem na kartkę. Zapisano na niej osiem nazwisk. Przy nazwiskach widniały daty z ostatnich ośmiu miesięcy. Pierwsze siedem linijek napisano na komputerze i wydrukowano. Ostatnie nazwisko i towarzysząca mu data – dwa tygodnie wcześniej – były zanotowane ręcznie.

– Pani Savoy, muszę przyznać, że nie do końca rozumiem, o co mnie pani prosi. Którą z tych osób mam odnaleźć?

– Wszystkie!

Spojrzałem jej w oczy. Były duże, niebieskie i kręciło się w nich dość łez, aby jej słowa do mnie trafiły, ale nie tyle, żeby zagrozić jej makijażowi. Pomyślałem, że ten kolor musi być rezultatem jakichś soczewek – choć można było przysiąc, że jest naturalną blondynką.

Interesujący fakt: ludzie tacy jak ona nie rodzili się z

jasnymi włosami.

– Nie zajmuję się pozwami grupowymi, pani Savoy, a odszukanie tylu osób potrwałoby wiele tygodni. Może zaczniemy od jednej osoby i zobaczymy, co nam to przyniesie? – Po jej ubraniach widziałem, że nie ma takich pieniędzy, jakie wchodziły tu w grę: zapłaciła dość sporo za te buty i płaszcz, ale było to sporo sezonów temu.

– W takim razie Harry. On zniknął ostatni... z tego, co wiem... i znam go najdłużej.

Mogła też dodać, że on liczył się dla niej najbardziej.

– Dobrze, zaczniemy od niego.

– No cóż, zniknął dwa tygodnie temu. Miałam...

– Proszę najpierw opowiedzieć mi trochę o Harrym. Od jak dawna się znacie?

– Prawie całe życie – powiedziała zaskoczona. – To mój brat. Harry Savoy.

– Aha – wydałem odgłos, który miał być niezobowiązujący, ale pojawił się w nim cień niedowierzania.

– Naprawdę. Oboje zostaliśmy adoptowani, on rok po mnie.

Znowu wydałem ten odgłos, choć tym razem było w nim chyba nieco więcej zrozumienia. Wiedziałem, jacy ludzie adoptują więcej niż jedno takie dziecko. Wy pewnie też wiecie. Niezależnie od tego, czy nazwać ich ludźmi o dobrych intencjach, świętymi czy po prostu ofiarami urojeń, zazwyczaj są bardzo religijni. Co jest zabawne, biorąc pod uwagę, że ci, którzy woleliby

wszystkich podobnych do niej ludzi wyplenić, też uważają się za religijnych.

Nieważne.

– Kiedy zostałam adoptowana, miałam dwa i pół roku, a Harry był prawie pięcioletkiem. Nigdy tak naprawdę nie dowiedziałam się niczego o jego wczesnym dzieciństwie, poza tym, że było ciężkie. Przede wszystkim był bardziej... To znaczy, czy pan rozpoznał, że ja...?

– Tak. – Choć była to prawda, wielu ludzi nie poznałoby się na niej, a na pewno nie na pierwszy rzut oka. Ja połapałam się jednak, kiedy tylko weszła. Makijaż i operacje mogą ukryć powierzchowne oznaki, ale chodzi też o swego rodzaju gibkość, która jest jednoznacznym sygnałem, jeśli się wie, na co się patrzy. A jeśli się nie wie – no cóż, powiedzmy tylko, że sporo takich dziewczyn nieźle zarabia na tym, jak potrafi się ruszać.

– Po Harrym było widać bardziej niż po mnie. Miał nawet takie niewielkie zmarszczki tam, gdzie prawie pojawiły się jego skrzela. Mieszkał w niebezpiecznej okolicy, więc często wpadał w tarapaty.

Kiwnąłem głową, zachowując neutralny wyraz twarzy.

– Ludzie z opieki społecznej odebrali go rodzinie, gdy drugi raz złamał rękę. Mama i tata dowiedzieli się o nim i najpierw byli dla niego rodziną zastępczą, a potem go adoptowali. I tak Harry został moim bratem, kiedy miałam trzy lata. Jest bystry, naprawdę bystry, ale wcześniej postanowił, że nie da sobie w kaszę dmuchać.

Jako nastolatek wdawał się w bójkę, choć kiedy urósł, dzieciaki przestały go tak zaczepiać. Ale nie poszedł na żadne ustępstwa, nie przeszedł żadnych kuracji, nie zgodził się nawet na Zabieg. Och... Na jej policzkach pojawił się uroczy, lekki rumieniec. – Nie miałam na myśli, to znaczy, nie chciałam... Nigdy nie skrytykowałabym czyjejś decyzji.

Miałem coraz większą ochotę na drinka. Może by pomógł. W pokoju nagle zrobiło się trochę chłodno.

– I słusznie – zgodziłem się, wzruszając lekko ramionami, żeby pokazać, że mi to obojętne.

Nad ślicznymi oczami pojawiła się lekka zmarszczka.

– Ale... To znaczy, pan też z pewnością jest...?

– Kim? – Głupie pytanie, ale mnie zaskoczyła. Dawno nikt mnie tak szybko nie rozpracował. Większość ludzi uważa mnie za młodego faceta z drobnymi problemami skórnymi. Wyćwiczyłem nawet sztywny sposób chodzenia. Bolało mnie od niego wszystko, od pięt po szyję, ale dzięki niemu nie zwracałem niczyjej uwagi.

– Jednym z nas. Salamanem.

*

Urodziłem się w drugiej dekadzie tysiąclecia. Oczywiście najpierw spędziłem kilka lat w zamrażarce, a potem wiele kolejnych w stanie prawnego zawieszenia, zanim sprawa w końcu przeszła przez dość sądów, abym mógł otrzymać świadectwo urodzenia. Zapłodnienie nastąpiło jednak wtedy, kiedy tamten przemądry,

pieprzony doktorant pomieszał w DNA, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie, i chyba wtedy też zaczęło się moje życie.

Kiedy tego wtorkowego poranka Elizabeth Savoy przyszła do mojego biura, żyłem od trzydziestu jeden lat, choć wyglądałem ledwie na dwadzieścia. A czasem czułem się, jakbym miał pięćdziesiątkę.

Interesujący fakt: ludzie nie wiedzą, ilu dokładnie nas jest. Och, może się wam wydawać, że wiecie, a Wuj Sam wie na pewno, ale nie trzeba było wielu podłożonych bomb i zamieszek, zanim nawet rząd uznał, że może mądrze będzie wyciszyć sprawę. Kiedy tylko Sąd Najwyższy przedstawił swoją decyzję na temat naszego statusu jako ludzi, agenci federalni ruszyli do akcji i niemal wszystko na nasz temat zniknęło: liczby, cechy charakterystyczne, tożsamości. Czasami nawet pojawia się w sieci plotka, że jesteśmy wyłącznie mitem, co mi pasuje.

Z punktu widzenia rządu różnimy się od każdego innego obywatela tylko wtedy, kiedy sami tego chcemy. Administracja od początku się zarzekała, że zorganizowała akta tak, żeby nawet jej przedstawiciele nie wiedzieli, kto jest jednym z nas, dopóki sam nie postanowi się ujawnić. Trudno było w to uwierzyć, ale przynajmniej trzymali się od nas z daleka. Wszyscy odbyliśmy spotkania z psychologami; wszyscy wiemy, że z problemami zdrowotnymi lepiej pójść do jednego z oficjalnych specjalistów, niż zastanawiać się, czy

miejscowy lekarz pierwszego kontaktu będzie wiedział, z czym ma do czynienia; wszyscy jesteśmy świadomi, że przysługują nam fundusze, schroniska i ochrona przez resztę życia, jeśli jej sobie zażyczymy. A jeśli nie, dostajemy uścisk dłoni i życzenie powodzenia, na co nie zawsze może liczyć reszta obywateli.

Byłem bardzo ciekaw, jak ta klientka mnie znalazła. Nie miałem na drzwiach tabliczki z napisem „Usługi detektywistyczne dla Salaman”.

Mniej więcej jedna czwarta moich genów pochodzi od gatunku zwanego diabłem błotnym, sporego stworzenia, które jest niemal równie brzydkie jak reszta jemu podobnych (choć przynajmniej nazywa się w miarę przyzwoicie; a co, gdyby nasze DNA pobrano od odmieńca albo – litości – żabozęba?). Ten porąbany doktorant, Joey Handle, musiał być geniuszem, bo jak nikt przed nim manipulował i bawił się w Boga z esencją gatunków *Cryptobranchus alleganiensis* oraz *Homo sapiens*, aby stworzyć rasę obcych.

A w każdym razie zajął się tym na tyle poważnie, aby udowodnić sobie, że to potrafi. Nikt nie wie, czy miał zamiar kiedykolwiek odgrzać te wszystkie zamrożone zarodki i zobaczyć, czy ożyjemy, czy tylko wrzucić nas do ścieku. Podejrzewam, że to drugie. Ale zanim młody geniusz się zdecydował, rozszalali poplecznicy wielebnego Tommy’ego Bostitcha przejęli kontrolę nad jego laboratorium. Nie wiedzieli tak naprawdę, co się w nim kryje, poza tym, że jest to coś grzesznego. To tam nas

znaleźli i w mgnieniu oka wbili sobie do swoich naiwnych główek, że Bóg pragnie, aby dali nam życie.

Ludzie wielebnego Tommy'ego byli dość porąbani, ale co z kobietami, które dały się nabrać na jego gadkę? Serio: jak bardzo trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby zgłosić się na ochotniczkę i dać sobie wszczepić do macicy coś, co równie dobrze może się okazać potworem? Religijni popaprańcy naprawdę mnie wkurzają, chociaż zawdzięczam im życie.

Moja mama miała, zdaje się, szczęście. Po pierwsze, przeżyłem – większości Dzieci Handle'a to się nie udało. Po drugie, nie należała do bliskich zwolenniczek wielebnego Tommy'ego, więc nie zginęła wraz z innymi w nalocie, który odbył się kilka lat później. Poza tym byłem na tyle podobny do ludzkiego noworodka, że ludzie nie uciekali z krzykiem na mój widok. Ale zgłosiła się do wszczepienia tylko ten jeden raz. I na pewno winiła mnie za rozwód. W każdym razie naszej relacji nie można by nazwać ciepłą. Pewnie stuprocentowemu ssakowi niełatwo wzbudzić w sobie macierzyńskie uczucia względem dziecka, którego skóra jest nieco chłodna i może odrobinę oślizła... jak powiedziała moja klientka, po niektórych z nas widać bardziej niż po innych.

Jednak z jakiegoś powodu program rozrodczy nie zakończył się po pierwszej fazie wszczepień. Gdyby tak było, narodziłoby się nas znacznie mniej i wszyscy bylibyśmy rówieśnikami.

Mniej więcej rok po kradzieży embrionów przyszli na

świat pierwsi z nas. Jakiś miesiąc później rząd się zorientował, że dzieje się coś dziwnego. A potem... No cóż, kiedy miałem osiemnaście lat, sąd postanowił, że mam prawa obywatelskie.

Po kilku operacjach nie było po mnie widać. Mogłem nawet spać z kobietami i nie wzbudzać w nich przerażenia, ponieważ przeszedłem to, co moja klientka oględnie nazwała Zabiegiem (choć wciąż, tak jak pozostali, byłem niepłodny). W ciągu ośmiu lat, które przepracowałem jako prywatny detektyw, przyszedł do mnie ze zleceniem tylko jeden Salaman, a i on trafił do mnie przez przypadek.

Więc jak łatwo się domyślić, nie byłem zachwycony panią Savoy.

*

Szarpnąłem uchwyt szuflady biurka, wyciągnąłem butelkę i dwie szklaneczki, po czym nalałem do pełna. Wychyliłem swoją i znów napełniłem. Ku mojemu zaskoczeniu pani Savoy wzięła drugą szklaneczkę i wypijała połowę jej zawartości bez mrugnięcia okiem.

Może nie była taką świętoszką, na jaką wyglądała.

– No dobrze, czyli pani brat Harry zaginął – wróciłem do tematu. – Złożyła pani doniesienie o zaginięciu?

– Tak, ale policja nie zainteresowała się nim specjalnie.

– Wiem, powiedzieli pani, że jest dorosłym facetem, może wyjechać, jeśli zechce. – Ze względu na licencję

musiałem uważać na nakazy i zakazy obowiązujące prywatnych detektywów. Miałem kumpla w dochodzeniówce, ale nie chciałem prosić Franka o zbyt wiele przysług. – Wspomniała pani, że bratu niezbyt zależało na ukrywaniu swojego pochodzenia. Myśli pani, że mogło to mieć związek z jego zniknięciem?

– Trzeba to wziąć pod uwagę – powiedziała.

Faktycznie, trzeba było: mniej więcej raz do roku pojawiały się nagłówki o jakimś Salamanie, który nadepnął salafobowi na odcisk i został pobity, albo jeszcze gorzej.

– Tak, aktywizm może być niebezpiecznym hobby. Czym brat się zajmował?

– Miał przyjaciółkę, która...

– Przyjaciółkę czy bliską przyjaciółkę? – przerwałem jej.

– Myślę, że to było coś poważnego, ale nie jestem pewna. Spotkałam Eileen tylko kilka razy, ale Harry bardzo ją lubił. A potem, jakieś sześć tygodni temu, po prostu przepadła. Nawet nie zadzwoniła, wysłała mu tylko sms-a, że dłużej tego nie zniesie i jedzie do domu. Większość jej rzeczy wciąż była w mieszkaniu, ale jej samej nie zastał. Był przekonany, że coś się jej stało. Próbował ją odnaleźć. To jej imię na liście, tuż nad nim. A teraz on też zniknął.

Nazwisko Harry'ego było tym ostatnim, ręcznie napisanym na wydrukowanej liście.

– Kim są pozostali?

– Nie jestem absolutnie pewna, ale myślę, że wszystko to ludzie tacy jak my. – Wolałbym, żeby przestała to tak ujmować. – Znalazłam tę kartkę w szufladzie biurka Harry’ego dwa dni temu. Leżała na wierzchu, więc pomyślałam, że może to coś, nad czym pracował, plan spotkania, artykuł albo coś w tym rodzaju. Rozpoznałam dwa nazwiska, oczywiście poza Eileen. Z Imogen i Barbarą byłam na uczelni. Próbowałam je odnaleźć, żeby sprawdzić, czy Harry się z nimi kontaktował. Ale one też zaginęły. Obie.

Musiałem przyznać, że to raczej nie był zbieg okoliczności.

Przyjąłem więc czek i zabrałem się do roboty.

*

Harry mieszkał na trzecim piętrze w podupadłej dzielnicy miasta, w pobliżu wody. Sam ten adres sprawiłby, że zacząłbym żywić na jego temat podejrzenia. Kiedy wszedłem, otwierając drzwi kluczem otrzymanym od jego siostry, wiedziałem już na pewno: powietrze było tak wilgotne, że farba odłaziła ze ścian, a mimo pochłaniaczy wilgoci czuć było pleśń. Wszystko to mówiło mi, że Harry miał skórę, która tego wymagała. Wilgotność była jedną z przyczyn, dla których tylu ludzi takich jak on – okej, takich jak my – mieszkało w San Francisco. (Inną przyczyną była powszechna w tym mieście niechęć do wtrącania się w nie swoje sprawy). Ja z kolei między innymi z tego powodu mieszkałem w

Oakland, gdzie było co prawda bardziej sucho i cieplej, ale ludzie nie zastanawiali się odruchowo, czy jesteś „jednym z nich”.

Stałem w schludnym, niewielkim dwupokojowym mieszkanku, słuchając cichego szumu dwóch maszyn o przeciwstawnym działaniu – tej, która nawilżała powietrze, i tej, która zwalczała skutki wilgoci – i czekałem, aż to miejsce ukaże mi, jaki jest Harry. Widziałem, że dbał o porządek. Lubił niepokryte niczym podłogi, proste meble i kolor na ścianach. Niezbyt wiele książek, ale też wilgoć nie służy książkom, więc było to zrozumiałe.

Bardziej zainteresowało mnie to, że ktoś już przeszukał mieszkanie, i to tak ostrożnie, że jeśli samemu nie miało się na koncie wielu dyskretnych przeszukań, nie zauważyłoby się tego. Nawet ja bym tego nie dostrzegł, gdyby dzień był pochmurny albo gdyby Harry trochę mniej lubił słońce.

To zmusiło mnie do namysłu. W końcu jednak byłem tutaj za pozwoleniem siostry właściciela, a poza tym moją obecność z pewnością zarejestrowała kamera w okolicy. Szukałem więc dalej, rozglądając się za pluskwami, ale albo komuś, kto był tu wcześniej, lepiej szło rozmieszczanie podsłuchów niż odstawianie wazonów na ich miejsca na zakurzonych powierzchniach, albo żadnych nie było.

Brat mojej klientki lubił wilgoć, ale lubił też światło, co było nietypowe, zważywszy na wrażliwość oczu

większości Salamanów. Ściany miały kolor czystej bieli, żarówki w lampach były mocne, a cienkie zasłony w oknach zasłaniały raczej tylko przed spojrzeniami. Po kuchni zorientowałem się, że lubił gotować: znalazłem tam sporo woków i przypraw, więcej noży niż we francuskim bistro i ekspres do kawy wielkości małego samochodu. Daty przydatności do spożycia jedzenia w lodówce nie zawężyły za bardzo okresu, w którym zniknął, choć nie zauważyłem niczego, co byłoby przeterminowane.

To, jak bliskie było mu jego pochodzenie, nie obejmowało jednak gustu kulinarnego. Nie uwierzylibyście, czym próbują się raczyć niektórzy ludzie z jego – naszego – gatunku.

A może byście uwierzyli.

W szafie znalazłem walizkę, w łazience – szczoteczkę do zębów i elektryczną golarkę, a także torbę podróżną na zamek błyskawiczny w szufladzie. W niewielkiej wnęce przy drzwiach wejściowych wisiały płaszcz, prochowiec i kurtka skórzana, a jedyne wolne wieszaki były na w pół zasłonięte tymi zajętymi. Wszystko to sugerowało, że kiedy Harry wychodził, spodziewał się, że niedługo wróci.

Nacisnąłem kilka guzików ekspresu do kawy, wziąłem kubek czarnego mułu, który wyprodukował, i siadłem do biurka Harry'ego, żeby zabrać się do szuflad.

Pierwszą rzeczą, jaką znalazłem, było pudełko nabojów. Obok niego ułożona była puszka oleju i szmatka do czyszczenia. Pudełko było w połowie puste. Wstałem i

poszedłem sprawdzić wszystkie najczęstsze kryjówki: stolik nocny, miejsce za sedesem, pojemnik na mąkę. Nie znalazłem pistoletu.

Byłem ciekaw, czy ma pozwolenie na broń. W Kalifornii niełatwo je dostać.

Mój naparstek espresso wystygł, więc ponownie wcisnąłem guziki i pozwoliłem mocnemu syropowi ścieknąć do kubka, po czym wróciłem do biurka.

Cztery kubki później byłem trochę roztrzęsiony i wiedziałem już nieco więcej o Harrym Savoyu. Jego siostra powiedziała mi, że jest grafikiem, specjalizuje się w rysunkach architektonicznych i pracuje w domu. W pokoju, którego używał jako pracowni, było mniej wilgotno niż w innych pomieszczeniach, pewnie ze względu na sprzęt – poszedłem tam, kiedy wycisnąłem z biurka już wszystko, co się dało. Znalazłem komputer z najnowocześniejszym tabletem graficznym, potężny, zawieszony na ścianie monitor i drukarkę o szerokości metra. Większości sprzętu nie tknąłem, choć włączyłem komputer na dość długo, żeby stwierdzić, że prawie wszystkie pliki są chronione hasłami. Sam nie potrafiłbym się do nich dostać, ale miałem znajomego, który mógłby mi w tym pomóc, gdyby zaszła taka potrzeba.

Z papierowych dokumentów dowiedziałem się, że Harry zarabiał niezłe pieniądze i trochę inwestował. Jego maszynaria kazała mi się też domyślać, że większość przyjaźni utrzymywał online, przez WeWeb, choć miał też konto na Facebooku. Wyłączyłem komputer, nie

logując się na żadną z tych stron, a potem przez chwilę patrzyłem na kilka oprawionych zdjęć zawieszonych na ścianie nad biurkiem.

Harry był przystojny. Moja klientka o tym nie wspomniała – może siostra nie zwracała na to uwagi – ale na zdjęciach grupowych zawsze powtarzała się ta sama osoba, facet o mrocznej, poważnej twarzy, dzięki której na pewno przyciągał uwagę, nawet pomijając gibkość jego ruchów. Pistolet, uroda, pieniądze: może nie musiałem szukać powodu zniknięcia poza życiem osobistym starego Harry’ego.

Ale miałem zamiar jeszcze się rozejrzeć. Choćby dlatego, że musiałem zarobić na czek, który miałem w kieszeni. Spisałem numer jego telefonu z zachowanych rachunków, zrobiłem kopie wyciągów z konta z ostatnich kilku miesięcy. Miał notatnik z adresami. Był stary i podniszczony, zapewne trzymał go na wypadek awarii telefonu, ale zanotowałem kilka adresów, które wyglądały na najświeższe.

Nie znalazłem laptopa, pada ani telefonu.

Dokonałem jednak pewnego bardzo interesującego odkrycia w kryjówce tak sprytnej, że prawie ją przegapiłem – wewnątrz przewodu wentylacyjnego, pod jedną ze ścianek, która niczym nie różniła się od pozostałych. Wyciągnąłem to, co odkryłem, i usiadłem na podłodze, żeby się przyjrzeć: koperta formatu A4, pełna wydruków i wycinków – w sumie dziewiętnastu – od których mój umysł wirował przez chwilę, aż cichy głosik

podpowiedział mi, że może to dobra chwila, aby wyjść. I zabrać ze sobą kopertę.

Może jednak powinienem się przyjrzeć pozostałym nazwiskom na liście Elizabeth.

*

Kiedy w końcu późnym wieczorem wślizgnąłem się z powrotem do swojego mieszkania, stałem w ciemnościach przez całe wieki, usiłując dosłyszeć coś poza biciem własnego serca. Głupio zrobiłem, że tego dnia zostawiłem pistolet w sejfie. Głupio, głupio zrobiłem, że pozwoliłem sobie zapomnieć o nawykach paranoika.

Po niebywale długim czasie nie dostrzegłem żadnego ruchu. Żaden intruz mnie nie postrzelił, nie zadźgał ani nie zatłukł i nie słyszałem żadnego dźwięku spoza granic własnego ciała. Kiedy zmusiłem się w końcu do włączenia światła, tylko odbicie w lustrze odwzajemniło moje oszalałe spojrzenie – na szczęście nie miałem broni w rękę, bo strzeliłbym prosto w ścianę.

Ale to, że nikt na mnie nie czekał (i nikt nie ukrył się w łazience ani w szafie), nie oznaczało, że jestem bezpieczny. W ciągu dziewięćdziesięciu sekund chwyciłem broń, kapelusz, awaryjną torbę z pieniędzmi oraz czystą koszulę i wyszedłem z mieszkania.

Zostawiłem samochód tam, gdzie był zaparkowany, i ruszyłem piechotą.

Dzięki temu zapewniłem sobie bezpieczeństwo. Teraz musiałem zadbać o moją klientkę. To zawsze źle wygląda,

jeśli detektyw traci klienta. A poza tym pewnie będzie mi dużo zawdzięczać, kiedy już skończę pracę nad tą sprawą.

Oczywiście spała – dochodziła druga nad ranem. W każdym razie miałem nadzieję, że tylko śpi. Jej niewielki dom w Sausalito (kolejne miejsce o wilgotnym klimacie i z tolerancyjnie nastawionymi mieszkańcami) był pogrążony w ciemności, tak jak wszystkie okoliczne budynki, więc pogrzebałem przy zamku w drzwiach wejściowych i wszedłem do środka – gdybym zapukał na tyle głośno, żeby ją obudzić, obudziłbym też sąsiadów, nie wspominając o tym, że uprzedziłbym o swojej obecności każdego nieprzyjaciela, który mógł nasłuchiwać. Prawie dostałem zawału serca na widok kota: mignął mi niemal w ultrafiolecie, a potem z sąsiedniego pokoju rozległ się cichy odgłos biegnących łap. Od pociągnięcia za spust dzieliło mnie mgnienie oka, zanim mój mózg pojął, co to był za ruch, i zmusił mnie do powstrzymania się. Powoli odsunąłem palec, czując, że jest mi trochę słabo. Szczęście, że nie miała rottweilera.

Przez chwilę wdychałem powietrze, próbując wyczuć oznaki śmierci, przerażenia albo obecności krwi, ale w domu pachniało ładnie, jedzeniem i kwiatami. Pachniało nią. Tylko nią, co wskazywało, że mieszka sama.

Odchrząknąłem więc i zacząłem mówić półgłosem:

– Pani Savoy? Elizabeth? Tu Mike Heller, detektyw, którego pani wynajęła. Elizabeth, proszę cię, jeśli tu jesteś, musisz się obudzić. Tu Mike Heller... Dowiedziałem się rzeczy, które każą mi myśleć, że nie

jesteś tu bezpieczna. Przepraszam, że tak się zakradłem, to było konieczne. Hmm. Pani Savoy? Jest pani w domu? Tu Mike...

Światła zapaliły się nagle, oślepiając mnie. Oczy zdążyły mi się już przyzwyczaić do mroku. Moja prawa dłoń znów drgnęła i kilka razy mocno zamrugalem.

– Pan Heller? Co pan tu robi?

Wypuściłem powietrze. Przyrzekłem sobie, że po zakończeniu tej cholernej sprawy pojedę w jakieś miłe, spokojne miejsce. Oczywiście zakładając, że przeżyję. Opuściłem dłoń z pistoletem, ale go nie schowałem.

– Pani Savoy, obawiam się, że może pani być w niebezpieczeństwie. Musi pani spakować kilka rzeczy i pojechać ze mną.

– Teraz? Co to za szalona pora?

– Pora uciekać, jeśli chce pani przeżyć.

Ruch w ciemnym korytarzu przeobraził się w sylwetkę ubraną w obcisłą piżamę. Miała potargane włosy, zero makijażu i czerwoną pręgę od poduszki odcisniętą na policzku. Była prześliczna.

– Chodzi o Harry’ego, prawda? Czego się pan dowiedział?

– Wychodzę stąd za dwie minuty, z panią albo bez pani. Mogę opowiedzieć pani o Harrym później, kiedy już się upewnię, że jesteśmy bezpieczni. Jedzie pani ze mną czy nie?

– Nie mogę... Jak pan... Pan się włamał do mojego domu!

– Nie byłem pewien, czy ktoś pani nie obserwuje. Wciąż nie jestem.

– Niech się pan wynosi!

Zrobiłem krok w stronę drzwi.

– Jeśli tego pani chce, wyjdę. Ale jeśli nie będę miał pani przy sobie, nie będę mógł zapewnić pani bezpieczeństwa.

– Nie mogę tak po prostu wyjechać. A poza tym za kilka godzin muszę być w pracy!

– Niech pani zadzwoni i powie, że zachorowała. Pani Savoy, naprawdę chciałbym, żeby mi pani zaufała. Przysięgam, naprawdę nie jest tu pani bezpieczna. – Czujęm upływające sekundy, ale co miałem zrobić? Przywalić jej i wynieść ją z domu? Mogłem tylko przybrać uczciwy wyraz twarzy i czekać, aż się zdecyduje.

To, w jaki sposób to zrobiła, wstrząsnęło mną bardziej niż wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich – dość pracowitych przecież – dwudziestu czterech godzin. Zerknęła na pistolet w mojej ręce, a potem przeszła miękko przez pokój w tej seksownej piżamce i stanęła przede mną, przyglądając mi się swoimi zupełnie ludzkimi oczami. Potem ujęła moją twarz w dłonie, przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała.

Interesujący fakt: przy łączeniu odmiennych materiałów genetycznych nie da się przewidzieć, jak rozłożą się cechy obu gatunków. W komórkach salamander upakowane jest bardzo dużo DNA – zapewne

z tego powodu da się je łatwo krzyżować – ale bardzo niewielu z nas urodziło się z wyglądem jaszczurek (w każdym razie jeśli mówimy o tych, którzy przeżyli). Tylko garstka ma ogony, plamy na skórze albo cztery palce zamiast pięciu. Choć słyszałem o nielicznych biedakach, którym ogony uparcie odrastały po operacji, nigdy nie wierzyłem w to, żeby ktokolwiek z nas naprawdę potrafił wyrzucać język jak żaba albo wydzielać trujący jad przez skórę.

Nie ma jednak wątpliwości, że wielu z nas pod pewnymi względami zachowuje się inaczej niż przeciętny *Homo sapiens*.

Trzeba wspomnieć, że poważnym efektem ubocznym owego zwycięstwa w Sądzie Najwyższym było to, iż mamy takie samo prawo jak inni trzymać się z dala od naukowców (dlatego też czasami na WeWeb i Facebooku można się natknąć na ogłoszenia błagające o ochotników spośród Salamanów). Badacze wlepiają w nas spojrzenie pełne tęsknoty graniczącej z pożądliwością. Proponują nam spore sumy za uczestniczenie w badaniach, a potem z radością piszą uczone artykuły o każdej naszej osobliwości, od feromonów i wewnętrznych narządów płciowych (nauka interesuje się naszymi narządami przed Zabiegiem w równym stopniu jak brukowce) po oczy wrażliwe na ultrafiolet. Ten z nas, który potrafiłby udowodnić, że jakaś jego blizna zniknęła albo uszkodzony palec się zregenerował, i nie miałby nic przeciwko spędzeniu reszty życia pod mikroskopem, nie musiałby

więcej przepracować ani dnia.

Jednak jednym z tematów, którego nigdy nie poruszano w literaturze, zapewne dlatego, że badaczom nie przyszło do głowy o to zapytać, były nietypowe cechy błon śluzowych Salamanów.

Elizabeth Savoy mnie nie całowała, tylko szukała smaku prawdy. Nie spieszyła się z tym i obojgu nam bez wątpienia sprawiło to przyjemność, ale oboje wiedzieliśmy, co robi. I oboje wiedzieliśmy, co wyczuła.

Bez słowa wróciła do sypialni. Usłyszałem wysuwaną szufladę.

Wyłączyłem górne światło, które zapaliła jakimś pilotem, i poszedłem do kuchni, gdzie zniknął przed chwilą kot. Światło palące się na ganku domu sąsiada wyłoniło z mroku szafki; zacząłem je otwierać jedną po drugiej, aż znalazłem torbę suchej karmy, którą otworzyłem i postawiłem na podłodze. Napelniłem wodą dużą miskę i postawiłem obok torby. Kiedy zająłem się już kocimi obowiązkami mojej klientki, przysunąłem twarz do okna, zastanawiając się nad możliwymi wyjściami. Byłem ciekaw, czy to, czego dowiedziałem się w domu Eileen Jacobs, było tylko skutkiem wpływu kawy Harry'ego na moje nerwy. Wydawało mi się jednak, że nie.

Upłynęły ponad dwie minuty, które jej dałem, ale nie więcej niż trzy, kiedy usłyszałem splukiwaną wodę w łazience i zbliżające się kroki. Moja klientka wyjęła kurtkę z szafy wnękowej przy drzwiach, włożyła ją i

podniosła niewielką torbę.

– Wzięłaś całą gotówkę, jaką masz? – zapytałem. – Konieczne leki, okulary, dokumenty?

– Gotówkę, nieco biżuterii, prawo jazdy i paszport. Nie potrzebuję leków ani okularów.

– Wyłącz komórkę. A jeszcze lepiej wyjmij baterię.

Wyciągnęła kosztownie wyglądający plastikowy gadżet, kciukiem podniosła obudowę z tyłu, po czym wsunęła baterię i nie działające już urządzenie do kieszeni torby.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami, przez niewielki ogródek i bramę, a potem wspięliśmy się krętymi schodami, oddalając się od wody, w stronę miejsca, gdzie zostawiłem motocykl pożyczony od znajomego z Berkeley, bez jego wiedzy. Na dwóch kółkach, a potem czterech wywiozłem moją klientkę z okolic San Francisco, czasami wracając po własnych śladach, myśląc tropy tak, jak tylko potrafiłem, całą uwagę skupiając na lusterku wstecznym i mówiąc Elizabeth tylko tyle, żeby ją przy sobie zatrzymać. W końcu późnym popołudniem zatrzymaliśmy się w przeciętnym motelu w Sacramento i wynajęliśmy pokój z dwoma łózkami, podając się za małżeństwo.

Odwróciła się do mnie, kiedy tylko zamknęły się za nami drzwi.

– No dobra, cały dzień mnie zbywałeś, bo musiałeś pilnować naszych tyłków. Czy zatem w końcu jesteśmy dość bezpieczni, żebyś mógł odpowiedzieć na kilka

cholernych pytań?

– Tak, ale...

– Chryste!

– Posłuchaj, Elizabeth. Jestem zmęczony i wkurzony. Nawet ty wyglądasz, jakbyś miała ochotę kopnąć szczeniaka. Idź pod prysznic, ja skombinuję jakieś jedzenie, napijemy się czegoś, a potem będziemy rozmawiać tak długo, jak zechcesz.

Zawahała się, ale była na tyle szczerą wobec samej siebie, że zew prysznic wygrał z niecierpliwością.

Zadzwoniłem do pobliskiej knajpy z chińszczyzną na wynos i powiedziałem facetowi, że dodam spory napiwek, jeśli po drodze kupi sześciopak zimnego piwa i coś dziewczynskiego z czekoladą. Dostawa przyjechała, kiedy moja klientka kończyła długi, gorący prysznic. Zapłaciłem dostawcy gotówką, pochylając nieco głowę, w razie gdyby ktoś w okolicy pokazywał moje zdjęcie. Wyszła z łazienki, a ja zająłem jej miejsce. Zamykając drzwi, usłyszałem syk otwieranego piwa.

Przyznaję: przez większość życia udaję, że nie czuję, jak napięta jest moja skóra, że suche powietrze nie jest dla mnie jak papier ścierny, ale czasami nie potrafię nie rozkoszować się cudownym uczuciem zanurzenia się w wodzie. To była właśnie taka chwila.

Zdażyłem wytrzeć się tylko w połowie, kiedy usłyszałem, że mnie woła. Jej głos brzmiał tak, że wypadłem z łazienki z bronią w jednej ręce i rogami ręcznika w drugiej.

Wlepiała wzrok w telewizor nadający wiadomości o szóstej. Młody reporter stał przed miejscem, którego na pierwszy rzut oka nie rozpoznałem, i to jedynie po części dlatego, że widziałem je tylko nocą. Przede wszystkim chodziło o to, że domu, który wcześniej tam stał, już nie było.

– ...wezvano straż, ale zanim wozom udało się wjechać wąskimi, stromymi ulicami tej zamieszkaney przez artystów i bohemy dzielnicy, dom już płonął. Sytuację opisuje sąsiadka, Alison Stanford.

Sąsiadka Alison Stanford była drobniutką Japonką koło sześćdziesiątki, którą wyróżniały artystowskie ubrania i rozemocjonowana mina. Przejętym tonem zrelacjonowała, jak obudziły ją syreny, jak zobaczyła „pożogę” (jej słowo) i że teraz czeka na wieści, czy miła kobieta, która tam mieszkała, przeżyła.

– Znalazłam jej kota za swoim domem – dodała pani Stanford. – Trochę trwało, zanim pozwolił mi się zbliżyć, ale zabrałam go do siebie. Mam nadzieję, że jego właścicielce nic się nie stało.

Pani Stanford wyglądała raczej na podekscytowaną tą chwilą sławy niż zmartwioną losem sąsiadki. Wróciłem do łazienki, żeby zamienić ręcznik na spodnie i czystą koszulę, a potem wyszedłem, wyciągnąłem pilota z zaciśniętej dłoni mojej klientki i wyłączyłem telewizor. Zapadła cisza.

Elizabeth nabrała tchu, co zabrzmiało jak szloch, a potem podniosła na mnie wzrok.

– Harry nie żyje, prawda?

– Nie wiem. Dowiedzenie się tego jest drugim punktem na mojej liście spraw do załatwienia. Pierwszym jest utrzymanie cię przy życiu.

– Ale dlaczego ktoś miałby chcieć mojej śmierci?

– Ktoś przeszukał mieszkanie twojego brata. Dom Eileen też. – Podałem jej kopertę z wycinkami. – Twój brat je ukrył, i to bardzo starannie.

Wyciągnęła kartki, czternaście wydruków i trzy wycinki z gazet: artykuły z miejsc rozrzuconych po całym kraju. Połapanie się, o co chodzi, nie zajęło jej dużo czasu, ponieważ wszystkie historie wyglądały tak samo – ktoś zmarł, zniknął albo najpierw zniknął, a potem znaleziono go martwego.

Cztery nazwiska widniały na liście, którą dała mi w moim biurze poprzedniego ranka.

Rozmiary artykułów wahały się od pięciu centymetrów w kolumnie do połowy pierwszej strony gazety z małego miasteczka. Przeczytała trzy teksty, fragmenty kolejnych pięciu, a resztę tylko przejrzała. W końcu złożyła kartki na stertę i podniosła na mnie oczy. Wyglądała na zagubioną... i przestraszoną. Dobry znak.

– To wszystko... nasi, prawda?

– Salamanowie? Trudno stwierdzić z pewnością, ale tak sędzę.

Tylko dwa artykuły wspominały o tym otwarciu, trzy inne opisywały ofiary jako „zamknięte w sobie” (czyli niechętnie zapraszali gości do domu), a pięć zawierało

cytaty dotyczące niekonwencjonalnej urody zaginionej bądź martwej osoby: ten gibki wdzięk robił swoje.

– Ale... aż tylu? Jak to możliwe, że policja o tym nie wie?

Oto sedno sprawy. Rozumiałem, dlaczego gliny tego nie wyłapały: każda baza danych potrzebuje jakiegoś podobieństwa między przestępstwami, żeby wyłapać prawidłowość, a tu chodziło o zniknięcie ośmiu zupełnie niezwiązanych ze sobą osób z całego kraju. Jedyńm, co ich łączyło – jeśli Harry i jego siostra mieli rację – były geny. A gdyby agenci federalni zwrócili jednak uwagę na to, co się działo, przyznaliby tym samym, że ich polityka niewnikania w społeczność Salamanów nie jest tak konsekwentna, jak twierdzili.

Nie po raz pierwszy agencja rządowa z zimną krwią wybrałaby chronienie samej siebie, a nie względy humanitarne. Tym bardziej że spora część społeczeństwa nie uznawała nas tak naprawdę za ludzi.

Moja klientka pociągnęła nosem. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że spuściła wzrok na butelkę z piwem, a po jej policzku płynie łza.

– Przynajmniej mój kot ocalał – powiedziała.

Uświadomiłem sobie wtedy, że sam ściskam szyjkę butelki tak mocno, że tracę czucie w palcach. Byłem wściekły. Od lat nie byłem taki wściekły. Jeśli agenci mogli temu zapobiec, ale tego nie zrobili, jeśli siedzieli z założonymi rękami, podczas gdy Elizabeth Savoy trafiła na obrzydliwą listę jakiegoś salafoba...

Odstawiłem butelkę i podałem klientce pudełko z restauracji i pałeczki.

– Jedz – nakazałem jej i usiadłem, żeby do niej dołączyć.

Kiedy oboje już trochę zwolniliśmy, powiedziałem:

– No dobrze. Opowiedz mi jeszcze raz, skąd znasz ludzi na liście Harry’ego.

– Tak jak mówiłam, znam tylko Eileen i Harry’ego. Z dwiema dziewczynami, Imogen i Barbarą, byłam na uczelni, ale nie widziałam ich od lat. Jak się teraz zastanawiam, ten Hal Andrews... Imogen chodziła kiedyś z jakimś Halem, mógł mieć na nazwisko Andrews, ale nie jestem pewna. A ten Benny? Jak przez mgłę pamiętam, że Harry wspominał o kimś o tym imieniu, kiedy mieszkał w L.A. Inne nazwiska nic mi nie mówią.

– Utrzymywałaś kontakt z ludźmi z uczelni, ale się nie widywaliście?

– Och, dawno temu straciliśmy się z oczu, ale potem oni dołączyli do grupy Harry’ego na WeWeb i odnowiliśmy kontakt.

– Opowiedz mi o tej grupie.

– Jeśli myślisz, że jacyś prześladowcy odnajdują nas dzięki niej, chyba się mylisz. Harry był... jest... bardzo ostrożny. Każdy, kto chce do niej przystąpić, musi poczekać na osobiste spotkanie. Harry zawsze się upewnia. Nie, myślę, że byłoby bardzo trudno wkręcić się na tę imprezę bez zaproszenia.

Przełknąłem kilka kęsów zimnej wołowiny kung pao,

myśląc, że nie o wkręcanie się na imprezę mi chodziło.

Czułem w kieszeni dwa wydruki, które wyciągnąłem z koperty Harry'ego, zanim dałem ją jego siostrze.

Były to dwa zrzuty ekranu z portalu społecznościowego WeWeb. Jedna strona należała do Eileen Jacobs i toczyła się na niej dyskusja o filmie, do którego stworzyła scenografię. Druga przedstawiała konto mężczyzny o nazwisku Bill Mayer. Zamieszczał głównie wpisy o dziecięcej drużynie baseballu, której, zdaje się, był trenerem.

Jednak te krótkie wyimki z dwóch kont na WeWeb nie były powodem, dla którego wyjąłem owe kartki z koperty i dla którego moim zdaniem znalazły się w ogóle w tajnej kolekcji Harry'ego. Chodziło o ogłoszenia zamieszczone w bocznym pasku okna. Pierwsze z nich, widoczne na stronie Billa Mayera, pochodzące z zeszłej jesieni, brzmiało tak:

JESTEŚ SALAMANEM? 500 DOLARÓW ZA GODZINĘ ZA UCZESTNICTWO W BADANIU. ŁATWO, SZYBKO, DYSKRETNIE, ANONIMOWO. MOŻESZ POMÓC INNYM I SZYBKO ZAROBIĆ.

Potem następował link z adresem kontaktowym. Drugie ogłoszenie – z profilu Eileen, sprzed dwóch miesięcy – sformułowano dokładnie tak samo, poza jednym wyjątkiem.

Oferowana zapłata wzrosła do pięciu tysięcy dolarów.

*

Napoiłem klientkę kolejnym piwem, a potem poczęstowałem czekoladą. Wkrótce powieki zaczęły jej opadać. Przykryłem ją kołdrą, wyrzuciłem puste pudełka do kosza i wyciągnąłem się na drugim łóżku.

– Dziękuję, Mike – powiedziała sennym głosem.

– Nie ma za co, skarbie. Hej, mogę cię o coś zapytać?

– Hmm?

– Jak mnie znalazłaś?

– Zauważyłam cię w barze jakieś pół roku temu. Ktoś, z kim tam byłam, pokazał mi ciebie, powiedział, że jesteś prywatnym detektywem. Na pierwszy rzut oka się zorientowałam.

– I tyle czasu zajęło ci znalezienie pretekstu do zatrudnienia mnie, hej?

– Hmm – mruknęła i chwilę później chrapała w poduszkę.

Pocałunek, którym mnie obdarzyła, nie miał nic wspólnego z flirtem. Wiedziałem o tym. Mimo to nie mogłem się powstrzymać przed wspomnianiem go, kiedy tak leżałem, wlepiając wzrok w sufit, dwa cnotliwe metry od niej.

*

Następnego dnia moim pierwszym zadaniem było ukrycie Elizabeth w jakimś bezpiecznym miejscu. Przez dwadzieścia minut jeździłem w kółko, zanim znalazłem

przedstawicielkę tego zagrożonego wymarciem gatunku – budkę telefoniczną, ale kiedy już wykonałem telefon, w zaledwie kilka godzin pojawił się jeden z dwóch facetów, do których mam bezgraniczne zaufanie, i zabrał Elizabeth. Nie chciała jechać, ale w końcu się zgodziła.

Krok drugi – komputer w miejscu publicznym.

Jestem wielkim fanem bibliotek: informacje, wygoda i bezpieczeństwo w jednym. Przez lata stowarzyszenia bibliotekarzy zażarcie walczyły o prawo do prywatności, dzięki czemu są lepiej zabezpieczone przed szpiegami niż kafejki internetowe. W tej bibliotece była nawet kawiarnia. Dobrze się składało, bo tego, co robiłem, nie dało się załatwić szybko.

Jednak zanim bibliotekę zamknięto, targetowana reklama zdążyła się pojawić z boku strony na nowiutkim koncie, które dopiero co założyłem na WeWeb mojemu zmyślonemu Salamanowi, Juliowi Rogersowi. Julio był nowy na WeWeb z powodów, których nie zdradził, choć robił aluzje („Musiałem wyjechać, rozumiecie...”), miał problemy z pisaniem i nieskrywane przykławy gniewu, a także żywo się interesował prawami Salamanów.

Algorytm wykrywający właściwą grupę docelową zareagował na to, że Julio wspominał o Salamanach, i wysłał mu propozycję zarobienia gotówki SZYBKO, DYSKRETNIE, ANONIMOWO.

Oferta dla Julia wynosiła już siedem i pół tysiąca dolarów. To oznaczało, że albo dostali spore fundusze, albo wpadali w desperację. Nieważne. Julio, któremu też

było to obojętne, wysłał e-maila na zamieszczony adres.

Tę noc spędziłem w innym motelu. Przyśniły mi się niebieskie oczy.

Następnego ranka poszedłem do innej biblioteki, zalogowałem się na konto Julia, po czym rozsiadłem się wygodniej, z uśmiechem na ustach.

Dziękujemy za zainteresowanie SalaMan Research Enterprises (SRE). Jeśli szczyć się Państwo salamańskim pochodzeniem, witamy! Nasi badacze wywodzą się ze środowisk naukowych University of California, Stanford University, Yale University oraz innych szkół medycznych i są doskonale wyszkoleni w kwestii ochrony danych osobowych. Nasz projekt ma na celu sprostanie szczególnym wymaganiom zdrowotnym społeczności Salamanów, a jego początkowe etapy wymagają jedynie poddania się piętnastominutowej ankiecie oraz zwykłemu badaniu krwi. Jeśli chcą Państwo dowiedzieć się czegoś o naszej pracy i o tym, jak możemy Państwu pomóc, zapraszamy na publiczne spotkania odbywające się na terenie całego kraju. Państwa obecność na nich zostanie opłacona i nie zobowiąże Państwa do uczestniczenia w dalszych etapach badania.

(UWAGA: DNA kandydatów zostanie przebadane tuż po przybyciu na miejsce, przed uiszczeniem opłaty. O kandydatach podających na swój temat fałszywe informacje zostanie powiadomione WeWeb).

Pod oficjalnym, wysyłanym automatycznie e-mailem widniał podpis człowieka, którego nazwisku towarzyszyło sporo skrótów, a na liście publicznych spotkań znalazłem – niespodzianka! – jedno, które miało się odbyć o czternastej w sobotę, czyli pojutrze, w sporym centrum konferencyjnym oddalonym niecałe osiemdziesiąt kilometrów od biblioteki, w której pracował Julio.

Julio potwierdził swoje przybycie, a potem się wylogował i pospiesznie opuścił bibliotekę, aby nigdy więcej do niej nie wrócić.

Resztę tego dnia i większość piątku spędziłem, jeżdżąc między możliwie oddalonymi od siebie bibliotekami. Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, o których wiadomości zebrał Harry w swojej kopercie.

W sobotę po południu byłem w centrum konferencyjnym, zaciekawiony spotkaniem informacyjnym SRE i tym, czy mają zamiar od razu wyciągnąć broń, czy ograniczą się tylko do środków uspokajających.

*

Nie udało mi się wnieść kamery do samego pomieszczenia, gdzie miało się odbyć spotkanie, ale ta, którą wsunąłem w kompozycję kwiatową w korytarzu, zadziałała świetnie. O wpół do drugiej w sobotę korytarzem przeszli trzej mężczyźni. Kamera wyraźnie uchwyciła twarze, a ich wzrost można było obliczyć

dzięki znaczkowi, który zostawiłem na ramie obrazu wiszącego na ścianie. Dwaj z nich byli mięśniakami, jeden wyglądał na szefa. Jeden z roślących facetów przyniósł tablicę ogłoszeniową na trójnogu i ustawił ją tyłem do kamery, ale zdążyłem dostrzec, że widnieje na niej tekst wprowadzający w stylu korporacyjnym, czego można się było spodziewać, wybierając się do sali konferencyjnej. Drugi mięśniak trzymał pudło, bez wątpienia pełne pozbawionych znaczenia formularzy i wyposażenia, które miało uśpić czujność naiwniaków i zachęcić ich do wejścia na salę.

Wyglądało na to, że tego dnia jedynym naiwniakiem był Julio. Jego ostatnim czynem na tej ziemi było wysłanie e-maila o 14.04, w którym pisał, że przeprasza, że zmienił zdanie, może kiedy indziej...

O 14.12 trzej mężczyźni wyszli z sali ze zdecydowanie mniej przyjaznymi minami. Jeden niósł pudło z bezładnie powrzuconymi do środka przedmiotami. Oddalili się od mojego punktu widzenia, po czym szef wskazał za siebie kciukiem, a drugi ochroniarz obrócił się szybko i wrócił po tablicę na trójnogu. Gdybym to ja stał za kwiatami, a nie moja kamera, wałnęłoby mnie w głowę.

O 14.14 wyszli bocznymi drzwiami hotelu, wepchnęli rzeczy do bagażnika lśniącego, czarnego samochodu i odjechali. Wcisnąłem przycisk „wyślij” na laptopie, na którym to wszystko oglądałem, odłożyłem go na siedzenie pasażera i sam wrzuciłem bieg.

Interesujący fakt: gliny zwracają uwagę, jeśli

dostarcza się im możliwy do potwierdzenia dowód, że właśnie jest popełniane przestępstwo. Zgłoszenia telefoniczne mogą dotyczyć czegokolwiek, papierowe listy mogą zniknąć, ale kiedy zawiadamia się o wysłaniu pliku elektronicznego, a potem faktycznie się go wysyła, niechętnie ignorują ten trop.

E-mail z załączonym plikiem wideo wysłałem Frankowi, Glinie i mojemu... no, może nie nazwałbym go przyjacielem, ale współpracowaliśmy kilka razy i piliśmy kilka razy więcej. Lubiałem Franka i wiedziałem, że jest uczciwy, ale też chciałem się trochę zabezpieczyć. Żaden policjant nie chce mierzyć się w sądzie z prawnikiem dysponującym dowodami w sprawie śmierci, której policja mogła zapobiec.

Na przykład mojej śmierci.

Pojechałem za nimi. Mogłem trzymać spory dystans dzięki niewielkiej, pulsującej kropce na ekranie mojego odbiornika GPS. Kiedy czekali na Julia, miałem aż nadto czasu, żeby przykleić im pluskwę pod błotnikiem. Czyż technologia nie jest świetna?

Jest jednak trochę mniej świetna, kiedy śledzeni ludzie przesiadają się do innego samochodu i zostawiają sprytny, pulsujący punkcik w jednym miejscu, dopóki nie wyczerpie się bateria nadajnika. Myślałem, że to właśnie się zdarzyło, kiedy przejechali jakieś dziesięć kilometrów, a potem zatrzymali się przed przydrożną kawiarnią.

Miałem jednak szczęście. Mięśniaki faktycznie wyciągnęły sprzęt z bagażnika i wsiadły do drugiego

samochodu, ale mój lśniący czarny cel natychmiast znów wyjechał z parkingu, włączył prawy kierunkowskaz i po dwóch minutach znalazł się na autostradzie na północ.

Dwie godziny później zostawiliśmy już autostradę daleko za sobą, a ruch na węższej drodze był tak niewielki, że nie śmiałem zbliżyć się do obiektu na mniej niż kilometr. Wyglądało na to, że facet planuje wjechać stanowi Nevada w sam tyłek, nie robiąc sobie nawet przerwy na kawę. Ja natomiast ziewałem rozdzierająco, mój pęcherz domagał się uwagi, a miganie różowego punkcika na ekranie tak mnie ogłupiło, że czułem się jak zahipnotyzowany.

Kiedy zauważyłem, że punkcik przestał się poruszać, znalazłem się już zbyt blisko, żeby zrobić cokolwiek poza wyminięciem go i popędzeniem dalej.

Kierowca, który wciąż miał na sobie marynarkę i krawat, właśnie wsiadał z powrotem do wozu, otworzywszy bramę w ogrodzeniu przy drodze. Zerknął na mnie i zobaczył tylko przykurzony samochód i znudzonego kierowcę trącego oczy. W lusterku wstecznym zobaczyłem, że wjeżdża w boczną drogę, a potem znów wysiada i zamyka za sobą bramę. Nie zdjąłem nogi z gazu, dopóki nie zostawiłem go za zakrętem. Wtedy zjechałem na pobocze i wyłączyłem silnik.

Chwyciłem plecak z siedzenia obok, po czym zmusiłem swoje zeszywniałe nogi i pękający pęcherz do wspięcia się na pobliskie wzgórze, aż pojawiła się chmura

pyłu wzbita przez lśniący niegdyś samochód. Przez chwilę obserwowałem go gołym okiem, a potem, kiedy ręce miałem już wolne, a pęcherz pusty, wyjąłem z plecaka lornetkę w samą porę, żeby zobaczyć, jak samochód znika za niskimi wzgórzami.

Nie spodziewałem się, że tak daleko od cywilizacji uda mi się połączyć z siecią, i miałem rację. Napisałem jednak e-maila na laptopie, kliknąłem „wyślij”, a potem zamknąłem laptopa i schowałem w bagażniku. Gdyby nie udało mi się wrócić, ktoś by go w końcu znalazł, a po jego uruchomieniu Frank dowiedziałaby się, gdzie byłem przed śmiercią.

Wepchnąłem do plecaka kilka rzeczy, które wydawały mi się przydatne, a potem przeszedłem na przeciwną stronę drogi, kierując się ku czarnemu samochodowi.

*

Jak na wiejską drogę w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, był tu zaskakująco duży ruch. Zanim zapadł zmrok, zdążyły przejechać trzy pojazdy: biała furgonetka, która dostarczyła jakieś pudła i wyładowane worki z jedzeniem, po czym odjechała; niewielki czerwony jeep z chudym, siwym mężczyzną za kierownicą; a godzinę później, o zmroku, znów pojawił się czarny samochód, tym razem opuszczając posesję.

Wszystkie jechały do albo z rozległego, jednopiętrowego budynku z betonu, pokrytego stalowym

dachem w kolorze wypłowiałego błękitu. Jedyne okna znajdowały się po obu stronach wejścia, choć okrążywszy budowlę, znalazłem dwoje kolejnych drzwi, na tyłach i na zachodniej ścianie. Były stalowe i wyglądały na solidne. Na pytanie, czy ich zamki były równie mocne, mogłem odpowiedzieć sobie, dopiero otwierając je.

Dwa okna były zasłonięte od środka, jedno żaluzjami, a drugie zasłonami. Światło za żaluzjami zgasło około dziesiątej wieczorem; okno z zasłonami zniknęło w ciemnościach około wpół do dwunastej.

O pierwszej nad ranem wymknąłem się zza drzew rosnących naprzeciwko drzwi od zachodu. Nie zauważyłem żadnych kamer, a choć nad drzwiami paliło się światło, unieszkodliwiłem je szybkim dźgnięciem gałęzią.

Chwilę mi to zajęło, nawet z moim nielegalnym, nowatorskim wytrychem. Kiedy zamek w końcu puścił, przyrzekłem sobie, że napiszę list z podziękowaniem do gościa, który to narzędzie wynalazł.

Wyciągnąłem pistolet i ruszyłem. Zanim zamknąłem za sobą drzwi, wiedziałem: w środku byli Salamanowie. W wilgotnym powietrzu unosił się smród strachu i cierpienia.

Pozwoliłem drzwiom zamknąć się bezgłośnie i zacząłem ich szukać. Zacząłem szukać – no dobra, niech będzie – swoich.

Diabeł błotny nie należy do salamander, które żyją pod ziemią, więc jego oczy są mniej wrażliwe. Mimo to

bez trudu zorientowałem się w kształcie korytarza i rozmieszczeniu drzwi, z których części nie zamknięto. Nie zaskoczyło mnie też to, że jedne z nich otwierały się na schody: domyśliłem się, że pod ziemią budynek może dorównywać rozmiarami części naziemnej.

Nie była to nowa konstrukcja, choć w ciągu ostatniego roku ściany pomalowano, a linoleum wyszorowano. Nie potrafiłem się domyślić, jaką funkcję budynek pełnił wcześniej – na tym pustkowiu pewnie nie było to nic legalnego.

Teraz też nie. Tamto ogłoszenie na WeWeb obiecywało łatwe pieniądze, ale to, co dostali Salamanowie, którzy zareagowali, nie miało nic wspólnego z pieniędzmi i z pewnością nie było łatwe. Podczas mojej ostatniej rundy po bibliotekach, kiedy namierzałem nazwiska zebrane przez Harry'ego, dowiedziałem się, co łączyło tych ludzi poza pochodzeniem.

Na przykład całkiem spora grupa miała problemy finansowe. Kilkoro straciło pracę, inni mieli na głowie hipotekę, rozwód albo utrzymanie dzieci (adoptowanych, ale to też rodzina). Z tego, czego mogłem się domyślić, nie logując się na domowym komputerze Harry'ego, wszyscy należeli do jego grupy na WeWeb. Każde z nich miało konto na tym portalu, co samo w sobie nic nie znaczyło, ponieważ większość mieszkańców kraju miała tam konto, ale u wszystkich niektóre wpisy były ukryte.

Jeśli jego siostra miała rację, trudno byłoby

zinfiltrować grupę. Nie miałem jednak wątpliwości, że ktoś bystry i cierpliwy mógłby stworzyć reklamę skierowaną do osób używających balsamu kojącego skórę Salamanów, popierających pewnych polityków lub spełniających setki innych kryteriów i wysłać im ją.

A kiedy ci biedacy odpowiedzieli, trafili tutaj.

Do laboratorium badawczego.

Metalowe schody prowadziły do drzwi. Choć były zamknięte, oczy zaczęły mi łzawić od smrodu, których się zza nich wydostawał. Nabrałem głęboko tchu i wszedłem.

Kolejny długi korytarz ze stalowymi drzwiami po obu stronach. W każdych drzwiach było niewielkie, zakratowane okienko. Za niektórymi błyszczały oczy.

Zająłem się kamerą nad wejściem, a potem podkradłem do najbliższych drzwi i szepnąłem:

- Są tu jacyś strażnicy?
- Kim... kim jesteś? – Męski głos, pełen wahania.
- Mów!
- Strażnicy? Nie, ale jest kamera...
- Gdzie klucze?
- Klucze?

Albo nie zrozumiał pytania, albo go wystraszyłem. Przyszło mi do głowy, że ci, którzy go tu trzymali, mogli nim manipulować i bał się, że to jedna z ich gier. Nie miałem jednak czasu się nad nim rozczulać.

– Przyszedłem was wypuścić, ale musicie mi pomóc. Przysłała mnie siostra Harry'ego – spróbowałem do niego trafić.

– Lizzie?!

Był tak zaskoczony, jakbym powiedział, że przybywam z nakazu Jezusa i Najświętszej Panienki.

– Facet, klucze!

– Jeden klucz do wszystkich cel, wisi koło drzwi – odparł w końcu.

Rzuciłem się do drzwi, chwyciłem zwykły klucz i wbiłem w zamek. Myślałem, że będę musiał siłą wyciągać mężczyznę z celi, ale wyszedł z własnej woli. Rzuciłem mu klucz.

– Wypuść resztę – powiedziałem, ale klucz spadł na podłogę. Podniosłem go szybko, przeklinając niezdarność uwolnionego. Wyciągnął przed siebie dłonie, żebym mógł je zobaczyć.

W półmroku wyglądały dziwnie, bardziej jak kikuty. Z narastającym przerażeniem dostrzegłem, że to faktycznie kikuty: nie miał palców. Ani jednego.

– Badanie nad regeneracją – powiedział głosem tak ściśniętym, że nie brzmiał ludzko.

Przez moment miałem wrażenie, że moja skóra zrobiła się o rozmiar za mała. Przełknąłem ślinę i odwróciłem się do drugich drzwi.

W tym lochu zamknięto jedenaścioro więźniów. Każdemu czegoś brakowało. Jedna z kobiet miała palce długości może dwóch centymetrów. Bóg jeden wiedział, od ilu miesięcy tam siedziała. Twarz innej kobiety nawet w prawie całkowitych ciemnościach byłaby piękna, gdyby nie zmasakrowane oczy...

Chudy mężczyzna z jasną albo siwą brodą przepchnął się obok mnie, aby objąć oślepioną kobietę, która najpierw odsunęła się gwałtownie, a potem krzyknęła: „Bill!” i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Cisza! – rozkazałem, po czym szepnąłem Billowi: – Zaprowadź ją do drzwi, zaraz idziemy na górę.

Otworzyłem dwie ostatnie cele, ale jeden z więźniów się nie wyłonił. Kiedy wszedłem do środka, zrozumiałem dlaczego.

Nie wiem, jak długo tam stałem, rozdarty między porzuceniem osoby, która niebezpiecznie spowolniłaby naszą ucieczkę, a zostawieniem kogoś w tym straszliwym miejscu. W końcu zdałem sobie sprawę, że ktoś stanął obok mnie. Był to pierwszy mężczyzna, którego uwolniłem.

– Jesteś Harry? – zapytałem.

– Tak. A ty?

– Mike Heller. Wynajęła mnie twoja siostra. Znalazłeś tu swoją dziewczynę? Eileen?

– Zmarła.

– Przykro mi.

– Zanim się tu dostałem. Chcesz, żebym ją poniósł? – zapytał, wskazując dziewczynę leżącą na pryczy.

– Dasz radę?

– Mogę chociaż spróbować.

Siedział tutaj tylko dwa tygodnie, więc miał znacznie więcej sił niż pozostali. Pomogłem mu zarzucić ją sobie na plecy i choć wydał z siebie jęk, kiedy jego ręka otarła

się o jej kolano, objął jej nogi ramionami i odwrócił się w stronę drzwi.

Ich jedenaścioro – nie, nas dwanaścioro – zebrało się przy drzwiach. Uniosłem broń i szepnąłem:

– Za drzwiami są schody, a potem korytarz. Skręćcie w lewo, a jakieś dziesięć metrów dalej znajdziecie wyjście na zewnątrz. Trzymajcie się jednej strony korytarza, żebym miał czystą linię wzroku. Najszybciej znajdziecie się między drzewami, jeśli po wyjściu skierujecie się na godzinę drugą. Potem na szczyt wzgórza i w dół, mój samochód stoi przy drodze. Kluczyk jest w skrytce przy kole od strony kierowcy. Jeśli nas nakryją, zatrzymam tych drani, a wy uciekajcie ile sił. Nie martwcie się o mnie, po prostu zwiewajcie. Kiedy zbliżycie się do miasta, wyjmijcie mojego laptopa z bagażnika i włączcie. Najświeższy e-mail, jaki wyśle, będzie do bezpiecznego kontaktu w policji. Przekażcie mu, żeby kogoś tu sprowadził, ale szybko. Gotowi?

Przynajmniej sześcioro zaczęło coś mówić, pytać albo protestować, ale Harry im przerwał:

– Nie ma na to czasu. Zrobimy, co on każe.

Z bronią w pogotowiu zacząłem się skradać po schodach, krzywiąc się przy każdym dźwięku, który wydawała idąca za mną grupa. U góry kazałem im stanąć absolutnie nieruchomo, otworzyłem drzwi i znów najpierw wysunąłem broń, a potem nos.

Pusto.

Wyszedłem do korytarza, a oni podążyli za mną,

kulejąc i potykając się. Trzymałem się prawej strony, próbując mieć oczy dookoła głowy. Duszę miałem na ramieniu. Nieraz już byłem w trudnej sytuacji, nawet do mnie strzelano, ale tym razem miałem ze sobą jedenaście niewinnych osób. Gra toczyła się o zupełnie inną stawkę.

Te cholerne drzwi skrzypnęły, kiedy je otworzyłem. Nie wiem czemu, kiedy wchodziłem, nie skrzypiały, ale może tym razem byłem trochę bardziej niecierpliwy. W każdym razie skrzypnęły, a potem pozostali wyminęli mnie, wylewając się w mrok, z cichymi okrzykami niedowierzania i radości, zaskoczeni, że jest ciemno. Zachłystywali się czystym, pachnącym nocą powietrzem.

A potem zapaliły się światła.

– Uciekajcie! – krzyknąłem. Harry wyszedł ostatni, niosąc kobietę na plecach. Zawahał się. – Idź, zabierz ją stąd! – Pchnąłem go w ciemności, a potem sięgnąłem po klamkę, żeby zatrzaskać drzwi, odciąć mu drogę. Jemu i sobie.

Rzuciłem się w stronę najbliższych drzwi odchodzących od korytarza – były zamknięte, ale nie na klucz. Było to jakieś biuro, oczywiście pozbawione okien, całkiem ciemne. Zostawiłem w drzwiach maleńką szparę, do której przycisnąłem ucho, i po jakichś trzech sekundach usłyszałem głosy.

– ...jak zewnętrzne drzwi. – Mężczyzna, wysoki głos, może z natury, a może z napięcia.

– Sprawdź. – Głos drugiego, niższy i wolniejszy, brzmiał, jakby należał do potężnego faceta, może

młodszego.

Usłyszałem zbliżające się ciężkie kroki i przygotowałem broń do strzału.

– Nie drzwi – warknął ten pierwszy. – Idź najpierw na dół, zobacz, czy któryś nie uciekł.

Otworzyły się drzwi i usłyszałem kroki na metalowych schodach. Starszy mężczyzna został na górze, ale słowa, które po chwili rozbrzmiały z dołu, były całkiem wyraźne:

– Zniknęli! Wszyscy!

Starszy mężczyzna oddalił się korytarzem, a jego przekleństwa wkrótce zagłuszył łomot, z którym ten drugi wbiegał z powrotem po stalowych schodach. Kiedy dotarł na górę, krzyknął:

– Mam ich gonić?

– Weź karabin i obudź Andrew i Manniego. Chryste – dodał ciszej – wiedziałem, że trzeba było załatwić psa.

To o psie ucieszyło mnie bardziej niż wieść o karabinie. Przesunąłem się nieco, żeby przyłożyć do szczeliny oko, i otworzyłem drzwi o włos szerzej: zobaczyłem, jak oddalają się ode mnie szerokie plecy. Nogi aż mi drgały, tak strasznie miałem ochotę rzucić się w stronę wyjścia, ale nie ruszyłem się z miejsca.

Będąc na zewnątrz, nie wiedziałbym, ilu ich jest. Na zewnątrz mogłem powstrzymać ich przed opuszczeniem budynku tymi jednymi drzwiami, ale były jeszcze dwa wyjścia i ludzie ze środka od razu by mnie otoczyli. Na zewnątrz ja byłbym bezpieczniejszy, ale pozostali nie.

Do diabła, przyznam: zamknąłem drzwi, żeby zmusić Harry'ego i resztę do ucieczki.

Zamknąłem drzwi, bo miałem ochotę wypełznąć tym potworom do gardeł i rozerwać ich na strzępy od środka.

Tak naprawdę, choć nie była to najbardziej przemyślana z moich decyzji, nie była całkowicie idiotyczna. Mogło się okazać, że wszyscy ci ludzie naraz popędzą do drzwi, dzięki czemu mógłbym powystrzelać ich po kolei, a przynajmniej zatrzymać. Miałem dość kul, żeby całkiem długo dawać im popalić.

Przez chwilę wyglądało na to, że będzie dobrze. Na drugim końcu korytarza pojawiła się grupka ludzi: kręcili się bezładnie i krzyczeli na siebie nawzajem, po czym ruszyli w moją stronę.

Czekałem, licząc głowy. Cztery. Trudno było orzec dokładnie, gdzie się znajdują w odniesieniu do głównych drzwi budynku, ale miałem dość dobry widok, żeby dostrzec, kiedy minęli drzwi otwierające się na schody do więzienia. Odczekałem jeszcze kilka sekund, a potem otworzyłem drzwi na tyle szeroko, żeby zmieściło się w szparze moje ramię z pistoletem.

Miałem nadzieję, że facet kierujący tym wszystkim, ten starszy, będzie pierwszy, ale domyślałem się też, że to pewnie on przyjechał na miejsce czerwonym jeepem. Faktycznie, siwą głowę ledwie było widać nad ramionami otaczających go ludzi. Rosły facet, którego plecy widziałem przed chwilą, szedł z przodu, trzymając karabin. Dwaj pozostali mężczyźni – po obu widać było,

że właśnie wyciągnięto ich z łóżek – wyglądali na takich, którzy spędzają dni w laboratorium, torturując myszy. Swobodniej czuli się chyba ze skalpelami i mikroskopami niż z bronią, którą trzymali w rękach.

Nieważne. Każdy z nich był dla mnie celem.

Zacząłem strzelać. Ten duży dostrzegł mnie na mgnienie oka, zanim pociągnąłem za spust, i dał nura przez drzwi. Wydawało mi się, że go drasnąłem, ale na ziemię padł jeden z naukowców. Siwowłosy facet i chudy asystent badacza idący po lewej zniknęli za innymi drzwiami.

Strzały z karabinu poniosły się po korytarzu, ale nie przebiły drewnianych drzwi, za którymi się ukrywałem. Rozległo się sporo krzyków i przekleństw, a w końcu pierwszy głos, który usłyszałem, wydał ostrym tonem rozkaz. Zapadła cisza. Potem padło pytanie:

– Kim jesteś?

– Zgadnij! – zawołałem.

– Który to z was?

– Och, takiego koszmaru jak ja jeszcze nie mieliście.

Znów cisza.

– Nie wiem, czego chcesz, młody człowieku, ale...

– Czego chcę? Chcę, żebyście umarli w cierpieniach.

Cisza, tym razem dłuższa.

– No cóż – powiedział w końcu. – Rozumiesz pewnie, że nie mamy zamiaru ci niczego ułatwić.

– Trudno.

– Poza tym, że chcesz naszej śmierci, dlaczego

przyszedłeś?

– Bo jesteś potworem, a potwory trzeba zabijać. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Pewnie dlatego, że moje słowa nie miały znaczenia: im dłużej ze mną rozmawiał, tym dalej mogły uciec jego szczury doświadczalne.

– A ty jesteś bohaterem, który ratuje te stworzenia?

– To ludzie. W odróżnieniu od ciebie.

– To cenne źródła danych, których wyjątkowe dziedzictwo może uratować niezliczone istnienia. Pomyśl o wszystkich żołnierzach, którym mogłyby odrosnąć kończyny, o niewidomych, którzy odzyskaliby wzrok, o...

– Jasne, a to, że lekarze i dentyści Hitlera nauczyli się czegoś w obozach koncentracyjnych, usprawiedliwia Dachau i Buchenwald? Może ciebie wsadzimy do laboratorium i rozbierzemy na części, poszukamy leku na całe zło?

Jeżu, pomyślałem, zostanę tu jeszcze trochę i zacznę śpiewać hymny.

Odpowiedział zasmuconym, protekcjonalnym tonem:

– Widzę, że podjąłeś już decyzję. Choć szkoda, że twoi koledzy cię tu zostawili.

– Mój wybór.

– A teraz nie masz dokąd uciec.

– Tak ci się wydaje?

– No dobrze. Andrew, bądź gotów zastrzelić naszego gościa, kiedy wychyli głowę zza drzwi. Jonah, stoisz po tej stronie korytarza, której nie zobaczy. Na mój sygnał...

Mój pistolet wystrzelił sześć razy. Pierwszy pocisk

wbił się w deski podłogi blisko lufy karabinu Andrew, która odskoczyła, a kolejne zniszczyły cztery lampy nad grupką mężczyzn, tak że świeciły już tylko dwie, na drugim końcu korytarza.

Wsunąłem świeży magazynek i zaryzykowałem, przykładając oko do szpary, ale nikt się nie poruszył.

– Proszę – powiedziałem. – Teraz jest fajnie, ciemno, jak lubią potwory.

– Hmm, szefie... Co teraz? – zapytał Andrew.

– Och, na litość boską – mruknął szef.

W jego głosie pobrzmiewała głównie irytacja, co mnie zmartwiło. Wysiłałem słuch, ale nie potrafiłem się zorientować, co kombinuje, dopóki znów się nie rozległ jego głos. Zaczął rozmawiać z kimś przez telefon.

– Manny? Tu doktor Curtis. Mamy intruza. Jest uzbrojony, siedzi w biurze tuż za drzwiami od zachodu, w pierwszym pokoju po lewej. Jeśli otworzysz główne wejście, ty i Jack możecie stanąć w ciemnościach i otworzyć ogień, na pewno go traficie. Tylko uważajcie, my jesteśmy tuż obok, w korytarzu. Kiedy? Dobra. Tak, nie ruszamy się stąd, ale nasz intruz też nie ma dokąd iść.

To całkowicie zmieniło sytuację.

Westchnąłem i sięgnąłem po plecak.

Kiedy już się przygotowałem, wlepiłem wzrok w drzwi Andrew. Nie wydawało mi się, żeby grzeszył cierpliwością, i faktycznie: po jakiejś minucie końcówka lufy karabinu zaczęła wysuwać się powoli zza framugi. Poczekalem, aż pojawiło się jej około dziesięciu

centymetrów, a potem strzeliłem, najpierw w tamte drzwi, po czym, na dokładkę, w pozostałych dwoje. Kiedy tylko wszyscy na powrót się schowali, wyszedłem na korytarz i rzuciłem butelkę.

Przekleństwa Andrew niemal zagłuszyły odgłos tłukącego się szkła. Jednak druga butelka, którą wycelowałem trzy metry dalej, w głąb korytarza, rozbiła się z wyraźnym brzękiem, trzecia też.

Doktor Curtis jako pierwszy zorientował się, co jest grane. Czułem, że gapi się w ciemny korytarz, patrzy na płyn i odłamki szkła, a potem pewnie wyczuł zapach.

Począł tylko na tyle długo, aby się przekonać, iż wszystkie butelki wylądowały z dala od jego drzwi, i domyślić się, co zamierzam, na tyle długo, żeby wybrać między ryzykowną kulką a pewnym spłonięciem żywcem. Stary wyszedł zza framugi tak szybko, że prawie mnie zaskoczył.

Prawie.

Zapalniczka w mojej dłoni rozbłysła płomieniem, szmata wetknięta w szyjkę ostatniej butelki się zajęła, a ja rzuciłem ją do korytarza. Zanim butelka uderzyła o ścianę, w przejściu eksplodowała ściana ognia.

Doktorek ruszył biegiem, krzycząc, i może otworzyłby drzwi, gdyby nie udało mi się strzelić kilka razy w jego stronę. Trochę większa sylwetka rysująca się w płomieniach padła na ziemię, i choć musiałem już wtedy zatrzaskać własne drzwi, słyszałem, że krzyczał jeszcze przez chwilę, po czym przestał. Kilka chwil

później pozostali też ucichli.

Jakiś czas potem ucichłem i ja.

*

Tyle że...

Jeśli umarłem, kto opowiada tę historię?

Interesujący fakt – ostatni: niektóre mity o salamandrach są do pewnego stopnia prawdziwe.

Pokój płonął dookoła mnie, moje włosy i ubrania pomarszczyły się i spłonęły, belki nade mną paliły się, trzeszcząc. Przyjechali strażacy, wciągnęli w to morze ognia węże i znaleźli pięciu martwych ludzi. A przynajmniej tak im się wydawało.

Potem jeden z tych ludzi się poruszył.

Mity mówią, że salamandra potrafi ugasić ogień zimną wilgocią swojego ciała. Wierzył w to Arystoteles i część starożytnych Greków. Oczywiście to bzdury, nawet Pliniusz zwrócił na to uwagę – ale, co dziwne, nie do końca.

Straciłem wszystkie palce u rąk, trzy u nóg, głos i większość skóry. Zwykły człowiek by umarł. Przez wiele tygodni byłem w śpiączce farmakologicznej. Wyglądałem tak, że doświadczonym pielęgniarkom jeszcze przez kilka miesięcy trudno było na mnie patrzeć.

Ale to było rok temu.

Kiedy można byłoby mnie w końcu przepytąć, nie zostało już wiele pytań. Przysłali do mnie Franka, choć nie miał ze sprawą nic wspólnego poza tym, że przekazał

dalej to, co mu przysłałem. Nie wiem, może na myśl o mnie robili się nerwowi.

W każdym razie dowiedziałem się od Franka znacznie więcej niż on ode mnie.

Oczywiście wiedziałem o skandalach i o tym, co mówiły media – leżąc w szpitalu, często ma się przed sobą włączony telewizor. Trochę więc słyszałem o nalotach policji i przetasowaniach w rządzie, słyszałem pełne oburzenia przemowy, szalone pogłoski i wieści o wojujących ze sobą stacjach telewizyjnych. Nawet owinięty w koc bólu i leków byłem świadom zmiany w opinii publicznej – teraz każdego Salamana uważano za bohatera.

Po tym, jak dziewięćdziesiąt procent użytkowników zlikwidowało konta, WeWeb zamknięto, choć portal nie zrobił nic złego: sprzedał tylko przestrzeń reklamową.

Do Kongresu trafiła ustawa zakazująca targetowania reklam, choć wszyscy uważali, że nie przejdzie dalej.

Przejsć miała jednak cała grupa ustaw zmieniających praktykę naukową. Laboratoria w całym kraju zamknięto albo poddano nalotom z powodu kontaktów, które doktor Curtis nawiązał z kręgami zorganizowanej przestępczości – nic tak nie przyciąga ludzi przed telewizory jak historia o współczesnym Mengele: wpływowy naukowiec wynajmuje zbirów, aby dostarczali mu materiał do eksperymentów; zbiry przeszukują domy ofiar w poszukiwaniu kolejnych kandydatów; zbiry wzniecają pożary, żeby zniechęcić ludzi, którzy mogliby się

zainteresować.

Prawnicy też na nic się tak nie ślinią jak na sprawę łączącą uniwersytety, agencje rządowe, zorganizowaną przestępczość i dziwnych, pięknych ludzi w rodzaju Salamanów. Procesy norymberskie będą przy tym wyglądały jak ostatni banan.

Chcecie wiedzieć, co mnie w tym wszystkim najbardziej zadziwia? Że Wuj Sam naprawdę zrobił to, co obiecywał: zablokował dostęp do akt Salamanów i dopilnował, żeby nikt nie poznał naszej tożsamości. Co byłoby świetne i sprawiedliwe, ale oznaczało też, że kiedy zaczęliśmy znikać, FBI niczego nie zauważyło, ponieważ zaginionych nic nie łączyło. Policja nie zauważyła, ponieważ ofiary były rozrzucone po całym kraju. Media się nie połapały, ponieważ nawet gdyby się o tym dowiedziały, kto by im uwierzył? Jediną osobą, która zwróciła na cokolwiek uwagę, był Harry Savoy, a Harry miał zbyt wielką paranoję, żeby zaufać FBI, policji albo mediom.

A ja? Ja trzymałem się z dala od wszystkiego. Musiałem zamknąć interes, choć mógłbym pracować tysiąc godzin w tygodniu, gdybym był w stanie. Myślę, że kiedy znowu zacznę przyjmować zlecenia, naprawdę zmienię nazwę mojego biura na „Usługi detektywistyczne dla Salaman”. Może nawet spróbuję przez jakiś czas pracować tylko dla swoich.

Ale kiedy to się stanie? No cóż, wczoraj wieczorem, kiedy Lizzie i ja... no cóż, byliśmy zajęci tym, co robią

ludzie po ślubie, nagle powiedziała: „Au!” i usiadła, pocierając żebra. Kiedy odsunęła dłoń, oboje zobaczyliśmy, że po bladej skórze na boku biegnie czerwona szrama. Wyciągnąłem kikuty palców do światła i przyjrzałem się im uważnie.

Faktycznie: coś małego i ostrego wystawało z tkanki bliznowatej. Wyglądało zupełnie jak dziecięcy paznokieć.

GLEN COOK

Glen Cook jest autorem ponad czterdziestu niezwykle popularnych książek. Najbardziej zasłynął chyba dzięki cyklowi o Czarnej Kompanii, obejmującemu książki *The Black Company* (*Czarna Kompania*, przeł. Michał Jakuszewski, REBIS, 1993), *Shadows Linger* (*Cień w ukryciu*, przeł. Michał Jakuszewski, REBIS, 1994), *The White Rose* (*Biała róża*, przeł. Beata Jankowska-Rosadzińska, REBIS, 1995), *The Silver Spike* (*Srebrny grot*, przeł. Grażyna Sudoł, REBIS, 1996), *Shadow Games* (*Gry cienia*, przeł. Jan Karłowski, REBIS, 1996), *Dreams of Steel* (*Sny o stali*, przeł. Jan Karłowski, REBIS, 1996), *Bleak Seasons* (*Ponure lata*, przeł. Grażyna Sudoł, REBIS, 1997), *She Is the Darkness* (*A imię jej Ciemność*, przeł. Jan Karłowski, REBIS, 1998), *Water Sleeps* (*Woda śpi*, przeł. Jan Karłowski, REBIS, 2000) oraz *Soldiers Live* (*Żołnierze żyją*, przeł. Jan Karłowski, REBIS, 2001). Cykl ten opisuje losy drużyny zaprawionych w bojach najemników żyjących w nieupiększonym świecie fantasy. Cook stworzył też wielotomową serię o przygodach detektywa Garretta, złożoną z książek *Sweet Silver Blues* (*Słodki srebrny blues*, przeł. Aleksandra Jagiełowicz, Wydawnictwo MAG, 2000), *Bitter Gold Hearts* (*Gorzkie złote serca*, przeł. Aleksandra Jagiełowicz, Wydawnictwo MAG, 2000), *Cold Copper Tears* (*Zimne miedziane łzy*, przeł.

Aleksandra Jagiełowicz, Wydawnictwo MAG, 2004) oraz dziesięciu innych. Jest to cykl łączący tematykę fantasy z wątkami detektywistycznymi i opowiadający o dziwnych sprawach trafiających się prywatnemu detektywowi pracującemu na niebezpiecznych ulicach po obu stronach granicy między światem ludzi i istot nadprzyrodzonych. Cook napisał też cykl science fiction „Starfishers”, ośmioczęściową serię o Imperium Grozy, trylogię *Darkwar* i najnowszy cykl „Delegatury nocy”, a także dziewięć samodzielnych powieści, takich jak *The Heirs of Babylon* i *The Dragon Never Sleeps*. Jego najnowsze dzieła to *Passage at Arms*, powieść z cyklu „Starfishers”; *A Fortress in Shadow*, kontynuacja cyklu o Imperium Grozy; *Surrender to the Will of the Night* (*W okowach mroku*, przeł. Jan Karłowski, REBIS, 2012), nowa powieść z serii „Delegatury nocy”; oraz dwie nowe wizyty w świecie detektywa Garretta, *Cruel Zinc Melodies* i *Gilded Latten Bones*. Cook mieszka w St. Louis w stanie Missouri.

W tym opowiadaniu o wartkiej akcji Garrett uczy się, że kiedy do twoich drzwi pukają kłopoty, czasem lepiej nie otwierać.

ZŁODZIEJE CIENIA

Opowiadanie o detektywie Garreecie

Prawie zasypiałem w schowku na szczotki, który nazywam biurem. Ktoś załomotał do drzwi. Dziwne. Ostatnio nieczęsto bywałem w domu.

Tym razem kryłem się przed obłędem, który spotyka świeżo zaręczonych. Moi przyszli teściowie nieprzerwanie doprowadzali mnie do białej gorączki.

Zacząłem gramolić się z krzesła i zza biurka.

Minął mnie stary Dean, kucharz i gospoia. Był wysoki, chudy, lekko zgarbiony, siwy i mimo prawie osiemdziesiątki wciąż pełen energii.

– Otworzę, panie Garrett. Spodziewam się dostawy.

To był wyjątkowo niecierpliwy doręczyciel. Wrzeszczał. Walił. Nie rozumiałem ani słowa. Drzwi spełniały wymogi techniczne fortecy.

Dean nie spojrzał przez wizjer. Zakładał, że te hałasy wyprawia facet, którego się spodziewa. Otworzył drzwi.

Do środka wtoczył się chaos. Dean zaskowyczał. Jakiś niższy, zrozpaczony głos zawył coś o zejściu mu z pieprzonej drogi, do cholery!

Ruszyłem z miejsca, po drodze chwytając dębową pałkę. To cudo miało dwa funty ołowiu w swoim ważniejszym końcu.

Do harmidru dołączyły kolejne głosy wywrzaskujące jakieś żądania.

Wypadłem na korytarz szybko, ale moja szcurza asystentka, Pular Singe, wyprysnęła ze swojego biura jeszcze szybciej. Mierząca pięć stóp Singe była wysoka jak na przedstawicielkę swojej rasy. Jej piękne brązowe futro lśniło. Garbiła się trochę bardziej niż zazwyczaj. Machała ogonem jak rozwścieczony kot, ale wystrzeliła z trzymanej w jednej ręce kuszy tak spokojnie, jakby ćwiczyła na strzelnicy. Bełt wbił się w czoło stworzenia, którego wszyscy przodkowie dobierali sobie partnerów pod kątem brzydoty. To coś miało ohydny oliwkowy kolor, było spore jak troll i miało uroczą buzię ogra. Pachniało jeszcze gorzej, niż wyglądało. Zajęło sobą pół przedpokoju. Jego czoło wyglądało na twarde jak u trolla, ale nie oparło się pociskowi Singe.

Jakąż to zabawkę sobie znalazła?

Zeszła mi z drogi. Wąsy jej drgały.

Duży Brzydal w końcu na dobre się przewrócił. Dwaj jego kumple hałasowali tuż za nim. Jeden próbował schwycić bardzo dużego, równie brzydkiego człowieka, który padł na ziemię, miażdżąc Deana, ponieważ ofiara Singe przewróciła się prosto na niego. Facet wciąż oddychał, ale wiele mu już nie zostało. Ciekło z niego dość obficie w paru miejscach.

Zacząłem okładać pięściami ręce, które próbowały go odciągnąć. Chrupnęły kości. Gdzieś pod tym wszystkim Dean jęczał żałośnie. Wymierzyłem ostatniemu złoczyńcy

solidny cios między wężowe, żółte ślepia. Chwycił mężczyznę za nogę, kiedy tylko poczęstował mnie prawym prostym, po którym prawie doleciałem do drzwi kuchennego królestwa Deana. Singe zawołała ze swojego biura:

– Miałam nadzieję, że wytrzymasz trochę dłużej.

Ech, te samice.

Wracając po więcej, zerknąłem do niej. Kręciła korbą urządzenia nałożonego na niewielką kuszę, najwyraźniej umożliwiającą stalowym bełtom przebijanie się przez ceglane ściany.

Jeden brzydal po prostu nie potrafił odpuścić i koniecznie chciał zabrać rosnącego faceta ze sobą do domu. Drugi gmerał w poszukiwaniu drewnianej szkatułki, którą ów facet najwyraźniej upuścił. Zaparłem się stopami i dałem nura.

Uruchomił mi się odruch wymiotny. Choć typ leżący na Deanie wciąż oddychał, już zaczął gnić.

Mój partner się ocknął i w końcu włączył do akcji.

Jeden brzydal zareagował na to opróżnieniem jelit. Chwycił ofiarę Singe za kostkę i podał tyły. Trzepnąłem jego kolesia kilka razy, aż upuścił szkatułkę, a potem podeptałem tego, którego pierwsza ohyda jednak nie wywlokła z pomieszczenia; puściła go, przekroczywszy próg. Mimo bełtu sterczącego z czoła ten wciąż był w stanie jęczeć.

Ze sporą pomocą jednej ze ścian zacząłem pościg, ale zakończyłem go, opierając się o poręcz ganku.

Singe wymaszerowała z domu i stanęła obok mnie; gniew niemal z niej parował. Wycelowwała broń. Bełt przebił na wylot ramię jednego ze stworów. Od siły uderzenia tamten okręcił się w miejscu i padł na ziemię.

– A niech to! To cholerstwo ma niezły odrzut! Chyba właśnie zwichnęłam nadgarstek. – Patrzyła, jak brzydale toczą się ulicą Macunado. – Pójdę przeładować, a potem możemy za nimi ruszyć.

Pular Singe to nie tylko geniusz w dziedzinie liczb i finansów, ale też najlepszy cholerny tropiciel w TunFaire.

– Truposz nie potrafił opanować tych typków.

– Masz rację. Niedobrze. – Singe zerknęła na śmierdzący bajzel przykrywający Deana.

Rosły facet przestał przypominać człowieka. Jego marynarskie szmaty zaczęły spływać ze sterty mazi.

Nic śmiertelnego nie powinno się tak szybko rozkładać.

– Jestem pewien, że Truposz nam wszystko powie. – Była to subtelna próba sprawdzenia, czy mój partner uważa.

Z drugiej strony ulicy przyglądała się nam mała blondyneczka. Stała tak nieruchomo, że wydawało się, iż nie oddycha. Ścisnęła w rękach sznurkową rączkę żółtej torebki. Miała miękkie niebieskie nakrycie głowy, coś pomiędzy beretem a czapką kucharską. Włosy prawie sięgały jej ramion, obcięte równiutko. Spod czapki wystawał kosmyk grzywki. Ubrana była w za ciężki jak na tę porę roku płaszcz uszyty ze sporych łat w różnych

odcieniach czerwieni, złota i brązu. Sięgał jej do kolan, co było dość odważne, ponieważ nogi miała gołe. Jej oczy były wielkie, niebieskie i pełne powagi. Wymieniliśmy krótkie spojrzenia, a potem odwróciła się i ruszyła powoli pod górę, krokiem niemal defiladowym, w ogóle nie ruszając rękami. Ocenilem jej wiek na późne dziewięć do wczesnych jedenastu.

– Nie ma żadnego zapachu – powiedziała Singe.

Ani nie jawi się nikomu poza wami dwojgiem. Nad wyraz nienaturalne.

To był mój partner, Truposz.

Zaspany głos oznajmił:

– Ja też ją widzę. Pójdę za nią.

Penny Dreadful¹⁴, człowiek, dziewczyna, nastolatka (okropne połączenie), faworytka Truposza i ostatnia członkini tego dziwnego gospodarstwa, postanowiła zwlec się z łóżka i zobaczyć, o co ten cały rejwach.

Kiedy wepchnęła się między nas, Singe zwróciła w moją stronę pozbawioną wyrazu twarz, która była aż nadto wyrazista. Nie mogłem narzekać na to, że ktoś późno wstaje: zazwyczaj trzeba boskiej interwencji, żeby wygonić mnie z pieleszy przed południem.

Penny ma czternaście lat i przy mnie zachowuje się nieśmiało, ale względem innych jest bezczelna. Była niegdyś ostatnią kapłanką porąbanego wiejskiego kultu. Mieszka z nami, bo ukryliśmy ją kiedyś dla jej bezpieczeństwa i z jakiegoś powodu nigdy się nie wyniosła. Truposz lubi jej dociekliwy umysł.

– Najpierw zajmijmy się tym bałaganem. Penny, ustaw w moim biurze łóżko polowe. Położymy tam Deana.

Zaczęła marudzić. Tak właśnie zachowują się nastolatki, kiedy każe im się coś zrobić. Całe życie to nadużywanie ich uprzejmości. Mimo to poszła – lubiła Deana.

– Zamknijmy drzwi, zanim pojawi się druga fala – powiedziała Singe.

Pomogła mi wciągnąć rannego napastnika do środka. Drzwiom nie stała się wielka krzywda i wymagały tylko drobnych napraw. Ucieszyło mnie to.

Dean i ofiara Singe byli w gorszym stanie. Dean był nieprzytomny i pokryty ohydą. Martwiłem się, że może mieć obrażenia wewnętrzne.

– Za chwilę wezwę doktora Szkodnika.

Nie trzeba, zawiadomił mnie mój partner. Rozwiązanie kilku problemów zaraz się pojawi.

Wstałem, speszony, choć nie był to pierwszy raz, kiedy na moim ganku pojawiła się cała kupa brutalnych idiotów. Speszyłem się, ponieważ mój telepatyczny towarzysz był speszony, a to dlatego, że nie potrafił się przebić przez powierzchnię myśli napastników.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Singe błyskawicznie się obejrzała. Odepchnęła mnie z drogi, dla zachowania pozorów zerknęła w wizjer, a potem otworzyła swojemu przyrodniemu bratu, człekoszczurowi-przestępcy o nazwisku John Stretch. Za

nim majaczyła jego prawa ręka, Dollar Dan Justice, najwyższy człowiek-szczur w mieście. Całe pięć stóp i trzy cale. Na ulicy kręcili się kolejni szczurzy gangsterzy.

– Słyszeliśmy o kłopotach – oznajmił John Stretch. Ruszał wąsami, wywachuując, co jest grane. Ubierał się kolorowo: miał na sobie żółtą koszulę, spodnie w czerwono-białe pasy i wysokie czarne buty.

Dollar Dan natomiast był ubrany w barwy błota.

Singe zaczęła trajkotać.

John Stretch poklepał ją po ramieniu.

– Dwóch? Zatrutymi bełtami? Nie? Szkoda. Co możemy zrobić?

Truposz poprosił, żeby ktoś zawiadomił doktora Szkodnika. I czy ktoś mógłby wyśledzić tych, którzy uciekli? Ranny stwór zostawił wyraźny ślad krwi. Ja dodałem:

– Przydałaby mi się pomoc w przeniesieniu Deana. I jacyś specjaliści, którzy uprzątnęliby ten bałagan. – Miałem na myśli gnijące resztki.

– Mam nadzieję, że moje kobiety to wytrzymają – odparł John Stretch.

To sporo mówiło o smrodzie. Człecoszczurom niezwykle podoba się większość zapachów, które mnie trudno znieść.

Dollar Dan zajął się tym, co zwykle robi prawa ręka, a jego szef i ja gawędziliśmy. Tłum na ulicy się rozproszył. Jeden człekoszczur poszedł w dół wzgórza, po lekarza. Grupka tych, którzy wyglądali na

najpaskudniejszych, ruszyła w drugą stronę, nie zapytawszy, co mają robić, jeśli dogonią ściganych. Dwaj kolejni węszyli przy miejscu, z którego wcześniej przyglądała się nam blondyneczka. Nie udało im się złapać tropu.

– Zajmę się tym, kiedy tu skończymy – powiedziała Singe.

Jej brat się nie sprzeciwił, więc ja też tego nie zrobiłem.

– Poproszę Dollar Dana, żeby ci towarzyszył. Nikt nie ochroni cię lepiej, Singe – dodał, kiedy spojrzała na niego z ukosa. – Pozwól mi więc na ten egoizm.

Garrett, przynieś mi ten kuferek, proszę.

– Kuferek? – Jaki kuferek?

Kuferek, który może być przyczyną całej afery.

– Och. Ten kuferek.

Pokryte mazią cudeńko z drewna wiśniowego leżało pod ścianą koło stojaka na parasole.

– Jest całe zasyfione.

Ogranicz kontakt z tym brudem.

– Cholera. Niedobrze. Możliwe, że będzie trzeba wymienić podłogę. – Poleciałem do kuchni, napełniłem wiadro wodą, znalazłem kilka szmat i wróciłem do przedpokoju. Zastałem tam rodzeństwo ludzi-szczurów pograżonych w zajadłej debacie na temat Dollar Dana.

– Singe, pozwól im mieć na siebie oko – powiedziałem. – To nie zaszkodzi. To nie oznaka słabości. Twój brat, Dan i ja będziemy spokojniejsi.

Rzuciła mi pełne irytacji spojrzenie, ale przestała się wyklócać.

Nie bądź idiotą, Garrett!

– Co? – Od dawna cieszę się reputacją mistrza ciętej riposty.

Nie otwieraj szkatułki!

A, tak. Możliwe, że demony są gotowe za nią zabić. Pewnie zawiera coś wyjątkowego. Może niebezpiecznego.

– Racja. Rozproszyłem się. Dumałem, dlaczego nie odezwały się jeszcze blaszane gwizdki.

Doskonałe pytanie.

Blaszane gwizdki – Straż Cywilna – rzucają się na każdą ekscytującą sytuację jak kot na stado myszy.

Bądź pewien, że wkrótce się pojawią. Tymczasem przynieś mi, proszę, kuferek, żebym mógł dokładnie go obejrzeć.

– Postaw go tak, żeby nie pomyśleli, że ma cokolwiek wspólnego z tym atakiem – odezwała się Singe.

Tak. Oczywiście.

– Powinnam zacząć tropić, zanim przyjadą. W przeciwnym razie mogę do jutra się stąd nie wyrwać.

Słusznie. Blaszane gwizdki, a tym bardziej Specjalni, potrafią być wścibscy i wszystko utrudniać.

– Schowaj broń. Jak ją zobaczą, wszystkich nas pozamykają – dodał John Stretch.

Z pewnością. Ci, którzy nas chronią, nie chcą, abyśmy mogli się bronić.

*

Singe i Dollar Dan – za którymi powłokła się Penny – faktycznie zniknęli, zanim pojawiła się Straż Cywilna. Nie byłem zachwycony, że Penny z nimi idzie, ale Truposz poparł ten pomysł. Nie mogłem się sprzeciwić.

John Stretch i ja zrobiliśmy herbatę, postaliśmy nad Deanem i czekaliśmy.

– Jak to się stało, że tak szybko się zjawiliście? – zapytałem.

– Mamy to miejsce na oku.

– Serio?

– Głównie Dollar Dan. Ale zawsze ktoś tu jest.

– Jego uczucie się marnuje.

– Ty to wiesz. Ja to wiem. Nawet Dan to wie. Ale nie będę się wtrącał.

– Tak chyba będzie najlepiej.

– Więc Dan miał was na oku, kiedy się pojawiłeś, co było pewną oznaką, że zaraz coś się wydarzy.

– Ej!

– Czy cokolwiek się dzieje, kiedy cię tu nie ma?

– To czysty przypadek.

– Nie. To zasługa Singe. Rozsądnie się trzyma dających spore zyski, nietoksycznych zadań, takich jak szukanie zaginionych zwierząt domowych i żon, a także księgowości śledczej. Nie miesza się w sprawy nieumarłych, obłąkanych bogów ani zwariowanych czarowników, dopóki ty się nie pojawiasz.

Ten argument nie był do końca bezpodstawny. Ale

przecież to nie tak, że szukam dziwów. One same mnie znajdują.

Straż przyjechała i zbliża się doktor Szkodnik.

– No i proszę – powiedział człekoszczur. – Wybrałeś doktora rodzinnego o nazwisku Szkodnik.

– Nie ja. Wybrała go Singe, bo leczy też ludzi-szczury.

– Poczekam w kuchni, kiedy ty będziesz rozmawiał ze Strażą.

– Dziękuję.

Sługusów prawa na pewno niezwykle zainteresowałyby obecność znanego gangstera.

Bądź uprzejmy.

Ruszyłem do drzwi.

– Zawsze jestem uprzejmy.

Zawsze wdajesz się w konflikty.

– Oni mnie prowokują.

Niezbyt dobrze sobie radzę z przedstawicielami władzy. Straż Cywilna sprawuje władzę w skrajnie arogancki sposób.

Złoję ci tyłek, jeśli będziesz niegrzeczny.

O kurczę. Jak moja matka, kiedy miałem osiem lat.

*

Na ganku stali dwaj strażnicy, a dalej, na ulicy, cały ich zastęp. Szczurzy pacholki Johna Stretcha zniknęli.

Doktor Szkodnik właśnie wychodził ze swojego ładnego, niewielkiego powoziku. Rolę szofera pełniła jego

prześliczna żona, półelf. Została w powozie na wypadek, gdyby wśród tych wszystkich strażników ktoś spróbował go zwędzić.

– Poruczniku Scithe. Jak się pan ma? Jak żoneczka? Nie schudł pan aby?

– Wiodłem sobie zacne, nudne życie w spokojnej dzielnicy. A potem ty stoczyłeś się ze Wzgórza.

Scithe był wysokim, chudym mężczyzną w strasznie złym humorze i źle dopasowanym niebieskim mundurze do kompletu. Nie wdał się w pogawędkę o żonie. Nie zapytał o moją narzeczoną.

Całe moje cholerne życie tak wygląda. Cokolwiek się dzieje, cokolwiek, winę zwała się na najstarszego chłopca mamy Garrett.

Mój partner trzepnął mnie mentalnie w głowę, zanim zacząłem pyszczyć.

Doktor Szkodnik przecisnął się przez tłum: chudy, ciemny typek z wesołymi brązowymi oczami, nienaturalnie białymi zębami i kozią bródką jak u Lucyfera.

– Pokaż, co tam masz.

– Dean jest w moim biurze. Zgniotło go takie coś i jeszcze większy facet, który zamienił się w tamtą kupę mazi.

Kupa robiła się mniejsza. Część wyparowała, a część wsiąkała w podłogę, aby zalec w piwnicy i zasmrodzić dom na zawsze.

Lekarz parsknął.

– Najpierw spojrzę na Deana. – Przeszedł ostrożnie korytarzem, uważając, gdzie stawia stopy.

Odezwał się Scithe:

– Powinniśmy byli przyjechać wcześniej. Gdybyśmy wiedzieli, że wróciłeś, wystawilibyśmy kogoś na świecę. I musiałem poprosić Al-Khar o specjalne rozkazy. – Al-Khar było główną siedzibą Straży.

Truposz położył mi w myślach dłoń na ramieniu.

– Naczelnik powiedział, że nie potrzebujemy Specjalnych.

Och, cudownie. Tajna policja pozwoli mi działać. Jak na razie. Są tacy mili.

– Cóż za życzliwość.

Truposz ścisnął moje ramię trochę mocniej.

– No, co jest grane? – zapytał Scithe.

– To co zawsze.

– Czyli będziesz twierdził, że nie masz o niczym pojęcia.

– Nie do końca. – Opowiedziałem, co się stało, w najdrobniejszych szczegółach, zapominając tylko o kuferku z drewna wiśniowego, artylerii Singe i Johnie Stretchu, który czekając, wyżerał zapewne całą zawartość mojej spiżarni.

Scithe kucnął przy stworzeniu z bełtem w czole.

– Ten tu wciąż oddycha. – Postukał końcówkę bełta. – Przydałoby się lepsze światło.

Błaszany gwizdek, który wszedł wraz z nim do środka, powiedział:

– Wóz właśnie przyjechał, szefie. Przyniosę latarnię.

Wielkie brązowe pudło zatrzymało się za pojazdem doktora. Wymalowano na nim korony, klucze, pętle i co tam jeszcze; wszystko to ogłaszało, że pojazd jest własnością Straży Cywilnej wspieranej królewskimi subwencjami.

– Jakież teorie, Garrett? – zapytał Scithe.

– Nasuwa mi się tylko to, co oczywiste. Pewnie chciał zobaczyć Truposza. Ktoś uznał, że nie powinien.

– Więc go powstrzymał. Co myśli Truposz?

Truposz jest sfrustrowany. Nie potrafił wniknąć do umysłu żadnego z napastników. Nawet tego, który jest ranny i nieprzytomny. Jeszcze nie. On jest rodzaju męskiego, prawda?

– Mniej więcej – odparłem. Raczej znacznie więcej.

– Widzę tu trochę ogra, trochę trolla i trochę innych ras – powiedział Scithe.

– Trolle i ogry się nie krzyżują.

Scithe wzruszył ramionami.

– Widzę to, co widzę. Czyli to, że ktoś z ogromnymi zapasami brzydoty rozdawał ją gratis pięciu pokoleniom jego przodków. A ten wpadł do beczki z brzydotą i musiał wszystko wypić, żeby nie utonąć.

Trolle mogą czasami krzyżować się z gigantami-pigmejami. Ale bardziej prawdopodobne, że mamy tu do czynienia z szalonymi naukowcami i nielegalnymi eksperymentami.

Trzy odmiany ludzi-szczurów istnieją z powodu

starych eksperymentalnych czarów.

Takie numery są gorsze niż morderstwo. A i morderstwo może ci ująć na sucho, jeśli dowiedziesz, że sukinsyna trzeba było zabić.

Wrócił człowiek Scithe'a. Jego latarnia rzucała oślepiające, białoniebieskie światło. Scithe się zakrzętnął. Pałeczkami dźgał, trącał, badał i grzebał w kieszeniach. Nie dowiedział się niczego użytecznego. Potem zajął się kupą smrodu.

– Patrz na to.

Podniósł coś, co wyglądało jak dwucalowy ołowiany nabój o średnicy trzech ósmych cala, zaostrowany z jednego końca. Biegły wzdłuż niego cztery kanaliki zaczynające się tuż za czubkiem. Widać w nich było ślady czegoś brązowego.

– Pocisk?

– Możliwe. Na pewno zatruty. Ale jak wystrzelony? – W powietrzu unosiły się też: „przez kogo” i „dlaczego”.

Przyjechał dostawca Deana.

Wyszedłem na zewnątrz.

Jerry, facet od piwa, zaparkował przed powozikiem doktora. Rozmawiał z cudowną panią Szkodnik. Zauważył mnie, powiedział coś do dwóch strażników, którzy właśnie nienawidzili go za to, że zna piękną damę na tyle dobrze, żeby z nią plotkować, i namówił ich, żeby się popisali, pomagając mu przy noszeniu beczek.

Wnieśli trzy antałki dziewczęcych piw. Jerry wskazał tłum na zewnątrz i bałagan w korytarzu.

– Wróciłeś.

– Co to znaczy? Nieważne. Po prostu zostaw je przy drzwiach kuchennych. – Nie chciałem, żeby ktokolwiek zobaczył Johna Stretcha.

– W chłodzie dłużej będą świeże.

– No to zanieś je do Truposza.

Jerry oraz jego pomocnicy okrążyli na paluszkach bałagan i wkroczyli na włości Truposza.

– Postawcie je gdziekolwiek, gdzie nie będą zawadzać – powiedziałem. Zerknąłem na kuferek stojący na półce z pamiątkami po starych sprawach. – Po co je w ogóle przywiozłeś?

– Dean chciał wypróbować różnych odmian na twoje wesele.

– O, to stary spryciarz.

Jeden z blaszanych gwizdków wyciągnął palec. Był blady jak papier.

– To on?

Mój partner to ćwierć tony nieczynnego nieczłowieka, na stałe zamontowane w specjalnie zbudowanym dębowym fotelu. Pierwszą cechą, która rzuca się w oczy – po samym rozmiarze – jest podobieństwo do niewielkiego mamuta ze skarłowaciałym tułowiem o trzy czwarte krótszym, niż można by się spodziewać.

Większość gości nie przygląda mu się zbyt dokładnie. Są przerażeni tym, że potrafi czytać im w myślach.

Jeden ze strażników dotknął gwizdka, który miał

zawieszony na sznurku na szyi. Ten talizman nie pomógł.

– Za zimno tu, bracia. – Wycofał się.

Jego kumpel deptał mu po piętach. Jerry nie został daleko z tyłu.

Truposz jest Loghyrem. Ta niezwykle rzadko spotykana rasa bardzo niespiesznie wydaje ostatnie tchnienie. Ten zwleka z tym od chwili, kiedy go zamordowano, ponad czterysta lat temu.

*

Doktor Szkodnik spróbował soli trzeźwiących. Typek w korytarzu nie zareagował. Scithe w końcu kazał odwieźć go na ciężarówce do siedziby Straży, kiedy Szkodnik przykleił już opatrunek do wycieku na jego czole. Bełt został tam, gdzie był.

Scithe zostawił nam obietnicę, że przekaże wszelkie informacje, wartą papieru, na którym jej nie zapisał. Jerry zostawił prawdziwy kwit. Znalazłem mu dom na biurku Singe, gdzie wtulił się w rachunek od doktora Szkodnika.

Ten ostatni też odjechał, zostawiając Deana pogrążonego w wywołanym lekami śnie.

Zawiadomiłem Johna Stretcha, że może już wyjść.

Jego szczurze specjalistki od sprzątnięcia pojawiły się błyskawicznie. Czekwały, aż strażnicy sobie pójdą. Nie miały nic miłego do powiedzenia o całym tym bajzlu. Owinęły twarze wilgotnym materiałem i rozpyliły w śmierdzącym powietrzu coś, co pachniało jak ostra papryka. Narzędziami ogrodowymi zbierały maź do

wiaderek, które starannie przykrywały i odsyłały, aby wrzucono je do rzeki. Unikały kontaktu z mazią.

John Stretch i ja odwiedziliśmy Truposza.

– Za zimno tutaj – poskarżył się człowiek-szczur.

– To przez Singe. Twierdzi, że w im większym zimnie będziemy go trzymać, tym dłużej przetrwa. A jemu to nie przeszkadza.

– Jestem pewien, że wie, co mówi.

– Ona wie wszystko o wszystkim. No dobrze: co jest w tym cennym kuferku?

Powietrze.

– Co proszę? Nic? Jakiś facet umarł z jego powodu. Dwóch innych jest rannych.

To zmyłka. Prawdziwa szkatułka jest gdzie indziej.

– Jak do tego doszedłeś?

Z wielkim wysiłkiem i nieustępliwą determinacją wnioskowałem na podstawie nielicznych wiadomości uzyskanych od stworzenia, które zabrał porucznik Scithe.

Truposz lubi, jak się go docenia.

– Dobra robota.

Wracają panie. Wygląda na to, że ich misja do pewnego stopnia się powiodła.

Wpuściłem je. Penny wyminęła mnie i sprzątaczkę. Singe dołączyła do mnie w chłodzie.

– Podobno nieźle wam poszło. – Wskazałem kciukiem Truposza.

– Bogowie się do nas uśmiechnęli. Ale ledwo-ledwo. Nie dało się odnaleźć tropu dziewczynki. To oznacza

czary. Poszłyśmy za rannym stworzeniem. Te stwory jej nie towarzyszyły. Śledząc je, zobaczyłyśmy ją, właśnie wychodziła z Benbow. – Benbow to stateczny stary zajazd w cieniu Wzgórza, gdzie zatrzymują się przyjezdni, którzy mają jakiś interes do czarowników rojących się w tej dzielnicy. – Posłałam Penny do środka. Uruchomiła dziewczęcy czar i dowiedziała się, że właśnie minęła się ze swoją koleżanką Kelly, która używa teraz imienia Eliza. Eliza mieszka w apartamencie na trzecim piętrze ze swoją ciotką, panną Grünstrasse. Przyjechały do TunFaire wczoraj.

Dołączyła do nas Penny.

– Musiałam sprawdzić, co z Deanem.

– Lekarz mówi, że wydobrzeje. Coś jeszcze?

– Szef to taki mały facet, który wygląda jak wiewiórka. Zatrzepotałam rzęsami i pozwolił mi pogadać z ludźmi. Eliza przyjechała z Liefmold. Coś jest z nią nie tak. W ogóle się nie odzywa. Jej ciotka ma straszny akcent. Wtedy właśnie wiewiór się połapał, że nie jestem tak naprawdę ich przyjaciółką. Posłał kogoś na górę, pewnie z ostrzeżeniem, więc się zmyłam.

Truposz dotknął mnie delikatnie, żeby dać mi znać, że nie muszę nic wiedzieć na temat metod, którymi Penny oczarowała pracowników Benbow. Nie chciał, żebym się za bardzo angażował w rolę tatusia.

– Wychodząc, udałam, że nie znam Singe ani Dollar Dana, żeby mogli sprawdzić, czy ktoś będzie mnie śledził.

– Dobry pomysł.

– Jeden chłopak kuchenny próbował – powiedziała Singe. – Dollar Dan tak go wystraszył, że się zmoczył.

– Czyli jednak na coś się przydaje.

Singe spojrzała na mnie wilkiem. Nie była gotowa tego przyznać. A Penny...

Aha! Chłopak kuchenny zainteresował się nią sam z siebie, nie z polecenia pracodawcy.

Chodźcie tu. Wszyscy.

Truposz potrafi wydobyć z człowieka wspomnienia, o których on sam nie ma pojęcia. Potrafi zagonić swój wielokrotny umysł do podążania kilkoma osobnymi tropami i powiązać wszystko w zaskakujące sposoby.

Nie znajduję niczego poza rzeczami oczywistymi. Nasza ofiara, Recide Skedrin, interesowała przynajmniej dwie grupy ludzi na tyle, żeby posunęły się do morderstwa. Możliwe, że i on sam był zmyłką.

Skąd on nagle to wszystko wiedział?

Penny, proszę, zastąp Deana, dopóki nie dojdzie do siebie. Garrett i Singe będą pomagać w razie konieczności.

Ktoś zapomniał, kto tu jest szefem.

Idź otwórz drzwi, Garrett.

*

Mężczyzna stojący na ganku był niski, kluchowaty i zdenerwowany. Miał wielkie, wilgotne, brązowe oczka szczeniaka. Robił wrażenie faceta, którego życie przepełnia smutek. Jego ubrania były wytarte i

staromodne: szyk sprzed dwudziestu lat. To, że się pojawiłem, bardzo go zaskoczyło.

Właśnie próbował się zdecydować, czy zapukać do drzwi.

– Kim pan jest? – pisnął. Miał leniwy, dziewczynski głos i akcent tak silny, że trzeba się było przez niego przedzierać za pomocą maczety.

Do biura Singe, poproszę.

Nowo przybyły nie wiedział o Truposzu, który aż cuchnął niecną wesołością. Z głowy tego nerwusa pewnie łatwo wszystko wyczytać.

– Dlaczego koczujesz na moim ganku, mały?

– Yyy...

To pewnie on jest źródłem niespodziewanej wiedzy Truposza.

Poświęcił kilka sekund na zastanawianie się, czy powinien poczęstować nas kłamstwami, które miał przygotowane. Kiedy on rozważał strategię, Singe układała papiery, żeby móc robić notatki. Była rozbawiona.

Nie obchodzi mnie, czy kłamią. Truposz potrafi wykraść z ich umysłów wszystko, gdy oni puszczają wodze wyobraźni.

Nasz gość zapytał:

– Z kim rozmawiam?

Przyszedł tu, nie wiedząc?

– Nazywam się Garrett. Jestem najprzystojniejszym niebieskookim byłym marine, jakiego kiedykolwiek

spotkasz. To mój dom. Pewny jesteś, że dobrze trafiłeś?

Jest pewny, bo sądzi, że tutaj znajdzie to, czego szuka.

– Panie Garrett, jestem przedstawicielem Rady Ryzny. – Mówił po karentyńsku tak, jakby miał w ustach pełno budyniu i żołędzi. Na szczęście miałem partnera, który potrafił zawiadomić mnie nie tylko o tym, co ów mężczyzna chce powiedzieć, ale też o tym, co myśli.

Niedawno zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nikt nie patrzy mu na ręce. W rezultacie nabawił się osobistych ambicji.

Drobny mężczyzna zastukał obcasami i skłonił się nisko; w jego części świata panuje taki zwyczaj.

– Rock Truck, Rose Purple, do usług, proszę pana – usłyszałem.

Wzruszyłem ramionami. Słyszałem już dziwniejsze imiona. Powiadomił mnie, że jego ojciec był ważną szyczą w kraju rodzinnym. Jego rodzina od wieków wykorzystywała szare masy.

Ja tylko słuchałem. Jeśli cisza potrwa dostatecznie długo, może wypełni ją czymś ciekawym.

– Odwiedził pana Recide Skedrin. – Zniekształcił samogłoski tak, jak tylko Venageti to potrafią.

Ten, który zginął.

Wiedziałem to. Jestem wytrawnym obserwatorem.

– To nazwisko nic mi nie mówi.

– Nic dziwnego. Był nikiem, oficerem na frachtowcu kursującym nielegalnie między TunFaire i Liefmold. Pewna nikczemna młoda kobieta o nazwisku Ingra Mah,

która niedawno zmarła, uwiodła go i namówiła, aby przesmuglował narodowy skarb Ryzny z Liefmold tutaj. Miała nadzieję sprzedać ten artefakt na waszym Wzgórzu.

No dobra. Czyli była to zabawka dla czarowników, najpewniej dająca niezłego kopa. W przeciwnym razie ludzie nie zaczęliby umierać.

Mówi prawdę, a twoje rozumowanie jest poprawne. Cała ta historia ma też jednak aspekt polityczny. Truposz dodał kilka pomocy wizualnych, które zwędził.

Będę musiał później ustalić nazwisko mężczyzny. Na południu tworzy się je inaczej niż tutaj. Brzmiało tak, jakby je przetłumaczył. Gdzieś tam mógł się też czaić jego tytuł służbowy.

Człowieczek wyciągnął sztylet.

– Poszukam... – zaczął.

– Doprawdy, panie Rock. Cóż za fatalne maniery – powiedziała Singe.

Wyglądał na zaskoczonego jej widokiem. Truposz go oślepił.

Odebrałem mu sztylet, pilnując, żeby nie dotknąć ostrza. Widać było na nim smugi w kilku kolorach, z których żadna nie wyglądała na zaschniętą krew.

Poszło szybko. Truposz się nie ujawnił. Singe nie wstała zza biurka. Rock pisnął, kiedy usadziłem go na krześle. Wydał dolną wargę i potarł wykręcony nadgarstek. Oczy mu łzawiły.

– Wystarczy. Dlaczego nas nękaasz?

– Przybyłem tutaj z nakazu Rady, aby odzyskać Cień.

– Cień. – Nawet bez wskazówki Truposza usłyszałem wielką literę na początku słowa.

– Co pan wie o Ryznie, panie Garrett?

– To miasto w Venagecie o okropnej reputacji.

– Mój panie! Ryzna należy do Venageti z musu, tylko dlatego, że ktoś wpuścił oblegających do miasta pod wątpliwą osłoną świecącego jasno słońca, podczas gdy wszyscy majątni mężowie... – zaczął paplać o historii sprzed ponad wieku.

To jego przodkowie byli zdrajcami. Venageti nie wynagrodzili ich dostatecznie. Jego ród uważa kradzież Cienia za okazję do zemsty.

W porządku. To, że nie wiem, o co chodzi, nigdy nie przeszkadza mi robić swoje.

– Co to jest ten cały Cień? I dlaczego szukasz go tutaj?

Możliwe, że w szkatułce jednak coś było?

Nie. Chodzi o coś tak potężnego, że każde z nas by to wyczuło. Prawdziwy kuferek jest wyłożony żelazem, ołowiem i srebrem. Cień to zbiór dusz zmarłych czarowników z Ryzny. Kombinacja ich dusz, pozbawionych osobowości. Jego znaczenie dla Ryzny i pana Rocka trudno przecenić. Zamiar jest taki, aby zrobić z niego użytek podczas przejmowania kontroli nad Ryzną. Zmarła złodziejka zdała sobie jednak sprawę, że mogłoby to być potężne narzędzie, przydatne każdemu czarownikowi, niezależnie od miejsca.

Czyli jej samej brakowało magicznych talentów. W

przeciwnym razie próbowałyby przejąć władzę nad światem.

Otóż to. Pan Rock uważa Cię za coś nieprzemijająco mrocznego i potężnego. Jest zakochany w jego potencjale.

A zatem, podsumowując: Działająca na własną rękę socjalistka postanowiła dokonać redystrybucji bogactw poprzez kradzież Cienia z Ryzny. Rock otrzymał zadanie przywiezienia go z powrotem, ponieważ uznano go za zbyt głupiego, aby dostrzegł korzyści dla samego siebie. Ale on tylko udawał idiotę. Postanowił, że nikt nie zasługuje na tę zabawkę bardziej niż stary dobry Rock Truck, Rose Purple, on sam, nie kto inny.

Rock nie był moim ulubionym typem człowieka, ale z pewnością był typem, na który często się natykam.

– Cię to... Nie. Dla pana nie ma znaczenia, co to jest. Liczy się to, że należy on do obywateli Ryzny i musimy go odzyskać. Jestem gotów zapłacić cztery tysiące srebrnych nobli.

To przykuło moją uwagę. Singe też by się szeroko uśmiechnęła, gdyby ludzie-szczury umieli się uśmiechać.

– To ładna suma – powiedziałem. Cztery tysiące byłyby dla mnie niezłym wianem.

– Bardzo dobra. – Potem cały zgłupiał, jakbym mógł zapomnieć, z jakiego powodu złodziejka chciała wysłać swój łup do TunFaire. – Cię nie przyda się nikomu spoza Rady Ryzny.

To nieprawda nawet w Ryznie. Venageti trzymali Ryznę w szachu za pomocą Cienia, dopóki jeden ze

strażników, niedbały i zbyt młody, aby myśleć głową, nie pozwolił Ingrze się do niego dobrać.

Ingra Mah robiła wrażenie niezłej agentki. Szkoda, że pozwoliła się komuś zaskoczyć.

– Mówmy precyzyjnie, panie Rock. Czego pan chce? Nie mamy waszego Cienia. Możemy go jednak poszukać. Tym właśnie się zajmujemy.

– Recide przyniósł wam szkatułkę.

– Była pusta. A on zginął, zanim zdążył cokolwiek wyjaśnić.

Stworzenia ścigające pana Recide'a miały konszachty z panem Rockiem. Było ich pięć. Rada Ryzny wysłała je, aby pomagały panu Rockowi i trzymały go w ryzach. Nie były odpowiedzialne za śmierć pana Recide'a.

Pięć. Dwa ranne. Jedno trafiło do kicia. Opiekunowie Rocka, a zarazem jego eskorta. Dobrze wiedzieć. A tamta złodziejka? Naprawdę nie żyje? A może była dość sprytna, żeby upozorować własną śmierć i w ten sposób zgubić trop?

– Co dziwne, wierzę panu, panie Garrett.

Kupa Gnatów w tej samej chwili wysłała mi słowa: *Sądzi, że ona nie żyje.* Pokazał mi obraz z umysłu człowieka.

Ingra Mah podążyła śladami Recide'a Skedrina. Rock pojawił się na scenie wkrótce po rozpoczęciu całego procesu. Truposz zapewnił mnie, że choć Rock jest łajdakiem do szpiku kości, całkowicie zdolnym do takich czynów, za to akurat nie ponosi odpowiedzialności.

Truck mówił dalej:

– Recide i kapitan jego statku dorabiali na boku jako przewoźnicy wątpliwych towarów.

– Byli przemytnikami.

– Mówiąc otwarcie, tak.

– Dlaczego przyszedł do mnie?

– Mogę tylko zgadywać, panie Garrett. Albo ktoś mu to polecił jeszcze w Liefmold, albo po przybyciu tutaj popytał i uznał, że spełnia pan jego wymagania. Moje śledztwo wskazuje, że ma pan ważne kontakty na Wzgórzu. Z drugiej jednak strony... i ja tak to widzę... może chciał po prostu zostawić fałszywy trop, podczas gdy jego kapitan dostarczył prawdziwy Cień gdzie indziej.

– Powiedzmy, że znajdę wasz wihajster. Jak mam odebrać moje cztery tysiące?

– Zameldowałem się w Grzędzie Sokoła. Może się pan tam ze mną kontaktować.

Fuj. Grzęda Sokoła to nora niedaleko Benbow. Wchodząc tam lub wychodząc, nie trzeba się opędzać od dziwek i kanciarzy, ale większość klientów tego zajazdu to kleszcze na brzuchu społeczeństwa świadczące podejrzaną usługi dla tych, którzy królują na Wzgórzu.

Człowiek z ponad czterema tysiącami nobli w kieszeni mógłby sobie pozwolić na coś lepszego.

Rock wskazał swój sztylet zlokalizowany obecnie na skraju biurka Singe.

– Mogę?

– Ależ proszę bardzo.

Zabrał broń, wyminął mnie, jakby już miał wychodzić, a potem odwrócił się i powiedział:

– Poszukam...

Penny rąbnęła go od tyłu garnkiem.

– Wy tam, kolacja gotowa.

– Rozluźnij nadgarstki. Łatwo je sobie w ten sposób nadwerężyć – zwróciłem jej uwagę.

Spojrzała na mnie podle, ale wraz z Singe pomogła mi przeszukać kieszenie Rocka. Nie znaleźliśmy niczego, więc wywaliliśmy go na ganek, pozbawiając go śmiercionośnego sztyletu.

Dołączył jako kolejne trofeum do kuferka z wiśniowego drewna stojącego na półce.

Potem zebraliśmy się w kuchni.

*

Ponownie zasiadłem za stołem.

– Kto to był? – zapytała Singe.

– Scithe. Uznał, że powinniśmy wiedzieć, że więzień zmarł, nie powiedziawszy ani słowa. Usilnie się też zastanawiał, jak to możliwe, że ktoś, kto napadł na dom, dostał bełtem w czoło.

– To dobry człowiek. Ma poczucie sprawiedliwości. Jesteś zaskoczony, że to coś umarło?

– Miało szczęście, że przeżyło tak długo.

– Co teraz? – zapytała Penny. – Może wrócimy do Benbow? Po tym, jak Dan wystraszył Bottle'a...

– Wiesz, jak miał na imię?

– Był słodki.

– Nie mam dość powodów do zmartwień?

Singe zachichotała. Penny ignorowała wszelkie irytujące rodzicopodobne zachowania.

– Jak tam zupa, staruszk?

Trochę ostra.

– Pyszna. Uważałaś, kiedy Dean ci pokazywał, jak ją przyrządzić.

– Dzięki. – Udało jej się jednocześnie odezwać opryskliwym tonem i zrobić zadowoloną minę.

– Moja kolej – odezwała się Singe i wstała od stołu.

– To jest normalnie upiorne, jak ona wszystko słyszy i czuje – poskarżyła się Penny.

Singe wróciła ze złożonym listem opatrzonym odcisniętą w wosku pieczęcią Benbow.

– To była ta jasnowłosa dziewczynka. Wciąż prawie wcale nie ma zapachu.

Ani wyczuwalnej aury. Choć czuję niepokój. Zawrót głowy. Niemal mdłości.

Na kopercie widniało nazwisko **P. Garrett** zapisane śmiałym pismem.

– Co powiedziała?

– Nic. Podała mi to i poszła. To nie może być człowiek.

Zamyśliłem się na chwilę.

– Poczulaś może zapach gliny? Coś takiego?

– Nie. Ale rozważę tego konsekwencje.

– Co tam masz? – zapytała Penny. Ona jako jedyna

nie była w stanie czytać mi przez ramię.

– Zaproszenie, abym dołączył do panny Grünstrasse na późną kolację i butelkę Złota TunFaire. – Było to najświetniejsze miejscowe wino.

– Mam czas posprzątać? – zapytała Penny.

Nie zdążyłem wyjaśnić, że zaproszenie jest tylko dla mnie.

Penny, to jedna z tych okazji, kiedy powinnaś pozwolić Garrettowi i Singe pomóc.

Czekała nas tutaj rewolucja. A może kontrrewolucja.

*

Marynarz Recide Skedrin był za życia młodszym współnikiem statku, o którym krążyły plotki, że zajmuje się przemytem. Warto było spojrzeć na jego jednostkę i załogę. Ale:

– Byłem zbyt szczery ze Scithe'em. Specjalni na pewno przeszukują z jego polecenia każdy zakamarek nabrzeża.

Twoje spotkanie w Benbow ma teraz większe znaczenie. Porucznik Scithe wkrótce zacznie krążyć po domach publicznych.

Właśnie mieliśmy wyruszać. Nawet Penny miała przy sobie ukryty oręż. Nagle postanowiła pójść na górę.

Singe już załatwiła sprawę nabrzeża.

– Mój brat pozwolił mi wysłać Dollar Dana – powiedziała. – Nikt tam nie zwróci na niego uwagi.

Szczur na nabrzeżu? W dziesiątkę. Będzie

niewidzialny.

– Możemy iść? Penny! Chodź!

Proszę, dowiedz się, dlaczego ludzie tak chętnie popełniają morderstwa w naszym domu.

– No jasne! Poszłam się zdrzemnąć!

Singe otworzyła drzwi, ale nie wyszła za próg.

Lało jak z cebra.

Penny zeszła z hałasem po schodach, niosąc parasole i przeciwdeszczowe kapelusze oraz płaszcze.

*

Benbow istniał od niepamiętnych czasów. Przywodził mi na myśl przysadzistą babunię o policzkach jak jabłuszka, taką, jaką sam kiedyś miałem. W środku było ciepło i pachniało dymem z opalanego drewnem kominka oraz całymi wiekami gotowania potraw, do których dodawano sporo czosnku. Zajazd wyglądał, jakby usadowił się wygodnie w ciągu lat. Był zacny, choć od czasu do czasu hańbił go jakiś podły klient.

Kiedy wchodziło się z ulicy, po prawej stronie była jadalnia, niewielka i teraz pusta. Większość gości wołała jadać w pokojach. Po lewej stała flota wysiedzianych foteli i wiekowych sof w towarzystwie podniszczonych stolików. Przy jednym z nich zasiedli trzej starzy mężczyźni; dwaj grali w szachy, a jeden wymrukiwał niechciane porady. Baru nie było. Szefostwo wołało nie przyciągać klientów z ulicy.

Schody do pokoi gościnnych znajdowały się

dokładnie przed nami, a strzegł ich grymaśny z wyglądu człowieczek o przednich zębach jak u gryzonia. Włosy wyemigrowały mu na skronie. Aż się prosiło, żeby miał na nazwisko Królik albo Wiewiórka.

Wstał zza niewielkiego, zagraconego stolika i przełknął mocno ślinę, kiedy Penny ruszyła w stronę jadalni.

Okazało się, że głosik ma piskliwy.

Penny nie zwróciła na niego uwagi.

Królik znowu coś wybełkotał, a potem rozpoznał, kim jest Singe. Jego bełkot zamienił się w cichy jęk.

Zaprezentowałem mu zaproszenie.

– Och. Oczywiście. Tak naprawdę nie spodziewałem się pana. – Rzucił rozpaczliwe spojrzenie za Penny, a potem przeniósł je na Singe. Z wyraźnym bólem powiedział: – Proszę za mną. – Wciąż pokutuje sporo uprzedzeń względem ludzi-szczurów.

Panna Grünstrasse mieszkała w apartamencie zajmującym zachodnią połowę trzeciego piętra. Zdyszałem się i zacząłem zastanawiać, czy jestem za stary, aby zacząć ćwiczyć. Wysilek Królika sprowadził się do zastukania do drzwi.

Blondyneczka otworzyła. Ustąpiła nam z drogi. Okazywała tyle ciepła, że równie dobrze mogła być ulepiona z gliny. Jej oczy robiły wrażenie bezdennie pustych.

Singe weszła pierwsza. Podążyłem za nią. Drzwi zamknęły się Królikowi przed nosem. Dziewczynka

zasunęła rygiel i przeszła na lewą stronę salonu. Stała wyprostowana jak struna, z rękami splecionymi przed sobą. Miała na sobie inny ubiór, bez płaszcza, ale styl pozostał niezmienny.

– Ach, pan Garrett. Nie byłem pewna, czy pan odpowie. Doceniam tę uprzejmość. Naprawdę.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Drogi panie? Czy coś nie w porządku? – W spojrzeniu, które rzuciła w stronę Singe, zalśniła furia.

– Przepraszam. Jestem tylko zaskoczony. – W półmroku przypominała babkę mojej narzeczonej, jedną z najbardziej nieprzyjemnych kobiet na świecie.

Ta też była wielka, brzydka i śmierdziała.

Zapach był wynikiem diety i wątpliwych nawyków.

Jej akcent był wyraźniejszy niż Rocka i miał inny rytm.

– Proszę, panie Garrett. Proszę się rozgościć. Porozmawiajmy, a Squattle przygotowuje kolację – mówiła powoli. Choć każde ze słów z osobna było pokaleczone, można je było zrozumieć z kontekstu.

Usiadłem. Singe dalej stała. Nie było dla niej odpowiedniego krzesła. Nie zdjęła też płaszcza: był to element wojny psychologicznej skierowanej przeciwko siostrzenicy. Kiedy już się usadowiłem, blondynka zmieniła pozycję.

– A zatem, panie Garrett. Odwiedził pana dziś Rock Truck, Rose Purple. Bez wątplenia był istną skarbnicą wymysłów. Na pewno zrzucił winę za własne zbrodnie na

innych.

Rock uważał się za mojego klienta. Nic jej nie powiedziałem.

– Niech będzie, drogi panie. Niech będzie. Eliza i ja przyjechałyśmy do pańskiego wspaniałego miasta, aby odzyskać cenny artefakt.

– Cień.

– W rzeczy samej. Właśnie. Rose Purple nie wprowadził pana zatem całkowicie w błąd. Niebawem. Tak. Cień. Materialnie wart niewiele, jednakowoż wśród ludzi pewnego pokroju ma znaczną wartość moralną. Jesteśmy tutaj z polecenia Korony Venageti, aby odzyskać królewską własność. – Przyglądała mi się zmrużonymi, świńskimi oczkami, wielka i naprawdę brzydka. – To nie stanowi problemu, prawda, drogi panie? Nie będzie mnie pan osądzał tylko dlatego, że jestem jedną z Venageti?

– Nie. To my wygraliśmy wojnę.

– Wspaniale. Wspaniale. W tych ponurych czasach wycierpiałam swoje, zapewniam pana. Jak my wszyscy. No dobrze. Czy mogę więc na pana liczyć?

Zmarszczyłem brwi. To nie miało sensu.

– Nie rozumiem, o co mnie pani prosi – wyznałem.

– W duchu nowej przyjaźni między naszymi ludami zwróci mi pan Cień, Dłoń Begbega.

Imiona wszystkich władców Venageti mają człon „Beg”. Ten, który zakończył walkę, nazywał się Begbeg, co oznacza „Król królów” lub „Król świata”.

– Nie mam waszego wihajstra. Nie wiem, gdzie jest.

Nie wiem, co to jest. Nie rozpoznałbym go, nawet gdyby ugryzł mnie w kostkę. I niezbyt mnie on obchodzi.

– Drogi panie!

– Wiem natomiast, że ktoś próbował się włamać do mojego domu, inni tego kogoś ukatrupili, a potem jeden z tych ktosiów też zginął. Ta ślicznotka przyglądała się wszystkiemu z drugiej strony ulicy. Pewnie wie pani więcej niż ja.

– Ale Recide przyniósł panu kuferek.

– Tak? Singe, widziałaś jakiś kuferek?

– Nie. – Nie potrafiła się skoncentrować. Poza wonią panny Grünstrasse w pokoju unosiły się nieczęsto spotykane zapachy.

– Doprawdy, panie Garrett. Pan coś ukrywa. Eliza widziała kuferek.

Spojrzałem na blondyneczkę, nieruchomą i śliczną jak figurka z porcelany. Zaiste? Mało prawdopodobne. Dlaczego zatem jej ciotka tak twierdzi?

– Ma magiczne oczy, skoro widziała wewnątrz mojego domu z miejsca, gdzie stała.

– Próby jej sprowokowania są stratą czasu, proszę pana.

Mała nie była moim celem.

Ktoś zaczął niebywale entuzjastycznie walić do drzwi.

*

Królik szedł na czele pochodu podającego kolację.

Humor miał posępny. Jego głównymi asystentami byli kilkunastoletni chłopak i dziewczyna – Penny. Chłopiec, zapewne Bottle, był bardziej niebezpiecznie przystojny, niż wspominała, cholernik. Zdecydowanie za bardzo też emanował chojractwem.

Dwoje kolejnych pracowników wniosło składane stoły; jeden, który ustawiono przed nami, i drugi, z którego dzieciaki miały serwować jedzenie.

Wtarabaniła się do środka jakaś smutna, stara kruszyna, chyba kumpelka Królika.

– Znalazłam! – Rozłożyła krzesło zrobione tak, aby mógł usiąść na nim ktoś z ogonem.

Załoga rozstawiła na czystym obrusie cztery nakrycia. Eliza usiadła, ale nie wyglądała na zadowoloną.

Zaczęliśmy jeść, prawie się nie odzywając; podano kaczkę i trochę innych rzeczy, nic, co zapadłoby w pamięć. Uwagi nie zwracało też wino, choć było to Złoto TunFaire. Tylko Singe wiedziała, jak sobie radzić z całym arsenałem sztucców.

Eliza jadła tylko tyle, żeby mieć pretekst do siedzenia przy stole. Milczała. Jej wzrok jednak nie był nieśmiały.

W końcu, nad kośćmi, panna Grünstrasse stwierdziła:

– Będę tęsknić za tutejszym jedzeniem. A zatem, panie Garrett. Chce pan zyskać coś dla siebie, zatrzymując Ciebie. Co mogę zrobić, aby zmienił pan zdanie?

– Nic. Nie mam tego cholerstwa.

Zaśmiała się. Fałdy tłuszczu zadrżały.

– No dobrze. Świetnie. Co pana zachęci do

odszukania go?

– Nie wiem, czego szukać. Ale Rock zaoferował za to cztery tysiące srebrnych nobli.

Panna Grünstrasse cała się zatrzęsała.

– Rose Purple? Cztery tysiące? Ten książę kłamców! Ten ostatni w nieskończonej procesji złodziei! Ucieknie przed zapłaceniem rachunku, niezależnie od tego, gdzie się zatrzymał.

Dziwny komentarz. Zapadła cisza. Eliza wyglądała na szczególnie zainteresowaną.

Panna Grünstrasse zmieniła podejście.

– Prawie nie tknął pan wina, panie Garrett. Czy coś z nim nie tak? Oberżysta zapewnił mnie, że to najświetniejsze wino TunFaire.

– I miał rację, ale ja jestem piwoszem. – Ta nowomodna obsesja na punkcie sfermentowanego soku winogronowego jest dla mnie niezrozumiała. Jak ktoś kiedyś powiedział, piwo jest dowodem na to, że bogowie nie zawsze się nad nami zniżają.

– Piwo, drogi panie? Słyszałam, że TunFaire słynie z różnorodności i jakości piw. Ma pan jakieś ulubione?

Dlaczego nie utrudnić jej sprawy?

– Pszeniczne weidera z nutą jeżyny.

– Elizo, zobacz, co Squattle tam ma.

Blondynka skłoniła głowę, wstała i wyszła z apartamentu, jakby napędzana jakimś mechanizmem zegarowym.

– Co z nią? To w ogóle człowiek? – zapytałem.

– Och, tak. Tak, drogi panie. W rzeczy samej. Po prostu jest dość poważna. Moja siostrzenica. A także uczennica. Kończy właśnie podstawowe kształcenie. Niezwykle dziecko. Błyskotliwa ponad wiek. Będzie wielka. Co to jest, dziecko?

Penny właśnie położyła przed nią talerz.

– Ciastko zawijane z dynią i przyprawami, pszepani. Specjalność Benbow. – Obsłużyła mnie i Singe. Za nią szedł Bottle, trzymając zawiniątko z materiału, z którego wyciskał rumowy syrop.

– Czy dla młodej panienki też mamy podać, pszepani? – zapytała Penny.

Panna Grünstrasse była zde gustowana. Nie nawykła do tego, żeby zwracać się do niej pospolitym „pszepani”.

– Włóżcie je do podgrzewacza. Możliwe, że nie będzie miała ochoty. Nie przepada za słodyczami.

Zapytałem o Ryznę, Venagetę i Cień. Panna Grünstrasse robiła uniki albo próbowała mi wmawiać, że udzielenie jej pomocy w odzyskaniu zaginionego wihajstra byłoby cudowne.

– Rozumiemy się, panie Garrett?

– Nie usłyszałem jeszcze ani słowa o potencjalnych korzyściach dla mnie i moich ludzi. Poza tą świetną kolacją.

Nie była zadowolona. Nie taką odpowiedź chciała usłyszeć.

– No dobrze, drogi panie. Świetnie. Muszę pamiętać, że znajduję się poza królestwem, w którym moje życzenia

stanowią prawo. Świetnie. Jeśli przyniesie mi pan Cień, otrzyma pan nagrodę w wysokości ośmiuset nobli. – Uniosła rękę, aby powstrzymać odpowiedź, której się spodziewała. – Prawdziwych nobli z Full Harbor, nie zaczarowanego złota głupców, które obiecał panu Rose Purple.

Wciąż byłem nieprzekonany. Zrobiłem sceptyczną minę.

– Niech pan zatem pójdzie ze mną, drogi panie. Proszę pójść ze mną. – Wstała i pokiwała na mnie palcem jak dziecko w wieku Elizy, które chce się podzielić tajemnicą.

Podążyłem za nią niechętnie, a moje opory wzrosły, kiedy skierowała się do ciemnej sypialni. Natychmiast jednak zapaliło się światło. Zerknąłem przez ramię. Chłopiec, dziewczyna i kobieta-szczur wyglądali na zmieszanych, ale czujnych.

– Proszę wejść, panie Garrett. Obiecuję, że nie wystawię pana cnoty na próbę.

Ma poczucie humoru?

Trochę się rozluźniłem.

– Proszę jednak zamknąć drzwi. W razie gdyby wróciła moja siostrzenica. Wolałabym, żeby nie była świadoma pewnych rzeczy.

– Czy ona mówi albo rozumie po karentyńsku? – Nieznajomość języka mogłaby wyjaśniać, dlaczego nie interesowało jej porozumiewanie się z innymi.

– O ile wiem, nie, drogi panie. Ale to dziecko wciąż

mnie zaskakuje. Pomoże pan?

Chciała, żebym wyciągnął walizę spod niezastanego łóżka. Pościel pachniała jak sama panna Grünstrasse, tylko gorzej. Nie mogłem opędzić się od myśli, że może cierpi na coś okropnego.

Wywlekliśmy kufer na łóżko.

– Proszę się odsunąć, gdy będę otwierać zamek.

Zatrząsk kufra załśnił od splotu śmiercionośnych zaklęć.

Byłem ciekaw, czy ci, którzy się liczą, wiedzą, że jest wśród nas gruba ryba z zagranicy. Gruba ryba z Venagety, która najpewniej przeżyła naszych ludzi ze Wzgórza w Kantardzie.

– Wojna się skończyła, panie Garrett. A moja obecna misja jest ważniejsza niż wszelka zemsta. – Otworzyła kufer i wyciągnęła z niego wkładkę, która wypełniała go na dwie trzecie głębokości. Pod nią leżały zwarte szeregi ustawionych na sztorc monet. Były ich całe setki. Zobaczyłem też złoto, ale ona nie zaproponowała mi złota.

Osiemset nobli to sporo pieniędzy. A to był autentyk.

– Proszę wziąć monetę. Którąkolwiek. Wypróbować.

– Widzę, że są prawdziwe. – Krawędzie były radełkowane, co jest typowe dla monet z Full Harbor i ma zniechęcać oszustów.

– A jednak proszę wziąć jedną. Kazać ją przebadać. – Czekala, aż w końcu się poczęstowałem. – Osiemset nobli, panie Garrett, a także zwrot kosztów i wycieczka po

sklepach, zanim wrócimy do mroków Venagety.

Nie znoszę, kiedy złoczyńcy pokazują ludzkie oblicze.

– Chodźmy, panie Garrett. Wracajmy do jadalni, zanim pana pomocnica straci panowanie nad sobą... Najpierw jednak proszę mi pomóc z kufrem. – Wsunęła wkładkę z powrotem na miejsce. Ponownie uruchomiła zaklęcia blokujące, które cuchnęły śmiercią. Pomogłem jej opuścić kufer na podłogę. Starannie wsunęła go na poprzednie miejsce.

Idąc przed nią, nie zauważyłem zadowolonego spojrzenia, które rzuciła Singe, Penny i Bottle'owi.

Usiedliśmy z powrotem przy stole.

Panna Grünstrasse zaczęła marszczyć czoło, martwić się i pachnieć jeszcze gorzej, co zaniepokoiło Singe. Kobieta wymamrotała:

– Gdzież się podziała ta dziewczyna? Dlaczego to robi?

Podczas wojny nauczyłem się dość mowy Venageti, żeby to rozszyfrować. Panna Grünstrasse nie była zadowolona ze swojej cudownej uczennicy.

– Przepraszam, panie Garrett – powiedziała. – Eliza łatwo się rozprasza.

W końcu mała się pojawiła, niosąc tacę z idealną formacją ośmiu kubków. Postawiła ją obok mnie.

– Jesteś skarbem, Elizo – powiedziałem.

Równie dobrze mogłem być jednym z mebli.

Zwróciłem uwagę, że jej buciki są trochę mokre.

Nozdrza i wąsy Singe zadrgały. Wyczuła nowy zapach.

Powąchałem piwa: najwyraźniej podano nam po kuflu każdego, którym dysponował Królik. Dwa podałem Singe.

Penny podała Elizie dyniowe ciastko. Bottle polał je sosem. Dziewczynka pogrzebała w nim, zmarszczyła czoło, powąchała, spróbowała, a potem prawie się uśmiechnęła. Drobnymi kęskami pochłonęła całe. Panna Grünstrasse była pod wrażeniem.

– Będziemy je częściej zamawiać.

Penny i Bottle zaczęli sprzątać. Penny wyczuła zmianę i miała już ochotę ruszać.

Singe zaczęła wychwalać wybór piw, udając, że trochę się wstawiła. Ludzie z zagranicy mogli nie wiedzieć, że niektórzy ludzie-szczury potrafią chlać alkohol beczkami.

Kiedy dzieciaki już zniknęły, Singe zaczęła bełkotać, że musi szybko wracać do domu. Mieliśmy toaletę, z której mogła skorzystać szczurzyca. Nie chciała przynieść sobie wstydu.

Panna Grünstrasse uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Proszę rozważyć moją propozycję, panie Garrett.

– Na pewno. Niedługo biorę ślub. Przydałaby się gotówka.

– Zostanę tutaj, aż Cień się pojawi.

– Pogadam z moimi partnerami, kiedy tylko wrócimy do domu.

To wywołało wielki uśmiech. Potem dodała:

– Będę tutaj.

*

Coś się działo w uliczce kilka kroków od Benbow. Był tam starszy porucznik Scithe, mimo późnej pory uwijający się energicznie jak gigantyczna mucha.

Wsunąłem tam nos. Kosztowało nas to pół godziny odpowiadania na bezsensowne pytania o tym, z jakiegoż to powodu Singe, Penny i ja znajdujemy się w tym samym mieście, w którym właśnie odbyło się nowiutkie podwójne morderstwo.

Ofiarami były stworzenia podobne do tych, które przypościły szturm na mój dom. Zabiło je to, od czego zginął Recide Skedrin, ale topiły się wolniej. W miejscach, gdzie zaczęła się wdawać zgnilizna, tkwiły podobne pociski z ołowiu.

Singe wskazała coś złożoną parasolką.

– Poruczniku, czy ten rozbebeszony kuferek może mieć z tym wszystkim coś wspólnego? – zapytałem. Ów kuferek, prawie identyczny jak skrzyneczka, która wzbogaciła niedawno kolekcję Truposza, był jednak w odróżnieniu od niej wyłożony warstwami metalu. Otwarto go siłą.

– Jest w nim coś dziwnego. Każę mózgowcom z dochodzeniówki go obwąchać.

Singe też pociągnęła nosem.

Scithe nas puścił. Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem głosu, Singe oznajmiła:

– Przestało padać, kiedy byliśmy w środku, ale chodnik wciąż jest mokry. Dziewczynka pachniała wilgocią, kiedy przyniosła piwo.

– A w środku kuferka było sucho.

– Nie pisnęła słowem ciotce.

– Nie. Mam ochotę pobiec do domu.

Singe i ja byliśmy wstrząśnięci, ale Penny miała co innego w głowie. Powiedziała, że wróci do domu później. Ona i Bottle mieli się wybrać na lody.

Singe nie pozwoliłaby mi na nic głupiego.

– Masz. – Wyłowilem z kieszeni monetę, którą wcisnęła mi gruba, dosłownie, ryba. – Przynieś resztę. I uważaj na siebie.

Penny zaśmiała się, pomachała noblem w powietrzu i odbiegła.

– Nie wyda wszystkiego – obiecała Singe.

*

Truposz wyczuł nasz niepokój, kiedy otwieraliśmy drzwi. *Przyjdźcie prosto do mnie. Dean ma się dobrze.*

Nie zadał ani jednego pytania. Zanurkował od razu w nasze umysły, prześlizgując się przez ich muł. Nie wyraził troski o Penny.

– Mylę się? Czy ta cała Eliza jest morderczynią? – zapytałem.

Biorąc pod uwagę to, co przyniosłeś, co wyciągnąłem od Trucka, i uwzględniając to, co może przyniesie Penny, sądzę, że tak. Jeśli chodzi o nią, pozory mylą. Daj mi

minutę, niech wszystko przetrawię.

Potrwało to pięć minut.

Dlaczego kobieta wysłała gdzieś dziecko? I była na tyle roztrzępana, że zrobiła to po karentyńsku?

Przeoczyłem to.

Odpowiedź można wywnioskować z jej braku woni oraz aury i silnych mdłości, które poczułem, kiedy zbliżyła się do naszych drzwi.

– Grünstrasse chciała się jej na chwilę pozbyć, bo przeszkadza w kombinacjach z myślami.

Doskonale.

– A ona chciała zajrzeć mi do głowy.

I to właśnie zrobiła. Jej talent najwyraźniej jednak nie równa się mojemu. Nie potrafiła dostrzec szczegółów ani konkretnych myśli, ale pojęła, że naprawdę nie masz Cienia. Dowiedziała się też, że Penny jest z tobą. Może wyczuła moje istnienie.

Może nic w tym złego. Będzie się trzymać z daleka.

Czy nabrała podejrzeń co do dziewczynki? Czy po jej powrocie zauważyła to samo, co wy? Jeśli Eliza nie dostarczy z własnej woli zadowalającego wyjaśnienia, jej ciotka powinna się bardzo zaniepokoić. Jeśli dowie się o incydencie koło zajazdu, może zacząć podejrzewać, że Eliza i Rock Truck nagle zostali sprzymierzeńcami.

Jakże chciałbym móc ją tu wezwać na konsultację.

Nie byłem pewien, jakim sposobem połączył Rocka i Elizę, ale nie wykluczałbym niczego. Truposz potrafi wysnuć prawdziwą odpowiedź z babiego lata i mgły,

czerpiąc wiedzę ze stuleci spędzonych na obserwowaniu tego, jak kształtuje się podłe ludzkie zachowanie.

Dowodem na tę hipotezę będzie powrót pana Rocka w nasze progi.

– Myślisz, że spanikuje i przyjdzie do nas, bo nie zna nikogo innego?

Tak.

– Jest zabójczo głupi.

To było oczywiste od samego początku.

– Co było w kuferku w tamtej uliczce?

– To samo, co w skrzynce na twojej półce – wyraziła swoją opinię Singe.

Powietrze. Tak. Prawie na pewno. Gdzieś leży martwy kapitan statku, zamordowany za nic. Rock Truck i panna Grünstrasse gonią za widmem. Cień w ogóle nie trafił do TunFaire.

– Czy Ingra Mah nie żyje?

To, czy podstępem nakłoniła dziewczynkę do zabicia kogoś w jej imieniu, czy sama zginęła po tym, jak ktoś trzeci ją obrabował, nie ma znaczenia. Obawiam się jednak, że niedługo gdzieś między Ryzną a Liefmold zaczną się dziać straszne rzeczy. Ktoś spróbuje zrobić użytek z Cienia, a on zacznie robić użytek z niego. Albo niej.

*

Możesz iść spać, Garrett. Skończyliśmy na dzisiaj.

– Dopiero kiedy Penny wróci do domu.

Subtelne rozbawienie.

Truposz zaczął porozumiewać się z Singe. Odwiedziłem Deana. Staruszek spał zdrowym snem. Miał widowiskowo podbite oko, ale wyglądało na to, że następnego dnia wróci do sił.

*

Penny pojawiła się wcześniej, niż się spodziewałem. Była wściekła.

– Masz rozdeptać tego Bottle’a na mięsną papkę! – warknęła. – Ten... ten... – Zabrakło jej uprzejmych słów.

– Co się stało?

– Poszliśmy do miejsca, które wybrał, i nagle skończyła mu się kasa! Miał za to czworo głodnych przyjaciół, w tym lalunię o imieniu Tami.

– Ech, parszywe życie.

– Wydaje ci się, że to zabawne.

Nie inaczej. Ona jednak nie zrozumiałaby dowcipu. A najśmieszniejsze było to, że i ja miałem usłyszeć prawdziwą puentę dopiero za osiem godzin.

– Idź do Truposza.

– Już mi wyssał wszystko z głowy. Idę ryczeć w poduszkę.

*

Rock Truck zmaterializował się tak wcześnie, że wszyscy poza Singe i Truposzem jeszcze spali. Rose Purple uciekał. Był mokry, ohydnie brudny, przerażony i

wycieńczony. Singe wpuściła go do środka, usadziła na krześle i powiedziała: „Nie ruszaj się”. Wróciła do drzwi, wyszła na ganek i pomachała.

Dollar Dana nie było na miejscu, ale inny człekoszczur wysączył się z cienia. Wydała mu polecenia. Potem poszła na górę obudzić mnie, jakby cała ta sprawa nie mogła poczekać do normalnej pory.

Kiedy tak krążyła tam i z powrotem, w górę i w dół, Rock z Ryzny dowiedział się, że jej słowo stanowi prawo. Choć bardzo się starał, nie udało mu się wstać z krzesła.

Singe parzyła mocną, czarną herbatę, kiedy wszedłem do kuchni, wciąż zezując z zaspania.

– Jeszcze niegotowa, Garrett. Do mojego biura. Pogadaj z nim. Przyniosę ci herbatę.

Wciąż pokonywałem ciągnący się milami korytarz, kiedy Truposz polecił: *Otwórz drzwi*. Konfuzja.

Usłyszałem pukanie, odsuwając pierwszy rygiel. Otworzyłem. Scithe wybałuszył oczy.

– Szybko przyjechałeś – powiedziałem.

– Co?

Nie dostał naszej wiadomości.

– Serendypność?

Scithe cofnął się o krok. Trudne słowo. Mogło być niebezpieczne.

– Singe wysłała do was gońca. Złapaliśmy jednego podleca.

To go tylko jeszcze bardziej zbiło z tropu. Zrobiłem mu miejsce w przejściu. Scithe wszedł do środka wraz ze

swoim pachółkiem. Singe wyłoniła się z kuchni z tacą z kilkoma kubkami i wciąż naciągającą herbatą. Scithe zaczął:

– Przyszliśmy w sprawie... – Tu oczy mu się zaszklily.

Dostałem wiadomość. Singe też, i prawie upuściła tacę.

Scithe podszedł do Rocka i położył mu dłoń na prawym ramieniu.

– I to jest ten diabeł? Cztery morderstwa? Nie wygląda. – Pochylił się i wyszeptał: – Ale masz przesrane, skarbie.

Rock zaczął się wic. Jego wielkie brązowe oczy były przepełnione błaganiem.

– Złe wieści, Rock – powiedziałem. – Wszystko na próżno. Cień nigdy się nie pojawił w TunFaire.

Rose Purple zaczął wydawać odgłosy jak ktoś, kto próbuje krzyczeć z kneblem w ustach. Chyba się zdenerwował.

– Nigdzie się stąd nie ruszy, prawda? – zapytał Scithe.

– Nie, chyba że uratują go inne czarne charaktery.

Chichoty. Inne czarne charaktery miały wkrótce same wpaść w tarapaty.

– Muszę się do tego zabrać – powiedział Scithe. – Ach!

Zeszła Penny. Wyglądała bardziej ponuro niż ja zazwyczaj o tak absurdalnej porze. Chwyciła kubek.

Singe nalala jej herbaty. Penny wsypala sporo cukru.

– Ssso się zieję? Szszege chcecie ode mnie?

– Byłaś wczoraj wieczorem w Torah's Sweetness – powiedział Scithe. – Narobiłaś hałasu.

– No i? Masz problem?

– Tak.

– Tak, Penny – wtrąciłem. – Po twoim wyjściu wszyscy goście zamienili się w toczących ślinę idiotów.

– Hę? O kurka. Ale na mnie za to winy nie zwalisz.

Oczy się jej zaszklily.

Potem usiadła na najbliższym krześle.

– Była tam ze dwudziestka dzieciaków. Nie miały z tym nic wspólnego. Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego?

– Jej nie chodziło o nich. Spodziewała się, że zabiorę tę monetę do domu. Kiedy ściągnęłaby ze sobą jej klątwe, ja i Kupa Gnatów przestalibyśmy stanowić zagrożenie, którym się staliśmy, kiedy się dowiedziała, że nie mamy Cienia.

– Dopadłoby to Singe, Deana i mnie też.

– Tak.

– Nie cieszysz się, że nie odstawiłeś psa ogrodnika à propos mojego spotkania z Bottle'em?

Nie powiedziała tego jednak z przekonaniem.

– Cieszę. Dobrze się złożyło. – Jednak ani ja, ani Truposz nie przypisywaliśmy tego szczęściu. Wierzymy w intuicję. Coś w głębi duszy kazało mi się pozbyć tej monety.

Mimo to mogło pójść lepiej.

– Idziesz, Garrett? – zapytał Scithe.

– Czy to zaproszenie?

– Jeśli nie będziesz się plątał pod nogami ani pyskował.

– Zgadzam się w jego imieniu – powiedziała Singe. –
Walnę go, jeśli się nie będzie zachowywał.

Scithe przyjrzał się jej z uniesioną brwią.

– Ja też idę.

– I ja – stwierdziła Penny.

Scithe westchnął. Ech, ci cywile.

*

Wyruszyliśmy po przybyciu Specjalnych. Trzej zajęli się Rockiem. Reszta udała się z nami do Benbow.

*

Królik był nieszczęśliwy. W nocy panna Grünstrasse się ulotniła. Nie zalegała z płatnościami, ale jej apartament był w ruinie. Wyglądało to tak, jakby odbyła się tam poważna bójka.

– Posprzeczała się z siostrzenicą – doniosła Singe.

– Uda ci się ją odszukać? – zapytałem.

– Nawet pod wodą. Była do głębi zrozpaczona. Nie poszło jej dobrze.

*

Trop zawiódł nas najpierw do miejsca, gdzie kobieta

przechwyciła Specjalnych wiozących Rocka do swojej siedziby. Tam nastąpiło porwanie, nie ratunek. Świadkowie twierdzili, że załatwiła sprawę szybko i w brzydkim stylu, bez pomocy dzieci. Potem ślad prowadził na nabrzeże i urwał się przy pustej kei. Statek, który wcześniej był tam zacumowany, zdążył już zniknąć; prąd zanosił go poza jurysdykcję Straży.

Znów zaczęło padać.

– Za często uciekają. – Scithe zgarbił się, żeby krople nie wpadały mu za kołnierz.

– Poderzną sobie nawzajem gardła. – Jeśli Specjalni ich wcześniej nie dopadną. W sprawach o morderstwo nie uznają granic.

– Może.

– Sierżant mojego plutonu zwykł mawiać: raz na czołgu, raz pod czołgiem.

– No. – Uśmiechnął się ponuro. – Ta suka zostawiła dziewczynkę, żeby wypić piwo, którego ona nawarzyła. Odnajdźmy ją i postawmy jej kilka kufli.

14 Z ang. *Penny dreadful* – potoczna nazwa tanich gazetek detektywistycznych (przyp. tłum.).

MELINDA M. SNODGRASS

Problem z otwieraniem szczeliny w świecie jest taki, że nigdy nie wiadomo, co się przez nią precyzyjnie. Co może się okazać niebezpieczne, jeśli to do ciebie należy ponowne zamknięcie tej szczeliny...

Melinda M. Snodgrass, której dzieła przekraczają granice różnych środków przekazu i gatunków literackich, jest autorką scenariuszy wielu seriali telewizyjnych, w tym *Star Trek: The Next Generation* (*Star Trek: Następne pokolenie*), przy którym pracowała również jako redaktorka w dziale scenariuszy. Pełniła funkcję scenarzystki i producentki przy serialu *Profiler* (*Portret zabójcy*). Jest autorką wielu popularnych powieści science fiction oraz współtwórczynią, współautorką i redaktorką publikowanej od dawna serii „Wild Cards”. Jej powieści to między innymi *Circuit*, *Circuit Breaker*, *Final Circuit*, *The Edge of Reason*, *Runespear* (wraz z Victorem Milánem), *High Stakes*, *Santa Fe* oraz *Queen’s Gambit Declined*. Jej najnowsza powieść to *The Edge of Ruin*, kontynuacja *The Edge of Reason*. Jest też autorką *Double Solitaire*, powieści z cyklu „Wild Cards”, a także rozgrywającej się w świecie *Star Trek* książki *The Tears of the Singers*. Jest również redaktorką antologii *A Very Large Array*. Mieszka w stanie Nowy Meksyk.

ŻADNEJ TAJEMNICY, ŻADNEGO CUDU

Stukot kół był hipnotyzujący. Światło księżyca sączyło się przez szpary między deskami wagonu towarowego, a w środku lampa naftowa oświetlała mężczyzn ułożonych na workach. Ich zarośnięte twarze o ziemistej skórze wyglądały zdrowiej w jej ciepłym, złotym świetle. Obecność lampy wywołałaby wściekłość i agresję u każdego psa, ale na szczęście straż kolejowa nie skontrolowała pociągu na ostatnich dwóch stacjach. Cross oparł się o tył wagonu, przysłuchując się basowemu szumowi głosów mężczyzn i przyglądając się, jak magia, która przesyciła ich krew, skrzy się dookoła nich.

Wyjechał z Nowego Jorku trzy miesiące wcześniej, w poszukiwaniu miejsca, gdzie po raz pierwszy pojawił się tajemniczy symbol włóczędzów. Zazwyczaj symbole były proste – stanowiły kod, który włóczędzy zostawiali innym jako wskazówki, kiedy przecinali pogrążony w rozpacz kraj. Puste kółko oznaczało, że w danym miejscu niczego nie dostaniesz. Trójkąt z dwiema kreskami wyciągniętymi jak ramiona i czterema krótszymi podobnymi do palców oznaczał, że mieszka tam człowiek z bronią. Kot był symbolem miłej starszej pani, a krzyż zostawiało się przy domach, w których można było dostać darmowy posiłek, jeśli wysłuchało się gadki o religii. Częścią tego symbolu był wprawdzie krzyż, ale dookoła niego owinięty był wąż. Jego głowa mieściła się między pionową belką a

ramionami krzyża; w otwartym pysku widać było kły, a oczy miały w sobie coś, co wydawało się Crossowi dziwnie znajome i niepokojące.

Jego szef, właściciel Nietypowych Usług Detektywistycznych, podejrzewał, że symbol oznacza miejsce ingerencji z innego uniwersum; zapłaciwszy pas na pieniądze gotówką Conoscenza, wysłał Crossa z misją jego odnalezienia. Cross spędził całe tygodnie w obozach włóczęgów, wędrując pieszo i pociągami, rozmawiając z włóczęgami i odpierając ataki, ale teraz uważał, że zbliża się do końca podróży. To, co powiedział mu tamten staruszek w St. Louis, wyglądało obiecująco.

Starzec widział symbol w Buford Fork, miasteczku koło Tulsy w stanie Oklahoma. Wkrótce się do niego zbliżą, a wtedy Cross wyskoczy i ruszy w poszukiwaniu rozdarcia w rzeczywistości oraz istoty, która je stworzyła. Była ciepła czerwcową noc, ale mimo to Cross zadrżał i otulił się ciasniej marynarką. Zmierzył się z jednym ze swoich w zachodniej Wirginii i w wyniku tego spotkania jego ciało się rozpadło. Stracił wiele dni na zbieraniu się z powrotem do kupy i wciąż był piekielnie słaby. Czuł, że w każdej chwili może się znów rozsypać, więc bał się nieuniknionej konfrontacji.

Wyciągnął piersiówkę i łyknął brandy. Prohibicja tylko przysporzyła niedoli temu zdesperowanemu krajowi, ale Conoscenza sprowadzał alkohol z Kanady; był świetnej jakości. Kiedy się skończy, Cross będzie musiał znaleźć jakąś melinę i kupić cokolwiek, co tam sprzedają.

W odróżnieniu od człowieka Cross by nie oślepl od taniego bimbru.

– To nie była moja wina – dobiegl Crossa nosowy gl6s Eda Blooma. – Moje zasady zarzadzania byly w porzadku... Nie, wi6cej ni6 w porzadku, byly bez zarzutu. Ale wlasciciel tego nie dostrzegal i zamknal sklep. Pracownicy nie mieli powodu, zeby mnie obwinia6.

Bloom opowiadal t6 histori6 po raz dziewi6tnasty od chwili, kiedy Cross wskoczyl do wagonu towarowego w St. Louis. Cross zaczal zalowac, ze nie si6gnal do zapas6w got6wki i nie wykupil miejsca w wagonie pasazerskim, ale po tym, co si6 stalo w zachodniej Wirginii, bal si6 pr6bowa6. Gdyby si6 rozszczepil w wagonie pe6nym wl6cz6g6w, i tak nikt by ich nie wysluchal. Zaden policjant nie uwierzylby zagubionym i zapomnianym m66czyznom w dziwaczna opowie66 o tym, ze jaki66 czlowiek rozpadl si6 na setki odlamk6w wielokolorowego swiatla, kt6re polecialy na cztery strony swiata. Ale gdyby to si6 stalo na oczach szacownych obywateli... nie, nie m6gl ryzykowa6.

Pociag zwolnil. Cross zabral sw6j worek, wepchnal kapelusz do kieszeni marynarki, podszedl do drzwi i odsunal je nieco. Gwo6dziej przy ko6cach podklad6w kolejowych migaly, jakby nadawaly szyfrem. Pociag zwolnil jeszcze bardziej – ko6la zapiszczały metalicznie – a Cross wyskoczyl. Stracil rownowage, ale udalo mu si6 upasc na bark. Zuzel przy torach zachrzecil, wydajac wo6 sadzy. Cross si6 podni6sl i ruszyl przed siebie.

*

Noc rzuciła się na niewielkie Buford Fork w sposób, który przywodził Crossowi na myśl wielką, zamykającą się paszczę. Przypomniawszy sobie też wtedy, dlaczego nie znosi prowincjonalnych miasteczek. Uwielbiał światła wielkich miast, gdzie elektryczność trzyma mrok w ryzach. Spojrzał tęsknie na łunę Tulsy widoczną na horyzoncie, ale potem odwrócił się do niej plecami i poszedł dalej główną ulicą Buford Fork. Przed sobą widział oazę jasności: cztery latarnie gazowe, które rozświetlały fasadę ratusza.

Po drugiej stronie ulicy była jadłodajnia, ale zamknięta na cztery spusty, zapewne dlatego, że nie było dość klientów, aby opłacało się ją otworzyć. Ręcznie napisane menu w oknie zachwalało smażonego kurczaka z sosem śmietanowym i plackami kukurydzianymi. Cross zdał sobie sprawę, że ciało, którego używa, jest głodne. Przycisnął dłoń do brzucha i poczuł pas na pieniądze. Miał dalej udawać włóczęgę czy zaoferować jakiejś gospodyni pieniądze za jedzenie?

Minął kino. Jak na ironię na afiszu widniał napis „*Światła wielkiego miasta* z Charliem Chaplinem”. Przed kinem stał czarny, zakurzony ford model A. Białe boki opon wyglądały jak błysk uśmiechu w ciemnościach. Zaparkowane niedaleko były też dwa wiekowe modele T, a o ścianę opierało się kilka rowerów. Cross zaczął się zastanawiać, czy wejść do środka. Lubił kino, ale budka

kasjerki była pusta.

Poszedł dalej i dostrzegł na tle nieba czarną sylwetkę krzyża przycupniętego niezgrabnie na dachu domu. Czyli misja. Podeszedł do furtki w podniszczonym, białym płocie. Ręcznie wypisana tabliczka głosiła, że to „Misja Krwi Baranka Bożego”. Uwagę Crossa przyciągnęły cienie u dołu belki tuż obok furtki. Schylił się, uruchomił zapalniczkę i zamarł. Staruszek w St. Louis miał rację. Symbol, za którym podążał przez całą pogrążoną w kryzysie Amerykę, wyryto głęboko w drewnie. Rysunek był niepokojący; oryginał budził przerażenie.

Teraz żałował, że w znajdującym się w Harlemie biurze Conoscenzy zachował się niepoważnie. Rosły mężczyzna przesunął rysunek po lśniącej blacie biurka. Cross przyjrzał się krzyżowi i wężowi, a potem spojrział w ciemne oczy mężczyzny, który zaoferował mu szansę na niebyt, i powiedział:

– Pewnie nie chodzi o to, że w tym domu przyjmuje lekarz.

Conoscenza wstał, co robiło imponujące wrażenie, ponieważ mierzył co najmniej dwa metry, a ważył ze sto czterdzieści kilo. Podeszedł do okna i splótł dłonie za plecami. Światło lśniło na jego hebanowej skórze. Cross dołączył do niego i obaj spojrzeli na tłumy rojące się na chodniku.

– To niedobre czasy – powiedział Conoscenza. – Możliwe, że na świecie jest dość rozpacz, żeby oni w końcu mogli rozedrzeć błony między wymiarami i

powrócić.

Słowo „oni” odnosiło się do istot podobnych Crossowi, które udawały bogów i żerowały na mieszkańcach tego świata. Tak samo jak Cross, który udawał człowieka, choć nie żywił się już nieszczęsnymi małpami zamieszkującymi Ziemię.

– Bywało gorzej – brzmiała lakoniczna odpowiedź Crossa. – Kryzys ekonomiczny i susza nie mogą się równać epidemii dżumy, Dżyngis-chanowi czy wojnom albigeńskim. Jeśli to pokolenie ludzi przyjmie Przedwiecznych z takich powodów, to znaczy, że są bandą mięczaków.

Teraz, patrząc na symbol, Cross zaczął się bać. Ich przeciwnicy znaleźli tyle śmierci, przemocy i bólu, żeby roztrzaskać Crossa. Tylko dzięki setkom maleńkich dobrych uczynków był w stanie znów poskładać się w całość. Choć ludzie byli zdruzgotani załamaniem się gospodarki, wielu wciąż czciło kochającą wersję Boga, którą uosabiał mityczny Jezus. Kierowali się zasadami, które Conoscenza zaszczeplił w morderczym kulcie boga wojny.

Część tej dobroci była wrodzoną cechą człowieka – ewolucja często wynagradzała empatię – ale ingerencje Conoscenzy też zrobiły swoje. Przedwieczni może i zarazili ludzkość religią, ale Conoscenza próbował nią kierować i przekształcić w coś, co mogło być źródłem dobra. Cross dołączył do niego w tych wysiłkach, ponieważ w dalekiej przeszłości Eolas – jak wtedy

nazywał się Conoscenza – odnalazł Crossa, którego stworzyło ludzkie współczucie, a osłabiło ludzkie okrucieństwo, i zaoferował mu układ. Jeśli Cross pomoże mu w walce z obcymi istotami, Eolas/Conoscenza pomoże mu umrzeć. Po prostu jakoś nigdy nie doszli do etapu umierania. Cross przez moment poczuł na ramionach obezwładniający ciężar istnienia.

Uniósł głowę i zmierzył wzrokiem budynek. W brzuchu poczuł ucisk, który nie miał nic wspólnego z głodem. Jeśli to było miejsce styku między Przedwiecznymi a tym światem, Cross będzie musiał załatwić tę sprawę, a był słaby, taki słaby. Po raz kolejny pożałował, że nie mają paladyna, człowieka, który potrafi użyć prastarej broni i zabić Przedwiecznego. Zamiast tego musiał się zmierzyć z jednym ze swoich. Zaczerpnął głęboki, uspokajający haust powietrza i pchnął furtkę. Pod jego stopami szeleściła martwa trawa, wypalona latami suszy. Wszedł po schodkach na szeroki, otoczony siatką ganek, na którym była nawet huśtawka, i zastukał do drzwi wejściowych. Miał nadzieję, że obowiązkowe nabożeństwo już się skończyło i że nikt, kto akurat znajduje się na miejscu, nie jest tak naprawdę wierzący. Kiedy ludzie zaczęli się modlić, dawać świadectwo i wzywać Jezusa, cholernie trudno mu było zachować krótkie włosy i ogoloną twarz. Jego fizyczna postać miała skłonność do odzwierciedlania wizji wierzących.

Otworzyła mu kobieta. Była po trzydziestce, śliczna i posągowa, z brązowymi włosami upiętymi na czubku

głowy. Miała na sobie spódnicę, białą bluzkę i frywolne, czerwone buty z odsłoniętymi palcami. Wlepiała wzrok w Crossa na długą chwilę, a potem na jej ustach pojawił się uśmiech. Cross pozwolił smużce mocy wysunąć się i jej dotknąć. Dookoła niej rozbrzysła magia; coś było bardzo nie w porządku z wielkim bursztynowym pierścieniem na jej prawej dłoni. Cross przyjrzał się obrączce zrobionej ze splecionych włosów i falującym czarnym cieniem, które wpływały do kamienia. Coś tu było uwięzione, a on obawiał się, że może to ona.

– Dobry wieczór pani – powiedział. – Czy słusznie się domyślam, że to misja?

– Tak... tak. Witam, proszę wejść. Jestem siostra Sharon. – Cofnęła się, a Cross przekroczył próg.

Oleisty ślad jego pobratymcy przesycił ściany i zasłony. Cross napiął mięśnie w przygotowaniu na atak, ale potem zdał sobie sprawę, że trop jest słaby i przytłumiony. Przedwiecznego najwyraźniej już tam nie było.

– Jest pan dzisiaj naszym jedynym gościem. Wygląda na to, że większość ludzi się tu nie zatrzymuje. – Miała ładny głos, wyrazisty i dźwięczny. Wzięła jego worek i postawiła przy drzwiach. – Jeśli jest pan głodny, mam gulasz na kuchence i rano upiekłam chleb.

– Tak, proszę pani, chętnie bym coś zjadł.

Zaprowadziła go do salonu, który przeobrażono w stołówkę, zastawiając stołami na kozłach i ławkami. Cross usadowił się na jednej z nich, a siostra Sharon zniknęła za

drzwiami. Cross poderwał się i podbiegł z powrotem do wejścia. Jego moc umożliwiała mu widzenie magii, a rozdarcie między wymiarami powinno być widać jak flarę. Rozejrzał się na wszystkie strony, próbując je odnaleźć, ale nieustanny szum mocy pierścienia zakłócał jego zdolności. Podszedł do podwójnych drzwi i już zdążył położyć dłoń na klamce, kiedy zaskoczył go ostry głos.

– Hej, czego tu myszkujesz?

Cross odwrócił się i napotkał poirytowane spojrzenie niskiego, okrągłego mężczyzny. Za najeżonym grubasem stał krępy chłopak po dwudziestce. Jego płaskie rysy zdradzały mongolizm. Uśmiechnął się do Crossa i pokiwał radośnie głową.

– Przepraszam, chciałem się tylko zorientować, gdzie co jest – powiedział Cross.

– Na pewno próbowałeś nas okraść – sapnął mężczyzna. Chwycił Crossa za ucho i pociągnął. – Zobaczmy, co siostra Sharon będzie miała na ten temat do powiedzenia. – Teraz idiota wyglądał na zatroskanego; wyczuł gniew w słowach faceta.

– Jeśli mnie nie puścisz, stracisz rękę – powiedział Cross swobodnym tonem. Mężczyzna spojrział mu w oczy i błyskawicznie zabrał dłoń.

Cross wrócił do jadalni. Sharon właśnie w tej chwili wyłoniła się zza innych drzwi, niosąc miskę gulaszu w jednej ręce i bochenek chleba w drugiej.

– Siostro, znalazłem go, jak tu węszył. – Słowa

ociekały zarozumiałstwem słyszany tylko u pałacowych eunuchów i majordomów. Mongoł został przy drzwiach, przestępując nerwowo z nogi na nogę i zerkając na Sharon.

– Jestem pewna, że nie miał nic złego na myśli – powiedziała kojąco Sharon.

Cross usiadł na ławce, a Sharon postawiła przed nim jedzenie. Zamieszał w gulaszu na próbę. Był gęsty od kawałków mięsa, a między marchwią i ziemniakami widać było nawet kawałki fasolki. Wyglądało to znacznie smaczniej niż jedzenie w większości misji. Sharon usiadła naprzeciwko niego. Niewysoki mężczyzna stanął za nią z chmurną miną.

– Mój mąż, Marshall, i przybrany syn prowadzą swoją krucjatę – powiedziała Sharon. – To oni wygłaszają kazania, więc nie zachęcałam ludzi, żeby przychodzili, ponieważ teraz nie ma nabożeństw.

– Jesteś równie dobrym kaznodzieją jak brat Hanlin – powiedział mężczyzna. – Przepelnia cię Duch Święty, siostró Sharon. – Uniosła ku niemu uśmiechniętą twarz, a on jeszcze bardziej się nadał.

Cross wlepił wzrok w ciemność otaczającą pierścień i zaczął się zastanawiać, co też jeszcze wypełnia kobietę.

– Jesteś taki miły, Stanley.

– Brak plebana zapewne byłby zaletą dla większości ludzi – powiedział Cross, siorbiąc gulasz.

– Rozumiem, że nie jest pan pobożnym człowiekiem, panie...

Od tej ironii prawie się zakrztusił. Wybuchnął krótkim śmiechem.

– Cross – przedstawił się. – I jestem bardziej pobożny, niż siostra sobie wyobraża. Po prostu wiem, że wszystko to gusła i życzeniowe myślenie.

– Nie sądzi pan, że ludzie potrzebują pocieszenia? Szczególnie w ciężkich czasach? – zapytała Sharon.

– Jestem całym sercem za pocieszeniem. Gdyby tylko to im wystarczyło, ale nigdy nie wystarcza. Ludzie zawsze dochodzą do wniosku, że wszystkim innym też trzeba pocieszenia i że powinna to być właśnie ich wersja pocieszenia. A jeśli nie jest, zazwyczaj przekonują resztę ostrym końcem miecza albo lufą pistoletu.

Sharon zerwała się na nogi. Ze wzburzeniem splatała i rozplatała nerwowo palce.

– Może moglibyśmy zaczerpnąć nocnego powietrza i porozmawiać na zewnątrz, panie Cross.

– Dobrze.

Cross oddał z bochenka kęs i wziął ze sobą, po czym ruszył za nią do drzwi. Niedorozwinięty mężczyzna zszedł im pospiesznie z drogi. Zza niego słyhać było, jak majordomus wydaje z siebie oburzony gulgot, który ani na chwilę nie przeobraził się w zrozumiałe słowa.

*

Zaprowadziła go za dom, a potem ścieżką, która wiodła wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego. Ciepłą noc przepełniało ciche muczenie bydła, zapach krowich

placków i kurzu. Cross patrzył pod nogi. Świetliki tańczyły między brązowymi źdźbłami trawy jak zagubione gwiazdy. Półksiężyc prawie już zaszedł za wzgórzami.

Kręty rząd drzew wskazywał, gdzie wije się strumyk. Cross i siostra Sharon dostali się na polankę, gdzie nad płynącą powoli wodą przerzucono drewniany mostek. Kierunek wiatru się zmienił, a Cross wyczuł zapach dymu z ogniska. Niedaleko znajdował się obóz włóczęgów. Sharon patrzyła w tamtym kierunku przez długą chwilę, a potem usiadła na skraju mostka, machając nogami, i zapatrzyła się na przepływające pod nią zwieńczone srebrem zmarszczki na wodzie.

W końcu zapytała:

– Czym się pan zajmuje? Jaką ma pan pracę?

– Jestem prywatnym detektywem, proszę pani – powiedział.

Długo nie odrywała od niego wzroku.

– Czyli pomaga pan ludziom – mówiła tak cicho, że musiał się nachylić, żeby ją usłyszeć.

Poczuł na policzku jej oddech.

– Potrzebuje pani pomocy?

Nie odpowiedziała. Odwróciła tylko twarz, aby spojrzeć w niebo.

– Mój mąż jedzie właśnie do Chicago na konwencję.

Cross nie musiał pytać jaką konwencję. Demokraci zebrali się, aby wybrać kandydata na prezydenta. Republikanie obstawali przy nieszczęsnym Hooverze,

więc rozsądny wybór demokratów miał kluczowe znaczenie. Cholernie mało prawdopodobne, ocenił w myślach sytuację Cross.

– Marshall jest delegatem-zastępcą. Wziął ze sobą Seana, żeby chłopak mógł zobaczyć, jak działa rząd – ciągnęła.

Cross poczuł ukłucie niepokoju. Kaznodzieja na oficjalnym stanowisku i ingerencja Przedwiecznego mogły być zabójczą mieszanką.

– Ja zostałam, żeby się zająć misją – mówiła dalej Sharon. Okręciła nerwowo pierścień na palcu. Cieniste macki zawirowały. Po chwili milczenia odwróciła się do Crossa. – Bóg obdarzył mnie Wzrokiem i widzę, że jest pan dobrym człowiekiem. Myślę, że trafił pan tutaj, żeby mi pomóc.

– Nie ręczę za to pierwsze, proszę pani, ale jeśli ma pani kłopoty, może faktycznie mogę pomóc – powiedział Cross.

Zaprezentowała mu swój profil.

– Pomyśli pan, że oszalałam.

– Dlaczego?

Wyciągnęła rękę.

– Ten pierścień – szepnęła. – Dał mi go mąż, ale nie potrafię go zdjąć.

– Niech spojrzę.

Podąła mu dłoń.

Potęga tętniła w pierścieniu jak bijące serce. Cross zebrał własną moc, uchwycił pierścień i pociągnął na

próbę. Rozbłysło fioletowe światło, coś jakby kopnęło go w klatkę piersiową, a potem zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Następne jego odczucie było takie, że jest mokry. Potem pojawiła się Sharon; położyła sobie jego głowę na kolanach i zaczęła gładzić mu czoło.

– Panie Cross. Panie Cross. Wszystko w porządku?

Zmusił się do uniesienia powiek. Nawet słabe światło księżycy było jak gwóźdź wbijany mu prosto w czoło. Dolna połowa jego ciała była wciąż zanurzona w strumieniu. Atak pierścienia zepchnął go z mostka.

Więzy, które utrzymywały jego ludzką postać w całości, wibrowały jak uruchomiony kamerton. Cross przełknął żółć, która podeszła mu do gardła, zamknął oczy i oddychał powoli, głęboko. Nie rozpadnij się. Nie rozpadnij się. Nie tutaj. Nie teraz. Nie tak szybko po ostatnim razie. Z wolna odzyskał panowanie nad ciałem.

– Będzie pan w stanie iść?

Skinął głową. To był błąd, więc zadowolił się jękiem, który – miał nadzieję – dostatecznie przypominał słowo „tak”, żeby jego intencja została zrozumiana. Z wysiłkiem spróbował się podnieść. Sharon mu pomogła, podtrzymując go pod ramię.

Pokuśtykali z powrotem do budynku misji.

– Położę pana do łóżka w pokoju Seana. I proszę zdjąć to mokre ubranie. Jeśli je teraz rozwieszę, wyschnie do rana.

Zabrała go na górę do wąskiego pokoju z równie

wąskim łóżkiem pod ścianą. Była tam też półka z podręcznikami szkolnymi i tekstami religijnymi. Na szczycie półki widniała kolekcja kamieni, langusta w akwariium, futbolowa piłka. Typowy chłopięcy pokój. Wyszła. Cross opróżnił kieszenie i zdjął kaburę. Rozebrał się i uchyliwszy drzwi, wysunął za nie kupkę przemoczonych ubrań.

Zachował dość przytomności umysłu, żeby zdjąć pas na pieniądze i wepchnąć pod poduszkę. Potem zmierzył spojrzeniem łóżko i padł, nagi, na kołdrę.

*

Obudziło go chylące się ku zachodowi słońce, które grzało go w powieki. Jego starannie poskładane ubrania leżały na kupce w nogach łóżka. Ta niestosowność go zastanowiła. Panienska Wzór Wszelkich Cnót weszła do sypialni mężczyzny, który nie był jej mężem. Zerknął na zegarek. Od mrocznej mocy pierścienia stracił przytomność na dwadzieścia jeden godzin. Wzdrygnął się. Coś przeszło tutaj przez zasłony między wymiarami i wyglądało na to, że jest piekielnie silne, znacznie silniejsze od niego.

Jego rzeczy – nawet rewolwer Webley – były nieruszone. Już ubrany Cross poświęcił chwilę na szybkie otwarcie drzwi do dwóch innych pokojów na piętrze. Jeden z nich był gabinetem, a drugi pachnącą perfumami sypialnią z małżeńskim łóżkiem przykrytym patchworkową narzutą. Znalazł też to, czego szukał. Nie

samo przejście między wymiarami, ale dowód na to, że jakiś Przedwieczny pojawił się w tym domu. Lustro na toalecie było szare i zmatowiałe, co było rezultatem obecności Przedwiecznego.

Cross usiadł na skraju łóżka i zaczął się zastanawiać. Istota z jego rasy dostała się tędy na Ziemię. To oznaczało dziurę w rzeczywistości. On nie był w stanie sobie z nią poradzić: mógł ją zamknąć tylko paladyn z odpowiednim orężem. Musiał zawiadomić szefa i ostrzec go, że istota ruszyła dalej, najprawdopodobniej do Chicago. Powinien sam tam pojechać. Zmierzyć się z Przedwiecznym, może wygrać. Na samą myśl o czekającym go starciu zaczął się trząść. Z drugiej strony Conoscenza kazał mu tylko zlokalizować źródło symbolu. Cross już tego dokonał. Mógł zrobić użytek z gotówki, którą miał przy sobie, kupić bilet na pierwszy pociąg jadący na wschód i złożyć raport osobiście.

Podszedł do szczytu schodów i usłyszał gwar męskich głosów w stołówce. Tego wieczoru Misja Krwi Baranka Bożego miała gości. Wszedł do przerobionego salonu i się rozejrzał. Wszystkie twarze zdobiła szczecina: brzytwy i mydło były drogie. Większość mężczyzn miała na sobie kombinezony. Kilku było ubranych w garnitury, tak jak Cross, o materiale powycieranym do typowego dla biedoty błysku. W pokoju pachniało zapiekanką z mielonego mięsa i ziemniaków, jajecznicą, świeżo upieczonym chlebem i kawą ze sporym dodatkiem cykorii. Pod miłymi woniami czaił się smród potu,

cuchnących oddechów i stęchłego dymu papierosowego.

Sharon chodziła wśród tłumu, roznosząc talerze. Mongoł dreptał za nią z wyładowaną talerzami tacą. Zazwyczaj ludzie dotknięci tą przypadłością są radośni i kochający. Ten poruszał bezgłośnie ustami i wciąż rzucał na Sharon nerwowe spojrzenia. I prawie uciekł poprzedniej nocy, kiedy Sharon do niego podeszła. Może wyczuł mroczną aurę czającą się w sercu jej pierścienia. Coś wyraźnie go wystraszyło. Pyszałkowaty błazen tkwił u jej boku. Cross był ciekaw, dlaczego tak piękna kobieta trzyma przy sobie takich mężczyzn.

Zajął miejsce na końcu jednej z ławek. Mężczyzna siedzący obok mruknął coś na powitanie.

– Spory tłum – odezwał się Cross.

– No, mieliśmy obóz przy elewatorze zbożowym. Przyszła ta lala i nas zgarnęła. – Mężczyzna rzucił Crossowi uśmiech, który ukazywał za dużo dziąseł i za mało zębów. – Pewnie samotność ją dopadła.

Sharon dotarła do ich stołu. Obdarzyła Crossa olśniewającym uśmiechem i położyła przed nim talerz.

– Jak się czujesz? Lepiej? – zapytała.

– Tak. Skąd macie pieniądze na taką ucztę?

Uśmiechnęła się do niego, wydymając wargi, i przyłożyła palec do ust.

– Pan Bóg zawsze dopomoże.

– Z mojego doświadczenia wynika, że jest inaczej.

Poklepała go po ramieniu. Potem zdjęła mu z ramienia swój długi, brązowy włos, który na nie opadł, i

okręciła go sobie dookoła palca.

– No cóż, może jeszcze zrobię z ciebie człowieka wierzącego.

– Och, ja wierzę – odparł Cross. – Nie wątp w to.

Ruszyła dalej, a on zabrał się do jedzenia. Konsystencja i smak potraw były jedynym ludzkim doświadczeniem, które naprawdę sprawiało mu przyjemność. Zebrał resztki zapiekanki z talerza skórką chleba, wysiorbał do końca kawę, westchnął i wyciągnął paczkę lucky strike'ów. Mężczyźni siedzący z nim przy stole zmierzylili zielone pudełko z czerwonym kółkiem chciwymi spojrzeniami. Cross ledwie wsunął papierosa do ust, kiedy podbiegł do niego zarozumiały człowieczek, grożąc mu palcem.

– Siostra Sharon nie popiera palenia. Idź na zewnątrz.

Nie warto było się spierać. Cross wzruszył ramionami i wyszedł na ganek. Pod okapem brzęczały pszczoły, wielkie jak czubek jego kciuka, a od duszącego żaru umierającego dnia koszula lepiała mu się do pleców. Za tym ludzkim doświadczeniem nie przepadał. Dostosował ciało i pot wyparował. Na jego oczach spuchnięte, czerwone słońce zaszło za horyzont.

Za nim zamknęły się z trzaskiem siatkowe drzwi. Cross się obejrzał. Dołączyła do niego na ganku grupa ludzi, na której czele stał mężczyzna o zaciętej minie i z blizną po nożu na wierzchu dłoni. Jeden z ludzi wyciągnął z kieszeni zmalretowanego, wypalonego do połowy papierosa, zapalił go zapałką i podał następnemu

facetowi.

– Harry mówi, że masz paczkę fajek. – W jego głosie pobrzmiwała agresja.

Mężczyzna z blizną stał tuż za nim. Cross mu się przyjrzał. Błysk w oczach tamtego zdradzał, że facet rwie się do bójki. Cross postanowił, że spróbuje załagodzić sytuację. Wyciągnął paczkę lucky strike'ów i poczęstował wszystkich. Mężczyzna z blizną wsunął papierosa do kieszeni koszuli. Cross wyciągnął zapalniczkę Unique i przysunął płomień do własnego papierosa. Mężczyźni zagapili się na srebrne, niewielkie urządzenie Dunhilla ze zdumieniem.

– Kto ty, do cholery, jesteś? Daddy Warbucks15? – zapytał Blizna. – I co jeszcze masz, kolego, czym chciałbyś się podzielić? – Jego oczy miały w sobie ciepło stalowej blachy.

Cross oparł się o jeden z drewnianych filarów. Komary jęczały dookoła niego jak rozgniewana żona. Zaciągnął się powoli, wypuścił dym, a potem powiedział cicho:

– Nie chcesz ze mną zadzierać... kolego. Źle się to dla ciebie skończy.

Pozostali mężczyźni otoczyli ich kręgiem, czując, że zaraz zacznie się bójka. Ich podniecenie i ledwo hamowana agresja rozbijały się o skraj świadomości Crossa. Odepchnął od siebie tę odurzającą mieszankę, przyjrzał się przeciwnikowi i rozważył, jak najlepiej poradzić sobie z sytuacją. Wciąż był słaby po tym, jak

jego ciało się rozpadło, i po incydencie na moście poprzedniego wieczoru. Poza tym bardzo niedawno w tym domu przebywał Przedwieczny. Cross nie chciał nadużywać mocy, aby nie przyciągnąć uwagi jednego ze swoich pobratymców.

Jego przeciwnik przestąpił z nogi na nogę i podniósł pięści. Cross wciąż opierał się o filar, kończąc palić papierosa. Potem upuścił go na podłogę i przydeptał czubkiem buta. Mężczyzna słusznie zinterpretował beztroskę Crossa jako wyraz pogardy i wezbrała w nim furia. Uwidoczniła się jako zygzakowate linie czerwieni i obrzydliwej żółci tryskającej z jego ciała. W reakcji na to wzrosła też ekscytacja gapiów.

Cios, który zadał mężczyzna, zdecydowanie nie był zaskakujący. Cross przeżył już sporo czasu, większość w ludzkiej postaci, i w ciągu lat nauczył się wielu technik walki. Wybrał tę, którą poznał w Chinach pół wieku wcześniej. Wszedł w zasięg sierpowego, zablokował go przedramieniem, a potem okręcił się i kopnął mężczyznę w bok kolana. Facet padł na podłogę, krzycząc.

Cross schylił się i wyłuskał papierosa z jego kieszeni.

– Oto morał, kolego: czasem, kiedy człowiek sięga po więcej, może zostać z pustymi rękami. – Wyprostował się i rozejrzał po tłumie. Krąg gapiów rozplynał się jak atrament w wodzie.

Siatkowe drzwi otworzyły się z rozmachem, uderzając o ścianę, i na ganek wybiegła Sharon ze swoim totumfackim. Wzięła się pod boki i powiedziała:

– Nie życzę sobie bójek w tej misji pokoju. –
Wskazała Crossa palcem. – Ty tam! Wynoś się! No już!

Cross wzruszył ramionami i zszedł po schodach ganku, podczas gdy pozostali mężczyźni wrócili gęsiego do budynku. Sharon objęła Bliznę ramieniem i pomogła mu przejść przez próg.

– Położę cię do łóżka w pokoju Seana – dosłyszał Cross jej słowa skierowane do kulejącego mężczyzny. – Do rana będziesz zdrów jak ryba. – Siatkowe drzwi zamknęły się za nimi, a potem ktoś starannie zaryglował ciężkie drewniane wejście.

Cross stał w zapadającym zmroku, patrząc na zamknięte drzwi i myśląc o tym, co zobaczył, kiedy bójka się zaczynała. Zza siatki Sharon przyglądała się im z głodem w oczach.

*

Potrzebował telefonu. Musiał zadzwonić do Conoscenzy. To nie mogło czekać, aż wróci do Nowego Jorku. Kiedy tylko złoży szefowi raport, Conoscenza ruszy do Chicago. Co oznaczało, że i Cross będzie musiał tam pojechać. Była to ostatnia rzecz, na którą miał ochotę. Moc pierścienia go wystraszyła.

Była prawie ósma wieczorem. Poczta zamknięta kilka godzin wcześniej. Musiał więc znaleźć dom z miłym właścicielem, którego stać na telefon. Skręcił z głównej ulicy do dzielnicy mieszkalnej, rozglądając się po płotach i furkach za symbolem przypominającym ptaka, który

oznaczał darmowy telefon. Chwilę mu to zajęło, ale w końcu znalazł. Na skrzynce pocztowej widniało nazwisko „dr Adam Grossman”. Faktycznie, lekarzowi przydaje się telefon.

Przed domem zaparkowany był ford model A, starannie umyty i nawoskowany. Cross zatrzymał się za nim i wyciągnął pieniądze z pasa. Potem pchnął furtkę i podszedł do drzwi. Otworzył mu młody mężczyzna o ostrych rysach i zaczesanych do tyłu włosach. Cross wyczuł charakterystyczny zapach najlepszej brylantyny Murraya. Lekarz miał na sobie eleganckie, nowomodne spodnie z kantem i mankietami; dłonią o zabarwionych nikotyną palcach poprawił okulary w drucianej oprawce. Wizja siwowłosego, krępego wiejskiego lekarza, którą Cross miał w myślach, rozviała się bezpowrotnie.

– Doktor Grossman?

– Tak? Czy ktoś jest chory?

– Nie. Chciałbym skorzystać z pana telefonu – powiedział Cross i wyciągnął przed siebie złożoną dwudziestodolarówkę trzymaną dwoma palcami.

Lekarz wytrzeszczył oczy na widok banknotu.

– Zazwyczaj pozwalam korzystać z telefonu za darmo.

– Wiem.

Grossman zmarszczył brwi.

– Skąd?

– Jest znak na pana furtce.

Lekarz zerknął w stronę białego płotu i furtki. Cross

się zaśmiał.

– Symbol włóczęgów.

– Niech mnie diabli. – Grossman otworzył szeroko drzwi. – Proszę wejść. To sporo wyjaśnia.

Cross przestąpił próg i znalazł się w bezlitośnie schludnym salonie. Starannie ułożone książki leżały na stoliku obok fotela. Poduszki na sofie były ustawione w szyku jak korpulentni żołnierze. Nie było śladu kobiecej ręki, która dodałaby temu miejscu miękkości. Wnętrze pokoju krzyczało, że jego właściciel jest byłym wojskowym, a leżąca w nim paczka papierosów Army Club potwierdziła to wrażenie. Wracający do domu żołnierze piechoty amerykańskiej zwykli palić te angielskie papierosy podczas pierwszej wojny światowej. Zadziałała pamięć, uruchamiając zmysły. Cross przez mgnienie oka miał wrażenie, że czuje smród stęchłej wody, niemytych ciał i kordytu, przypomniał sobie, jak podeszwy jego butów ślizgały się po błocie.

– Telefon jest w korytarzu – powiedział Grossman, wyrywając go ze wspomnień. Cross podał mu banknot. Grossman uniósł dłoń. – Proszę zatrzymać pieniądze.

– Nie potrzebuję ich, naprawdę. Proszę je wziąć. Kupić leki albo wyleczyć kogoś za darmo – powiedział Cross.

Grossman się zawahał, a potem wzruszył ramionami i wziął dwudziestkę.

Telefon znajdował się we wnęce na ścianie, a obok niego ustawiono drewniane krzesło. Cross podniósł

słuchawkę. Kilka sekund później zgłosiła się telefonistka. Podał numer do apartamentu Conoscenzy. Trochę potrwało, zanim uzyskano połączenie, ale w końcu usłyszał dzwonienie, a potem znajomy bas szefa.

– Conoscenza.

– Hej, to ja. Znalazłem go. Po raz pierwszy pojawił się w Oklahomie. I miałeś rację, to była inwazja, jeden Przedwieczny się przebił.

– Możesz go załatwić?

– Nie, bo już go nie ma w mieście. Jedzie właśnie do Chicago, pożyczył sobie trzeciorzędny, nawiedzony kaznodzieję, który jest delegatem-zastępcą podczas konwencji.

– Jak ma na nazwisko? – zapytał Conoscenza.

– Hanlin.

Na kilka minut zapadła cisza. Cross słyszał tylko szelest przewracanych kartek.

– Nie piszą o nim w ogólnokrajowej prasie. Co o nim wiesz? To jakiś podżegacz?

– Nie mam pojęcia. – Cross urwał na chwilę, a potem zapytał: – Myślisz, że to wymierzone w ciebie? Sposób na zablokowanie twoich planów co do FDR?

– Może, ale tak czy owak nie możemy ryzykować. Najlepiej będzie, jeśli pojedę do Chicago.

– I tak nie dostaniesz się na salę obrad – stwierdził kwaśno Cross.

– Jest kilku czarnych zastępców – powiedział Conoscenza. Jego potężny śmiech, od którego trzęsła się

podłoga, niemal poniósł się echem po korytarzu. – A jeśli chodzi o przywódców Partii Demokratycznej, mam zieloną skórę. Przynajmniej będę mógł podziałać w kularach. Będziesz musiał być moimi oczami w sali obrad.

Zimna macka przesunęła się po plecach Crossa. Wtedy ten drugi mnie zobaczy, a ja nie mam dość sił, żeby znieść atak. Z jakiegoś absurdalnego powodu przypomniała mu się reklama papierosów Army Club. „Oto papierosy dla faceta, który ma do wykonania robotę. Uspokoją nerwy, kiedy masz gorszy dzień”. Cross był ciekaw, czy mógłby wyciągnąć kilka od Grossmana.

– Cross? Jesteś tam?

Otrząsnął się.

– Tak, jestem. Przedwieczny i kaznodzieja obłożyli potężnym urokiem pierścień, który zostawili na palcu jego żony. Muszę go zdjąć, zanim się stąd zmyję. Zobaczymy się w Chicago.

Cross odłożył słuchawkę i zauważył, że lekarz stoi bez słowa w korytarzu.

– O co, do cholery, chodzi? Jesteś jakimś anarchista?

– Nie, wręcz przeciwnie – powiedział Cross.

– I kto to jest ten Przedwieczny, a z tym pierścieniem...

Cross wstał i powstrzymał go gestem.

– Naprawdę nie mam czasu na wyjaśnienia, a jeśli chodzi o pewne rzeczy, po prostu lepiej żyć w nieświadomości.

Grossman poszedł za nim do drzwi.

– Zdaje się, że oskarżasz o coś Marshalla Hanlina – powiedział. – Coś ci powiem: jesteśmy z innych plemion, ale Marshall Hanlin to dobry człowiek.

– Będę musiał uwierzyć panu na słowo, doktorze. Po prostu wiem, że w tej misji dzieje się coś niedobrego. – Cross otworzył drzwi. – Dzięki za dostęp do telefonu. – Rozpiął guzik koszuli, sięgnął do pasa z gotówką i wyciągnął pięćdziesiątkę.

Grossman wlepił w nią wzrok.

– Nie mogę...

– Jasne, może pan. – Wcisnął lekarzowi banknot do ręki i pchnął siatkowe drzwi. Świetliki znów pomykały w trawie.

– Kim jesteś? Tak naprawdę? – Głos mężczyzny podążył za nim w mrok.

Cross obejrzał się przez ramię.

– To odnosi się do pana wcześniejszego pytania i tak jak ono jest złożoną kwestią. Zbyt złożoną, żebym miał czas coś wyjaśnić. – Cross przytknął dłoń do czoła w geście pozdrowienia. – Niech pan na siebie uważa, doktorze.

Szedł ulicą, kiedy zalała go fala przerażenia i bólu. Było to tak niespodziewane, że stracił panowanie nad sobą i zaczął się karmić strumieniem niekontrolowanych emocji. Wyczuł, że z tej uczyty korzysta coś jeszcze. Odzyskał kontrolę nad sobą i przestał się żywić, a ten drugi zniknął. Cross ruszył biegiem, wzbijając dookoła

siebie tumany kurzu, pokonał ostatni zakręt i zobaczył, że budynek misji płonie. Słysząc było rozpaczliwe krzyki uwięzionych w środku ludzi.

Okna były zasłonięte ciężkimi okiennicami przeciwburzowymi, a drzwi wejściowe blokowała wielka deska. Cross wyciągnął ją z uchwytów i odrzucił na bok. Gwałtownie otworzył drzwi, a fala gorąca uderzyła go w twarz, osmalając mu wąsa i włosy. Z oddali dobiegało gorączkowe bicie dzwonu wozu strażackiego. „Spóźni się”, pomyślał. Przebiegł go impuls mocy. Próbował jej nigdy nie używać, aby nie nadwerężyć czy zniekształcić rzeczywistości tego świata. Jednak ktoś albo coś żywiło się pożarem. Gdyby udało mu się uratować uwięzionych ludzi, odebrałby wrogowi moc.

Wypuścił moc przed siebie. Teraz wyczuł rozdarcie w świecie, poczuł zew i przyciąganie innego multiwersum. Zignorował ten syreni śpiew i przywołał do siebie ogień, który zareagował jak posłuszny pies. Wypełnił korytarz, a Cross ukształtował go w kulę, aby jak najbardziej oddalić niszczący żar od drewnianych ścian. Wyszedł do pocerniałego holu, przestępując zwęglone ciało. Nie wszystkich można było uratować. Ogień podążył za nim niczym rozjarzony balon. Cross pchnął podwójne drzwi i znalazł się w prowizorycznej kaplicy. Były tam rzędy krzeseł, podest z mównicą i starym pianinem, drewniany krzyż zawieszony wysoko na ścianie.

Szczelina widniała na ścianie naprzeciwko drzwi. Była niewielka: Przedwieczny nie rozciągał jej już na całą

szerokość. Cross wepchnął palce w drewno ściany, powiększył nieco rozdarcie i wcisnął ogień do innego wymiaru. „Masz”, pomyślał z pewną satysfakcją.

*

Lista ofiar nie była zbyt długa. Tego wieczoru w budynku misji znajdowało się trzydziestu mężczyzn. Czterej zmarli, a dwaj kolejni mieli nie przeżyć z powodu oparzeń. Reszta miała dożyć do siebie. Cross spędził pełne napięcia sześć godzin w więzieniu, raz po raz powtarzając swoją starannie ocenioną wersję wydarzeń. Nowojorska licencja prywatnego detektywa mu nie pomogła, a pewnie nawet zaszkodziła, ale w końcu gliniarze uznali, że nie można mu zarzucić podpalenia.

Cross został na miejscu, kiedy go już wypuszczono, i udało mu się porozmawiać z kilkoma ludźmi, którzy odnieśli lżejsze obrażenia. Kiedy wybuchł pożar, wszyscy już spali i niewielu się ocknęło. Narkotyki, pomyślał Cross i ucieszył się, że jego niepodobny do ludzkiego metabolizm nie reaguje na większość ziemskich substancji.

Ewidentnie było to podpalenie. W budynku śmierdziało benzyną, a zamknięte okiennice, deska blokująca tylne drzwi i ta, którą Cross wyrwał z przednich nie pozostawiały cienia wątpliwości. Teraz policja potrzebowała tylko podejrzanego. Ponieważ doktor zapewnił alibi Crossowi, psy zaczęły się rozglądać i wkrótce w ich ręce wpadł łatwy łup – upośledzony, który

pracował w misji. Znalezione go śpiącego w szopie na narzędzia, otoczonego pustymi puszkami po benzynie. Po siostrze Sharon i jej pyszałkowatym totumfackim nie było śladu.

Cross próbował zwrócić im uwagę na to, że wygląda to nad wyraz dziwnie. Co za podpalacz zaprósza ogień, a potem idzie spać na miejscu przestępstwa? Psy jednak odrzuciły jego argumenty. Podejrzany był niedorozwinięty. Oczywiście, że postąpił głupio. Poza tym to rozwiązanie było łatwe i schludne. Idiota usmaży się na krześle elektrycznym.

Cross próbował po prostu wzruszyć ramionami, znaleźć rozkład jazdy pociągów i pojechać do Chicago, ale modlitwy, wierzenia i czyny oddzielające go od istoty, która stała się Jahwe, Allahem oraz Jezusem kruczkat i inkwizycji, sprawiły, że nie potrafił odejść. Czynienie dobra było cholernym utrapieniem, ale było w nim głęboko zakorzenione i nie potrafił mu się oprzeć.

Wrócił do dymiących zgliszcz misji i przeszukał szopę. Puszki usunięto, a klepisko było poznaczone odciskami butów glin, a także śladami, które powstały, kiedy wywlekali „podejrzanego” ze środka. Na hakach wbitych w szare, drewniane ściany wisały różne narzędzia. Był tam też niewielki stół z drobniejszymi narzędziami ręcznymi oraz słoikami pełnymi gwoździ, śrub i nakrętek.

Na ławie pod stołem Cross odkrył kubek, wciąż do połowy wypełniony ciemnym płynem pokrytym jaśniejszą

pianką. Pociągnął nosem. Kakao. Wyglądało na to, że chłopak zostawił je sobie na później. Cross poszukał głębiej i znalazł kolejny odcisk buta, którego psy nie zdeptały. Kucnął i przyjrzał mu się dokładniej, analizując dołeczek pozostawiony przez wysoki obcas.

Wyciągnął ławkę spod stołu, usiadł na niej i przemyślał sytuację. Sharon namówiła go, żeby dotknął pierścienia. Poszła do obozu włóczęgów i sprowadziła ich do misji. Potrzebowała ciał, żeby złożyć ofiarę? Odesłała Crossa, choć doskonale wiedziała, że to nie on zaczął bójkę. Przyszła też do szopy. Żeby przynieść kakao? Mężczyźni śpiący w budynku misji byli pod wpływem narkotyków. Dlaczego nie ten chłopak?

Cross zakładał wcześniej, że Sharon jest ofiarą czarów męża. Teraz pojawiła się nowa, mroczniejsza teoria – że to Sharon wezwała Przedwiecznego. Aby to udowodnić, Cross musiał ją odnaleźć. Domyślał się, dokąd pojechała. Ale najpierw trzeba było oczyścić z zarzutów upośledzonego chłopaka. Pozostawało tylko jedno pytanie: czy kakao też było czymś zaprawione? Znał lekarza, który mógł na to odpowiedzieć.

Doktor Grossman zawiadomił, że do kakao faktycznie dodano środek uspokajający. W jego opinii dość, żeby „zabić konia”. Zeznanie lekarza wystarczyło, żeby chłopaka wypuszczono z więzienia. Wiedząc, że to duże dziecko umrze z głodu bez opieki, Cross dał Grossmanowi dwieście dolarów i poprosił go, żeby „zatrudnił” mężczyznę. Potem kupił bilet w Tulsie i

pojechał do Chicago. Brał pod uwagę znalezienie lotniska i wyczarowanie samolotu, ale podróż pociągiem trwała dłużej, co dawało mu więcej czasu na odpoczynek i przygotowanie się do walki.

Spalone pola Kansas przesuwały się za oknami pociągu. Powinny być porośnięte wysoką pszenicą, ale lata suszy przeobraziły zielone niegdyś tereny w pustynię. Cross patrzył, jak niesione wiatrem kłęby pyłu mkną na wschód, ciemne jak chmury burzowe. Kurz spowił pociąg, zamieniając słońce w czerwony węgielek, a dzień w upiorny zmierzch.

Dobrze, że nie wierzył w omeny.

*

W Chicago było pełno polityków, a to oznaczało też mnóstwo dziwek. Ledwie ukrywające się meliny zarabiały krocie, a noc tętniła jazzem i muzyką do tańca. Cross poszedł Madison Street w stronę stadionu. Był to największy kryty stadion na świecie. Potężna konstrukcja z czerwonej cegły przypominała Crossowi naburmuszoną ropuchę przycupniętą nad miastem. W jej stronę kierował się strumień delegatów, gotowych wysłuchać kolejnych mów popierających trzech głównych kandydatów – Ala Smitha, Johna Garnera i Franklina Roosevelta.

Ludzie lśnili od magii, która płynęła w ich żyłach, ale Cross nie dostrzegł fajerwerków, które wskazałyby mu Sharon Hanlin. Przyszedł na stadion prosto z dworca, myśląc, że może po prostu znajdzie ją w tłumie i zrobi...

No co?

Po pierwsze zdejmie jej pierścień. Dojdzie do tego, co jest w nim uwięzione. Bo z całą pewnością nie jest to ona.

A jak tego dokonasz? Ten jeden raz, kiedy spróbowałeś, padłeś na tyłek.

Postanowił zrezygnować z chaotycznych poszukiwań i zgłosić się do Conoscenzy. Złapał taksówkę i kazał się zawieźć do Palmer House. Nie był pewien, jak się to jego szefowi udało, ale Conoscenza zarezerwował sobie pokój w tym luksusowym hotelu. Hol był przepaścisty i górowało nad nim malowidło na suficie przedstawiające sceny z greckiej mitologii. Cross zerknął w górę i jego spojrzenie natrafiło na Zeusa. Ten to był prawdziwy sukinsyn. Dopiero po poznaniu Conoscenzy Cross się dowiedział, co przytrafiło się temu Przedwiecznemu. Paladyn zwerbowany przez Prometeusza (kolejna tożsamość Conoscenzy) zgładził boga.

Dyskretny czarny odźwierny zapytał go, czy ma ze sobą bagaż. Cross pokręcił głową. Windę obsługiwał inny, podstarzały Murzyn z siwymi włosami. Kiedy Cross wyszedł z windy, czarna pokojówka pchająca wózek z przyborami do sprzątanania szybko niemal wtopiła się w ścianę, robiąc wszystko, żeby nie zwrócił na nią uwagi.

Cross podniósł rękę, żeby zapukać, ale nie zdążył: drzwi się otworzyły, ukazując Conoscenzę oraz nalaną twarz i łysinę Jima Farleya, szefa kampanii Roosevelta. Conoscenza wyszczerzył zęby, co pogłębiło zmarszczki dookoła jego ciemnych oczu, i powiedział:

– Ach, mój człowiek, jak zawsze z idealnym wyczuciem czasu. Jim, zadbasz o to, żeby trafił do sali obrad?

– Nie ma sprawy. I jeszcze raz dzięki. – Mężczyzna poklepał górną kieszeń marynarki i ruszył do windy.

Conoscenza gestem wezwał Crossa do środka.

Przy nadgarstkach błysnęły złote spinki do mankietów, a szeroki tors przecinał złoty łańcuszek od zegarka. Drobną pokojówka zagapiła się na niego, oszołomiona. Conoscenza obdarzył ją szerokim uśmiechem i wyciągnął w jej stronę dziesięciodolarowy banknot.

– Dziękuję, że tak starannie zajmujesz się moim pokojem.

– Tak jest, proszę pana. Dziękuję panu. – Dygnęła szybciotko.

Conoscenza zamknął drzwi.

– Nie czujesz się z tym dziwnie? – zapytał Cross.

Potężne ramiona uniosły się i opadły.

– W hotelu w południowej części miasta byłoby tak samo. Pracownicy też byliby czarni. W taki sposób mogę zarówno coś wyrazić, jak i pokazać im, że możliwa jest inna przyszłość.

– Po prostu lubisz prowokować ludzi – powiedział Cross. Podszedł do sofy i usiadł.

– To też.

– Podaj mi menu.

– W pociągu nie było wagonu restauracyjnego? –

zapytał Conoscenza.

– Tak, ale to było całe godziny temu, a jedzenie chrzęściło mi w zębach. – Cross przejrzał menu i zamówił befsztyk z polędwicy ze wszystkimi dodatkami. – To czego się dowiedziałeś o Hanlinie?

– No cóż, nie jest już zastępcą. Jeden z delegatów z Oklahomy zachorował i Hanlin zajął jego miejsce – oznajmił Conoscenza.

– No proszę, ale się dogodnie złożyło. – Cross wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Jego żona zorganizowała w Oklahomie małe autodafe. Może aby dodać mu sił, by mógł ściągnąć chorobę na delegata. Myślę, że działają razem.

– Kiedy nie jest w sali obrad, wygłasza kazania dla coraz większych tłumów. Raz poszedłem, jest bardzo charyzmatyczny. Teraz dołączyła do niego żona i wczoraj wieczorem jego publiczność się podwoiła, a dziś szeptano o możliwym nominowaniu pana Hanlina na kandydata na wiceprezydenta.

– No, to kurewsko przerażające, bo wiadomo, że jeśli ten facet załapie się na drugie miejsce, nie pozostanie na nim. Skończy jako prezydent.

– Czyli musisz dopilnować, żeby to się nie stało – powiedział Conoscenza.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy boy hotelowy dostał już napiwek, Cross usiadł przy stoliku i zaczął zajadać. Zapytał z pełnymi ustami:

– Jak przebiega konwencja?

– Roosevelt nie dostał dość głosów. Niektórzy z nas pracują nad Garnerem, próbują go namówić, żeby zrezygnował.

– W zamian za co? – zapytał Cross.

– Cóż za cynizm. – Conoscenza westchnął i przyjrzał się swoim wymanikiurowanym paznokciom. – Musisz znaleźć sposób na zneutralizowanie Hanlina.

– Ale nie morderstwo? – Próbował zażartować, ale Conoscenza rzucił mu nieprzejednane spojrzenie. – Nigdy mi nie ułatwiasz tych rzeczy – mruknął Cross i dokończył kolację.

*

Problem polega na tym, myślał Cross, idąc w stronę zamkniętego teatru, który zawłaszczył Hanlin, że ludzie, którzy naprawdę czczą kochającego Boga, raczej nie prowadzą krucjat przeciwko niewierzącym, nie wszczynają wojen, nie kamienują ładacznic i nie ucinają głów cudzołożnikom. To go stawiało w bardzo niekorzystnej sytuacji, ponieważ pożywieniem Przedwiecznych była wybuchowa mieszanka zarówno nienawiści, jak i strachu. Jego pobratymcy czerpali pokarm od mordercy i jego ofiary, od torturującego i torturowanego, podczas gdy Cross mógł się posilać tylko życzliwością i miłością, a na świecie po prostu nie było aż tylu dobrych ludzi. Nie była to ich wina. W końcu całkiem niedawno zeszli z drzew na ziemię.

Wszystko to było interesującym ćwiczeniem

intelektualnym, ale nie rozwiązywało kwestii, co począć z Hanlinem i Sharon. Cross miał niezbyt konkretny plan: pojawić się, zobaczyć, czy ktoś nie popełni jakiegoś błędu, i mieć nadzieję, że tym kimś nie będzie on. Zapewne mógł przyjąć postać Jezusa, ale nie lubił używać tej sztuczki zbyt często, a poza tym działała ona lepiej w czternastym wieku. Niewielki wynalazek Edisona sprawił, że obrazy poruszały się na białym ekranie. Dzięki braciom Wright dar lotu stał się dostępny dla ludzi, nie tylko dla ptaków i aniołów, a naukowcy zaczęli odkrywać tajemnice samej materii. Ludzkość stała się mniej łatwowierna, ale wciąż było w niej dość irracjonalnych wierzeń i reakcji, aby stanowiła zagrożenie.

Cross wmieszał się w tłum zmierzający do budynku. Ludzie ściskali w rękach biblie i krzyże. Czy oni naprawdę myślą, że gdyby rzeczywiście ukrzyżowano mnie na jednym z nich, chciałbym kiedykolwiek jeszcze go oglądać? Odsunął od siebie tę zabłąkaną, głupią myśl. Wkrótce miał się zmierzyć z jednym z siebie podobnych, a nie wydawało mu się, że jest w stanie to zrobić. Musiał zmobilizować całą zdolność skupienia i koncentracji.

W środku wyglądało podobnie jak w Oklahomie. Pianino, na którym gruby totumfacki grał hymn. Podest. Sharon w białej szacie chórzystki i tych niepasujących do niej czerwonych butach, usadowiona na krześle przy podeście. Starszy mężczyzna w czarnej szacie krążący po scenie w sposób, który przywiódł Crossowi na myśl wielkie koty w zoo. Ta atmosfera drapieżności w ogóle

nie pasowała do jego wyglądu: łysiał, trochę się garbił i miał zaczątki brzuszka. Tuż za drzwiami stali ludzie, którzy rozdawali ulotki. Wyglądały, jakby pospiesznie odbito je na powielaczu – tusz był miejscami rozmazany. Nagłówek głosił:

CHRZEŚCIJAŃSKI PRZYWÓDCA DLA AMERYKI

Cross przyjrzał się chrześcijańskiemu przywódcy i to, co zauważył, zbiło go z tropu. Jego ciało prawie nie wykazywało śladu magicznych umiejętności, a jednak dookoła mężczyzny lśniła potęga. Cross przeniósł wzrok na Sharon. Jej pierścień połyskiwał w świetle lamp. Sharon migotała od mocy, a cienie krążyły dookoła niej. Wszystko zaczęło do siebie pasować. To był zespołowy wysiłek. Jako kobieta Sharon nie mogła kandydować, ale mogła użyć mocy, aby wywindować męża na wysokie stanowisko. Cross poczuł na języku oleisty smak Przedwiecznego, ale nie potrafił dokładnie go umiejscowić. Zadrzał.

Ktoś dotknął łagodnie jego ramienia.

– Musi pan usiąść. Nabożeństwo zaraz się zacznie.

Cross odwrócił się i zobaczył chłopca na skraju wieku męskiego. Twarz miał bladą, a ramiona zgarbione i napięte. Cross dostrzegł też fizyczne podobieństwo między nim a mężczyzną na scenie.

– Na pewno jesteś Sean – powiedział Cross. Całkowicie zaskoczyło go to, że chłopiec aż się zachłysnął, cofnął o krok i padł na kolana.

– Bogu niech będą dzięki! Przybyłeś! Moje modły...

Cross chwycił go mocno pod ramię i zmusił do wstania.

– Jezu, młody, przestań, do cholery – mruknął pod nosem.

Chłopiec zrobił zdezorientowaną minę.

– Ale... czy ty...

– Nie.

– Ale znasz moje imię...

– Tak... bo... nieważne. Chodź no. – Pociągnął chłopaka w stronę drzwi.

Muzyka ucichła.

Cross obejrzał się na scenę i zobaczył, że Sharon rozgląda się ze zmarszczonymi brwiami po zgromadzonych. Dostrzegła go i zeszywniała. Hanlin zamarł i spojrzał prosto na Crossa, a ten zdał sobie sprawę, że w tym ludzkim ciele nie ma człowieka. Jakiś Przedwieczny wcisnął się do środka. Crossowi zaparło dech z przerażenia. Niemal wypchnął chłopca z teatru.

Na zewnątrz mignęło mu własne odbicie w szklanych drzwiach i szybko dokonał poprawek. Nie znosił chodzić do kościołów. Kiedy już usunął brodę i skrócił włosy, odwrócił się do Seana.

– No dobra, młody, o co się modliłeś?

– Czy nie powinienesz wiedzieć...?

– Udaj, że nie wiem. – Obejmując chłopaka ramieniem, Cross pociągnął go ulicą.

Za nimi drzwi otworzyły się z hukiem i z teatru wybiegł gruby mężczyzna.

Cross pospiesznie zatrzymał gestem taksówkę i wepchnął chłopaka do środka.

– Gazu – rzucił kierowcy. Zerknął przez tylne okno na malejącą sylwetkę totumfackiego.

– Dokąd? – zapytał taksówkarz.

Cross rzucił okiem na chłopaka.

– Jesteś głodny? Jasne, że tak. Dzieciaki w twoim wieku zawsze są głodne.

*

Sztuńce brzęczały o talerze. Kelnerka i kucharz przekrzykiwali się, na przemian wołając: „Danie firmowe” i „Zamówienie gotowe”. Cross pozwolił sobie na placek z wiśniami i gałką lodów, tort czekoladowy i kubek kawy, podczas gdy chłopak pożarł mięso duszone z jarzynami, wypił colę i wylał z siebie swoją opowieść.

– Mama zmarła dwa lata temu. Tata był naprawdę smutny. Potem w misji pojawiła się Sharon i zaczęli mieć się ku sobie. Wzięli ślub siedem miesięcy temu.

Cross przestał słuchać. Skoncentrował się na tej przeklętej istocie, która nosiła ludzi jak garnitury. Zastanawiał się, jak z nią walczyć, czy jest w stanie ją pokonać, czy znowu się rozpadnie i straci siły.

– ...kazała mi, żebym cesał jej włosy. – Cross

błyskawicznie na powrót zwrócił uwagę na chłopca, który wyglądał na zawstydzonego i cały poczerwieniał, od czego pryszcze na jego policzkach widać było jeszcze bardziej. – W ich sypialni, kiedy tata był na dole i czytał.

– Naprawdę czesałeś jej włosy czy to tylko eufemizm?

– Słucham?

– Inny sposób na powiedzenie, że się pieprzyliście – powiedział Cross.

Chłopiec pobladł, potem znów oblał się rumieńcem i łyknął coli.

– Nie – wyjąkał. – Tylko dotykałem jej włosów.

– Opowiedz mi o pierścieniu.

– Kiedy się pojawiła, miała kamień w tej srebrnej oprawie...

„Dał mi go mąż”. Cross wrócił myślami do rozmowy na mostku. Czyli jednak nie działali razem. Hanlin dał się nabrać. Sharon i Przedwieczny po prostu znaleźli marionetkę.

– I uplotła obrączkę z włosów swoich i taty. – Słowa chłopca były jak wyryte w powietrzu.

Pojawiło się kolejne wspomnienie: Sharon starannie zdejmującej swój włos z jego ramienia.

– Co robiła z włosami na szczotce?

Sean robił wrażenie zaskoczonego zarówno pytaniem, jak i pełnym napięcia głosem Crossa.

– Wyjmowała je, zwijała w kulkę i trzymała w takim małym pudełku. Kazała mi nawet podnosić te włosy, które

spadły na podłogę.

– Ma to pudełko ze sobą?

Sean kiwnął głową. Cross odchylił się na oparcie i zapalił papierosa. Klasyczna magia z włosami i skórą. Cross był prawie pewien, że wie, co jest uwięzione w pierścieniu. Rzucił na stół kilka banknotów.

– Używasz pieniędzy?

– Wiadomość dla ciebie, młody: cała ta sprawa z rozmnożeniem chleba i ryb... kompletna bzdura. I jeszcze jedno... wiedziałem, jak masz na imię, bo powiedziała mi to twoja macocha. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Żadnego cudu.

Sean zamarł i wlepił w Crossa podejrzliwe spojrzenie.

– Nie jesteś zbawcą.

– Tak naprawdę, młody, pewnie jestem. Słuchaj, wiem, że to coś na scenie to nie twój tata. To coś innego, co nosi jego skórę.

Chłopak zaszlochał rozpaczliwie i stracił panowanie nad sobą. Nie wyglądał już jak młody mężczyzna, tylko jak dziecko. Cross podał mu chusteczkę. Po kilku chwilach Sean się uspokoił. Otarł załzawione oczy.

– Nie mogłem nikomu powiedzieć. Pomyśleliby, że oszalałem, a ona... ona jest moją macochą.

– Tak, młody, wiem. Gówniana sprawa, kiedy okazuje się, że taki stereotyp jest prawdziwy. A teraz zaprowadź mnie tam, gdzie się zatrzymaliście.

*

Sean nie miał klucza.

– Pilnuj, czy nikt nie idzie – zarządził Cross, wyciągając zestaw wytrychów i klękając przed drzwiami.

Byli w skromnym hotelu kilka przecznic od jeziora.

– Będziesz się włamywał?

– Nie, otworzę zamek wytrychem. Włamanie byłoby zbyt hałaśliwe.

Sean zachichotał nerwowo.

– Żem się nie spodziewał, że taki będziesz.

– Nie spodziewałem się – poprawił odruchowo Cross, kiedy delikatne narzędzia uruchomiły mechanizm i zamek odskoczył. – Jeśli będziesz mówił jak wieśniak, skończysz jak wieśniak, a sądzę, że jesteś na to za bystry.

– Naprawdę?

– Tak. – Cross wsunął wytrychy z powrotem do pokrowca, a pokrowiec do kieszeni i wstał. Pchnął drzwi i wraz z chłopcem wszedł do pokoju.

Torba podróżna stała na podłodze pod szafką, na której leżała otwarta walizka. Pod jedną ścianą stało metalowe łóżko, a pod drugą – rozchwierutana komoda. Nad nią wisiało lustro. Zmatowiało z powodu obecności Przedwiecznego. Resztę pokoju zajmowało złożone łóżko polowe.

Na komodzie stały różne tajemnicze mikstury służące kobietom przy nakładaniu tapety. Cross nie dostrzegł wśród nich żadnego pudełka. Może nosiła je przy sobie. To by utrudniło sprawę.

– Jak wygląda to pudełko? – zapytał.

– Metalowe, z takimi dziurkami, trochę jak sitko.

Cross przeszukał szuflady. Nic. Odwrócił się do pokoju i rozejrzał po skąym umeblowaniu. Sprawdził pod materacem, w torbie i walizce. Sean przyglądał mu się z napięciem. W końcu Cross podszedł do łóżka polowego i wsunął dłoń w złożony materac. Poczł metal. Wyciągnął pudełko. Otworzył je i przyjrzał się leżącym w środku czekoladowym włosom.

Zamknął pudełko i ścisnął mocno w dłoni. Rozważył to, co wiedział. Przedwieczny zamieszkał w ludzkim ciele. Interesujące, że go sobie po prostu nie stworzył, tak jak to zrobił Cross. Mogło to jednak oznaczać, że dysponuje ograniczoną mocą, co było jednym maleńkim jasnym punkcikiem w tym wielkim gównie. W budynku misji Cross wyczuł, że coś jest uwięzione. Mylnie uznał, że to Sharon, ale teraz sądził, że były to elektryczne impulsy, które składały się na duszę Marshalla Hanlina.

A zatem musiał tylko wykurzyć Przedwiecznego, przywrócić kaznodziei jego ciało, po czym poradzić sobie z Przedwiecznym i Sharon.

Bułka z masłem.

Jasne.

– Co teraz? – zapytał Sean.

Cross przełknął ślinę, czując w gardle zimną gulę.

– Idziemy poszukać twojej złej macochy.

W teatrze było pusto. Kilka ulotek zatrzepotało smętnie w rynsztoku, kiedy bryza znad jeziora przetoczyła

się po ulicy. Cross zaklął. Przygotował się już na starcie i chciał mieć je za sobą. Zmierzyć się z Przedwiecznym. Zakończyć ten koszmar dla chłopca stojącego u jego boku.

Sean spojrział na niego z mieszanką podziwu i lęku.

– Czy to wszystko brzydkie słowa?

– Tak, a teraz zapomnij, że kiedykolwiek je usłyszałeś. Dokąd mogli pojechać?

– Pewnie na konwencję. Sharon chciała zobaczyć wszystkich sławnych, bogatych ludzi – powiedział Sean.

– Dobra. A ty chcesz zobaczyć sławnych, bogatych ludzi?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Tata zabrał mnie ze sobą pierwszego dnia. Wyglądali jak normalni ludzie, tylko w lepszych ubraniach.

Cross wyciągnął rękę i zmierzwił mu włosy.

– Poradzisz sobie w życiu, młody.

*

Farley dotrzymał obietnicy. Cross był na liście zaproszonych na stadion. Powiedział przy wejściu, że Sean jest jego synem. Słyszając to, chłopak zrobił się czerwony, potem blady, a potem znowu czerwony.

– Co znowu, do cholery?

– Nie mogę być twoim synem! To świętokradztwo.

– Nie, to tylko kłamstwo.

– I tak nie powinieneś tego mówić. A kłamanie jest

złe.

Cross się poddał.

– Masz rację. Możemy teraz pójść ich poszukać?

Na stadionie panował upał, a powietrze było ciężkie od walczących ze sobą zapachów: potu, płynu po goleniu i brylantyny. Mężczyźni tłoczyli się w grupkach i rozmawiali cicho, z przejęciem. Krawaty mieli poluzowane, a wykrochmalone kołnierzyki koszul opadły. Na trybunach siedziały kobiety, wachlując się; ich białe rękawiczki migotały jak flagi sygnalizacyjne. W ozdobionych piórami kapeluszach wyglądały jak stado ptaków.

Cross rozejrzał się, szukając wśród nich Sharon. Sean pociągnął go za rękaw.

– Tam jest tata – powiedział, wskazując palcem.

Przedwieczny obleczony w ciało człowieka rozmawiał z Farleyem.

– Sharon jest najważniejsza. Pomóż mi ją znaleźć. Spróbuj po drugiej stronie stadionu.

Chłopiec ruszył, rzucając ostatnie, pełne tęsknoty spojrzenie na ścierwo swojego ojca.

Cross miał nadzieję, że pozbycie się Przedwiecznego nie zabije ludzkiego naczynia. Sean był miłym dzieciakiem i zasługiwał na szczęśliwe zakończenie. Szkoda, że one tak rzadko się trafiały. Ponieważ – tak naprawdę – żadnego świata nie obchodzą istoty, które się w nim roją.

Cross poszedł w przeciwnym kierunku. Wtedy ją

zauważył, a raczej rozpoznał kołyszące się biodra i kształtne łydki, a także te frywolne czerwone buty wspinające się po schodach. Przeskoczył poręcz i ruszył za nią. Odwróciła się, rozmawiając z kobietami, które ją otaczały, i już miała siadać, kiedy dostrzegła Crossa. Zesztywniała i nie usiadła.

Cross sięgnął do kieszeni i wyciągnął pudełko. Na jej twarzy furia pojawiała się na zmianę z niepokojem. Powoli wsunął dłoń do drugiej kieszeni, wyciągnął zapalniczkę i przesunął kciukiem po kółku. Krzemień skrzesał iskrę i strzelił płomyk. Sharon zrobiła spanikowaną minę. Zaczęła zbiegać po schodach w jego stronę, poruszając się niezgrabnie w pośpiechu.

– Nie. Nie!

Otworzył pudełko. Choć wciąż dzieliło ją od niego kilka metrów, wyciągnęła ręce w jego stronę, jakby jakimś sposobem mogła mu je odebrać. Cross przytknął płomień do włosów. Podczas swojego długiego życia widział już wiele bitew i niejedno spalenie na stosie i pamiętał z nich nie tyle woń przypalonego ludzkiego mięsa, ile słodkawą, ostry smród włosów, które zajęły się ogniem. Zapach ten wykluczył wszelką szansę, żeby zrobiło mu się jej żal. Zawarła umowę z istotami, które siały wśród ludzi cierpienie i śmierć.

Sharon wydała okrzyk przerażenia i bólu. Rękawiczka na jej prawej dłoni się zwęgliła. Resztki materiału opadły na ziemię, a Cross zobaczył, jak płomień pożerają pierścień z bursztynowym kamieniem,

a zapleciona obrączka pali się tak samo jak włosy w pudełku. Sharon zerwała pierścień z palca i rzuciła na scenę. Włosy zamieniły się już w popiół. Metalowa szkatułka była gorąca w dotyku, a tani metal, z którego ją zrobiono, zmiękł. Cross zgniótł ją w dłoni i upuścił.

Sharon zawyła z rozpaczą, uklękła na stopniu i wzięła do ręki bursztyn w srebrnej oprawie. Cross uwolnił swoją moc. Cienie, które wcześniej wirowały dookoła pierścienia i kobiety zniknęły. Wnętrze kamienia lśniło, jakby były w nim uwięzione świetliki.

W centrum stadionu zapanowało poruszenie. Cross usłyszał Seana, który krzyknął piskliwym ze strachu głosem:

– Tato! Tato!

Cross wbiegł po schodach i wyrwał Sharon klejnot z dłoni. Potem popędził do Seana i mężczyzny, który leżał na ziemi, dusząc się w ramionach syna. Przedwieczny mścił się, żerując na cierpieniu i strachu chłopca, przy każdym mentalnym hańsieniu nabierając sił.

Cross poczuł się bezradny w obliczu takiej potęgi. Nie był w stanie walczyć. Przegra i się rozpadnie. Taki incydent w miejscu publicznym byłby katastrofą dla Conoscenzy. Cross wątpił też, czy wytrzyma taki ból. Zaczął się cofać. Wtedy chłopiec podniósł na niego oczy – były pełne łez, ale jego mina wyrażała całkowite zaufanie i pewność.

Cross stanął w miejscu, wyciągnął smugę mocy i dotknął nią uczuć, które chłopiec żywił do ojca. Zaczął

łapczywie czerpać z tych bardziej złożonych emocji – szacunku, miłości, podziwu. Potem sięgnął do pierścienia i wyłapał impulsy, które stanowiły istotę kaznodziei. Poczuł jego uczucia: troskę o syna, żal, że nie zobaczy go jako dorosłego mężczyzny.

Cross zebrał w sobie każdy gram mocy. Chwycił Przedwiecznego i poczuł, jak lodowato zimne szpony odwzajemniają uścisk. Ojciec Seana zaczął znów oddychać, kiedy Przedwieczny przeniósł uwagę na Crossa. Ten sięgnął do pierścienia i pochwycił też istotę mężczyzny. Kiedy podjął próbę zamienienia ich miejscami, poczuł, że jego ciało w każdej chwili może się rozpaść. Przedwieczny walczył jak szalony. To nie będzie łatwe.

Cross się zatoczył, kiedy uderzył go piorun mocy. Zerknął przez ramię i zobaczył, że podchodzi Sharon, chwiejąc się, jakby była pijana. Utrzymanie jednocześnie Przedwiecznego, Marshalla Hanlina i własnego ciała wymagało całej energii Crossa. Nie zostało mu już nic na słowa. Z trudem przeniósł wzrok na Seana, który klęczał na ziemi, trzymając ojca w ramionach. Chłopak spojrzał na Crossa, potem na Sharon, a w końcu na ojca.

Delikatnie położył Marshalla na ziemi i wstał. Szybko! – krzyknął w myślach Cross. Sean podbiegł do Sharon i uderzył ją mocno w twarz. Jej atak na Crossa osłabł i się urwał. Cross wyteżył siły, zebrał moc i dokonał zamiany. Z jego punktu widzenia – dostrzegał zjawiska spoza normalnych wymiarów – wyglądało to tak,

jakby na ciało Marshalla Hanlina opadła sieć iskier elektrycznych. Wnętrze bursztynu nie było już przejrzyste: wiły się w nim cienie.

Hanlin usiadł powoli i przyłożył dłoń do czoła.

– Sean? – odezwał się słabym głosem.

– Tato! – Chłopiec walczył ze łzami, próbował zachować się jak mężczyzna. Podbiegł do ojca i go objął.

Cross opadł na kolano, dysząc. Sharon! Zmusił się do tego, żeby ponownie wstać, i rozejrzał się za nią. Ale jak każdy hochsztapler miała świetnie rozwinięty instynkt przetrwania. W całym tym zamieszaniu udało się jej uciec.

*

Dwa dni później Franklin Delano Roosevelt zapewnił sobie nominację na stanowisko prezydenta z ramienia Partii Demokratycznej, ale dokonał tego bez głosu zastępczego wysłannika z Oklahomy. Pierwotny delegat wyzdrowiał i wrócił na konwencję. Hanlin nie robił wrażenia nazbyt przygnębionego na wieść o tym, że jego misja spłonęła. Postanowił wraz z Seanem pojechać do Kalifornii i zacząć nowe życie.

– Najlepiej bez wygłaszania kazań – powiedział Cross do Seana.

Późnym wieczorem Cross i Conoscenza stali na brzegu jeziora Michigan i patrzyli, jak niewielkie fale wpływają na kamienistą plażę. Dym z cygar spowijał ich niczym szare nimby.

– Jesteś zadowolony? – zapytał Cross.

– Będę zadowolony, jak wygra wybory – padła odpowiedź. – To co masz zamiar z tym zrobić? – dodał Conoscenza, wskazując głową bursztyn.

– Nie mam zielonego pojęcia. – Cross przyjrzał się matowemu kamieniowi. – Wrzucić go do jeziora?

– Z niektórymi rzeczami tak już jest, że zawsze ktoś je wyłowi. Wezmę go, schowam w skrytce bankowej.

– A banki nie padają? – zapytał Cross.

– Nie moje banki. A kiedy znajdziesz nowego paladyna, bursztyn zostanie zniszczony.

– Musisz dodać tamto rozdarcie w Oklahomie do listy spraw do załatwienia.

– Tak, ale to nie nasz priorytet. Wieści z Niemiec są... niepokojące. Wysyłam cię do Europy.

– E... nie teraz.

– Dlaczego? Masz coś pilniejszego na głowie?

– Muszę znaleźć Sharon.

– I co zrobisz? – zapytał Conoscenza. – Bez paladyna nie uda się nam odebrać jej magicznych umiejętności. A ty jej nie zabijesz.

– Mógłbym.

– Ale tego nie zrobisz, albo koniec z naszą umową.

Cross westchnął, po raz ostatni uraczył się cygarem, a potem wrzucił je do wody.

– No to chyba lepiej zapakuję mój bawarski kapelusik.

15 Oliver „Daddy” Warbucks – postać z popularnego komiksu gazetowego *Little Orphan Annie*, słynąca z bogactwa (przyp. tłum.).

M.L.N. HANOVER

Funkcjonariusze wielkowiejskich wydziałów dochodzeniowo-śledczych muszą przyzwyczać się do pracy z mordercami, ćpunami i dziwkami. Napotkanie demona zdecydowanie podnosi jednak poprzeczkę...

Początkujący pisarz M.L.N. Hanover jest autorem *Unclean Spirits* i *Darker Angels*, pierwszych dwóch części cyklu „Black Sun’s Daughter”. Jego najnowsza powieść to *Vicious Grace*. Hanover, laureat International Horror Guild Award, mieszka na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych.

RÓŻNICA MIĘDZY ZAGADKĄ A TAJEMNICĄ

Facet wyglądał inaczej, niż śledczy Mason się spodziewał. Biorąc pod uwagę wszystkie szczegóły sprawy, stawiałby raczej na kogoś w długim, czarnym płaszczu, może z koloratką. W każdym razie na klimat tajemnicy. Zamiast tego patrzył na pulchnego gościa po czterdziestce, z łysiną i niepewną miną, która zdążyła wyryć mu się na twarzy. Koszula pasowała na niego jakieś dziesięć kilo temu. Krawat miał węzeł tak ciasny, jakby od lat ścigał go i zakładał przez głowę, ani razu nie zawiązując na nowo. Kiedy pełniący służbę na posterunku policjant przyprowadził go na tyły, wpadł na biurko Winehart z takim rozmachem, że nieco kawy wylało się z kubka, a potem przeprosił, jakby się bał, że potraktuje go gazem łzawiącym. Później usiadł naprzeciwko Masona przy pustym biurku Andersona, wsunął dłonie między kolana jak dzieciak w szkole i uśmiechnął się nerwowo.

– To pan jest Mason, tak?

– Ano. A pan jest egzorcystą.

Mężczyzna odsłonił zęby i pokręcił głową.

– Nie, nie do końca. Nie użyłbym tego słowa. Richard Scarrey. Jak ten autor książek dla dzieci, ale z dodatkowym „e”.

– Kto?

– Autor książek dla dzieci. I ilustrator. Napisał książki o Busytown? Świnie w bermudach, te rzeczy?

Jego nazwisko pisało się przez dwa „r”, ale u mnie jest też „e”. Choć i tak wymawia się je „scary”¹⁶.

– Okej – rzucił Mason. – Komendant panu o mnie opowiadał?

– Trochę. Powiedział, że kogoś pan aresztował i że według niego mógłbym pomóc.

– Nic więcej?

Scarrey znów pokręcił głową, tym razem bardziej zdecydowanie. Mason odchylił się na krześle i splótł palce na karku. Zadzwoił telefon Winehart. Wyjęła go z kieszeni i odeszła, wolną ręką zakrywając drugie ucho.

– Pięć miesięcy temu zaginęła pewna dziewczyna, Sarah Osterman – powiedział Mason. – Studentka. Pokłóciła się z chłopakiem, wybiegła z domu i nie wróciła. On szalał z nerwów, ale wyglądało to po prostu na burzliwe zerwanie. Nikt za bardzo nie zwrócił na to uwagi. Jakiś miesiąc temu jej ciało znaleziono w magazynie przy torach kolejowych. Nie żyła już od około tygodnia, a i przedtem nie bawiła się najlepiej.

– Przepraszam, panie władzo – powiedział Scarrey takim tonem, jakby naprawdę było mu przykro. – Doceniam pana zawodową rezerwę, ale będę potrzebował szczegółów. Torturowano ją?

– Tak.

– Hm. Nastąpił czyn nierządny?

– Znaczy czy ją zgwałcono? Mam raport koronera. Komendant wspominał, że może pan chcieć na niego spojrzeć.

– Dziękuję, tak. Dobrze, proszę mówić dalej.

– Miejsce zbrodni wyglądało tak, że kazało nam to podejrzewać, że sprawa może mieć wątek okultystyczny. Pismo na ścianach. Wosk czarnej świecy. Na środku jednej z plam krwi było czyste miejsce, które według speców wyglądało tak, jakby ktoś najpierw położył tam odwrócony krzyż, a potem go usunął.

Scarrey co chwila kiwał głową, aż prawie mu wibrowała, ale teraz zaczął szybko ruszać oczami, jakby coś czytał. Mason wiedział, że ludzie tak robią, kiedy próbują sobie coś przypomnieć. Kiedy zmyślają, ich wzrok jest nieruchomy.

– Ile lat miała dziewczyna? – zapytał Scarrey.

– Dwadzieścia trzy.

– Była w ciąży?

– Nie.

– Miała miesiączkę?

– Co?

– Czy w chwili śmierci miała miesiączkę?

– Nie wiem. Może to jest w raporcie.

– Możemy zapytać, jeśli nie. Przepraszam. Nie chciałem przerywać.

– Zaczynamy śledztwo. Okazuje się, że dziewczynę widziano z taką kanalią, Maurym Sobinskim, więc go odnajdujemy. Przyciskamy go. To jeden z tych dupków, którzy przeczytali książkę o glinach i myślą, że wiedzą wszystko. Zachowuje się tak, jakby sam był w policji.

– Mówi za dużo?

– Zna pan to powiedzonko, że jeśli dać człowiekowi wystarczająco długą linę, to się powiesi? Ten sukinsyn powiesiłby się na kawałku nici dentystycznej. Idzie mu fatalnie. Praktycznie wszystko podaje nam na tacy i nawet nie wie, że to robi.

– Ale nie przyznaje się do winy.

– Nie. Gada głupoty. Mówi, że nie był z dziewczyną danego dnia, zanim go o to pytamy. Pieprzy bzdury o tym, jak to niektórzy sami się proszą, żeby przytrafiło się im nieszczęście. Wywiesza ogromne, neonowe znaki z napisem: „Zrobiłem to”. Prosimy o próbkę DNA, a do niego w końcu dociera, że nie jesteśmy tam tylko po to, żeby się cieszyć jego towarzystwem, i przestaje gadać. Niczego nie pamięta. Słyszy, że mama go woła. I tak dalej.

Winehart wróciła do biurka z kwaśną miną. Próbował spojrzeć jej w oczy, ale nie patrzyła na niego. Mason poczuł ukłucie niepokoju. Dzwonił Anderson? Czy, co gorsza, te dupki ze Spraw Wewnętrznych?

– A potem?

– Co? A, tak, załatwiamy nakaz i przeszukujemy jego dom. Ma tam jej rzeczy. Wiemy, że ją zna, ale nie znajdujemy niczego rozstrzygającego sprawę. Żadnych świadków, żadnych dowodów, z którymi można by pójść do sądu. Wiemy, że to zrobił, i chcemy, żeby się przyznał. Więc przywozimy go na posterunek.

– A on stwierdził, że nie puści pary z gęby bez adwokata?

– Nie puści pary z gęby bez adwokata – powtórzył Mason, celując palcem w Scarreya. – Dobrze. Właśnie takiego wyrażenia by użył. Żeby nam pokazać, że wie, jak to wszystko działa.

Scarrey zarumienił się i zachichotał.

– Gdzieś to usłyszałem. W telewizji albo...

– Nie – oznajmił Mason. – To znaczy nie prosi o prawnika. Zaczyna dziwnie gadać. Dziwnie się ruszać. Mamy w jego celi kamerę. Nie robi tak tylko wtedy, kiedy wie, że patrzymy. Robi to cały czas. Mówi, że jest Beletem, królem piekieł. Od czasu do czasu przerywa to całe wudu i znów mówi swoim głosem, że jest ofiarą potężnego spisku satanistów. Prosi nas, żebyśmy mu pomogli. Błaga, płacze, robi w majtki. Potem na powrót pojawia się Belet i...

– Ach.

– Komendant zobaczył te numery i powiedział mi, że mogę się pana spodziewać. Powiedział też, że może będzie pan mógł pomóc, że powinienem z panem współpracować, ale że może będzie lepiej, jeśli nie będziemy tego dokumentować. Załatwimy sprawę nieoficjalnie.

– I co pan na to?

– Powiedziałem: „Tak jest, szefie”.

Siedząca przy biurku Winehart się odwróciła. Już odzyskała nad sobą panowanie po tamtym telefonie, ktokolwiek dzwonił. Spojrzała pytająco na tył głowy Scarreya. Mason przytaknął, maskując to pozorowanym

kaszem. „Tak, to on”. Winehart wyciągnęła przed siebie ręce i wyszczerzyła zęby, udając wampira. Scarrey westchnął dokładnie w chwili, kiedy Mason zdał sobie sprawę, że facet pewnie widzi jej odbicie w oknie. Nie wspomniał o tym jednak.

– Czy mogę porozmawiać z więźniem?

*

– Nie musisz ze mną rozmawiać – powiedział Scarrey. – Nikt tego od ciebie nie wymaga. Nie jestem policjantem, psychiatrą ani nikim takim.

Poza kratami tymczasowa cela była wyposażona w gęstą metalową siatkę, której oczka były zbyt małe, żeby dało się przecisnąć przez nie choćby palec. Podłoga była z betonu, a trzy ściany z cegieł pomalowanych błyszczącą, kremową farbą, którą dało się wyczyścić odrobiną płynu do mycia szyb i papierowym ręcznikiem bez względu na to, co na niej rozmazano. Prycza miała postać metalowej półki przyśrubowanej do przeciwległej ściany, a obok stał niewielki, stalowy sedes. Całość miała wymiary nie większe niż dwa metry na dwa i pół i najczęściej przewijało się przez nią kilka osób dziennie.

Sobinski siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, wlepiając przed siebie gniewne spojrzenie. Powieki miał zaczerwienione, usta bezwładnie otwarte. Pasma tłustych włosów zasłaniały mu twarz, ale wzrok miał przytomny: przyglądał się im obu. Mason cofnął się o krok, pozwalając ekspertowi robić swoje. Scarrey

odczekał długą chwilę, a potem sam usiadł tuż przed klatką, patrząc na Sobinskiego z tego samego poziomu.

– Miałem nadzieję, że porozmawiamy o tym, dlaczego tu jesteś – powiedział. – O tym, co się stało.

Łokcie Sobinskiego niespodziewanie wygięły się na zewnątrz. Jego głowa jakby przesunęła się na szyi, przez co twarz ułożyła się pod takim kątem, jakby ktoś złamał mu pewien ważny odcinek kręgosłupa. Głos miał zachrypły i jakby oślizgły. Sylaby zlewały się ze sobą oleście. Scarrey wydał cichy, jakby zawstydzony odgłos.

– Tak, przepraszam – powiedział Scarrey. – Chciałem porozmawiać z Maurym, jeśli można.

– Maury nie istnieje – odparł Sobinski głosem, który brzmiał jak coś wyciśniętego z surowego mięsa. Był on zbyt potężny jak na to ciało. Zbyt potężny jak na tę przestrzeń. Mason dostał dreszczy. – Jestem Belet, król piekieł. To ciało jest moją własnością, przejąłem je.

– Rozumiem – powiedział Scarrey. – Z całym szacunkiem, Wasza Królewska Mość, przyszedłem porozmawiać z Maurym. Proszę.

Sobinski rozdziawił usta, tak jakby zaraz miał sobie zwichnąć zuchwę. Język wylał się z nich, sięgając w dół, w stronę skrzyżowanych nóg.

– Chcesz, żeby mały Mo wyszedł się pobawić? – powiedział znów głos, tym razem kpiąco. Każda sylaba ociekała furją.

– Tak, proszę – odparł Scarrey.

Więzień zachichotał. Jego ramiona wróciły na

miejsce, twarz straciła wyraz złowroziej wesołości, a głowa ułożyła się naturalnie. Sobinski rozejrzył się, jakby dopiero teraz zobaczył obu mężczyzn.

– Maury? – zapytał Scarrey.

Więzień pokiwał niepewnie głową.

– Mam na imię Rich – powiedział Scarrey z uśmiechem. – Chciałem, żebyśmy porozmawiali przez chwilkę o tym, dlaczego się tu znalazłeś. Możemy?

– Jesteś psychiatrą?

– Nie – odparł Scarrey. – Nie jestem nikim szczególnym. Rozumiem, że opętał cię demon?

Sobinski przeniósł wzrok ze Scarreya na Masona i z powrotem. Jego skóra była blada i wyglądała na delikatną. Przełknął ślinę i kiwnął głową. Kiedy się odezwał, mówił prawie szeptem:

– Oni mi nie wierzą.

– Wiem – powiedział Scarrey.

– Nie zabiłem Sarah. Nigdy bym jej nie zabił. Nikogo bym nie zabił.

– W porządku.

– Demony... One są wszędzie. Przejmują władzę nad ludźmi i używają ich ciał. Nie widać różnicy. Nikt nie widzi różnicy, dopóki demony same się nie ukążą, a wtedy jest za późno. Kontrolują wszystko. Może prezydenta? Papieża? Nie wiadomo. Musi mi pan uwierzyć.

– Wierzę ci. Naprawdę. Jak Belet się w tobie znalazł, Maury? Możesz mi opowiedzieć, co się stało?

Sobinski się podniósł. Wyglądał jak ktoś, kto po raz pierwszy po operacji wstaje z łóżka szpitalnego. Każdy jego ruch był niepewny, każdy krok pełen wahania. Jakby sprawdzał, co może zrobić, zanim coś znów zacznie go boleć. Scarrey wciąż siedział na podłodze.

– To było... może pięć lat temu? – powiedział Sobinski, trąc kark dłonią. – Pracowałem w takim miejscu w Detroit... To była dziupla. Sprzedawali też trochę narkotyków, ale ja zajmowałem się tylko samochodami, no nie? Był tam taki czarny facet. Z Jamajki. Nazywali go John Zombi.

– John Zombi – powtórzył Scarrey, kiwając głową.

– Był walnięty. Interesował się różnymi dziwami. W nic z tego nie wierzyłem. Myślałem, że tylko próbuje strugać chojraka, wie pan? Nastraszyć ludzi.

– Wspomniał może nazwisko Kalfu? Marinette?

– Tak. Używał tych nazwisk. Ale ja nie... – powiedział Sobinski, a potem niespodziewanie rzucił się na Scarreya z wrzaskiem. Ciało więźnia uderzyło o metal, a jego skowyt był jak odgłos cięcia piłą mięsa.

Mason poczuł w dłoni rękojeść pistoletu i zmusił się do zachowania spokoju.

Sobinski wykrzykiwał te same dziwne sylaby, co wcześniej. Jego kręgosłup się wygiął, a ramiona podrygiwały obrzydliwie. Rozpryskująca się ślina zmoczyła siatkę. Kiedy Sobinski zaczął walić w nią pięściami, zabręczczała o metal krat. Mason podszedł.

– No dobra, dupku, możesz już przestać – powiedział.

Scarrey wstał, wycierając plwocinę z nosa i policzka.

– Myślę, że jak na razie to wszystko, panie władzo. Możliwe, że będę chciał wrócić później.

– Znam cię, człowieczku – powiedział Sobinski głębokim, demonicznym głosem. – Wiem, co jest w twoim sercu. Znajdę cię, kiedy będziesz spał.

– Może pan wrócić, jeśli pan chce – wtrącił Mason, wzruszając ramionami. – Prawie cały czas tak to wygląda.

Scarrey skinął uprzejmie głową krzyżącemu mężczyźnie, a Mason go odprowadził. Kiedy opuścili tymczasowe cele, Mason poszedł z gościem do pokoju socjalnego i nalał mu kubek kawy.

– I co? – zapytał, kiedy Scarrey słodził kawę i wlewał do niej mleko.

– Chciałbym przejrzeć raporty. Może też miejsce zbrodni? Jeśli może mnie pan tam zabrać? Jeśli chodzi o samego więźnia, jest zbyt wcześnie, żeby coś orzec. Jest jednak kilka interesujących kwestii. Może warto zapamiętać tego Johna Zombi, o którym wspomniał, ale...

– A ten jego bełkot?

– Hmm? Ach, tak. To aramejski.

– Serio? Jaki ma akcent? – zapytał Mason.

Zdezorientowany Scarrey uniósł oczy. Potem zrozumiał dowcip i się uśmiechnął.

– Okropny.

*

Scarrey wyregulował krzesło Andersona pięć albo

sześć razy, kiedy Mason przyniósł mu raporty. Zawierały wszystko: od zgłoszenia zaginięcia, złożonego przez byłego chłopaka ofiary, przez papiery od lekarza sądowego, po relację z aresztowania spisaną przez Masona. Scarrey przerzucił je, jakby próbował się zdecydować, od czego zacząć przy bufecie.

– Potrzebuje pan jeszcze czegoś? – zapytał Mason.

– Czy mógłbym dostać kilka kartek? Wystarczy z drukarki. Na notatki.

– Pewnie – odparł Mason.

– I długopis?

Kiedy facet się już rozsiadł i zaczął czytać, z twarzą wykrzywioną w komicznym grymasie koncentracji, Mason wrócił do socjalnego. To, że ktoś inny siedzi przy biurku jego partnera, było strasznie dziwne, a poza tym i tak potrzebował czegoś z kofeiną. Wciąż tam siedział, dopijając czarny płyn, kiedy znalazł go komendant.

Nie był stary, ale sporo już widział, i znać to było po zarysie ramion i wyprostowanych plecach. Wszedł, skinął głową Masonowi i nalał sobie kawy.

– Przyjechał?

– Tak, panie komendancie – powiedział Mason. – Dałem mu raporty. Ma dostęp do wszystkiego, tak jak pan kazał.

– Dobrze. To dobrze.

– Panie komendancie? Jeśli chodzi o Andersona...

– Nie będę o tym z tobą rozmawiał – zapowiedział komendant, wsypując do kubka zabielaacz.

– To dobry glina – ciągnął Mason. – Pracuję z nim już od sześciu lat, to najbystrzejszy facet w zespole. Jeśli go stracimy z tego powodu, więcej złych ludzi zostanie na ulicach.

– Nie będę o tym rozmawiał, Mason. Ty też nie. Kiedy rewizja Spraw Wewnętrznych się zakończy, możemy...

– To było dwieście dolców – powiedział Mason. – Ten wydział więcej wydaje w tydzień na cappuccino.

Komendant odstawił kubek, oparł się o blat i skrzyżował ramiona na piersi. Miał pusty, spokojny wyraz twarzy, który oznaczał, że Mason posunął się tak daleko, żeby zobaczyć granicę jego cierpliwości, ale jeszcze jej nie przekroczył.

– Szanuję twoją troskę o partnera – powiedział. – Podzielam twoją wysoką opinię na temat śledczego Andersona. Jako zawodowy funkcjonariusz ochrony porządku publicznego i twój przełożony mówię ci, że będziemy się w tej sprawie ściśle trzymać zaleceń. Cokolwiek będą chcieli wiedzieć ludzie ze Spraw Wewnętrznych, masz im to powiedzieć. Cokolwiek będą chcieli zobaczyć, masz im pokazać.

– Tak jest, panie komendancie.

– Kiedy Anderson zostanie oczyszczony z wszelkich zarzutów, nie chcę, żeby ktokolwiek pomyślał, że stało się tak z jakichś względów formalnych albo że zrobiliśmy Wewnętrzny w konia.

– Tak, panie komendancie.

– A osobiście mówię ci, że masz się nie martwić. Zajmuję się sprawą.

Mason z trudem powstrzymał szeroki uśmiech.

– Dziękuję, panie komendancie.

– Nie potrzebuję twojej wdzięczności. Potrzebuję zeznania od Sobinskiego.

– Okej.

Komendant wziął kawę, skinął głową i poszedł.

Przy biurku Mason zerknął na eksperta, który wciąż marszczył czoło nad szczegółami śmierci dziewczyny, westchnął cicho i zaczął wypełniać raport dotyczący śmierci bezdomnego mężczyzny, który albo rzucił się z dachu budynku mieszkalnego, albo został z niego zepchnięty. Godzinę później Scarrey stanął u jego boku i przepraszająco odchrząknął.

– Znalazł pan to, czego szukał? – zapytał Mason.

– Nie, nie. Tylko to, czego się spodziewałem. Miałem nadzieję, że może odwiedzimy miejsce zbrodni? Może też mieszkanie Sobinskiego?

– Dobra. Ale rozumie pan, że miejsce zbrodni nie będzie wyglądało tak jak wtedy. Kiedy ludzie zbierający dowody kończą pracę, opuszczamy lokal. Pozwalamy ludziom na powrót z niego korzystać. Oni zazwyczaj dość szybko wzywają ekipę sprzątającą.

– Jakże wyglądałby świat, gdyby było inaczej – powiedział Scarrey, a potem, widząc wlepione w siebie, pozbawione wyrazu spojrzenie Masona, dodał: – Tak sobie tylko myślałem, jak by to było, gdybyśmy zamykali

pokój na cztery spusty, kiedy ktoś by tam umarł. Skończyłyby nam się miejsca do mieszkania. Spania i przechowywania jedzenia. Trzeba byłoby znaleźć jakiś sposób na oczyszczenie tej przestrzeni. Na to, żeby czas znów zaczął płynąć. Ale też zapewne właśnie to robimy, kiedy śledczy wychodzą, prawda? Próbujemy wyjąć ze świata pokój czy uliczkę, póki pracują, a potem znów wsunąć tę przestrzeń na miejsce.

– Pewnie – zgodził się Mason. – Chyba tak.

– Potęga rytuału – powiedział Scarrey, zadowolony z tej myśli. – No dobrze. Który z nas prowadzi?

*

Magazyn, w którym zmarła Sarah Osterman, był jednym z setek identycznych, zebranych na mniej więcej trójkątnym terenie u zbiegu rzeki i torów. Poranne słońce wypychało cienie z betonu i stali. Jedynymi pieszymi byli bezdomni, a ruch tworzyły wyłącznie ciężarówki i różne gruchoty. Mason lubił autentyczność tej okolicy. Niewiele więcej miała do zaoferowania.

Siedzący na miejscu pasażera Scarrey nucił pod nosem i wychylał się przez okno, zerkając na kolejne budynki, które mijali. Grubymi, krótkimi palcami stukał o siedzenie obok siebie, prawie, ale nie do końca wybijając rytm melodii, którą mrucał. Mason mógł włączyć radio i spróbować zagłuszyć gościa. Z drugiej strony jednak – gdyby to zrobił, facet mógłby zacząć śpiewać na głos.

Zaparkowali przed biurem kierowniczką. Na południe

ciągnęły się wysokie budynki z podnoszonymi bramami jak w garażu i wydzielonymi strefami załadunku. Przy rampach zaparkowane były trzy tiry, ale w magazynach nic się nie działo. Kierowniczką, przerażająco chuda kobieta z rurką wiodącą od nosa do przenośnej butli tlenowej, podała mu kod do bramy i uniwersalny klucz. Mason ruszył wzdłuż ramp załadunkowych, a Scarrey truchtał u jego boku.

– Ta firma, która wynajmowała magazyn... – zaczął Scarrey – ...czy od czasu morderstwa zgłaszali, że dzieje się tam coś dziwnego?

– Nie. Żaden potwór tam po nocy nie grasuje. A przynajmniej o niczym nie wspominali.

– Hm.

– Spodziewał się pan czegoś?

– No cóż, spodziewałbym się, że ludzie będą choćby nerwowi, prawda? – powiedział Scarrey. – Kiedy dzieje się coś tak strasznego, ludzie cofają się albo zbliżają. Bardzo rzadko zachowują obojętność. Oczywiście musiałyby to być coś znaczącego, żeby zasłużyło na wzmiankę w raporcie.

– Nie jest pan, zdaje się, przekonany, że nasz chłopak faktycznie próbował wezwać diabła.

– Och, tego nie powiedziałem – odparł Scarrey.

Mason zatrzymał się przed jedną z bram. Na łuszczącej się żółtej farbie widniał czarny napis „M-15”. Mason wklepał kod na małej klawiaturze przy bramie, wsunął do zamka klucz i brama zaczęła się podnosić z

łoskotem. Scarrey schylił się i pospiesznie wszedł do środka. Mason poczekał, aż będzie mógł wejść wyprostowany.

Wnętrze wyglądało zwyczajnie. Prosto. Niewinnie. Pudła i półki, które Sobinski poprzesuwał, wróciły na swoje miejsca. W powietrzu pachniało spalinami i WD-40, nie kadzidłem i krwią. Nakreślone kredą słowa i rysunki zmyto z podłogi oraz ścian. Mason wyciągnął ramiona za plecami, przeciągając się, aż chrupnęło mu w kręgosłupie. Scarrey chodził po magazynie jak turysta po Times Square, mrugając i zadzierając głowę. Obszedł całe miejsce dookoła, przesuwając opuszkami palców po ścianie, dotykając kartonów z tanimi odtwarzaczami DVD i trzeciorzędnym sprzętem audio, mrużąc oczy w biało-niebieskim blasku świetlówek.

– Widział pan ją?

– Tak – odparł Mason.

– Jak się pan poczuł?

– Słucham?

– No cóż, oto problem z raportami, prawda? Nigdy nie ma w nich niczego naprawdę ważnego. Wiem, że była tutaj – powiedział Scarrey, stając tak blisko właściwego miejsca, jak pozwalały mu na to półki, i unosząc ramiona, jakby haki na łańcuchach tkwiły w jego ciele. – Zapewne wisiała na tamtej krokwi i tej rurze, tak?

– Tak.

– O takich właśnie szczegółach mówią raporty. Nigdy nie mówią, jakie to wywołało wrażenie. Kiedy pan ją

zobaczył, poczuł pan radość?

– To była młoda dziewczyna – powiedział Mason. – Torturował ją i zabił jakiś pieprzony psychol, a my przyjechaliśmy za późno, żeby jej pomóc. Więc jak pan sądzi?

– Nie wiem, ale to ważne. Czy na widok jej ciała poczuł pan radość?

– Nie.

– Podniecenie?

– Jasne – powiedział Mason z kamienną twarzą. – Oczywiście. Miałem taki wzwód, że gwoździe mógłbym wbijać.

– Niech pan tak nie robi. – Głos Scarreya był teraz cichy i bardzo poważny. – Proszę z tego nie żartować. Nie potrafię się wtedy zorientować, co pan chce pokryć żartem. Czy ciało wywołało u pana podniecenie erotyczne?

– Kurwa, nie – rzucił Mason.

– Dobrze. Dobrze, dobrze, dobrze.

– A u pana?

– U mnie?

– Czy to, co się tutaj zdarzyło, uszczęśliwiło pana?

– Wiele się tutaj zdarzyło – powiedział Scarrey. – Niektóre z tych rzeczy były okropne. Mam na myśli to, co spotkało tę dziewczynę. Część z nich była dość miła.

– Na przykład?

– Na przykład to, że znalazłem to, co spodziewałem się znaleźć.

– Czyli?

Scarrey wyszczerzył zęby i rozłożył ramiona, wskazując ściany, kartony, światła.

– Magazyn – powiedział.

– Aha – mruknął Mason. – No dobra, cieszę się, że do tego doszliśmy. Co teraz?

– Sądzę, że obiad. Ma pan ochotę? Ja płacę.

*

Nie była to tego rodzaju restauracja, na jaką Mason by się osobiście zdecydował. Kiedy mógł wybierać, zazwyczaj szedł do dobrej meksykańskiej knajpy w swojej okolicy albo na stek. Jeśli lokal wyglądał na taki, gdzie musiałby czekać na stolik, odrzucał go od razu. Kiedy przeszli przez drzwi ze szkła i chromu, Mason spodziewał się, że hostessa zapyta, czy mają rezerwację na przyszły miesiąc, ale ona zaprowadziła ich na tyły, do niewielkiej, pomalowanej na beżowo łoży z halogenową lampą w stylu art déco zawieszoną nad stołem. Może więc Scarrey coś wiedział.

– Co tu dają dobrego? – zapytał Mason, przeglądając menu. Kanapka z bekonem, pomidorem i sałatą za czternaście dolców. Polędwica jagnięca za czterdzieści.

– Zazwyczaj zamawiam sałatkę z fetą – powiedział Scarrey.

– Okej – powiedział Mason.

– Jest też smaczny stek w panierce z kawy. Mógłby pan spróbować.

Mason próbował wyczuć, czy facet żartuje, i był prawie pewien, że nie. A jeśli tak, to dostanie nauczkę za tę propozycję.

– Dobrze. Spróbuję.

Scarrey gestem przywołał kelnera i złożyli zamówienie. Napoje przyniesiono, zanim zdążyli skończyć. Scarrey pił europejskie piwo. Mason został przy mrożonej herbacie, która, jak na mrożoną herbatę, nie była zła.

– A więc wierzy pan w to wszystko – zaczął Mason.

– W Beleta, króla piekieł. Spiski demonów. Tak?

– Bezwzględnie – odparł Scarrey. – Widziałem na własne oczy. Rozumiem, że pan nie wierzy?

– Niejedno już widziałem – powiedział Mason. – Ale jestem tylko gliną. Chce pan osądów, niech pan idzie do sędziego.

– Nie jestem pewien, czy siedzenie w fotelu sędziowskim faktycznie umożliwia głębsze zrozumienie kwestii duchowych.

– Amen – mruknął Mason i tym razem Scarrey od razu załapał dowcip. Hostessa spojrzała na nich, usłyszawszy jego chichot, uśmiechnęła się i znów odwróciła.

– Nie zawsze wierzyłem – oznajmił Scarrey. – Ale miałem nadzieję. Od początku miałem nadzieję.

– Miał pan nadzieję? Że istnieje obejmujący cały świat satanistyczny spisek, który kontroluje rząd i policję, aby móc składać ofiary z noworodków i czcić diabła?

– No cóż, nie, jeśli tak pan to ujmuje. Ale miałem nadzieję, że istnieje świat bardziej magiczny od materialnego, trywialnego, przyziemnego życia. W młodości wciąż szukałem cudów. Znaku od Boga. Porwania przez UFO. Przez całe gimnazjum chciałem być wampirem. Co wieczór stałem w oknie i zapraszałem do środka wszystkie wampiry, które akurat były w okolicy. Wie pan, nie mogą wejść do domu bez zaproszenia. W tej kwestii wyprzedziłem trochę swoje czasy. Ale nie byłem wybredny. Po prostu chciałem, żeby coś wywróciło świat do góry nogami.

– Wygląda na to, że trzeba było panu dziewczyny – powiedział Mason.

– Och, zgadza się – odparł Scarrey. – Natknąłem się na jeźdźców dlatego, że miałem na to nadzieję.

– Jeźdźców?

– Tak nazywają ich ludzie w moim fachu. Istoty, które żyją tuż poza granicami tego świata i próbują się dostać do środka.

– Dlaczego nie po prostu demony?

Scarrey upił spory łyk piwa, marszcząc czoło, od czego pogłębiły się znaczące je bruzdy. Cmoknął.

– Jaka jest różnica między aniołem a demonem? – zapytał.

– Jeden jest dobry, a drugi zły.

– Ale czym jest dobro? Czym jest zło? To znaczy, owszem, pan i ja zgadzamy się na prawie każdy temat, jestem pewien. Krzywdzenie ludzi, którzy na to nie

zasługują, jest złe, współczucie jest dobre i tak dalej. Prawdopodobnie nawet zgodzilibyśmy się co do konkretnych przykładów. Ale gdyby wszyscy mężczyźni, kobiety i nowo narodzone dzieci uznali, że coś jest złym uczynkiem, to czy osąd ten staje się prawdziwy lub absolutny? Wątpię, żeby udało się znaleźć kogokolwiek, kto pochwalałby gruźlicę jako taką, ale nie pytaliśmy o zdanie zarazków.

– Więc Belet, król piekieł, jest aniołem? – zapytał Mason.

– Jeśli pan się z nim zgadza, dlaczego nie? – odparł Scarrey. – Jeśli niszczy to, co pana zdaniem powinno zostać zniszczone, i chroni to, co pan chce chronić. Proszę przeczytać Stary Testament. Zobacz pan, że anioły to straszliwe, przerażające istoty. Ale są w służbie u Boga, a jeśli czyta się Biblię, najprawdopodobniej wierzy się w dobroć Boga, i tak... Różnica między aniołem a demonem zasadza się na tym, czy obie strony głosują na republikanów.

– A jak można zgodzić się z czymś... takim jak to, co trzymamy w celi?

Scarrey się rozpromienił. Wryte na jego twarzy niepewność, zakłopotanie i przeproszający wyraz zniknęły. Mason miał wrażenie, że patrzy na kogoś innego niż mężczyzna, który przyszedł porozmawiać z więźniem.

– Otóż właśnie tajemnica, czyż nie? Tajemnica, nie zagadka. Jaki człowiek zaprosiłby coś takiego do swojej duszy? Ktoś, kto nienawidzi kobiet. Ktoś, kto lubi sadyzm

albo... albo kogo on w jakiś sposób uspokaja. Ktoś, kogo pcha w jego stronę strach.

– Albo jakiś pieprzony świr – poddał Mason.

– Och, panie władzo – zachichotał Scarrey – jeśli nie podobają się panu moje koncepcje dobra i zła, nie będzie pan zadowolony z tego, jakie mam zdanie na temat zdrowia psychicznego.

Podano im jedzenie. Stek był czarny jak gruda węgla i pokryty grubą, skwierczącą skorupą. Ugotowane na parze kawałki marchewki i różyczki brokułów, ułożone na zmianę z militarnym rygorem, zdobiły skraj talerza. Stosik purée ziemniaczanego pachniał orzechami laskowymi i masłem. Mason włożył do ust pierwszy kęs mięsa i wytrzeszczył oczy. Nagle cena czterdziestu dolarów zaczęła mieć sens. Kelner postawił przed Scarreym sałatkę, a także kryształowy talerzyk z pokruszoną fetą.

– Panowie – oznajmił kelner – kierowniczka prosiła, abym panom przekazał, że dzisiejszy posiłek będzie na koszt firmy. Jeśli mogę panom podać coś jeszcze, proszę tylko dać znać.

Scarrey cmoknął cicho językiem o zęby i pokręcił głową.

– Proszę jej powiedzieć, że to bardzo miło z jej strony.

– Tak jest, proszę pana – powiedział kelner i wycofał się z wyćwiczoną gracją zawodowca.

Mason przyjrzał się mężczyźnie siedzącemu

naprzeciwko niego świeżym okiem, ale znów doszedł do tych samych wniosków. Nawet teraz, na znajomym sobie terenie, przyciskał łokcie do boków i uśmiechał się bezwiednie, nerwowo. A jednak komendant mógł go prosić o przysługi, a eleganckie restauracje w centrum miasta karmiły go za darmo. Coś tu nie pasowało. Scarrey wyczuł skupioną na sobie uwagę i zaczął się wiercić.

– Kierowniczka i ja należymy do tego samego Kościoła – wyjaśnił z ustami pełnymi sałaty. – Pana komendant też uczęszcza tam na nabożeństwa.

– Naprawdę? – zapytał Mason. – Nie wygląda mi na pobożnego typu.

– To unitarianin. Smakuje panu stek?

Mason przełknął kolejny kęs. Palony smak kawowej skorupki, sól i soki mięsa. Krew.

– Świetny.

*

Mieszkanie Sobinskiego mieściło się na górnym piętrze budynku, po lewej stronie. Jego sąsiedzi stanowili mieszkankę niezamożnej klasy średniej i najbogatszych przedstawicieli niższej. Po ulicy biegało niezborne stado psów, które przyglądały się Masonowi i Scarreyowi z nieufnością właściwą miejscowym patrzącym na obcych. Kiedy wchodzili z brzękiem po podniszczonych stalowych schodach, z mieszkania na dolnym piętrze rozszedł się zapach kielbasy. W porównaniu z niedawną wonią steku był dość obrzydliwy.

Mason złamał pieczęć, otworzył drzwi i wpuścił Scarreya przodem. Mieszkanie wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy Mason oglądał je po raz pierwszy. Mała kuchnia. Płyta kuchenna nie wyglądała na często używaną, a okienko mikrofalówki było usiane brązowymi plamami. Wąski pokój dzienny z wielkim płaskim telewizorem – jedynym kosztownym urządzeniem w mieszkaniu – a także beżowym dywanem, na którym nie dało się ukryć zacieków i plam, oraz sofą z kwiecistym obiciem i rozdarciem z boku, z którego wystawała jasnożółta wyściółka. Scarrey przespacerował się po pokojach z rękami w kieszeniach. Mason był ciekaw, czy patrzy na mieszkanie inaczej niż on, a jeśli tak, to jak.

– Aresztowaliście go tutaj?

– Tak – odparł Mason. – Chyba wiedział, na co się zanoszą.

– Próbował uciekać?

– Przez okno na tyłach, a potem schodami przeciwpożarowymi. Złapaliśmy go w uliczce za domem.

– Mhm.

Scarrey przeszedł długim na dwa kroki korytarzem do sypialni. Pojedyncze, nieposłane łóżko. Komoda ze stertą ulotek i rachunków. Skarpetki na podłodze. Kucnął i zajrzał pod łóżko.

– To tutaj znaleźliście pudełko z okultystycznymi akcesoriami?

– Szata, jakieś porąbane DVD, trochę książek – wyliczał Mason. – Wszystkie są w magazynie, jeśli chce

pan rzucić na nie okiem.

– W porządku. Ale tu są jeszcze jakieś kartony.

– Tak. Beznadziejny sposób przechowywania rzeczy.

Scarrey opadł na czworaki i wysunął białe pudło. Stare, pozwijane ubrania. Poradnik o podrywaniu dziewczyn. Sterta pornograficznych gazetek. Dwie stare cegły. Kilka pożółkłych książek w miękkiej oprawie, opasanych szeroką gumką. Zbiór płyt DVD, z których można się było nauczyć magicznych sztuczek, żonglowania, jazdy na monocyklu. Scarrey przesunął po wszystkich palcami, jakby przerzucał kartki w książce. W pewnej chwili zamarł i zmrużył oczy.

– Czegoś brakuje – powiedział.

– Co?

– Wśród tych filmów instruktażowych jednego brakuje – wyjaśnił Scarrey. Podniósł płytę na temat żonglerki. Na pudełku szczyrzył zęby facet przebrany za klauna, który trzymał w rękach namalowane kółko z niebieskich kropek i smug zamiast prawdziwych piłek. Scarrey przeczytał tekst z tyłu, ruszając wargami. Mruknął z satysfakcją.

– I co?

– Nic, czego bym się nie spodziewał – odparł. – Akrobacja.

Scarrey wrzucił płytę z powrotem do pudła i podniósł książki.

– Akrobacja? – powtórzył Mason.

– Wyginanie ciała – powiedział Scarrey. – To wtedy,

kiedy ktoś...

– Tak, wiem, co to jest.

– Co ważniejsze, właśnie tę płytę zgubił. Albo się jej pozbył. Nie wiem, czy usunął ją celowo, czy po prostu wyciągał tak często, że się zapodziała, ale to nie ma większego znaczenia. I te, o, proszę zobaczyć. Z kościelnej biblioteki. *Wspomnienia z przyszłości Dänikena. Jak uwolnić swoje wewnętrzne światło. Szatan wśród nas.* Ach! Proszę spojrzeć. *Prawdziwe znaczenie Nowego Testamentu* autorstwa wielbnego J. Linklessera. Tak jakby było tylko jedno znaczenie! Ale...

Ściągnął z trzaskiem gumkę i otworzył jedną z książek. Masonowi mignęły podkreślone ustępy.

– Aramejski? – zapytał.

– Gdyby angielski był dość dobry dla naszego Zbawiciela... ale oczywiście nie był.

– Więc to wszystko bzdury – powiedział Mason. – Wszystkie te numery, które odstawia Sobinski. Nie jest opętany.

Scarrey podniósł na niego skonsternowany wzrok.

– Oczywiście, że nie. Musiałem sprawdzić miejsce złożenia ofiary, żeby się upewnić, ale doprawdy... John Zombi? – Scarrey się skrzywił i pokręcił głową. – Semickie języki, takie jak aramejski, należą do grupy afroazjatyckiej, nie pochodzą z Karaibów. A Kalfu i Marinette to bardzo konkretne loa, z których żadne nie ma szczególnego związku z Drabiną Jakubową. Miał pan sporo racji co do tego człowieka, naprawdę nie jest dobry.

Choć nie jest też zły. To znaczy jest zły, zabił tę biedną dziewczynę, ale nie jest dobry w tym, co robi.

– Chwileczkę, wiedział pan, że on nie jest opętany?

– Oczywiście.

– No to co my tu, przepraszam za wyrażenie, kurwa, robimy?

– Och – westchnął Scarrey – przepraszam. Nie jestem tu po to, żeby sprawdzić, czy jest opętany, ale po to, żeby się dowiedzieć, dlaczego udaje, że jest.

– Chce, żeby go uznano za niepoczytalnego.

– Nie, to się nie sprawdza. Przede wszystkim w praktyce ta linia obrony nigdy nie działa. A nawet gdyby, to życie w więzieniu nie różni się tak bardzo od dożywotniego zamknięcia w zakładzie psychiatrycznym, poza tym, że w więzieniu jest przyjemniej. Biorąc jednak pod uwagę, jak źle wasz Sobinski poradził sobie ze wszystkim, możliwe, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Czyli faktyczna niepoczytalność.

– Mógł mieć epizod psychotyczny. Nie tak poważny, żeby nie mógł zaplanować i dokonać skomplikowanej zbrodni. Poza tym przed aresztowaniem nie zdradzał symptomów opętania przez Beleta, króla piekieł. Możliwe, że zatrzymanie wywołało psychozę jako sposób na pozbycie się odpowiedzialności za swoje czyny, ale...

– Ale?

– No cóż, jest z tym kilka problemów – stwierdził cicho Scarrey. – Trudno byłoby mi powiedzieć, że człowiek, który zrobił coś takiego, jest zdrowy

psychicznie, ale myślę... myślę... że wiem, czego szukał.

*

– Powiedziałam już policji, co wiem.

Kobieta, która na dole gotowała kielbasę, była krępą Koreanką pod pięćdziesiątkę o imieniu Anna. Jej kuchnia wyglądała identycznie jak u Sobinskiego, ale było w niej mniej światła, a więcej gotowania. Stała przy kuchence i mieszała w patelni pełnej skwierczącego mięsa. Z bliska woń smażonej chrząstki i soli nie była mniej obrzydliwa. Scarreyowi, zdaje się, nie przeszkadzała.

– Nie jestem policjantem. Czy miał wielu przyjaciół?

Z nachmurzoną miną spojrzała najpierw na Scarreya, potem na Masona, a w końcu na smażące się jedzenie.

– Bardzo długo nie miał żadnych. Był jednym z tych ludzi, którzy przyjaźnią się z kimś bardzo blisko na krótko, a potem zmieniają towarzystwo. Za dużo pił. Był zawsze...

Pokręciła głową. Scarrey spuścił wzrok na własne splecione dłonie. Przez moment wyglądał prawie tak, jakby się modlił.

– Wystraszony – powiedział.

Anna zerknęła na niego, a potem kiwnęła głową.

– Można by tak to ująć. Wciąż nawijał o tym, jak to lewacy chcą odebrać nam prawa albo że George Bush tak naprawdę współpracuje z Saudyjczykami. Trzeba mu oddać, że pod względem polityki był dość sprawiedliwy: nienawidził wszystkich.

– Dobrze go pani znała?
– Przez jakiś czas.
– Bała się go pani? – zapytał Scarrey.
– Nie, nigdy.
– A teraz nie wzbudza pani strachu, biorąc pod uwagę to, co zrobił?

– Tak – powiedziała, wyłączając palnik pod patelnią.
– Tak, wzbudza.

Odwróciła się do lodówki i wyjęła okrągły bochenek chleba. Kuchnia była tak mała, że nie musiała przy tym zrobić nawet kroku.

– W jaki sposób zakończyła się wasza znajomość? – zapytał Scarrey.

Mason przeniósł ciężar ciała na lewą nogę. Anna wzięła nóż ze stojaka i nacięła bok bochenka. Milczała tak długo, że Mason zaczął się zastanawiać, czy słyszała pytanie, a jeśli tak, to czy na nie odpowie.

– Nie uderzył mnie – oznajmiła. – Nie zrobił się nawet nieprzyjemny. Po prostu zniknął. Przestał schodzić na kolację, więc po jakimś czasie zaczęłam gotować tylko dla siebie.

Założyła kosmyk włosów za ucho, odłożyła nóż i odgięła nadkrojoną kromkę. Skórka pękła pod jej palcami i ukazał się miękki, biały miąższ.

– Miałam zamiar zrobić mu awanturę – powiedziała.
– Ale jakoś nigdy się do tego nie zmusiłam. Ciekawe, czy gdybym...

– Zaczął nowy związek? – zapytał Scarrey.

– Nie. Dołączył do zespołu. Uczył się grać na gitarze. To trwało tylko miesiąc. Potem przez jakiś czas zadawał się z bandą fanatycznych chrześcijan, ale też przestali przychodzić. Później przestałam zwracać na niego uwagę. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek zaznał spokoju.

– Powiedziałyby pani, że miał depresję?

Znowu otworzyła lodówkę i wyjęła pojemnik margaryny, którą rozsmarowała na kromce tym samym nożem.

– Nie – powiedziała. – Nie był szczęśliwy, ale też nie przygnębiony. Był... głodny? Wystraszony? Cholera, nie wiem, jak to nazwać. Był porąbany, miał trudne dzieciństwo albo coś w tym rodzaju. Wciąż czegoś szukał, zawsze miał plan na to, jak tym razem wszystko się dobrze skończy. Tylko że nigdy się dobrze nie kończyło.

Wciąż wyglądała na zagniewaną, ale ramiona nieco jej opadły. Stawała się mniej czujna. Mason próbował zachować łagodny, spokojny wyraz twarzy. Nie miał w tym wielkiej wprawy.

– Chcecie jeść? – zapytała.

Jezu, nie, pomyślał Mason.

– Chętnie – powiedział Scarrey. – Jak miło z pani strony.

– Ja dziękuję – wtrącił Mason. – Dopiero co jadłem.

Zaniosła talerz na niewielki stół, z którego odłaził laminat. Mięso było szare, z brązowymi plamkami, otoczone kawałkami podsmażonej cebuli. Chleb z margaryną przycupnął na skraju talerza.

– Mam tylko wodę – powiedziała.

– Wspaniale – odparł Scarrey z wielkim, durnym uśmiechem. – Najważniejsza substancja odżywcza. Trzeba się nawadniać.

Kiedy nalewała wodę z kranu, Scarrey zaczął pałaszować mięso, jakby przez cały dzień nie jadł nic smaczniejszego. Mason starał się nie zauważyć, że Anna przetała szklanę szmatką, zanim ją napełniła. Podała ją Scarreyowi, a on podziękował skinieniem głowy. Anna usiadła naprzeciwko niego, zaciskając usta, jakby poczęstowanie ich jedzeniem ujawniło jej słabe punkty i jakby teraz tego żałowała.

– Wiem, że to dziwne pytanie – powiedział Scarrey z ustami pełnymi kiełbasy i cebuli – biorąc pod uwagę wszystko, co pani o nim powiedziała, ale muszę zapytać. Mimo całego tego strachu, szukania kontaktu i oddalania się, wszystkich tych przelotnych związków z ludźmi i sprawami, czy zrobił na pani wrażenie pełnego nadziei?

Anna zmarszczyła brwi.

– Tak – odparła. – To dziwne słowo w tym wypadku, ale... tak.

– Ach... – Uśmiech Scarreya był pełen satysfakcji.

*

– Co miał pan na myśli, mówiąc o tajemnicy, a nie zagadce? – zapytał Mason. Jechali Central Avenue w stronę uniwersytetu. Popołudniowy ruch gęstniał, wczesne ostrzeżenie przed korkami w godzinie szczytu.

– Rozwazał pan kiedyś tę różnicę?

– Przyznam, że nie – powiedział Mason.

– Powinien pan. Jest ważna, biorąc pod uwagę pana zawód.

– Rozwiązywanie tajemnic?

– Czasem – odparł Scarrey. – Ale sądzę, że częściej zagadek.

– No dobra, zapytam: jaka jest między nimi różnica?

Furgonetka zrównała się z nimi i dodała gazu, próbując ich wyprzedzić. Mason przyspieszył odrobinę, żeby ją powstrzymać, i furgonetka zwolniła.

– Zagadki mają rozwiązania – powiedział Scarrey. – Ma pan chusteczkę? Moje palce są...

– W schowku są nawilżające chusteczki.

– Dziękuję. Zagadki mają rozwiązanie. Zamek się otwiera. Korek wyskakuje z butelki.

– Domyślasz się, kto zabił – powiedział Mason. – Rozumiem.

– Tajemnice są inne. Przy pracy z nimi konieczna jest ocena sytuacji. Zgadywanie nie tylko po to, żeby znaleźć rozwiązanie, ale też sięgnąć w głąb niego.

– To chyba naprawdę głębokie – uznał Mason – ale nie mam pieprzonego pojęcia, co to znaczy.

– A więc to tajemnica – powiedział Scarrey.

Mason się zaśmiał.

W biurze Anderson siedział na powrót przy swoim biurku, szczerząc zęby i przybijając piątkę z każdym, kto przechodził. Jego szeroka, niemal zbyt przystojna twarz

nie wyglądała już na tak udręczoną jak w ciągu minionych tygodni. Mason uśmiechnął się szeroko.

– Fajnie, że w końcu pojawiłeś się w robocie, ty leniu – powiedział.

– Wypaliłem już całą trawkę – odwzajemnił się dowcipem Anderson. – Pomyślałem sobie, że powinienem przyjść i zajrzeć do szafki z dowodami, no nie?

– Idźcie gadać na zewnątrz. Ja tu próbuję pracować – warknął Diaz z drugiego końca pokoju.

Mason uniósł brwi, ale Anderson pokręcił głową i wskazał drzwi. Stanęli w korytarzu. Scarrey patrzył to na jednego, to na drugiego nierozumiejącym wzrokiem.

– Co jest?

– Sprawca wypadku na Miawashi? No, zniknął. Nie ma go u mamy. Nie ma go u dziewczyny.

– Wie, że go podejrzewamy – powiedział Mason. – No cóż. Gdzieś musi być.

– Czyli to zagadka – wtrącił się radosnym tonem Scarrey.

Anderson spojrzał Masonowi beznamiętnie w oczy. Nie zrozumiał dowcipu.

– Wewnętrzni przestali się nad tobą pastwić?

– Nie dostanę przeprosin na piśmie, ale tak. Po sprawie – odparł Anderson. – A jak u was? Udany dzień?

– Możliwe, że świetny – powiedział Scarrey.

– Namierzyliście międzynarodowy spisek satanistów?

– Tego bym nie powiedział – stwierdził Mason. – Ale jesteśmy prawie przekonani, że Sobinski leci sobie w

kulki.

– Nawet z tymi... – Anderson wyciągnął niezgrabnie ramiona, małpując więźnia.

– Tak – potwierdził Mason. – Myślę, że część tego, co znaleźliśmy, możemy wykorzystać przed procesem, jeśli jego prawnik spróbuje mu załatwić zaświadczenie o niepoczytalności. Wciąż nie przyznał się do winy, ale...

– Okej – powiedział Anderson, kiwając powoli głową. Może był pod wrażeniem, a może tylko udawał. – Idźcie z Bogiem.

– Tak – wtrącił Scarrey. – Miałem jednak nadzieję, że mógłbym zobaczyć się z więźniem jeszcze raz. Jeśli to nie byłoby problem?

– Jak dla mnie nie – powiedział Mason.

– Hmm... – mruknął Scarrey ze zboląłą, zawstydzoną miną.

Mason uniósł brwi.

– No cóż, zastanawiałem się, czy możliwa byłaby rozmowa w cztery oczy.

*

Pokoju przesłuchań nie zbudowano z myślą o wygodzie. Był tam metalowy stół przyśrubowany do podłogi. Plastikowe krzesło dla zatrzymanego, na tyle lekkie, że nawet gdyby nim w kogoś rzucił, nie zrobiłby mu krzywdy. Ściany miały kolor ciemnej, niezdrowej zieleni. W kącie wisiała kamera, więc obraz na monitorze był nachylony, jak w krzywym zwierciadle. Maury

Sobinski patrzył czasem w obiektyw, jakby próbował się zorientować, czy kamera jest uruchomiona. Mason wyłączył sygnalizującą to czerwoną diodę wiele miesięcy wcześniej. Nadgarstki i kostki Sobinskiego były skute kajdankami, a stół otaczał łańcuch. Jeśli Scarreyowi stanie się tam jakaś krzywda, to nie dlatego, że Mason nie dopilnował kwestii bezpieczeństwa.

– To zły pomysł, partnerze – powiedział Anderson.

– Jeśli zostawię ich w celi, ktoś może podsłuchać, nie? – stwierdził Mason. – Pokoje przesłuchań są dźwiękoszczelne. Nikt nie może wejść ani wyjść, nie robiąc hałasu. Jeśli gość komendanta chce prywatności, to mu ją dam.

– Tylko że wsadziłeś go tam, gdzie możesz mieć na niego oko.

– Yhm.

– To zły pomysł.

– Cicho. Idzie.

Siedzący przy stole Sobinski wyprostował nieco plecy. Mason podkręcił trochę głośność. Kroki Scarreya rozległy się, zanim jeszcze drobny mężczyzna pojawił się w kadrze. Stał przed kamerą w takim miejscu, że Mason widział tylko tył jego głowy, i to z góry. Idealny kąt na sprawdzenie, czy facet łysieje. Głowa Sobinskiego zmieniła położenie w charakterystyczny sposób, prawie jakby miał skręcony kark. Jego głos słyhać było idealnie. To, co wcześniej wydawało się straszne i złowrogie, teraz robiło wrażenie teatralnego i pretensjonalnego.

– Wróciłeś, człowieczku. Przyszedłeś po Maury’ego, ale go nie dostaniesz.

– To nie do końca prawda – powiedział Scarrey. – Możesz już przestać. Wszystko w porządku. Rozumiem.

Od śmiechu Sobinskiego zagrzechotały łańcuchy, a krzesło odjechało trochę dalej od stołu.

– Oddasz pokłon królowi piekieł – zaryczał Sobinski.
– Belet pożre twoje serce, człowieczku. Tylko się przed nim otwórz. Pozwól mu. Wszystko się dla ciebie skończy.

– Maury, powinieneś przestać. To niegodne.

– Jestem aniołem u bram! – wrzasnął Sobinski, a jego ramiona wygięły się w sposób, który sprawiał wrażenie nieludzkiego i bolesnego. – Jestem archontem kresu dni!

– Nazywasz się Maury Sobinski. I jesteś bardzo złym człowiekiem. Przyszedłem to naprawić.

Anderson się nachylił i położył rękę na ramieniu Masona.

– Mason? O co mu chodzi z tym „naprawić”?

Ale Sobinski już się pogrążył w salwach maniackiego śmiechu. Na ekranie widać było, że Scarrey wzrusza ramionami. Jego głos był cichy, prawie łagodny, ale słyhać go było mimo hałasów więźnia.

– Naprawdę. Przestań.

Stali może dwa kroki od siebie. Mimo to Sobinski zakaszlał i zaczął się dławić, jakby ktoś trzymał go za gardło. Patrzył na Scarreya. Udawany demon zniknął.

– Nie wiem, co ci się przytrafiło – powiedział Scarrey. Ręce trzymał w kieszeniach spodni. – Znęcali się

nad tobą w szkole? Ktoś cię wykorzystał? Z niektórymi tak było. A może po prostu nigdy nie znalazłeś sobie miejsca na świecie. Tak było ze mną.

– O czym on mówi? – zapytał Anderson. Szeptał, choć Scarrey nie mógł go usłyszeć.

Mason bez namysłu odpowiedział, też szeptem:

– Kurwa, nie mam pojęcia.

– Wampiry. Chciałeś kiedyś być wampirem? Boże, ja tak. Interesujące jest w nich to, że trzeba je zaprosić do środka – mówił Scarrey. – Myślę, że byłeś do mnie podobny. Nigdy nie czułeś się dobrze w swojej skórze. Nie potrafisz utrzymać przy sobie przyjaciół. Nie potrafisz się skupić. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jesteś chory umysłowo, choć nie postawiono ci diagnozy. Ale to nie ma znaczenia. Oto, co ma znaczenie: zabiłeś tę dziewczynę, ponieważ czegoś chciałeś. Chciałeś stracić kontrolę, mam rację? Chciałeś, żeby ktoś inny zajął się tym, co jest trudne. Chciałeś schronić się przed światem.

– Czego chcesz? – zapytał Sobinski.

– Niczego, czego nie miałbyś ochoty się pozbyć. Co ty na to? Tylko się otwórz. Oczywiście pójdiesz do więzienia, ale z naszą pomocą będzie ci tam znacznie łatwiej. A potem możemy się wszystkim zająć. Powstrzymamy cię przed nieumyślnym zranieniem innej osoby. Nie pozwolimy ci się zagubić. I będziemy z tobą, przy tobie. Tego właśnie szukałeś. A cena jest bardzo niska. Biorąc to wszystko pod uwagę.

– Kim ty jesteś?

– Jest nas legion – odparł Scarrey niemal przeprasającym tonem. – Ale trzeba nas zaprosić.

– Wejdz – powiedział Sobinski.

Scarrey kiwnął głową.

– To będzie bolało, ale nie potrwa długo.

– Co to za gierka? – szepnął Anderson, a Sobinski krzyknął, wygiął się w tył i upadł na ziemię. Mason był w pół drogi do pokoju przesłuchań, zanim się zorientował, że ruszył z miejsca. Drzwi były otwarte. Szerokie plecy Scarreya oddalały się korytarzem. Ręce trzymał w kieszeniach i szedł swobodnym krokiem.

– Ej! – zawołał Mason.

Scarrey obejrzał się przez ramię, uśmiechnął i pomachał, jakby zobaczył starego znajomego. Nie zatrzymał się. Mason zajrzał do pokoju przesłuchań. Sobinski spadł z krzesła i siedział na podłodze. Wyglądał na oszołomionego. Mason podszedł do niego ze ściśniętym gardłem. Jeśli dopuścił do tego, że cywil skrzywdził podejrzanego w areszcie, słono za to zapłaci. Już jednak zaczął podejrzewać, że stało się coś innego.

– W porządku? – zapytał Mason.

– Hej, panie władzo – powiedział więzień. Był trochę zdyszany. – Dobrze, że pan przyszedł.

– Chcesz szklanek wody?

– Nie, nie – odparł Sobinski z dziwnym, krzywym uśmiechem. – Nie trzeba. Chciałem powiedzieć, że zabiłem Osterman. Zagrałem jak kutas, ale wie pan... No, w każdym razie ja to zrobiłem. Mówię oficjalnie. Wie

pan, co muszę zrobić, żeby przyznać się do winy?

– Przyznajesz się?

– Jasne – powiedział Sobinski.

– Dlaczego?

– Bo to zrobiłem.

Kiedy się uśmiechnął, wyglądał jak Scarrey.

*

Mason siedział przy biurku. Poprzedni weekend był pracowity. Dwa ciała w hotelu przy rzece, wynik czegoś, co mogło być nieudaną transakcją narkotykową albo gejowskim romanssem, który się bardzo nie udał. Martwy sześciolatek w Szpitalu Prezbiteriańskim z ranami głowy, które nie pasowały do tego, co opowiadał jego tata. Kobieta mieszkająca przy podmiejskim polu golfowym, której złodzieje roztrzaskali czaszkę – tylko że dopiero co złożyła pozew o rozwód. Plus sprawca potrącenia ze skutkiem śmiertelnym, który wciąż się ukrywał.

Zapowiadał się piekielny tydzień.

– Hej – rzuciła Winehart. – Diaz i Roper biorą sprawę z hotelu. Ty i Anderson chcecie dzieciaka czy bogaczkę?

Zanim Mason zdążył odpowiedzieć, wszedł komendant. Wyglądał staro. Wyglądał na zmęczonego. Wyglądał jak człowiek. Mason pomyślał, że pewnie wygląda tak, jak chce wyglądać. Ich oczy spotkały się na chwilę. Jeden drugiemu rzucał wyzwanie, żeby pierwszy odwrócił wzrok. Obaj byli świadomi, że Mason zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć. Że wie coś, czego

nie powinien wiedzieć. Pytanie, co z tym zrobią?

– Jak leci, Mason? – zapytał ostrożnie komendant.

– Kolejny dzień pracy anioła stróża, szefie – odparł Mason.

Winehart zrobiła zdziwioną minę, kiedy komendant zachichotał. Nie zrozumiała dowcipu.

16 Z ang. *scary* – przerażający (przyp. tłum.).

LISA TUTTLE

Pierwsza publikacja Lisy Tuttle znalazła się w 1972 roku w antologii *Clarion II*, po tym jak autorka wzięła udział w Clarion Workshop. W 1974 roku otrzymała nagrodę im. Johna W. Campbella w kategorii Najlepszy Debiut Roku. W ciągu lat stała się jedną z najbardziej szanowanych pisarek swojego pokolenia. W 1981 roku wyróżniono ją Nagrodą Nebula, której nie przyjęła, co do dzisiaj budzi kontrowersje. W 1987 roku otrzymała British Science Fiction Award, a w 2007 – International Horror Guild Award, wszystkie za opowiadania. Wraz z George’em R.R. Martinem jest autorką książki *Windhaven* (*Przystań Wiatrów*, tłum. Anna Krawczyk-Łaskarzewska, Zysk i S-ka, 1996), sama zaś napisała *Familiar Spirit*, *Gabriel*, *The Pillow Friend*, *Lost Futures*, *The Mysteries* oraz *Silver Bough*, kilka powieści dla dzieci oraz niefabularne prace *Heroines* i *Encyclopaedia of Feminism*; zredagowała również tom *Skin of the Soul: New Horror Stories by Women*. Jej opowiadania ukazały się w zbiorach *A Nest of Nightmares*, *A Spaceship Built of Stone*, *Memories of the Body: Tales of Desire and Transformation*, *Ghosts and Other Lovers* oraz *My Pathology*. Urodziła się w Teksasie, w 1980 roku przeprowadziła się do Wielkiej Brytanii, a obecnie mieszka wraz z rodziną w Szkocji.

Tutaj zapoznaj nas z prawdziwą

dziewiętnastowieczną młodą damą, która wciela się w nową rolę: staje się Watsonem dla ekscentrycznej postaci w stylu Sherlocka Holmesa i jeszcze przed zakończeniem ich pierwszej wspólnej sprawy odkrywa w sobie zaskakujące predyspozycje do owej roli.

OSOBLIWA OPOWIEŚĆ O DEODANDZIE

Kiedy stało się boleśnie jasne, że nie będę mogła dłużej współpracować z panną G.F., opuściłam Szkocję i wróciłam do Londynu z nadzieją, że szybko znajdę pracę. Nie miałam konta w banku, żadnego majątku ani niczego cennego, co mogłabym zastawić lub sprzedać, a kiedy zapłaciłam za bilet, zostało mi niewiele ponad dwanaście szylingów. Choć miałam w Londynie przyjaciół, którzy by mnie przyjęli, zdarzyło mi się już nadużywać ich gościnności, a postanowiłam, że nie chcę być ciężarem. Dlatego też bardzo pilnie musiałam znaleźć jakąś posadę: podkreślałam to, aby wyjaśnić decyzję, która mogłaby się wydawać pochojna.

Ponieważ przyjechałam na King's Cross wczesnym rankiem, rozsądnie było podążyć natychmiast, pieszo, do biura zatrudnienia dla dam na Oxford Street.

Torba, która wydawała mi się dość lekka, kiedy wynosiłam ją z pociągu, z każdym krokiem robiła się coraz cięższa i często musiałam się zatrzymywać i odstawiać ją na moment. Raz zrobiłam to przed sklepem z gazetami i kiedy łapałam oddech, pocierając obolałe ramię, zerknęłam na ogłoszenia wywieszane w oknie. Moją uwagę przyciągnęło jedno z nich, widoczne wśród opisów zaginionych zwierząt domowych i ofert pokojów do wynajęcia.

Prywatny detektyw
Poszukuje asystenta

Konieczna umiejętność czytania i pisania, odwaga, miłe usposobienie, dobra pamięć i gotowość do pracy do późna.

Zgłoszenia osobiste u
J. Jespersona,
Gower Street 203A

Serce zabiło mi mocniej z radości, ale też od razu zrugłam się za to, że jestem głupią gęsią. Z pewnością byłam bystra i dzielna, cieszyłam się doskonałym zdrowiem i silnym organizmem, ale w ostatecznym rozrachunku byłam kobietą, drobną i słabą. Jaki detektyw zatrudniłby taką kulę u nogi?

W ogłoszeniu nie napisano jednak nic o broni czy sile fizycznej. Przeczytałam je jeszcze raz, a potem przeniosłam wzrok z zamieszczzonego w nim numeru – 203A – na numer namalowany nad sklepem: 203.

Drzwi było dwoje. Te po lewej prowadziły do sklepiku, a drugie, pomalowane na lśniącą czerń, opatrzone były mosiężną tabliczką z napisem „Jesperson”.

Zastukałam i otworzyła mi dama w średnim wieku, o zbyt wytwornym stroju i wyglądzie, aby pomylić ją ze służącą.

– Pani Jesperson? – zapytałam.

– Tak?

Powiedziałam jej, że przychodzę w odpowiedzi na

ogłoszenie, a ona wpuściła mnie do środka. Wyczułam zapach smażonego bekonu i grzanek, który przypomniał mi, że nie jadłam nic od poprzedniego popołudnia.

– Jasper – powiedziała, otwierając inne drzwi i gestem wzywając mnie, abym weszła głębiej. – Twoje ogłoszenie już przyniosło rezultaty! Jest tu pani... panna...?

– Panna Lane – przedstawiłam się, wchodząc.

Było to ciepłe, zagracone, pełne życia, wygodne, radosne miejsce. Rozluźniłam się: ogólna atmosfera oraz znajomy zapach książek, tytoniu, grzanek i atramentu, który przesycał pokój, sprawiły, że poczułam się jak w domu, zanim zdążyłam się rozejrzeć. Pokój najwyraźniej pełnił funkcję biura oraz salonu zarazem. Sięgające od podłogi po sufit półki zastawione książkami nadawały wnętrzu wygląd gabinetu, podobnie jak wielkie, niezwykle zabałaganione biurko ze stertami papierów i gazet. Były tam też jednak fotele przy kominku – palenisko było zimne w ten ciepły czerwcowy poranek, a gzyms tak przeładowany najróżniejszymi przedmiotami, że wprost nie byłam w stanie objąć ich wszystkich wzrokiem – a także stół z resztkami śniadania dla dwojga. Zdążyłam dojrzeć tylko tyle, zanim wezwany mężczyzna zerwał się z za stołu i przykuł moją uwagę.

Mówię „mężczyzna”, lecz pierwsze słowo, które przyszło mi do głowy, to „chłopiec”, bo mimo jego wzrostu – dowiedziałam się później, że mierzy ponad sześć stóp i cztery cale – gładka, blada, lekko piegowata

twarz widoczna pod burzą rudozłotych loków wyglądała tak, jakby należała do dziecka o anielskim usposobieniu.

Wbił we mnie przenikliwy wzrok błękitnych oczu.

– Bardzo mi miło, panno Lane. A zatem... uważa się pani za detektywa? – Jego głos z pewnością był męski, niski i o miłym brzmieniu.

– Tego bym nie powiedziała. Ale w ogłoszeniu pisał pan o asystencie, kimś nawykłym do pisania i czytania, odważnym, o miłym usposobieniu i dobrej pamięci, gotowym pracować do późna. Sądzę, że posiadam wszystkie te przymioty, i szukam... interesującej pracy.

Coś między nami zaiskrzyło. Nie była to owa romantyczna namiętność, którą poeci i autorzy sentymentalnych powieści uważają za jedyny wart opisywania związek między mężczyzną a kobietą. Była to raczej sympatia wywołana pokrewieństwem umysłu i ducha.

Pan Jesperson skinął głową i zatarł ręce – maniera starszego mężczyzny.

– Dobrze, bardzo dobrze – mruknął pod nosem, po czym znów przeszył mnie spojrzeniem. – Oczywiście pracowała pani już wcześniej na stanowisku, które wymagało wielkiej wnikliwości, spostrzegawczości i odwagi, a jednak teraz jest pani na łasce losu...

– Jasper, proszę cię – przerwała pani Jesperson. – Okaż tej damie chociaż zwykłą uprzejmość. – Zaprosiła mnie, abym usiadła, kładąc mi lekko dłoń na ramieniu i wskazując krzesło, po czym zaproponowała herbatę.

– Bardzo chętnie, dziękuję. Ale to z pewnością pani krzesło?

– Och, nie, nie będę przeszkadzać – mówiąc, podniosła piękny imbryk z białej porcelany i oceniła zawartość wprawnym, okrężnym ruchem nadgarstka. – Zostawię was, abyście wszystko ustalili, i przyniosę więcej herbaty. Miałyby pani ochotę na chleb z masłem albo coś innego?

Dama zawsze odmawia jedzenia, jeśli nie została zaproszona na posiłek, ale byłam zbyt głodna, żeby przestrzegać manier.

– Byłoby to bardzo miłe z pani strony, dziękuję.

– Ja też poproszę jeszcze kilka grzanek, jeśli można, chętnie z dżemem, mamó.

Podniosła oczy do sufitu i odeszła, wzdychając.

On już na powrót przeniósł uwagę na mnie.

– Była pani na szkockich wyżynach, w wiejskiej posiadłości jednego z naszych utytułowanych rodów. Spodziewała się pani, że zostanie tam przez resztę lata, lecz niefortunne... wydarzenie... położyło nagły kres wizycie i była pani zmuszona wyjechać natychmiast, pierwszym pociągiem do Londynu, gdzie ma pani... siostrę? Nie, myślę, że żadnych bliższych krewnych niż ciotka lub kuzynostwo. Właśnie pani tam szła, kiedy, przystając na chwilę dla odpoczynku, dostrzegła pani moje ogłoszenie. – Urwał, przyglądając mi się z wyczekiwaniem.

Pokręciłam głową z przyganą.

Wyglądał na zawiedzionego.

– Pomyliłem się?

– Tylko co do kilku szczegółów, ale każdy mógłby zgadnąć, że przyjechałam ze Szkocji, biorąc pod uwagę porę dnia i to, że nie jadłam śniadania, a na moim kuferku nie ma zagranicznych nalepek.

– A nagły wyjazd?

– Byłam pieszo i sama, ponieważ nie miałam czasu zawiadomić listownie przyjaciół... nie ma żadnej ciotki ani kuzynów... o moim przyjeździe.

– Daję pani tę pracę – powiedział nagle. – Proszę się nie troszczyć o referencje, pani sama wystawia sobie najlepszą opinię. Posada jest pani, jeśli wciąż chce pani ją dostać.

– Chciałabym najpierw dowiedzieć się o niej czegoś więcej – odparłam, myśląc, że powinnam zachować pozory ostrożności. – Na czym polegałyby moje obowiązki?

– „Obowiązki” wydają mi się niewłaściwym określeniem. Pełniłaby pani rolę współpracownika pomagającego mi w rozwiązywaniu kryminalnych zagadek oraz w dedukcji, a także, no cóż, zawsze gdy będzie to konieczne. Czytała pani opowiadania o Sherlocku Holmesie?

– Oczywiście. Powinnam zwrócić uwagę na fakt, że w odróżnieniu od doktora Watsona nie przydam się podczas bójki. Znam podstawy pielęgniarstwa, więc mogłabym opatrywać panu rany, ale proszę nie oczekiwać

ode mnie, że rozpoznam objawy dengi albo... albo...

Zaśmiał się.

– O nic takiego nie proszę. Moja matka jest pielęgniarką. Jestem świetnym strzelcem, a także opanowałem pewne orientalne umiejętności, które dają mi przewagę w walce wręcz. Nie mogę obiecać, że uda mi się całkowicie uchronić panią przed niebezpieczeństwem, ale jeśli niebezpieczeństwo pani nie przeraża... – Dostrzegł odpowiedź na mojej twarzy i uśmiechnął się szeroko. – Świetnie. A zatem zgoda?

Jakże pragnęłam odwzajemnić ten uśmiech i uściskać dłoń, którą do mnie wyciągnął! Ale byłam bezdomna i miałam ledwie dwanaście szylingów w portmonetce, więc potrzebowałam czegoś więcej.

– O co chodzi?

– Czuję się niezręcznie – powiedziałam. – Również w odróżnieniu od doktora Watsona nie posiadam gabinetu lekarskiego, który zapewniałby mi dochód...

– Och, pieniądze! – wykrzyknął tym beztroskim tonem zarezerwowanym tylko dla ludzi, którzy nigdy nie musieli się o nie martwić. – Ależ oczywiście, chcę, żeby miała pani z tego coś więcej niż tylko dreszczyk emocji. Człowiek musi z czegoś żyć! A kobieta też człowiek. Jak idzie pani pisanie? Nie chodzi o nic wymyślnego, tylko spisywanie wydarzeń w odpowiedniej kolejności w przystępny sposób. Próbowала pani kiedyś sił w tworzeniu takich relacji?

– Napisałam kilka artykułów. Ostatnio były to

sprawozdania dla Towarzystwa Parapsychicznego, które opublikowano, choć nie pod moim nazwiskiem.

Kiedy wspomniałam o Towarzystwie, wytrzeszczył oczy i zakrzyknął z ekscytacją:

– Posiadłość C.! Na Jowisza, czy to tam pani była? Czy jest pani „Panną X”?

Na moim obliczu musiał pojawić się wyraz bólu, ponieważ mój rozmówca szybko przeprosił.

Nie miałam ochoty wyjaśniać, jak poruszyła mnie wzmianka o tym nazwisku – będącym jednym z jej niepoważnych pseudonimów – w chwili, kiedy czułam się od niej tak daleka, tak bezpieczna i rozluźniona, więc powiedziałam tylko, że zaskoczyła mnie jego szybkość, poprawna dedukcja.

– Pseudonim „Panna X” faktycznie przypisano moim sprawozdaniom, lecz w rzeczywistości byłam jej... asystentką, aż do wczoraj, kiedy to różnica zdań co do pewnych wydarzeń w posiadłości C. doprowadziła do mojego nagłego wyjazdu. Ale skąd pan o tym wie? Śledztwo się nie zakończyło, raportu jeszcze nie opublikowano.

Nie spuszczał wzroku z mojej twarzy – nie chcę wiedzieć, jakie sekrety z niej wyczytał! – Jesperson machnął dłonią o długich palcach w stronę biurka załanego papierami i gazetami.

– Choć sam nie jestem członkiem Towarzystwa, bardzo się zainteresowałem ich odkryciami. Czytałem korespondencję. Wiedziałem, że na lato planowane jest

dochodzenie w owej posiadłości. Jestem do głębi racjonalnym, nowoczesnym człowiekiem. Jeśli oddaję cześć czemukolwiek, na pewno jest to bóg, którego zwiemy Rozumem. Jestem materialistą, który odrzuca wszelkie przesady, ale podczas swoich studiów natknąłem się na wiele spraw niemożliwych do wyjaśnienia za pomocą nauki. Nie gardzę tymi, którzy uczęszczają na seanse spirytystyczne lub polują na duchy. Sądzę, że głupotą byłoby ignorowanie rzeczy niezrozumiałych i uznawanie ich za niegodne zbadania. Każde zagadnienie należy kwestionować i zgłębiać. Nie liczy się wiara, lecz fakty.

– Zgadzam się – powiedziała cicho.

Nachylił się w moją stronę nad stołem i zmierzył mnie otwartym, zaciekawionym spojrzeniem.

– Czy widziała pani kiedyś ducha, panno Lane?

– Nie.

Dostrzegł jednak lekkie wahanie.

– Nie jest pani pewna? Miała pani doświadczenia, których nie da się racjonalnie wyjaśnić?

– Wielu miało takie doświadczenia.

– Zaiste – powiedział przeciągle i odchylił się do tyłu ze wzrokiem utkwionym w dali. Trwało to jednak tylko chwilę. – Proszę mi powiedzieć: czy posiada pani którąś z tych dziwnych umiejętności bądź zmysłów, które ogólnie nazywa się parapsychicznymi?

Choć pytano mnie o to wiele razy, wciąż niełatwo mi było odpowiedzieć.

– Bywa, że zdaję sobie sprawę z aury, na którą pozostali wydają się nieczuli, niekiedy doznaję pewnych odczuć... czasami wiem o czymś, nie mogąc wyjaśnić skąd. Niczego jednak nie twierdzę na pewno: nie odrzucam jako wyjaśnienia kombinacji bujnej wyobraźni oraz sporej spostrzegawczości i dobrej pamięci. Niemal każde tak zwane medium, które spotkałam w życiu, mogłoby osiągnąć takie same rezultaty dzięki uważnej obserwacji, słuchaniu i zapamiętywaniu, bez pomocy „duchów przewodnich”.

Skinął głową w zamyśleniu.

– Sam dokonałem kilku telepatycznych sztuczek. Gdybym nie czuł się zobowiązany wyjaśnić, jak mi się to udało, zapewne mógłbym na tym zarabiać pieniądze. Jak zatem wyjaśni pani obecność zjaw? Czyż nie są one duchami zmarłych?

– Nie wiem. Zgadza się z koncepcją, że duchy, które ludzie widzą lub czują, są czymś w rodzaju powidoków, podobnych do fotografii lub zarejestrowanego wspomnienia. Wydaje się, że silne uczucia zostawiają po sobie ślad, w niektórych miejscach wyraźniejszy niż w innych. Przedmioty również mają swoje wspomnienia, jeśli mogę tak to ująć. Zdarza się, że nieożywiony przedmiot emanuje fluidami na przykład złej woli albo rozpaczy i można odnieść wrażenie, że tworzy swego rodzaju myślowy obraz osoby, do której niegdyś należał.

Patrzył na mnie z fascynacją, co było dla mnie

nowym doświadczeniem. Nawet starsi dżentelmeni z Towarzystwa nie uważali mnie za tak interesującą, ale też oczywiście najczęściej spotykałam ich, będąc w towarzystwie „Panny X”, która nawykła do skupiania na sobie całej uwagi.

Postanowiłam, że czas wrócić do meritum, i przypomniałam mu o jego wcześniejszym pytaniu.

– Pytał pan, czy piszę. Zakładam, że myślał pan o tym, iż mogłabym opisywać pana śledztwa celem publikacji?

– Te bardziej interesujące z pewnością. Publikowanie miałyby dwa pożyteczne rezultaty. Z jednej strony zwróciłoby na mnie uwagę publiki i przyciągnęłyby nowych klientów. Z drugiej – zapewniłoby pani dochód.

To mnie przygnębiło. Miałam przyjaciół, którzy żyli z pióra, więc byłam świadoma, ile czasu i pracy wymaga zarobienie w ten sposób dość pieniędzy, aby przetrwać. Nawet gdyby pan Jesperson co tydzień rozwiązywał ekscytującą sprawę (co wydawało się mało prawdopodobne), a mnie udawałoby się sprzedać każde opowiadanie... Wciąż próbowałam obliczyć, ile musiałabym napisać – zakładając zapłatę trzech pensów za wers – żeby było mnie stać na pokój i wyżywienie w jakimś obskurnym pensjonacie, kiedy powiedział coś, co poprawiło mi humor:

– Oczywiście zdaję sobie sprawę, że opis nie każdej sprawy będzie można opublikować. Wspominam o tym tylko po to, żeby nie myślała pani, iż będzie musiała żyć

wyłącznie ze swojego procentu.

– Jakiego procentu?

– To będzie zależało od pani udziału w rozwiązaniu sprawy. Będzie się on wahał od dziesięciu do pięćdziesięciu procent sumy, którą klient mi zapłaci.

Kiedy mówił, do pokoju weszła pani Jesperson. Usłyszałam, jak odstawiwszy na stół tacę, którą niosła, nabiera gwałtownie powietrza.

– Jasper? – rzuciła grobowym tonem.

– Nie mogę prosić panny Lane, aby pracowała za darmo, mamó.

– Nie stać cię na opłacanie asystenta.

Mimo zakłopotania interweniowałam:

– Proszę, nie spierajmy się o pieniądze. Muszę przyznać, że wciąż nie jest jasne, za co pan Jesperson miałby mi płacić... poza wsparciem intelektualnym i towarzysztwem, które każdy przyjaciel ofiarowałby za darmo. Chciałabym być takim przyjacielem.

Teraz oboje słuchali mnie uważnie.

– Zgodnie z pana dedukcją, panie Jesperson, opuściłam moje poprzednie stanowisko dość raptownie, nie otrzymawszy zapłaty za swoją pracę. Przyjechałam do Londynu, szukając nie fortuny, ale jedynie uczciwej pracy, z której mogłabym się utrzymać.

Urwałam, aby nabrać tchu, z niejaką nadzieją, że któreś z nich coś powie, i obrzuciłam pokój spojrzeniem, aby przypomnieć sobie, że choć pani Jesperson uważa, iż nie stać ich na opłacanie asystenta, mają jednak wszystko

– piękną porcelaną, srebra, oprawne w skórę książki i solidne meble, cały dom pełen rzeczy – z czym nie mogła się równać zawartość mojej podniszczonej torby.

– Gdybym mogła sobie na to pozwolić, zaproponowałabym bezpłatny okres próbny, na przykład miesiąc, aby mógł pan ocenić wartość mojego udziału w pana pracy. Niestety nie stać mnie nawet na wynajęcie pokoju...

– Ależ zamieszka pani tutaj! – zakrzyknęła pani Jesperson. Spojrzała na syna ze zmarszczonymi brwiami. – Nie wyjaśniłeś tego?

Pan Jesperson właśnie spokojnie nalewał herbatę do filiżanek.

– Myślałem, że może wydedukowała to pani z treści ogłoszenia. Z tego zdania o pracy do późna. Oczywiście mój asystent musi być na miejscu, gotowy na każdą ewentualność. Byłoby kłopotliwe, gdybym musiał pisać do pani list za każdym razem, kiedy potrzebna mi będzie pani opinia, albo wysyłać posłańca na drugi koniec Londynu i czekać na pani odpowiedź.

– Na górze czeka umeblowany pokój – powiedziała pani Jesperson, podając mi talerz cienko pokrojonego i grubo posmarowanego masłem chleba, a potem szklaną miseczkę pełną dżemu malinowego. Zobaczyłam, że na tacy jest też talerz grzanek z masłem oraz słoik miodu. – Do tego trzy posiłki dziennie.

*

Pokój na górze był bardzo ładny, na tyle duży, aby mógł mi służyć zarówno za sypialnię, jak i salon, a także znacznie przyjemniej urządzone niż wszystkie kwatery, za które zdarzyło mi się płacić w Londynie. Na ścianach nie wisiały reprodukcje Landseera ani nijakie sztychy, lecz ładny, akwarelowy krajobraz oraz stało tam kilka dziwnych, interesujących rzeźb z nieznanego mi kultury. Meble były proste, ale zdobiły je poduszki i kolorowe, wzorzyste materiały; od razu poczułam się jak u siebie, ukojona i uszczęśliwiona w tym otoczeniu, tak samo jak w wielkim, zabałaganionym pokoju na dole.

Przed udaniem się na spoczynek spędziłam nieco czasu, rozpakowując się i rozkładając swoje nieliczne rzeczy, a także pisząc listy, w których zawiadamiałam przyjaciół o moim nowym adresie. Nie spałam zbyt długo w pociągu, ale teraz, znalazłszy zatrudnienie – nawet jeśli pod względem finansowym było prawie tak samo problematyczne jak poprzednie – byłam dość ukontentowana, aby zapaść w głęboki, odświeżający sen.

Na kolację zjedliśmy pyszne curry warzywne, przygotowane przez samą panią Jesperson. Nie stać ich było na wynajęcie kucharki, choć mieli dochodzącą pomoc domową, która zajmowała się cięższymi pracami. Tego wieczoru, kiedy tak siedzieliśmy razem, dowiedziałam się nieco na temat ich przeszłości, niezbyt chętnie zdradzając cokolwiek z własnej.

Jasper Jesperson miał dwadzieścia jeden lat i był jedynakiem. Jako zaledwie piętnastolatek stracił ojca, po

czym pojechał wraz z matką do Indii, gdzie mieszkał jej brat. Spędzili tam jednak tylko rok, po czym udali się do Chin, a jeszcze później na wyspy Polinezji. Ponad rok temu sprowadziła ich z powrotem do Londynu intrygująca propozycja, która jednak nie spełniła ich oczekiwań (powiedział, że kiedy indziej zaznajomi mnie z całą tą historią). Potem uznał, że robi najlepszy użytek ze swoich umiejętności i zainteresowań, jeśli rozpocznie pracę prywatnego detektywa.

Jak na razie udało mu się zakończyć trzy zlecenia. Z dwoma poradził sobie bez większych trudności i nie stanowiły one materiału na interesujące opowieści, trzecie było jednak całkiem odmienne. Opiszę je przy innej okazji. To po tej sprawie, która była tak wielkim sprawdzianem jego umiejętności, postanowił znaleźć pomocnika.

Praca nad jego czwartą sprawą – a moją pierwszą – miała się rozpocząć następnego ranka wraz z wizytą nowego klienta.

– Proszę przeczytać ten list, a dowie się pani wszystkiego, co wiem ja – powiedział Jespersion, podając mi nad biurkiem złożoną kartkę.

W nagłówku listu widniała nazwa pewnego klubu dla dżentelmenów w Mayfair, a podpisał go William Randall. Choć pewne niedbałe pociągnięcia piórem i kleksy mogłyby sugerować, że autor pisał pod wpływem silnych emocji, może spowodowane to było też tym, że nawykł do dyktowania swojej korespondencji.

Drogi panie Jesperson,

pana nazwisko podał mi przyjaciel z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zasugerował, że jeśli ktokolwiek będzie w stanie rozwiązać zagadkę morderstwa, która wciąż wprawia w zakłopotanie policję, tą osobą jest pan.

Pewna bliska mi osoba uważa, że grozi mi śmierć z ręki tego samego, nieznanego zabójcy, z którego poprzednią ofiarą była swego czasu zaręczona.

Wyjaśnię wszystko, kiedy się spotkamy. Jeśli można, odwiedzę pana o dziesiątej rano w środę. Jeśli ta pora panu nie odpowiada, proszę zaproponować bardziej dogodną godzinę zwrotną pocztą.

Z poważaniem itd.

Złożyłam list i oddałam Jespersonowi, który mierzył mnie wyczekującym spojrzeniem jasnych oczu.

– Jakież pytania? – zachęcił.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych?

– To nie ma znaczenia. To tylko wuj próbuje zapewnić mi zatrudnienie. Nie chce pani wiedzieć, co wydedukowałem na temat autora listu? Jaka to nierozwiązana zbrodnia tak go trapi? Sądzę, że wiem.

– Myślę, że wolałabym poczekać i najpierw usłyszeć,

co ma do powiedzenia pan Randall. Jeśli ma pan rację, to świetnie, ale jeśli nie, tylko mnie pan zmyli.

Zrobił nieco rozczarowaną minę, co przywiodło mi na myśl małego chłopca, któremu nie pozwolono popisać się bystrością.

– Jeśli pana przypuszczenie okaże się prawidłowe, powie mi pan po wszystkim – dodałam.

– Ale może mi pani nie uwierzyć. Och, no cóż, nieważne.

Usłyszałam, jak jego matka mamrocze pod nosem: „Magiczne sztuczki”. Jeśli to jednak usłyszał, nie dał po sobie poznać i pozwolił mi zmienić temat. Reszta wieczoru upłynęła w miłej atmosferze.

*

Pan William Randall przybył dokładnie w chwili, kiedy zegar na świeżo odkurzonej kominka wybijał dziesiątą. Był eleganckim młodym mężczyzną ze zwisającym wąsem, a jego twarz o regularnych rysach była nie tylko przystojna, ale wręcz fascynująca dzięki wielkim, ciemnym oczom, które ktoś o bardziej romantycznym usposobieniu nazwałby melancholijnymi.

Podziękował za coś do picia, usiadł i zaczął swoją opowieść, poprzedzając ją krótkim, pełnym wahania dementi, że „to zapewne stek bzdur”, ale jego narzeczona się martwi.

– Dama, którą mam zamiar poślubić, to panna Flora Bellamy z Harrow.

Jej nazwisko nic mi nie mówiło, ale oboje zobaczyliśmy, że Jesperson prostuje plecy.

– Tak, spodziewałem się, że skojarzy pan fakty. Była zaręczona z panem Archibaldem Adcocksem, tym znanym finansistą, w chwili jego straszliwej śmierci.

– A zatem ona sądzi, że jego śmierć wiązała się z ich narzeczeństwem? I że pan też jest teraz w niebezpieczeństwie?

– Tak.

– Interesujące! Z jakich powodów?

Randall westchnął i uniósł dłonie.

– „Serce ma swoje racje, których rozum nie ma”. Kobiety, wie pan, bardziej myślą sercem niż głową. Wszystko to za bardzo wskazuje raczej na zbieg okoliczności, aby mnie przekonać, a jednak... ona jest tego tak pewna.

Słuchanie ich było frustrujące i byłam zmuszona im przerwać:

– Przepraszam, ale czy mogą mnie panowie zaznajomić z faktami dotyczącymi śmierci pana Adcocksa?

Jesperson odwrócił się do mnie z triumfalnym uśmiechem, który wyraźnie mówił: „Mogłem powiedzieć to pani wczoraj wieczorem!”. Głośno zaś stwierdził jedynie:

– O wszystkim można było przeczytać w gazetach rok temu.

– Piętnaście miesięcy temu – poprawił Randall. –

Zaatakowano go po drodze na dworzec, niedługo po tym, jak pożegnał się z Florą na progu jej domu. Chciała, żeby pojechał dorożką, ponieważ niewiele wcześniej nadwerężył sobie stopę, ale on uparł się, że bez trudu przejdzie tę niewielką odległość z pomocą laski. – Zawahał się, a potem dodał: – Pożyczył laskę ze stojaka przy drzwiach.

– Uraz musiał być bardzo świeży – zasugerowałam, a Randall kiwnął głową.

– Stało się to tuż po kolacji, tego samego wieczoru. Potknął się w holu i uderzył w stopę. Choć było to dość bolesne, nalegał, aby nie robić zbędnego zamieszania.

– Nie zwykł robić szumu dookoła siebie.

– Nie był słabeuszem. Z pewnością potrafił się o siebie zatroszczyć. Amatorsko zajmował się pięściarstwem.

– A jednak ktoś go zaatakował, bez prowokacji z jego strony.

– Tak musimy przypuszczać. Kiedy go znaleziono, leżał bezwładnie na ścieżce, a głowę miał zakrwawioną od straszliwego ciosu. Ledwie żył, nie był w stanie mówić, tej samej nocy zmarł na skutek obrażeń. Nie zdołał opowiedzieć, co mu się przytrafiło. Możliwe też, że nie wiedział, bo tchórzliwy atak nastąpił od tyłu.

– Nikogo w tej sprawie nie aresztowano – dodał Jesperson. – Nie było podejrzanych.

Zmarszczyłam brwi.

– Czy komukolwiek udało się zasugerować jakiś

motyw?

– Najczęściej zakładano, że była to niezaplanowana, powodowana impulsem zbrodnia, ponieważ narzędziem zbrodni była jego laska.

– Nie jego – sprzeciwił się pan Randall. – Pożyczona z domu Flory.

– A jednak. Możliwe, że zaatakowała go banda zbirów, którzy uznali go za łatwy cel, ponieważ utykał. Choć jeśli mieli zamiar go obrabować, nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nie zabrali wypchanego banknotami portfela, złotego zegarka ani niczego innego. Znaleziono go wkrótce po tym, jak upadł, na otwartym terenie, blisko latarni ulicznej. W okolicy nie było żadnej kryjówki. Jeden świadek donosił, że słyszał krzyk, a mimo to nie widziano nikogo, kto by uciekał czy zachowywał się w podejrzany sposób.

– Czy pan Adcocks miał wrogów? – zapytałam.

– Wydaje się, że był lubiany przez wszystkich, którzy go znali, w tym partnerów w interesach. Jego śmierć nie przyniosła nikomu korzyści.

– Kto odziedziczył jego majątek?

– Matka.

Zanim powiedziałam coś jeszcze, Jesperson znów włączył się do rozmowy:

– Panie Randall, zasugerował pan, że według panny Bellamy śmierć jej narzeczonego nastąpiła wskutek ich zaręczyn albo przynajmniej się z nimi wiązała.

– Nikt inny tak nie sądził.

– Co na to jej rodzina?

Westchnął i pokręcił głową.

– Panna Bellamy nie ma rodziny. Od kiedy w dzieciństwie została sierotą, mieszka w domu swojego opiekuna, człowieka o nazwisku Rupert Harcourt.

Choć spokojny ton jego głosu się nie zmienił, kiedy wypowiadał to nazwisko, zadrżałam i wiedziałam już, że oto dotarliśmy do sedna sprawy.

– Jej rodzice wyznaczyli go na opiekuna? – zapytał Jesperson.

Pan Randall znów pokręcił głową.

– Nie znali go. Nie miał żadnych związków z tą rodziną. Kiedy pan Bellamy zmarł, małeńka Flora została sama na świecie. Czytając o jej sytuacji w gazecie, ów obcy człowiek poczuł tak wielki przyływ serdecznego współczucia, że zaoferował jej dom.

– Uważa pan, że to dziwne – skomentowałam, wnioskując z jego tonu.

Mimo leniwego, melancholijnego wyrazu jego oczy i tak potrafiły rzucić przeszywające spojrzenie.

– Z pewnością to niezwykle, że nieżonaty, bezdzietny mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat dokłada wszelkich starań, aby adoptować osierocone dziecko. Co więcej, nigdy tak naprawdę nie adoptował Flory, tylko poczynił jakieś prawne ustalenia, które mają obowiązywać do chwili jej ślubu lub dwudziestych pierwszych urodzin, które nastąpią za osiem miesięcy.

– Czy Flora ma pieniądze?

– Niewiele. Trzeba oddać Harcourtowi, że nigdy nie tknął jej niewielkiego spadku, a jednak niczego jej nie brakowało. Za zabawki, słodczyce, ubrania, posiłki, książki i lekcje muzyki płacił z własnej kieszeni. Pieniądze jej ojca zostawiono, aby przynosiły procenty. Sądzę, że może to być suma około tysiąca funtów.

Mnie wydawała się ona duża, ponieważ nawykłam do gospodarowania niecałymi trzydziestoma funtami rocznie, ale nie była to fortuna, która mogłaby natchnąć kogoś do uknućcia podłego spisku mającego na celu podwójne morderstwo.

– Czy dokonano zamachu na pana życie? – zapytał nagle Jespersion, a ja zobaczyłam, że pan Randall się krzywi i unosi dłoń do głowy. Potem odpowiedział:

– Och, bynajmniej nie... Nie, absolutnie nie.

Jespersion zareagował irytacją na ten unik.

– Ależ, drogi panie! Wydarzyło się coś, co przestraszyło pańską narzeczoną, cokolwiek pan sam o tym myśli. Proszę tego nie ukrywać.

Randall z westchnieniem odgarnął pasmo ciemnych włosów, które zakrywało nieco jego czoło, i pochylił głowę, aby ukazać otoczone siniakami rozcięcie, które ewidentnie powstało niedawno.

Wyjaśnił, że kilka dni wcześniej jadł kolację wraz z Florą i jej opiekunem. Po posiłku mężczyźni przenieśli się do gabinetu Harcourta, wielkiego pokoju od frontu, gdzie nad cygarami i kieliszkami brandy Randall poprosił o rękę panny Bellamy.

– Była to tak naprawdę formalność, bo ona już się zgodziła, ale ponieważ on wciąż jest jej prawnym opiekunem, wydało mi się to właściwe.

– Jak brzmiała jego odpowiedź?

– Dość szorstko odparł, że młode damy zawsze same podejmują decyzje, ale nie miał żadnych zastrzeżeń. Potem zapytał, czy wiem, że była już kiedyś zaręczona. Odpowiedziałem, że tak, a on zaśmiał się nieprzyjemnie i spytał, czy to mnie nie zmusza do zastanowienia. Nie wiem, co chciał przez to powiedzieć, ale odniosłem wrażenie, że miało to być obraźliwe. Próbując jednak wziąć to za dobrą monetę, powiedziałem, że kocham Floreę i że ponieważ ona zechciała już przyjąć moje oświadczenia, jedynie śmierć mogłaby nas rozdzielić. To w tej dramatycznej chwili z półki wysoko nad moją głową spadła książka. – Skrzywił się. – Rana była mniej poważna, niż mogłoby się wydawać... obrażenia głowy mocno krwawią... ale dość bolesna. Nigdy wcześniej nie pomyślałbym o książce jako o śmiertelnej broni.

– Gdzie znajdował się Harcourt, kiedy to się wydarzyło?

– Stał twarzą do mnie, nieco dalej od półek. Zanim państwo zapytają: widziałem go wyraźnie i choć możliwe, że jakoś to zaaranżował, nie dostrzegłem żadnego gestu, którym mógłby spowodować upadek książki. W każdym razie sprawiał wrażenie zaszokowanego i niemal tak samo zatroskanego o los książki jak o moją głowę. Powinienem zapewne powiedzieć: bardziej obchodziła go książka.

Gdyby chciał mnie skrzywdzić, nie sądzę, aby ryzykował z tego powodu uszkodzenie swojej kolekcji.

– Jest kolekcjonerem książek?

– Czegoś znacznie mniej niewinnego – odparł Randall. – To właśnie z powodu jego kolekcji Flora rzadko wchodzi do tamtego pokoju. Uważa jego makabryczną atmosferę za jeszcze bardziej nieprzyjemną niż woń naszych cygar.

– R.M. Harcourt z Harrow – powiedział Jesperson.

– Słyszał pan o nim?

– Dopiero teraz skojarzyłem fakty. Pisał o swojej kolekcji, a przynajmniej o pewnych nowych nabytkach, w piśmie, które prenumeruję.

Odwróciwszy się do mnie, Jesperson wyjaśnił, że pan Harcourt bardzo interesuje się morderstwami i w ciągu lat udało mu się zebrać sporą ilość broni – noży, pistoletów, a także najróżniejszych ostrych lub ciężkich narzędzi, za których pomocą odebrano komuś życie: szpilkę do kapelusza, kawałek cegły, japoński miecz, najzwyczajniejszy żelazny pogrzebacz. Ponadto zebrał całą bibliotekę książek traktujących o zbrodniach, a także zbiór przedmiotów, które można by nazwać pamiątkami po morderstwach, drobiazgów w jakiś sposób związanych z każdym sławnym – lub niesławnym – przestępstwem: włosów morderców lub ich ofiar, zakrwawionych ubrań, fotografii przedstawiających miejsca zbrodni, obciążających listów. Posiadał pierścienie, flaszki, fiołki i butelki z truciznami, a nawet kubek, w którym pani

Maybrick zmieszała sproszkowany arszenik, którym otruła swojego męża.

– Jest bardzo dumny ze swojej kolekcji – dodał Randall. – Ludzie czasami odwiedzają dom, aby ją zobaczyć lub przedstawić mu nowe przedmioty z nadzieją, że je kupi. Zawsze zachowywałem się uprzejmie, ale szczerze mówiąc, nigdy nie pojmę, na czym polega atrakcyjność tak przerażających rzeczy. Po moim wypadku Flora wpadła w histerię i kazała mi obiecać, że nigdy więcej nie wejdę do tego pokoju. Potem postanowiła, że to nie wystarczy i że nie powinienem już więcej przychodzić do jej domu. Zasugerowała też, abyśmy nie rozgłaszali naszych zaręczyn i poczekali ze ślubem do jej dwudziestych pierwszych urodzin.

– Podejrzewa swojego opiekuna? – zapytał cicho Jesperson.

Pan Randall się zawahał, a potem pokręcił głową.

– Mówi, że nie. Ale czuje, że jestem w niebezpieczeństwie z powodu naszej więzi, a jeśli w tej kwestii ma rację, o kogóż innego mogłoby chodzić?

– Proszę mi wybaczyć, ale... czy nie odrzuciła czyichś oświadczeń?

– Mówiła mi, że otrzymała w życiu tylko dwie propozycje, i nigdy nie wspomniała o nikim, nie słyszałem o żadnym innym mężczyźnie, który mógłby żywić do niej tak silne uczucia – odparł. – W każdym razie jednak nie ma racji. Śmierć Adcocksa wytrąciła ją z równowagi, to całkiem naturalne. Wszędzie widzi

zagrożenie, czyhających zabójców, złowrogą moc kryjącą się za każdym wypadkiem.

Urwał i głęboko zaczerpnął powietrza.

– Chwilę po wypadku w gabinecie potknąłem się o coś w holu. Byłbym upadł i uderzył się w głowę po raz drugi, gdyby towarzysząca mi Flora mnie nie podtrzymała. O ten sam przedmiot stłukł sobie stopę Adcocks. Ten zbieg okoliczności przelał czarę goryczy. Ona nie ma zbyt silnych nerwów. Jak mogłoby być inaczej? Tyle wycierpiała, straciła wszystkich, których kiedykolwiek kochała... To właśnie wtedy zaczęła nalegać, żebym natychmiast wyszedł i nie wracał. Wyobrażała sobie nieistniejące niebezpieczeństwa.

– A jednak niezależnie od tego, czy coś grozi panu, ktoś zabił Adcocksa – powiedział Jespersion, kładąc nacisk na słowo „panu”.

– Otóż to. Mam nadzieję, że jeśli uda się państwu rozwiązać tę zagadkę, rozwieje to jej obawy.

*

Po wyjściu pana Randalla Jespersion skreślił naprędce list do pana Harcourta.

– Myślę, że będzie najlepiej, jeśli Harcourt nie będzie miał powodu łączyć nas ze swoją podopieczną lub jej narzeczoną – zwrócił się do mnie. – Dlatego też przedstawię się mu jako kolejny amator morderstw. Możliwe, że kiedy będzie mi pokazywał swoją kolekcję, zdradzi się, jeśli wie coś na temat śmierci Adcocksa.

– Nie będzie się zastanawiał, skąd pan wie o jego zbiorach?

– Ależ nie. W pewnych kręgach ta sprawa jest dość znana – odpowiadając, ani na moment nie przestał pisać. Wyciągnął drugą rękę i przesunął po grzbietach ułożonych w stertę czasopism, jakby był jednym z ociemniałych ludzi, którzy czytają opuszkami palców.

Wyciągnął jeden z numerów i przez moment przerzucał kartki, aż znalazł tę, którą chciał mi pokazać.

Była to strona z listami do redakcji opatrzona nagłówkiem: „Kolejne rozwiązania zagadki morderstw Rozpruwacza”. Jesperson wskazał palcem list, pod którym widniał podpis: „R.M. Harcourt, Pod Sosnami, Harrow”. Inny, kończący się w następnej kolumnie, opatrzony był nazwiskiem J. Jespersona z Gower Street.

– A zatem on może wiedzieć, kim pan jest?

– Jak widać po dacie, to numer sprzed roku. Byłem wtedy zaledwie początkującym amatorem zbrodni i jej wykrywania, szerzej nieznanym. – Skończywszy list, zakleił kopertę i wyciągnął do mnie. – Zanieś to na pocztę... – Urwał i zrobił zawstydzoną minę. – Przepraszam.

– Za co? Jestem pana asystentką.

– Zachowałem się zbyt apodyktycznie. Powinienem był...

– Jeśli mamy razem pracować – przerwałam mu – musi pan przestać myśleć o mnie jak o damie, która śmiertelnie się obrazi, jeśli zapomni pan użyć słowa

„proszę”.

– Nie o to chodzi.

Czekałam, co powie dalej.

– Zamieszczając ogłoszenie, chciałem znaleźć asystenta, a nie służącego. Mam nadzieję, że będziemy mogli pracować wspólnie jak równi sobie.

– Zrozumiano – powiedziałam, nie okazując, jaką sprawiło mi to przyjemność. – Rozumiem też, że kiedy liczy się czas, można sobie darować maniery. Jedyne powód, dla którego wciąż tu stoję, a nie jestem już w połowie drogi na najbliższą pocztę, jest taki, że nie wiem, gdzie się ona znajduje.

*

Pan Harcourt odesłał zaproszenie zwrotną pocztą, więc następnego dnia znaleźliśmy się w pociągu, który przetaczał się z łoskotem przez północno-zachodnie dzielnice Londynu. Niegdyś ta trasa była mi dobrze znana. Choć nie byłam w Harrow od ponad dziesięciu lat, świetnie znałam te okolice z dzieciństwa: mój ojciec pracował tam jako nauczyciel filologii klasycznej aż do swojej przedwczesnej śmierci.

My jednak mieszkaliśmy w wiosce na wzgórzu, podczas gdy dom pana Harcourta znajdował się niemal milę dalej, w jednej z nowych osad, które powstały po przedłużeniu Metropolitan Line.

Jesperson nie wspomniał w liście o żadnej partnerce i postanowiliśmy, że przypadnie mi rola niewygodnej

krewniej. Naturalnie kolekcja miała nie wzbudzać mojego zainteresowania – co więcej, gdybym wiedziała, z czego się składa, byłabym zszokowana – abym mogła przeprowadzić własne śledztwo podczas rozmowy mężczyzn na osobności. Randall przekazał panie Bellamy, aby się mnie spodziewała.

Dom Pod Sosnami był budynkiem w stylu Tudorów, osłoniętym dwoma drzewami, które nadały mu nazwę, a także nieco tajemniczą i ponurą atmosferą. Bładła ona jednak w porównaniu z wnętrzem domu. Kiedy przekroczyłam próg, ogarnęła mnie panika. Jestem wyczulona na aury różnych miejsc – bez względu na to, jak bardzo próbuję to zrzucić na karb swojej wyobraźni – i w tym holu poczułam się tak, jakbym była w nawiedzonym domu. Trudno mi to jednak wytłumaczyć komuś, kto nigdy czegoś podobnego nie doświadczył. Gdybym opisywała zapach, mogłabym go porównać do woni garbarni, rzeźni lub ścieku. Tylko ktoś pozbawiony węchu byłby w stanie tam mieszkać.

Walcząc z paniką, rozejrzałam się dookoła. Wielka, piękna, chińska waza z żółto-zielonej porcelany pełniła funkcję stojaka na parasole i laski. Wśród zakrzywionych drewnianych rączek widocznych nad jej skrajem rzucała się w oczy laska zwieńczona srebrnym okuciem: przyciągała uwagę nie tylko charakterystycznym wyglądem, ale też złowrogą aurą zagrożenia, przywodzącą na myśl cichy syk jadowitego węża.

Oczywiście od razu pojęłam, na co patrzę, i ogarnęła

mnie zgroza. Jak mogli ją zachować? Dlaczego jej nie połamano, nie zniszczono, nie spalono drewna na popiół i nie stopiono srebrnej gałki, aby zrobić z niej coś nowego?

Z wysiłkiem odrywając od laski przerażone spojrzenie, dostrzegłam okropnego kamiennego gargulca, który przycupnął niczym demon u stóp schodów. Wzdrygnęłam się na widok jego wrogiego spojrzenia, po czym mój partner dotknął lekko mojego ramienia, przywołując mnie do rzeczywistości, i przedstawił mi właściciela tych przedmiotów.

Pan Harcourt był korpulentnym, łysiejącym mężczyzną z bujnym, zadbanym wąsem oraz – przynajmniej w moim odczuciu – zimnym, rybim spojrzeniem. Nieco więcej ciepła, a także ślad uśmiechu pojawił się w powitaniu, które skierował pod adresem Jespersona. Było jasne, że nie jestem mile widziana.

Pomoc pojawiła się wkrótce w postaci młodej damy schodzącej po schodach. Była smukła i ciemnowłosa. Twarz miała raczej przystojną niż ładną, a ubrana była jak ekspedientka lub urzędniczka, w wykrochmaloną, białą bluzkę i prostą, ciemną spódnicę. Nawet uśmiechając się serdecznie na powitanie, wyglądała poważnie, a w jej oczach malowała się troska.

– Floro! Wspaniałe wyczucie czasu, jak zawsze. Choć mam nadzieję, że gdybyś wiedziała, że spodziewamy się gości, włożyłabyś jedną ze swoich ładnych sukienek – powiedział Harcourt. Dokonał pospiesznej prezentacji, po czym szybko wycofał się wraz z Jespersorem za drzwi z

litej dębiny, zostawiając nas same w złowrogiej atmosferze holu.

– Może miałyby pani ochotę obejrzeć ogród – powiedziała panna Bellamy, dotykając mojego łokcia, aby poprowadzić mnie korytarzem na tyły domu.

Kiedy opuściłyśmy budynek, zapach świeżego powietrza niemal mnie odurzył.

– Jest pani wrażliwa – oznajmiła, wiodąc mnie coraz dalej od zimnej ściany domu, przez altanę i ścieżką do osłoniętego ogrodu rózanego.

– Nie twierdzę, że mam wyjątkowe moce, ale atmosfera tego domu jest... niezwykła – odparłam – nie potrafię przestać się zastanawiać, jak może pani tam mieszkać.

Skinęła lekko głową.

– A jednak, wie pani, większość ludzi nic nie czuje. Pan Adcocks nigdy nie czuł. Kiedy pan Randall przyjeżdża z wizytą, jego nastrój się zmienia, a ja jestem świadoma jego niepokoju, choć nigdy się do niego nie przyznaje.

Chociaż nie wspomniałam o tym Jespersonowi, wcześniej brałam pod uwagę koncepcję, że to sama panna Bellamy jest morderczynią, której szukamy. Sposób, w jaki zmarł pan Adcocks, wyglądał na rezultat ataku silnego i brutalnego mężczyzny; większość kobiet nie byłaby w stanie czegoś takiego dokonać. Zdążyłam się jednak nauczyć, że mężczyźni często nie doceniają płci pięknej w takim samym stopniu, jak ją idealizują, i

potrafiłam wyobrazić sobie pogrążoną w żałobie narzeczoną, która tak naprawdę jest zabójczynią o zimnym sercu.

Ów pomysł rozwiązał się jednak, gdy tylko zobaczyłam tę drobną dziewczynę, a kiedy usiadłyśmy obok siebie na zakrzywionej ławce w słonecznym, zielonym zakątku ogrodu, otoczone zapachem róż i ciepłym brzęczeniem pszczół, byłam już całkowicie przekonana, że ta łagodna kobieta, pełna troski o uczucia innych, po prostu nie byłaby w stanie nikogo zabić.

– Jak może pani znieść przebywanie w tym domu? – zapytałam.

– Proszę nie zapominać, że mieszkam tu prawie całe życie – powiedziała. – Niemal do wszystkiego można się przyzwyczaić. Niech wyobrazi sobie pani kogoś, kto musi codziennie pracować w rzeźni.

– Sądzę, że *taka* praca odczłowieczyłaby go i poniżyła – odparłam. – Gdybyśmy stworzyły analogię z kimś, kto musi mieszkać w rzeźni... no cóż, uważam, że niewielu by to wytrzymało. Jestem zaskoczona, że nigdy nie próbowała pani uciec. Jak wyglądało pani przybycie tutaj? Była pani przerażona?

Zamyśliła się.

– Nie pamiętam niczego sprzed przyjazdu. Nie miałam wtedy nawet dwóch lat, a kolekcja pana Harcourta była niewielka. Rosła wraz ze mną. W ciągu lat, kiedy dodawał do niej kolejne przedmioty, opowiadał mi historię każdego z nich. Tak więc od wczesnego

dzieciństwa byłam przyzwyczajona do opowieści o brutalnej śmierci i ludzkiej podłości. Koncepcje te ani trochę mnie nie pociągały, ale zaakceptowałam ich istnienie. Proszę wyobrazić sobie dziecko dorastające w zakładzie dla obłąkanych lub więzieniu. Nawet najdziwniejsze sytuacje stają się normalne, jeśli nie zna się niczego innego.

– Ale teraz w końcu może pani uciec – powiedziałam.

– Czy wyznaczyli już państwo datę ślubu?

Wbiła we mnie wzrok.

– William z pewnością o tym wspominał? Myślę, że byłoby najlepiej, żebyśmy nawet nie rozmawiali o zaręczynach, dopóki nie stanę się pełnoletnia i będę mogła stąd wyjechać.

– Sądzi pani, że pani opiekun nie jest przychylny temu małżeństwu?

Wybuchnęła krótkim, niewesołym śmiechem.

– Och, sądzę, że chciałby, abym wyszła za mąż! Bardzo by się ucieszył, gdybym została żoną i wdową tego samego dnia!

Nie było sensu owijać w bawełnę.

– Czy według pani zabił pana Adcocksa?

Nawet nie mrugnęła.

– Nie. Mimo swojej fascynacji tym tematem pan Harcourt nie jest mordercą.

– Podejrzewa pani kogoś innego?

Nie odpowiedziała. Wydało mi się, że jej spojrzenie na moment staje się spojrzeniem zrozpaczonej osoby

zapędzonej w kozi róg.

– Panno Bellamy – ciągnęłam łagodnym tonem – niezależnie od tego, jakie to bolesne, nie będziemy mogli pomóc, jeśli nie opowie mi pani o wszystkich swoich podejrzeniach lub obawach, nieważne jak błahych czy dziwnych. Czy była pani na miejscu lub widziała cokolwiek, kiedy zaatakowano pana Adcocksa?

Pokręciła głową.

– Życzyłam mu dobrej nocy i poszłam na górę do swojego pokoju. Myślałam, że jest bezpieczny...

– A pani opiekun?

– Był zamknięty w swoim gabinecie, jak zawsze.

Zerknęłam w stronę domu, ale krzaki i listowie zasłaniały mi parter.

– Czy z jego gabinetu jest inne wyjście?

– Nie. I na pewno usłyszałabym, gdyby wychodził z domu.

– Kto zamordował pana Adcocksa? – zapytałam nagle.

– Nikt.

– A jednak nie żyje.

– Zginął z powodu mocnego ciosu w głowę. Cios zadała laska. Czy bez ludzkiej interwencji można to nazwać morderstwem? Czy to w ogóle przestępstwo?

Widziałam już przedmioty, które lewitowały, unosiły się, poruszały, a nawet mknęły w powietrzu, jakby ktoś bardzo mocno je rzucił, choć w pobliżu nikogo nie było. Zazwyczaj działo się to dzięki oszustwom, ale nie zawsze.

Miałam okazję być świadkiem wydarzeń, które uważałam za zwycięstwo ducha nad materią, a także działania tego, co nazywa się *poltergeist* – ta niemiecka nazwa oznacza „hałaśliwego ducha”. A jednak odnosiłam się z wielką podejrzliwością do zjawisk przypisywanych „duchom”. Nie napotkałam jeszcze w życiu niczego, czego nie dałoby się wytłumaczyć potęgą ludzkiego umysłu.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – zapytałam łagodnie. – Wierzy pani, że laska, martwy przedmiot, poruszyła się i z własnej woli kogoś zabiła? – Jednak już zadając to pytanie, przypomniałam sobie złowrogą moc, którą zaledwie kilka chwil wcześniej wyczułam w tej właśnie lasce, co odebrało mi przekonanie, że mam rację.

– Słyszała pani kiedyś o deodandzie?

– Nie znam tego słowa.

– To stary angielski termin prawny: *deo*, Bogu, *dandum*, musi być dane. Odnosił się on do każdego przedmiotu, który był bezpośrednią przyczyną czyjejś przypadkowej śmierci. Przedmiot ten stawał się własnością Korony, aby można go było przeznaczyć na jakiś zbożny cel.

Nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź. Panna Bellamy się uśmiechnęła.

– Ta laska jest deodandem. Nie oficjalnie, nie jest aż tak stara. Ale przyczyniła się do śmierci pewnego młodego mężczyzny prawie siedemdziesiąt lat temu... tak powiedział mi mój opiekun. A ten odpychający kamienny gargulec przy schodach? Spadł z wieży, na której

umieszczono go wiele wieków temu, i zabił matkę z dzieckiem. Mój opiekun kolekcjonuje takie rzeczy wraz z makabrycznymi pamiątkami z samych morderstw. Dał Archieму tę laskę, wiedząc, czym ona jest, i podejrzewając, co może zrobić. – Tu urwała i przesunęła dłonią po czole. – Co ja wygaduję? Oczywiście niczego nie podejrzewał. Dlaczego miałyby podejrzewać? Żaden z tych przedmiotów nigdy nie wyrządził krzywdy ani jemu, ani mnie, nawet kiedy byłam dzieckiem i bawiłam się wszystkim, co przyciągnęło moją uwagę. Naturalnie nie pozwalał mi dotykać niczego zbyt niebezpiecznego, niczego ostrego czy kruchego. Szeptalam sekrety do ucha gargulcowi, nawet go całowałam, i to ten gargulec... – Urwała i zakryła usta dłonią.

Czekałam, aż znów zacznie mówić.

– Stał nie tam, gdzie zawsze, zbyt blisko schodów. Myślałam, że może pokojówka go przesunęła, kiedy myła podłogę, ale upierała się, że nie. A jednak znajdował się gdzie indziej niż zazwyczaj i to dlatego Archie się o niego potknął i nadwreżył stopę. Zaledwie kilka dni temu Willowi przytrafiło się to samo. Potknął się o niego i gdybym go nie podtrzymała, mógłby uderzyć się w głowę, mógłby zginać, tak jak Archie!

– Ktoś przesunął gargulca – powiedziałam, próbując przemówić jej do rozsądku. – Jeśli nie pokojówka, to pani opiekun albo jakiś tajemniczy nieznajomy. A jeśli potknięcie się pana Randalla skończyłoby się poważnymi obrażeniami, a nawet jego śmiercią, byłby to wypadek.

Nie można byłoby nazwać tego morderstwem, nawet jeśli ktoś przesunął gargulca. Ale ta laska... Naprawdę nie mieści mi się w głowie, jak mogłaby spowodować śmierć pana Adcocksa bez niczyjej interwencji. Jeśli sądzi pani, że kontrolował ją pani opiekun, że siłą woli zmusił ją do uderzenia...

– Nie! Dlaczego miałyby to zrobić? Nawet gdyby był w stanie tego dokonać, dlaczego miałyby zabić mojego narzeczonego, skoro nie mógł się doczekać, aż zobaczy, w jaki sposób ja spowoduję jego śmierć?

Pobladła, tylko na jej policzkach pojawiły się rumieńce, jakby miała gorączkę. Pokręciłam głową.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie. Ponieważ nie wie pani, że i ja jestem deodandem. Perłą jego kolekcji. Moje wczesne dzieciństwo wyjaśnia, dlaczego wziął mnie pod swoje skrzydła. Zabiłam całą swoją rodzinę, zanim ukończyłam drugi rok życia.

Ścisnęłam jej dłonie.

– Panno Bellamy...

– Jestem przy całkowicie zdrowych zmysłach – powiedziała spokojnie. – To nie histeria, to fakty. Przy narodzinach stałam się przyczyną śmierci mojej matki.

– To nic...

– Wyjątkowego? Wiem. Proszę mnie posłuchać. Dziewięć miesięcy później ojciec zabrał swoje pozbawione matki dzieci na wakacje. Po drodze mieliśmy wypadek kolejowy. Siła zderzenia cisnęła moim

dwuletnim bratem o podłogę, ja też upadłam. Wylądowałam na nim, co może i oszczędziło mi obrażeń, ale spowodowało jego śmierć. Nigdy się nie dowiedziałam, czy się udusił, czy skrzyłam mu kark swoim ciężarem.

– Nikt nie uznałby, że to pani wina – zaproponowałam, próbując pozbyć się tego obrazu z głowy.

– Wiem – odparła, zabierając dłonie. – Proszę mi wierzyć, nie jestem na tyle głupia, aby sądzić, że przyczyną tego wszystkiego było cokolwiek poza straszliwym pechem. Miałam wiele lat, żeby pogodzić się ze swoją przeszłością. Nie trzeba mi pani litości. Mówię to, żeby zrozumiała pani, dlaczego pan Harcourt się mną zainteresował. Mój ojciec odniósł rany w tamtym wypadku. Kilka miesięcy później wciąż poruszał się w fotelu na kółkach. Pielęgniarka musiała mu pomagać przy siadaniu w nim i wstawaniu, a także pchała fotel. Wyszliśmy na spacer... a kiedy mówię „my”, mam na myśli ojca w fotelu, który pchał jego młody pielęgniarka, oraz mnie w wózku pchanym przez młodą, ładną nianię. Zatrzymaliśmy się w pewnym malowniczym zakątku, aby podziwiać widok. Niania usadziła mnie na kocu na trawie obok ojca, który drzemał na słońcu w fotelu, a potem, jak sądzę, chyba przestali zwracać uwagę na cokolwiek poza sobą nawzajem. Nie potrafiłam jeszcze chodzić, ale coraz łatwiej było mi wstać, i kiedy podniosłam się na nogi, przytrzymując się fotela ojca, jakimś sposobem musiałam zwolnić hamulec... może pielęgniarka nie zaciągnął go

dość dokładnie... a kiedy fotel zaczął coraz szybciej odjeżdżać, patrzyłam tylko, aż w końcu mój ostatni żyjący krewny spadł ze skraju urwiska i roztrzaskał się na skałach poniżej.

Już nie próbowałam jej pocieszać.

– A zatem pan Harcourt uważa panią za swego rodzaju nabitą broń z jego kolekcji? Gotową wystrzelić w chwili, kiedy ktoś panią pokocha?

– Nigdy nie powiedział tego głośno, ale pokazał mi to błysk w jego oku i coraz większe zainteresowanie, które przejawiał, kiedy tylko osiągnęłam odpowiedni wiek na zamążpójście. To on przedstawił mi wielu zamożnym młodym mężczyznom, aż Archibald Adcocks połknął przynętę. Nalegał, abym przyjęła oświadczyzny, choć ja chciałam poczekać.

– Bez względu na to, w co wierzy pan Harcourt...

– Wiem. I ma pani rację, ja sama w to nie wierzę. Pan Harcourt sądzi, że ponieważ utrzymywał między nami tak chłodny dystans, odrzucając moją naturalną czułość, i wysłał mnie do szkoły, abym nie zbliżyła się za bardzo do żadnej miłej guwernantki, od śmierci ojca nikogo nie kochałam i nikt nie kochał mnie. W szkole była jednak pewna dziewczyna... Mój opiekun pewnie nie ma pojęcia o tym, jak pełną pasji miłością dziewczęta potrafią się nawzajem obdarzyć, ale jestem pewna, że pani wie. – Rzuciła mi spojrzenie, od którego powinnam była się zarumienić. Zamiast tego się uśmiechnęłam.

Spojrzałyśmy na siebie jak para spiskowców.

– Rozumiem, że pani przyjaciółka jest cała i zdrowa?

– Zaiste, wciąż jest też moją najbliższą przyjaciółką, choć teraz jesteśmy bardziej powściągliwe w emocjach... a przynajmniej w ich wyrażaniu. A zatem, widzi pani, ja wiem, że moja miłość nie stanowi zagrożenia.

– A jednak zdaje się, że uważa pani, iż prosząc o pani rękę, pan Adcocks podpisał na siebie wyrok śmierci. I że pan Randall jest w niebezpieczeństwie z tego samego powodu.

– Tak... – Wyglądała na zamyśloną. – Ale nie z powodu moich uczuć do niego czy jego uczuć do mnie. Chodzi o coś innego. Po ślubie z kimkolwiek opuściłabym ten dom, a także kolekcję mojego opiekuna. W tym rzecz – powiedziała i wstała.

– O co chodzi?

– On myśli, że może mnie stracić tylko poprzez małżeństwo. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogę po prostu podjąć decyzję o opuszczeniu domu.

Też się podniosłam i stanęłam twarzą do niej.

– Nie rozumiem.

– Pan Harcourt trochę traci rozsądek, jeśli chodzi o jego kolekcję. Nie może znieść myśli o utracie choćby jednego jej elementu. Jest najszcześliwszy, kiedy może się nią samotnie cieszyć albo kiedy ma okazję dodać do niej coś nowego. Choć dopuszcza do niej potencjalnych kupców, robi to tylko po to, aby patrzeć na zazdrość i podziw, z jakimi oglądają jego eksponaty. Nigdy nie godzi się na sprzedaż któregoś z nich, bez względu na

oferowaną cenę. I choć mówi o moim ślubie od dnia, kiedy ukończyłam szesnaście lat, i zaczął pchać mnie w ramiona kawalerów w dniu moich osiemnastych urodzin, motywowany myślami o tym, co według niego się wydarzy, kiedy znów zostanę częścią rodziny, zachłannie wyobrażając sobie, jak jego kolekcja urośnie po gwałtownej, przypadkowej śmierci mojego męża, wie, że jest to możliwe, tylko pod warunkiem że wypuści mnie z rąk. Jego wynaturzony umysł podpowiada mu, że i ja jestem częścią jego zbioru, a myśl, że mnie utraci, choćby tymczasowo i w celu pozyskania kolejnych eksponatów, jest dla niego straszliwa.

– Dwie sprzeczne myśli walczą w jego głowie?

– Przykro mi, panno Lane. Nikt nie powinien był państwa w to wciągać. William nie musiał szukać pomocy detektywa. Powinnam zdawać sobie sprawę, że tylko ja mogę położyć kres temu obłędowi.

Ruszyła w stronę domu, a ja podążyłam za nią. Choć nie miałam pojęcia, co zamierza, przeczuwałam, że zbliżamy się do punktu krytycznego.

Uniosła pięść, żeby zastukać do ciężkich, dębowych drzwi, ale te otworzyły się już przy pierwszym uderzeniu.

Harcourt stał na drugim końcu pokoju, przy oknie, pokazując Jespersonowi coś leżącego w płaskim drewnianym pudełku. Obaj obejrzel się błyskawicznie, kiedy weszłyśmy. Harcourt wyglądał na zaskoczonego i zirytowanego. Było widać, że się nas nie spodziewał, i mogłam jedynie zakładać, że nie domknął dokładnie

drzwi.

– Co to ma znaczyć? – zapytał z gniewem, pospiesznie zamykając pudełko.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– To będzie musiało poczekać. Mamy towarzystwo.

– Obecność świadków mi nie przeszkadza. – Nabrała głęboko tchu. – Nie wyjdę za mąż.

Przed chwilą, po ponownym wejściu do domu, cała się napięłam, aby stawić czoło jego mrocznej atmosferze, a najbardziej nie miałam ochoty wchodzić do gabinetu Harcourta – spodziewałam się bowiem, że będzie on jej epicentrum. Jednak kiedy weszłam tam powoli, wyczułam, że to, co wcześniej było nieprzyjemne, zamieniło się w harmonię. Gdybym miała użyć metafory zapachowej, odniosłabym się do woni dymu z ogniska. Okropnie jest, kiedy zawieje nam prosto w twarz, ale z odpowiedniej odległości zapach płonących liści i drewna jest przyjemny.

– Przybiegłaś tutaj, żeby to powiedzieć? Nie pojmuję dlaczego – odparł zimnym tonem Harcourt. – To, że się rozmyśliłaś, mnie nie interesuje. Proponuję, żebyś napisała do pana Randalla.

– Nie rozumiesz. Mam na myśli to, że nigdy nie wyjdę za mąż.

Wytrzeszczył oczy.

– Postradałaś zmysły? – Nagle odwrócił się do mnie.

– Co też jej pani naopowiadała? Jakie bzdury, żeby zmieniała zdanie?

– Panna Lane nie ma z tym nic wspólnego – wtrąciła szybko Flora. – Od kilku dni rozmyślam nad wszystkim i dopiero teraz postanowiłam ci powiedzieć...

– Czyżby?! – Przez cały ten czas wlepił we mnie jadowite spojrzenie, ale teraz zerknął chłodno na Jespersona. – Obawiam się, że muszę prosić, aby natychmiast usunął pan stąd tę osobę.

Widziałam, że mój partner nie wie, co począć: stanąć w mojej obronie, wymyślić jakąś wymówkę czy pozorować męską solidarność, dzięki której możliwe będą kolejne wizyty? Choć nie chciałam zostawiać Flory samej z Harcourtem, nie wiedziałam, co moglibyśmy osiągnąć, gdybym się uparła, aby zostać, więc wyszłam z pokoju, słysząc, jak Flora pyta stanowczym tonem:

– Nie wolno mi mieć przyjaciółek?

– Dopóki jestem twoim opiekunem, Floro, będziesz robić, co ci każę. Masz już nigdy nie zadawać się z tą osobą i nie zerwiesz zaręczyn. Zapomnimy, że kiedykolwiek mówiłaś coś na ten temat. Panie Jespersone, jeśli można prosić!

Kiedy opuścili pokój z Florą na czele, z zaskoczeniem dostrzegłam cień uśmiechu na jej twarzy. Puściła do mnie perskie oko, a potem znów odwróciła się do swojego opiekuna.

– A zatem mam być ledwie przedmiotem i potulnie pozwolić, abyś miał ostatnie słowo w każdej kwestii, aż moje dwudzieste pierwsze urodziny wszystko zmienią?

– Niczego nie zmienią – odparł z pogardą. – Nie

sądziysz chyba, że staniesz się wtedy czymś innym, niż jesteś teraz? Niż zawsze byłaś?

Wzdrygnęła się, ale nie cofnęła.

– W oczach prawa.

– Prawa – prychnął. – Prawo to bzdura. Nie ma nic do powiedzenia na twój temat. Nie ma pojęcia, czym jesteś. – Patrzył na nią straszliwym wzrokiem.

– Równie dobrze mogę odejść już teraz – oznajmiła cicho.

– Odejść? O czym ty mówisz?

– Masz rację: kilka miesięcy niczego nie zmieni. Obecna sytuacja zadowalała ciebie, ale nie mnie. Dlatego też odejdę.

Przeniosła wzrok na Jespersona, mówiąc:

– Jeśli nie byłby to zbyt wielki kłopot...

Szybko pojął, o co jej chodzi.

– Oczywiście, proszę jechać z nami. Jeśli tylko możemy pomóc...

Usłyszałam grzechot i zobaczyłam, że chińska waza kołysze się mocno, aż przechyliła się za bardzo i przewróciła, roztrzaskując o twardą podłogę. Posypały się parasole i laski.

Tylko jedna laska nie spoczęła wraz z resztą na podłodze, lecz uniosła się w powietrze i pofrunęła prosto na Jespersona.

Gdyby uderzyła tam, gdzie się kierowała – w jego gardło – bez wątpienia by go zabiła, ale zareagował szybko, prawie tak, jakby spodziewał się ataku. Bez

wysiłku zszedł lasce z drogi, uniósł ramię płynnym, wdzięcznym ruchem i ją złapał.

W odróżnieniu od zwykłego przedmiotu laska poruszała się nawet wtedy, kiedy już ją chwycił, wijąc się i próbując wyrwać. Ścisnął ją mocniej i ze zmarszczonymi brwiami rozejrzał się za nicią lub drutem, próbując pojąć, co to za sztuczka.

Ja z kolei – pewna, że nie znajdzie żadnej niewidocznej na pierwszy rzut oka nici – zwróciłam spojrzenie na Harcourta. Nigdy nie widziałam takiej miny u mediów czy mentalistów: wyglądał na całkowicie zaskoczonego i zachwyconego. Jeśli wywołał ruch laski, stało się to dzięki mocy ukrytej przed jego świadomym umysłem, o którą się nie podejrzewał i której nie potrafił opanować.

Wtedy inny ruch, dostrzeżony kątem oka, przyciągnął moją uwagę: kiedy odwróciłam się w tamtą stronę, usłyszałam okropny zgrzyt. Kamienny gargulec przesuwiał się po podłodze ciężkimi, kołyszącymi ruchami. Choć nikt nie stał na tyle blisko, żeby mógł mu zagrozić, wykrzyknęłam ostrzeżenie.

Flora zerknęła w tamtą stronę i zawołała:

– Przestań! Przestań natychmiast!

Gargulec zamarł, tak samo jak laska, choć Jesperson wciąż trzymał ją mocno i czujnie obserwował.

Harcourt zrobił pełen wahania krok naprzód, wciąż nie odrywając wzroku od laski.

– Proszę... proszę mi ją dać, panie Jesperson –

powiedział. – To... to od niej zginął nieszczęsny pan Adcocks, a wcześniej pewien młody mężczyzna z Plymouth. Gdyby nie pana wyjątkowy refleks, stałby się pan jej trzecią ofiarą.

Po chwili Jesperson niechętnie oddał mu laskę, mówiąc:

– Spodziewał się pan, że to się może stać?

– Nigdy. – Zachłysnął się mężczyzna, gapiąc się na trzymany przedmiot z niezdrową mieszaniną żądz i przerażenia. – Któż mógłby sobie wyobrazić, że skłonność do zabijania jest jej nieodłączną cechą?

– Uważałeś, że jest ona nieodłączną częścią mnie – powiedziała Flora. – Sądziłeś, że ten bezmyślny popęd do zabijania jest tak silny, że mógłby posłużyć się mną... żyjącą, rozumną istotą... nie zważając na moją wolną wolę?

– Nie, nie, oczywiście, że nie – odparł bez przekonania. – Byłaś ledwie dzieckiem, nieumiejącym samodzielnie myśleć ani działać, kiedy los za twoim pośrednictwem zakończył życie trzech niewinnych osób. Teraz sytuacja jest zupełnie inna – mówiąc, patrzył na nią, ale siła przyciągania przedmiotu w jego rękach okazała się zbyt silna i wkrótce na powrót wlepił w laskę wzrok zadurzonego amanta.

– Zawsze uważałeś mnie za jeden z eksponatów ze swojej kolekcji – oznajmiła gorzko Flora. – Pozbawiony umysłu i duszy przedmiot, i to nawet nie twój ulubiony.

– Droga Floro, nie mów głupstw. Wiem, że nie jesteś

rzeczą. Byłaś dla mnie jak córka. Czyż nie opiekowałem się tobą zawsze najlepiej, jak potrafiłem? Nie kupowałem ci wszystkiego, czego zapragnęłaś? Od początku chciałem tylko w odpowiedniej chwili zobaczyć, że jesteś bezpieczna i szczęśliwa w małżeństwie z wybranym przez siebie mężczyzną.

Choć całym sercem byłem po stronie Flory, przyznałam, że na kimś z zewnątrz zrobiłaby wrażenie histeryczki, a Harcourt – głosu rozsądku.

– A jednak musiał się pan zastanawiać – wtrącił Jespersion pozornie obojętnym tonem. – Co, Harcourt? Na pewno zastanawiał się pan, czy szczęście rodzinne jest pisane pańskiej podopiecznej. Może uważał pan jej pierwsze zaręczyny za eksperyment naukowy. Rezultat był odmienny od pana nadziei, ale może zgodny z obawami...?

Wymienili spojrzenia jak mężczyzna z mężczyzną i choć Harcourt pokręcił głową z żalem, mimo poważnej miny dostrzegłam na jego twarzy cień satysfakcji.

– Jest pan podły – mruknęła Flora. Odchrząknęła i ogłosiła: – Nigdy nie wyjdę za mąż. Nie mogę ryzykować kolejnego życia.

Tym razem Harcourt nie zaprotestował. Wzruszył ramionami i westchnął, po czym powiedział:

– Nigdy nie zmusiłbym cię do zrobienia czegokolwiek wbrew twojej woli, bez względu na to, jak wydawałoby mi się to głupie.

– To nie wszystko. Dziś opuszczę pana kolekcję,

panie Harcourt...

– Och, daj spokój. Nie zachowuj się jak dziecko. Nie możesz winić mnie za to, czym jesteś!

– Nie za to, czym jestem, tylko za to, co chciał pan ze mnie zrobić. W tym domu panuje obrzydliwa atmosfera, i to nie z powodu przedmiotów, ale pańskiej ohydnej fascynacji morderstwami i gwałtowną śmiercią. Odchodzę. Dopóki pan żyje, moja noga tutaj nie postanie.

Przedstawiwszy swój zamiar, ruszyła prosto do drzwi.

Poczułam dreszcz, który przebiegł przez dom, nawet zanim jeszcze dotknęła klamki. Doznanie to było tak subtelne, a zarazem tak dogłębne, że z początku pomyślałam, iż robi mi się niedobrze.

Harcourt krzyknął. Z nosa ciekła mu krew – laska znów ożyła w jego ręku i wyglądało na to, że postanowiła zatłuc go na śmierć. Udało mu się ją odsunąć od siebie na odległość ramienia i z trudem utrzymywał ją pod kontrolą. Gargulec również wracał do życia, drgając, a wnioskując z trzeszczenia, jęków i szelestów dobiegających z sąsiedniego pokoju, to samo działo się z innymi przedmiotami z kolekcji Harcourta.

– Ruszajcie – ponaglił nas Jespersion, popychając mnie przed sobą. – Uciekajcie z domu! Czy jest tu ktoś jeszcze?

Słyszając krzyki, pojawiła się pokojówka, która nas wpuściła, i choć wyglądała na zdezorientowaną, pozwoliła mi wyprowadzić się na zewnątrz.

Spotkaliśmy się z Florą przy bramie wjazdowej i obejrzelśmy na dom.

– Gdzie Harcourt? – zapytał Jesperson. – Biegł tuż za mną.

– Nie zostawi swojej kolekcji – powiedziała Flora. – Na pewno po nią wrócił. Zwykł rozważać na głos, co uratowałby pierwsze, gdyby dom zajął się ogniem.

– Przecież to sama kolekcja stanowi zagrożenie!

Gdybym była sama, może zostawiłabym Harcourta na łaskę losu, ale kiedy mój partner pobiegł z powrotem, uznałam, że moim obowiązkiem jest podążyć za nim. Wspinając się na frontowe schody, mogłam zajrzeć przez okno do gabinetu i to, co zobaczyłam, sprawiło, że stanęłam jak wryta.

Blady, korpulentny pan Harcourt skakał i wirował niczym derwisz, wyciągając zwieńczoną srebrem laskę jak najdalej od siebie, jak magiczną różdżkę, a zarazem usiłował umknąć przed ciosami mnóstwa małych przedmiotów. Od czasu do czasu bezwiednie przysuwał ramię do ciała, dzięki czemu laska mogła trzasnąć go mocno w nogę lub ramię, a wtedy wrzeszczał z bólu i gniewu.

Książki i inne rzeczy nieprzerwanie spadały z półek. Wiele po prostu zlatywało, ale inne wyglądały, jakby ktoś rzucał je z całych sił prosto w Harcourta, i te zadawały mu kolejne ciosy w tułów, głowę i kończyny. Oszklona szafka dygotała gwałtownie, jak podczas trzęsienia ziemi, aż otworzyła się nagle, uwalniając całą swoją zawartość.

Wielka, złowroga chmara buteleczek, słoików, igieł, szpilek, brzytwę i wielu innych rzeczy, jakich nie potrafiłam rozpoznać, spowiła mężczyznę, którego okrzyki zamieniły się w nieprzerwany, pełen przerażenia skowyt.

Czując, że robi mi się niedobrze, odwróciłam się i weszłam do środka. Dołączyłam do mojego partnera, który rzucał się na solidne dębowe drzwi, jakby sądził, że uda mu się je otworzyć. Na mój widok przestał i potarł ramię, robiąc nieco zażenowaną minę.

Podalam mu jedną z moich szpilek do włosów, zakładając, że wie, jak jej użyć.

Kiedy gmerał w zamku, słuchałam straszliwych odgłosów towarzyszących zmaganiom toczącym się po drugiej stronie: głuchych uderzeń i łoskotu, wrzasków, zawodzeń i jęków, a potem ohydneho, wilgotnego syku, który zastąpił bulgot, po czym rozległo się najgłośniejsze jak dotąd uderzenie i zapadła cisza.

Zanim Jespersonowi udało się otworzyć drzwi, było już po wszystkim. Harcourt nie żył. Jego zakrwawione, zmasakrowane ciało leżało na dywanie, otoczone resztkami morderczej kolekcji. Jakiegokolwiek życie w nią wstąpiło, zakończyło się wraz z jego śmiercią. W pokoju unosił się ostry, drażniący smród – uznałam, że zapewne związany z zawartością potłuczonych butelek – mimo wszystko jednak mniej odrażający niż miazmat, który zastąpił.

– Kwas siarkowy – oznajmił Jesperson. – Proszę nie

patrzeć.

Ale ja już zobaczyłam, co zostało z twarzy Harcourta, i widok ten nie był bardziej szokujący niż to, czego kazały mi się domyślać odgłosy, które słyszałam wcześniej.

Wychodząc na zewnątrz, aby przekazać wieści Florze Bellamy i wysłać pokojówkę po policję, wiedziałam już, że nie była to sprawa, którą mogłabym opisać z myślą o publikacji.

A jak się okazało, miało być jeszcze gorzej.

Całe szczęście, że Jasper Jesperson miał wpływowych krewnych, którzy obracali się w kręgach władzy, bo w przeciwnym razie – z braku innych podejrzanych – miejscowa policja, zdaje się, bardzo chętnie oskarżyłaby go o morderstwo. A jeśli on go nie popełnił, ja byłam druga w kolejności na ich liście.

Choć można byłoby się upierać, że uratowaliśmy naszemu klientowi życie, był tak niezadowolony z rezultatu śledztwa, iż odmówił zapłaty. Trapiła go nie tyle śmierć Harcourta, ile decyzja panny Bellamy o zerwaniu zaręczyn. Wyjaśniła mu tę zmianę zdania, mówiąc jedynie, że musi ponownie przemyśleć, jak naprawdę chce spędzić życie, i że skłania się ku poszukaniu jakiejś pracy, aby móc się utrzymywać „jak panna Lane”.

Flora Bellamy nigdy więcej nie wróciła do domu swego opiekuna. Choć nie żył, uznała, że nie chce ryzykować, i zatrudniła ludzi, aby opróżnili dom, po czym go sprzedała. W testamencie Harcourt zostawił wszystko podopiecznej, lecz z jednym zastrzeżeniem: mogła

zachować „kolekcję” albo się jej pozbyć, ale decyzja miała objąć cały zbiór – nie życzył sobie jego rozdzielania.

Postanowiła zignorować ów warunek.

– Być może się mylę – powiedziała mi podczas naszego ostatniego spotkania – ale sądzę, że mogłoby to być niebezpieczne. Pojedyncze eksponaty to tylko przedmioty, ale zebrane razem stały się czymś więcej, najpierw w wyobraźni pana Harcourta, a potem w rzeczywistości. Prawna definicja deodanda polegała na tym, że coś, co kiedyś dokonało zła, można przerobić na coś użytecznego, a nawet uświęconego dobrymi uczynkami. Nie stało się tak z żadnym z eksponatów pana Harcourta: on robił z nich użytek przeciwny dobru, czcił ich występki.

Jej sposobem na odkupienie win było darowanie wszystkiego, co zostało w domu, w słusznej sprawie. Zachowując wyjątkową ostrożność, wybrała działania dobroczynne prowadzone tak daleko, że nie musiała się obawiać, że kiedyś przypadkowo natknie się na część swojego byłego majątku: kazała wysłać wszystko do kolonii trędowatych na drugim końcu świata.

Za dobry znak uznałam to, że nie poczuła się w obowiązku poświęcić też samej siebie.

Postanowiła zamieszkać ze swoją szkolną przyjaciółką i rozpoczęła kurs księgowości oraz zarządzania biurem.

Jesperson i ja oczywiście szczegółowo omówiliśmy

tę sprawę – która zaczęła się jednym niewyjaśnionym morderstwem, a zakończyła drugim – na osobności, a także w towarzystwie pani Jesperson, ale nigdy nie udało się nam ustalić, komu przypisać winę za morderstwa. Zgadzałiśmy się wprawdzie, że zarówno Adcocksa, jak i Harcourta zabito, ale wiedzieliśmy też, że jeśli nie ma zabójcy, nie ma zabójstwa.

Mam nadzieję, że nasza następna sprawa nie będzie już tak kuriozalna.

DIANA GABALDON

Diana Gabaldon, autorka książek z listy bestsellerów „New York Timesa”, jest laureatką Quill Award oraz Corine Literature Prize w kategorii beletrystyki. Stworzyła niezwykle popularną serię „Obca”, złożoną z międzynarodowych przebojów wydawniczych, takich jak: *Outlander* (*Obca*, przeł. Maciejka Mazan, Amber, 1999), *Dragonfly in Amber* (*Uwięziona w bursztynie*, przeł. Ewa Błaszczak et al., Amber, 2000), *Voyager* (*Podróżniczka*, przeł. Justyna Kotlicka et al., Amber, 2000), *Drums of Autumn* (*Jesienne werble*, przeł. Alina Patkowska, Świat Książki, 2009), *The Fiery Cross* (*Ognisty krzyż*, przeł. Arkadiusz Nakoniecznik, Świat Książki, 2005), *A Breath of Snow and Ashes* (*Tchnienie śniegu i popiołu*, przeł. Barbara Gadomska, Jan Kabat, Świat Książki, 2008) oraz *An Echo in the Bone* (*Kość z kości*, przeł. Barbara Gadomska, Świat Książki, 2010), a także opartej na „Obcej” powieści graficznej pod tytułem *The Exile*. Powieści o lordzie Johnie Greyu osadzone są w tym samym świecie co seria „Obca”, lecz podążają śladami tytułowej postaci i wpisują się (mniej więcej) w nurt historycznej powieści kryminalnej. Do cyklu tego zaliczają się między innymi powieści *Lord John and the Private Matter* (*Lord John i sprawa osobista*, przeł. Tomasz Lem, Świat Książki, 2006), *Lord John and the Brotherhood of the Blade* oraz *Lord John and the Scottish*

Prisoner, a także zbiór noweli, *Lord John and the Hand of Devils*, zawierający *Lord John and the Hellfire Club*, *Lord John and the Succubus* (*Lord John i sukub*, opublikowany w antologii *Legendy II*, REBIS, 2005) oraz *Lord John and the Haunted Soldier*. Gabaldon jest też autorką *The Outlandish Companion*, niebeletrystycznego tomu, w którym znaleźć można różne informacje i ciekawostki, źródła wiadomości historycznych oraz artykuły o procesie tworzenia cyklu oraz zbierania do niego materiałów.

Tym razem lord John przybywa z siłami zbrojnymi na piękną, lecz nieco złowrogą rajską wyspę Jamajkę, gdzie ma stłumić rebelię niewolników. Powstanie jest jednak najmniejszym z jego zmartwień, jeśli wziąć pod uwagę morderstwa, kanibalizm, pająki, węże i inne zabójcze stworzenia. W tym oczywiście zombi.

LORD JOHN I PLAGA ZOMBI

Na stole w salonie znajdował się wąż. Niewielki, ale jednak. Lord John Grey zastanawiał się, czy jakoś to skomentować.

Gubernator podniósł kryształową karafkę, która stała najwyżej sześć cali od zwiniętego w spiralę gada, nie zwracając na niego uwagi. Może wąż był oswojony, a może mieszkańcy Jamajki byli przyzwyczajeni do trzymania węży w domach, aby zabijały szczury. Biorąc pod uwagę, ile szczurów Grey widział od zejścia na ląd, wydawało się to rozsądne, choć ten akurat wąż nie wyglądał na dość dużego, żeby zaatakować choć przeciętnych rozmiarów mysz.

Wino było przyzwoite, ale podane w temperaturze ciała i Grey miał wrażenie, że przenika ono z przetyku prosto do krwi. Ostatni raz miał coś w ustach przed świtem i teraz czuł, że zaczyna go mrowić w krzyżu. Odstawił szklanekę. Chciał mieć przytomny umysł.

– Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę z pana przyjazdu – powiedział gubernator, odstawiając własną szklanekę, już pustą. – Sytuacja jest poważna.

– Tak pisał pan w liście do lorda Northa. Sytuacja nie zmieniła się znacząco od tamtej pory? – List powstał prawie trzy miesiące wcześniej. W tym czasie sporo mogło się wydarzyć.

Wydało mu się, że gubernator Warren wzdrygnął się

mimo panującej w pokoju temperatury.

– Pogorszyła się – odparł Warren, znów sięgając po karafkę. – Znacznie się pogorszyła.

Grey poczuł, że mięśnie ramion mu się napinają, ale odparł spokojnym tonem:

– W jaki sposób? Czy odbyły się kolejne... – zawahał się, szukając odpowiedniego słowa: ...kolejne demonstracje? – Było to łagodne określenie incydentów palenia pól trzciny cukrowej, plądrowania plantacji i masowego wyzwalań niewolników.

Warren zaśmiał się nieszczercze. Na jego przystojnej twarzy perlił się pot. Na podłokietniku jego krzesła leżała pognieciona chustka, którą podniósł i otarł skórę. Nie ogolił się tego ranka – ani, zdaje się, poprzedniego – Grey słyszał, jak zarost trze cicho o materiał.

– Tak. Kolejne zniszczenia. W zeszłym miesiącu spalili prasę do cukru, choć zdarzyło się to w bardziej odosobnionej części wyspy. Teraz jednak ... – Urwał, oblizwał suche wargi i nalał sobie więcej wina. Wykonał gest w stronę szklanki Greya, ale ten pokręcił głową. – Zaczęli przemieszczać się w stronę King's Town – powiedział Warren. – Widać, że to rozmyślne: jedna plantacja po drugiej, w prostej linii prowadzącej ze zbocza góry. – Westchnął. – „Prosta linia” to nieodpowiednie wyrażenie. Nic w tym przeklętym miejscu nie jest proste, począwszy od krajobrazu.

Faktycznie: Grey miał już okazję podziwiać soczyście zielone szczyty, które wznosiły się pośrodku wyspy,

tworząc dzikie tło dla niebywale błękitnej wody i białych, piaszczystych plaż.

– Ludzie są przerażeni – ciągnął Warren. Pozornie zebrał się w sobie, choć jego twarz znów błyszczała od potu, a trzymająca karafkę dłoń się trzęsła. Grey ze sporym zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że sam gubernator też jest przerażony. – Kupcy i ich żony przychodzą do mnie codziennie, błagając, żądając ochrony przed czarnymi.

– No cóż, może ich pan zapewnić, że dostaną ochronę – powiedział Grey tak uspokajająco, jak potrafił. Miał ze sobą trzystu żołnierzy piechoty – pół batalionu – i kompanię artylerii wyposażoną w niewielką armatę. Dość ludzi, żeby obronić King's Town, gdyby okazało się to konieczne. Lecz lord North zlecił mu nie tylko obronę i uspokojenie kupców oraz żeglugi w King's Town i Spanish Town, nie tylko zapewnienie ochrony większym plantacjom trzciny cukrowej. Otrzymał zadanie całkowitego stłumienia buntu niewolników, zatrzymania jego prowodyrów i położenia kresu przemocy.

Wąż na stole poruszył się niespodziewanie, prostując leniwie zwoje. To zaskoczyło Greya, który zdążył nabrać przekonania, że gad jest tylko ozdobną rzeźbą. Był niesłychanie piękny: miał długość zaledwie siedmiu lub ośmiu cali i kolor ślicznej, bladej żółci z brązowymi plamkami, opalizującej nieco jak dobre reńskie wino.

– To wszystko zaszło jednak dalej – kontynuował Warren. – Nie mówimy już tylko o paleniu i niszczeniu

majątków. Doszło do morderstwa.

To brutalnie wyrwało Greya z zamyślenia.

– Kogo zamordowano? – zapytał pełnym napięcia tonem.

– Plantatora o nazwisku Abernathy. Zginął we własnym domu, w zeszłym tygodniu. Poderżnięto mu gardło.

– Dom został spalony?

– Nie. Maronowie go splądrowali, ale niewolnicy Abernathy'ego ich przepędzili, zanim tamci zdążyli zaproszyć ogień. Jego żona przeżyła, zanurzając się w źródle za domem i ukrywając za kępą trzciny.

– Rozumiem. – Aż nazbyt wyraźnie potrafił sobie wyobrazić tę scenę. – Gdzie leży ta plantacja?

– Jakies dziesięć mil od King's Town. Nazywa się Rose Hall. Dlaczego pan pyta? – Zwrócił przekrwione oczy w stronę Greya i ten zdał sobie sprawę, że szklanka wina, którą wypił wraz z gubernatorem, nie jest dla Warrena pierwszą tego dnia. Pewnie nawet nie piątą.

Był ciekaw, czy jego rozmówca z natury jest opojem. A może jedynie z powodu presji spowodowanej obecną sytuacją tak często zagląda do butelki? Przyjrzał się ukradkiem gubernatorowi. Mógł się zbliżyć do czterdziestki i choć obecnie był widocznie pijany, nie widać było po nim śladów ogólnej skłonności do pijaństwa. Był dobrze zbudowany i przystojny, jego twarz nie była nalana, brzuch nie rozpychał jedwabnej kamizelki, policzków i nosa nie znaczyły popękane

naczynia krwionośne...

– Ma pan mapę regionu? – Z pewnością nie umknęło uwagi Warrena, że jeśli maronowie faktycznie kierują się prosto na King's Town, to można przewidzieć, jaki będzie ich następny cel, i zaskoczyć ich tam kilkoma kompaniami uzbrojonej piechoty.

Warren osuszył szklanę i przez chwilę siedział nieruchomo, dysząc tylko lekko i wlepiając oczy w obrus. Dopiero po chwili oprzytomniał.

– Mapę – powtórzył. – Tak, oczywiście. Dawes... mój sekretarz... on... on panu jakąś znajdzie.

Uwagę Greya przyciągnął ruch. Małeńki wąż zakołysał głową, językiem smakując powietrze, a potem ku jego zaskoczeniu ruszył po stole prosto w jego stronę w sposób, który robił wrażenie celowego, choć po falistej linii. Grey odruchowo wyciągnął rękę, żeby maluch nie spadł na podłogę.

Gubernator dostrzegł węża, wrzasnął i odskoczył od stołu. Grey spojrział na niego ze zdumieniem, podczas gdy mały gad owinał mu się dookoła palców.

– Nie jest jadowity – powiedział tak spokojnym tonem, na jaki było go stać. A przynajmniej tak mu się wydawało. Jego przyjaciel Oliver Gwynne był przyrodnikiem i uwielbiał węże. Pewnego przerażającego popołudnia pokazał mu wszystkie okazy ze swojej kolekcji. Greyowi wydawało się, że pamięta, jak Gwynne mówił mu, że na Jamajce w ogóle nie ma jadowitych gadów. Poza tym te groźne miały trójkątne głowy, a

nieszkodliwe – obłe, tak jak ten maluch.

Warren nie był skłonny wysłuchać wykładu na temat fizjonomii węży. Trzęsąc się z przerażenia, cofnął się pod ścianę.

– Skąd? – wyjąkał. – Skąd on się wziął?

– Leżał na stole, kiedy przyszedłem. Myślałem... hm... myślałem... – Najwyraźniej nie był jednak oswojony, a tym bardziej nie stanowił zamierzonego elementu dekoracyjnego. Grey kaszlnął i wstał, chcąc wynieść węża na zewnątrz, za szklane drzwi prowadzące na taras.

Warren jednak źle zrozumiał jego zamiar i widząc, jak Grey podchodzi bliżej z wężem owiniętym dookoła palców, sam wypadł za drzwi balkonowe, przeskoczył taras szaleńczym susem i pomknął ścieżką wyłożoną kamiennymi płytami, a poły surduta frunęły za nim, jakby gonił go sam diabeł.

Grey wciąż gapił się z niedowierzaniem w kierunku, w którym uciekł gubernator, kiedy od strony drzwi wejściowych rozległo się dyskretne kasznięcie. Odwrócił się.

– Gideon Dawes. – Sekretarz gubernatora był niskim, przysadzistym mężczyzną o okrągłym, różowym obliczu, które zapewne z natury miało dość wesoły wyraz. W tej chwili malowała się na nim głęboka rezerwa. – Podpułkownik Grey?

Grey wątpił, czy w siedzibie gubernatora znajduje się obecnie wielu mężczyzn w mundurze z insygniami

podpułkownika, ale mimo to skłonił się i mruknął:

– Do usług, panie Dawes. Obawiam się, że pan Warren musiał... hmm... – Wskazał głową otwarte drzwi na balkon. – Może ktoś powinien go odnaleźć?

Dawes zamknął oczy ze zbolaną miną, a potem westchnął i ponownie uniósł powieki, kręcąc głową.

– Nic mu nie będzie – powiedział, choć w jego głosie nie było przekonania. – Właśnie omówiłem kwestie wyżywienia i zakwaterowania żołnierzy z pańskim majorem Fettesem. Prosił, aby panu przekazać, że wszystkie przygotowania już poczyniono.

– Och, dziękuję, panie Dawes. – Mimo wytrącającego z równowagi sposobu, w jaki gubernator go opuścił, ucieszył się na tę wieść. Sam przez lata był majorem; niebawem, jak miło było wiedzieć, że teraz ktoś inny odpowiada za bezpośrednie zarządzanie żołnierzami. On musiał tylko wydawać rozkazy.

Dlatego też wydał jeden i teraz, choć sformułował go jako uprzejmą prośbę, i Dawes natychmiast poprowadził go korytarzami rozległego domostwa do niewielkiej urzędniczej pakamery obok gabinetu gubernatora, gdzie udostępnił mu mapy.

Grey od razu spostrzegł, że Warren miał rację zarówno co do urozmaiconej rzeźby terenu, jak i przebiegu napaści. Na jednej z map zaznaczono nazwy plantacji, a niewielkie notatki wskazywały, gdzie nastąpiły ataki maronów. Daleko było temu do linii prostej, a jednak wyraźnie dało się dostrzec, dokąd

zmierzają.

W pokoju było ciepło i pot spływał Greyowi po plecach. Mimo to poczuł lekki dotyk zimna na karku, kiedy zobaczył na mapie nazwę „Twelvetrees”.

– Kto jest właścicielem tej plantacji? – zapytał spokojnym głosem.

– Słucham? – Dawes zdążył zapaść w jakiś pełen rozmarzenia trans, wyglądając przez okno na zieleń dżungli, ale teraz zamrugnął i poprawił okulary, po czym schylił się, żeby zerknąć na mapę. – Och, Twelvetrees. Jej właścicielem jest Philip Twelvetrees, młody mężczyzna, który dopiero niedawno odziedziczył to miejsce po swoim kuzynie. Powiadają, że zginął w pojedynku... to znaczy ten kuzyn – uzupełnił pomocnie.

– Ach. Jaka szkoda. – Grey poczuł nieprzyjemny ucisk w piersi. Akurat ta komplikacja z pewnością nie była mu potrzebna. Jeśli... ten kuzyn... czy nie nazywał się przypadkiem Edward Twelvetrees?

Dawes zrobił nieco zaskoczoną minę.

– Wydaje mi się, że tak. Nie znałem go jednak, nikt tutaj go nie znał. Był nieobecny właścicielem, kierował plantacją za pośrednictwem zarządcy.

– Rozumiem. – Chciał zapytać, czy Philip Twelvetrees przybył z Londynu, aby zająć się odziedziczonym majątkiem, ale tego nie zrobił. Nie chciał zwracać uwagi, zbyt interesując się rodziną Twelvetrees. Było na to dość czasu.

Zadał jeszcze kilka pytań na temat tego, jak rozłożone

w czasie były ataki. Dawes chętnie udzielił mu odpowiedzi, ale kiedy przyszło do wyjaśniania przyczyn buntu, nagle stał się nieskory do pomocy. Grey uznał, że to interesujące.

– Doprawdy, nie wiem prawie nic o tych sprawach – zapewniał, kiedy Grey go przycisnął. – Najlepiej by było, żeby porozmawiał pan z kapitanem Cresswellem. Jest nadzorcą odpowiedzialnym za maronów.

To zaskoczyło Greya.

– Zbiegli niewolnicy mają nadzorcę?

– Och, nie. – Dawes, zdaje się, poczuł ulgę, że może się zmierzyć z prostszym pytaniem. – Maronowie nie są zbiegłymi niewolnikami. A raczej, formalnie rzecz biorąc, są nimi, ale to bezsensowne rozróżnienie. Owi maronowie są potomkami niewolników, którzy uciekli w poprzednim wieku na górskie wyżyny. Założyli tam osady. Ale ponieważ nie da się wskazać ich obecnych właścicieli...

I ponieważ rząd nie miał możliwości ich odnalezienia i zaciągnięcia z powrotem, Korona rozsądnie zadowolila się mianowaniem białego nadzorcy. Był to zwyczajowy sposób radzenia sobie z tubylcami. Zadaniem nadzorcy było kontaktowanie się z maronami i załatwianie z nimi wszelkich spraw.

Co zdaniem Greya prosiło się o pytanie: Dlaczego tego kapitana Cresswella natychmiast nie sprowadzono na spotkanie z nim? Wysłał wieść o swoim przybyciu, kiedy tylko jego statek zacumował w porcie o świcie, aby nie zaskoczyć Derwenta Warrena.

– Gdzie znajduje się teraz kapitan Cresswell? – zapytał wciąż uprzejmie.

Dawes zrobił nieszczęśliwą minę.

– No cóż, obawiam się, że nie wiem – odparł, spuszcżając wzrok.

Na chwilę zapadła cisza, w której z pobliskiej dżungli dał się słyszeć zew ptaka.

– A gdzie przebywa zazwyczaj? – zapytał Grey już nieco mniej grzecznie.

Dawes zamrużał.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że ma dom przy dnie Wąwozu Guthriego... jest tam niewielka wioska. Ale oczywiście podróżuje też do osad maronów, aby spotkać się z... – zamachał drobną, tłustą dłonią, nie umiając znaleźć odpowiedniego słowa – ...z wodzami. Wiem na pewno, że na początku tego miesiąca kupił nowy kapelusż w Spanish Town – dodał Dawes tonem kogoś dostarczającego pomocnego komentarza.

– Kapelusż?

– Tak. Ach, ale oczywiście panu to nic nie mówi. Wśród maronów panuje zwyczaj, że po zawarciu jakiejś ważnej umowy osoby jej dokonujące wymieniają się kapelusżami. Więc rozumie pan...

– Tak, rozumiem – odparł Grey. Wciąż próbował zmusić się do mówienia spokojnym tonem. – Czy byłby pan zatem tak dobry, panie Dawes, i wysłał wiadomość do Wąwozu Guthriego... i do każdego innego miejsca, gdzie pana zdaniem można odnaleźć kapitana Cresswella?

Najwyraźniej muszę z nim porozmawiać, i to jak najszybciej.

Dawes pokiwał energicznie głową, ale zanim zdążył odpowiedzieć, z głębi domu rozległo się dźwięczne uderzenie w niewielki gong. Jakby w odpowiedzi na ten sygnał Greyowi głośno zaburczało w brzuchu.

– Kolacja za pół godziny – powiedział Dawes.

Grey pierwszy raz widział u niego tak rozradowaną minę. Sekretarz niemal potruchtał do drzwi. Grey podążył za nim.

– Panie Dawes – powiedział, dogoniwszy go u szczytu schodów. – Czy myśli pan, że gubernator Warren...

– Och, stawi się na kolacji – zapewnił go Dawes. – Jestem pewien, że doszedł już do siebie, te jego uniesienia nigdy nie trwają zbyt długo.

– Co jest ich przyczyną? – Na schodach poniósł się smakowity zapach rodzynek, cebuli i przypraw. Czując go, Grey przyspieszył kroku.

– Hmm... – Maszerujący pospiesznie u jego boku Dawes zerknął na niego z ukosa. – To nic takiego. Jego Ekscelencję dręczą po prostu pewne makabryczne urojenia dotyczące gadów. Czy zobaczył może w salonie węża albo usłyszał wzmiankę na ich temat?

– Nie inaczej, choć wąż był bardzo mały i nieszkodliwy. – Grey był ciekaw, co się stało z niewielkim, żółtym gadem. Uznał, że musiał go upuścić podczas zamieszania wywołanego raptowną ucieczką

gubernatora. Miał nadzieję, że zwierzęciu nie stała się krzywda.

Dawes wyglądał na zmartwionego i wymamrotał coś, co brzmiało jak: „Ojej, ojej...”. Potem jednak pokręcił tylko głową i westchnął.

*

Grey udał się do swojego pokoju, chcąc odświeżyć się przed kolacją. Dzień był ciepły, a on roztaczał dookoła siebie smród właściwy statkom – złożony po równo z potu, wymiocin i ścieków, solidnie zamarynowanych w słonej wodzie – a także woń konia, na którym przyjechał z portu do Spanish Town. Jeśli sprzyja mu szczęście, kamerdyner zdążył już wywietrzyć jego czystą bieliznę.

Siedziba gubernatora była rozpadającą się, zrujnowaną posiadłością przycupniętą w wysoko położonym punkcie na obrzeżach Spanish Town. Planowano zbudowanie w centrum miasta potężnej, nowej siedziby w stylu palladiańskim, ale jej budowa mogła się rozpocząć dopiero za jakiś rok. Tymczasem dokładano wszelkich starań, aby uczynić zadość godności Jego Królewskiej Mości za pomocą politory, srebra i nieskazitelnej białizny stołowej i pościelowej, ale spłowiała tapeta odłaziła w kątach pokoi, a zabejcowane na ciemno drewno pod nią wydzielalo stęchły zapach, który sprawiał, że Grey miał ochotę wstrzymać oddech za każdym razem, kiedy wchodził do środka.

Zaletą domu było jednak to, że ze wszystkich stron otaczał go szeroki taras, nad którym rosły wielkie, rozłożyste drzewa rzucające podobne do koronek cienie na kamienne płyty. Wiele pokoi – w tym ten należący do Greya – miało bezpośredni dostęp do owego tarasu, więc można było nań wyjść i nabrać do płuc świeżego powietrza, w którym czuć było aromat odległego morza lub równie odległej dżungli rosnącej na wyżynach. W sypialni nie było śladu po kamerdynerze, ale na łóżku leżała czysta koszula. Grey zrzucił płaszcz, zmienił koszulę, a potem otworzył na oścież drzwi balkonowe.

Przez chwilę stał pośrodku pokoju zalanego wpadającym przez otwarte drzwi popołudniowym słońcem, ciesząc się stałym ładem pod stopami po siedmiu tygodniach na morzu i siedmiu godzinach na końskim grzbiecie. Jeszcze większą przyjemność sprawiało mu to, że przez chwilę mógł pobyć sam. Ranga dowódcy miała swoją cenę – między innymi prowadziła do prawie całkowitej utraty samotności. Korzystał z niej więc, kiedy tylko mógł, wiedząc, że nie potrwa ona dłużej niż kilka chwil; z tego też powodu tym bardziej ją doceniał.

I faktycznie, tym razem zakończyła się po około dwóch minutach. Usłyszawszy, że ktoś puka do drzwi, Grey zawołał: „Wejść!”. Kiedy się odwrócił, aż w trzewiach poczuł falę niebywałego pożądania, co nie zdarzyło mu się od miesiący.

Mężczyzna był młody, może dwudziestoletni. Choć

niebiesko-złota liberia ukazywała smukłą sylwetkę, szerokość jego ramion zdradzała sporą siłę, a głowę i szyję miał jak u greckiego posągu. Może z powodu upału nie założył peruki i jego krótko przycięte, mocno kręcone włosy ukazywały zarys przepięknie ukształtowanej czaszki.

– Do usług, panie – zwrócił się do Greya, kłaniając się z szacunkiem. – Gubernator śle pozdrowienia, a kolacja zostanie podana za dziesięć minut. Czy mogę zaprowadzić cię do jadalni, panie?

– Tak – odparł Grey, sięgając pospiesznie po surdut. Nie miał wątpliwości, że znalazłby jadalnię bez niczyjej pomocy, ale okazja, żeby przyjrzeć się, jak ten młodzieniec się porusza...

– Tak, ale dopiero kiedy zajmę się włosami jego lordowskiej mości – poprawił go Tom Byrd, wchodząc do pokoju, dzierżąc w rękach przybory do układania włosów. – Wbił w Greya groźne spojrzenie. – Nie pójdzie pan tak na kolację, milordzie, niech pan sobie nawet nie myśli. Proszę siadać. – Wskazał stołek z surową miną i podpułkownik Grey, dowódca sił Jego Królewskiej Mości na Jamajce, potulnie usłuchał swojego dziewiętnastoletniego kamerdynera. Nie zawsze pozwalał Tomowi na wszystko, ale w obecnej sytuacji nie miał nic przeciwko temu. Był to pretekst, aby posiedzieć w towarzystwie młodego czarnoskórego sługi.

Tom rozmieścił na toalecie wszystkie przybory – dwie srebrne szczotki do włosów, szkatułkę pudru,

lokówkę – ze starannością i uwagą chirurga układającego skalpele oraz piły. Sięgnął po szczotkę i nachylił się nad Greyem, przyglądając się jego głowie, po czym aż się zachłysnął.

– Milordzie! Wielki, czarny pajak chodzi panu po skroni!

Grey odruchowo trzepnął się w czoło, a wspomniany pajak – wyraźnie widoczna brązowa istota o długości niemal pół cala – poleciał w powietrze i uderzył o zwierciadło ze słyszalnym stuknięciem, a potem opadł na blat toaletki i rzucił się do ucieczki.

Tom i czarnoskóry służący wydali identyczne okrzyki przerażenia i rzucili się w pogoń za stworzeniem. Zderzyli się przed toaletką i upadli na podłogę, młócąc kończynami. Tłumiąc niemal nieodpartą chęć roześmiania się, Grey przestąpił nad nimi i zatłukł uciekającego pajaka tylną częścią drugiej szczotki.

Pomógł Tomowi wstać i go otrzepał, pozwalając drugiemu służącemu podnieść się o własnych siłach. Zbył wszelkie przeprosiny, zapytał tylko, czy pajak był jadowity.

– Och, tak, panie – zapewnił go żarliwie służący. – Gdyby któryś z nich cię ukąsił, natychmiast poczułbyś straszliwy ból. Ciało dookoła rany zaczęłoby gnić, w ciągu godziny dostałbyś gorączki i najpewniej nie dożyłbyś świtu.

– Rozumiem – powiedział neutralnym tonem Grey, czując, jak cierpie mu skóra. – Może mógłbyś zatem

rozejrzeć się po pokoju, kiedy Tom będzie pracował? Na wypadek gdyby takie pająki poruszały się stadami?

Grey usiadł i pozwolił Tomowi uczesać i ułożyć sobie włosy, przyglądając się młodemu mężczyźnie, kiedy ten pilnie szukał pod łóżkiem i toaletką, wysunął kufer podróżny Greya, podniósł opadające na podłogę zasłony i potrząsnął materiałem.

– Jak masz na imię? – zapytał sługę, zwracając uwagę na to, że ręce Toma się trzęsą. Miał nadzieję, że odwróci jego uwagę od myśli o niebezpiecznej faunie, w którą Jamajka bez wątpienia obfitowała. Tom nie bał się niczego na ulicach Londynu i bez wahania stawiał czoło rozwścieczonym psom i spłoszonym koniom. Pająki jednak stanowiły zupełnie inną kwestię.

– Rodrigo, panie – powiedział młodzieniec, przerywając przeszukiwanie zasłon, aby się uklonić. – Do usług, panie.

Wyglądało na to, że czuje się całkiem swobodnie w ich towarzystwie. Rozmawiał z nimi o mieście i pogodzie – był pewien, że wieczorem, koło dziesiątej, będzie padać – i Grey doszedł do wniosku, że zapewne od dłuższego czasu pracował jako sługa u dobrych rodzin. Był ciekaw, czy młodzieniec jest niewolnikiem czy wolnym człowiekiem.

Wmawiał sobie, że podziwia Rodriga tak samo, jak podziwiałby przepiękną rzeźbę czy wysmakowany obraz. Jeden z jego przyjaciół rzeczywiście posiadał kolekcję greckich amfor ozdobionych scenami, które wzbudzały w

nim podobne odczucia. Zmienił nieco pozycję na krześle i skrzyżował nogi. Wkrótce miał pójść na kolację. Postanowił myśleć o ogromnych, włochatych pająkach. Szło mu już całkiem dobrze, kiedy coś wielkiego i czarnego wybiegło z pustego kominka.

Wszyscy trzej krzyknęli i zerwali się na równe nogi, tupiąc jak oszalali. Tym razem to Rodrigo pokonał intruza, przydeptując go solidnym butem.

– Co to, u diabła, było? – zapytał Grey, pochylając się, aby się przyjrzeć stworzeniu, które miało dobre trzy cale długości, lśniło czernią, miało owalny kształt oraz obrzydliwe, długie, drgające czułki.

– To tylko karaluch, panie – zapewnił Rodrigo, ocierając dłonią pot z hebanowego czoła. – Nie zrobią ci krzywdy, ale są wyjątkowo nieprzyjemne. Jeśli dostaną się do łóżka, zjedzą ci brwi.

Tom wydał cichy, zduszony okrzyk. But Rodriga nie unicestwił karalucha, tylko trochę mu przeszkodził. Owad wyciągnął teraz kolczaste odnóża, podniósł się i na powrót ruszył w drogę, choć nieco wolniej. Grey, któremu włoski na ramionach stanęły dęba, chwycił łopatkę o jesionowej ręczce spomiędzy narzędzi ustawionych przy kominku, podniósł na niej owada, otworzył z rozmachem drzwi i wyrzucił ohydne stworzenie tak daleko na zewnątrz, jak potrafił, czyli biorąc pod uwagę stan jego umysłu, dość daleko.

Kiedy wrócił do pokoju, Tom był biały jak mleko, ale podniósł płaszcz pracodawcy drżącymi rękami. Upuścił

go jednak, a potem – mamrocząc przeprosiny – znów się nad nim nachylił tylko po to, żeby wrzasnąć krótko i ponownie upuścić odzienie. Odskoczył, ale prawie od razu gruchnął o ścianę tak mocno, że Grey usłyszał trzask pękających desek i sypiący się tynk.

– Co znowu, u licha? – Pochylił się i ostrożnie sięgnął po leżący na podłodze płaszcz.

– Niech pan go nie dotyka, milordzie! – krzyknął Tom, ale Grey wiedział już, o co chodzi. Spomiędzy szkarłatnych fałd wyłonił się niewielki, żółty wąż, który poruszał głową powoli, z zaciekawieniem.

– O, witaj. – Wyciągnął rękę, a wąż tak jak wcześniej posmakował jego skóry, wysuwając na mgnienie oka język, a potem wślizgnął się na jego dłoń. Grey wstał, ostrożnie trzymając węża.

Tom i Rodrigo stali jak skamieniali, wlepiając w niego wzrok.

– Jest nieszkodliwy – zapewnił ich. – A przynajmniej tak mi się wydaje. Musiał mi wcześniej wpaść do kieszeni.

Rodrigo odzyskiwał odwagę. Podeszedł bliżej i przyjrzał się wężowi, ale nie skorzystał z propozycji dotknięcia go, splatając dłonie za plecami.

– Ten wąż cię lubi, panie – powiedział, przenosząc zaciekawiony wzrok z gada na twarz Greya, jakby próbował dostrzec przyczynę tak osobliwego zjawiska.

– Niewykluczone. – Wąż podpełzł nieco i owinął się dookoła dwóch palców Greya, które ścisnął z niebywałą

siłą. – Z drugiej strony możliwe, że próbuje mnie zabić i zjeść. Wiesz, czym się żywi na wolności?

Na to Rodrigo się roześmiał, ukazując przepiękne białe zęby, a Greyowi przemknęła przed oczami wizja tych zębów, tych miękkich warg o kolorze morwy, obejmujących... Zakaszał gwałtownie i odwrócił wzrok.

– Zjadłby wszystko, co nie spróbowałoby go pożreć pierwsze, panie – poinformował Rodrigo. – To zapewne ten karaluch go wywabił. Węże na nie polują.

– Cóż za godne podziwu zwierzę. Myślisz, że moglibyśmy znaleźć mu coś do jedzenia, żeby zachęcić go do zostania tutaj?

Tom zrobił minę, która wyraźnie mówiła, że jeśli wąż zostanie, on odejdzie. Z drugiej jednak strony... Zerknął w stronę drzwi, za które Grey wyrzucił karalucha, i się wzdrygnął. Bardzo niechętnie sięgnął do kieszeni i wyciągnął zgniecioną prawie na płasko bułkę z szynką i piklami.

Kiedy położyli ją na podłodze przed węzem, ten zbadał ją ostrożnie i zignorował chleb oraz pikle, ale owinął się dokładnie dookoła kawałka szynki, zgniótł ją na miazgę, po czym – rozdziawiwszy szeroko szczęki – pochłonął zdobycz przy akompaniamencie wiwatów. Nawet Tom zaklaskał i choć może sugestia Greya, aby wąż zamieszkał w ciemnościach pod łóżkiem (skąd mógł chronić jego brwi), nie wzbudziła jego zachwyty, nie skłoniła go też do protestów. Kiedy oficjalnie wprowadzili gada na miejsce i zostawili go, aby strawił posiłek, Grey

już chciał zadać Rodrigowi kolejne pytania na temat fauny zamieszkującej wyspę, ale uprzedziło go dobiegające z dali uderzenie w gong.

– Kolacja! – zakrzyknął, sięgając po opróżniony już z węży płaszcz.

– Milordzie! Włosów pan nawet nie ma przypudrowanych! – Ku nieustającej rozpaczy Toma Grey uparcie nie nosił peruki, ale w obecnych okolicznościach musiał zgodzić się na puder. Pospiesznie kończąc toaletę, narzucił na siebie płaszcz i uciekł, zanim Tom zdążył zasugerować kolejne zabiegi upiększające.

*

Zgodnie z przewidywaniami Dawesa gubernator wyglądał przy stole na spokojnego i pełnego godności. Zniknęły wszelkie ślady potu, hysterii oraz odurzenia alkoholem i poza krótkimi przeprosinami za swoje nagłe zniknięcie nie wspomniał o ich poprzednim spotkaniu.

Przy stole zasiadł również major Fettes oraz adiutant Greya, kapitan Cherry. Grey tylko na nich zerknął i już wiedział, że z jego żołnierzami wszystko w porządku. Fettes i Cherry stanowili swoje przeciwieństwa pod względem fizycznym: ten pierwszy przypominał kloc drewna, a drugi fretkę, ale obaj byli bardzo kompetentni i ludzie ich lubili.

Z początku rozmowa się nie kleiła, bo trzej żołnierze przez wiele poprzednich tygodni byli na diecie złożonej z sucharów i solonej wołowiny. Zasiedli do uczty z

determinacją właściwą mrówkom, które znalazły bochenek chleba; ogrom wyzwania nie osłabił ich zapachu. Kiedy jednak dania zaczęto podawać nieco wolniej, Grey nawiązał rozmowę – jako najwyższy rangą gość i dowódca miał ten przywilej.

– Pan Dawes przedstawił mi obowiązki nadzorcy – powiedział, zachowując pozory uprzejmości. – Od jak dawna kapitan Cresswell zajmuje to stanowisko?

– Od około sześciu miesięcy, pułkowniku – odparł gubernator, ocierając usta płócienną serwetką. Był całkiem opanowany, ale Grey widział kątem oka Dawesa i wydawało mu się, że sekretarz nieco zeszywniał. To było interesujące: musi znów porozmawiać z Dawesem na osobności i dokładniej omówić sprawę nadzorców.

– Czy przed kapitanem Cresswellem ktoś pełnił tę funkcję?

– Tak... Co więcej, było ich dwóch, czyż nie, panie Dawes?

– Tak. Kapitan Ludgate i kapitan Perriman. – Dawes starannie unikał patrzenia Greyowi w oczy.

– Bardzo chciałbym z nimi porozmawiać – powiedział miłym tonem Grey.

Dawes się wzdrygnął, jakby ktoś wbił mu szpilkę w pośladek. Gubernator przeżuł winogrono, przełknął i odparł:

– Bardzo mi przykro, pułkowniku. Zarówno Ludgate, jak i Perriman opuścili King's Town.

– Dlaczego? – zapytał bezpośrednio John Fettes.

Gubernator się tego nie spodziewał; szybko zamrugał.

– Sądzę, iż major Fettes chciałby wiedzieć, czy odebrano im stanowiska z powodu jakichś sprzeniewierzeń lub korupcji – skomentował poufałym tonem Bob Cherry. – A jeśli tak przedstawiała się sytuacja, czy otrzymali pozwolenie na opuszczenie wyspy zamiast innej kary? A jeśli tak...

– Dlaczego? – wtrącił zgrabnie Fettes.

Grey powstrzymał uśmiech. Gdyby pokój zapanował na szeroką skalę i zakończyła się ich wojskowa kariera, Fettes i Cherry mogliby bez trudności zarobić na życie jako rewiowy duet komików specjalizujący się w szermierce słownej. Prowadząc przesłuchania, potrafili błyskawicznie wywołać u niemal każdego podejrzanego dezorientację i wyciągnąć od niego zeznanie.

Wyglądało jednak na to, że albo Warren jest twardszy niż przeciętny złoczyńca, albo nie ma nic do ukrycia. Grey doszedł do tego wniosku, przysłuchując się, jak gubernator tłumaczy zmęczonym, lecz cierpliwym tonem, że Ludgate przeszedł na emeryturę z powodu słabego zdrowia, a Perriman otrzymał spadek i wrócił do Anglii.

Chyba jednak nie, pomyślał, patrząc, jak wyciągnięta niepewnie dłoń gubernatora drga nad misą z owocami. Coś ukrywa. Dawes też. Ale czy ukrywają to samo? I czy ma to cokolwiek wspólnego z obecną sytuacją?

Równie dobrze gubernator mógł ukrywać własne sprzeniewierzenia lub korupcję – obrzucając spojrzeniem kosztowną srebrną zastawę na kredensie, Grey pomyślał

beznamiętnie, że to prawdopodobne. Łapówki uważano – w granicach rozsądku – niemal za jeden ze zwyczajowych przywilejów ludzi zajmujących wysokie stanowiska. Jeśli tak się sprawa miała, Grey nie miał zamiaru się nią zajmować, chyba że w jakiś sposób wiązała się też z maronami i ich buntem.

Choć przyglądanie się Fettesowi i Cherry’emu przy pracy było świetną rozrywką, Grey przerwał im krótkim kiwnięciem głowy i ponownie wrócił do tematu rebelii.

– Jakie wiadomości otrzymał pan jak dotąd od buntowników? – zapytał gubernatora. – Wydaje mi się, że rebelie zazwyczaj mają konkretną przyczynę. Co tu nią było?

Warren wlepił w niego wzrok, rozdziawiając usta. Zamknął je powoli i zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział. Zapewne rozważał, czego Grey może się dowiedzieć, podążając innymi tropami.

Wszystkiego, czego będę mógł, do diabła, pomyślał pułkownik, przywołując na twarz wyraz neutralnego zainteresowania.

– No cóż, jeśli o to chodzi... incydem, który rozpoczął te... no... kłopoty... było aresztowanie dwóch młodych maronów, którym zarzucono kradzież z magazynu w King’s Town. Obu wychłostano na rynku i wtrącono do więzienia, po czym...

– Stało się to po procesie? – przerwał mu Grey.

Spoczęło na nim spojrzenie gubernatora, chłodne mimo przekrwionych oczu.

– Nie, pułkowniku. Nie mieli prawa do procesu.

– Kazał ich pan wychłostać i uwięzić na podstawie zeznań... kogo? Poszkodowanego kupca?

Warren wyprostował się nieco i uniósł podbródek. Grey dostrzegł, że służący ogolił mu twarz, ale przeoczył kępkę czarnego zarostu na szczupłym policzku; wyglądała jak owłosiony pieprzyk.

– Nie ja, pułkowniku – powiedział zimnym tonem. – Wyrok wydał sędzia w King's Town.

– Któż to taki?

Dawes zamknął oczy, krzywiąc się nieco.

– Samuel Peters.

Grey podziękował kiwnięciem głowy.

– Kapitan Cherry odwiedzi jutro sędziego Petersa – oznajmił miłym tonem. – A także więźniów. Rozumiem, że nadal znajdują się w areszcie?

– Nie – wtrącił Dawes, nagle przestając udawać mysz pod miotłą. – Tydzień po tym, jak ich schwytano, uciekli.

Gubernator rzucił sekretarzowi krótkie, pełne irytacji spojrzenie, ale przytaknął niechętnie. Po dalszych naciskach obaj przyznali, że maronowie przysłali za pośrednictwem kapitana Cresswella protest w sprawie tego, jak potraktowano więźniów. Ci jednak uciekli, zanim protest dotarł do miasta, więc uznano, że jakakolwiek reakcja nań jest zbędna.

Grey przez moment się zastanawiał, czyje poparcie zapewniło Warrenowi jego pozycję, ale porzucił tę myśl, aby skupić się na dalszych pytaniach. Dowiedział się, że

pierwszy atak nastąpił bez uprzedzenia: spalono pola trzciny cukrowej na odległej plantacji. Wiadomość o tym incydencie dotarła do Spanish Town kilka dni później, a w tym czasie inna plantacja ucierpiała tak samo.

– Kapitan Cresswell oczywiście natychmiast pojechał zbadać sprawę – powiedział Warren napiętym tonem.

– I?

– Nie wrócił. Maronowie nie zażądali za niego okupu ani nie zawiadomili o jego śmierci. Może jest wśród nich, a może nie. Po prostu nie wiemy.

Grey nie mógł się powstrzymać przed zerknięciem na Dawesa, który wyglądał na niezadowolonego, ale wzruszył nieznacznie ramionami. Nie do niego należało wyjawianie informacji, których gubernator nie chciał wyjawić, prawda?

– Czy dobrze rozumiem – powiedział Grey, już nie próbując ukryć irytacji – że od tamtego pierwszego protestu ani razu nie porozumiał się pan z buntownikami? I nie podjął pan nawet wysiłków, żeby nawiązać jakiś kontakt?

Warren nieco się nadał, ale odpowiedział spokojnym tonem:

– Ależ tak, pułkowniku. Posłałem po pana. – Uśmiechnął się leciutko i sięgnął po karafkę.

*

Wilgotne i lepkie wieczorne powietrze drżało od nadciągającej burzy. Nie mogąc już znieść ciasnego

munduru, Grey zrzucił go z siebie, nie czekając na pomoc Toma, i stanął nago pośrodku pokoju. Zamknął oczy i cieszył się dotykiem powietrza napływającego od strony tarasu.

Powietrze miało w sobie coś niezwykłego. Choć było ciepłe, nawet wewnątrz wyczuwało się w nim coś jedwabistego, przywodzącego na myśl morze i czystą, błękitną wodę. Grey nie widział wody ze swojego pokoju. Nawet gdyby ze Spanish Town rozciągał się na nią widok, jego pokój wychodził na porośnięte dzunglą zbocze. Czuł ją jednak i nagle nabrał ochoty, aby wejść w fale i zanurzyć się w czystym chłodzie oceanu. Słońce już prawie zaszło i krzyki papug oraz innych ptaków rozlegały się coraz rzadziej.

Zerknął pod łóżko, ale nie dostrzegł węża. Może wycofał się głębiej, w cień, a może udał się na poszukiwanie kolejnego kawałka szynki. Grey się wyprostował, przeciągnął z lubością, a potem otrząsnął i stanął nieruchomo, mrugając tylko, otępiały od nadmiaru wina, jedzenia i braku snu – w ciągu poprzedniej doby przespał tylko trzy godziny, zajęty zejściem na ląd i podróżą do siedziby gubernatora.

Miał wrażenie, że umysł opuścił go na chwilę; nieważne, niedługo wróci. Tymczasem jednak abdykacja rozumu oznaczała, że miejsce przy sterach zajęło ciało, które było absolutnie nieodpowiedzialne.

Był wykończony, ale niespokojny. Podrapał się leniwie w pierś. Znaczące ją rany już całkiem się zagoiły,

zostały po nich tylko lekko wypukłe, różowe blizny przecinające się wśród jasnych włosów. Jedna biegła o cal od lewego sutka, miał szczęście, że go nie stracił.

Na łóżku leżał wielki kłęb gazy. To zapewne ta moskitiera, którą opisał mu przy kolacji Dawes – materia otaczająca całe łóżko i chroniąca leżącego w nim człowieka przed zakusami krwiożerczych owadów.

Po kolacji Grey spędził trochę czasu z Fettesem i Cherrym, układając plany na następny dzień. Cherry miał odwiedzić sędziego Petersa i dowiedzieć się wszystkiego o schwytanych maronach, a Fettes – wysłać ludzi do King's Town z zadaniem odszukania przebywającego na emeryturze pana Ludgate'a, niegdysiejszego nadzorcy. Jeśli uda się go odnaleźć, Grey chciał wiedzieć, co ów dżentelmen sądzi o swoim następcy. A w sprawie tego następcy... jeśli Dawesowi nie uda się do jutrzejszego wieczoru namierzyć kapitana Cresswella... Grey ziewnął mimo woli, a potem pokręcił głową. Dosyć.

Żołnierze na pewno byli już w swoich kwaterach. Niektórym przyznano pierwszą od miesiący przepustkę. Grey rzucił okiem na niewielki plik map i raportów, które wydobył wcześniej od Dawesa, ale mogły one poczekać do rana, na lepsze światło. Łatwiej mu się będzie myślało, jeśli się wyśpi.

Kiedy rozejrzał się szybko po tarasie i uznał, że sąsiednich pokoi nikt nie zajmuje, oparł się o framugę otwartych drzwi balkonowych. Od strony morza zaczęły nadciągać chmury i przypomniał sobie, co Rodrigo mówił

o wieczornym deszczu. Wydawało mu się, że czuje w powietrzu odrobinę chłodu, czy to spowodowanego nadciągającą ulewą, czy zbliżającą się nocą. Dostał gęsiej skórki.

Z miejsca, gdzie stał, nie widział nic poza porośniętym dżunglą wzgórzem, które lśniło w półmroku głęboką zielenią niczym mroczny szmaragd. Kiedy jednak wracał z kolacji przez drugą stronę domu, dostrzegł rozciągające się poniżej Spanish Town, labirynt wąskich, wonnych uliczek. Przyszło mu do głowy, że gospody i burdele będą miały tego wieczoru ogromny utarg.

Ta myśl wzbudziła w nim dziwne uczucie podobne do urazy. Każdy z żołnierzy, których ze sobą przywiózł, od najniższego rangą szeregowca po samego Fettesa, mógł wejść do któregoś z burdeli w Spanish Town – a Cherry wspominał, że jest ich sporo – i ukoić nerwy po trudach długiej podróży, nie prosząc się przy tym o choćby słowo uwagi, właściwie całkowicie nie zwracając uwagi. Ale nie on.

Patrząc, jak gaśnie światło słońca, opuścił dłoń, leniwie masując sobie ciało. W Londynie były lokale dla mężczyzn takich jak on, ale od lat nie odwiedził któregoś z nich.

Jednego kochanka odebrała mu śmierć, drugiego – zdrada. Trzeciego... zacisnął usta. Czy można nazwać kochankiem kogoś, kto nigdy by cię nie dotknął? Kto wzdragał się na samą myśl o dotknięciu cię? Nie. A jednak jak nazwać człowieka, którego umysł dotknął

twoich myśli, którego szorstka przyjaźń była prawdziwym darem, którego charakter, a nawet samo istnienie pomogło ci określić samego siebie?

Nie po raz pierwszy – i z pewnością nie ostatni – przez moment pragnął śmierci Jamiego Frasera. Było to jednak bezmyślne pragnienie, z którego od razu się otrząsnął. Kolor dżungli przygasł do szarości popiołów, a owady zaczęły bzyczeć Greyowi koło uszu.

Wrócił do środka i zaczął się zmagać z fałdami gazy, aż wszedł Tom, odebrał mu ją, zawiesił moskitierę nad łóżkiem i przygotował go do spania.

*

Nie mógł zasnąć. Niezależnie od tego, czy był to skutek ciężkiego posiłku, przebywania w nieznanym miejscu, a może po prostu troski wywołanej nowym zadaniem, jego myśli i ciało wciąż były niespokojne. Nie marnował jednak czasu na bezcelowe przewracanie się z boku na bok – przywiózł ze sobą kilka książek. Lektura fragmentu *Historii życia Toma Jonesa* rozproszy go i sprowadzi sen.

W drzwiach balkonowych wisiały przejrzyste zasłony z muślinu, ale księżyc był prawie w pełni i dawał dość światła, aby Grey odnalazł pudełko z hubką i krzesiwem oraz świecznik. Świeca była z dobrego wosku pszczelego i zapłonęła czystym, jasnym płomieniem, który natychmiast przyciągnął chmarę zaciekawionych komarów, moskitów i maleńkich ciem. Grey podniósł

świecę z zamiarem zaniesienia jej ze sobą do łóżka, ale potem zmienił zdanie.

Lepiej dać się pożreć moskitom czy spłonąć żywcem? Grey rozważał to przez jakieś trzy okamgnienia, a potem postawił świecznik z powrotem na biurku. Moskitiera spłonęłaby błyskawicznie, gdyby świeca przewróciła się w łóżku.

Nie musiał jednak stawać w obliczu śmierci przez wykrwawienie się ani radzić sobie ze swędzącymi bąblami tylko dlatego, że jego kamerdyner nie przepadał za zapachem niedźwiedziego łaju. W każdym razie i tak nie pobrudziłby nim ubrań.

Zdjął koszulę nocną i uklęknął, aby pogrzebać w kufrze, oglądając się przez ramię ze skruchą. Tom jednak był już zadomowiony gdzieś na poddaszu lub w jednym z budynków gospodarczych siedziby gubernatora i niemal na pewno głęboko spał. Bardzo cierpiał z powodu choroby morskiej i źle zniósł podróż na Jamajkę.

Upał nie przysłużył się też podniszczonej puszcze niedźwiedziego łaju; przez smród zjełczałego tłuszczu prawie nie było czuć zapachu mięty pieprzowej i innych ziół, które do niego dodano. Grey jednak wytłumaczył sobie, że jeśli ta woń budzi w nim obrzydzenie, na pewno jeszcze bardziej nie spodoba się moskitom, i wtarł łój wszędzie, gdzie potrafił dosięgnąć. Mimo smrodu nie było to nieprzyjemne. Maść wciąż zachowała dość pierwotnego zapachu, żeby przypomnieć Greyowi o tym, jak używał jej w Kanadzie. Dość, żeby przypomnieć mu

Manoke, który mu ją podarował i namaścił go nią pewnego chłodnego, błękitnego wieczoru na bezludnej, piaszczystej wyspie na Rzece Świętego Wawrzyńca.

Kiedy skończył, odłożył puszkę i dotknął swojego nabrzmiewającego członka. Wątpił, czy jeszcze kiedykolwiek spotka Manoke. Ale go pamiętał, i to doskonale.

Chwilę później łapał oddech, leżąc na łóżku pod moskitierą, a serce biło mu mocno, powoli, w kontrapunkcie do ech niosących się po jego ciele. Otworzył oczy, przyjemnie zrelaksowany. Jasność umysłu w końcu powróciła. W pokoju było duszno: służący pozamykali oczywiście okna, aby nie wpuszczać niebezpiecznego nocnego powietrza, i jego skórę pokrywały kropelki potu. Był jednak zbyt rozleniwiony, żeby wstać i otworzyć drzwi na taras. Wystarczy, że zrobi to za chwilę.

Na powrót zamknął oczy – a potem otworzył je nagle i wyskoczył z łóżka, sięgając po sztylet, który wcześniej odłożył na stół. Służący o imieniu Rodrigo przywarł do drzwi. Białka oczu odcinały się od czarnej twarzy.

– Czego chcesz? – Grey położył sztylet na stole, ale nie zdjął z niego ręki. Serce wciąż mu waliło.

– Mam wiadomość, panie – powiedział młodzieniec. Przełknął głośno ślinę.

– Tak? Chodź do światła, żebym cię widział. – Grey sięgnął po szlafrok o kroju orientalnym i włożył go, nie spuszczając wzroku z mężczyzny.

Rodrigo wyszedł z za framugi z widoczną niechęcią, ale przybył, żeby coś powiedzieć, i miał zamiar dopiąć swego. Stał w kręgu słabego światła rzucanego przez świecę, nerwowo przebierając palcami.

– Wiesz, panie, kim jest kapłan obeah?

– Nie.

Widać było, że ta odpowiedź wprawiła Rodriga w zakłopotanie. Zamrugał i skrzywił się, wyraźnie nie będąc w stanie opisać tej osoby. W końcu bezradnie wzruszył ramionami i się poddał.

– On chce ci powiedzieć, żebyś miał się na baczności, panie.

– Doprawdy? – zapytał Grey oschle. – Przed czymś konkretnym?

To chyba pomogło, bo Rodrigo pokiwał energicznie głową.

– Nie bądź blisko gubernatora, panie. Trzymaj się z daleka, tak daleko, jak możesz. On... to znaczy... może się stać coś niedobrego. Wkrótce. On... – Służący nagle przerwał. Najwyraźniej przyszło mu do głowy, że może zostać co najmniej odprawiony za mówienie o gubernatorze w taki sposób. Greya jednak bardzo to zaciekało i usiadł, gestem prosząc Rodriga, żeby zajął miejsce na stołku, co ten zrobił mimo widocznych oporów.

Grey pomyślał, że kimkolwiek jest kapłan obeah, najwyraźniej dysponuje sporą władzą, skoro zmusił Rodriga do zrobienia czegoś, na co młodzieniec wyraźnie

nie miał ochoty. Służący miał twarz zroszoną potem i odruchowo zaciskał dłonie na materiale liberii.

– Powtórz mi, co powiedział kapłan obeah – powiedział Grey, nachylając się ze skupieniem. – Obiecuję, że nikomu tego nie zdradzę.

Rodrigo znów przełknął ślinę, ale przytaknął. Pochylił głowę i wlepił wzrok w stół, jakby mógł znaleźć odpowiednie słowa wyryte w słojach drewna.

– Zombi – wymamrotał niemal bezgłośnie. – Zombi po niego przyjdą. Po gubernatora.

Grey nie miał pojęcia, czym mogą być owe zombi, ale Rodrigo wypowiedział to słowo takim tonem, że po skórze przebiegł mu dreszcz, nagły niczym widoczna w oddali błyskawica.

– Zombi – powtórzył ostrożnie. Przypomniawszy sobie wcześniejszą reakcję gubernatora, zapytał: – Czy zombi to może jakiś gatunek węża?

Rodrigo nabrał gwałtownie powietrza, ale potem chyba się trochę rozluźnił.

– Nie, panie – odparł pełnym powagi tonem. – Zombi to martwi ludzie.

Potem wstał, skłonił się szybko i wyszedł, przekazawszy wiadomość.

*

Jak można się było spodziewać, Grey nie zasnął natychmiast po tej wizycie.

Napotkał już niemieckie wiedźmy i indiańskie duchy,

a także spędził rok czy dwa w szkockich górach, więc był lepiej niż większość ludzi zaznajomiony z malowniczymi przesadami. Choć nie był gotów od razu dać wiarę miejscowym zwyczajom i wierzeniom, nie miał też zamiaru bez zastanowienia ich odrzucać. Wierzenia popychały ludzi do czynów, na które w zwykłych okolicznościach by się nie zdobyli, i bez względu na to, czy miały one jakiegokolwiek podstawy, działania będące ich następstwem zdecydowanie były rzeczywiste.

Pomijając jednak kapłanów obeah i zombi, coś najwyraźniej groziło gubernatorowi Warrenowi – a Grey sądził, że gubernator wie co.

Jak nagła jednak była to sytuacja? Grey zgasił świecę palcami i przez chwilę siedział w ciemnościach, pozwalając oczom się do nich przyzwyczaić, a potem wstał i cicho podszedł do drzwi balkonowych, za którymi zniknął Rodrigo.

Kwatery gościnne w siedzibie gubernatora były po prostu ciągiem zwykłych pokoi wychodzących na długi taras dostępny dzięki identycznym drzwiom balkonowym. Te były pozasłaniane na noc długimi, jasnymi kotarami z perkalu. Grey zamarł na chwilę z dłonią na zasłonie – jeśli ktokolwiek obserwował jego pokój, zauważyłby, że ją odsuwa.

Rozmyślił się, odwrócił i ruszył do drzwi wejściowych. Otwierały się na wąski korytarz, pogrążony teraz w całkowitych ciemnościach i zupełnie pusty, jeśli zmysły go nie zawodziły. Zamknął cicho drzwi.

Interesujące, że Rodrigo przybył przez taras, skoro mógł przyjść do Greya niewidziany.

Powiedział jednak, że przysłał go kapłan obeah. Najwyraźniej chciał, aby widziano, że wypełnił rozkaz. Co z kolei oznaczało, że najpewniej ktoś go obserwował, żeby się upewnić.

Logiczny wniosek był taki, że ten sam ktoś przygląda się, aby sprawdzić, co teraz zrobi Grey.

Jego ciało już doszło do własnych wniosków: sięgnął po spodnie i koszulę, zanim jeszcze na dobre postanowił, że jeśli coś ma się wkrótce przytrafić Warrenowi, jego obowiązkiem jest temu zapobiec, niezależnie od tego, czy chodzi o zombi czy nie. Wyszedł na taras, wcale się nie ukrywając.

Zgodnie z oczekiwaniami Greya na obu końcach tarasu pełnił wartę jeden żołnierz piechoty. Robert Cherry był niezwykle sumienny. Z drugiej jednak strony ci przekłęci wartownicy najwyraźniej nie dostrzegli Rodriga wchodzącego do jego pokoju, z czego Grey absolutnie nie był zadowolony. Nagana mogła jednak poczekać; stojący bliżej żołnierz zauważył przynajmniej jego i rzucił ostrym głosem pytanie:

– Kto idzie?

– To ja – odparł krótko Grey i posłał żołnierza z rozkazami, aby uprzedził pozostałych ludzi porozstawianych po posiadłości, a potem wysłał dwóch do holu, gdzie mieli czekać na wezwanie.

Potem Grey wrócił do własnej sypialni i przez drzwi

wejściowe wyszedł na ciemny korytarz. Za drzwiami na jego końcu natknął się na czarnoskórego służącego, który drzemał przy rzędzie zawieszonych nad ogniem ogromnych kotłów dostarczających domostwu gorącej wody.

Kiedy Grey nim potrząsnął, aby go obudzić, mężczyzna wlepił w niego wzrok, mrugając z dezorientacją, ale w końcu pokiwał głową i zaprowadził pułkownika do sypialni gubernatora, położonej w głównej części domu. Musieli wspiąć się po ciemnych schodach, oświetlonych jedynie poświatą księżyca wpadającą przez wysokie okna. Na górnym piętrze ciszę przerywało tylko powolne, miarowe chrapanie dobiegające z pokoju, który – jak powiedział sługa – należał do Warrena.

Mężczyzna chwiał się ze zmęczenia i Grey odprawił go z rozkazem, aby wpuścił żołnierzy, którzy powinni już czekać przed drzwiami, i wysłał ich na górę. Sługa ziewnął rozdzierająco i Grey odprowadził go wzrokiem, kiedy mężczyzna schodził niepewnie po schodach w stronę mrocznego holu, mając nadzieję, że nie spadnie i nie skręci karku. W domu panowała całkowita cisza. Zaczął czuć się trochę głupio. A jednak...

Miał wrażenie, że dom oddycha dookoła niego, prawie jakby był żywą, świadomą jego obecności istotą. To urojenie zaniepokoiło Greya.

Zastanawiał się, czy powinien obudzić Warrena. Ostrzec go? Przesłuchać? Postanowił, że tego nie robi. Nie było sensu zakłócać mu snu. Pytania mogły poczekać

do rana.

Odgłos kroków na schodach rozwiął jego niepokój. Wydał cicho rozkazy. Wartownicy otrzymali zadanie pilnowania tych drzwi, dopóki o świcie ktoś ich nie zmieni. Na jakikolwiek niepokojący odgłos z sypialni mieli natychmiast wejść do środka. W przeciwnym razie...

– Zachowajcie czujność. Jeśli cokolwiek zobaczycie lub usłyszycie, chcę o tym wiedzieć.

Zamarł na chwilę, ale Warren wciąż chrapał, więc Grey wzruszył ramionami i zszedł po schodach, po czym wrócił przez jedwabistą noc do swojego pokoju.

Najpierw wyczuł zapach. Przez moment wydawało mu się, że nie zamknął puszek maści z niedźwiedziego łoju – a potem słodkawy smród zgnilizny chwycił go za gardło. Prawie natychmiast dołączyła do niego para dłoni, które wyłoniły się z ciemności.

Zaczął walczyć, ogarnięty straszliwą paniką, waląc na odlew i kopiąc dziko, ale uścisk na jego tchawicy nie zelżał i na skraju jego pola widzenia – gdyby cokolwiek widział – zaczęły błyskać jasne światła. Ogromnym wysiłkiem woli zmusił się do całkowitego rozluźnienia mięśni. Nagły ciężar bezwładnego ciała zaskoczył napastnika i wyrwał Greya z jego rąk. Pułkownik upadł na podłogę i się odtoczył.

Do diabła, gdzie ten człowiek? Jeśli to był człowiek. Choć jego umysł dopominał się o racjonalne wyjaśnienia, jego bardziej instynktowną reakcją było wspomnienie

ostatnich słów Rodriga: „Zombi to martwi ludzie”. Cokolwiek przebywało z nim teraz w ciemnościach, nie żyło, zdaje się, od kilku dni, gdyby sądzić po zapachu.

Usłyszał szelest. Coś zbliżało się do niego po cichu. Czy to szmer oddechu? Odpowiedź na to pytanie utrudniło mu jego własne rżące dyszenie i walenie pompującego krew serca, które rozbrzmiewało mu w uszach.

Leżał przy ścianie, z nogami pod siedziskiem toaletki. Teraz, kiedy jego wzrok już się przyzwyczyił do mroku, Grey dostrzegł, że w pokoju jest nieco światła: drzwi balkonowe wyglądały w ciemnościach jak blade prostokąty. Widział też zarys swojego prześladowcy. Miał ludzką sylwetkę, ale był dziwnie przygarbiony. Zwracał głowę i tułów to na prawo, to na lewo, prawie tak, jakby próbował odszukać go po zapachu. Co z pewnością nie zajmie mu dłużej niż chwilę.

Grey usiadł szybko, chwycił niewielki, wyściełany stołek i rzucił z całych sił w stronę nóg istoty. Wydała zaskoczony, zdecydowanie ludzki okrzyk i zatoczyła się, wymachując ramionami, aby nie stracić równowagi. Ten dźwięk uspokoił nieco Greya. Podniósł się na kolano, a potem rzucił na istotę, wywrzaskując bezładną wiązkę przekleństw.

Uderzył napastnika głową na wysokości mniej więcej klatki piersiowej i poczuł, że ten się cofa, po czym wykonał sus w stronę plamy cienia, w której, jak mu się wydawało, znajdował się stół. Odnalazł go, a także –

przesunąwszy gorączkowo dłońmi po blacie – sztylet, który wciąż leżał tam, gdzie go wcześniej zostawił. Chwycił nóż i odwrócił się w samą porę, aby zmierzyć się ze śmierdzącą, wydającą z siebie nieprzyjemne mlaskanie istotą, która natychmiast się do niego zbliżyła. Zamachnął się nożem i poczuł, że ostrze przesuwają się po przedramieniu istoty, odbijając się od kości. Napastnik wrzasnął – Grey poczuł na twarzy jego śmierdzący oddech – a potem odwrócił się i pobiegł do drzwi balkonowych, przebijając się przez nie wśród fontanny odłamków szkła i fruujących bawełnianych zasłon.

Grey pomknął za nim na taras, krzykami wzywając strażników. Poniewczasie przypomniał sobie jednak, że wartownicy znajdują się w głównej części domu, pilnując gubernatora, aby snu tej osobistości nie zakłóciło... cokolwiek to było. Zombi?

Cokolwiek to było, już zniknęło.

Grey usiadł z rozmachem na kamiennych płytach tarasu, był roztrzęsiony. Wszystkie te hałasy nikogo nie sprowadziły. Nikt by ich z pewnością nie przespał; może tylko jego zakwaterowano po tej stronie posiadłości.

Było mu niedobrze i brakowało mu tchu. Na chwilę oparł czoło o kolana, ale zaraz poderwał głowę, żeby się upewnić, czy nic się w jego stronę nie skrada. Noc była jednak cicha i ciepła. Słysząc tylko szelest liści pobliskiego drzewa, który przez pełen przerażenia moment uznał za znak, że stworzenie przeskakuje z gałęzi na gałąź, szukając schronienia. Potem usłyszał ciche

dźwięki podobne do ćwierkania i syczące piski. Nietoperze, podsunęła mu spokojna, racjonalna część umysłu, a przynajmniej to, co z niej zostało.

Przełknął nerwowo ślinę i zaczął oddychać głęboko, próbując napęłnić płuca czystym powietrzem i zastąpić czymś obrzydliwy smród tamtej istoty. Przez większość życia był żołnierzem, widział poległych na polach bitwy i czuł ich woń. Grzebał martwych towarzyszy broni w okopach i palił ciała wrogów. Wiedział, jak cuchną groby i gnijące ciała. To, co przed chwilą ścisnęło go za szyję, niemal na pewno wyszło ze świeżego grobu.

Mimo ciepłej nocy cały się trząsał. Potarł dłonią lewe ramię, które bolało po walce; trzy lata wcześniej, pod Krefeld, odniósł poważną ranę i prawie je stracił. Mógł się nim posługiwać, ale wciąż było znacznie słabsze, niżby chciał. Zerknąwszy, trochę się jednak wystraszył. Na jasnym rękawie koszuli widać było ciemne plamy, a odwracając prawą dłoń zorientował się, że jest mokra i lepka.

– Chryste – mruknął i przysunął ją do nosa. Tego zapachu nie dało się pomylić z żadnym innym, nawet jeśli towarzyszył mu ów trupi smród i zaskakująca woń kwiatów rosnących w donicach przy tarasie. Zaczął padać wonny i orzeźwiający deszcz, ale nawet on nie był w stanie zamaskować zapachu.

Krew. Świeża krew. W dodatku nie jego.

Skrajem koszuli starł resztę krwi z ręki, a zimna zgroza ostatnich kilku minut zamieniła się w żarzący

węgielek gniewu, który zapłonął w jego brzuchu.

Był żołnierzem przez większość życia; niejednego już zabił. Widział poległych na polach bitwy. Jedno wiedział na pewno: martwi ludzie nie krwawią.

*

Fettes i Cherry oczywiście musieli się o wszystkim dowiedzieć. Tom także, ponieważ tego, jak zrujnowany był jego pokój, nie dało się wytłumaczyć koszmarem sennym. We czterech zgromadzili się w pokoju Greya, aby się naradzić przy świetle świecy. Tom zajął się sprzątaniami całego bałaganu, blady jak ściana.

– Nigdy nie słyszeliście o zombi... albo zombich? Nie mam pojęcia, czy to słowo się odmienia. – Wszyscy pokręcili głowami.

Wielka butelka świetnej szkockiej whisky przetrwała trudy podróży na dnie kufra. Grey nalał każdemu, w tym Tomowi, po szczodrej porcji.

– Tom, popytasz jutro wśród służących? Oczywiście ostrożnie. Wypij to, dobrze ci zrobi.

– Och, będę ostrożny, milordzie – zapewnił gorliwie Tom. Posłusznie łyknął whisky, zanim Grey zdążył go ostrzec. Wytrzeszczył oczy i wydał odgłos jak byk, który usiadł na trzmielu, ale jakimś sposobem udało mu się przełknąć, a potem zamarł, otwierając i zamykając usta jak oniemiały.

Wargi Boba Cherry'ego drgnęły, ale Fettes był jak zawsze niewzruszony.

– Jak pan sądzi, dlaczego pana zaatakowano?

– Jeśli służący, który ostrzegł mnie przed kapłanem obeah, miał rację, mogę jedynie przypuszczać, że stało się to, ponieważ rozstawiłem wartowników, aby strzegli gubernatora. Ale ma pan rację... – Skinął głową na sugestię Fettesa. – Oznacza to, że ktokolwiek jest odpowiedzialny za to... – ruchem ręki objął chaos panujący w sypialni, w której mimo pachnącego deszczem wiatru wpadającego przez roztrzaskane drzwi oraz przypominającej spalony miód woni whisky wciąż śmierdziało intruzem – ...albo obserwował dom, albo...

– Albo tu mieszka – dokończył Fettes i łyknął trunku z namysłem. – Może Dawes?

Grey uniósł brwi. Ten niski, przysadzisty, sympatyczny człowiek? Ale przecież znał wielu niskich, podłych ludzi.

– No cóż – powiedział powoli – to nie on mnie zaatakował, tyle mogę powiedzieć. Kimkolwiek był, górował nade mną i był bardzo szczupły.

Tom wydał pełen wahania odgłos oznaczający, że ma coś do powiedzenia, a Grey pozwolił mu na to, kiwając głową.

– A jest pan pewien, milordzie, że ten człowiek, co pana zaatakował... no... nie był martwy? Bo sądząc po zapachu, leżał w ziemi co najmniej od tygodnia.

Wszystkich zebranych przebiegł dreszcz, ale Grey pokręcił głową.

– Jestem pewien – odparł tak zdecydowanym tonem,

na jaki było go stać. – To był żywy człowiek... choć z pewnością osobliwy – zakończył, marszcząc brwi.

– Czy mamy przeszukać dom? – zaproponował Cherry.

Grey znów pokręcił głową, tym razem niechętnie.

– Wszedł, a może weszło, z ogrodu i uciekł w tym samym kierunku. Zostawił ślady. – Nie dodał, że upłynęło już dość czasu, aby służący, jeśli byli w to zamieszani, ukryli wszelkie tropy. Uznał, że jeśli służba jest w to wplątana, najlepiej będzie wypytać Rodriga, ale wzbudzanie niepokoju w domostwie i przedwczesne zwracanie uwagi na młodzieńca nie przysłużyłoby się jego celowi.

– Tom – powiedział, odwracając się do kamerdynera.

– Czy Rodrigo sprawia wrażenie przystępnego?

– Och, tak, milordzie. Był dla mnie miły przy kolacji – zapewnił go Tom, ściskając miotłę w ręce. – Chce pan, żebym z nim pomówił?

– Tak, jeśli łaska. Poza tym... – Potarł twarz ręką, czując na zuchwie początki zarostu. – Myślę, że będziemy trzymać się naszych planów na jutro. Ale, majorze Cherry... znajdzie pan też czas na przepytanie Dawesa? Może mu pan powiedzieć, co się tu dziś wydarzyło. Jego reakcja będzie dla mnie niezwykle interesująca.

– Tak jest, pułkowniku. – Cherry wyprostował plecy, dopił whisky, zakaszał i przez moment siedział nieruchomo, tylko mrugając. Potem odchrząknął. – A, hmm, co z gubernatorem?

– Sam z nim porozmawiam – odparł Grey. – A potem zamierzam pojechać na wyżyny, odwiedzić kilka plantacji z zamiarem umieszczenia tam jednostek obronnych. Miejscowi muszą widzieć, że podejmujemy szybkie, zdecydowane działania. Jeśli trzeba będzie poprowadzić ofensywę przeciwko maronom, poczekamy z nią i sprawdzimy, z czym przyjdzie się nam mierzyć.

Fettes i Cherry pokiwali głowami; jako weterani wielu bitew nie chcieli zbyt szybko rwać się do walki.

Kiedy spotkanie się skończyło, Grey usiadł ze świeżą szklaneczką whisky w ręku, sącząc trunek, podczas gdy Tom kończył pracę w milczeniu.

– Jest pan pewien, że chce spać dziś w tym pokoju, milordzie? – zapytał, starannie odstawiając stółek na miejsce pod toaletką. – Jestem pewien, że znalazłbym panu inne miejsce.

Grey uśmiechnął się do niego z sympatią.

– Jestem pewien, że tak, Tom. Ale sądzę, że nasz nowy przyjaciel też by to potrafił. Nie, major Cherry wystawi podwójne straże na tarasie, a także w głównym budynku. Będzie całkowicie bezpiecznie. – A nawet jeśli nie, myśl o ukrywaniu się i umykaniu przed tym stworzeniem budziła jego sprzeciw. Nie miał zamiaru pozwolić im, kimkolwiek „oni” byli, myśleć, że wytrącili go z równowagi.

Tom westchnął i pokręcił głową, ale sięgnął za pazuchę i wyciągnął niewielki krzyż, upleciony z kłosów pszenicy i trochę podniszczony, na skórzanym rzemyku.

– No dobrze, milordzie. Ale proszę przynajmniej założyć to.

– Co to jest?

– Talizman, milordzie. Dała mi go ta Ilsa w Niemczech. Powiedziała, że ochroni mnie przed złem, i tak się stało.

– Och, nie, Tom... Przecież musisz zatrzymać...

Zaciskając usta w upartym grymasie, który Grey dobrze znał, Tom nachylił się i założył mu rzemyk na szyję. Potem jego usta się rozluźniły.

– Proszę, milordzie. Teraz przynajmniej ja będę mógł zasnąć.

*

Plan porozmawiania z gubernatorem przy śniadaniu spełził na niczym, ponieważ dżentelmen ów przysłał wiadomość, że źle się poczuł. Grey, Cherry i Fettes wymienili spojrzenia nad stołem, ale Grey powiedział tylko: „Fettes? I pan też, majorze Cherry, poproszę”. Kiwnęli głowami, a na ich twarzach pojawił się wyraz powściągliwej satysfakcji. Pułkownik uśmiechnął się pod nosem; uwielbiali przepytywać ludzi.

Dawes przybył na śniadanie, ale mówił niewiele, całą uwagę poświęcając jajkom i grzankom na talerzu. Grey przyjrzał mu się uważnie, ale po sekretarzu nie widać było, żeby tę noc spędził na jakichś wypadach albo wiedział więcej, niż zdradzał. Grey zerknął na Cherry’ego. Zarówno on, jak i Fettes wyraźnie się

rozpogodzili.

Jak na razie jego droga postępowania była jasna. Musiał jak najszybciej pojawić się publicznie i podjąć działania, które pokażą miejscowym, że sytuacja jest pod kontrolą, a maronom – że ktoś zwrócił na nich uwagę i nie pozwoli im na kolejne niszczycielskie działania.

Po śniadaniu wezwał jednego ze swoich pozostałych kapitanów i zorganizował sobie eskortę. Uznał, że dwunastu ludzi będzie stanowiło dość widoczną grupę.

– A dokąd pan się udaje, pułkowniku? – zapytał kapitan Lossey, ze zmrużonymi oczami dokonując w myślach obliczeń dotyczących koni, jucznych mułów i zapasów.

Grey wziął głęboki oddech i postanowił chwycić byka za rogi.

– Na plantację o nazwie Twelvetrees – odpowiedział.
– Jakież dwadzieścia mil w głąb wyżyn nad King's Town.

*

Philip Twelvetrees był młody – mógł mieć dwadzieścia pięć lat – i przystojny na pewien krzepki sposób. Nie podzielał Greyowi na wyobraźnię, ale mimo to pułkownik poczuł, jak wszystkie jego mięśnie się napinają, kiedy uścisnął mężczyźnie dłoń, szukając na jego twarzy oznak, że Twelvetrees rozpoznał jego nazwisko lub przypisał jego wizycie jakiegokolwiek powody poza troską o obecną sytuację polityczną.

Na twarzy gospodarza nie pojawił się jednak nawet

cień niepokoju czy podejrzliwości, więc Grey rozluźnił się nieco i przyjął propozycję chłodzącego napoju. Otrzymał mieszankę soków owocowych i wina, kwaśną, lecz orzeźwiająca.

– Nazywa się sangria – powiedział Twelvetrees, unosząc szklankę tak, żeby rozświetlił ją miękki promień słońca. – To znaczy „krew”. Po hiszpańsku.

Grey nie mówił zbyt dobrze po hiszpańsku, ale to akurat wiedział. Krew jednak stanowiła całkiem niezły punkt wyjścia dla rozmowy o bieżących sprawach.

– Więc myśli pan, że możemy być następni? – Twelvetrees zbladł zauważalnie pod opalenizną, łyknął pospiesznie sangrii i wyprostował ramiona. – Nie, nie. Jestem pewien, że nic nam nie grozi. Ręczę za lojalność naszej służby.

– Ilu liczy ludzi? I czy daje im pan dostęp do broni?

– Sto szesnaście osób – odparł odruchowo Twelvetrees. Wyraźnie zastanawiał się nad kosztami i zagrożeniami wiążącymi się z uzbrojeniem około pięćdziesięciu mężczyzn – bo co najmniej połowę jego służby na pewno stanowiły kobiety i dzieci – i zezwalaniu im na właściwie nieograniczone poruszanie się po majątku. Najwyraźniej pojawiła mu się też przed oczami wizja nieznaney liczby również uzbrojonych maronów wyłaniających się nagle z ciemności. Popił sangrii.

– Być może... O czym pan myślał? – zapytał nagle, odstawiając szklankę.

Grey właśnie skończył nakreślać mu swój plan, który

zakładał pozostawienie na plantacji dwóch kompanii piechoty, kiedy szelest muślinu dobiegający od drzwi skłonił go do podniesienia wzroku.

– Och, Nan! – Philip przykrył dłonią papiery, które Grey rozłożył na stole, i rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. – Odwiedził nas pułkownik Grey. Pułkowniku, moja siostra Nancy.

– Panno Twelvetrees. – Grey wstał natychmiast, a teraz ruszył w jej stronę i skłonił się nad jej dłonią. Słyszał za sobą, że Twelvetrees pospiesznie zbiera mapy i wykresy na stertę.

Nancy Twelvetrees była równie krzepka, w sympatyczny sposób, jak jej brat, i niezbyt ładna. Miała ciemne, inteligentne oczy, których spojrzenie wyraźnie się zaostrzyło, kiedy brat przedstawił jej gościa.

– Pułkowniku Grey – przywitała go, siadając i pełnym wdzięku gestem zapraszając go, aby zrobił to samo. – Czy przypadkiem nie wywodzi się pan z Greyów z Ilford w hrabstwie Sussex? A może pana krewni należą do londyńskiej gałęzi rodu...?

– Tak, mój brat ma posiadłość w Sussex – odparł pospiesznie, nie wspominając, że chodzi o jego przyrodniego brata Paula, który tak naprawdę nie należał do Greyów, był synem jego matki z pierwszego małżeństwa. Powstrzymał się też przed napomknieniem, że jego starszy brat, z tych samych rodziców, był księciem Pardloe i człowiekiem, z którego ręki dwadzieścia lat wcześniej zginął niejaki Nathaniel Twelvetrees. Co

prowadziłoby do logicznego wniosku, że sam Grey...

Philip Twelvetrees wyraźnie nie chciał niepokoić siostry żadnymi wzmiankami o obecnej sytuacji. Grey skinął mu prawie niedostrzegalnie głową i Twelvetrees się rozluźnił, rozpoczynając uprzejmą, towarzyską konwersację.

– A co takiego sprowadza pana na Jamajkę, pułkownika Grey? – zapytała w końcu panna Twelvetrees.

Wiedząc, że na to pytanie się zanosi, Grey opracował starannie niejasną odpowiedź o trosce Korony o transport morski. Jednak kiedy opowiadał te bzdury, panna Twelvetrees obdarzyła go bardzo bezpośrednim spojrzeniem i zapytała:

– Czy jest pan tu z powodu gubernatora?

– Nan! – zakrzyknął jej brat zgorszony.

– Czy tak? – naciskała, ignorując brata. Jej oczy błyszczały, a policzki miała zarumienione.

Grey uśmiechnął się do niej.

– Czy wolno mi zapytać, dlaczego myśli pani, że może tak być?

– Ponieważ jeśli nie przyjechał pan po to, aby usunąć Derwenta Warrena ze stanowiska, ktoś z pewnością powinien to zrobić!

– Nancy! – Philip był niemal tak samo zaczerwieniony jak siostra. Nachylił się do niej i chwycił za nadgarstek. – Nancy, proszę cię!

Wyglądało na to, że ma ochotę wyrwać rękę, ale potem, widząc błagalny wyraz jego twarzy, zadowolona się

tylko prychnięciem i odchyliła na oparcie krzesła, zaciskając mocno usta.

Grey bardzo chciałby poznać przyczynę antypatii panny Twelvetrees względem gubernatora, ale nie bardzo mógł zapytać o to prosto z mostu, więc zamiast tego gładko skierował rozmowę na inne tory, pytając Philipa o plantację, a pannę Twelvetrees – o przyrodę Jamajki. Sądząc po wiszących w pokoju całkiem niezłych akwarelach przedstawiających rośliny oraz zwierzęta i podpisanych schludnym N.T., była wrażliwa na jej piękno.

Stopniowo napięcie w pokoju opadło i Grey uświadomił sobie, że panna Twelvetrees skupia na nim swoje zainteresowanie. Nie był to, ściśle mówiąc, flirt: nie była stworzona do flirtu. Zdecydowanie jednak dokładała starań, aby zwrócić uwagę na nią jako kobietę. Nie do końca wiedział, o co jej chodzi – nie należał do brzydali, ale nie wydawało mu się, żeby naprawdę ją pociągał. Mimo to nie powstrzymywał jej w żaden sposób. Gdyby Philip zostawił ich sam na sam, Grey może mógłby się dowiedzieć, dlaczego wypowiadała się tak o gubernatorze Warrenie.

Kwadrans później Mulat w dobrze skrojonym odzieniu wsunął głowę przez drzwi salonu i poprosił o rozmowę z Philipem. Zerknął z zainteresowaniem na Greya, ale Twelvetrees ich sobie nie przedstawił, tylko przeprosił na chwilę i zaprowadził gościa – który, jak uznał Grey, musiał być nadzorcą – na drugi koniec

wielkiego, przestronnego pokoju, gdzie zaczęli cichą rozmowę.

Grey natychmiast wykorzystał okazję, aby przenieść całą swą uwagę na pannę Nancy z nadzieją na to, że wyniesie z tej rozmowy to, czego chciał się dowiedzieć.

– Rozumiem, że zna pani gubernatora, panno Twelvetrees? – zapytał, na co ona zaśmiała się krótko.

– Lepiej niżbym chciała, pułkowniku.

– Doprawdy? – zapytał tak zachęcającym tonem, na jaki było go stać.

– Doprawdy – odparła i uśmiechnęła się nieprzyjemnie. – Ale nie traćmy czasu na rozmowy o... osobie o tak podłym charakterze. – Jej uśmiech się zmienił i nachyliła się w jego stronę, dotykając jego dłoni, co go zaskoczyło. – Niech mi pan powie, pułkowniku, czy towarzyszy panu żona? Czy została w Londynie, obawiając się chorób i powstania niewolników?

– Niestety nie jestem żonaty – odparł, myśląc, że panna Twelvetrees najprawdopodobniej wie znacznie więcej, niż życzyłby sobie jej brat.

– Doprawdy? – powiedziała znów, ale tym razem zupełnie innym tonem.

Jej ręka pozostała na jego dłoni o mgnienie oka za długo. Nie na tyle długo, aby było to rażące, ale dość długo, aby zwrócił na ten gest uwagę zwykły mężczyzna – a spostrzegawczość Greya była w tych kwestiach z konieczności znacznie lepiej rozwinięta niż u zwykłego mężczyzny.

Prawie nie myśląc, uśmiechnął się do niej, po czym zerknął na jej brata i znowu na nią, nieznacznie i z żalem wzruszając ramionami. Powstrzymał się przed dodaniem powłóczystego uśmiechu, który wyraziłby obietnicę „później”.

Na moment zagryzła dolną wargę, po czym wypuściła ją spomiędzy zębów, wilgotną i zaczerwienioną, i obdarzyła go spojrzeniem spod opuszczonych powiek, które wyraziło obietnicę „później” i wiele innych. Grey odkaszlnął i z czystej potrzeby powiedzenia czegokolwiek, co nie byłoby sugestywne, zapytał niespodziewanie:

– Czy wie pani przypadkiem, kim jest kapłan obeah, panno Twelvetrees?

Wytrzeszczyła oczy i cofnęła rękę. Greyowi udało się wycofać poza zasięg jej dłoni bez zbyt widocznego odsuwania krzesła i wydało mu się, że tego nie zauważyła. Wciąż patrzyła na niego z wielką uwagą, ale natura tej uwagi się zmieniła. Ostre pionowe zmarszczki między jej brwiami zamieniły się w głęboką jedenastkę.

– Czy mogę zapytać, gdzie spotkał się pan z tym określeniem, pułkowniku? – Jej głos był całkiem normalny, a ton lekki, ale zerknęła też przez ramię na plecy brata i mówiła cicho.

– Usłyszałem go od jednego ze służących gubernatora. Widzę, że zna pani to słowo. Rozumiem, że ma coś wspólnego z Afrykanami?

– Tak. – Teraz zagryzała górną wargę, ale bez

złotnych zamiarów. – Koromantyni... Wie pan, kim są?

– Nie.

– To Murzyni ze Złotego Wybrzeża – powiedziała. Położyła mu znów dłoń na rękawie, skłoniła go, żeby wstał, i odprowadziła go nieco dalej, w kąt pokoju. – Większość plantatorów chce, żeby u nich pracowali, ponieważ są rośli i silni, i zazwyczaj bardzo dobrze zbudowani. – Czy to... nie, to nie jego wyobraźnia, zanim wypowiedziała dwa ostatnie słowa, wysunęła nieco czubek języka i na mgnienie oka dotknęła nim wargi.

Grey pomyślał, że Philip Twelvetrees powinien znaleźć siostrze męża, i to szybko.

– Czy mają tu państwo takich niewolników?

– Kilku. Problem polega na tym, że mają oni skłonność do nieposłuszeństwa. Potrafią być bardzo agresywni i trudni do opanowania.

– Domyślam się, że nie jest to pożądana cecha u niewolnika – powiedział, pilnując, aby jego głos zabrzmiał neutralnie.

– No cóż, niekoniecznie. – To go zaskoczyło. Uśmiechnęła się lekko. – Jeśli ma się lojalnych niewolników... a nasi są lojalni, zaręczam... wtedy nic w tym złego, że mogą być nieco brutalni wobec, no cóż, kogokolwiek, kto chciałby sprawiać kłopoty.

Był tak zaszokowany jej słowami, że chwilę potrwało, zanim pojął ich znaczenie. Znów dostrzegł czubek jej języka, a gdyby miała dołeczki w policzkach, z pewnością by się pokazały.

– Rozumiem – odparł ostrożnie. – Ale miała mi pani właśnie powiedzieć, kim jest kapłan obeah. Czyżby to jakaś ważna postać wśród tych niewolników?

Jej kokieteria w mig zniknęła. Panna Twelvetrees na powrót zmarszczyła brwi.

– Tak. *Obi* to nazwa na ich... religię, chyba takiego słowa trzeba użyć. Choć sądząc z tych niewielu rzeczy, które o niej wiem, żaden duchowny czy ksiądz nie zgodziłby się na to określenie.

Z ogrodu poniżej rozległy się krzyki. Grey zerknął w dół i zobaczył, że stado niewielkich, jaskrawo upierzonych papug lata dookoła rozłożystego drzewa o czerwonych owocach. Dwoje małych czarnoskórych dzieci, całkiem nagich, wybiegło z zarośli i wycelowało w ptaki z procy. Kamienie zabębniły nieszkodliwie wśród gałęzi, ale ptaki wzniosły się pierzastym, pełnym oburzenia wirem i odleciały, skrzecząc oskarżycielsko.

Panna Twelvetrees zignorowała to zakłócenie i kiedy tylko hałasy ucichły, wróciła do wyjaśnień:

– Kapłan obeah rozmawia z duchami. Idzie się do niego... albo do niej, ponieważ są też kapłanki... aby załatwić pewne rzeczy.

– Jakiego rodzaju rzeczy?

Ponownie pojawił się cień jej wcześniejszej figlarności.

– Och... sprawić, żeby ktoś się w tobie zakochał. Zająć w ciążę. Stracić ciążę – tutaj zerknęła na niego, żeby sprawdzić, czy jej słowa znów go zaszokowały, ale on

tylko pokiwał głową – albo rzucić na kogoś klątwę. Ściągnąć na niego pecha albo chorobę. Albo śmierć.

To było obiecujące.

– A jak to się odbywa, jeśli mogę zapytać? Ściąganie na kogoś choroby lub śmierci?

Wtedy jednak pokręciła głową.

– Nie wiem. Naprawdę niebezpiecznie byłoby o to pytać – dodała jeszcze ciszej i teraz jej oczy były pełne powagi. – Proszę mi powiedzieć... o czym wspominał ten służący, który z panem rozmawiał?

Grey, świadom, jak szybko rozchodzą się plotki w tak odosobnionych miejscach, nie miał zamiaru jej wyjawiać, że grożono gubernatorowi Warrenowi. Zamiast tego zapytał:

– Słyszała pani o zombi?

Zbladła straszliwie.

– Nie – odparła ostro.

Było to pewne ryzyko, ale Grey wziął ją za rękę, aby nie mogła się odwrócić.

– Nie mogę wyjawić, dlaczego muszę to wiedzieć – powiedział prawie szeptem – ale proszę, niech mi pani wierzy, panno Twelvetrees... Nancy... – z wyrachowaniem ścisnął jej dłoń – ...to niezwykle ważne. Jakakolwiek pani pomoc byłaby... no cóż, byłbym za nią dozgonnie wdzięczny. – Jej dłoń była ciepła, a palce poruszały się lekko w jego rękę, ale nie po to, żeby się uwolnić. Zaczęły wracać jej rumieńce.

– Naprawdę niewiele wiem – odparła równie cicho. –

Tylko tyle, że zombi to martwi ludzie, których za pomocą magii wezwano na powrót z grobu, aby wypełniali polecenia swojego stwórcy.

– Ten stwórca... Czy to mógłby być kapłan obeah?

– Och! Nie – odparła zaskoczona. – Koromantyni nie tworzą zombi, co więcej, uważają to za nieczysty zwyczaj.

– Absolutnie się z nimi zgadzam – zapewnił. – Kto zatem tworzy zombi?

– Nancy! – Philip zdążył zakończyć rozmowę z nadzorcą i właśnie szedł w ich stronę z gościnnym uśmiechem na szerokiej, spoconej twarzy. – Słuchaj, może byśmy coś zjedli? Jestem pewien, że pułkownik umiera z głodu, a i sam bardzo chętnie coś bym przekąsił.

– Ależ oczywiście – odparła panna Twelvetrees, rzucając Greyowi szybkie, ostrzegawcze spojrzenie. – Powiem kucharzowi.

Grey znów na mgnienie oka mocniej ścisnął jej dłoń, a kobieta się do niego uśmiechnęła.

– Tak jak mówiłam, pułkowniku, musi pan odwiedzić panią Abernathy w Rose Hall. Ona będzie wiedziała najwięcej na ten temat.

– Temat? – Przeklęty Twelvetrees właśnie w tej chwili postanowił przejawić dociekliwość. – Jaki temat?

– Zwyczajów i wierzeń Aszantów, mój drogi – odparła obojętnym tonem jego siostra. – Pułkownika Greya szczególnie interesują te kwestie.

Twelvetrees prychnął.

– Aszantowie, akurat! Ibo, Fulanie, Koromantyni... ochrzcić ich wszystkich jako porządnych katolików i koniec gadania o tych pogańskich gustach, które ze sobą przywlekli. Z tego, co o tym wiem, choć wiem niewiele, wcale nie chciałby pan słuchać o tych rzeczach, pułkowniku. Choć oczywiście, jeśli tak – dodał pośpiesznie, przypomniawszy sobie, że nie powinien pouczać pułkownika, który miał chronić jego życie i majątek – to moja siostra ma całkowitą rację, najlepiej byłoby, żeby zwrócił się pan do pani Abernathy. Prawie wszyscy jej niewolnicy to Aszantowie. Ona... hm... podobno... się nimi interesuje.

Greya z kolei zainteresowało to, że Twelvetrees poczerwieniał i natychmiast zmienił temat, zadając pułkownikowi wiele drobiazgowych pytań na temat dokładnego rozmieszczenia jego żołnierzy. Grey odpowiedział wymijająco, a potem zapewnił rozmówcę, że dwie kompanie piechoty zostaną wysłane na jego plantację, kiedy tylko uda się dostarczyć wiadomość do Spanish Town.

Z różnych powodów chciał wyjechać od razu, ale czuł się zobowiązany, aby zostać na kolację, ciężki, zapychający posiłek, który zjadł pod pełnym żaru spojrzeniem panny Twelvetrees. Wydawało mu się, że obszedł się z nią taktownie i delikatnie, ale pod koniec wieczery zaczęła kierować pod jego adresem drobne cierpkie przytyki. Nie było to nic, na co należałoby zwrócić uwagę, ale Grey zobaczył, że Philip raz czy drugi

rzucił jej skonsternowane spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

– Oczywiście nie mogę podawać się za autorytet w sprawie żadnego aspektu życia na Jamajce – powiedziała, wlepiając w niego niezgłębiony wzrok. – Mieszkamy tu ledwie od sześciu miesięcy.

– Doprawdy? – odparł uprzejmie, czując, jak kawał biszkoptu leży mu na żołądku. – Sprawiają państwo wrażenie bardzo zadomowionych, i cóż za piękny dom, panno Twelvetrees. Wszędzie widać pani rękę.

Ta spóźniona próba pochlebstwa spotkała się z pogardą, na jaką zasługiwała; jedenastka między jej brwiami wróciła.

– Mój brat odziedziczył plantację po naszym kuzynie, Edwardzie. On sam mieszkał w Londynie. – Spojrzenie, które w niego wycelowwała, było jak lufa muszkietu. – Znał go pan, pułkowniku?

Grey zastanawiał się, co też ta przekłeta kobieta by zrobiła, gdyby powiedział jej prawdę. Najwyraźniej myślała, że coś wie, ale... nie, uznał, przyglądając się jej uważnie. Nie znała prawdy, ale słyszała plotki. To podpuszczanie go było próbą – niezręczną – sprowokowania go, żeby powiedział coś więcej.

– Znam słabo kilka osób z rodu Twelvetrees – odparł bardzo przyjaznym tonem. – Ale wydaje mi się, że jeśli spotkałem państwa kuzyna, nie miałem przyjemności rozmawiać z nim dłużej. – Jego zdaniem krzyków: „Ty przeklęty morderco!” i „Pieprzony sodomita!” nie można

było tak naprawdę nazwać rozmową.

Panna Twelvetrees zamrugła z zaskoczeniem i Grey zdał sobie sprawę z czegoś, co powinien był dostrzec znacznie wcześniej: była pijana. Sangria była lekka i orzeźwiająca, ale sam wypił tylko szklaneczkę. Nie zauważył, żeby dolewała sobie napoju, a jednak dzban był prawie pusty.

– Moja droga – powiedział dobrotliwie Philip. – Ciepło, czyż nie? Wyglądasz na nieco bladą i niedysponowaną.

Tak naprawdę była zarumieniona, a włosy zaczęły jej opadać za dość sporymi uszami, ale faktycznie wyglądała na niedysponowaną. Philip uniósł dzwonek, wstając, i kiwnął głową czarnoskórej pokojówce, kiedy się pojawiła.

– Nie jestem niedysponowana – oznajmiła dość godnym tonem Nancy Twelvetrees. – Ja... po prostu... to znaczy... – Ale pokojówka, najwyraźniej przyzwyczajona do tego zadania, już wlokła ją w stronę drzwi, choć tak umiejętnie, że wyglądało to, jakby tylko pomagała swojej pani.

Grey z konieczności również wstał i nachylił się nad dłońią panny Nancy.

– Sługa uniżony, panno Twelvetrees – powiedział. – Mam nadzieję...

– Wiemy – przerwała mu, patrząc na niego wielkimi, nagle pełnymi łez oczami. – Słyszysz mnie pan? Wiemy. – Potem zniknęła, a jej chwiejne kroki wybijały nierówny rytm na parkiecie.

Między dwoma mężczyznami zapadła na krótko niezręczna cisza. Grey odchrząknął w tym samym momencie, w którym Philip Twelvetrees kaszlnął.

– Tak naprawdę nie przepadałem za kuzynem Edwardem – powiedział.

– Och – mruknął Grey.

Przeszli razem na podwórzec, gdzie koń Greya pasł się pod drzewem o pniu upstrzonym odchodami papug.

– Niech pan nie zwraca uwagi na Nancy, dobrze? – powiedział cicho Twelvetrees, nie patrząc na niego. – W Londynie spotkało ją... rozczarowanie. Myślałem, że tutaj łatwiej będzie się jej z tym pogodzić, ale... no cóż, popełniłem błąd, i niełatwo to naprawić.

Westchnął, a Grey poczuł nagłą silną chęć, aby poklepać go współczująco po plecach.

Zamiast tego wydał z siebie nieokreślony odgłos, kiwnął głową i dosiadł konia.

– Żołnierze będą tu pojutrze – zapewnił. – Ma pan na to moje słowo.

*

Grey miał zamiar wrócić do Spanish Town, ale zamiast tego zatrzymał się na drodze, wyciągnął mapę otrzymaną od Dawesa i obliczył odległość do Rose Hall. Oznaczałoby to nocowanie w obozie rozbitym na zboczu góry, ale byli na to przygotowani – i poza tym, że mógłby się tam z pierwszej ręki dowiedzieć czegoś o ataku maronów, był teraz niezwykle zaintrygowany perspektywą

porozmawiania z panią Abernathy o zombi.

Przywołał adiutanta, zapisał instrukcje związane z odkomenderowaniem żołnierzy do Twelvetrees, a potem wysłał dwóch ludzi do Spanish Town z tą wiadomością oraz dwóch kolejnych na szlak przed nimi, aby znaleźli dobre miejsce na obóz. Dotarli tam, kiedy słońce zaczęło zachodzić, lśniąc niczym płonąca perła na delikatnie różowym niebie.

– Co to? – zapytał, podnosząc nagle głowę znad kubka chińskiej zielonej herbaty, który podał mu kapral Sansom.

Kapral też zrobił zaskoczoną minę i spojrzał w górę zbocza, skąd dobiegł odgłos.

– Nie wiem – odparł. – Brzmi jak róg.

Faktycznie. Nie przypominało to dźwięku trąbki ani żadnego innego wojskowego instrumentu. Zdecydowanie nie wydało go jednak żadne zwierzę. Ludzie stali w milczeniu, czekając. Chwilę później dźwięk rozległ się ponownie.

– Ten jest inny – skomentował zaniepokojony Sansom. – Dobiegł stamtąd – pokazał palcem wyższy fragment zbocza – prawda?

– Tak – odparł z roztargnieniem Grey. – Cicho!

Pierwszy róg znów wydał zawodzący jęk, który niemal zagłuszyły hałasy szykujących się do nocy ptaków, a potem ucichł.

Greya zamrowiła skóra, jego zmysły się wyostrzyły. Nie byli w dżungli sami. Ktoś – wielu ktosiów –

przebywał wśród nadciągającego zmroku i nadawał sygnały. Grey po cichu wydał rozkazy, aby zbudowano prowizoryczne umocnienia, i cały obóz natychmiast zabrał się do pracy przy organizowaniu obrony. Towarzyszący mu ludzie byli w większości weteranami i choć zachowali czujność, nie wpadli w panikę. Bardzo szybko wznieśli redutę z kamieni i gałęzi, ustawili się dwójkami na straży dookoła obozu, a każdy trzymał nabitą i gotową do strzału broń.

Nikt jednak nie zaatakował i choć ludzie przez całą noc trzymali przy sobie oręż, nie pojawiły się kolejne oznaki ludzkiej obecności. Lecz Grey wciąż potrafił ją wyczuć. Przyglądali się.

Zjadł kolację i usiadł, opierając się plecami o głaz; miał sztylet za pasem i nabity muszkiet pod ręką. Czekał.

Nic się jednak nie wydarzyło. Słońce wzeszło. Starannie zwinęli obóz i jeśli w dżungli odzywały się rogi, ich dźwięk zagłuszyły krzyki i świergot ptaków.

*

Nigdy jeszcze nie przebywał w towarzystwie osoby, która wzbudzałaby w nim tak silną odrazę. Zastanawiał się dlaczego; nie miała w sobie nic widocznie brzydkiego. Wręcz przeciwnie: była dorodną, przystojną Szkotką w średnim wieku, o jasnych włosach. Mimo to wdowa Abernathy przyprawiała go o dreszcze, choć na tarasie Rose Hall, gdzie postanowiła go przyjąć, było ciepło.

Nie była w żałobie ani nie odniosła się w żaden

wyraźny sposób do niedawnej śmierci męża. Miała na sobie suknię z białego muślinu wykończoną niebieskim haftem.

– Rozumiem, że powinienem pogratulować pani przeżycia – powiedział, siadając na krześle, które mu wskazała. Był to dość bezduszny komentarz, ale ona wyglądała na twardą jak skała; wątpił, żeby jego słowa ją zraniły. Miał rację.

– Dziękuję – odparła, rozpierając się w wiklinowym fotelu i otwarcie mierząc go spojrzeniem, które go zaniepokoiło. – Cholernie zimno było w tym źródle, powiem panu. Jeszcze trochę i sama bym zginęła, zamarzałabym na kość.

Skłonił uprzejmie głowę.

– Ufam, że to doświadczenie nie pociągnęło za sobą żadnych długofalowych szkód dla pani? Oczywiście poza śmiercią pani nieodżałowanego męża – dodał pośpiesznie.

Zaśmiała się szorstko.

– Dobrze, że się pozbyła tego podłego sukinsyna.

Grey, który nie wiedział, co na to odpowiedzieć, zakaszłał i zmienił temat.

– Słyszałem, że interesuje się pani pewnymi rytuałami odprawianymi przez niewolników.

Nieco zamglone spojrzenie jej zielonych oczu się wyostrzyło.

– Kto to panu powiedział?

– Panna Nancy Twelvetrees. – Nie było przecież powodu do utrzymywania w tajemnicy tożsamości jego

informatorki.

– Och, mała Nancy, tak? – Wyglądała na rozbawioną i rzuciła mu spojrzenie z ukosa. – Spodobałeś się jej pan pewnie, co?

Nie rozumiał, co ma wspólnego ze sprawą opinia panny Twelvetrees na jego temat, i tak też uprzejmie powiedział. Pani Abernathy uśmiechnęła się tylko znacząco i machnęła ręką.

– No dobrze. Więc co chce pan wiedzieć?

– Chcę wiedzieć, jak się tworzy zombi.

To ją zszokowało tak, że przestała się uśmiechać i przez moment tylko mrugała niemądrze, po czym podniosła swoją szklaneczkę i ją opróżniła.

– Zombi – powtórzyła i spojrzała na niego z pewnym nieufnym zainteresowaniem. – Dlaczego pan pytasz?

Opowiedział jej. Beztraskie rozbawienie pani Abernathy stopniowo przerodziło się w coraz większą ciekawość. Kazała mu powtórzyć relację ze spotkania z tamtym stworzeniem w sypialni, zadając przenikliwe pytania, dotyczące szczególnie jego zapachu.

– Gnijące zwłoki – powiedziała. – Czyli wiesz pan, jak to pachnie, co?

To zapewne jej akcent przywiódł mu na myśl pole bitwy pod Culloden i smród płonących ciał. Nie potrafił powstrzymać dreszczu, który go przebiegł.

– Tak – odparł szybko. – A dlaczego pani pyta?

Zacisnęła usta w zamyśleniu.

– Można to zrobić na różne sposoby, no nie? Jeden

sposób jest taki: podać komuś proszek *afile*, poczekać, aż padnie, a potem pogrzebać go nad świeżymi zwłokami. Posypuje się go tylko lekko ziemią – wyjaśniła, dostrzegając jego spojrzenie. – I trzeba pilnować, żeby ułożyć na twarzy liście i gałązki, co by ten człowiek wciąż mógł oddychać. Kiedy trucizna rozejdzie się na tyle, żeby człowiek znów się ruszał i czuł, widzi, że został pogrzebany, czuje smród i myśli se, że musi nie żyć – mówiła tak rzeczowym tonem, jakby zdradzała swój przepis na placek z jabłkami lub ciasto z syropem.

Co dziwne, to uspokoiło Greya do tego stopnia, że był w stanie mówić normalnym tonem mimo obrzydzenia.

– Trucizna. To ten proszek *afile*? Jakiego rodzaju to trucizna, wie pani?

Widząc błysk w jej oku, ucieszył się z impulsu, który kazał mu dodać to „wie pani?” – uznał bowiem, że gdyby nie jej duma z własnej wiedzy, nie zdradziłaby mu niczego. Wzruszyła jednak ramionami i odpowiedziała obcesowo:

– Och... zioła. Starte na proch kości... drobiny innych rzeczy. Ale główny składnik, jedno, co trza mieć, to wątroba ryby fugu.

Pokręcił głową, nie rozpoznawszy tej nazwy.

– Czy może ją pani opisać?

Kiedy to zrobiła, uznał, że musi chodzić o jedną z tych dziwnych ryb, które nadymają się jak pęcherze, gdy czują się zagrożone. Poprzysiągł sobie w duchu, że nigdy nie spróbuje ich mięsa. Podczas tej rozmowy jedno stało

się oczywiste.

– Ale mówi mi pani... proszę wybaczyć... że tak naprawdę zombi wcale nie jest martwym człowiekiem? Jedynie pod wpływem narkotyku?

Kąciki jej ust się uniosły. Grey dostrzegł, że jej wargi wciąż są pełne i czerwone, jak u młodszej kobiety.

– Na co komu przydałby się martwy człowiek?

– Ale najwyraźniej powszechnie pokutuje przekonanie, że zombi nie żyją.

– Ano, oczywiście. Zombi myślą, że nie żyją, i wszyscy inni też tak sądzą. To nieprawda, ale działa. Ludzie się ich boją jak diabeł święconej wody. Ale jeśli chodzi o „jedynie pod wpływem narkotyku”... – pokręciła głową – ...rozumiesz pan, oni już nie dochodzą do siebie. Trucizna niszczy mózg i układ nerwowy. Potrafią wypełniać proste polecenia, ale myśleć już nie, i najczęściej poruszają się sztywno i powoli.

– Czyżby? – mruknął. Stwór, a raczej człowiek, teraz był już tego pewien, który go zaatakował, absolutnie nie poruszał się sztywno i powoli. Ergo... – Podobno większość pani niewolników to Aszantowie. Czy któryś z nich wiedziałby coś więcej na temat tego procesu?

– Nie – odparła zapalczywie, prostując nieco plecy. – Dowiedziałam się tego, co panu mówię, od houngana. To ktoś, kto się tym para, możemy tak to ująć. Ale on nie był jednym z moich niewolników.

– Para się... czym dokładnie?

Przesunęła powoli językiem po czubkach swoich

ostrzych zębów, pożółkłych, ale wciąż zdrowych.

– Magią – powiedziała i zaśmiała się cicho, jakby ze zrozumiałego tylko dla siebie dowcipu. – Ano, magią. Afrykańską magią. Magią niewolników.

– Wierzy pani w magię? – zapytał, kierowany ciekawością w takim samym stopniu jak innymi powodami.

– A pan nie? – Uniosła brwi, ale on pokręcił głową.

– Nie. Co więcej, z tego, co właśnie mi pani powiedziała, wynika, że proces tworzenia zombi... jeśli to odpowiednie słowo... tak naprawdę nie polega na czarach, tylko na długotrwałym wystawieniu na działanie trucizny oraz zrobieniu użytku z siły sugestii. – Przyszło mu do głowy coś jeszcze. – Czy człowiek może jednak dojść do siebie po czymś takim? Powiedziała pani, że nie umierają z tego powodu.

Pokręciła głową.

– Trucizna nie zabija, prawda. Ale zawsze umierają. Najczęściej z głodu. Tracą zupełnie wolę i nie potrafią zrobić nic poza tym, co każe im houngan. Stopniowo marnieją i... – Pstryknęła palcami, a potem dodała praktycznym tonem: – Nawet gdyby udało im się przeżyć, ludzie by ich zabili. Kiedy robi się z kogoś zombi, nie ma powrotu.

Podczas całej tej rozmowy Grey nabrał wrażenia, że pani Abernathy jest znacznie lepiej zaznajomiona z tematem niż ktoś, kto poznał go jedynie dzięki pobieżnemu zainteresowaniu miejscową przyrodą. Nie

miał ochoty dłużej przebywać w jej towarzystwie, ale zmusił się do zostania na miejscu i zadania jeszcze jednego pytania.

– Czy węzom przypisuje się jakieś specjalne znaczenie? Pytam o afrykańską magię.

Zamrugła, nieco zbita z tropu tym pytaniem.

– Węzom – powtórzyła powoli. – Ano. No cóż... powiadają, że węże są mądre. Niektóre loa są węzami.

– Loa?

Potarła z roztargnieniem czoło, a on z lekkim dreszczem obrzydzenia dostrzegł tam ledwo widoczną wysypkę. Widział już takie objawy: świadczyły o zaawansowanym stadium syfilisu.

– Zapewne można by je nazwać duchami – powiedziała i zmierzyła go wzrokiem. – Śnią się panu węże, pułkowniku?

– Czy... nie. Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą, ale ta sugestia była niewymownie niepokojąca.

Pani Abernathy się uśmiechnęła.

– Loa potrafi opętać człowieka, no nie? Mówić jego ustami. A ja widzę, że na pana ramionach leży ogromny wąż, pułkowniku. – Niespodziewanie podniosła się z trudem z fotela. – Na pana miejscu uważałabym, co jem.

*

Wrócili do Spanish Town dwa dni później. Droga powrotna dała Greyowi czas do namysłu i doszedł do pewnych wniosków. Między innymi nabrał przekonania,

że maronowie tak naprawdę nie zaatakowali Rose Hall. Podczas pobytu tam rozmawiał z nadzorcą majątku pani Abernathy, który sprawiał wrażenie nieskorego do zeznań i nie budził zaufania; mówił o szczegółach domniemanego ataku podejrzanie mało konkretnie. A później...

Zakończywszy spotkania z nadzorcą i kilkoma niewolnikami, Grey wrócił do domu, żeby oficjalnie pożegnać się z panią Abernathy. Nikt nie zareagował na jego pukanie, więc przeszedł się po domu w poszukiwaniu służącego. Znalazł jednak tylko ścieżkę prowadzącą spod domu w dół; u jej końca mignęła mu woda.

Z ciekawości podążył dróżką i znalazł osławione źródło, w którym przypuszczalnie pani Abernathy schroniła się przed pałającymi żądzą mordy napastnikami. Właśnie znów była w źródle, naga, i pływała z powolną godnością z jednego brzegu na drugi; jej przeplatane siwizną jasne włosy unosiły się za nią na wodzie.

Źródło było krystalicznie czyste i Grey widział jej mięsiste pośladki, które ruszały się miarowo niczym napędzające ją miechy – a kiedy zgięła nogi, mignęło mu też purpurowe zagłębienie sromu. Nad wodą nie rosły żadne trzciny ani inna roślinność; każdy by zauważył kobietę, gdyby faktycznie znajdowała się wtedy w źródle, i widać było, że temperatura wody jej nie przeszkadza.

Więc kłamała w kwestii maronów. Grey żywił chłodne przekonanie, że pani Abernathy zamordowała męża albo zleciła jego morderstwo – ale niezbyt wiele mógł zrobić z tym wnioskiem. Aresztować ją? Nie było

świadców, a na pewno nie takich, którzy mogliby zgodnie z prawem zeznawać przeciwko niej, nawet gdyby chcieli. Poza tym miał wrażenie, że żaden z jej niewolników by się na to nie zdobył; ci, z którymi miał okazję rozmawiać, okazywali skrajną powściągliwość względem swojej pani. Bez względu na to, czy było to spowodowane lojalnością czy strachem, rezultat był taki sam.

Oznaczało to jednak, że maronowie, najprawdopodobniej nie ponoszą odpowiedzialności za śmierć pana Abernathy'ego, i to było ważne. Jak na razie wszystkie doniesienia na temat ich występków wspominały jedynie o szkodach materialnych: ucierpiały tylko pola i sprzęt. Nie spalono ani jednego domu i choć kilku właścicieli plantacji twierdziło, że uprowadzono ich niewolników, nie było na to dowodów – ludzie ci mogli po prostu wykorzystać zamieszanie i uciec.

To świadczyło jego zdaniem o pewnej dbałości ze strony tego, kto dowodził maronami. Był ciekaw, kto to taki. Jakim był człowiekiem? Grey nabierał przekonania, że nie ma do czynienia z rebelią – niewolnicy nie wystosowali żadnego oświadczenia, a tego by się w takim wypadku spodziewał – ale z kulminacją długo wzbierającej frustracji. Absolutnie musi porozmawiać z kapitanem Cresswellem. Miał nadzieję, że temu przekłętemu sekretarzowi uda się znaleźć nadzorcę, zanim on sam dotrze do siedziby gubernatora.

*

Tak się złożyło, że dotarł na miejsce długo po zmroku. Kamerdyner gubernatora, który wyglądał w koszuli nocnej jak czarny duch, powiadomił go, że wszyscy domownicy śpią.

– No dobrze – odparł Grey zmęczonym głosem. – Wezwij mojego kamerdynera, jeśli łaska. I powiedz rano służącemu gubernatora, że będę chciał po śniadaniu porozmawiać z Jego Ekscelencją, bez względu na stan jego zdrowia.

Widząc Greya w jednym kawałku, Tom był tak zadowolony, że nie miał nic przeciwko temu, iż jego pan go obudził. Z jego pomocą Grey był umyty, przebrany w koszulę nocną i schowany pod moskitierą, zanim dzwony kościelne w Spanish Town wybiły północ. Drzwi balkonowe w jego pokoju naprawiono, ale Grey poprosił, aby Tom ich nie zamykał, i zasnął z jedwabistą pieśczętą wiatru na twarzy, ani przez chwilę nie myśląc o tym, co może przynieść poranek.

Z niezwykle sugestywnego erotycznego snu wyrwały go gorączkowe uderzenia. Wyłonił się spod poduszki, wciąż czując na ustach szorstki dotyk rudego zarostu, i mocno potrząsnął głową, próbując zorientować się w czasie i przestrzeni. Bum, bum, bum, bum, bum! Co, do licha...? Ach, drzwi.

– Czego? Wejść, na litość boską! Co, u diabła... och. Chwilę. – Wyplątał się z pościeli i porzuconej koszuli nocnej. Chryste, czy naprawdę robił w nocy to, o czym śnił? Narzucił szlafrok, zasłaniając szybko wiotczejący

członek.

– O co chodzi? – zapytał opryskliwie, kiedy w końcu otworzył drzwi.

Ku jego zaskoczeniu stał za nimi Tom, roztrzęsiony i z wytrzeszczonymi oczami, a obok niego major Fettes.

– Nic panu nie jest, milordzie? – wyrwało się Tomowi, zanim Fettes zdążył coś powiedzieć.

– Czy cieknie mi krew albo brakuje mi ważnych członków? – rzucił z pewną irytacją Grey. – Co się stało, Fettes?

Teraz, kiedy już całkiem przejrzał na oczy, dostrzegł, że Fettes wygląda na niemal tak samo zaniepokojonego jak Tom. Major – weteran tuzina wielkich kampanii, odznaczony za odwagę i znany z opanowania – przełknął ślinę i wyprostował plecy.

– Chodzi o gubernatora, pułkownika. Myślę, że najlepiej by było, gdyby pan sam zobaczył.

*

– Gdzie wartownicy, którzy mieli go strzec? – zapytał spokojnie Grey, wychodząc z sypialni gubernatora i delikatnie zamykając za sobą drzwi. Gałka wyślizgnęła mu się z palców. Wiedział, że rękę ma śliską od własnego potu, a nie od krwi, ale i tak ścisnęło go w brzuchu i gorączkowo otarł palce o spodnie.

– Zniknęli, pułkownika. – Fettes odzyskał już panowanie nad głosem, choć nad wyrazem twarzy jeszcze nie. – Wysłałem ludzi, aby przeszukali okolicę.

– Dobrze. Może pan zwołać służących? Będę musiał ich przepytąć.

Fettes zaczerpnął głęboko tchu.

– Oni też zniknęli.

– Co? Wszyscy?

– Tak, pułkowniku.

Grey sam nabrał powietrza do płuc – i szybko je wypuścił. Nawet poza pokojem smród był niewyobrażalny. Czuł go na własnej skórze. Znów mocno otarł palce o spodnie. Przełknął ślinę i wstrzymując oddech, uniósł pytająco podbródek w stronę Fettesa i Cherry’ego, który właśnie do nich dołączył i bez słowa pokręcił głową w odpowiedzi na gest Greya. Czyli ani śladu po wartownikach. Niech to szlag trafi, trzeba będzie zorganizować poszukiwania ich ciał. Na tę myśl zrobiło mu się zimno mimo narastającego żaru poranka.

Zszedł po schodach, a jego dowódcy z radością podążyli za nim. Kiedy dotarli na dół, udało mu się przynajmniej zdecydować, od czego zacząć. Zatrzymał się i odwrócił do Fettesa i Cherry’ego.

– No dobrze. Od teraz na wyspie obowiązuje stan wyjątkowy. Zawiadomcie dowódców, ale powiedzcie im, że jeszcze nie ogłaszamy tego publicznie. I absolutnie nie mówcie im dlaczego. – Biorąc pod uwagę ucieczkę służby, było bardziej niż prawdopodobne, że wieści o śmierci gubernatora dotrą do mieszkańców Spanish Town w ciągu kilku godzin, jeśli już się to nie stało. Ale jeśli istniała choć najmniejsza szansa na ukrycie przed

mieszkańcami tego, że gubernator Warren został zabity i częściowo pożarty we własnej posiadłości, podczas gdy chroniła ją armia Jego Wysokości, Grey miał zamiar ją wykorzystać.

– A sekretarz? – zapytał, nagle sobie o nim przypomniał. – Dawes. Też zniknął? Czy nie żyje?

Fettes i Cherry wymienili pełne skruchy spojrzenia.

– Nie wiem, pułkownik – odparł szorstko Cherry. – Pójdę sprawdzić.

– Bardzo proszę.

Skinął głową w odpowiedzi na saluty dwóch dowódców i wyszedł na zewnątrz, gdzie przebiegł go dreszcz ulgi, kiedy poczuł dotyk słońca na twarzy i ciepło na skórze pod cienkim płótnem koszuli. Poszedł powoli w stronę swojego pokoju, gdzie Tom bez wątpienia zdążył już zebrać i wyczyścić jego mundur.

Co teraz? Dawes, jeśli wciąż żyje – Grey miał nadzieję, że tak... Wtem zakrztusił się śliną, która nagle wezbrała mu w ustach, i splunął kilka razy na taras, nie będąc w stanie jej przełknąć przez wspomnienie tamtego duszącego zapachu.

– Tom – rzucił z napięciem, kiedy tylko wszedł do sypialni – miałeś okazję porozmawiać z innymi służącymi? Z Rodrigiem?

– Tak, milordzie. – Tom wskazał mu stołek i uklęknął, aby naciągnąć mu pończochy. – Wszyscy wiedzieli o zombi, mówili, że to martwi ludzie, tak jak wspomniał Rodrigo. Houngan to... no cóż, nie wiem

dokładnie, ale ludzie się ich strasznie boją. W każdym razie jeśli któryś z nich poweźmie do kogoś niechęć... pewnie też można mu za to zapłacić... to bierze tego kogoś i go zabija, a potem wyciąga z grobu, żeby mu służył, i to właśnie jest zombi. Wszyscy bali się tego jak nie wiem co, milordzie – dokończył z powagą, podnosząc wzrok.

– Wcale się im nie dziwię. Czy któryś z nich wiedział o moim gościu?

Tom pokręcił głową.

– Mówili, że nie. Myślę, że jednak tak, milordzie, ale nie mieli zamiaru o tym gadać. Udało mi się jednak dopaść Rodriga sam na sam. Przyznał, że wie, ale nie sądzi, żeby to było zombi, bo opowiedziałem mu, jak z tym czymś walczyłeś, milordzie, i jak to nabałaganilo w pokoju. – Rzucił spojrzenie spod zmrużonych powiek na pęknięte lustro na toaletce.

– Naprawdę? A co to według niego było?

– Nie chciał powiedzieć, ale trochę go pomęczył i w końcu puścił parę, że to mógł być houngan, który udawał zombi.

Grey przetrwał to przez chwilę. Czy istota, która go zaatakowała, chciała go zabić? Jeśli tak, to dlaczego? Ale jeśli nie... może ten atak miał tylko stworzyć grunt dla dzisiejszych wydarzeń, stworzyć wrażenie, że w siedzibie gubernatora roi się od zombi. To do pewnego stopnia miało sens, tyle że...

– Ale podobno zombi poruszają się powoli, sztywno.

Czy jeden z nich mógł zrobić to... co przydarzyło się gubernatorowi? – wykrztusił.

– Nie wiem, milordzie. Nigdy żadnego nie spotkałem.

– Tom wyszczerzył do niego zęby i wstał, zapiąwszy mu już mankiety pod kolanami.

Uśmiech ten był nerwowy, ale dodał Greyowi otuchy i pułkownik go odwzajemnił.

– Chyba będę musiał jeszcze raz spojrzeć na ciało – oznajmił, podnosząc się. – Pójdiesz ze mną, Tom? – Jego kamerdyner był młody, ale niezwykle spostrzegawczy, szczególnie jeśli chodzi o ciało ludzkie, i już nieraz pomógł mu przy interpretowaniu różnych pośmiertnych zjawisk.

Tom pobladł, ale skinął głową i wyszedł za Greyem na taras, prostując plecy.

Po drodze do sypialni gubernatora spotkali majora Fettesa, który jadł pośepnie kawałek ananasa podprowadzony z kuchni.

– Proszę ze mną, majorze – rozkazał Grey. – Może mi pan opowiedzieć, jakich odkryć dokonał pan wraz z Cherrym pod moją nieobecność.

– O jednym mogę panu powiedzieć, pułkowniku – odparł Fettes, odkładając ananasa i wycierając palce o kamizelkę. – Sędzia Peters wyjechał na Eleutherę.

– Po co, u diabła?

To było bardzo niedogodne. Grey miał nadzieję, że dowie się czegoś więcej o pierwszym incydencie, który stał się punktem zapalnym dla rebelii, a ponieważ

oczywiście nie mógł już liczyć na żadne wiadomości od Warrena... Machnął ręką w stronę Fettesa. Powód wyjazdu Petersa nie miał większego znaczenia.

– No dobrze. A zatem... – Oddychając w miarę możliwości ustami, Grey pchnął drzwi.

Stojący za nim Tom mimowolnie wydał z siebie jakiś dźwięk, ale potem podszedł ostrożnie i kucnął przy zwłokach.

Grey ukucnął przy nim. Za sobą słyszał zduszony oddech.

– Majorze – powiedział, nie odwracając się. – Jeśli kapitan Cherry odnalazł pana Dawesa, byłby pan łaskaw go tutaj przyprowadzić?

*

Właśnie byli w trakcie oględzin ciała, kiedy Dawes wszedł do pokoju w towarzystwie zarówno Fettesa, jak i Cherry'ego. Grey zignorował ich wszystkich.

– Ślady po ugryzieniu wskazują na ludzkie zęby? – zapytał, ostrożnie odwracając nogę Warrena do światła wpadającego przez okno.

Tom kiwnął głową, ocierając usta grzbietem dłoni.

– Jestem pewny, milordzie. Parę razy pogryzły mnie psy, to wygląda zupełnie inaczej. Poza tym... – Zacisnął mocno szczęki na własnym przedramieniu, a potem pokazał rezultat Greyowi. – Widzi pan, milordzie? Zęby układają się jakby w kółko.

– Bez wątplenia. – Grey wyprostował się i odwrócił

do Dawesa, pod którym ugięły się kolana tak, że kapitan Cherry musiał go podtrzymywać. – Proszę siadać, panie Dawes, i podzielić się ze mną swoją opinią na temat tej sprawy.

Skóra na okrągłej twarzy Dawesa była usiana plamami, a jego wargi – białe. Pokręcił głową i spróbował się cofnąć, ale ściskający go za ramię Cherry mu to uniemożliwił.

– Nic nie wiem, pułkowniku – wykrztusił. – Zupełnie nic. Proszę, czy mogę już iść? Ja... ja... naprawdę, pułkowniku, robi mi się słabo!

– Nie szkodzi – powiedział przyjaźnie Grey. – Może się pan położyć na łóżku, jeśli nie potrafi pan ustać.

Dawes zerknął na łóżko, zbladł i usiadł ciężko na podłodze. Dostrzegł, co leży na niej obok niego, i podniósł się gorączkowo. Stał, chwiejąc się i przełykając mocno ślinę.

Grey wskazał głową stołek, a Cherry łagodnie pchnął niskiego mężczyznę w jego stronę.

– Co panu powiedział, Fettes? – zapytał Grey, na powrót odwracając się w stronę łóżka. – Tom, otulimy pana Warrena narzutą, a potem położymy go na podłodze i zawiniemy w dywan. Żeby nie zrobiły się plamy.

– Dobrze, milordzie. – Tom i kapitan Cherry zabrali się do tego ostrożnie, a Grey podszedł do Dawesa i wbił w niego wzrok.

– Głównie zarzekał się, że nic nie wie – odparł Fettes, stając obok Greya i mierząc Dawesa pełnym namysłu

spojrzeniem. – Powiedział jednak, że Derwent Warren uwiódł w Londynie kobietę o nazwisku Nancy Twelvetrees. Potem ją porzucił i ożenił się z dziedziczką fortuny Athertonów.

– Która, jak rozumiem, była na tyle rozsądna, że nie towarzyszyła mężowi do Indii Zachodnich? Tak. Wiedział, że panna Twelvetrees i jej brat odziedziczyli plantację na Jamajce i mają zamiar tutaj wyemigrować?

– Nie, pułkowniku – odezwał się po raz pierwszy Dawes ledwie słyszalnym głosem. Odchrząknął i mówił dalej już wyraźniej: – Spotkanie państwa Twelvetrees podczas pierwszego zgromadzenia było dla niego całkowitą niespodzianką.

– Zapewne. Czy zaskoczenie to było obustronne?

– Tak. Panna Twelvetrees zrobiła się blada, potem poczerwieniała, następnie zdjęła but i zaczęła okładać gubernatora obcasem.

– Jaka szkoda, że tego nie widziałem – stwierdził Grey ze szczerym żalem. – Dobrze. No cóż, jak pan widzi, gubernatorowi nie trzeba już pańskiej dyskrecji. Ja zaś wymagam od pana otwartości. Może pan zacząć od wyjawienia mi, dlaczego bał się węży.

– Och. – Dawes zagryzł dolną wargę. – Nie jestem pewien, rozumie pan...

– Gadaj, ty trutniu – warknął Fettes, nachylając się złowrogo nad Dawesem, który się cofnął.

– Ja... ja... – wykrztusił. – Naprawdę nie znam szczegółów. Ale... ale miało to coś wspólnego z pewną

młoda kobietą. Młodą czarną kobietą. On... to znaczy gubernator... miał niejaką słabość do kobiet...

– I? – zachęcił Grey.

Okazało się, że młoda kobieta była niewolnicą w gospodarstwie. Nie miała ochoty przyjmować zalotów gubernatora. Ten nie zwykł przyjmować odmowy do wiadomości – i jej nie przyjął. Następnego dnia młoda kobieta zniknęła, uciekła i jak dotąd jej nie odnaleziono. Dzień później do siedziby Warrena przyszedł czarnoskóry mężczyzna w turbanie oraz przepasce biodrowej i poprosił o audiencję. Oczywiście go nie wpuszczono. Ale on nie miał zamiaru odejść. – Dawes wzruszył ramionami. – Kucnął u stóp schodów wejściowych i czekał.

Kiedy Warren w końcu wyszedł przed dom, mężczyzna wstał, zbliżył się do niego i oficjalnym tonem zawiadomił gubernatora, że oto spada na niego klątwa.

– Klątwa? – powtórzył z zainteresowaniem Grey. – Jaka klątwa?

– No cóż, tutaj moja wiedza się kończy, pułkowniku – odparł Dawes. Zdążył odzyskać już nieco pewności siebie i wyprostował nieznacznie plecy. – Ponieważ kiedy to ogłosił, zaczął mówić w nieznanym języku. Choć myślę, że część jego przemowy mogła być po hiszpańsku, brzmiało to zupełnie inaczej. Domyślam się, że... hmm... rzucał klątwę, że się tak wyrażę?

– Nie mam pojęcia. – Tom i kapitan Cherry zdążyli już zakończyć swoje nieprzyjemne zadanie i gubernator spoczywał w niezwracającym uwagi kokonie z dywanu. –

Przykro mi, panowie, ale służący nam nie pomogą. Zaniesiemy go do szopy w ogrodzie. Zapraszam, panie Dawes, może pan asystować przy transporcie zwłok, a po drodze opowiedzieć nam, jak się do tego mają węże.

Dyszząc, stękając i nieraz tracąc równowagę, zatargali nieporęczny ciężar na parter. Dawes, który nieudolnie łapał czasem za dywan, mówił dalej, zachęcany przez kapitana Cherry'ego:

– No cóż, wydawało mi się, że wyłapałem w tyradzie tamtego człowieka słowo „wąż” – oznajmił. – *Vivora*. To po hiszpańsku „żmija”. A potem... zaczęły przybywać węże.

Małe węże, wielkie węże. Jednego znaleziono w wannie gubernatora. Kolejny pojawił się pod stołem w jadalni, ku przerażeniu żony pewnego kupca, która jadła kolację z gubernatorem. Wpadła w histerię, po czym osunęła się w omdleniu na stół. Wyglądało na to, że Dawes widzi w tym coś zabawnego, i pocący się obficie Grey rzucił mu srogie spojrzenie, na co sekretarz wrócił do swojej opowieści już z większą powagą.

– Mieliśmy wrażenie, że pojawiają się codziennie, zawsze gdzie indziej. Wielokrotnie kazaliśmy przeszukiwać dom. Ale nikt nie potrafił... albo może nie chciał... odnaleźć miejsca, z którego gady się wyłaniały. I choć nikogo nie kąsały, napięcie wywołane niepewnością, co znajdzie się w pościeli po odsunięciu narzuty...

– Naturalnie. Uff! – Zatrzymali się i położyli ciężar na ziemi. Grey otarł czoło rękawem. – A jak połączył pan,

panie Dawes, plagę węży z tym, jak fatalnie pan Warren potraktował tę niewolnicę?

Dawes zrobił zaskoczoną minę i poprawił okulary na spoconym nosie.

– Och, nie wspomniałem o tym? Ten mężczyzna... słyszałem potem, że to kapłan obeah, cokolwiek to znaczy... wypowiedział jej imię w swoim oskarżeniu. Nazywała się Azeel.

– Rozumiem. No dobrze, gotowi? Raz, dwa, trzy, w górę!

Dawes nie próbował już nawet udawać, że pomaga, ale pomknął ścieżką ogrodową przed nimi, aby otworzyć drzwi szopy. Zatracił już całą powściągliwość i wyglądało na to, że bardzo chce się podzielić wszelkimi informacjami, którymi dysponuje.

– Nie powiedział mi tego otwarcie, ale sędzę, że zaczął śnić o węzach... i o tej dziewczynie.

– Skąd... skąd pan wie? – stęknął Grey. – Majorze, to moja stopa!

– Słyszałem, jak... hmm... mówi do siebie. Widzi pan, zaczął sporo pić. W tych okolicznościach to całkiem zrozumiałe, nie uważa pan?

Grey żałował, że sam nie może się sporo napić, ale nie starczyło mu tchu, żeby to powiedzieć.

Nagle rozległ się pełen zaskoczenia okrzyk Toma, który wcześniej poszedł zrobić nieco miejsca w szopie. Wszyscy trzej upuścili dywan z głuchym łomotem i sięgnęli po nieistniejący oręż.

– Milordzie, milordzie! Niech pan spojrzy, kto się chowa w szopie! – Tom pędził ścieżką w jego stronę, szczerząc zęby w promiennym uśmiechu, a za nim szedł nieufnie młody Rodrigo.

Na ten widok Greyowi serce zabiło mocniej i poczuł, że na jego ustach pojawia się uśmiech, do którego nie nawykł.

– Do usług, panie. – Onieśmielony Rodrigo skłonił się nisko.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę. Powiedz mi, widziałeś cokolwiek z tego, co tu się wydarzyło poprzedniej nocy?

Młodzieniec wzdrygnął się i odwrócił głowę.

– Nie, panie – powiedział tak cicho, że Grey ledwie go usłyszał. – To były zombi. One... pożerają ludzi. Słyszałem je, ale wiem, że nie należy patrzeć. Pobiegnę do ogrodu i się ukryłem.

– Słyszałeś je? – zapytał ostro Grey. – Co dokładnie słyszałeś?

Rodrigo przełknął ślinę i gdyby jego skóra mogła przybrać zielony odcień, bez wątpienia byłby już koloru żółwia wodnego.

– Ich stopy, panie – powiedział. – Gołe stopy. Ale one nie stawiają kroków jak ludzie. One tylko szurają, SZ-SZ, SZ-SZ.

Podniósł ręce i wykonał nimi kilka niewielkich ruchów, jakby coś przesuwiał, a Grey poczuł, że włoski na jego karku stają dęba.

– Zorientowałaś się, ilu... ludzi... tu było?

Rodrigo pokręcił głową.

– Sądząc po dźwiękach, więcej niż dwóch.

Tom przepchnął się nieco do przodu. Jego okrągła twarz miała skupiony wyraz.

– Myślisz, że był z nimi ktoś jeszcze? To znaczy ktoś, kto szedł normalnie?

Na twarzy Rodriga pojawiło się najpierw zaskoczenie, a potem strach.

– Houngan? Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Może. Butów nie słyszałem. Ale...

– Och. Bo... – Tom urwał nagle, zerknął na Greya i zakaszłał. – Och.

Mimo kolejnych pytań wyglądało na to, że Rodrigo powiedział im już wszystko, co mógł, więc znów podnieśli dywan – tym razem służący im pomógł – i zanieśli gubernatora na jego tymczasowe miejsce spoczynku. Fettes i Cherry jeszcze trochę podręczyli Dawesa, ale sekretarz nie potrafił powiedzieć nic więcej o poczynaniach gubernatora, nie wspominając nawet o spekulacjach dotyczących tego, jaka złowroga siła spowodowała jego śmierć.

– Słyszał pan już kiedyś o zombi, panie Dawes? – zapytał Grey, ocierając twarz resztkami chustki.

– Hmm... tak – odparł ostrożnie sekretarz. – Ale z pewnością nie wierzy pan w to, co ten służący... Och, z pewnością nie! – Zerknął na szopę z przerażeniem.

– Czy rzeczywiście uważa się, że zombi żywią się

ludzkim mięsem?

Dawes znów zbladł chorobliwie.

– No cóż, tak. Ale... Ojej!

– To zgrabnie podsumowuje wszystko – mruknął pod nosem Cherry. – Rozumiem zatem, że nie ma pan zamiaru wystosowywać publicznego obwieszczenia o śmierci gubernatora, pułkownika?

– Ma pan rację, kapitanie. Nie chcę powszechnej paniki spowodowanej wizją zombi szalejących po Spanish Town, niezależnie od tego, czy rzeczywiście tak jest. Panie Dawes, sądzę, że jak na razie nie musimy już pana kłopotać, jest pan wolny. – Odprowadził wzrokiem potykającego się sekretarza, a potem gestem przywołał do siebie dowódców. Jak zawsze dyskretny Tom odsunął się nieco, pociągając za sobą Rodriga. – Czy odkryli panowie coś jeszcze, co mogłoby się wiązać z obecną sytuacją?

Wymienili spojrzenia i Fettes skinął Cherry'emu głową, sapiąc lekko. Cherry bardzo przypominał owoc, od którego nazwy wzięło się jego nazwisko¹⁷, ale był młodszy i szczuplejszy od Fettesa, a więc mniej zdyszany.

– Tak jest, pułkowniku. Udałem się na poszukiwania Ludgate'a, byłego nadzorcy. Nie znalazłem go, powiadają, że ulotnił się do Kanady, ale sporo się nasłuchałem o obecnym nadzorcy.

Grey poszukał w pamięci nazwiska.

– O Cresswellu?

– Właśnie o nim.

Według informatorów Cherry'ego w Spanish Town i

King's Town słowa „korupcja i sprzeniewierzenia” świetnie opisywały kapitana Cresswella na stanowisku nadzorcy. Jednym ze sposobów, w jaki nadużył władzy, było to, że zorganizował wymianę handlową między maronami mieszkającymi na wyżynach i kupcami z dolin. Ci pierwsi mieli dostarczać piór, skór węży i innych egzotycznych towarów, a także drewna z wyżynnych lasów i tak dalej. Podobno jednak przyjmował zapłatę w imieniu maronów, a potem nie przekazywał im pieniędzy.

– Czy w jakiś sposób przyczynił się do aresztowania tych dwóch młodych maronów, których oskarżono o kradzież?

Zęby Cherry'ego załśniły, kiedy je wyszczerzył.

– Dobrze się składa, że pan o to pyta, pułkowniku. Tak, mówili... a przynajmniej niektórzy z nich... że ci dwaj młodzieńcy przybyli do doliny, aby poskarżyć się na Cresswella, ale gubernator nie chciał ich przyjąć. Słyszano, jak oznajmili, że odbiorą swoje towary siłą, więc kiedy zaginęła spora część zawartości jednego z magazynów, wszyscy założyli, że to ich sprawa. Maronowie się upierali, że nie tknęli tych rzeczy, ale Cresswell wykorzystał okazję i kazał ich zatrzymać pod zarzutem kradzieży.

Grey zamknął oczy, ciesząc się przelotnym chłodem, który przyniosła ze sobą bryza od morza.

– Wspomniał pan, że gubernator odmówił przyjęcia tych młodzieńców. Czy coś wskazuje na nieoficjalne i nielegalne kontakty między gubernatorem i kapitanem

Cresswellem?

– Och, tak – odparł Fettes, przewracając oczami. – Nie mam jeszcze dowodów, ale też nie szukamy od dawna.

– Rozumiem. I wciąż nie wiemy, gdzie przebywa kapitan Cresswell?

Cherry i Fettes pokręcili głowami.

– Powszechnie się uważa, że Akompong skrzywił mu kark – powiedział Cherry.

– Kto?

– Och, przepraszam, pułkowniku. Podobno to imię wodza maronów. Proszę sobie wyobrazić, że sam tytułuje się kapitanem. – Cherry nieco się skrzywił.

Grey westchnął.

– No dobrze. Nie ma żadnych doniesień o kolejnych występkach maronów, jakkolwiek by się nazywali?

– Nie, jeśli nie liczyć morderstwa gubernatora – stwierdził Fettes.

– Tak naprawdę – powiedział powoli Grey – nie sądzę, żeby maronowie ponosili winę za tę akurat śmierć. – Jeśli miał być szczery, sam był nieco zaskoczony, że to mówi, a jednak naprawdę tak uważał.

Fettes zamrugał, co było u niego najbliższym odpowiednikiem zdumionej miny, a Cherry przybrał wyraźnie sceptyczny wyraz twarzy. Grey postanowił nie wdawać się w wyjaśnienia na temat pani Abernathy i nie przedstawiać na razie swoich wniosków na temat niechęci maronów do przemocy. Pomyślał, że to dziwne: usłyszał

imię kapitana Akomponga zaledwie chwilę wcześniej, ale jego myśli od razu zaczęły krążyć dookoła pewnej zagadkowej postaci. Nagle gdzieś tam pojawił się ktoś, z kim mógł się zmierzyć.

W bitwie osobowość i temperament dowódcy miały niemal takie samo znaczenie jak liczebność żołnierzy, którymi dowodził. Grey musiał zatem dowiedzieć się czegoś więcej o kapitanie Akompongu, ale to mogło na razie poczekać.

Skinął głową Tomowi, który podszedł do niego z szacunkiem. Rodrigo też się zbliżył.

– Tom, powiedz im, co odkryłeś.

Tom odchrząknął i splótł dłonie.

– No cóż... rozebraliśmy gubernatora – Fettes się wzdrygnął, a Tom ponownie odchrząknął – i przyjrzelśmy się mu dokładnie. Krótko mówiąc, panowie – skinął głową Fettesowi i Cherry’emu – gubernatora Warrena dźgnięto w plecy.

Obaj dowódcy gapili się na niego z konsternacją.

– Przecież... w całej sypialni jest pełno krwi, brudu i różnego obrzydlistwa – zaprotestował Cherry. – Śmierdzi tam tak jak w miejscu, gdzie chowa się topielców wyłowionych z Tamizy!

– Ślady stóp – powiedział Fettes, obrzucając Toma nieco oskarżycielskim spojrzeniem. – Były tam odciski stóp. Wielkich, zakrwawionych, bosych stóp.

– Nie przeczę, że w pokoju przebywały jakieś nieprzyjemne stwory – rzucił nieco sarkastycznie Grey. –

Ale ten lub to, co przeżulo gubernatora, najprawdopodobniej go nie zabiło. Niemal na pewno już nie żył, kiedy nastąpiły... hmm... dalsze szkody.

Oczy Rodriga zrobiły się ogromne. Dało się słyszeć, jak Fettes prosi pod nosem, aby szlag go trafił, ale i on, i Cherry byli dobrymi żołnierzami i nie zakwestionowali wniosków Greya, tak samo jak nie zaprotestowali, kiedy wydał rozkaz ukrycia zwłok Warrena. Wyraźnie widzieli, jak ważne jest niedopuszczenie do plotek o grasujących zombi.

– Rzecz w tym, panowie, że po kilku miesiącach zamieszek ostatnie cztery tygodnie upłynęły w spokoju. Może śmierć pana Warrena miała nas podburzyć, ale jeśli maronowie nie są jej winni, pozostaje pytanie... na co oni czekają?

Tom uniósł głowę, otwierając szeroko oczy.

– No, milordzie, rzekłbym, że czekają na pana. Na cóż innego?

*

Zaiste, na cóż innego? Dlaczego od razu tego nie dostrzegł? Tom oczywiście miał rację. Protest maronów pozostał bez odpowiedzi, na ich skargę nikt nie zareagował. Postanowili zatem przyciągnąć uwagę w najbardziej widoczny – choć nie najlepszy – sposób, jaki był dla nich dostępny. Upłynęło trochę czasu, wciąż nie było reakcji, a potem usłyszeli, że przybywają żołnierze. Pojawił się pułkownik Grey. Naturalnie czekali, aby

zobaczyć, co robi.

Co zrobił jak na razie? Wysłał żołnierzy, aby strzegli plantacji, które stanowiły najbardziej prawdopodobny cel następnego ataku. To raczej nie mogło zachęcić maronów do porzucenia obecnego planu działań, choć możliwe, że z tego powodu skierują się gdzie indziej.

Krążył tam i z powrotem po dzikim ogrodzie przy siedzibie gubernatora, rozmyślając, ale nie miał wielu możliwości.

Wezwał Fettesa i zawiadomił go, że ma do odwołania pełnić obowiązki gubernatora Jamajki.

Fettes jeszcze bardziej niż zazwyczaj przypominał kawał drewna.

– Tak jest, pułkowniku – powiedział. – Jeśli wolno mi zapytać... Dokąd pan jedzie?

– Mam zamiar porozmawiać z kapitanem Akompongiem.

*

– Sam, pułkowniku? – Fettes był zbulwersowany. – Z pewnością nie zamierza pan jechać tam bez odpowiedniej eskorty!

– Nie będę sam – zapewnił go Grey. – Zabiorę mojego kamerdynera i sługę. Będę potrzebował kogoś, kto w razie konieczności będzie mógł tłumaczyć.

Westchnął, widząc upartą minę Fettesa.

– Jadąc tam z drużyną, majorze, prosiłbym się o konflikt zbrojny, a tego nie chcę.

– Nie, pułkowniku – powiedział z powątpiewaniem Fettes – ale na pewno... odpowiednia eskorta...!

– Nie, majorze – ton Greya był uprzejmy, lecz stanowczy. – Chcę, aby było jasne, że przyjeżdżam jedynie pomówić z kapitanem Akompongiem. Pojadę sam.

– Tak jest, pułkowniku. – Fettes zaczął wyglądać jak kawał drewna, do którego dobrał się ktoś z młotem i dłutem. – Jak pan sobie życzy.

Grey skinął głową i odwrócił się w stronę domu, ale zatrzymał się i znów spojrzał na Fettesa.

– Och, jest coś, co mógłby pan dla mnie zrobić, majorze.

Fettes rozpogodził się nieco.

– Tak, pułkowniku?

– Niech mi pan znajdzie jakiś wyjątkowo okazały kapelusz, dobrze? Ze złotą szarfą, jeśli to możliwe.

*

Pierwsze dźwięki rogu usłyszeli dopiero po prawie dwóch dniach podróży. Ich wysokie, melancholijne tony niosące się wśród zmierzchu brzmiały, jakby rozlegały się z daleka, i Grey tylko po pewnej metalicznej nucie poznał, że nie jest to okrzyk jakiegoś wielkiego, egzotycznego ptaka.

– Maronowie – powiedział pod nosem Rodrigo i zgarbił się trochę, jakby nawet siedząc w siodle, próbował się ukryć. – Tak ze sobą rozmawiają. Każda grupa ma róg,

każdy brzmi inaczej.

Usłyszeli kolejną długą, opadającą smutno nutę. Grey był ciekaw, czy to ten sam róg, czy jakiś inny, który odpowiada pierwszemu.

– Mówisz, że tak ze sobą rozmawiają. Rozumiesz, co mówią?

Rodrigo wyprostował się nieco w siodle, odruchowo wyciągając rękę za siebie, aby przytrzymać skórzane pudło zawierające najbardziej krzykliwy kapelusz, jaki można było dostać w Spanish Town.

– Tak, panie. Mówią sobie, że przyjechaliśmy.

Tom mruknął coś, co brzmiało jak: „Sam mogłem ci to powiedzieć, i to za darmo”, ale nie miał ochoty powtórzyć ani rozwinąć swojego zadania, kiedy został o to poproszony.

Na noc rozbili obóz pod osłoną drzewa, tak zmęczeni, że zjedli kolację bez słowa, patrząc, jak cowieczorna ulewa nadciąga znad morza, a potem wczołgali się do płóciennego namiotu, który przywiózł ze sobą Grey. Przy akompaniamencie szumu deszczu młodzi mężczyźni zasnęli natychmiast.

Grey przez jakiś czas walczył z sennością, wybiegając myślą na położone wyżej tereny. Miał na sobie mundur, choć nie paradny, żeby było jasne, kim jest. Jak na razie jego posunięcie spotkało się z akceptacją; nie zatrzymano ich, nie wspominając o ataku. Najwyraźniej kapitan Akompong był gotów go przyjąć.

A co potem? Nie był pewien. Miał nadzieję, że

odzyska swoich ludzi: dwóch wartowników, którzy zniknęli tej nocy, kiedy zamordowano gubernatora Warrena. Ich ciał, mundurów ani ekwipunku nie odnaleziono, a kapitan Cherry kazał przewrócić do góry nogami całe Spanish Town i King's Town. Jeśli zaś pojmano ich żywcem, potwierdzało to jego wyobrażenie o Akompongu – i dawało mu nieco nadziei na to, że z tą rebelią będzie można sobie poradzić, nie uciekając się do długiej wojskowej kampanii toczonej w dżungli i na skałach, a kończącej się łańcuchami i egzekucjami. Ale jeśli... Grey usnął i pogrążył się w dziwnych snach o kolorowych ptakach, które mijały go bezgłośnie, muskając piórami jego policzki.

Rano obudziło go słońce świecące mu w twarz. Przez moment mrugał, zdezorientowany, a potem usiadł. Był sam. Całkiem sam.

Z walącym sercem podniósł się niezgrabnie na nogi, sięgając po sztylet. Tkwił za jego pasem, ale tylko on wciąż był tam, gdzie powinien być. Zniknął jego koń – wszystkie konie. Tak samo namiot, juczny muł i juki. Tom i Rodrigo też.

Zauważył to od razu – koce, pod którymi spali w nocy, wciąż leżały niedaleko, wepchnięte w krzaki – ale i tak zaczął ich wołać raz po raz, aż zachrypł od krzyku.

Gdzieś wysoko nad nim rozległ się długi, przeciągły dźwięk rogu, który zabrzmiał kpiąco w jego uszach.

Natychmiast zrozumiał wiadomość. „Wy wzięliście dwóch naszych, my wzięliśmy dwóch waszych”.

– I myślicie, że po nich nie przyjdę? – krzyknął w przyprawiające o zawrót głowy morze kołyszącej się zieleni. – Powiedzcie kapitanowi Akompongowi, że nadchodzę! Odzyskam moich towarzyszy całych i zdrowych, albo wezmę sobie jego głowę!

Twarz nabiegła mu krwią i miał wrażenie, że zaraz eksploduje, ale rozsądek kazał mu powstrzymać się przed walnięciem w coś pięścią, choć miał na to ogromną ochotę. Był sam, nie mógł sobie pozwolić na obrażenia. Musi przybyć między maronów ze wszystkim, co mu zostało, jeśli chce ocalić Toma i położyć kres rebelii – a miał zamiar za wszelką cenę uratować Toma. To, że mogła to być pułapka, nie miało znaczenia. Musiał tam pójść.

Uspokoił się wysiłkiem woli, maszerując w kółko w samych pończochach, aż większość gniewu z niego uleciała. To wtedy je zobaczył: stały schludnie obok siebie pod kolczastym krzakiem.

Zostawili mu buty. Spodziewali się, że przyjdzie.

*

Szedł przez trzy dni. Nie zadawał sobie trudu, aby podążać za śladami: nie był szczególnie uzdolnionym tropicielem, a i tak nie było najmniejszej szansy na odnalezienie jakiegokolwiek szlaku wśród kamieni i gęstej roślinności. Wspinał się po prostu tam, którądy mógł, i nadśluchiwał, czy nie rozlega się znów dźwięk rogu.

Maronowie nie zostawili mu żadnych zapasów, ale to nie miało znaczenia. Otaczały go liczne strumyki i źródelka, a choć był głodny, to nie umierał z głodu. Tu i tam widywał drzewa, które zobaczył w Twelvetrees, obwieszane niewielkimi, czerwonymi owocami. Doszedł do wniosku, że jeśli odżywiają się nimi papugi, muszą być jadalne. Były tak kwaśne, że usta same mu się od nich wykrzywiały, ale się nie zatrzał.

Od świtu rogi odżywały się coraz częściej. Naliczył ich trzy lub cztery i wymieniały sygnały. Najwyraźniej już się zbliżał. Nie wiedział do czego, ale się zbliżał.

Zatrzymał się i podniósł wzrok. Teren zaczął się tu wyrównywać, a w dżungli pojawiły się pozbawione drzew miejsca. Na jednej z polanek zobaczył rośliny, które ewidentnie uprawiano: wzgórki pnącz, które mogły być pochrzynami, tyki do fasoli, duże, żółte kwiaty dyni lub tykwy. Na drugim końcu pola na tle zieleni widać było wznoszącą się smużkę dymu. Blisko.

Zdjął prowizoryczny kapelusz, który uplótł z liści palmy dla ochrony przed mocnym słońcem, i wytarł twarz połą koszuli. To były jedyne przygotowania, które mógł poczynić. Ostentacyjny, zdobiony złotem kapelusz, który przywiózł, zapewne wciąż znajdował się w swoim pudle – gdziekolwiek ono było. Na powrót włożył palmowe nakrycie głowy i ruszył, kulejąc, w stronę smugi dymu.

Idąc, zdał sobie sprawę, że dookoła niego powoli pojawiają się ludzie. O ciemnej skórze, ubrani w podarte ubrania, wychodzili z dżungli, aby przypatrzeć mu się

wielkimi, pełnymi zaciekawienia oczami. Znalazł maronów.

*

Mała grupa mężczyzn zaprowadziła go wyżej. Tuż przed zachodem słońca, kiedy między gałęziami drzew padały ukośnie złote i lawendowe promienie, weszli z nim na wielką polanę, gdzie stały chatki. Jeden z ludzi towarzyszących Greyowi coś krzyknął i z największej chaty wyłonił się człowiek, który bez specjalnych ceremonii przedstawił się jako kapitan Akompong.

Zaskoczył Greya. Był bardzo niski, bardzo gruby i garbaty, tak zdeformowany, że właściwie nie szedł, tylko przemieszczał się skierowanymi w bok ruchami ciała. Odziany był w resztki wspaniałego płaszcza, obecnie pozbawionego guzików, z oderwaną połową złotych galonów i straszliwie brudnymi mankietami.

Jego oczy błysnęły w cieniu opadającego ronda podniszczonego filcowego kapelusza, kiedy spod niego wyjrzał. Twarz miał okrągłą i bardzo pomarszczoną, brakowało mu zębów – ale wszystko to tworzyło wrażenie wielkiego sprytu i być może wesołości. Grey miał taką nadzieję.

– Kim jesteś? – zapytał Akompong, spoglądając na Greya jak ropucha spod kamienia.

Oczywiste było, że wszyscy obecni na polanie to wiedzą; poruszyli się nieznacznie i zaczęli trącać się łokciami, szeroko uśmiechnięci. Nie zwrócił jednak na

nich uwagi i skłonił się stosownie Akompongowi.

– Jestem odpowiedzialny za dwóch młodych mężczyzn, których porwano z obozu na zboczu góry. Przybyłem, aby ich odzyskać... ich, a także moich żołnierzy.

Rozległo się trochę pogardliwych okrzyków i Akompong odczekał chwilę, po czym uniósł dłoń, aby uciszyć swoich ludzi.

– Tak mówisz? Dlaczego myślisz, że mam coś wspólnego z tymi młodymi mężczyznami?

– Nie twierdzę, że tak jest. Ale potrafię rozpoznać wielkiego przywódcę i wiem, że może mi pan pomóc odnaleźć moich ludzi. Jeśli pan zechce.

– Fiu! – Pomarszczona twarz Akomponga wykrzywiła się w szczerbatym uśmiechu. – Myślisz, że mi pochlebisz, a ja ci pomogę?

Grey czuł, że za jego plecami skradają się dzieci. Słyszał ich stłumione chichoty, ale się nie odwrócił.

– Proszę o pańską pomoc. A w zamian oferuję coś więcej niż tylko moje dobre mniemanie.

Mała rączka sięgnęła pod jego płaszcz i mocno uszczypnęła go w pośladek. Rozległ się wybuch śmiechu i odgłosy szalonej ucieczki. Nie ruszył się.

Akompong przeżuł coś, co trzymał w ogromnych ustach, mrużąc jedno oko.

– Tak? Co zatem oferujesz? Złoto? – Kącik jego mięsistych warg się uniósł.

– Potrzeba panu złota? – zapytał Grey.

Dzieci znów szeptały i chichotały za nim, ale usłyszał też, że kobiety je uciszają; zaczynały interesować się tą rozmową. Może.

Akompong zamyślił się na chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nie. Co innego proponujesz?

– Czego pan chce? – odparował Grey.

– Głowy kapitana Cresswella! – powiedziała bardzo wyraźnie któraś kobieta.

Słysząc było szuranie stóp i odgłos uderzenia, męski głos ganiący ją po hiszpańsku, rozgniewane głosy kobiet. Akompong pozwolił dyskusji potrwać jeszcze chwilę, po czym znów podniósł dłoń. Natychmiast zapadła cisza.

Potem się przedłużyła. Grey czuł, jak krew pulsuje mu wolno i z trudem w skroniach. Czy powinien się odezwać? I tak był stroną proszącą; mówiąc coś teraz, straciłby twarz, jak powiadają Chińczycy. Czekał.

– Gubernator nie żyje? – zapytał w końcu Akompong.

– Tak. Skąd pan o tym wie?

– Pytasz, czy go zabiłem? – Dookoła pożółkłych, wyłupiastych oczu pojawiły się kolejne zmarszczki.

– Nie – odparł cierpliwie Grey. – Mam na myśli...
Wie pan, jak zginął?

– Zombi go zabiły. – Odpowiedź padła od razu, poważnym tonem. W oczach wodza nie było już ani cienia wesołości.

– Wie pan, kto stworzył te zombi?

Akomponga przebiegł dziwny dreszcz: od

podniszczonego kapelusza po zrogowaciałe podeszwy bosych stóp.

– Wie pan – stwierdził cicho Grey, unosząc dłoń, aby powstrzymać odruchowe zaprzeczenie. – Ale to nie był pan, prawda? Niech mi pan powie.

Kapitan przestąpił niespokojnie z nogi na nogę, ale nie odpowiedział. Zerknął w stronę jednej z chatek i po chwili zawołał coś w narzeczu maronów. Grey odniósł wrażenie, że wyłapał słowo „Azeel”. Na moment się zamyślił, ponieważ było mu ono znajome, ale nie wiedział dlaczego. Potem młoda kobieta wyłoniła się z chatki, pochylając głowę w niskim wejściu, i sobie przypomniał.

Azeel. Niewolnica, którą wykorzystał gubernator i której ucieczka z jego siedziby zapoczątkowała plagę węży.

Patrząc na nią, kiedy się zbliżała, zrozumiał, co wzbudziło żądzę gubernatora, choć jej uroda do niego akurat nie przemawiała. Dziewczyna była drobna, lecz zwracała uwagę. Jej ciało miało idealne proporcje i stała niczym królowa, a jej oczy płonęły, kiedy spojrzała na Greya. Był w nich gniew, ale też coś przywodzącego na myśl straszliwą rozpacz.

– Kapitan Akompong mówi, że powiem ci, co wiem... co się stało.

Grey się jej uklonił.

– Byłbym niezwykle wdzięczny, pani.

Zmierzyła go ostrym wzrokiem, najwyraźniej podejrzewając, że z niej kpi, ale mówił poważnie, a ona to

dostrzegła. Kiwnęła głową krótko, niemal niedostrzegalnie.

– No dobrze. Wiesz, że ten bydlak – splunęła wprawdzie na ziemię – wziął mnie siłą? A ja opuściłam jego dom?

– Tak. Potem znalazłaś kapłana obeah, który rzucił na gubernatora Warrena klątwę węży, mam rację?

Posłała mu gniewne spojrzenie, ale znów przytaknęła krótko.

– Wąż to mądrość, a ten człowiek jej nie miał. Ani trochę!

– Myślę, że masz całkowitą rację. Ale co z zombi?

Przez tłum przeszedł szmer niepokoju. Strach, niesmak... i coś jeszcze. Dziewczyna zasznurowała usta, a w jej wielkich, ciemnych oczach zaśniły łzy.

– Rodrigo – wykrztusiła. – On... i ja... – Zacisnęła zęby: nie potrafiła mówić, nie płacząc, a nie chciała płakać na jego oczach. Spuścił wzrok, aby zapewnić jej choć trochę prywatności. Słyszał, że oddycha przez nos, posapując cicho. W końcu zaczerpnęła głęboko tchu. – Nie był zadowolony. Poszedł do hougana. Kapłan obeah go ostrzegał, ale... – Jej twarz wykrzywił wysiłek, z jakim powstrzymywała falę emocji. – Houngan. Miał zombi. Rodrigo mu zapłacił, żeby zabił bydlaka.

Grey poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią w pierś. Rodrigo. Rodrigo ukrywający się w szopie ogrodowej na dźwięk bosych stóp szurających w mroku – czy Rodrigo, który ostrzegł resztę służby i nakazał jej

uciec, a potem otworzył drzwi i podążył po schodach za milczącą hordą tych ludzkich wraków w ohydnych szmatach... a może pobiegł na górę przed nimi, udając przestrah, wzywając strażników, aby wywabić ich na zewnątrz, skąd można ich było porwać.

– A gdzie teraz jest Rodrigo? – zapytał ostrym tonem. Na polanie zapadła głęboka cisza. Ludzie nawet nie patrzyli na siebie, wszyscy spuścili wzrok. Grey postąpił krok w stronę Akomponga. – Kapitanie?

Akompong się poruszył. Zwrócił zdeformowaną twarz w stronę Greya i uniósł rękę w stronę jednej z chatek.

– Nie lubimy zombi, pułkowniku – powiedział. – Są nieczyste. A zabicie człowieka z ich pomocą... to wielkie zło. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

– Ten człowiek, Rodrigo... – Akompong się zawahał, szukając odpowiednich słów. – Nie jest jednym z nas. Pochodzi z Hispanioli. Tam... robią takie rzeczy.

– Tworzą zombi? Ale tutaj zapewne też to się dzieje. – Grey mówił bez zastanowienia; jego umysł pracował gorączkowo nad tymi rewelacjami. To stworzenie, które zaatakowało go w sypialni... człowiekowi nie byłoby trudno wysmarować się ziemią z grobu i włożyć przegniłe ubrania.

– Nie wśród nas – rzucił bardzo zdecydowanym tonem Akompong. – Zanim powiem więcej, pułkowniku: wierzysz w to, co jak na razie usłyszałeś? Wierzysz, że nie

mieliśmy... nie miałem... nic wspólnego ze śmiercią twojego gubernatora?

Grey zastanowił się nad tym przez chwilę. Nie było żadnych dowodów poza opowieścią niewolnicy. A jednak – miał przecież dowody. Dowody oparte na własnych spostrzeżeniach i wnioskach na temat natury człowieka, który siedział przed nim.

– Tak – odezwał się nagle. – I co?

– Czy twój król w to uwierzy?

No cóż, jeśli ujmie się to tak bezpośrednio, nie, pomyślał Grey. Sprawa wymagałaby odrobiny taktu... Akompong prychnął cicho, dostrzegając te myśli na jego twarzy.

– Ten człowiek, Rodrigo. Zrobił nam wielką krzywdę, wywierając prywatną zemstę w sposób, który... który... – szukał słowa.

– Który was obciąża – dokończył za niego Grey. – Tak, rozumiem. Co z nim zrobiliście?

– Nie mogę ci go wydać – powiedział w końcu Akompong. Zacisnął na moment grube wargi, ale spojrzał Greyowi w oczy. – On nie żyje.

Szok był jak postrzał kulą z muszkietu. Uderzenie, od którego stracił równowagę, a potem straszna świadomość, że dokonała się nieodwracalna krzywda.

– Jak? – rzucił ostro. – Co się z nim stało?

Na polanie wciąż panowała cisza. Akompong gapił się w ziemię pod nogami. Po długiej chwili od strony tłumu napłynęło westchnienie, szept.

– Zombi.

– Gdzie? – warknął Grey. – Gdzie on jest? Przeprowadźcie go do mnie. Ale już!

Tłum cofnął się od chatki i przebiegł po nim jakby jęk. Kobiety chwyciły na ręce dzieci i rzuciły się w tył tak gwałtownie, że deptały innym po stopach. Drzwi się otworzyły.

– *Anda!* – rozległo się w środku. Po hiszpańsku oznacza to „idź”.

Oniemiały umysł Greya ledwie zdążył to pojąć, kiedy mrok wewnątrz chatki się zmienił i w drzwiach pojawiła się sylwetka.

To był Rodrigo. Ale też nie on. Jego promieniejąca cera stała się blada i nabrała ziemistej, niemal woskowej barwy. Jędrne, miękkie wargi były bezwładnie rozdziawione, a oczy – och, Boże, oczy! Były zapadnięte, szkliste i nie było w nich widać śladu zrozumienia, życia ani cienia świadomości, oczy trupa. A jednak... szedł.

To było z tego wszystkiego najgorsze. Zniknął cały jego sprężysty wdzięk, elegancja. To stworzenie poruszało się sztywno, powłócząc nogami, niemal się śłaniało. Ubrania wisiały na nim niczym szmaty stracha na wróble, usmarowane gliną i poplamione czymś obrzydliwym. Grey poczuł smród rozkładu i się zakrztusił.

– *Alto* – powiedział cicho ktoś wewnątrz chaty i Rodrigo zatrzymał się nagle. Ramiona wisiały mu jak u marionetki.

Wtedy Grey przeniósł wzrok na chatę. W jej wejściu

stał wysoki, ciemnoskóry mężczyzna z płomiennym spojrzeniem utkwionym w Greyu.

Słońce już prawie zaszło. Polana była pogrążona w głębokim cieniu i Grey poczuł, jak przebiega go konwulsyjny dreszcz. Uniósł podbródek i ignorując okropną istotę stojącą sztywno przed nim, zwrócił się do wysokiego mężczyzny:

– Kim jesteś, panie?

– Mów mi Izmael – odparł mężczyzna, mówiąc z dziwnym, melodyjnym akcentem.

Wyszedł z chaty, a Grey poczuł, że wszyscy odsuwają się od tego człowieka, jakby roznosił jakąś potworną zarazę. Grey też miał ochotę się cofnąć, ale tego nie zrobił.

– Ty... to zrobiłeś? – zapytał Grey, machając ręką w stronę szczątków Rodriga.

– Za to mi zapłacono, tak. – Izmael zerknął na Akomponga, a potem na powrót spojrział na Greya.

– A gubernator Warren... za jego zabicie też ci zapłacono, prawda? On ci zapłacił? – Wskazał głową Rodriga. Nie potrafił zdobyć się na to, żeby na niego spojrzeć.

„Zombi myślą, że nie żyją, i wszyscy inni też tak sądzą”.

Izmael zmarszczył brwi, a wtedy Grey zauważył, że jego twarz jest poznaczona bliznami, które wyglądały na zrobione umyślnie, długimi rowkami wyciętymi w policzkach i czole. Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie. Ten – wskazał Rodriga – zapłacił mi, żebym sprowadził moje zombi. Mówił mi, że chce kogoś przestraszyć. A zombi to potrafią – dodał z drapieżnym uśmiechem. – Ale kiedy kazałem im wejść do pokoju i *buckra* się odwrócił, żeby uciec, ten – znów wskazał Rodriga – rzucił się na niego i go dźgnął. Człowiek padł martwy, a potem Rodrigo kazał mi – słychać było w jego głosie, co sądzi o otrzymywaniu rozkazów od kogokolwiek – abym sprawił, żeby moje zombi się nim pożywiły. – Wzruszył ramionami. – Dlaczego nie? Już nie żył.

Grey odwrócił się do kapitana Akomponga, który słuchał tego w ciszy.

– A pan potem zapłacił temu... temu...

– Hounganowi – wtrącił uprzejmie Izmael.

– ...żeby zrobił to?! – Wskazał palcem Rodriga, a głos drżał mu z oburzenia i przerażenia.

– Sprawiedliwość – oznajmił Akompong z prostolinijną godnością. – Nie uważasz?

Greyowi zabrakło słów. Kiedy zastanawiał się gorączkowo, jak to skomentować, wódz odwrócił się do swojego adiutanta i powiedział:

– Przyrowadź tego drugiego.

– Drugiego... – zaczął Grey, ale zanim dokończył, wśród tłumu znów zapanowało poruszenie i z jednej z chatek wyszedł maron, który prowadził drugiego mężczyznę za linę obwiązaną dookoła szyi. Ów człowiek miał związane za plecami ręce, oszalały wzrok i był

ohydnie brudny, choć jego ubrania najwyraźniej były niegdyś doskonałej jakości. Grey pokręcił głową, próbując rozproszyć resztki przerażenia paralizującego jego umysł.
– Kapitan Cresswell, jak sądzę? – zapytał.

– Ratuj mnie! – wydyszał mężczyzna i padł na kolana u stóp Greya. – Błagam cię, panie... kimkolwiek jesteś... ratuj mnie!

Grey potarł twarz ze znużeniem i spojrzał najpierw na niegdysiejszego nadzorcę, a potem na Akomponga.

– Czy trzeba go ratować? – zapytał. – Nie mam na to ochoty, wiem, co zrobił, ale to mój obowiązek.

Akompong zacisnął usta w zamyśleniu.

– Mówisz, że wiesz, co to za jeden. Jeśli ci go dam, co z nim zrobisz?

Przynajmniej na to pytanie znał odpowiedź.

– Oskarżę go o popełnienie zbrodni i wyślę do Anglii, by stanął przed sądem. Jeśli zostanie skazany, trafi do więzienia... a może na szubienicę. Co stałoby się z nim tutaj? – zapytał z ciekawością.

Akompong odwrócił głowę i spojrzał z namysłem na hougana, który wyszczerzył nieprzyjemnie zęby.

– Nie! – zachłysnął się Cresswell. – Nie, błagam! Nie pozwól mu mnie zabrać! Nie mogę... nie mogę... o Boże!
– Zerknął z przerażeniem na sztywną sylwetkę Rodriga, a potem padł twarzą na ziemię, szlochając spazmatycznie.

Otępiało mu z nadmiaru tych wrażeń Greyowi przemknęło przez myśl, że to zapewne zakończyłoby rebelię... ale nie. Cresswell się na to nie zgadzał, on też

nie.

– No dobrze – powiedział, przełknął ślinę i odwrócił się do Akomponga. – W końcu jest Anglikiem i, tak jak mówiłem, muszę dopilnować, aby został osądzony zgodnie z angielskim prawem. Muszę zatem prosić, aby oddał go pan pod moją opiekę i przyjął moją obietnicę, że zostanie mu wymierzona sprawiedliwość. Nasza sprawiedliwość – dodał, odwzajemniając wrogie spojrzenie houngana.

– A jeśli tego nie zrobię? – zapytał Akompong, patrząc na niego przyjaznym wzrokiem.

– No cóż, zapewne będę musiał z panem o niego walczyć – powiedział Grey. – Ale jestem cholernie zmęczony i naprawdę nie mam na to ochoty. – Akompong się zaśmiał, a pułkownik dodał pospiesznie: – Oczywiście mianuję nowego nadzorcę i z uwagi na znaczenie tego urzędu przywiozę go tutaj, aby mógł go pan poznać i wyrazić swą aprobatę.

– A jeśli jej nie wyrażę?

– Na Jamajce jest cholernie dużo Anglików – odparł niecierpliwie Grey. – Któryś z nich na pewno się panu spodoba.

Akompong roześmiał się w głos, a jego okrągły brzuch zatrzęsł się pod płaszczem.

– Ty mi się podobasz, pułkowniku – oznajmił. – Chcesz być nadzorcą?

Grey powstrzymał odruchową odpowiedź na to pytanie i powiedział:

– Niestety, mam obowiązki względem armii, które uniemożliwiają mi przyjęcie tej propozycji, choć jest niebywale szczodra. – Zakaszłał. – Masz jednak moje słowo, że znajdę odpowiedniego kandydata.

Wysoki adiutant, który stał za kapitanem Akompongiem, sceptycznym, podniesionym tonem powiedział w narzeczu coś, czego Grey nie zrozumiał – ale wnioskując z jego miny, tego, jak zerknął na Cresswella, i szmeru aprobaty, który wezbrał w odpowiedzi na jego uwagę, Grey bez trudności wydedukował, co znaczyło to zdanie.

„Co warte jest słowo Anglika?”

Grey obrzucił płaszczącego się u jego stóp i chlapiącego Cresswella spojrzeniem pełnym głębokiej dezaprobaty. Dostałby za swoje, gdyby... wtedy wyczuł smród rozkładu, który wiatr przyniósł od nieruchomego Rodriga, i się wzdrygnął. Nie, nikt na to nie zasługiwał.

Odsuwając na razie na bok rozważania o losie Cresswella, Grey skoncentrował się na kwestii, która dręczyła go od chwili, kiedy dostrzegł pierwszą smugę dymu.

– Moi ludzie – powiedział. – Chcę zobaczyć moich ludzi. Proszę, przyprowadźcie ich do mnie. Natychmiast. – Nie podniósł głosu, ale wiedział, jak wypowiedzieć słowo, żeby zabrzmiało jak rozkaz.

Akompong przechylił nieco głowę, jakby to rozważał, ale potem machnął od niechcienia ręką. Tłum poruszył się z wyczekiwaniem. Zebrani zaczęli odwracać

głowy, a potem całe sylwetki, i Grey spojrział w stronę skał, na które patrzyli. Po eksplozji krzyków, gwizdów i śmiechu z wąwozu wyszli dwaj żołnierze oraz Tom Byrd. Lina łączyła ich szyje, mieli związane kostki oraz nadgarstki i szli, szurając niezgrabnie nogami, wpadając na siebie nawzajem i odwracając głowy na wszystkie strony niczym kurczęta, bezskutecznie próbując uniknąć plwocin zebranych i garści ziemi, którymi ich obrzucali.

Oburzenie wywołane takim traktowaniem więźniów złagodziła w Greyu radość na widok Toma i młodych żołnierzy, wyraźnie przestraszonych, ale całych i zdrowych. Natychmiast podszedł bliżej, żeby mogli go dostrzec, i ścisnęło mu się serce, kiedy zobaczył żałosny wyraz ulgi na ich twarzach.

– No, chyba nie myśleliście, że was zostawię? – zapytał z uśmiechem.

– Ja nie, milordzie – oznajmił mężnie Tom, już szarpiąc za linę obwiązaną dookoła szyi. – Mówiłem im, że pojawi się pan zaraz, kiedy tylko wzuje buty! – Spojrzał wilkiem na małych chłopców, ubranych jedynie w koszule, którzy tańczyli dookoła niego i żołnierzy, krzycząc *Buckra! Buckra!* i nie do końca żartobliwie dźgając ich genitalia patykami. – Może pan sprawić, żeby przestali tak piekielnie hałasować, milordzie? Wrzeszczą, od kiedyśmy tu trafili.

Grey spojrział na Akomponga i uniósł brwi. Wódz warknął kilka słów w języku, który nie był do końca hiszpańskim, i chłopcy niechętnie się odsunęli, choć

wciąż robili miny i nieprzyzwoite gesty.

Kapitan Akompong wyciągnął rękę do swojego adiutanta, który podniósł go na nogi. Thusty wódz otrzepał starannie poły płaszcz, a potem obszedł powoli niewielką grupę więźniów, zatrzymując się przy Cresswellu, który leżał teraz zwinięty w kłębek. Przyjrzał mu się, a potem podniósł wzrok na Greya.

– Wiesz, co to jest loa, pułkowniku? – zapytał cicho.

– Tak – odparł ostrożnie Grey. – Dlaczego pan pyta?

– Niedaleko stąd jest źródło. Bije z głębin ziemi, gdzie żyją loa, i one czasem wychodzą na powierzchnię, aby mówić. Jeśli chcesz odzyskać ludzi, proszę, żebyś tam poszedł i porozmawiał z tym loa, które cię odnajdzie. W ten sposób dowiemy się prawdy, a ja będę mógł podjąć decyzję.

Grey przez chwilę stał bez ruchu, patrząc to na grubego starca, to na Cresswella i jego drżące od bezgłośnego szlochu plecy, to na Azeel, która odwróciła głowę, aby ukryć gorące łzy ciekące jej po policzkach. Nie popatrzył na Toma. Nie wyglądało na to, żeby miał wybór.

– No dobrze – powiedział, spoglądając znowu na Akomponga. – Pójdę teraz.

Akompong pokręcił głową.

– Rano – odparł. – Lepiej nie iść tam nocą.

– Trudno – oznajmił Grey. – Pójdę teraz.

*

Jak się okazało, określenie „niedaleko stąd” było względne. Kiedy przybyli nad źródło, Grey uznał, że jest pewnie około północy. Towarzyszyli mu houngan Izmael oraz czterej maronowie z pochodniami i długimi nożami do cięcia trzciny cukrowej, które zwali maczetami.

Akompong nie wspomniał, że to gorące źródło. Oczom Greya ukazał się skalny nawis, a pod nim coś, co wyglądało jak jaskinia, z której para buchała niczym oddech smoka. Jego towarzysze – albo strażnicy, zależy, jak się na to spojrzano – zatrzymali się w bezpiecznej odległości. Zerknął na nich, oczekując jakichś wskazówek, ale milczeli.

Grey był ciekaw, jaką rolę w tym dziwnym przedsięwzięciu ma odgrywać houngan. Przyniósł on ze sobą poobijaną manierkę. Teraz ją odkręcił i podał Greyowi. Jej zawartość wydawała się gorąca, choć sama ciężka, cynowa manierka była chłodna w dotyku. Sądząc po słodkim, piekącym zapachu, był to mocny rum – i zapewne coś jeszcze.

„...zioła. Starte na proch kości... drobiny innych rzeczy. Ale główny składnik, jedno, co trza mieć, to wątroba ryby fugu... Rozumiesz pan, oni już nie dochodzą do siebie. Trucizna niszczy mózg...”

– Teraz pijemy – powiedział Izmael – i wchodzimy do pieczary.

– Obaj?

– Tak. Wezwę loa. Jestem kapłanem Damballaha. – Mężczyzna mówił poważnie, nie przejawiając już

wcześniejszej wrogości czy pogardy.

Grey zauważył jednak, że ich towarzysze trzymają się od niego z daleka i mierzą go czujnymi spojrzeniami.

– Rozumiem – odparł, choć wcale nie rozumiał. – Ten... Damballah. On... czy ona...?

– Damballah to wielki wąż – oznajmił Izmael i uśmiechnął się, a jego zęby błysnęły w świetle pochodni. – Podobno węże do ciebie przemawiają. – Wskazał głową manierkę. – Pij.

Powstrzymując chęć powiedzenia „Ty pierwszy”, Grey podniósł manierkę do ust i napił się powoli. Był to bardzo mocny rum z dziwnym, słodko-kwaśnym posmakiem, podobnym do aromatu przejrziałych owoców. Próbował nie myśleć o mało konkretnych słowach, jakimi pani Abernathy opisała proszek *afile* – nie wspomniała przecież, jak on może smakować. Izmael z pewnością by go nie otruł...? Grey miał nadzieję, że nie.

Sący płyn, aż houngan zmienił lekko pozycję, dając mu znać, że już wystarczy. Oddał manierkę Izmaelowi, który bez wahania pociągnął z niej kilka łyków. Grey pomyślał, że pewnie powinno go to uspokoić, ale zaczęło mu się nieprzyjemnie kręcić w głowie, w uszach rozbrzmiewało mu bicie serca i coś dziwnego działo się z jego wzrokiem: wszystko pociemniało na chwilę, po czym powróciło wraz z krótkim rozbłyskiem światła, a kiedy spojrzał na jedną z pochodni, zobaczył dookoła niej kolorową poświatę.

Ledwie usłyszał stuknięcie, z którym manierka spadła

na ziemię, i mrugając, patrzył na drgające, odziane w biel plecy houngana oraz czarną plamę twarzy, kiedy Izmael odwrócił się do niego.

– Chodź. – Mężczyzna zniknął za zasłoną pary.

– No dobrze – mruknął. – A zatem... – Zdjął buty, rozpiął mankiety spodni pod kolanami i zsunął pończochy. Potem zrzucił płaszcz i wszedł ostrożnie do parującej wody.

Była tak gorąca, że się zachłysnął, ale po kilku chwilach przyzwyczał się do temperatury i ruszył przed siebie, brodząc w płytkiej sadzawce w stronę wylotu jaskini, czując twardy żwir pod bosymi stopami. Usłyszał szepty strażników, ale żaden z nich niczego nie zaproponował.

Woda ściekała z nawisu, ale nie jak zwykle w wodospadzie, lecz cienkimi strugami przypominającymi kły. Strażnicy wbili pochodnie w ziemię na skraju źródła. Płomienie tańczyły w kroplach spadającej wody niczym tęcze, kiedy Grey dostał się pod nawis.

Gorące, wilgotne powietrze naparło na jego płuca, utrudniając mu oddychanie. Po chwili przestał je czuć na skórze, jakby wtopił się w ciemności jaskini.

Naprawdę było tam ciemno. Całkowicie. Z tyłu padała słaba luna, ale przed sobą nie widział absolutnie nic, więc musiał iść po omacku, sunąc ręką po szorstkiej skalnej ścianie. Plusk wody przycichł i zastąpiło go ciężkie walenie serca, które jakby chciało się wyrwać z jego piersi. W pewnej chwili zatrzymał się i przycisnął

palce do powiek, czerpiąc otuchę z kolorowych wzorów, które się pojawiły: a więc nie oślepl. Kiedy jednak na powrót otworzył oczy, otaczał go absolutny mrok.

Miał wrażenie, że robi się coraz ciaśniej: wyciągając ramiona, mógł dotknąć ścian po obu stronach jaskini i przez moment, niczym w koszmarze, niemal poczuł, że się do siebie zbliżają. Zmusił się do nabrania tchu głębokim, spazmatycznym haustem i odepchnął od siebie tę iluzję.

– Zatrzymaj się – dobiegł go szept.

Grey stanął w miejscu. Na chwilę, która wydała mu się bardzo długa, zapadła cisza.

– Podejdź – szepnął znów głos, nagle chyba z dość bliska. – Tuż przed tobą jest suchy ład.

Grey przesunął się nieco w przód, szurając nogami i czując, że dno jaskini się unosi, po czym ostrożnie wy dostał się na nagie skały. Szedł powoli przed siebie, aż głos znów nakazał mu się zatrzymać.

Cisza. Wydawało mu się, że słyszy czyjś oddech, ale nie był pewien; w oddali wciąż cicho szumiała woda. No dobrze, pomyślał. Chodź zatem.

Nie było to właściwe zaproszenie, ale przypomniały mu się wlepione w niego zielone oczy pani Abernathy, kiedy mówiła: „Widzę, że na pana ramionach leży ogromny wąż, pułkownika”.

Wstrząsany dreszczem zdał sobie sprawę, że czuje na ramionach ciężar. Było to coś żywego: poruszało się prawie niewyczuwalnie.

– Chryste – szepnął i wydało mu się, że gdzieś w jaskini rozlega się echo śmiechu. Wyprostował się i odepchnął od siebie ten obraz, ponieważ z pewnością był jedynie wytworem jego rozpalonej rumem wyobraźni. Faktycznie, widmo zielonych oczu zniknęło, ale ciężar wciąż na nim spoczywał, choć Grey nie wiedział, czy czuje go na ramionach czy w myślach.

– Proszę, loa już przybyło – odezwał się cichy głos jakby z zaskoczeniem. – Wężę rzeczywiście cię lubią, *buckra*.

– I co z tego? – zapytał. Przemówił normalnym tonem, jego słowa odbiły się echem od skał.

Ten drugi zachichotał krótko, a Grey bardziej poczuł, niż usłyszał ruch obok siebie: szmer kończyn i cichy, głuchy odgłos, kiedy coś uderzyło o ziemię przy jego prawej stopie. Miał wrażenie, że jego głowa jest ogromna i pulsuje. Przebiegały go też fale gorąca, choć w głębinach jaskini było chłodno.

– Sprawdź, czy ten wąż też cię lubi, *buckra*. Podnieś go.

Zupełnie nic nie widział, ale przesunął powoli stopę, sunąc po omacku po pokrytej szlamem skale. Palce u nóg o coś się otarły i zamarł w bezruchu. To, czego dotknął, cofnęło się szybko. Potem poczuł na jednym z palców muśnięcie: wąż smakował go językiem.

Co dziwne, to go uspokoiło. Z pewnością nie był to jego maleńki żółty znajomy, ale na ile potrafił się zorientować, ten wąż był do niego podobny pod

względem rozmiarów. Nie było się czego bać.

– Podnieś go – zachęcił głos. – Krait powie nam, czy mówisz prawdę.

– Rzeczywiście? – zapytał oschłym tonem Grey. – Jak?

Ten drugi się zaśmiał i Grey odniósł wrażenie, że słyszy też chichot dwóch lub trzech innych osób – choć może było to tylko echo.

– Jeśli umrzesz... kłamałeś.

Grey cicho, pogardliwie prychnął. Na Jamajce nie ma jadowitych węży. Ułożył dłoń w miseczkę i ugiął kolano, ale się zawahał. Myśl o ukąszeniu przez węża, jadowitego czy nie, wzbudzała w nim instynktowną awersję. No i skąd miał wiedzieć, jak człowiek – lub ludzie – siedzący w mroku postąpią, jeśli to stworzenie faktycznie go ukąsi?

– Ufam temu wężowi – powiedział głos cicho. – Krait przyjechał ze mną z Afryki. Dawno.

Grey natychmiast się wyprostował. Z Afryki! Teraz przypomniał sobie tę nazwę i na twarz wystąpił mu zimny pot. Krait. Pieprzony afrykański krait. Gwynne miał takiego. Był niewielki, w obwodzie nie szerszy od małego palca dorosłego mężczyzny. „Są cholernie zabójcze” – powiedział wtedy niemal pieszczotliwym tonem Gwynne, gładząc grzbiet zwierzęcia końcówką gęsiego pióra. Wąż – smukłe, brązowe, niezwracające uwagi stworzenie – był, zdaje się, całkiem nieświadomy tego gestu.

Teraz wąż wił się leniwie na stopie Greya. Pułkownik musiał powściągnąć silną chęć kopnięcia i zdeptania go.

Co w nim, u diabła, przyciągało akurat węże spośród wszystkich nieboskich stworzeń? Mogło zapewne być gorzej: mogły to być karaluchy. Natychmiast odniósł ohydne wrażenie, że coś pełza mu po przedramionach, i odruchowo potarł je mocno, widząc – tak, niech to szlag, widział tutaj, w ciemnościach – jak po jego skórze przesuwały się kolczaste odnóża o wielu stawach i drgające, ciekawskie czułki.

Chyba krzyknął. Ktoś się roześmiał.

Jeśli będzie o czymkolwiek myślał, nigdy tego nie zrobi. Schylił się i chwycił gada, po czym, prostując się, odrzucił w mrok. Rozległ się wrzask i odgłosy desperackiej ucieczki, a potem krótki okrzyk szoku.

Grey dyszał i trząsał się z emocji, raz po raz sprawdzając dłoń; nie czuł jednak bólu, nie znalazł ran po kłach. Krzyk zastąpił potok cichych niezrozumiałych przekleństw, przerywany głębokimi szlochami przerażonego człowieka. Houngan – jeśli to był on – powiedział coś natarczywym tonem, a odpowiedział mu inny głos, pełen powątpiewania i strachu. Za nim, przed nim? Przestał już orientować się w kierunkach.

Coś go wyminęło, otarł się o niego ciężar ciała i Grey wpadł na ścianę jaskini, odzierając sobie ramię. Ucieszył się z bólu: było to coś, czego mógł się uchwycić, coś prawdziwego.

Kolejne szybkie ruchy w głębi jaskini i nagła cisza. Potem rozległ się świst i coś uderzyło mocno o ciało. Przypominający miedź zapach świeżej krwi stłumił wonie

rozgrzanej skały i wody. Więcej dźwięków nie było.

Grey siedział na błotnistym dnie jaskini. Czuł pod sobą chłodny muł. Przycisnął do niego na płasko dłonie, orientując się w przestrzeni. Po chwili podniósł się na nogi i stanął chwiejnie mimo zawrotów głowy.

– Nie kłamałem – powiedział w ciemność. – I zamierzam odzyskać moich ludzi.

Ociekając potem i wodą, zawrócił w stronę tęczy.

*

Słońce dopiero co wstało, kiedy wrócił do górskiej osady. Nad chatkami unosił się dym ognisk, a zapach jedzenia sprawił, że ścisnęło go boleśnie w żołądku, ale wszystko to mogło poczekać. Najbardziej zdecydowanym krokiem, na jaki było go stać – na stopach miał tyle pęcherzy, że nie był w stanie włożyć butów, i wrócił boso po kamieniach i kolcach – podszedł do największej chaty, przed którą spokojnie czekał na niego kapitan Akompong.

Tom i żołnierze też tam byli. Klęczeli przy ognisku i choć nie łączyła ich już lina, każdy z osobna wciąż był związany. Nieco dalej był Cresswell, który wyglądał jak półtora nieszczęścia, ale przynajmniej nie leżał zwinięty w kłębek na ziemi.

Akompong zerknął na jednego ze swoich adiutantów, a ten podszedł do więźniów i przeciął im więzy kilkoma nonszalanckimi, ale na szczęście precyzyjnymi machnięciami wielkiej maczety.

– Twoi ludzie, pułkowniku – oznajmił

wspaniałomyślnie wódz, machając tłustą dłonią w ich stronę. – Oddaję ci ich.

– Jestem zobowiązany. – Grey się skłonił. – Ale jednego brakuje. Gdzie Rodrigo?

Nagle zapadła cisza. Nawet rozkrzyczane dzieci momentalnie umilkły i schowały się za matkami. Grey słyszał plusk wody spływającej po odległej skale i bicie własnego serca.

– Ten zombi? – zapytał w końcu Akompong. Mówił neutralnym tonem, ale Grey wyczuł w jego głosie ślad niepokoju. – Nie należy do ciebie.

– Tak, należy – odparł zdecydowanie Grey. – Przyjechał na tę górę pod moją opieką i tak samo ją opuści. To mój obowiązek.

Trudno było rozszyfrować minę przysadzistego wodza. Panowały ogólny bezruch i cisza, choć Grey kątem oka dostrzegł, że niektórzy odwracają nieznacznie głowy w stronę innych, jakby zadawali sobie nawzajem bezgłośnie pytania.

– To mój obowiązek – powtórzył Grey. – Nie mogę odjechać bez niego. – Starannie pominął wszelkie wzmianki o tym, że decyzja o wyjeździe może wcale nie należy do niego. Dlaczego jednak Akompong miałby zwracać mu ludzi, gdyby miał zamiar zabić go lub uwięzić?

Wódz zacisnął mięsiste wargi, a potem odwrócił głowę i odezwał się pytającym tonem. W chacie, z której poprzedniego wieczoru wyłonił się Izmael, coś się

poruszyło. Po długiej chwili houngan wyszedł na polanę.

Twarz miał bladą, a jedną jego stopę ciasno owijał zaplamiony krwią materiał. Zaciekawiony Grey doszedł do wniosku, że to następstwa amputacji. Przypomniawsobie świst i metaliczne uderzenie, które poniosło się echem po jaskini. Był to jedyny pewny sposób na to, aby jad węża nie rozszedł się po całym ciele.

– Ach – westchnął Grey lekkim tonem. – A więc krait mnie polubił bardziej, co?

Wydało mu się, że Akompong zaśmiał się pod nosem, ale nie zwrócił na to większej uwagi. Oczy houngana błysnęły nienawistnie w jego stronę i Grey pożałował swojego dowcipu, obawiając się, że może on kosztować Rodriga jeszcze więcej, niż już mu odebrano.

Mimo szoku i przerażenia, które czuł, trzymał się kurczowo tego, co powiedziała mu pani Abernathy. Młodzieniec tak naprawdę nie był martwy. Grey przełknął ślinę. Czy można sprawić, aby Rodrigo na powrót doszedł do siebie? Szkotka powiedziała, że nie – ale może się myliła. Rodrigo najwyraźniej był zombi zaledwie od kilku dni. Mówiła przecież, że z upływem czasu narkotyk przestaje działać... Może...

Akompong odezwał się ostrym tonem, a houngan spuścił głowę.

– *Anda* – powiedział ponuro.

W chacie coś poruszyło się niezgrabnie, a houngan się odsunął, niemal wypychając Rodriga na światło dzienne. Młodzieniec stanął z rozdziawionymi ustami i

wzrokiem wlepionym w ziemię.

– Chcesz to? – Akompong wskazał Rodriga ręką. – Po co? Na pewno na nic ci się nie przyda. Chyba że chcesz go wziąć do łóżka, nie odmówi ci!

Wszyscy uznali to za bardzo zabawne: cała polana zatrzęsała się od śmiechu. Grey to przeczekał. Kątem oka dostrzegł, że Azeel przygląda mu się z jakby lękliwą nadzieją w oczach.

– Jest pod moją opieką – powtórzył. – Tak, chcę go.

Akompong kiwnął głową i głęboko nabrał tchu, rozkoszując się zapachami owsianki z manioku, smażonych plantanów i wieprzowiny.

– Siadaj, pułkowniku – powiedział – i zjedz ze mną.

Grey usiadł powoli obok niego, czując, jak nogi pulsują mu ze zmęczenia. Rozejrzawszy się, zobaczył, że Cresswella odciągnięto brutalnie, ale potem usadzono na ziemi pod jedną z chat. Toma i dwóch żołnierzy, na których twarzach malowało się oszołomienie, karmiono przy innym ognisku. Potem Grey dostrzegł Rodriga, który wciąż stał nieruchomo niczym strach na wróble, i z trudem podniósł się na nogi.

Chwycił podarty rękaw młodzieńca i powiedział: Chodź ze mną. Ku jego zaskoczeniu Rodrigo usłuchał i odwrócił się mechanicznie. Grey zaprowadził go przez wytrzeszczający oczy tłum do Azeel, po czym kazał mu się zatrzymać. Uniósł jego dłoń i podał dziewczynie, która po chwili wahania chwyciła ją mocno.

– Proszę, zaopiekuj się nim – zwrócił się do niej

Grey. Dopiero kiedy się odwrócił, dotarło do niego, że ramię, które przed chwilą trzymał, było owinięte bandażem. Ach. Martwi nie krwawią.

Wróciwszy do ogniska Akomponga, znalazł czekający na niego drewniany półmisek pełen gorącego jedzenia. Ponownie opadł z ulgą na ziemię i zamknął oczy – po czym otworzył je, nieco wystraszony, kiedy poczuł, że ktoś kładzie mu coś na głowie. Zorientował się, że spogląda spod opadającego randa podniszczonego, filcowego kapelusza wodza.

– Och – mruknął. – Dziękuję. – Zawahał się i rozejrzał za skórzanym pudłem albo za swoim prowizorycznym nakryciem głowy z liścia palmy, ale nie zauważył ani jednego, ani drugiego.

– Nieważne – odparł Akompong. Nachylił się i ostrożnie przesunął po ramionach Greya grzbietami dłoni, jakby chciał podnieść coś ciężkiego. – Zamiast tego wezmę twojego węża. Nosisz go chyba już dość długo.

17 Cherry (ang.) – wiśnia, czereśnia (przyp. tłum.).

JOHN MADDOX ROBERTS

John Maddox Roberts zasłynął dzięki dwunastotomowemu cyklowi historycznych powieści kryminalnych „SPQR”, opisującemu przygody młodego rzymskiego notabla, który raz po raz wplątuje się w morderstwa i inne nikczemne poczynania przestępczego półświatka starożytnego Rzymu. Seria ta składa się z *The King's Gambit* (*Śledztwo Decjusza*, przeł. Ewa Wierzbicka, Bellona, 2012), *The Catiline Conspiracy* (*Sprzysiężenie Katyliny*, przeł. Ewa Wierzbicka, Bellona, 2012), *The Temple of the Muses*, *The River God's Vengeance* i ośmiu innych książek. Ponadto Maddox jest również autorem cyklów fantasy, takich jak pięcioletni cykl „Stormlands” (*The Islander*, *The Black Shields* i trzy inne książki); książek science fiction, jak na przykład dyptyk „Spacer” (*Space Angel*, *Window of the Mind*) oraz trzyczęściowy cykl „Cingulum” (*The Cingulum*, *Cloak of Illusion*, *The Sword, the Jewel, and the Mirror*); rozgrywających się współcześnie powieści detektywistycznych (*A Typical American Town*, *The Ghosts of Saigon*, *Desperate Highways*); ośmiu powieści o Conanie; jednej powieści z cyklu „Dragonlance”; powieści napisanych pod pseudonimem Mark Ramsay we współpracy z Erikiem Kotanim; oraz książek takich jak *Cestus Dei*, *The Strayed Sheep of Charun*, *Hannibal's Children* (*Operacja Marka Scypiona*, przeł. Jowita Matys,

Bellona, 2012) oraz *King of the Wood*. Jego najnowsze dzieło to *The Year of Confusion*, kolejna część cyklu „SPQR”.

Wszyscy wiedzą, że niektóre węże mogą być groźne. Jak dowiaduje się Decjusz Cecyliusz w tym opowiadaniu, czasem problem polega na tym, żeby umieć je rozpoznać.

STRZEŻ SIĘ WĘŻA

Opowiadanie z cyklu „SPQR”

Młody Herod powiedział mi kiedyś, że jego krajanie nie znoszą węży. Podobno ma to coś wspólnego z tym, jak zakończył się swego rodzaju złoty wiek jego ludu: wąż jest w to w jakiś tajemniczy sposób zamieszany. Właśnie tego rodzaju prymitywnych przesądów należy się spodziewać po barbarzyńcach. Cywilizowani ludzie natomiast myślą o wężach z ogromnym uznaniem. Czcimy je i szanujemy. Obecność węży udoskonala przepowiednie wyroczni i ułatwia kontakt z bogami podziemia. Trudno wyobrazić sobie cywilizowane życie bez węży. Egipscy faraonowie mieli kobrę na koronie, węże wspinają się też na laski Merkurego i Eskulapa. Sam *genius loci* reprezentowany jest przez filar, wokół którego owinięty jest wąż.

Naturalnie od czasu do czasu można natknąć się na żmiję lub kobrę o śmiercionośnym jądzie, ale to tylko znak od bogów, że ich dary często są niczym obosieczny miecz. To trzyma śmiertelników w ryzach i nie pozwala im spocząć na laurach.

To prawda, że niektórzy przesadzają ze czcią względem węży. Pewne rody, w tym niektóre z najbardziej szanowanych, trzymają w domu węża i

konsultują z nim wszelkie ważne sprawy. Osobiście uważam, że zwyczaj ten nie jest tak naprawdę rzymski. Bardziej przystoi Grekom. Jednak nikt w Italii nie szaleje za węzami tak bardzo jak Marsowie, górskie plemię mieszkające dookoła jeziora Fucinus, na wschód od Rzymu.

I tak oto przechodzimy do dnia, kiedy odwiedził mnie marsyjski kapłan.

*

– Mamy powody przypuszczać, że nasz wąż jest w Rzymie. – Mężczyzna miał na sobie togę o barwie szafranu, a dookoła głowy wstążkę tego samego koloru.

– Rozumiem. Domyślam się, że sam tutaj nie przypełził?

– Oczywiście, że nie! Została ukradziona, a my chcemy ją odzyskać!

A zatem ustaliliśmy płęć węża. Już robiliśmy postępy. Zerknąłem na list polecający, który przyniósł kapłan. Był w charakterystyczny sposób oschły i lakoniczny.

„Decjusz Cecyliusz, list ten przynosi Lucjusz Pompediusz Polluks, główny kapłan świątyni Angitii. Jest moim klientem i ma pewien problem, a ja sądzę, że ty najlepiej będziesz w stanie mu pomóc”. Pod tym krótkim tekstem zamiast pieczęci widniał podpis: „Juliusz Cezar, *pontifex Maximus*”. Ponieważ powołał się na owo stanowisko, należało to traktować jako sprawę religijną.

– Czy zażądano okupu? – zapytałem.

– Okupu? – Pompediusz wyglądał na zgorzzonego. – Sądziś, że to porwanie?

– Możliwe. Często porywa się ważne osobistości dla okupu. Dzieje się to od czasów Homera. Nie widzę powodu, dla którego ktoś nie miałby postąpić tak samo z uwielbianym wężem.

– Senatorze, wąż Angitii to święta istota o niebywałym religijnym znaczeniu, a nie jakieś... zwierzę!

– Nigdy bym czegoś takiego nie zasugerował – zapewniłem. – Chodzi jedynie o to, że będzie mi łatwiej pomóc, jeśli określe motyw tej niezwykłej kradzieży. Motywem kradzieży jest zazwyczaj pewnego rodzaju korzyść. Skoro nie mówimy o pieniądzach, to o czym?

Kapłan zastanowił się przez chwilę.

– O władzy.

– Co takiego? – zapytałem radośnie.

– Co też wy, Rzymianie, mówicie o Marsach? – zapytał.

Przyszło mi do głowy kilka powiedzeń, jakie krążą na temat Marsów – wszystkie były niepocholebne – ale wiedziałem, o które mu chodzi.

– Że nigdy nie odnieśliśmy zwycięstwa nad wami i nigdy nie odnieśliśmy zwycięstwa bez was.

– Otóż to. – Zdaje się, że według niego była to jakaś odpowiedź.

W dawnych czasach stoczyliśmy z Marsami kilka wojen i żałowaliśmy tego. Bez wątplenia był to bardzo

twardy, zdyscyplinowany, waleczny lud. Zdecydowanie woleliśmy mieć ich po swojej stronie. Wytrwale stali u naszego boku podczas starć z Galami i nie wycofali się, kiedy Hannibal prawie zniszczył Rzym. Nasz ostatni konflikt z Marsami toczył się pokolenie wcześniej, kiedy dołączyli do buntu sprzymierzonych z Rzymem miast, żądając wraz z nimi praw obywatelskich. Wojna ta była krwawa, ale kiedy buntownicy zorientowali się, że nie wygrają, senat uznał ich żądania: stali się obywatelami Rzymu. Pomyślałem o marsyjskich żołnierzach, których zdarzało mi się widzieć w naszych legionach. Nosili charakterystyczne hełmy, zazwyczaj ozdobione wężami ułożonymi w fantazyjne zwoje i sploty, często trzema.

– Chcesz mi zatem powiedzieć, że ten wąż symbolizuje waleczność twojego plemienia? – zaryzykowałem.

– Właśnie tak. Tuż po ukonstytuowaniu się plemienia i założeniu Marruvium nad jeziorem Marsowie złożyli ofiarę i modlili się do Angitii o znak aprobaty i objęcia opieki nad naszym miastem i ludem. W dziesiątym dniu obrzędów z jeziora wyłonił się wielki wąż. Ludzie zbudowali w tym miejscu świątynię Angitii oraz sanktuarium dla węża w krypcie. Wąż jest opiekunem naszego plemienia. Dopóki znajduje się w swoim sanktuarium i jest cały i zdrowy, dopóty Marruvium jest bezpieczne, a Marsowie będą odnosić zwycięstwa. Gdyby rozniosła się wiadomość, że wąż przepadł...

– To znaczy, że mieszkańcy Marruvium oraz reszta

plemienia nie wiedzą, iż wąż został skradziony? – zapytałem.

– Nie – odparł. – Obawiam się, że jeśli to wyjdzie na jaw, zapanuje powszechna panika. W tych niespokojnych czasach, kiedy tylu naszych mężczyzn służy w armii, mogłoby się to zakończyć katastrofą. Jak dotąd wiedzą tylko kapłani służący w świątyni.

– Jaki to gatunek węża? Jak wygląda?

– Święty wąż Angitii należy do gatunku znanego tylko w okolicach jeziora: to żmija błotna. Mają one czarne głowy i grzbiety oraz białe brzuchy. Oczywiście nasz wąż jest wyjątkowo wspaniałym okazem: ma długość około pięciu stóp i obwód taki jak twoje ramię.

– Żmija? Czyli jest jadowity?

– Jak najbardziej. Jad żmii błotnej jest bardziej śmiertelny niż egipskiej kobry czy innego węża.

– Zatem złodziej jest odważny.

Kapłan wzruszył ramionami.

– Jeśli się wie, co się robi, łatwo można sobie poradzić z jadowitym wężem.

– A dlaczego myślisz, że wasz święty wąż jest w Rzymie?

– Kiedy kradzież wyszła na jaw, nakazałem wszystkim w świątyni milczenie i dochowanie tajemnicy, po czym zwróciłem się do bogini z prośbą o omen.

– Domyślałem się, że potrzebne były do tego węże – powiedziałem.

– Cóż innego? – odparł z zaskoczoną miną.

– Faktycznie, cóż innego? I jak bogini odpowiedziała na twoje błaganie?

– Najpierw zgromadziliśmy kilkadziesiąt dzikich węży z terenów przylegających do świątyni. Wszystkie pochodziły z rodzin znanych nam od pokoleń.

– Nie należy konsultować się z obcymi węzami – przyznałem.

– Oczywiście, że nie. Po poście trwającym cały dzień i całą noc złożyliśmy odpowiednie ofiary i odśpiewaliśmy modły w prastarej marsyjskiej mowie, nieużywanej od wielu pokoleń. Potem...

Aż nazbyt dobrze wiem, jak nudne są wywody człowieka rozprawiającego na swój ulubiony temat, jeśli samemu nie jest się nim zainteresowanym, więc mu przerwałem:

– I jaki otrzymaliście omen?

– Och. No cóż, kiedy tylko rytuał się zakończył, zapadła pełna wyczekiwania cisza i natychmiast rozległ się głośny grzmot z zachodu. Bogini wyraźnie chciała, abyśmy szukali naszego węża na zachodzie, a Rzym leży na zachód od Marruvium.

– Znak nie mógł być czytelniejszy – zgodziłem się. – Wciąż jednak pozostaje pytanie, kto skradł waszego węża i dlaczego. W jakich okolicznościach zaginął? Gdzie był trzymany? Zakładam, że nie porusza się swobodnie po całym terenie świątyni?

Kapłan znów zrobił zboląłą minę.

– Jej sanktuarium znajduje się pod ołtarzem.

– Jak ono wygląda? Jakich jest rozmiarów?

Wyglądał na zdziwionego tymi pytaniami. Często spotykam się z taką reakcją podczas przesłuchań. Większość ludzi nie potrafi pojąć mojej metody stopniowego gromadzenia dowodów z jak najliczniejszych źródeł, dzięki czemu mogę dociec, co naprawdę się stało. Bardziej życzliwi mawiają, że stworzyłem nową szkołę filozofii. Ci, którzy skłaniają się ku magii, sądzą, że to rodzaj czarów. Ja uważam to po prostu za zdrowy rozsądek, ale niewielu krajanów jestem w stanie o tym przekonać.

– Jest okrągłe i naturalnie ma podłoże z ubitej ziemi, ale jest ona wysypana wonnymi kawałkami kory cedrowej. Na niewielkich postumentach umieszczone są tam też rzeźby szacownych przodków obecnego węża.

Miałem ochotę zapytać, jak wybiera się nowego świętego węża, skoro samice nie mają tylko po jednym potomku, ale obawiałem się, że kapłan nie odpowie.

– Jaki jest dostęp do sanktuarium?

– Prowadzi do niego jeden dość wąski korytarz, który odchodzi w dół od drzwi wstawionych w schody wiodące do portyku i ołtarza.

– I jest to jedyne wejście dostępne dla ludzi i węża?

– Tak.

– Dociera się tam schodami czy pochyłą rampą?

– Podłoga jest nachylona. Nie ma schodów. Czy to ma jakieś znaczenie? – Robił się niecierpliwy.

Byłem do tego przyzwyczajony.

– Nie inaczej. Wspięcie się po schodach mogłoby sprawić wężowi trudność, ale wpełznięcie na rampę już nie. Może po prostu sam się oddalił? Na pewno bardzo mu tam nudno. Ileż czasu można spędzić na przyglądaniu się podobiznom własnych przodków? Wiem, jak to jest. W moim atrium są maski pośmiertne tuzinów moich przodków z rodu Metellusów i trudno byłoby sobie wyobrazić horde bardziej skwaszonych, patriotycznych złoczyńców. Gdybym musiał patrzeć na nich cały czas...

– Senatorze! – syknął Pompediusz prawie jak jego zaginiony gad. – Musimy znaleźć świętego węża Angitii! Wydaje mi się, że nie dostrzegasz powagi sytuacji.

Czasem, jeśli komuś dostatecznie dokuczę, udaje mi się podstępem skłonić go do powiedzenia czegoś niepowściągliwego, do wyjawienia więcej, niż zamierzał. Chyba jednak nie tym razem.

– Lucjuszu Pompediuszu, odnajdę waszego węża. Doskonale rozumiem, jakie to istotne, nie ze względu na jego znaczenie dla Marsów czy ze względu na ich boginię oraz jej gadzich towarzyszy, ale ponieważ nakazał mi to Gajusz Juliusz Cezar, a spełnianie życzeń Cezara ma kluczowe znaczenie dla każdego Rzymianina przy zdrowych zmysłach.

Tego wieczoru zwróciłem się do własnego domowego autorytetu w sprawach religii, mojej żony Julii.

– Angitia? – zapytała. – To jej musi złożyć ofiarę człowiek, którego ukąsił wąż.

– Jeśli potrafił dotrzeć z Rzymu do jej świątyni nad jeziorem, oznacza to, że i tak doszedłby do siebie – zwróciłem uwagę.

– W Rzymie też jest jej przybytek – powiedziała Julia. Rozważała całą sprawę przez chwilę, skubiąc kolację. – Myślę, że powinniśmy mieć domowego węża. Niektóre z najlepszych rodów je posiadają. Klaudiusze od zawsze trzymają węża.

– Klaudiusze to ród szaleńców i przestępców – oznajmiłem.

– Cenzor Appiusz Klaudiusz nie był ani jednym, ani drugim – sprzeciwiła się.

– Jeden wyjątek, który potwierdza żelazną regułę – odparłem. Godny szacunku Appiusz był bratem mojego dawnego wroga, Klodiusza, którego można było nazwać zarówno szaleńcem, jak i przestępcą i jeszcze niejednym słowem. – Żadnych węży w naszym domu nie będzie. Ani Cecyliusze, ani Juliusze nigdy ich nie hodowali. W każdym razie myślę, że idole nie powinny wypełzać z bagnisk. Symbole religijne powinny spadać z niebios, jak Palladion lub święte tarcze Marsa.

– Tylko jedna ze świętych tarcz spadła z niebios – zwróciła mi uwagę Julia. – Pozostałe to falsyfikaty, które mają oszukać złodziei i zazdrosnych bogów.

– Odbiegamy od tematu – powiedziałem. Zaczynała mnie boleć głowa. – Twój wuj Gajusz Juliusz chce, abym znalazł węża. Rzym jest dużym miastem i wydaje mi się, że węża dość łatwo ukryć. Nadałoby się do tego każde

długie, wąskie miejsce lub pojemnik. Wężę potrafią się też ciasno zwinąć, więc wystarczyłby nawet kosz lub dzban. Od czego zacząć?

– Dobrym miejscem byłby targ specjalizujący się w wężach – zasugerowała Julia.

– Dlaczego na to nie wpadłem?

Tak więc następnego ranka we dwoje – w towarzystwie jednej z dziewczyn Julii i mojego wyzwolenca Hermesa – wybraliśmy się do tego egzotycznego miejsca. Ponieważ była ze mną Julia, musieliśmy oczywiście udać się tam w lektyce, zamiast pójść na własnych, całkiem zdrowych nogach. Choć tak naprawdę moje nogi straciły już nieco na siłach. Właściwie samo poruszanie się po mieście stanowiło dla mnie spory wysiłek.

Wężę sprzedawano tuż obok forum Boarium, niedaleko północnego skraju Circus Maximus. Na starym forum roilo się od żywego inwentarza. Gdziekolwiek spojrzeć, stały zagrody dla bydła, koni, świń, owiec, kóz i osłów, a także klatki pełne królików. Były tam piękne okazy na ofiary oraz inne, mniej atrakcyjne, do jedzenia; niektóre specjalnie podtuczono miazgą z oliwek. Osobno znajdowała się część z drobiem: pawiami, kurczętami i śpiewającymi ptakami w klatkach. Część terenu poświęcono na zwierzęta egzotyczne: małpy, gazy, ibisy, gepardy i tym podobne. Wśród bogaczy modne było ozdabianie posiadłości takimi stworzeniami. Panował tam hałas i smród i cieszyłem się, że nasz dom leży na drugim

końcu miasta.

– Wydaje mi się, że to gdzieś przy tej ulicy – zwróciłem się do niewolników niosących lektykę. Doskonale znałem swoje rodzinne miasto, ale wciąż było kilka miejsc, których nigdy nie odwiedziłem, i targ z wężami się do nich zaliczał, a to dlatego, że nigdy nie chciałem kupić żadnego gada.

– Ach, to tutaj.

Dotarliśmy przed wielki sklep z pasiastą markizą nad portykiem. Przed progiem ułożono mozaikę, która głosiła: „Sergiusz Poplicola, sprzedawca najlepszych węży”.

Człowiek noszący to imponujące imię przywitał nas w progu, wytrzeszczywszy oczy na widok naszej pięknej lektyki i moich senatorskich insygniów.

– Witaj, senatorze! Witaj, pani!

Chwyciłem jego ręce w serdecznym uścisku polityka.

– Sergiuszu, przyjacielu, przybyłem tutaj, aby porozmawiać z tobą o wężu.

– Naturalnie, naturalnie, zapraszam do środka. – Kupiec wszedł głębiej, klaszcząc w dłonie i popędzając niewolników.

Wnętrze było przestronne i chłodne, z pootwieranymi świetlikami. Gdzieś w podłodze rozmieszczono niewielkie dołki z dnami przysypanymi cedrowymi strużynami. W powietrzu unosił się aromat wonnego drewna, ale też lekka, choć i tak nieprzyjemna woń piżma. Bez wątplenia z powodu węży. Kiedy niewolnicy rozkładali krzesła i stół, na którym stawiali przekąski,

przyjrzałem się wielkiemu, glinianemu naczyniu, z którego dobiegał szelest. Zajrzałem do środka i zobaczyłem, że jest do połowy wypełniony ziarnami – wyglądały na jęczmień i pszenicę – oraz że roją się tam myszy.

Usiadłem na jednym z krzesel i przyjąłem kubek wina. Okazało się, że to bardzo dobry trunek z Krety, dość mocny, aby każdy nabrał ochoty na zakupy.

– Szukam szczególnego węża – zacząłem.

– Ależ oczywiście – wtrącił Sergiusz. – Czy potrzebujesz węża do wróżb, porozumiewania się z bóstwami chtonicznymi, pozbywania się myszy ze spizarni, do jedzenia czy jakiegokolwiek innego celu, zapewniam, że mam najbardziej odpowiednie węże, i to tyle, ile zapragniesz.

– Do jedzenia? – zapytała Julia.

– Niektóre z naszych afrykańskich węży uważa się za przysmak – odparł.

– Och, bywaliśmy już na egipskich przyjęciach – powiedziałem. – W Rzymie człowiek się jednak czegoś takiego nie spodziewa.

– Rzym zamieszkują ludzie z najróżniejszych zakątków – przypomniał.

– Nie inaczej. Nie, dziś nie szukam węża na stół ani do spizarni, tylko na ołtarz, a to co innego. Czy masz może w swoim sklepie żmiję błotną?

– Żmiję błotną? – Kupiec robił wrażenie zbitego z tropu. – Jesteś pewien, że nie wolałbyś kobry? Mamy

niejedną, i to kilka różnych odmian.

– Kto kupuje kobry? – zapytała zaintrygowana Julia.

– W okolicach Rzymu zyskuje na popularności kult Izydy, pani. Kobry są absolutnie konieczne przy rytuałach na cześć tej bogini. Jeśli byłaś w Egipcie, z pewnością zauważyłaś, że kobra i sęp często pojawiają się jako ureusz na koronach faraonów. Symbol ten przyjęli również Ptolemeusze. Bogini-kobra Wadzet jest patronką rodziny królewskiej od pradawnych czasów.

Oto drugi człowiek, który właśnie miał rozpocząć orację na swój ulubiony temat, więc szybko go uprzedziłem:

– Czy jest jakiś kłopot ze żmijami błotnymi? Przecież występują one w Italii, nie jest to jakiś egzotyczny gatunek. Podobno dużo ich w okolicach jeziora Fucinus.

– Rzeczywiście. Nie bez przyczyny Marsowie potrzebują bogini, która zajmuje się wyłącznie leczeniem ukąszeń węży. Wiesz dużo o jadowitych wężach, senatorze?

– Tylko tyle, że za nimi nie przepadam.

– No cóż, ludzie sądzą, że kobry czy żmije są niebywale śmiercionośnymi stworzeniami. Tak naprawdę jednak dość łatwo uniknąć spotkania z nimi, a ich jad, choć niebezpieczny, rzadko może zabić zdrowego dorosłego człowieka. Ich ofiary to najczęściej dzieci, starcy i ludzie chorzy. Ukąszeni przez węża często po prostu umierają ze strachu, bo są przekonani, że jad wszystkich węży jest śmiertelny.

– Doprawdy? – zapytałem. To fascynujące.

– Właśnie tak, senatorze. Znam wiele przypadków śmierci po ukąszeniu całkowicie nieszkodliwego węża. Z tej przyczyny zwykle położy, które rolnicy trzymają w stodołach, aby polowały na szkodniki, zabiły zapewne więcej ludzi niż wszystkie kobry w Egipcie.

– Rozumiem. Ale żmija błotna faktycznie zasługuje na swoją reputację?

– Ponad wszelką wątpliwość. Jej jad jest tak silny, że bez trudności w kilka chwil zabija człowieka. Marsowie odprawiają nawet coroczny rytuał, w którym składają ofiarę z byka, umieszczając go w dole wraz z wielką żmiją. Dół jest nieduży, więc byk dość szybko rozwściecza żmiję, która go kąsa. Kapłani Angitii wyczytują wiele omenów na nadchodzący rok na podstawie miejsca ukąszenia, a także z tego, czy byk zatacza się przez chwilę, ma gwałtowne konwulsje czy po prostu pada martwy. Najlepszym znakiem jest to, że byk momentalnie pada martwy od jednego ukąszenia.

– Co to znaczy? – zapytała Julia.

– Że w nadchodzącym roku niewiele się wydarzy. Marsowie uważają to za dobrą przepowiednię.

– Wszyscy powinniśmy tak uważać – potwierdziłem.

– Czy wąż używany do tego rytuału to ten sam święty okaz, który jest trzymany w przybytku Angitii?

– Och, nie. Istnieje zbyt wielkie niebezpieczeństwo, że wąż ucierpi lub zginie. Czasem tak się zdarza, kiedy byk pada na ziemię. To samo w sobie jest złowróżbne,

oznacza, że nadciąga katastrofa. Nie, żmiję chwytają w tym celu na bagniskach ludzie specjalnie przyuczeni do tego niebezpiecznego zadania. Jeśli wąż przeżyje, wypuszcza się go z powrotem na bagna, a on niesie ze sobą modły ludzi oraz ich wiadomości dla zmarłych bliskich.

– Rozumiem. A zatem nie masz żadnej żmii błotnej?
– zapytałem.

Pokręcił głową.

– Ani ja, ani moi pracownicy nie jesteśmy tak odważni. Domyślam się, że wiesz, iż prawie wszyscy zaklinacze węzów, których widzi się na targach i festynach, to Marsowie? Podczas swoich występów nigdy nie używają żmii błotnych. Nie odważyliby się dotknąć żadnej z nich w celach innych niż religijne. Nie chcesz tak naprawdę żadnej kupić, prawda, senatorze?

– Nie, muszę się tylko wszystkiego o nich dowiedzieć. Chodzi niejako o sprawę państwową między Rzymem a Marsami.

– Tak właściwie – wtrąciła się Julia – jestem zainteresowana kupnem węża domowego, do rodzinnych wróżb, choć zapewne nie zaszkodziłoby też, gdyby łapał myszy. Mógłbyś nam pokazać swój asortyment?

Rzecz jasna wróciliśmy do domu z węzem, niewielkim, zielonym stworzeniem, które na moje oko nie miało w sobie nic specjalnego. Dostaliśmy go wraz z zapasem cedrowych strużyn oraz dokładnymi instrukcjami na temat karmienia i dbania o niego, w

przepięknie wyplecionym z papirusu egipskim koszyku. Julia robiła wrażenie niemal równie zachwyconej koszykiem, co węzem.

– Dowiedzieliśmy się czegokolwiek? – zapytał Hermes, kiedy skierowaliśmy się z powrotem w stronę Subury.

– Czegoś poza tym, że jestem pobłażliwym mężem?

– To już wiedzieliśmy, mój drogi – odparła Julia rozradowana zakupem.

– Jednego nie rozumiem – powiedziałem, wspominając niektóre z zebranych wiadomości. – Pompediusz zachowywał się tak, jakby obchodzenie się z jadowitymi węzami było drobnostką, ale Poplicola rzekł, że trzeba grupy specjalnie wyszkolonych Marsów, aby schwytać choć jednego do rytuału z bykiem.

– Może trudno jest dopaść zmiję na bagnach – poddał Hermes. – Może żyją w stadach. Wąż świątynny zapewne jest oswojony.

– Pompediusz – powiedziałem w zamyśleniu. – Czy nie tak nazywał się człowiek, który dowodził Marsami w wojnie italskiej?

– Kwintus Pompediusz Silo – odparła Julia. – Podobno wywiesił Katona przez okno, trzymając go tylko za nogi. Katon miał wtedy około dziesięciu lat.

– Powinien był upuścić tego małego drania – stwierdziłem. – Przypominam już sobie tę opowieść. Zbierał w Rzymie poparcie dla walki Marsów o prawa obywatelskie, a Katon nie wyraził dla niej uznania czy coś

w tym rodzaju. Zawsze myślałem, że poplecznicy Katona to zmyślili, żeby wyszedł na patriotę, a nie niemożliwie grubiańskiego małego cymbała.

– Myślisz, że to ma znaczenie? – zapytał Hermes. –
Możliwe, że wśród Marsów Pompediusz to tak samo częste imię jak Korneliusz w Rzymie.

– To zapewne nic ważnego – odparłem.

Ale w rzeczywistości nie byłem takim optymistą. Religia i polityka są nierozłączne. Dlatego założyciele Republiki rozsądnie zrobili z kapłaństwa i odczytywania znaków od bogów urząd publiczny. W ten sposób choć do pewnego stopnia można to kontrolować. I sam cesarz uznał, że tą głupią sprawą warto się zająć. Oczywiście obowiązywał go prastary zwyczaj pomagania klientowi, który przybywa z problemem do Rzymu.

– Jak to możliwe, że człowiek z plemienia Marsów o imieniu Pompediusz został klientem Juliusza Cezara? – zastanawiałem się na głos.

– Jeśli sobie przypominam – odparła Julia – większość Marsów była klientami Liwiusza Druzusa. Ale potem go zamordowano.

– Popierał italskich sprzymierzeńców w senacie, czyż nie? – Wszystko mi się już przypomniało. Druzus próbował doprowadzić do tego, aby wszyscy nasi italscy sprzymierzeńcy otrzymali rzymskie obywatelstwo, ale rozniosła się pogłoska – nie wiem, czy zgodna z prawdą – że wszyscy oni w tajemnicy przysięgli, iż jeśli uda mu się wywalczyć dla nich prawa obywatelskie, zostaną jego

klientami. Stałby się wtedy zbyt potężny, więc jego wrogowie kazali go zamordować. Typowy przykład polityki tamtego pokolenia. A szczerze mówiąc, każdego pokolenia.

– Tak – odparła Julia – ale podczas wojny italskiej jego brat zginął, prowadząc rzymską armię do boju z Marsami, a Liwiusze zrezygnowali ze swojego patronatu. – Julia wiedziała o potężnych rodach znacznie więcej niż ja. – Kiedy już sytuacja się uspokoiła i zostali obywatelami, Marsowie dołączyli do klientów rodziny Pompejuszy, a po śmierci Pompejusza patronat zaproponował im Cezar. W tamtej części Italii miał słabe poparcie, więc zabiegał o względy Marsów. Kiedy znaleźli się wśród jego klientów, pozostałe plemiona położonego w centrum rejonu górskiego poszły ich śladem.

– To w jego stylu – oznajmiłem. – Wysłali na służbę do legionów wielu młodych mężczyzn. Zastanawiam się, co obiecał im w zamian?

– Jestem pewna, że nic poza stosownymi, wzajemnymi obowiązkami patrona i klienta – stwierdziła Julia. Zapewne w to wierzyła.

– Nie wspominaliście, że Angitia ma swoją świątynię w Rzymie? – odezwał się Hermes.

Całkiem o tym zapomniałem.

– Gdzie ona jest, Julio? Powinniśmy tam sprawdzić.

– To maleńki przybytek niedaleko targu zbożowego – powiedziała. – Nie wiem nawet, czy ktoś tam na stałe

przebywa. Odprawia się tam ceremonię podczas dożynek i ludzie zostawiają ofiary, aby chronić się przed ukąszeniem węża. Tylko tyle wiem.

Oto święto żniw odbywa się pod koniec rolniczego roku. To dobry czas, aby prosić boginię węży, by chroniła spichlerze przed myszami. To miało sens. Powiedziałem niewolnikom, żeby zanieśli nas na targ zbożowy, a oni usłuchali, choć z kwaśnymi minami. Niewolnikom noszącym lektykę zawsze się wydaje, że wszędzie jest pod górę.

Minęliśmy wielki plac kupców zboża ze wspaniałym posągiem Apollina i skręciliśmy w wąską boczną uliczkę. Poza tym, że u jej wylotu znajdowała się niewielka fontanna, nie różniła się ona niczym od tysięcy innych wąskich uliczek w Rzymie.

– Skąd wiesz o tym miejscu? – zapytałem Julię.

– Przeprowadziła mnie tutaj babka, kiedy byłem małą dziewczynką. Było to podczas wyprawy Juliusza Cezara do Syrii. Aurelia wierzyła, że w całym Oriencie roi się od jadowitych węży, i przyszła tutaj, aby złożyć ofiarę i go przed nimi uchronić.

– Była pobożną kobietą – zgodziłem się. – Kiedy byłem z Cezarem w Galii, pisywała do niego długie listy wyszczególniające ofiary, które złożyła w intencji chronienia go przed wrogami, przed utonięciem, wypadkiem, obelżywymi plotkami, oszczerstwami i tak dalej, i tak dalej. Cezar mawiał, że ona jedna utrzymuje wszystkich sprzedawców zwierząt ofiarnych i kapłanów w

Rzymie.

– To przesada – zaprotestowała Julia.

– Niewielka. Zwykłem czytać mu te listy. Narzekał, że psuje sobie wzrok przy całym tym pisaniu, którym się zajmuje, więc nie chciał się męczyć czytaniem listów od matki. Miała drobniotkie pismo. Choć przy składaniu ofiar była szczodra, skąpiła papieru i próbowała zmieścić jak najwięcej na jednej kartce. Do dziś bolą mnie oczy, kiedy myślę o tych listach.

– Nigdy nie brakuje ci powodów do narzekań – zauważyła.

– Moje życie było tragiczne – westchnąłem, kiedy niewolnicy stawiali lektykę na ziemi. Dyszeli i sapali głośno, choć nie wysilili się po drodze za bardzo.

Przybytek znajdował się na samym końcu uliczki, która z kolei była właściwie tylko przejściem między dwoma magazynami ze zbożem. Te nieliczne drzwi, które prowadziły do sąsiednich budynków, wyglądały, jakby nie otwierano ich od lat. Obie strony drzwi świątyni zdobiły pilastry z płaskorzeźbami przedstawiającymi węże. Odłaziła z nich spłowiła farba. Same drzwi były otwarte. Tak jak zazwyczaj w italskich świątyniach i przybytkach portyk znajdował się u szczytu może tuzina wąskich, stromych schodów.

– Wyglądała lepiej, kiedy byłam tu z Aurelią – powiedziała Julia.

– Wszyscy wyglądaliśmy lepiej trzydzieści lat temu – odparłem.

Już miałem wejść do środka, kiedy Hermes położył dłoń na moim ramieniu i odwrócił się do Julii.

– Co jest za tymi drzwiami? – zapytał.

Naprawdę się starzałem. Powinienem był odruchowo podjąć tak podstawowy środek ostrożności. W młodości, kiedy miałem przytomniejszy umysł, posłałbym Hermesa przodem.

– Nie byłam w środku – odparła. – Zostałam na zewnątrz z niewolnicami. Nie wiem, czy był w środku kapłan, czy babka tylko złożyła ofiarę i wyszła.

Ofiary ze zwierząt składa się zazwyczaj na ołtarzu przed świątynią, nie w środku. Przed wejściem nie było jednak ołtarza. Czasami zostawiano też jedzenie u stóp podobizny bóstwa, palono kadzidło i tak dalej.

– Jest tam kto? – krzyknąłem.

Ze środka odpowiedziała cisza. Spojrzałem na Hermesa i wskazałem głową wejście. Położył dłoń na rękojeści miecza, który nosił ukryty pod ubraniem, i przekroczył próg świątyni. Nie usłyszałem żadnych odgłosów bójk, więc podążyłem za nim. Te otwarte drzwi nieco mnie zaniepokoiły. Złodzieje nie zawahaliby się przed okradnięciem przybytku obcej bogini.

Wewnątrz było bardzo cicho i pachniało tak jak zazwyczaj w świątyniach – wieloma latami palenia kadzidła i dymem lamp, pochodni oraz świec. Teraz nie płonął tam żaden ogień, ale poza woniami dymu i kadzidła dało się wyczuć inne zapachy. Na podłogę padł cień stojącej w drzwiach Julii.

– Nie wchodź jeszcze! – ostrzegłem ją. – Czujecie to?
– Jest tu coś nieżywego – stwierdził Hermes.
– A ja czuję aromat cedru – dodała Julia.
– No dobrze – mruknąłem. – Gdzieś tutaj jest wąż i jeśli to jedna z tych przeklętych żmii, mamy problem. Julio, jaką ofiarę przyniosła wtedy Aurelia?

– To było dawno temu. – Słyszałem namysł w jej głosie. – Miała ze sobą małą klatkę albo koszyk.

– Przyniosła myszy – powiedziałem. – Tak się składa ofiarę Angitii: karmi się jej węża. Powinna być tutaj jego jama albo jakaś krypta, podobna do tej w wielkiej świątyni nad jeziorem Fucinus. Z tamtej święty wąż się wydostał. Ten też mógł uciec.

– Jest tutaj coś nieżywego – upierał się Hermes. – Może to nieżywy wąż.

– Oby.

Mój wzrok zaczął się przyzwyczajać do ciemności. Bardzo ostrożnie poruszyłem stopami. Nawet senny i nieszkodliwy wąż ukąsi odruchowo, jeśli coś go niespodziewanie dotknie. Przybytek ograniczał się właściwie do długiego, wąskiego pomieszczenia. Na jego drugim końcu stał posąg kobiety o dobrotliwym wyrazie twarzy; na jej ramionach i u stóp wiły się węże. Rzeźba była nieco mniejsza niż naturalne rozmiary – a w każdym razie naturalne rozmiary śmiertelnej kobiety. Z boginiami nigdy nic nie wiadomo.

– Zapach dolatuje stamtąd – powiedział Hermes, wskazując kwadratowy otwór ziejący w podłodze u stóp

posągu.

Zdjęty trwogą zbliżyłem się do skraju tej złowieszczej dziury. Jej boki mierzyły może po dziesięć stóp, a skraj był lekko wypukły. W ciemnościach prawie w ogóle nie dało się dostrzec dna, udało mi się jednak wypatrzyć tam – jakieś pięć lub sześć stóp niżej – jakąś bezkształtną masę.

– Hermesie, idź po pochodnie – poleciłem. – Uważaj, ten wąż może być wszędzie.

– Nie musisz mi tego mówić – odparł niezwykle rzeczowym tonem Hermes. Bardzo ostrożnie wrócił do wejścia, szurając nogami, jakby w ten sposób mógł przepędzić zmiję. Kiedy już dotarł do drzwi, usłyszałem tupot jego sandałów: pobiegł znaleźć jakieś źródło światła.

– Co tam jest? – zapytała Julia.

– Zaraz się dowiemy. Prosiłem, żebyś tu nie wchodziła. Ten wąż może gdzieś tu być.

– Kapłan wspomniał, że do krypty świętego węża prowadzi pochyła rampa – zwróciła mi uwagę. – Nie widzę jej tutaj. Ścianki tego dołu wyglądają na pionowe.

– Co to ma do rzeczy? – rzuciłem rozdrażnionym tonem. – Prosiłem, żebyś tu nie wchodziła! Czy to zbyt wygórowane żądanie?

– Tak – odparła.

No cóż, w końcu była krewną Juliusza Cezara.

Hermes wrócił z godnym pochwały pośpiechem, a towarzyszyli mu dwaj chłopcy niosący pochodnie. Ci

młodzieńcy zazwyczaj przesypiali całe dnie, aby nocami oświetlać obywatelom drogę na mrocznych ulicach Rzymu. Hermes nie ostrzegł ich, aby uważali na węża. Zapewne uznał, że wąż, który rzuci się na chłopca z pochodnią, nie będzie miał już czasu na niego.

– Tak lepiej – uznała Julia.

Przy odrobinie światła mała świątynia wyglądała znacznie weselej. Ściany pokrywały stare, okopcone freski przedstawiające – tak się przynajmniej domyślałem – mity o Angitii i innych marsyjskich bóstwach. Rzecz jasna widać tam było sporo węży.

– Chodźcie tutaj. – Przywołałem chłopców gestem. – Unieście pochodnie nad tym otworem, ale bardzo, bardzo ostrożnie.

Zdumieni wypełnili moje polecenie. Kiedy światło rozjaśniło dno, jeden z chłopców zachłysnął się i byłby upuścił pochodnię, gdybym nie przytrzymał jego ręki.

– Spokojnie. To tylko martwy mężczyzna. Z pewnością widziałeś już niejednego.

– Ale nie takiego! – powiedział drugi chłopiec, nieco starszy.

Rzymskich uliczników trudno było zaszokować, ale musiałem przyznać, że tym razem było to coś innego niż po prostu zwłoki w uliczce.

Julia odwróciła się i zakrztusiła, a zazwyczaj była przecież równie niewzruszona jak reszta jej rodziny. Kiedy nieco doszła do siebie, zapytała:

– Czy to kapłan, który przyszedł do ciebie w sprawie

węża?

– Żółta toga i przepaska na głowie wyglądają tak samo – odparłem. – Cokolwiek innego trudno orzec.

– Zawsze myślałam, że kolor szafranu jest bardziej pomarańczowy niż żółty – stwierdziła, już całkiem nad sobą panując.

Nieżyjący mężczyzna, który leżał na warstwie kawałków kory i strużyn cedrowych, miał rozdęte ciało i niemal purpurową skórę pokrytą wielkimi, na wpół przezroczystymi pęcherzami rozmiaru pięści. A jednak charakterystyczny zapach śmierci był dość słaby.

– Zmarł niedawno, choć nie wygląda najlepiej – stwierdziłem.

– Czy mam pójść po Asklepiodesa? – zapytał Hermes.

To zrozumiałe, że miał ochotę się oddalić.

– Raczej nie – odparłem. – Specjalizuje się w ranach i zgonach od oręża. Trucizny i jady wykraczają poza jego wiedzę.

– No to po Poplicole? – zaproponował z nadzieją.

– Spróbowałyby tylko sprzedać Julii jeszcze jednego węża. Podsumujmy, co tu mamy. Kapłan Angitii przybył z terenów Marsów, aby poprosić mnie o odnalezienie węża. Dziś w świątyni Angitii znajdujemy jej kapłana, możliwe, że tego samego, najprawdopodobniej zmarłego wskutek ukąszenia węża, który w pełni zasługuje na swoją reputację. – Zamyśliłem się na moment. – Poprawka: mamy zwłoki w ubraniu kapłana Angitii. To może być

ktokolwiek.

– Kiedy zaczynasz tak mówić, potrafisz być nieznośny, mój drogi – uzmysłowiła mi Julia.

– Jesteśmy w świętym przybytku, zajmujemy się kwestią bogini i świętych węży. To sprawa religijna. Hermesie, znajdź Juliusza Cezara i zapytaj go, czy byłby tak łaskawy i przybył tutaj w dość pilnej sprawie. Przekaż mu, że chciałbym, aby dopomógł mi jako *pontifex maximus*. Będzie zapewne w Domus Publica.

– Sądzisz, że Juliusz będzie w stanie coś poradzić? – zapytała Julia, kiedy Hermes oddalił się biegiem.

– Zapewne nie, ale chcę, żeby to zobaczył. Niecodziennie zdarza się w Rzymie tak niezwykle morderstwo.

– Morderstwo? To z pewnością był wypadek.

– Gdzie zatem jest wąż? – zapytałem. – Nie wypełził stąd przecież bez pomocy, kiedy już ukąsił tego nieszczęsnego kapłana, czy kimkolwiek był ów człowiek. – Rozejrzałem się. Dzięki niewielkim pochodniom i coraz bardziej nawykłemu do ciemności wzrokowi widziałem już dość dobrze. Przestrzeń była niewielka: jedno pomieszczenie, do którego dostęp umożliwiały jedynie wąskie drzwi. Podłoga była zupełnie naga, a ściany gładkie. Widać było na nich tylko wypłowiałe malowidła przedstawiające sceny, które, jak się domyślałem, miały coś wspólnego z kultem Angitii. Nie znałem owych mitów, ale pojawiała się tam kobieta podobna do posągu w świątyni, byk i ogromna liczba węży.

– Może jest pod ciałem – poddała Julia. – Poplicola wspomniał, że byk czasem upada na węża.

– Przepowiadając katastrofę – uzupełniłem. – Ciekawe, czy zmiążdżenie przez upadającego kapłana stanowi równie złowrogi omen. A jeśli tak, czy tylko dla Marsów, czy dla każdego w okolicy?

Byliśmy niedaleko Domus Publica, który znajdował się przy forum, więc już wkrótce usłyszeliśmy marszowy krok dwudziestu czterech liktorów, którzy z ogromną pompą szli przed dyktatorem. Zbliżyliśmy się do drzwi i zobaczyliśmy, że ów wielki mąż faktycznie przybył na miejsce, a wraz z nim tłum gapiących się na niego obiboków z forum (z których część stanowili moi towarzysze senatorzy). W tych czasach tłumy zawsze łąziły za Cezarem, zapewne tylko po to, żeby zobaczyć, czy stanie się coś ciekawego. Miał na sobie pontyfikalne regalia oraz swój zwyczajowy złożony wieniec laurowy i szatę triumfatora. Za Cezarem stał Hermes, ale to na widok mężczyzny u prawego boku władcy Julia gwałtownie wciągnęła powietrze.

– To Pompediusz! – szepnęła. – On żyje!

Bynajmniej mnie to nie zdziwiło.

– Przykro mi, że ci przeszkadzam, Cezarze, ale ta sprawa wymaga twojej obecności.

– Bzdury, Decjuszu Cecyliuszu – powiedział jowialnie Juliusz Cezar. – Zawsze znajdujesz dziwaczne morderstwa dla naszej rozrywki. Cóż się stało tym razem?

– Jeśli łaska, pozwól wraz z Pompediuszem do

środka, ale proszę, niech nie wchodzi nikt inny. Już i tak dość tam tłoczno.

– Jak się ma dzisiaj moja ulubiona siostrzenica? – zapytał Cezar Julię, kiedy już wszedł do środka. Jak zawsze był uosobieniem kurtuazji.

– Niestety nieco wstrząśnięta. Ten nieżyjący kapłan jest w straszliwym stanie.

– Kapłan? – spytał Cezar, nachylając się nad otworem.

Chłopcy z pochodniami wytrzeszczali oczy na widok splendoru dyktatora. Z pewnością mieli tego dnia co oglądać.

– No cóż, wydaje się nam, że nim był – odparła Julia.
– W każdym razie ma na sobie szaty kapłana Angitii. Właściwie myśleliśmy, że to Lucjusz Pompediusz. Widzę, że nie mieliśmy racji.

Cezar się wyprostował.

– Mogę wiedzieć, co to wszystko znaczy?

– Właśnie próbuję to ustalić – powiedziałem. – Może twój klient Pompediusz nam to wyjaśni.

– Ten człowiek zginął od ukąszenia żmii błotnej – odparł kapłan. – To jasne. Z pewnością on skradł świętego węża. Wszyscy jesteście świadkami, jak bogini ukarała go za to świętokradztwo.

– A kto to jest? – zapytałem.

– Zwykły oszust – oznajmił Pompediusz. – Wszyscy kapłani Angitii noszą togę w kolorze szafranu, ale tylko ja, najwyższy kapłan, mam prawo do tego. – Dotknął

zółtej wstążki opasującej jego czoło.

– Rozumiem. – Cezar zwrócił się do mnie: – Decjusz, jak powinieneś wiedzieć, jako *pontifex maximus* wydaję wyroki we wszystkich sprawach odnoszących się do religii państwowej. Przyjdź do mnie z problemem dotyczącym Jowisza, Junony, Saturna lub Marsa, a go rozwiążę. Moja władza obejmuje też Kwiryna i Janusa. Nie ogłaszam orzeczeń w sprawach obcych bóstw. W ich wypadku ludzie najczęściej zwracają się do *quindecimviri*, którzy z kolei zaglądają do ksiąg sybillińskich. Tak się dzieje zazwyczaj, kiedy chodzi o losy imperium, ale nie wydaje mi się, żebyśmy tym razem mieli z czymś takim do czynienia. – Cezar potrafił być sarkastyczny, kiedy zechciał.

– Szczerze mówiąc, obawiam się, że zniżyłem się do pewnego podstępu, Cezarze – wyznałem. – Jesteś tu potrzebny jako sędzia najwyższy.

Cezar zrobił zirytowaną minę i już miał odpowiedzieć, kiedy Julia oznajmiła:

– Niech nikt się nie rusza.

– Co? – zapytałem, błyskotliwie jak zawsze.

Julia bardzo powoli poniosła rękę i wskazała stopy posągu.

– Jeden z tych węży żyje.

– Na Jowisza, faktycznie – powiedziałem, patrząc na wijący się kształt z pełną przerażenia fascynacją. – Nie ma tu dość światła, aby określić jego kolor, ale jestem gotów zgadnąć, że to żmija błotna.

– Niech ktoś ją zabije – polecił Juliusz Cezar z niesmakiem. Nigdy nie lubił węży.

– Cezarze, nie! – zaprotestował Pompediusz. – To święty wąż Angitii!

– To rzeczywiście problem – odparł Cezar. – Nie chciałbym, aby moi marsyjscy żołnierze obwiniali mnie o zabicie ich świętego węża.

– Ależ nic nam nie grozi – powiedział zadowolonym z siebie tonem Pompediusz.

Z niezwykłą powagą minął otwór w podłodze i stanął o krok od posągu, gdzie skłonił się i coś wymamrotał, wysuwając przed siebie ręce zwrócone wnętrzami dłoni w dół. Po tym zorientowałem się, że Angitię czczono jako bóstwo z krainy cieni. Tego dnia nieźle się podszkoliłem w kwestiach religijnych.

Zakończywszy modły, Pompediusz przeniósł uwagę na węża. Wyciągnął ręce w jego stronę i zaczął rytmicznie przebierać palcami, zbliżając się małymi kroczkami. Wyglądało na to, że wąż nie potrafi oderwać wzroku od jego rąk. Przyglądałem się z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia. Patrzenie, jak ktoś uprawia magię, zawsze jest dla mnie krępujące.

Palce jego prawej dłoni zwolniły, a potem znieruchomiały. Lewą ręką wciąż rzucał czar. Potem powoli wyciągnął prawą rękę w stronę głowy gada, aż znalazła się ona za podstawą jego klinowatej czaszki. Kiedy schwycił stworzenie za szyję, Julia aż się zachłysnęła. A przynajmniej jestem prawie pewien, że to

była Julia. Nie wydaje mi się, abym był to ja.

Pompediusz się wyprostował. Wąż, który rzeczywiście był ogromny i gruby, próbował owinać się dookoła niego, ale on jakimś sposobem ułożył go w zgrabne pętle zwieszające się z jego ramienia, z ostatnim zwojem otaczającym go w pasie. Zamruczał w miejsce, gdzie wąż nie ma ucha, i wyglądało na to, że stworzenie się uspokoiło.

– A mnie się wydawało, że stosowne udrapowanie togi jest trudnym zadaniem – skomentowałem.

– Widzicie? – zapytał Pompediusz, ignorując mnie. – Wszystko się dobrze skończyło. Stało się zadość boskiej sprawiedliwości. Zabiorę świętego węża z powrotem do jego domu nad jeziorem, a Marsowie odzyskają swoje szczęście.

– A i tobie przypadnie sporo uznania – zwróciłem uwagę.

– No cóż – odparł skromnym tonem – z pewnością mi to nie zaszkodzi. Muszę ci podziękować, senatorze, za tak sumienne poszukiwania. Jestem twoim dłużnikiem, a wraz ze mną wszyscy Marsowie. A tobie, Cezarze...

– Cezarze – przerwałem mu – chcę aresztować tego człowieka.

– Co takiego? – zawołał Pompediusz. – Co to ma znaczyć?

– To oszust. Lucjusz Pompediusz leży w tamtym dole.

Cezar przyjrzał się odrażającym zwłokom z

konsternacją.

– Przecież Lucjusz Pompediusz to ja!

– Faktycznie – zgodziłem się.

– Decjusz Cecyliusz – odezwał się Cezar – filozoficzne paradoksy nigdy nie były twoją specjalnością. Czy nie możesz wyrażać się jaśniej?

Wyciągnąłem list Cezara zza togi i rozwinąłem.

– Cezarze, kiedy ten człowiek przyszedł do mnie wczoraj, zwróciłem uwagę na to, jak się nazywa.

– Pompediusz? – zapytał kapłan. – Mój przodek zaiste dowodził powstaniem przeciwko Rzymowi, ale od wielu lat jesteśmy lojalnymi obywatelami, a także stronnikami Cezara.

– Nie chodzi o twoje nazwisko, lecz przydomek, Polluks.

Prawie niezauważalnie zerknął w stronę drzwi.

– Dioskurowie są patronami Rzymu, a rodzice nadali mi to imię na znak naszej wierności.

– To godne pochwały – odparłem. – Ale panuje też zwyczaj, aby imiona Kastor i Polluks nadawać bliźniaczym braciom. To drugie imię zawsze przypada starszemu bliźniakowi, jako że to Polluks był nieśmiertelny: spłodził go Zeus, podczas gdy ojcem Kastora był śmiertelny Tyndareos.

– To tylko jedna z wersji mitu. Są też inne. – Cezarowi zdarzało się popadać w pedanterię.

– Nie mówię o micie, lecz o zwyczaju nadawania imion. Ten nieżyjący mężczyzna to Lucjusz Pompediusz

Polluks, pierworodny. A człowiek, który przyjął owo imię, to Lucjusz Pompediusz Kastor.

– Ale po co? – chciała wiedzieć Julia.

– Powiedział to, kiedy mnie wczoraj odwiedził – odparłem. – Chodzi o władzę. Uznanie. Miał zamiar wrócić do Marruvium jako istny triumfator. Kapłani z pewnością rozgłosili już wieść, że święty wąż przepadł, budząc histerię wśród całej marsyjskiej ludności. Wróci konno, owinięty węzem niczym Cezar purpurową szatą, i zajmie miejsce brata, bez wątpienia snując mrozącą krew w żyłach opowieść o tym, jak zazdrosny Kastor próbował zdradzić Marsów, kradnąc węża, tylko po to, aby Angitia... na pewno z jego pomocą... ukarała złoczyńcę za świętokradztwo.

– Jak zwabił tu brata, żeby go zabić? – zapytała Julia.

– Nie zrobił tego. Zabił go w przybytku Angitii nad jeziorem. To łatwe dla kogoś, kto równie dobrze jak on zna się na jadowitych węzach. Musiał jedynie rozproszyć brata, nakłonić go do odwrócenia wzroku, a potem przystawić głowę węża do jakiegoś odsłoniętego miejsca na jego ciele. To tak naprawdę dość pomysłowe. Pompediuszu, użyłeś do tego celu świętego węża czy złapałeś swojego współnika na bagnach? – Byłem tego bardzo ciekaw. Nowatorskie sposoby zabijania zawsze mnie fascynowały.

– Bez względu na to, jak tego dokonał – ciągnąłem – załadował następnie puchnące szybko ciało na wóz i przywiózł do Rzymu. Odległość nie jest znowu aż tak

duża. Ta świątynia i uliczka są tak mało uczęszczane, że bez trudności mógł tu niepostrzeżenie wyładować ciało. Zostawił węża tutaj, wśród jego kamiennych towarzyszy, wiedząc, że dopóki zwierzę nie zgłodnieje, dopóty nie opuści chłodnego, ciemnego przybytku pełnego znajomego zapachu cedru. Wiedział, że dzięki temu uda mu się zrobić wrażenie na wysoko postawionych rzymskich przyjaciołach swoją umiejętnością zaklinania węży. Faktycznie, wszyscy byliśmy pod wrażeniem. Następnie odwiedził Cezara, który przysłał go do mnie.

– On oszalał! – syknął Pompediusz. – Jakie masz dowody?

– Nie potrzebuję dowodów – powiedziałem mu. – Pytanie tylko, czy przekonałem Cezara?

– Ma rację – oznajmił Cezar. – Nie trafisz przed sąd. Jestem dyktatorem i jeśli zechcę, mogę kazać cię zgładzić tu i teraz. Aresztuj go, Decjuszu Cecyliuszu.

Bez zastanowienia wyciągnąłem rękę w stronę kapłana i zacząłem wygłaszać starą formułę:

– Lucjuszu Pompediuszu Kastorze, pójdź ze mną do... – Wtedy wyciągnął w moją stronę głowę węża.

Julia powiedziała mi później, że odskoczyłem, krzycząc niczym przerażona dziewczynka, ale niczego takiego nie pamiętam. Pompediusz zaczął się wycofywać, sycząc jak wąż, wysuwając przed siebie głowę zabójczego gada i grożąc każdemu, kto się zbliżył.

– Liktorowie! – krzyknął Cezar.

W drzwiach natychmiast zaroilo się od ludzi z jego

świty, którzy trzymali swoje *fascēs* niczym oręż.

– Uważajcie! – krzyknęła Julia. – On ma węża! I nie zawaha się go użyć!

Liktorowie przywarli do ścian, wytrzeszczając oczy.

Pompediusz rzucił się w stronę drzwi. W chwili, kiedy przekraczał próg, wysunęła się nad nim czyjaś stopa, o którą zahaczył. Rozległ się wrzask i kapłan runął na łeb, na szyję. Na mgnienie oka mignęły mi podeszwy jego sandałów, a potem zniknął. Dał się słyszeć odgłos ciała uderzającego o kamienie, a potem skowyt bólu i przerażenia.

– Cóż za przykry upadek – powiedziałem. – Te schody są bardzo strome.

– Nie sądzę, żeby to z powodu upadku tak krzyczał – stwierdził Cezar. – Pójdźmy zobaczyć.

Wyszliśmy na portyk. Hermes obejmował dłonią obolałą kostkę.

– Od dzieciństwa tego nie robiłem – powiedział – ale wciąż działa.

Pompediuszem wciąż wstrząsały drgawki i konwulsje, ale prawdopodobnie już nie żył. Jego ciało puchło i robiło się coraz ciemniejsze, na skórze zaczęły się pojawiać ogromne pęcherze. Gapiów ogarnęła panika i próbując uciec, zablokowali wylot uliczki. Myśleli, że to może jakaś nowa, straszliwa choroba, i nie chcieli mieć z nią do czynienia. Kilka osób zdeptano, ale chyba nie śmiertelnie.

Przez chwilę przyglądaliśmy się, oniemiaли. Spod

zwłok wystawał spory fragment ciała węża, które wiło się słabo. Potem znieruchomiało.

– Zawsze chodzi o władzę, czyż nie, Cezarze? – zapytałem. – Czy zdobywa się ją dzięki polityce, legionom, pieniądzom czy wężom, władza to władza.

Hermes pożyczył *fascēs* jednego z liktorów i przewrócił zwłoki na plecy.

– Wąż zdechł. Kapłan go zgniótł.

– Pech dla Marsów – stwierdziłem.

– Każę odprawić *lustrum* i przekażę fundusze świątyni Angitii – oświadczył Cezar. – To ich przekona, że klątwa została zdjęta.

– Ale ich święty wąż nie żyje – martwiła się Julia.

Cezar wzruszył ramionami.

– Pojawi się kolejny. Na bagnach zawsze znajdzie się więcej węży.

Wszystko to wydarzyło się podczas dwóch dni w 709 roku od założenia miasta, podczas trzeciej dyktatury Gajusza Juliusza Cezara.

PATRICIA BRIGGS

Patricia Briggs, autorka książek z listy bestsellerów „New York Timesa”, najbardziej zasłynęła chyba dzięki serii o Mercy Thompson, opowiadającej o paranormalnych przygodach zamieniającej się w kojota kobiety, która pracuje jako mechanik samochodowy i wikła się w świat wampirów, wilkołaków i gremlinów, a także związanych z nią cyklach „Alpha” i „Omega”. Briggs jest też autorką cykli wpisujących się w tradycję fantasy, takich jak czterotomowy „Sianim” (*Masques, Wolfsbane, Steal the Dragon, When Demons Walk*), dwuczęściowy „Hurog” (*Dragon Bones, Dragon Blood*) i również dwuczęściowy cykl „Raven” (*Raven’s Shadow, Raven’s Strike*), a także powieści *The Hob’s Bargain*. Jej najnowszą książką jest kontynuacja przygód Mercy Thompson zatytułowana *River Marked*.

W zamieszczonym tu opowiadaniu o atmosferze dreszczowca towarzyszymy prywatnemu detektywowi Warrenowi Smithowi (znanemu czytelnikom z serii o Mercy Thompson), gdy próbuje rozpracować sprawę, w którą wplątane jest zombi, czarownice i prawnik. Zwykły dzień w biurze...

W CZERWIENI I PERŁACH

Jestem naprawdę dobry w czekaniu. Pewnie dzięki temu, że w dzieciństwie mnóstwo czasu spędziłem, pasąc krowy. Kyle mówi, że to sprawka wilkołaka, który we mnie drzemie, że drapieżniki muszą być cierpliwe. Ale Kyle nie ma pojęcia o pasaniu krów. Powiedziałbym, że o drapieżnikach też nie, ale jest prawnikiem.

Wyciągnąłem nogi i położyłem je na biurku Angeliny, recepcjonistki i dyktatorki w Kancelarii Adwokackiej Brooks, Gordon i Howe. Angelina dostałaby szału, gdyby to zobaczyła, w każdej chwili przecież ktoś mógł wejść i mnie zobaczyć.

– Wizerunek, *hijo* – powiedziała, kiedy zacząłem pracować w kancelarii.

Nawet lubiłem, kiedy mówiła do mnie „synu”. Choć byłem zdecydowanie za stary, żeby móc być jej synem, ona tego nie wiedziała.

– Wszystko sprowadza się do wizerunku – powiedziała wtedy, patrząc na mnie z dezaprobatą. – Musisz wyglądać tak, żeby klienci mieli ochotę wydawać pieniądze, Warren. Lubią luksusowe biura, prawników w garniturach i prywatnych detektywów w fedorach i krawatach. Dzięki temu wiedzą, że odnosimy sukcesy, że potrafimy im pomóc.

Odparłem, że prędzej mi kaktus wyrośnie na głowie, nim założę na nią fedorę. Zgodziłem się jednak na

noszenie krawata i grzeczne zachowanie w godzinach pracy i to ją w dużej mierze zadowoliło.

Godziny pracy zakończyły się oficjalnie jakiś czas temu, krawat miałem w tylnej kieszeni, a Angelina dawno poszła do domu. Sam też bym poszedł, gdyby nie to, że jedna z klientek Kyle'a wpadła do biura cała roztrzęsiona, a on zabrał ją do swojego gabinetu i właśnie uspokajał.

Kyle zazwyczaj opuszczał biuro ostatni. Tym razem chodziło o szlochającą klientkę, która nagle uznała, że kretyn, który przespał się z jej najlepszą przyjaciółką, jest tak naprawdę miłością jej życia i ona nie chce się z nim rozwodzić, tylko dać mu nauczkę. Jutro będzie chodzić o górę papierkowej roboty, której uporządkowanie będzie mu miało zająć tylko kilka minut, a z tych kilku minut zrobi się kilka godzin. Miał skłonności do pracoholizmu.

Nie miałem nic przeciwko temu. Na Kyle'a warto było trochę poczekać. Poza tym, jak już wspomniałem, mam wprawę w czekaniu.

Usłyszawszy hałas w holu, zdjąłem nogi z biurka na moment przed tym, jak otworzyły się drzwi. Do środka, wraz z falą Chanel numer pięć, weszła młoda kobieta w obcisłej czerwonej sukience i ze sznurem pereł na szyi. Była przepiękna.

– Hej – powiedziała niskim, nieco schrypniętym głosem, uśmiechając się szeroko. – Kyle Brooks?

W uszach też miała perły. Na palcach nie miała pierścionków, choć dostrzegłem, że do niedawna nosiła obrączkę. Spotykam się ze specjalistą od rozwodów:

zauważam takie szczegóły.

– Nie, proszę pani – powiedziałem. – Już po godzinach. Najlepiej, żeby spróbowała pani jutro.

Nachyliła się nad biurkiem Angeliny i z sukienką o wielkim dekolcie stało się to, co zazwyczaj dzieje się z obcisłymi sukienkami w takich okolicznościach. Gdybym miał takie upodobania, byłbym zachwycony tym widokiem.

– Muszę znaleźć Kyle’a Brooksa.

Była tak blisko, że poczułem na twarzy jej oddech. Pachniał głównie miętową pastą do zębów. Głównie.

– No dobrze – mruknąłem, wstając powoli i obchodząc z nonszalancją biurko, jakbym nagle się nią zainteresował. Co było prawdą. – A jaką to masz do niego sprawę, złotko?

Jej uśmiech zniknął i zrobiła zmartwioną minę.

– Muszę go znaleźć. Muszę. Możesz mi pomóc?

Biuro Kyle’a znajdowało się na końcu korytarza, na tyłach. Słyszałem, że kobieta, która z nim tam siedzi, wciąż do niego mówi, jak od półgodziny.

– Chyba tak – powiedziałem i poprowadziłem ją w przeciwną stronę, do sporego pokoju konferencyjnego na drugim końcu kancelarii. – Zostań tutaj parę minutek – poleciłem. – Zaraz przyjdzie.

Poszła za mną potulnie i zatrzymała się tam, gdzie jej kazałem. Zamknąłem za sobą drzwi i pomknąłem do biura Kyle’a.

Wszedłem bez pukania i nie zwróciłem uwagi na jego

zmarszczone brwi.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytałem, rzucając mu swoją komórkę. – Zadzwoń do Elizawiety, jej numer jest pod „C”. – „C” jak „czarownica”, na pewno by zrozumiał, jest inteligentnym facetem. – Powiedz, że mamy tu pewien problem, problem w jej stylu, i potrzebujemy jej pomocy. Pani wybaczy. – Uchyliłem nieistniejącego kapelusza oburzonej klientce, po czym znowu zwróciłem się do Kyle’a: – Może będziemy musieli z tego powodu opróżnić kancelarię.

– To jakaś twoja sprawa? – zapytał wymijająco Kyle. Chodziło mu o to, czy to sprawa nadprzyrodzona.

– Nie inaczej. – Wypadłem z biura i pobiegłem z powrotem do pokoju konferencyjnego.

– Minuta siedemnaście – mówiła właśnie piękna kobieta, kiedy znów do niej dołączyłem.

Na dźwięk otwieranych drzwi przestała liczyć i napięła całe ciało. Kiedy mnie zobaczyła, zmarszczyła brwi.

– Muszę zobaczyć się z Kyle’em – powiedziała.

– Wiem – odparłem. – Zaraz przyjdzie. – Miałem nadzieję, że najpierw wyprowadzi swoją klientkę i zadzwoni po Elizawietę Arkadiwną, czarownicę związaną umową z moim stadem.

Usłyszałem, że drzwi wejściowe się zamykają, i przyszło mi do głowy, że powinienem był kazać zniknąć także Kyle’owi. Nie wiedziałem jednak, jak długo nasz gość zostałby na miejscu – wyglądało na to, że zapewne

dokładnie „parę minetek”. Za mało czasu, żeby Kyle mógł zrobić cokolwiek poza wykonaniem telefonu do Elizawiecy – to już miał za sobą, ponieważ dobiegł mnie jej gderliwy głos. Moja komórka i dzielące nas drzwi zniekształciły go jednak do tego stopnia, że nie rozumiałem, co Elizawieca mówi.

Nie tylko ja to usłyszałem. Zombi odwróciło głowę w stronę drzwi.

Moją pierwszą wskazówką co do tego, kim ta kobieta jest naprawdę, był jej świeży, bogaty w tlen oddech; nie pachniał jak u kogoś, kto naprawdę oddycha. U wampirów było tak samo, ale nie wyczuwałem woni wampira, nawet mimo bogatego aromatu Chanel. Po drugie, moją uwagę zwróciło to, jak usłuchała moich poleceń. Zombi są podobno bardzo skłonne do współpracy, jeśli nie każe im się zrobić czegoś, co przeczy nakazom ich stwórcy.

– Tak – powiedział z korytarza Kyle, zbliżając się do pokoju konferencyjnego. – Tu Kyle Brooks. Jesteśmy w mojej kancelarii. Świetnie, dziękuję. – Drzwi się otworzyły. – Co...

Zombi rzuciło się na niego.

Wiedziałem, że to zrobi, gdy tylko Kyle wypowiedział swoje nazwisko. Byłem gotów, kiedy otworzył drzwi. Jestem cholernie szybki i wydawało mi się, że panuję nad sytuacją, ale to coś było szybsze, niż sądziłem. Chwyciłem istotę za ramiona i szarpnąłem do tyłu, więc chybiła celu. Zamiast przywrzeć do gardła

Kyle'a, trafiła w jego obojczyk.

– Kur... – krzyknął i szarpnął się w tył.

– Nie ruszaj się – warknąłem ostro, a on zamarł, wlepiając wzrok we mnie, a nie we wgryzione w niego zombi.

Nieczęsto robię użytek z tego tonu przy kimkolwiek i nie byłem pewien, czy zadziała na śmiertelnika. Ale gdyby Kyle próbował się odsunąć, zrobiłby sobie większą krzywdę.

Próbowałem nie myśleć o plamie krwi na jego koszuli, bo nie wiedziałem, czy czarownica nie będzie potrzebowała zombi „żywego”, żeby stwierdzić, kto je nasłał na Kyle'a.

A ja z całą pieprzoną pewnością miałem zamiar dopaść tego, kto je nasłał na Kyle'a.

Skoro nie mogłem rozerwać zombi na strzępy, musiałem unikać patrzenia na krew Kyle'a. Pomogło to, że na jego twarzy nie malowało się cierpienie: wyglądał na strasznie wkurzonego.

– Zabierz ją ode mnie – wycedził, próbując się wyswobodzić.

Może i jest drobny, ale też twardy. Zombi jednak solidnie zacisnęło szczęki i nie potrafił go ruszyć.

Zawsze mi się wydawało, że starcie z zombi byłoby dość podobne do walki z człowiekiem, nieustępliwym i nieczułym na ból, ale jednak człowiekiem. Kiedy zombi zaatakowało Kyle'a, ruszało się jednak znacznie szybciej niż jakikolwiek człowiek, a teraz okazało się, że jest też

silniejsze.

Bardziej niż opędzić się ode mnie, próbowało dobrać się do Kyle'a. Wydawałoby się, że dzięki temu powinno być łatwiej mi je opanować. W końcu udało mi się objąć ramieniem jego klatkę piersiową i przyciągnąłem je mocno do siebie. Wtedy mogłem drugą ręką zabrać się do rozwierania jej zębów. Jego zębów. Przy okazji złamałem mu dolną szczękę i nadgryzło mi nieco kciuk.

Kyle zatoczył się w tył, biały jak kość, ale zdjął koszulę, zwinął ją w kłębek i przycisnął do rany, którą w nim wyżarła.

– Co to jest? – zapytał. – Dlaczego bardziej nie krwawi?

Zerkał na kobietę i od razu odwracał wzrok. Zrozumiałe: z na wpół oderwaną zuchwą nie była już taka ładna.

– Zombi – powiedziałem nieco zdyszczanym głosem.

Próbowało się teraz uwolnić z mojego uścisku, co trochę komplikowało sytuację, ale przynajmniej nie musiałem go już odrywać od Kyle'a.

– To jakaś twoja sprawa? – zapytał.

W zwyczajnych okolicznościach bym się zgodził. Nawet ostrzy prawnicy, tacy jak Kyle, nie byli na tyle nietypowi, żeby trzeba było organizować zamach przy użyciu zombi – było to zbyt ostentacyjne, za bardzo zwracało uwagę. Czarownice i różnego rodzaju nadprzyrodzeni kapłani, którzy potrafili tworzyć zombi, nigdy się nie ukrywali, tak jak niegdyś wilkołaki, tylko

żyli wśród mediów, wiccan i wyznawców New Age. Oszuści i ludzie oszukujący samych siebie tworzyli niezłą przykrywkę dla garstki prawdziwych adeptów magii. Ci zaś nie rezygnowali tak łatwo z owej przykrywki. Ktoś musiał sporo zapłacić za taką próbę morderstwa.

Pokręciłem głową.

– Nie wiem. W każdym razie strasznie chce cię dopaść.

W ciągu ostatnich kilku sekund zombi nie udało się uwolnić żadnej kończyny, więc zaryzykowałem i przeniósłem uwagę na Kyle'a. Martwiła mnie ta rana.

– Znajdź dobrą whisky Howarda – powiedziałem. – Trzyma klucz za trzecią książką na górnej półce, po lewej. Zdezynfekuj nią ranę. To coś pewnie ma w ustach najróżniejsze rzeczy. – O zombi nie wiedziałem zbyt wiele, ale słyszałem o waranach z Komodo, które nie potrzebują jadu, żeby zabić ofiarę: wystarczą bakterie, które mają w pyskach.

Kyle bez słowa protestu wyszedł z pokoju. Kiedy tylko zniknął, zombi zaczęło krzyczeć. Może było to imię Kyle'a, ale z powodu uszkodzonej zuchwy trudno to było orzec.

Trzymałem je mocno – udało mi się już chwycić je tak, żeby nie mogło mnie uderzyć ani się wywinąć. Dzięki temu mogłem zacząć się martwić o inne rzeczy. Wychodząc, Kyle zamknął za sobą cicho drzwi. Próbowałem nie spekulować na temat jego reakcji, próbowałem zwinąć panikę w kulkę i schować ją gdzieś,

gdzie nie narobi szkód. Widział już niejedną dziwną rzecz, choć żadna nie utoczyła mu jeszcze krwi.

Mogłem zniszczyć zombi, zostawić je w pokoju konferencyjnym i zabrać stamtąd później, tak by nikt się nie zorientował; mogłem ukryć to wszystko przed swoim kochankiem, tak jak zwykłem robić wcześniej. Ale z Kyle'em od początku było inaczej. Kłamstwa o tym, kim i czym jestem, kłamstwa podyktowane koniecznością i dobrze już znajome, zostawiły niesmak w moich ustach, kiedy mu je opowiedziałem. Teraz znał prawdę o mnie i nie miałem zamiaru już niczego przed nim ukrywać. Gdyby nie potrafił pogodzić się z tym, kim i czym jestem, trudno.

To jednak nie były pomocne rozważania, więc zmusiłem się do powrócenia myślami do obecnego problemu. Kto miałby przysłać zombi z rozkazem zabicia Kyle'a? Czy było to wymierzone we mnie? Zombi stanowiło dość mocny dowód na to, że stał za tym ktoś z mojego świata, świata istot, które żyją w ciemnych zakamarkach, a nie ze środowiska Kyle'a; on był człowiekiem z krwi i kości.

Mimo to nie przychodził mi do głowy nikt, kogo obraziłem aż tak, żeby miał obrać sobie za cel Kyle'a. W Tri-Cities nie było też nikogo – z wyjątkiem ewentualnie samej Elizawiey, która, jak powiedział Winston Churchill o jej ojczyźnie, Rosji, była „zagadką owiniętą w tajemnicę wewnątrz enigmy” – kto w ogóle potrafiłby stworzyć zombi. Wschód stanu Waszyngton nie jest siedliskiem

hudu ani vudu.

Może ktoś zapłacił tylko za rezultat, nie za sposób jego osiągnięcia? Wynajął zabójcę, który sam wybrał metodę morderstwa?

Kyle miał znacznie liczniejszych wrogów niż ja. Kiedy miał ochotę, potrafił jak nikt zrobić z przeciwnika w sądzie albo brutalnego przestępcę, albo kompletnego idiotę – czasem jedno i drugie. Wielu z nich miało sporo pieniędzy, z pewnością wystarczająco dużo, żeby wynająć mordercę.

Może to nie była moja wina.

Ale zamach z użyciem zombi wskazywał jednoznacznie na spore koszty, znacznie większe, niż zazwyczaj zażądano by za śmierć kogoś takiego jak Kyle. Co oznaczało, że zapewne była to moja wina.

Usłyszałem, jak Elizawieta wchodzi i kroczy korytarzem w stronę pokoju konferencyjnego. Milczenie dało mi znać, że Kyle wciąż oczyszcza ranę.

Elizawieta otworzyła drzwi i wpłynęła do środka niczym *Queen Mary* zawijająca do portu. Choć przyniosła ze sobą zapach ziół i mentolu, a nie słonej wody, miała w sobie ten sam królewski majestat, któremu towarzyszyło tyle materiału i kolorów, że Cyganka w środku zimy byłaby dumna – a na zewnątrz panował ukrop.

Zawsze myślałem, że w młodości na pewno była piękna. Nie w konwencjonalny sposób, jej uroda była zdecydowanie bardziej uderzająca. Teraz jej nos robił wrażenie haczykowatego, a oczy miały zbyt ostry wyraz,

ale wciąż przykuwała uwagę.

– Warren, mój pączuszk, co znalazłeś?

Nigdy nie mówiła do mnie po rosyjsku, tak jak do Adama, który rozumiał ten język. Tłumaczyła zamiast tego czułości, które wplatała w swoje wypowiedzi, zapewne dlatego, że wprawiały mnie w zakłopotanie. Dlaczego ktokolwiek miałby porównywać dorosłego człowieka do wyrobu cukierniczego?

Zareagowałem na jej przesadzoną prezencję tak jak zazwyczaj, przybierając na powrót akcent z dzieciństwa – z lekkim dodatkiem z hollywoodzkich westernów.

– Myślę sobie, że to zombi, pszepani, ale uznałem, że najpierw powinna se pani na to rzucić okiem.

Uśmiechnęła się.

– Co robiło, kiedy je znalazłeś?

– To ono znalazło mnie, pszepani. Szukało Kyle’a.

– A ty za to wytrąciłeś mu żuchwę z zawiasów, mój teksaski króliczku? – zapytała filuternie.

– Nie – oznajmił Kyle od drzwi. Na ramiona miał zarzuconą zapasową koszulę z kołnierzykiem odgiętym tak, żeby nie pobrudził się krwią z zaplamionego mocno ręcznika, który przyciskał do obojczyka. Pachniał whisky, ale nawet atak zombi nie odebrał mu urody czy opanowania. – Złamał jej żuchwę, kiedy ją ze mnie ściągał. Na pewno pani Elizawieta Arkadiwna Wyszeniewieckaja. Jestem Kyle Brooks.

Spuściła na niego wzrok – jest prawie mojego wzrostu. Ja widziałem tylko tył jej głowy, ale Kyle

przybrał swój prawniczy wyraz twarzy, więc zdaje się, że nie miała przyjaznej miny. Zombi zaczęło robić coraz większy hałas i energiczniej się wrywać. Nie odezwawszy się słowem do Kyle'a, czarownica zwróciła na nie spojrzenie.

– Przystań się bawić i je zabij – powiedziała chłodnym tonem. – Powinno wystarczyć, że skręcisz mu kark. – Nigdy nie przepadała za wprowadzaniem ludzi w tematy, które jej zdaniem powinny być dla nich tajemnicą. Pewnie próbowała dać mnie i jemu nauczkę.

Nie podobało mi się słuchanie jej rozkazów, ale skoro nie potrzebuje zombi, Kyle będzie bezpieczniejszy po jego śmierci.

Nie patrzyłem na Kyle'a, kiedy skręciłem zombi kark. Jego kręgosłup złamał się z łatwością w moim uścisku – czarownica chciała, żeby Kyle właśnie to zobaczył. Ułożyłem bezwładne ciało na stole konferencyjnym tak ostrożnie, jak potrafiłem, obciągając sukienkę na udach nieżyjącej kobiety.

Elizawieta przeniosła uwagę na zwłoki, a ja w końcu zauważyłem, że nie jest sama. Darem Nadii jest umiejętność wtapiania się w otoczenie – po części dzięki magii. Choć byłem zajęty zombi, Kyle'em i Elizawieta, powinienem był ją zauważyć.

– Nadiu, dziękuję ci za przybycie – powiedziałem.

Z całej licznej rodziny Elizawiety Nadię lubiłem najbardziej, była cicha, kompetentna i bystra. Z tego, co wiedziałem, należała do trojga krewnych Elizawiety,

którzy naprawdę byli jej uczniami, a nie sługusami czekającymi na jej polecenia.

Odkryto, że wnuk starej kobiety, który miał odziedziczyć rodzinny interes, pomagał sobie w robieniu kariery w sposób, który Elizawieta uznała za kłopotliwy. Zniknął jak kamień w wodę. Pewnie za kilkaset lat ktoś odkryje jego szczątki w słoju w piwnicy Elizawiety.

Nie było mi go żal. Zawiązał spisek w celu zamordowania Brana Cornicka, przywódcy wilków z tej części świata, dzięki któremu życie wilkołaków było mniej koszmarne. Elizawieta była wciąż wściekła na Brana za to, że ujawnił istnienie wilkołaków – a ja zawsze się zastanawiałem, czy sama też nie była zamieszana w tę aferę, choćby przez to, że się nie sprzeciwiła.

Nadia podniosła na mnie ciemnoszare oczy i się uśmiechnęła, a lekkie kurze łapki rozwiały złudzenie młodości, które tworzyła jej świeża skóra i ciemnobrązowe włosy bez śladu siwizny. Nie była to jednak wielka strata, ponieważ jej uśmiech był szeroki i pełen słodczy.

– Warren – powiedziała. Urodziła się w Tri-Cities i nie miała nawet śladu rosyjskiego akcentu. – Wyglądasz...

– Na wystrojonego? – zapytałem, patrząc na własne spodnie. – Pracuję w kancelarii Kyle'a, a ona jest dość ekskluzywna. Ale kowbojskie buty udało mi się zachować. Tylko muszę pamiętać, żeby je czyścić od czasu do czasu.

Zarumieniła się nieco.

– Nie chciałam być nieuprzejma, przepraszam. Nie wiedziałam, że jesteś prawnikiem.

– Ja nie, tylko Kyle. – Przedstawiłem ich sobie. Uścisnęła jego wyciągniętą dłoń i wymamrotała powitanie. – Ja jestem chłopcem na posyłki – dodałem, odpowiadając na pytanie, którego nie zdążyła zadać.

– Prywatnym detektywem – poprawił mnie Kyle.

– Atrament jeszcze nie zdążył wyschnąć na umowie – wtrąciłem, widząc uniesione brwi Nadii.

– Siostrzenico, przestań flirtować i powiedz mi, co widzisz – odezwała się ostrym tonem Elizawieta, nie podnosząc wzroku.

Nadia się zarumieniła, nie dlatego, że faktycznie flirtowała, ale ponieważ ciotka ją zawstydziła, i zajęła się zwłokami leżącymi na stole. Odetchnęła głęboko dla uspokojenia i zabrała się do pracy.

– Znam jej twarz – powiedziała nieco zaskoczona. – Widziałam ją w gazetach. Nie wróciła z joggingu w zeszłą sobotę rano. Nie pamiętam nazwiska...

– Toni McFeters – wtrącił Kyle. – Masz rację. Dopiero teraz ją poznaję.

– Nic dziwnego w tych okolicznościach. – Uwaga Nadii była wyraźnie skupiona na zwłokach, nie na nas. Mówiła chłodnym tonem: – Najłatwiejszym sposobem na zdobycie ciała do stworzenia zombi jest własnoręczne zabicie ofiary.

– Chcesz powiedzieć, że zabito ją tylko po to? – Kyle

wyglądał na opanowanego, ale czułem zapach jego wzburzenia.

– Prawdopodobnie – odparła, kiedy jej ciotka się nie odezwała. – Tego rodzaju magia najlepiej działa na świeżych zwłokach. Nie warto nawet próbować z ciałem z kostnicy, pełnym chemikaliów do balsamowania, a wykraść jakieś ze szpitala jest trudno. W szpitalach jest zbyt duży tłum. – Zerknęła przez ramię i jej wzrok padł na Kyle'a. Po jej skonsternowanej minie poznałem, że przypomina sobie ostatnie chwile rozmowy. – Najmocniej przepraszam. Nie przywykłam do rozmawiania o swojej pracy z laikami. Wiem, że to dla ciebie trudne. Ten, kto to zrobił, chciał cię zabić. Nie sądzę, żeby morderstwo było dla niego problemem.

– Gdyby zombi udało się zabić Kyle'a, umarłoby? – zapytałem.

– Uległoby deanimacji – odparła rzeczowo Elizawieta. – Nie żyło już, kiedy tu przyszło. Możliwe jest wydanie takiej istocie polecenia, a potem wygaszenie magii po jego wypełnieniu.

– Czyli ktoś wszedłby tutaj i znalazł Kyle'a martwego... zabitego przez tę kobietę, również nieżywą. Pani Elizawieto... – Próbowałem wykombinować, jak sformułować pytanie, które chciałem zadać, żeby się nie obraziła. – Czy ktoś w Tri-Cities potrafiłby w taki sposób ożywić zwłoki?

Elizawieta obdarzyła mnie uśmiechem ukazującym zęby, więc chyba jednak ją uraziłem.

– Tak, mój króliczku, ja potrafiłabym to zrobić. Ale jestem dłużniczką Alfy twojego stada i wiem, co wiąże cię z prawnikiem. Nie przyjąłabym zlecenia na zabicie go. – Przyjrzała się dokładnie mojej twarzy i dostrzegła, że to mnie nie zadowoliło. – Nie – powiedziała wyraźnie. – Nie zabiłam tej kobiety, nie zamieniłam jej w zombi i nie nasłałam na twojego kochanka.

– Proszę o wybaczenie. Ale musiałem zapytać.

– Dzięki magii nie stygną – mruknęła Nadia w tej podminowanej atmosferze. Nie wiedziałem, czy nie dostrzega napięcia między mną a Elizawietą, czy odezwała się, żeby je rozładować. – Mają prawie normalną temperaturę ciała. Ludzie od medycyny sądowej nie potrafiliby podać dokładnego czasu zgonu. Wyglądałoby to tak, jakby oboje zginęli o tej samej porze, może jak morderstwo połączone z samobójstwem. Bez dalszych badań nie można tego stwierdzić, ale sądzę, że zabito ją dużą dawką czegoś, co nadwerężyło serce. Możliwe, że kokainy. Czymś w tym rodzaju.

Nie wiem, co pomyślała o tym Elizawieta, ale mnie słowa Nadii rozproszyły. W takim razie żadne zombi nie wzbudziłyby paniki wśród ludzi. Zastanawialiby się tylko, dlaczego tych dwoje zabiło się nawzajem. Zrobienie z zombi narzędzia zbrodni nagle nabrało większego sensu. Nikt nie dowiedziałby się przecież o magii, która nie pozostawiłaby po sobie żadnych śladów wiążących prawdziwego mordercę z tym przestępstwem.

Nadia dalej analizowała sytuację.

– Biorąc pod uwagę, że porwano ją podczas joggingu, jej ubranie jest interesujące: nikt nie biega w takiej sukience. Perły są sztuczne, dobrej jakości, ale w żadnej agencji ubezpieczeniowej ani sklepie jubilerskim nie będzie po nich śladu. Pomadka ma popularny odcień. Sukienka jest ciekawsza. Nie jest nowa. Może kupiono ją w sklepie z używanymi ubraniami, powinno się dać ją namierzyć.

– Nie powinniśmy zadzwonić na policję? – zapytał Kyle.

Wszyscy na niego spojrzeliśmy.

– Na moim stole konferencyjnym leżą zwłoki zaginionej kobiety. Ktoś kiedyś zauważy – powiedział.

– Ona zniknęła – Elizawieta odezwała się do niego po raz pierwszy. – To, że pojawi się na nowo, nie przyniesie nam żadnej korzyści.

Twarz Kyle'a stężała.

– Ona ma rodzinę. Dwoje dzieci i męża. Zaslugują na to, żeby się dowiedzieć, co się jej przytrafiło.

– Może ją pani doprowadzić do porządku? – zapytałem Elizawietę. – Naprawić szkody, które wyrządziłem, a potem zostawić gdzieś, gdzie zostanie odnaleziona?

– Łatwiej i bezpieczniej jest pozbyć się ciała – odparła lekceważąco.

– No cóż, tak, pszepani – powiedziałem, subtelnym ruchem ręki powstrzymując Kyle'a przed powiedzeniem czegoś więcej.

Gdyby zaczął przedstawiać swój punkt widzenia, wpadlibyśmy w niezłe tarapaty, a wraz z nami pewnie kilka zwłok. Dostrzegł mój gest i ustąpił. Niewielu znam ludzi, którzy potrafią czytać język ciała równie dobrze jak on.

– Łatwiej i bezpieczniej – zgodziłem się z Elizawieta beznamiętnie. Rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie. – Ale gdyby zdecydowała się pani zostawić ciało w miejscu, gdzie ktoś mógłby je odnaleźć... oboje wiemy, że potrafiłaby pani tak to zrobić, żeby nikt tego nigdy nie powiązał z panią, tą kancelarią czy magią. Byłoby łatwiej, gdyby dało się naprawić krzywdę, którą jej wyrządziłem... Mogłoby być trudno to wyjaśnić.

– Nie ma w tym miejscu żadnych sińców – powiedziała Nadia. – Potrafiłabym zrekonstruować ciało, ciotko Elizawieto, tak że nikt by się nie poznał.

Stara czarownica wlepiła we mnie wzrok. Czuła się rozdarta: miała mi za złe, że nią manipuluję, ale też moja wiara w jej umiejętności połechtła jej próżność. Mówiłem szczerze i dopilnowałem, żeby usłyszała to w moim głosie.

– Przecież woli pani trudne sprawy – kusilem. – Sprzątanie kolejnego ciała jest nudne. To byłoby większe wyzwanie.

– Kolejnego? – zapytał Kyle. Powiedział to jednak cicho i chyba tylko ja go usłyszałem.

Sprawianie, że zwłoki znikają, było jednym z talentów Elizawiety. Za stadem wilkołaków, nawet tak

dobrze zarządzanym jak nasze, zawsze będą ścielić się ciała wymagające zlikwidowania.

Kąciki ust Elizawieyty opadły, jej ramiona się rozluźniły i wiedziałem już, że zwyciężyłem.

– No dobrze, słodki chłopcze. Masz rację. Medykom nigdy nie uda się rozwikłać tajemnicy, którą potrafię utkać. Jeśli zechcę, żeby niczego się nie dowiedzieli, niczego się nie dowiedzą. A jednak... – Uśmiechnęła się do mnie, a jej oczy błyszczały zadowoleniem. – Jeszcze większym wyzwaniem byłoby pokazanie im dowodów, które nie istnieją. Ty, mój prywatny detektywie, dowiesz się, kto to zrobił. Kiedy będzie wiadomo, ja wskażę policji odpowiedni kierunek.

– Dziękuję – powiedziałem, spuszczać wzrok, jak należało.

Dostrzegłem, że Kyle opuścił nieco dłoń, w której trzymał ręcznik, i nie spodobał mi się wygląd jego rany. Sporo wiem o ranach po ugryzieniu, widziałem niejedną. Brzegi takiej rany nie powinny robić się czarne w ciągu półgodziny.

Zbliżyłem się do niego, odsunąłem ręcznik, żeby się dokładniej przyjrzeć, i zmarszczyłem nos, wyczuwając zapach rozkładu, który pojawił się zdecydowanie zbyt wcześnie.

– Mógłbym prosić, żeby spojrzała pani na to? – zapytałem.

Zerknęła na Kyle'a i zacisnęła usta. Obejrzała się z powrotem na mnie i powiedziała:

– Nie moja sprawa. Zabierz go na pogotowie.

Nie warknąłem na nią tylko dlatego, że naprawdę świetnie nad sobą panuję. Włoski na karku stanęły mi dęba, gdy wilk we mnie uznał, że nie podoba mu się jej odpowiedź.

– Ależ tak – odparłem, wbijając w nią wzrok. – Jest moim wybranym, a przez to i pani sprawą.

Nazwanie Kyle’a moim wybranym było sporym krokiem, ale mój wilk i ja byliśmy z niego zadowoleni. Poczulem, że Kyle bardzo się zainteresował, i usłyszałem, jak Nadia nabiera gwałtownie powietrza, ale nie odwróciłem wzroku. Konieczna będzie zgoda Kyle’a, ale nie teraz, nie po to.

– Posiadanie wybranego zakłada prokreację – orzekła pedantycznie Elizawieta. – Wy dwaj nie możecie mieć dzieci. On nie jest twoim wybranym. – Tak naprawdę nie obchodziło jej, że jestem gejem. Wiedziałem, dlaczego się tak zachowuje. Ustąpiła mi w kwestii zwłok i chciała wygrać choć jedną z bitew tego wieczoru. Wybrała nieodpowiednią.

– Może to pani omówić z Adamem – powiedziałem cicho. Wilk z przyjemnością rozszarpałby jej tchawicę, ale to nie pomogłoby Kyle’owi. – Kyle, masz moją komórkę?

– Wolałbym pojechać na pogotowie – powiedział.

– Nie. Żadnego pogotowia – odparłem ostrym tonem. Nie mogłem sobie pozwolić na walkę na dwóch frontach.

– Elizawieto, chce pani, żebym zadzwonił do Adama?

Kyle na szczęście przestał się wyklócać.

– Zapamiętam to – odezwała się do mnie.

– W porządku. – Bardzo się starałem panować nad sobą. – Proszę pamiętać, że oczekuję tylko, żeby dotrzymała pani umowy, którą zawarła pani z moim stadem. – Wygrałem. Trzeba pozwolić jej zachować godność. Trochę pochlebstwa i komplementów. – Wie pani, że lekarze na pogotowiu nic by nie wskórali. Czuję zapach gangreny. To by ich przerosło. Jeśli pani się tym nie zajmie, on umrze. – Bałem się, że naprawdę tak będzie, i pozwoliłem jej to usłyszeć.

– Tylko dla ciebie, pączuszk, tylko dla ciebie to robię – powiedziała. Potem wyciągnęła rękę i mocno uszczypnęła mnie w policzek. Lepiej, że w policzek niż w tyłek.

Weszła z poważną miną między mnie i Kyle'a, po czym odsunęła jeszcze bardziej ręcznik i pociągnęła nosem.

– Dobra whisky – powiedziała, porzucając mocny rosyjski akcent i zamieniając go na ślad Wielkiej Brytanii. – Nie tak dobra jak rosyjska wódka, ale to nie było najgorsze posunięcie. Ani jedno, ani drugie by tu jednak nie pomogło. Do tego potrzebujecie mnie.

*

Wyniosłem zawinięte w dywan ciało do samochodu Elizawiey. Wiem, że to oklepany chwyt, ale dywan całkiem nieźle maskuje zwłoki, bo ludzie i tak się

spodziewają, że będzie nieporęczny i ciężki. Użyłem dywanu z gabinetu Kyle'a i powiedziałem Elizawiecie, że może go zatrzymać – to ją ucieszyło, bo dywan był drogi. Kyle na pewno nie chciał go z powrotem.

Wróciwszy, nie znalazłem Kyle'a w recepcji, gdzie go zostawiłem. Nadstawiłem uszu i odnalazłem go w jego biurze. Wyglądał przez okno na ulicę poniżej. Byliśmy na trzecim piętrze – dość wysoko jak na Tri-Cities, które wciąż mogły rozrastać się w poziomie, a nie w pionie.

Nie potrafiłem zgadnąć, o czym myśli, ale nie odwrócił się do mnie, kiedy wszedłem do biura. Zły znak.

– Kyle? Chcesz, żebym zawiózł cię do szpitala? – Brzegi rany wyglądały już normalnie, ale Elizawieta nie była uzdrowicielką. Nie wydawało mi się, żeby miała zostać blizna, ale na pewno jeszcze przez jakiś czas będzie bolało.

– Chcę się dowiedzieć, kto zabił tę kobietę – powiedział. – Ktoś ją zabił, żeby się do mnie dobrać... Nawet jej nie znałem.

Dosłyszałem to w jego głosie, dźwięczące pod gniewem. Nikomu innemu by się to nie udało, ale ja mam naprawdę świetny słuch.

Zaryzykowałem i podszedłem bliżej, a potem objąłem go w pasie i przyciągnąłem do siebie.

– To nie twoja wina – powiedziałem. – Nie twoja wina.

– Wiem przecież – warknął, ale się nie odsunął. Po chwili oparł się wygodniej plecami o moją pierś i położył

mi dłonie na przedramionach, przytrzymując je w tej pozycji. – Wiem... Któż wiedziałby lepiej? Ciągle to widuję. „Może gdybym lepiej gotowała, toby mnie nie bił” albo „Gdyby tylko było mnie stać na ten samochód, który tak chciała, nie uciekłyby z moim najlepszym przyjacielem”. To, że ktoś ją zabił, nie jest moją winą. I twoją też nie.

Trzymałem go dalej w ramionach.

– A jednak mam takie wrażenie – dodał zupełnie innym tonem, którego nie używał przy nikim innym. Nie pozwalał sobie na słabość w niczyjej obecności poza mną.

– Znajdę go – powiedziałem, a potem się nachyliłem i przekornie dmuchnąłem mu w ucho. – Albo Elizawieta zamieni mnie w ropuchę.

*

Tego wieczoru zjedliśmy na mieście. Kyle lubi gotować, ale to za długo trwa, a pora kolacji dawno minęła. Nie mówił zbyt dużo przy jedzeniu i od czasu do czasu nieruchomiał, zapatrzony w dal, jakby pracował nad szczególnie trudną sprawą, a nie próbował się uporać z tym, że pogryzła go martwa kobieta.

Już raz go straciłem, kiedy się dowiedział, czym jestem. Coś to o nim mówi: problemem nie była dla niego kwestia wilkołaka, ale kłamstw, za których pomocą ukrywałem ten fakt. Nie miałem jednak wyboru i myślę, że tylko dlatego mi wybaczył.

Odzyskałem go i nie miałem zamiaru w dającej się

przewidzieć przyszłości uznawać jego obecności u mojego boku za pewnik. Jedzenie smakowało niczym trociny, kiedy czekałem, aż Kyle zda sobie sprawę, że zombi nie próbowałyby go zabić, gdybym nie był częścią jego życia.

– Hej – powiedział, koncentrując nagle spojrzenie na mojej twarzy. – Wszystko w porządku?

– Jasne. – Uśmiechnąłem się do niego i bardziej żywiołowo zabrałem do jedzenia. Nie chciałem zepsuć tej drugiej szansy przedwczesnym zamartwianiem się o to, że mogę go stracić.

Kiedy zatrzymaliśmy się na podjeździe przed domem Kyle'a, do drzwi oczywiście przyklejona była notka.

Kyle zdarł ją i otworzył.

– Ma coś przeciwko twojemu pick-upowi – powiedział nieco ironicznym tonem, czytając wiadomość i mi ją streszczając. – Wysłał duplikat listu do urzędu miasta. Ze zdjęciami ilustrującymi sytuację.

– Z moim pick-upem jest wszystko w porządku – stwierdziłem z oburzeniem i Kyle wyszczerzył zęby. Jego uśmiech zniknął, kiedy tylko opuścił wzrok z powrotem na notkę.

Trzy miesiące wcześniej mili sąsiedzi Kyle'a wyprowadzili się do Phoenix i sprzedali dom pewnemu facetowi na emeryturze. Wtedy niezbyt się tym przejęliśmy – dopóki nie pojawiła się pierwsza notka. Dzieci (trójka dzieciaków o poważnych minach zatrzymała się u nas wraz z matką, aby przeczekać groźby

jej byłego męża) za bardzo hałasowały w basenie Kyle'a po siódmej wieczorem, kiedy to pan Francis kładł się do łóżka. Mieliśmy dopilnować, żeby wszystkie dzieci też się wtedy kładły i były cicho, aby nie przeszkadzać panu Francisowi, jeśli nie chcieliśmy, żeby zadzwonił po policję.

Myśleliśmy, że to żart, rozbawiło nas, że we własnych liścikach pisze o sobie „pan Francis”.

Winogrona rosnące wzdłuż kamiennego muru o wysokości dwóch i pół metra, który dzielił nasze działki, zwieszały się na stronę pana Francisa. Mieliśmy je przyciąć, żeby nie musiał na nie patrzeć. Dostrzegł w ogródku psa (mnie) i wyraził nadzieję, że mamy na niego pozwolenie, wykastrowaliśmy go i zaszczepiliśmy. Zdjęcie psa trafiło do urzędu miasta, aby mógł potwierdzić te wiadomości. I tak dalej. Kiedy policja i urząd miasta nie spełniły jego oczekiwań, sam podjął działania. Znalazłem zatrute mięso w krzakach w ogródku Kyle'a. Ktoś wrzucił do basenu czerwony barwnik, który zaplamił beton dookoła. Naprawy kosztowały majątek, a my mieliśmy teraz kamery na tyłach domu. Nie założyliśmy ich jednak dość szybko, żeby uratować winogrona.

Facet był wcześniej jakimś ważnym dyrektorem, którego zmuszono do przejścia na emeryturę, kiedy stres wywołał u niego wrzody i inne problemy zdrowotne. Przyjechał do Tri-Cities, ponieważ był fanem regat. Jestem pewien, że odbywają się one też w innych

miastach. Może powinienem mu kilka polecić.

– Podobno takie rzeczy się zdarzają, tylko kiedy mieszka się w bloku – powiedział Kyle, mnąc najświeższą notkę w dłoni – a nie w domu o powierzchni prawie czterystu metrów kwadratowych na działce o wielkości trzech czwartych akra.

– Trzeba zorganizować partyjkę paintballu w ogródku – powiedziałem. – Mógłbym zaprosić stado.

– Eskalacja konfliktu nie jest rozwiązaniem – odparł Kyle, ale z uśmiechem. Miał już okazję widzieć nasze rozgrywki paintballowe. – Miasto jest teraz po naszej stronie. Dobrze by było, żeby tak zostało. – Od kiedy pan Francis się wprowadził, ludzie w urzędzie miasta, policji i urzędzie nadzoru budowlanego zaczęli nas rozpoznawać po nazwiskach.

– Wiem – odparłem zrzędliwie, otwierając kluczem drzwi wejściowe. – Dopóki zachowujemy się jak dorośli, nic nam nie może zrobić.

Kyle wszedł za mną do holu. Nigdy wcześniej nie mieszkałem w domu, który byłby na tyle duży, aby mieć hol.

– Mógłbym się przeprowadzić – powiedział z niechęcią.

– Ee, nie. – Poczochrałem mu z czułością włosy. Kyle kochał swój dom. – Tęskniłbyś za Dickiem i Jane.

Były to imiona rzeźb przedstawiających nagich ludzi naturalnych rozmiarów, które stały w holu. Kobieta była obecnie ubrana w czepek pastereczki, który Kyle gdzieś

wynalazł, i zielone sari z jedwabiu po jego babci. Dick wciąż miał na sobie zrobioną na drutach zimową czapkę z długim ogonem i pompon przywiązany do wacka, bo Kyle nie znalazł jeszcze niczego innego, co by go bardziej śmieszyło.

– Moglibyśmy przeprowadzić się z powrotem do twojego mieszkania.

To mieszkanie stanowiło kwestię sporną. Według Kyle'a wciąż je trzymałem, bo nie wierzyłem w to, że on naprawdę w pełni pojmuję, iż sypia z wilkołakiem. Według niego jestem głupi, bo on przecież jest mój, jeśli już nigdy go nie okłamię, na temat wilka czy jakikolwiek inny. Kyle był inteligentny. Miał rację co do powodu, dla którego nie wynająłem nikomu mieszkania – ale nie byłem pewien, czy też co do reszty. Nie zrezygnowałem więc na razie z lokum.

Ta propozycja oznaczała, że pan Francis znalazł mu już za skórę. Jeśli tak było, może nadszedł czas na pożegnanie się z uprzejmościami.

Zadzwoiła moja komórka. Wyciągnąłem ją z kieszeni i zerknąłem na ekran. Nie znałem tego numeru, ale to mnie już nie zaskakiwało – zaczynałem dostawać zlecenia od ludzi niemających kontaktu z kancelarią.

– Tu Warren – powiedziałem.

– Mówi Nadia – odezwała się siostrzenica czarownicy. – Słuchaj, ciotka Elizawieta chce, żebym porozmawiała jutro z mężem tej nieżyjącej kobiety. Mogę to zrobić, ale pomyślałam, że byłoby dobrze, gdybyś

poszedł ze mną. Potrafisz wyczuć, kiedy ktoś kłamie, prawda?

– Tak – potwierdziłem. – Ale czy to, że bawisz się w przesłuchania, nie zwróci uwagi nieodpowiednich ludzi? – Na przykład policji. Myślałem, że Nadia ma zamiar odstawić tylko trochę magicznej medycyny sądowej i zostawić zadawanie pytań mnie.

– To jedna z rzeczy, w których jestem dobra – odparła Nadia. – Ludzie nie pamiętają, że o cokolwiek ich pytałam, jeśli tego nie chcę. Jeśli nikt mu o tym nie przypomni, w końcu wyleci mu z głowy, że w ogóle odwiedziłam jego dom.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę, nie do końca zadowolony z tego, co powiedziała.

– Na ciebie nie byłabym w stanie wpłynąć – zapewniła pospiesznie. – Ani na nikogo, kto jest na to wyczulony. To rzadka umiejętność, właśnie dzięki niej ciotka Elizawieta wybrała mnie na jedną ze swoich uczennic.

– Przyszło mi do głowy, że i ja chcę przepytąć kilka osób. Co powiesz na to, żebym dołączył do ciebie, a potem zabrał cię ze sobą? Możemy przeprowadzić wspólne śledztwo.

– Wspólne śledztwo – powtórzyła. – Brzmi dobrze.

– Przyjadę po ciebie – powiedziałem. – Jeśli zostawię mojego pick-upa pod domem na jeszcze jeden dzień, pewnie go odholują albo ktoś przedziurawi mi wszystkie opony.

Nadia się zaśmiała, bo myślała, że żartuję, a potem umówiliśmy się na następny ranek.

*

Mieszkała w domu „F” w całym morzu domów nazwanych kolejnymi literami alfabetu w Richland. Rząd wyświadczył Richland przysługę, budując pod koniec drugiej wojny światowej te identyczne domki: dzięki temu wyglądało inaczej niż wszystkie inne zamożne miasta, które widziałem. Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby ktoś nieznający Tri-Cities uznał je za jedno z biedniejszych miast, a nie zapewne najbogatsze, przynajmniej jeśli chodzi o ceny domów. Domy „F” były niewielkie, dwupiętrowe, w stylu federalnym, i niestety przypominały nieco domki z gry Monopol.

Byłem ciekaw, czy Nadia wybrała ten dom dlatego, że się nie wyróżniał, tak jak ona. Wjechałem na wąski, wyboisty podjazd, a ona wybiegła na zewnątrz.

– Ciotka Elizawieta nie jest zadowolona – poinformowała mnie, nieco zdyszana, zapinając pasy. – Mam nadzieję, że dzisiaj czegoś się dowiemy. – To drugie zdanie było kłamstwem, co mnie trochę zbiło z tropu.

– O co chodzi twojej ciotce? – zapytałem, wyjeżdżając z powrotem na ulicę.

– Nie udało jej się znaleźć żadnej magicznej sygnatury na ciele ani ubraniach, w które ubrane było zombi, poza jej własną i moją. To znaczy, że gdzieś tutaj jest czarownica albo kapłan na tyle sprawny, że potrafi

ukryć się przed ciotką.

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu: pewnie niezbyt łatwo było pozostawać na każde zawołanie Elizawieety. Może od czasu do czasu fajnie zobaczyć, że czarownica jest w kropce. To by wyjaśniało wcześniejsze kłamstwo.

– Gdzie spotykamy się z mężem Toni McFetters? – zapytałem.

– U niego w domu. Ma urlop okolicznościowy. – Podała mi adres. – Dzieci są u jego teściów. Powiedział mi to, kiedy zadzwoniłam do niego wczoraj z wiadomością, że badamy sprawę zniknięcia jego żony. Jeśli wszystko mi się uda, nasze pytania powinny się wtopić w śledztwo policji. Sytuację ułatwi to, że będziemy rozmawiać tylko z nim.

Dom męża Toni znajdował się zaledwie kilka przecznic dalej, w nowszej dzielnicy – nie było tam widać domów nazwanych od liter alfabetu. Był spory, nie tak luksusowy jak posiadłość Kyle’a, ale też nie tani.

Zatrzymałem się przed nim i wyłączyłem silnik.

– To pewnie nie potrwa długo. Musimy się tylko dowiedzieć, czy ją zabił albo wie, kto to zrobił. I czy zauważył coś podejrzanego.

– Może ty z nim porozmawiasz? – zaproponowała. – Lepiej mi pójdzie, jeśli będę mogła się zająć tylko magią.

Nie podobało mi się to całe mieszanie komuś w głowie, tak samo jak nie podobało mi się okłamywanie Kyle’a, zanim się dowiedział, że jestem wilkołakiem. Ale

dawno już straciłem niewinność.

Mężczyzna, który nas wpuścił, pachniał rozpaczą. Był równie atrakcyjny jak jego żona – a przynajmniej byłby po jeszcze kilku godzinach snu – ale nie widać było po nim próżności, którą często przejawiają przystojni mężczyźni, na przykład tacy jak Kyle. Był zwyczajnie ostrzyżony, ubrany w rzeczy ze sklepu, które średnio na niego pasowały.

Jeszcze zanim zadałem pierwsze pytanie, wiedziałem, że nie ma nic wspólnego ze zniknięciem żony.

– Panie McFeters, dziękujemy, że zgodził się pan na rozmowę – powiedziałem. Choć nas zapraszał, żebyśmy weszli i usiedli, odmówiłem. – To nie potrwa długo.

– Proszę mi mówić Marc. Czy ktoś się czegoś dowiedział?

– Nie. – To było kłamstwo, ale w dobrej wierze. – Czy w ciągu poprzednich kilku tygodni, przed zniknięciem żony, zdarzyło się coś, co zwróciło pana uwagę? Nieznajomi w okolicy, ktoś, kogo pana żona zauważyła podczas joggingu?

Potał czoło, jakby to mogło odświeżyć mu pamięć.

– Nie – odparł zagubionym tonem. – Nie. Nic. Zazwyczaj biegam z nią, ale tego ranka wstałem za późno. Wcześniej... Poza tym ona idzie do pracy godzinę później. Mówi, że nie potrafi myśleć bez porannego joggingu.

– Co miała na sobie? – zapytałem i wysłuchałem szczegółowego opisu świadczącego o tym, że ten, kto

twierdzi, że faceci hetero nie zwracają uwagi na ciuchy, się myli.

– Różowy dres, który kupiliśmy w Vegas... jej ulubiony, choć na prawym kolanie była dziura po tym, jak się przewróciła kilka tygodni temu. Buty Nike w rozmiarze trzydzieści dziewięć, srebrne z fioletowym wykończeniem. Woli swoje zielone trampki, ale nie pasują do różu. Miała na sobie kolczyki z topazami, które dostała ode mnie na naszą rocznicę, i obrączkę... białe złoto z ćwierćkaratowym szafirem z Yogo, który wykopałem podczas rodzinnych wakacji, kiedy miałem osiemnaście lat. – Kiedy niezachęcany opisywał zwyczajową trasę ich porannej przebieżki, w jego głosie pobrzmiwał swego rodzaju desperacki zapach, jakby wierzył, że jeśli tylko uda mu się podać wystarczającą liczbę szczegółów, pomoże to w odnalezieniu jego żony.

W końcu umilkł i jego spojrzenie niemal przypadkiem skupiło się na Nadii. Zmarszczył brwi.

– Znam cię skądś, prawda? Mówiłaś, że jak się nazywasz?

– Nadia – odparła.

– Chodziłaś do ogólniaka w Richland? – Przesunął dłonią po włosach, próbując odnaleźć się w konwenansach.

– Tak jak połowa Richland – odparła łagodnym głosem. – To teraz nieważne, Marc.

– Czy miałeś coś wspólnego ze zniknięciem żony? – zapytałem najdelikatniej, jak potrafiłem, sprowadzając

rozmowę na ważne tematy. Nie miał. Ręczyłbym za to głową, ale dla Elizawiey chciałem zdobyć niezbite dowody.

– Nie. – Zamrugał, jakby ta myśl nawet nie przyszła mu do głowy. Nie był rozgniewany czy oburzony, tylko oszołomiony. – Nie. Kocham Toni. Muszę ją odnaleźć, ale nie wiem, gdzie szukać. – Oszołomiony i przerażony. – Gdzie mam szukać?

*

Zamknąłem drzwi i czekałem, podczas gdy Nadia mruzczała coś pod nosem i upuściła na schody kilka ziół, które wyjęła z foliowej torebki.

– I co? – zapytała, sadowiając się obok mnie w samochodzie.

Odjechałem spod domu Toni McFeters, zanim odpowiedziałem. Wnętrznosci mi się skręcały, bo wiedziałem, że gdyby nie było mnie przy Kyle’u poprzedniego wieczoru, kiedy pojawiło się zombi, byłbym w bardzo podobnym stanie jak Marc McFeters.

– Musimy znaleźć winowajcę. Ten człowiek nie zasługuje na to, żeby męczyła go policja.

– Nie zabił jej – powiedziała, ale pytającym tonem.

Nie potrafiłem uwierzyć, że była tam wraz ze mną i nie dostrzegła, że Marc jest niewinny. Czarownice pewnie nie mają takiego nosa jak wilkołaki.

– Z całą pewnością nie.

– To dobrze – stwierdziła. – Faktycznie chodziliśmy

razem do szkoły. Był kujonem, ale naprawdę uroczym. – Przez moment wierciła się nerwowo, jakby było jej niewygodnie. – To co teraz? – Pytanie padło nieco za szybko. Może lubiła Marca McFettersa bardziej, niż była gotowa przyznać. Sprawiał wrażenie porządnego faceta.

– Porozmawiamy z kilkoma osobami, które bardzo nie przepadają za Kyle'em.

*

Chciałem pogadać z czterema osobami. Ludzi, którzy go znali, mogłoby zdziwić, że ta lista nie jest dłuższa: Kyle nie zaprzyjaźniał się z przeciwnikami z sali sądowej. Był jednak sprawiedliwy i szczery, co oznaczało, że większości prawników występujących przeciwko niemu szybko przechodził gniew.

Gdzieś po drodze uznałem, że twórcę zombi wynajęto, aby zabić Kyle'a. Intuicja zawsze jest ważna dla filmowych detektywów, ale dla wilkołaków ma jeszcze większe znaczenie. Są to głównie krążące bezładnie strzępki informacji, które układają się w najbardziej prawdopodobny scenariusz.

To oznaczało, że szukamy dwóch osób: zatrudniającej i zatrudnianej. Motywu. Moja licencja detektywa może i jest nowa, ale ja sam jestem stary. Przetrwałem tak długo, bo rozumiem, co ludźmi kieruje, dlaczego działają i dlaczego nie. Starych wilkołaków nie ma zbyt wiele. Większość tych, które przeżyły Przemianę, ginęła wkrótce potem w walkach ze swoimi

pobratymcami, ponieważ wilkołaki nie rozumieją mowy ciała. A poza tym nie myślą. Ufają swoim zębom i pazurom – choć inne wilki też je mają. Ja się przyglądałem i uczyłem.

Łatwiej było znaleźć motyw niż wynajętego zabójcę. Miałem zamiar najpierw odszukać człowieka, który chciał śmierci Kyle'a, a potem mordercę. Dlatego właśnie moja lista nie była dłuższa. Tego dnia czekały nas rozmowy z ludźmi, którzy nienawidzą Kyle'a i których stać na wynajęcie zabójcy nawet po tym, jak Kyle rozprawił się z nimi w sądzie. Gdyby nie udało mi się znaleźć potencjalnego sprawcy, planowałem nazajutrz zostawić Nadię w domu, zwołać stado i zorganizować polowanie na tego, kto nienawidzi mnie tak bardzo, że chciał zabić mężczyznę, którego kocham.

Zanim następnego ranka pojechałem po Nadię, zadzwoniłem do biura Seana Nyelunda i umówiłem się z nim na spotkanie, podając nazwisko Alfego mojego stada, Adama Hauptmana.

Nyelund pracował w jednym z nowszych biurów w Kennewick, zarabiając pieniądze na cudzych oszczędnościach. Był w tym dobry. Bardzo dobry.

Gorzej szło mu dbanie o swoich. Miał mocno rozwinięty instynkt posiadania, ale nie towarzyszyła mu konieczna troska o ich dobro. Jego żona wymknęła się z domu w samej bieliźnie i ukrywała w garażu sąsiada przez trzy godziny, zanim ją odnaleziono. Tamtego dnia opuściła dom po raz pierwszy od dwóch lat. Teraz

mieszkała w Tennessee ze swoją rodziną, sporą częścią majątku Nyelunda i nowym mężem, który świetnie sobie radził z bronią.

Nyelund nienawidził Kyle'a i z pewnością miał fundusze na wynajęcie mordercy. Pozostawało jedynie pytanie, czy to zrobił.

Recepcjonistka Seana była ślicznotką świeżo po liceum. Miała pogodny uśmiech pasujący do pogodnego głosu, który słyszałem przez telefon. W jej oczach było przerażenie.

– Chwileczkę, zapowiem pana – powiedziała. Podniosła słuchawkę. – Pan Hauptman do pana.

Człowiek nie dosłyszałby cichego: „Wpuść go”.

Kiedy weszliśmy do jego biura, siedział do nas plecami i pisał coś szybko na komputerze. Ta demonstracja zadziałała na jego niekorzyść, ponieważ zamknąłem drzwi i użyłem nieco stadnej magii, aby całkowicie wytłumić gabinet. My, wilkołaki, nie dysponujemy wielką magią, poza samymi zmianami postaci, ale to, co potrafimy, przydaje się do utrzymywania naszych spraw w tajemnicy.

Odwrócił się.

– Panie Haupt... – Wtedy dostrzegł, z kim ma do czynienia. Zesztywniał lekko z ręką schowaną pod biurkiem. Potem zauważył Nadię. Nagle obie jego dłonie pojawiły się na blacie. – Ach, rozumiem. Panie Smith, używa pan teraz pseudonimów? Nie wiedziałem, że ma pan dość pieniędzy, aby inwestować. A może pani?

Nyelund miał wygląd nieco pulchnego gościa o miękkim ciele i miękkim sercu, który powinien ratować szczeniaki na ulicach. Miał dołeczki w policzkach i dobre maniery. Zdradzały go oczy: miały zimny, wyrachowany wyraz. Gdyby nie był taki bystry, już siedziałby w więzieniu.

– Uznałem, że to oszczędzi mi trochę czasu – powiedziałem. – Zlecił pan zamordowanie Kyle’a Brooksa?

– Czy zrobiłbym coś takiego? – zapytał, rozkładając ręce. Ależ dobry chłopak z tego Seana Nyelunda. – Nie mam pojęcia, skąd przyszło to panu do głowy.

Przepytywałem go przez jakieś dwadzieścia minut i nie udało mi się od niego wyciągnąć żadnej szczerej odpowiedzi. Mogło to znaczyć, że to zrobił. Mogło to znaczyć, że miał ochotę to zrobić – albo że cholerną radochę sprawiało mu frustrowanie mnie. Trudno orzec.

W końcu powiedział:

– Niech pan już idzie, panie Smith. Nudzi mnie pan. Niech pan wróci, jak będzie pan miał pieniądze do zainwestowania.

– Proszę na siebie uważać – odparłem, skłaniając głowę. – Szkoda by było, żeby coś się panu stało.

Mruknął coś i odwrócił się z powrotem do komputera.

Nadia odprawiła swoją magię, korzystając z chwili, kiedy otwierałem drzwi, po czym spacerowym krokiem minęliśmy recepcjonistkę.

– Wycelował w ciebie pistolet – powiedziała Nadia, zapinając pas.

– Widziałem – odparłem. – Uratowałaś mnie, złotko.

Zaśmiała się.

– Albo zapewniłam go, że nie masz zamiaru zaatakować.

– Możliwe – przyznałem. Pomyślałem jednak, że Nyelund z przyjemnością by mnie zastrzelił, gdyby mogło mu to ująć na sucho. Trzeba będzie o tym pamiętać.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytała. – Nie potrafiłam go rozpracować.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji co do niego – powiedziałem. – Tak uparcie nie odpowiada wprost na pytania, że równie dobrze mógłby być wróżką.

– Wie, że jesteś wilkołakiem? – spytała. – I że potrafisz wyczuć kłamstwa węchem?

Pokręciłem głową, dość pewny tej odpowiedzi. Społeczeństwo może i zdawało sobie sprawę z istnienia wilkołaków, ale ja się nie obnosiłem ze swoją tożsamością. Kyle był właściwie jedynym człowiekiem, który wiedział, kim jestem. Podejrzenia Nyelunda mogło wzbudzić to, że użyłem nazwiska Adama: stał się gwiazdą, kiedy rozniosła się wiadomość, że to on jest Alfą miejscowego stada. Jednak na miejscu Nyelunda gotów byłbym się założyć, że nazwisko Adama padło właśnie z powodu jego sławy, a nie dlatego, że był przywódcą wilkołaków. A jeśli mimo wszystko uznał, że jestem wilkołakiem, niczego nie był w stanie udowodnić, a

mogło się też okazać, że Kyle byłby dzięki temu odrobinę bezpieczniejszy.

O ile Nyelund był inteligentny i subtelny, o tyle Phillip Dean, następny człowiek na mojej liście, stanowił zupełnie inną parę kaloszy. Po tym, jak Kyle odprawił swoje czary w sądzie, Dean poszedł siedzieć – ale tylko dlatego, że był naprawdę głupi i sam wsadził się za kratki, grożąc sędziemu. Był paskudnym brutalem, który kilka lat wcześniej dostał spadek po ojcu. Pieniędzy nie było dość, żeby wynająć płatnego zabójcę, ale Dean miał odpowiednie kontakty i prędzej czy później na pewno miałby na koncie morderstwo. Prawie mu się udało z byłą żoną i nie miałby absolutnie nic przeciwko temu, żeby jego pierwszą ofiarą był Kyle Brooks.

Jak się dowiedziałem po kilku rozmowach telefonicznych, właśnie przebywał na wakacjach na Florydzie – w Disney World.

– To nie znaczy, że jest niewinny – powiedziałem do Nadii. – Ale to i tak była trochę naciągana teoria. Niezbyt dobrze mu idzie planowanie, choć zapędzony w kozi róg potrafi wykazać się sprytem.

– To gdzie teraz?

– Do pani Makenzie Covington.

– Kobiety?

Uśmiechnąłem się.

– Kyle najczęściej reprezentuje kobiety, ale przyjmuje też sprawy od mężczyzn. Pani Covington to niezłe ziółko: próbowała udawać maltretowaną żonę, żeby

oskubać byłego męża. Nie była zadowolona, kiedy Kyle udowodnił, że sama nabiła sobie siniaki. Byłemu mężowi też. Straciła prawo widywania dzieci. I tak niezbyt ją obchodziły, ale to ją upokorzyło przed przyjaciółkami. Gdyby to było ze dwa lata temu, dręczyłaby już trzeciego albo czwartego męża i nie trafiłaby na moją listę. Ale sześć tygodni po rozwodzie jej gniew wciąż jest dość mocno skupiony na Kyle'u.

– Dlaczego nie na byłym mężu?

Uśmiechnąłem się trochę ponuro.

– Kiedy już z nim skończyła, potrafił powiedzieć tylko: „Tak, kochanie” i wbić wzrok w ziemię. To Kyle ją poniżył i stanął w obronie jej ofiary.

Makenzie Covington pracowała w domu – było to mieszkanie na południu Richland. Jej twarz nie była piękna, ale zapadała w pamięć. Ciemne włosy i oczy, wyraziste rysy. Wyglądała jak pełna pasji kobieta, która żyje pełnią życia. Co do pewnego stopnia było prawdą. Kiedy otworzyła drzwi, nie rozpoznała mnie.

Przedstawiłem siebie i Nadię.

– Pierwszy raz spotykam prywatnego detektywa – zagruchała. – Może państwo wejdą?

Szybko doszedłem do wniosku, że to nie jej sprawa. Gdyby zleciła morderstwo, nie wpuściłaby do domu pary prywatnych detektywów i nie zrobiłaby się cała napalona. Czasami bycie wilkołakiem pozwala dowiedzieć się o ludziach interesujących rzeczy.

No dobra.

– Nie zleciła pani zabicia Kyle’a Brooksa, prawda?

– Nie – odpowiedziała natychmiast i szczerze. – Ale jeśli znajdzie pan kogoś, kto to planuje, proszę przekazać, że zapłacę połowę. – To też była prawda.

– Zrobi się – obiecałem. Potem zajęło mi jakieś dwadzieścia minut wydostanie nas z jej mieszkania. Pod koniec nawet Nadia zdążyła się połapać, czego chce od nas pani Covington.

– Naprawdę się cieszę, że zabrałem cię ze sobą na tę rozmowę – powiedziałem do Nadii.

Zachichotała. Tym razem nawet nie zawracała sobie głowy czarowaniem. Nie było takiej potrzeby.

– Zdaje się, że nie pomogłam za bardzo. Zaciągnęłyby nas oboje do łóżka, prawda?

– Ciebie, mnie i bezpańskiego psa sprzed domu, nie inaczej.

Włączyłem się do ruchu. Możliwe, że jechałem nieco szybciej niż zazwyczaj.

– Nigdy wcześniej nie widziałam cię zakłopotanego – oznajmiła. – Zazwyczaj tylko zaczynasz mówić wolniej i bardziej jak kowboj.

– Teraz wiem, jak może się czuć sześćdziesięcioletnia żona, kiedy po czterdziestu latach małżeństwa jej mąż wraca od lekarza z opakowaniem niebieskich pigułek. – Byłem tak naprawdę mniej zdenerwowany, ale śmiech Nadii sprawił mi przyjemność. Powinna częściej się śmiać.

*

Harper Sullivan był emerytowanym lekarzem.

Rozwód to paskudna sprawa, a w jego trakcie często wychodzą na jaw tajemnice. Tajemnicą zacnego lekarza było to, że lubił rozpoznawać u pacjentów różne zagrażające życiu choroby, na które wcale nie cierpieli. Oczywiście to oznaczało, że musieli często przyjeżdżać na wizyty. W końcu (szczególnie wtedy, kiedy szykowali się do zasięgnięcia porady innego specjalisty) cudem zdrowieli, a całe uznanie przypadało doktorowi Sullivanowi.

Kyle szantażem zdobył niezłą ugodę dla byłej żony lekarza (która sama była nieszczerze cnotliwa, skoro przez dwadzieścia lat milczała w kwestii tego, co robił) i zmusił go do przejścia na emeryturę. Wyjaśnił mi, że nie było prawdziwych dowodów, tylko pogłoski – to by wystarczyło, żeby zrujnować reputację Sullivana i ściągnąć na niego Amerykańskie Towarzystwo Medyczne, ale pewnie nie straciłby prawa do wykonywania zawodu. Szantaż był lepszy: dzięki niemu nie ucierpią kolejni ludzie. Jeśli chodzi o pilnowanie, żeby sprawiedliwości stało się zadość, Kyle potrafi być równie pragmatyczny jak wilkołak.

Kiedy podjechaliśmy pod jego dom, doktor Sullivan pielł rabatkę azalii. Nie podniósł wzroku, dopóki nie odchrząknąłem. Zawsze mnie irytowało, że wygląda jak Marcus Welby, lekarz w tym starym serialu telewizyjnym.

– Panie doktorze, nazywam się Warren Smith –

powiedziałem. – Jestem prywatnym detektywem. To moja współpracownica, Nadia Popov. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

– Oczywiście – odparł, wstając i ściągając rękawice ogrodowe. – Robi się gorąco. Może państwo wejdą i napiją się mrożonej herbaty?

Spotkaliśmy się kilka razy i było mało prawdopodobne, że mnie nie rozpoznał. Nie dał jednak nic po sobie poznać, nawet kiedy się przedstawiłem.

Zaprowadził nas do tylnych drzwi dużego domu z cegły, wyjaśniając, że nie chce nawnosić do środka ziemi. Poprosił, żebyśmy poczekali w salonie, sporym pokoju z drewnianą podłogą, autentycznymi perskimi dywanami i antykami, z których część była starsza nawet ode mnie. Jednak tym, co przyciągało uwagę najbardziej, były zajmujące całą ścianę okna wychodzące na rzekę Kolumbię.

Oboje przyglądaliśmy się tej panoramie, kiedy mnie postrzelił.

Kula nie była ze srebra, a ołowiane pociski nie są w stanie mnie zabić – ale bolało. Okręciłem się błyskawicznie i warknąłem, przyciskając rękę do ramienia. Nie był zbyt dobrym strzelcem, skoro nie trafił w serce nawet z tak niewielkiej odległości.

Już po raz drugi tego dnia ktoś wycelował we mnie pistolet – po Nyelundzie spodziewałem się czegoś w tym stylu, choć miałem nadzieję, że wyznaczenie spotkania w jego biurze wykluczy przemoc. Lekarza uważałem za

kogoś, kto wolałby zlecić brudną robotę komuś innemu. Przynajmniej żaden z niego snajper.

– Ups – mruknął i wycelował dokładniej.

– Stój! – krzyknęła Nadia.

Dominujący wilkołak potrafi narzucić swoją wolę słabszemu. Coś podobnego zrobiłem wczoraj z Kyle'em, kiedy kazałem mu przestać się wyrwać zombi. Ale to było coś innego, ponieważ zmarł nie tylko doktor, ale też ja. I nie chodziło tu o utratę chęci sprzeciwiania się czy wahanie, które potrafi wzbudzić we mnie wilk Alfa: po prostu nie byłem w stanie zmusić mojego ciała do ruchu.

Pieprzyć to.

Nabrałem głęboko tchu i przywołałem wilka, który strząsnął z siebie magię jak krople wody, które chciały wsiąknąć tam, gdzie nie powinny. W znacznym stopniu naprawił też szkody, które wyrządziła kula. Zrobiłem krok do przodu głównie po to, żeby udowodnić, że potrafię.

Nadia nawet nie zwróciła na mnie uwagi, była za bardzo zajęta Sullivanem.

– Nikogo nie zabijesz – oznajmiła swoim głosem czarownicy. – Zostawisz Kyle'a Brooksa w spokoju. – Naprawdę się ucieszyłem, że wyrwałem się spod jej władzy, zanim to powiedziała. – Nie będziesz tego pamiętał. Poczujesz po prostu, że sprawa, o której rozmawialiśmy, jest już załatwiona. Wszystko w porządku.

– W porządku – wymamrotał lekarz. Mój wilk dostrzegł, że coś się w nim zepsuło, coś, co było całe i

zdrowe, kiedy tu przyjechaliśmy. W wypadku losia to był znak, że już po nim – następna śnieżycą czy drapieźnik i zwierzę nie miałyby siły walczyć o życie.

Nadia się odwróciła. Wyglądała na nieco zaskoczona, że stoję tak blisko.

– Jak twoje ramię?

– Goi się – powiedziałem. – Nic mi nie jest.

Czasami takie rany goją się długo, a niekiedy natychmiast. Tym razem tak właśnie było. Rozejrzałem się, ale krwi było zaskakująco niewiele, większość wsiąknęła w ubranie.

Kula przeszła na wylot i trafiła w okno, zostawiając po sobie pajęczynę pęknięć. Wyglądało na to, że lekarz o nas zapomniał: odszedł, wciąż trzymając pistolet, powłócząc nogami i mrużąc pod nosem:

– Wszystko w porządku. Nic się nie stało.

Nadia przyniosła z kuchni wilgotną szmatkę i dokładnie starła krew z parkietu. Potem przyłożyła zaplamiony materiał do stłuczonej szyby.

Wilk wyczuł jej magię i się cofnął, nie ze strachu, tylko z ostrożności. Kiedy Nadia opuściła szmatkę, była czysta, a szyba cała.

– Kto nie marnuje, temu nie brakuje – powiedziała. – Myślałam, że będę musiała zrobić użytek z własnej magii, żeby to naprawić, ale twoja krew ma sporą moc.

Wziąłem ją za ramię.

– Chodźmy, zanim się otrząśnie – powiedziałem, choć wątpiłem, że to zrobi. Sugestie, które mu podsunęła,

mogły zaniknąć, ale ona złamała jego wolę, a mój instynkt podpowiadał mi, że na stałe.

Taki jest problem z czarownicami: tak naprawdę nie dbają o nikogo poza sobą. Ich moc płynie z bólu, krwi, ofiar – jeśli tylko to możliwe – innych ludzi. Gdyby wzdragały się przed szkodzeniem innym, musiałyby pożegnać się z mocą. Inne czarownice by to wykorzystały i skradły im resztki mocy. Dobrych czarownic było niewiele i miały skłonności do psychotycznej paranoi. Elizawieta wraz z rodziną nie wykraczała poza skraj prawdziwej czarnej magii, ale stała na nim i spoglądała w otchłań szeroko otwartymi oczami.

Wilk potrafi szanować takiego drapieżnika, ale ani on, ani ja nie czuliśmy się z tym dobrze. To, co właśnie zrobiła lekarzowi, było złe, łaskawiej byłoby go zabić.

– Przykro mi – powiedziała cicho, kiedy przejeżdżałem na drugi brzeg rzeki, do jej części Richland

– Dlaczego? – zapytałem. – Dlatego, że uratowałaś mi życie?

– Nie podobało ci się, że odebrałam mu wolę. Przyznaję, że mogłam zrobić to ostrożniej. Ale właśnie cię postrzelił, a ja zrobiłam z tego użytek, zrobiłam użytek z twojego bólu. Dał mi trochę więcej mocy, niż przywykłam. Nic mu nie będzie.

Skoro chciała, żebym w to uwierzył, to dlaczego miałbym się z nią spierać? Może się myliłem, ale raczej nie.

– To co, skończone? – zapytała łagodnie. –

Dowiedziałeś się od doktora Sullivana tego, czego chciałeś? Sprawa rozwiązana?

Otworzyłem usta, zastanowiłem się jeszcze przez chwilę, a potem powiedziałem:

– Tak, chyba rozwiązana.

Nie rozmawialiśmy wiele więcej, ale kiedy zatrzymałem się na podjeździe jej domu i wyskoczyła z pick-upa, dodała, nie patrząc na mnie:

– Może moglibyśmy się jeszcze kiedyś zobaczyć? Robię świetny placek z wiśniami.

Uśmiechnąłem się.

– Może tak.

Rozluźniła się, posłała mi rzadki u siebie uśmiech i całusa, po czym pobiegła do domu. Wyglądała jak szesnastolatka.

„Wszystko będzie dobrze”. Ścisnąłem mocniej kierownicę.

*

Kyle i ja zjedliśmy kolację w meksykańskiej restauracji naprzeciwko kancelarii. Muzyka była tam tak głośna, że żaden człowiek nie byłby w stanie podsłuchać prywatnej rozmowy – między innymi dlatego lubiłem tam chodzić.

– Strasznie jesteś milczący – stwierdził Kyle. – Dowiedziałeś się czegoś?

Spojrzałem na niego. Wyglądał na zmęczonego.

– Tak.

– Powiesz mi?

Wbiłem wzrok w talerz.

– Tak. Ale nie dzisiaj. Muszę jeszcze kilka rzeczy sprawdzić... zrobić kilka rzeczy.

– Nielegalnych?

Rzuciłem mu półuśmiech.

– Akurat ci o tym powiem przed faktem.

– Po prostu zrobisz ze mnie współwinnego po fakcie – mruknął niechętnie.

– Muszę powymierzać trochę sprawiedliwości – powiedziałem.

Rozwagał to przez chwilę, jedząc tortillę z rybą.

– Toni McFeters zasługuje na sprawiedliwość – oznajmił. – Jesteś pewien, że nie możesz tego zrobić legalnie?

– Część planuję załatwić właściwymi kanałami. Ale nie ze wszystkim będzie to możliwe.

Kyle wierzył w system sądowy. Był to jeden z niewielu śladów optymizmu w jego cynicznym światopoglądzie. A jednak rozumiał też jego ograniczenia, jak dowodził szantaż, na który pozwolił sobie w wypadku Sullivana.

– No dobrze – stwierdził. – Ze sprawiedliwością mogę się pogodzić. Zobaczymy się wieczorem w domu?

– Wrócę późno. Może bardzo późno.

Spojrzał na mnie z powagą.

– Nie daj się złapać. Nie daj się skrzywdzić. Nie myśl, że nie zauważyłem, że masz na sobie inną koszulę

niż rano i nie jesz prawą ręką.

– Nie dam się – odparłem solennie. – Postaram się nie dać. Nigdy nie spróbowałbym czegoś takiego ukryć przed tobą.

Zaśmiał się, wstał, nachylił nad stołem i pocałował mnie, nie zważając na wlepione w nas spojrzenia. Tri-Cities to dość konwencjonalne miasto i rzadko widuje się tu mężczyzn całujących się w miejscach publicznych.

Dziewczyna przy sąsiednim stoliku zagwizdała i zapytała:

– Czy ja też mogę pocałować kowboja?

No dobra, może nie wszyscy są takimi konserwami.

– Przykro mi. – Kyle wyszczerzył do niej zawadiacko zęby. – To mój kowboj, musisz sobie znaleźć własnego.

Westchnęła.

– Już znalazłam. Ale on tak nie wygląda, jak się rumieni.

– To może ja powinienem go pocałować? – Kyle uniósł brew.

Dziewczyna się roześmiała. Jeśli ktoś miał zamiar dać wyraz oburzeniu z powodu naszego pocałunku, ona rozbroiła sytuację. W podziękowaniu cmoknąłem ją w policzek, kiedy wychodząc, mijałem stół, przy którym siedziała. Jej kowboj może się i nie rumienił, ale ona tak.

*

Z biura zadzwoniłem do Bena. Należy do mojego stada i jest specem od komputerów. Ja sobie z nimi radzę,

ale przy Benie wychodzę na ofertę. Zdobycie informacji, których potrzebowałem, zajęło mu prawie godzinę – mnie zajęłoby tydzień albo i więcej. Sam przez ten czas nie próżnowałem, podążając za wskazówkami, które podsunął mi instynkt, kserując pewne poufne dokumenty i dzwoniąc do kilku osób. Po tym, jak Ben wezwał mnie z powrotem, zadzwoniłem do George'a, po czym wyszedłem, żeby pobawić się trochę w prywatnego detektywa.

*

George był wilkołakiem, a także funkcjonariuszem policji w Pasco. To on był moim łącznikiem z „właściwymi kanałami”, które obiecałem Kyle'owi.

George spotkał się ze mną w lokalu z fast foodem kilka przecznic od domu Seana Nyelunda w zachodnim Pasco. Przyjechał własnym samochodem, ubrany po cywilnemu, ale mimo późnej pory był na służbie. Obaj zamówiliśmy coś do picia i usiedliśmy przy stoliku. Zbliżała się pora zamknięcia knajpy i nietrudno było znaleźć miejsce, gdzie nikt nie mógłby nas podsłuchać.

– Powiedziałeś, że masz coś na Nyelunda – powiedział podekscytowanym tonem. Poza tym, że był policjantem, uczestniczył też w miejscowym świątku sadomasochistów, którzy bardzo się starali nie zwracać na siebie uwagi. Podczas rozwodu Nyelund przyznał, że interesuje się sadomasochizmem, i ta ciekawostka trafiła do gazet. George i jego przyjaciele wcale nie byli tym

zachwyceni. Nyelund nie praktykował dominacji zgodnie z zasadami, był psychopatycznym sadystą, który uwielbiał krzywdzić ludzi.

– No, ma kolejną ofiarę – odparłem. Podałem George’owi nazwisko recepcjonistki Nyelunda. – Do tych dokumentów nie masz dostępu – dodałem, przekazując mu kopie, które zrobiłem w kancelarii. – To poufne papiery do wiadomości prawnika i lekarza. Dowiesz się z nich, czego szukać, ale obiecałem ofierze, że trafią wyłącznie do ciebie.

Czekałem, podczas gdy on przerzucał medyczną dokumentację pierwszej żony Nyelunda i transkrypcje z jej sesji z terapeutą. Dała je Kyle’owi, a potem zakazała mu je wykorzystywać. Zadzwoiłem do niej i opowiedziałem o młodej recepcjonistce Nyelunda. Przekonanie jej zajęło mi większość tej godziny, podczas której czekałem na wieści od Bena. Powiedziała mi, że mogę pokazać dokumenty George’owi, ale nikomu innemu. Gwizdnął przez zęby.

– Biedna mała – mruknął. Nie był jednak zaskoczony. Wiedział, czego dotyczyła sprawa, ale ponieważ była żona Nyelunda nie chciała wnieść oskarżenia, miał związane ręce. Szczegóły natomiast były dla niego nowością. – Ma bunkier, ukryty pokój – oznajmił tonem dzieciaka w sklepie ze słodyczami. Ukryte pokoje akurat dość łatwo wywąchać, jeśli posiada się wilczy węch. – I lubi filmować różne rzeczy. Nielegalne. Jakież to pomocne z jego strony.

– Przyda ci się to?

– Potrzebuję powodu, żeby poprosić o wystawienie nakazu rewizji.

Podąłem mu pendrive'a. Nyelundowi się wydawało, że jego psy stróżujące uniemożliwią robienie zdjęć przez okno. Psy nie szczekają na mnie, jeśli tego nie chcę, a Nyelund był zbyt zajęty, żeby zwrócić na mnie uwagę. Miał zapalone światło, więc nie musiałem nawet uruchamiać lampy błyskowej. Mój aparat usłużnie dodał godzinę i datę.

Postukałem palcem w pendrive'a.

– Znajdziesz tutaj zdjęcia, które wystarczą jako powód. Możesz nawet podać moje nazwisko jako autora fotografii. Jestem prywatnym detektywem i wysłano mnie, żebym zrobił zdjęcia żonie tego gościa, ale pomyliły mi się adresy. Kiedy zdałem sobie sprawę, na co patrzę, zadzwoniłem po ciebie.

Historia lubi się powtarzać. Było pewne, że Nyelund prędzej czy później wypróbuje swoje sztuczki na nowej ofierze. Kyle i ja mieliśmy na niego oko, ale przegapiliśmy recepcjonistkę. Ben powiedział, że zaczęła dla niego pracować jakieś dwa miesiące wcześniej, tuż po przeprowadzce do Tri-Cities.

– Ona ma siedemnaście lat – powiedziałem.

George wyszczerzył zęby, a w jego oczach była furia.

– Naprawdę? Patrz na niego z tą kamerą. Podał nam wszystko na tacy. Dzięki, Warren.

– Nie ma o czym mówić. – Uchyliłem nieistniejącego

kapelusza. Gdyby Nyelund nie był tak uczynny, uciekłbym się do zeznawania jako świadek, ale to było lepsze.

*

Kiedy dotarłem do mojego kolejnego celu, było bardzo późno. Przez niezamknięte na klucz tylne drzwi wszedłem do kuchni. Zatrzymałem się na chwilę, nasłuchując. W domu była tylko jedna osoba. Spała.

Wszedłem do salonu, w stronę schodów prowadzących na górę do sypialni. Zastanawiałem się nad tym przez całą noc i wciąż nie postanowiłem, co zrobię.

Instykt to jedno, udowodnienie tego, co wiedziałem, było czymś zupełnie innym.

Planowałem się porozglądać, a potem zorganizować małe przesłuchanie – ale wtedy obok domu przejechał samochód. Jego reflektory oświetliły blat komódki, na której stało kilka oprawionych zdjęć. Jedno z nich przykuło moją uwagę. Podeszedłem bliżej i je podniosłem.

Nie potrzebowałem światła, żeby je obejrzeć – jedną z dobrych stron mojej przypadłości jest zdolność widzenia w ciemnościach. Przez chwilę wlepiąłem wzrok w portret dwojga szczęśliwych ludzi, a potem odłożyłem go na miejsce.

Dostałem się do sypialni i zrobiłem to, co było konieczne. Nadia nawet się nie obudziła, kiedy skręciłem jej kark. Było to łatwiejsze niż skręcenie karku zombi, w które zamieniła swoją ofiarę.

Przeszukałem pokój i znalazłem kilka rzeczy. Z sypialni zadzwoniłem do ciotki Nadii.

– Późno dzwonisz, mój pączusku. Dowiedziałeś się czegoś, co mogłoby mi się przydać?

– Nie – powiedziałem. – To była Nadia.

– Mylisz się – oznajmiła Elizawieta. – Nadia nie potrafiłaby ożywić trupa. – Zawsze lekceważyła umiejętności siostrzenicy. Wszyscy je lekceważyli. Wszyscy poza mną.

– Dwa tygodnie temu na jedno z jej kont wpłynęło dziewięć tysięcy dolarów, a tydzień później drugie tyle. – Powyżej dziesięciu tysięcy agenci federalni zaczynają się interesować. – W zeszłym roku zarobiła sto dziesięć tysięcy dolarów. W papierach wpisała, że jest artystką. Wnioskując z jej wyciągów bankowych, w tym roku zarobiła cztero- albo pięciokrotnie więcej.

Elizawieta nie uznałaby tego, że Nadia pracowała jako zabójczyni, za problem.

– Przyjmowała zlecenia wyłącznie od ludzi – mówiłem. – Zachowała kopie swoich kontraktów. Wszyscy jej pracodawcy wiedzieli, że jest czarownicą. To dawało jej przewagę nad innymi. – To natomiast byłoby problemem. Śmiertelnicy mają skłonność do wpadania w panikę, kiedy się orientują, że żyją wśród nich potwory, i kończy się to czymś takim jak inkwizycja i polowania na czarownice, które kilka wieków wcześniej zmiotły większość europejskich rodów czarownic z powierzchni ziemi.

- Jesteś w jej domu.
 - Tak, pszepani.
 - Poczekaj tam na mnie. Nie rób nic pochopnie.
- Spojrzałem na twarz Nadii.
- Nie, pszepani. Nic nie robię pochopnie.
- *

Zaczekałem na Elizawietę w ciemnościach, siedząc w niewielkim fotelu na biegunach w pokoju Nadii.

Przez chwilę patrzyła na siostrzenicę, a potem odezwała się lodowatym tonem:

- Mówiłam ci, żebyś nie robił niczego pochopnie.
- Wtedy było już po wszystkim – poinformowałem ją.
- To była moja sprawa – powiedziała.
- Ludzie myślą, że pani wnuk nie żyje – odparłem.

Uważałem, że tak nie jest. Tak jak powiedziałem, czarownice czerpią moc z cierpienia, z ofiar, tak jak wtedy, kiedy Nadia naprawiła okno u doktora Sullivana dzięki mojej krwi. Nie miałem zamiaru dostarczać Elizawiecie kolejnej osoby do torturowania.

Wlepiała we mnie spojrzenie szarych oczu, ostre niczym u harpii. Czarownice też nie mają trudności z widzeniem w ciemnościach.

- Zaatakowała to, co moje – oświadczyłem. – Dlatego jej powstrzymanie stało się moją sprawą. Jestem wilkiem, pszepani. Nie kotem. Nie bawię się swoimi ofiarami.

Lubiłem Nadię, a przynajmniej osobę, za którą ją

uwazałem. Lepiej, że zabiłem ją szybko.

Wyciągnąłem rękę i podałem Elizawiecie pierścionek, który znalazłem w puzderku na biżuterię Nadii.

– To obrączka Toni McFeters. Kiedy zostawi pani ciało tam, gdzie znajdzie je policja, padnie mniej pytań, jeśli będzie ją miała na palcu. To, co miała na sobie, jest w papierowej torbie w szafie: różowy dres. Może powinna umrzeć śmiercią naturalną. Jestem pewien, że coś pani wymyśli.

Wzięła obrączkę i westchnęła. Kiedy się odezwała, jej głos był bardziej miękki, pozbawiony rosyjskiego akcentu. Brzmiał jak głos starej kobiety.

– Wiesz, bardzo trudno jest wychować czarownicę tak, żeby sama siebie nie zniszczyła. Sama miałam sześcioro rodzeństwa, a przeżyliśmy tylko dwie. Moja siostra nie miała za grosz talentu. Pokusy są tak ogromne.

Zerknęła na Nadię. Kiedy znów spojrzała na mnie, jej akcent powrócił.

– Kochała się w tobie, mój teksaski króliczku. W przeciwnym razie nie byłaby na tyle głupia, żeby zrobić coś takiego tuż pod moim nosem.

– Wiedziała, że jestem gejem – zaprotestowałem zaskoczony.

Roześmiała się.

– Zakazany owoc jest najśłodszy, Warren, kochanie. Wydawało się jej, że potrafiłaby to zmienić, gdybyś tylko zwrócił na nią uwagę. Pewnie nie mogła się oprzeć, kiedy

ktoś zapłacił jej za zabicie twojego chłopaka. – Uśmiechnęła się do mnie słodko, czekając, aż zrozumie, że to wszystko moja wina.

Uznałem, że Nadia była dla niej ważna, ale jeszcze ważniejsze było to, że odebrałem jej możliwość zdobycia większej mocy. Może zirytowało ją też to, że ja wcześniej dostrzegłem, co się dzieje prawie na jej oczach.

Nienawidzę czarownic.

– Nadia sama podjęła decyzję – powiedziałem nagle, wstając. – Muszę wracać do domu.

Kiedy wychodziłem z sypialni, Elizawieta oznajmiła:

– Powiedz swojemu wilkowi Alfa, że Nadia postanowiła poodkrywać świat. Że ma już bilety do Francji. Nikt się raczej nie przejmie, jeśli nie wróci.

To oznaczało, że Elizawieta ścierpi to, że zabiłem Nadię, i nie złamie umowy wiążącej ją ze stadem. Kiedy przed tym wszystkim zadzwoniłem do Adama, aby go uprzedzić o swoich planach, przewidział, że Elizawieta tak właśnie postąpi.

Nie zwolniłem kroku ani nie odpowiedziałem.

*

Wbrew temu, co powiedziałem czarownicy, musiałem zatrzymać się po drodze w jeszcze jednym miejscu, tym razem jako wilk. Transformacja zajęła mi dłuższą chwilę niż zazwyczaj. Zapewne dlatego, że niedawno mnie postrzelono. Kiedy jestem słaby fizycznie, zamiana ludzkiego ciała na wilcze jest trudniejsza.

Okno sypialni na drugim piętrze było otwarte. Odbiłem się od ziemi i wskoczyłem przez nie. Wylądowałem z głuchym uderzeniem, ale moja ofiara, tak jak Nadia, się nie obudziła. Ta jednak miała być zgodnie z moim planem przytomna. Narobiłem więc więcej hałasu, stukając pazurami po drewnianej podłodze.

To nie było trudne. Byłem wściekły.

– Co...?

Zapalił światło, ale ja zdążyłem już przejść do korytarza. Czekałem tuż za progiem. Jeszcze trochę hałasu.

– Przeklęte myszy – mruknął.

Wyszedł do korytarza, w którym na niego czekałem.

*

Wczołgałem się do łóżka wykończony, wyczerpany do cna.

– Warren? – Kyle przyciągnął mnie do siebie. – Kochanie, jesteś przemarznięty.

Gdyby zapytał, powiedziałbym mu.

– Uda ci się zasnąć?

Kiwnąłem głową.

– Dobrze, opowiesz mi rano.

Z wdzięcznością przyjąłem jego pocieszenie.

*

Obudził nas sygnał karetki.

Kyle poszedł sprawdzić, co się dzieje, gdy byłem pod

prysznicem. Wrócił, kiedy wycierałem się ręcznikiem.

– Pan Francis zmarł w nocy na atak serca. – Miał dziwną minę. Zapewne trudno mu było nie czuć pewnej ulgi, a jeszcze trudniej nie mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. – Więc skończyło się już znajdowanie karteczek. – Zmarszczył brwi, a potem przybrał minę prawnika. – Warren?

Jednym z problemów zdrowotnych, z powodu których nasz sąsiad przeszedł na emeryturę, było słabe serce. Znacznie łatwiej wyjaśnić zawał niż śmierć na skutek ataku dzikiego zwierzęcia. W końcu mamy dwudziesty pierwszy wiek, a nie dziewiętnasty.

– Poczuję większą satysfakcję, gdybym mógł zatopić w nim zęby – powiedziałem Kyle’owi, wycierając włosy ręcznikiem nieco mocniej, niż to było konieczne. – Najwyraźniej uznał, że nigdy nie uda mu się naprawdę cię zastraszyć. Wynajął Nadię, siostrzenicę Elizawiety, żeby cię zabiła.

– Pan Francis? – powtórzył z niedowierzaniem Kyle. Zsunąłem ręcznik z głowy i zobaczyłem, że stoi z rozdziawionymi ustami. – Pan Francis wynajął czarownicę, aby za jej pośrednictwem zamordowało mnie zombi? – Po chwili otrząsnął się z osłupienia. – Byłem pewien, że to sprawka Nyelunda.

– Covington powiedziała, że zapłaci połowę, jeśli jej powiemy, kto kazał cię zabić – ciągnąłem. – To Sullivan mnie postrzelił – Kyle zerknął na czerwony ślad na moim ramieniu, jedyną pozostałość po ranie – ale on już nie

stanowi dla nikogo zagrożenia.

Nadia złamała wolę Sullivan, ale skierowała to zaklęcie i we mnie. Miałem nie myśleć więcej o Kyle'u, miałem zaprzestać śledztwa, przekonany, że wszystko będzie dobrze. I miałem nie pamiętać magii, za której pomocą chciała do tego doprowadzić. Tak długo uczyła wszystkich, żeby nie doceniali jej możliwości, że sama je przeceniła.

Kyle znów zmarszczył czoło.

– Opowiedz.

Ubierając się, zrelacjonowałem mu całą sprawę z Nyelundem. Krążąc niespokojnie, opowiedziałem mu też o Nadii, podczas gdy on siedział na ławie w nogach łóżka i mi się przyglądał.

– Wymierzono sprawiedliwość, Warren – oznajmił, kiedy skończyłem. – Przykro mi, że to ty musiałeś to zrobić.

– A mnie nie – odparłem. Zrobiłem tylko to, co było konieczne, aby ochronić moich bliskich. Zrobiłbym to samo po raz drugi.

Uśmiechnął się lekko, jakby wiedział coś, czego ja nie wiedziałem.

– Skoro tak mówisz.

– Miała rację – powiedziałem.

– Kto?

– Nadia. Wspomniała, że czerwona sukienka może ułatwić odkrycie, kto zabił Toni McFeters.

Kyle chwycił mnie za rękę i pociągnął, abym usiadł

obok niego.

– Lubieś ją – powiedział.

– Miała w domu zdjęcie ze studniówki. – Stało na komódce. – Poszła na nią z mężem Toni. Ta czerwona sukienka, w którą była ubrana Toni? Nadia miała ją na sobie na studniówce, perły i buty też, jeśli się nie mylę. Zabrał ją na studniówkę i ledwo ją pamiętał. – Ale ona pamiętała jego. Spodziewałem się, że będę musiał przeszukać jej dom, żeby znaleźć rzeczy Toni, albo, gdyby to nie przyniosło rezultatu, obudzić Nadię i ją przepytąć. Ona jednak ułatwiła mi sprawę.

– Elizawieta miała coś wyłącznie przeciwko temu, że Nadia zdradziła ludziom, kim jest – powiedział Kyle. – Gdybyś jej tego nie powiedział, zostawiłaby Nadię w spokoju. Nie musiałeś jej zabijać. – Objął mnie ramieniem. – Powiedz mi, że teraz o tym nie myślisz. Że to cię nie trapi.

Nie. Nie do końca. Myślałem o tym, że zaatakowała Kyle'a i że pewna część mnie byłaby bardziej zadowolona, gdybym ją pożarł. Powstrzymanie się przed pożarciem starego sąsiada, który ponosił za to wszystko jeszcze większą odpowiedzialność niż Nadia, wymagało ode mnie niespodziewanie wielkiego wysiłku woli.

Wbiłem wzrok w Kyle'a. Czułem, że w moich oczach widać wilka, ale Kyle się nie wzdrygnął ani nie odwrócił spojrzenia.

– Działała na coraz większą skalę – powiedział. – Zabijała dla pieniędzy i zaczęło jej się to podobać. Zabiła

Toni, ponieważ wraz z mężem przebiegała codziennie przed jej domem i byli szczęśliwi. Próbowwała zabić mnie, bo i my jesteśmy szczęśliwi.

Myślał, że jestem bohaterem. Musiał wiedzieć, że tak nie jest.

– Wczoraj w nocy zabiłem dwoje ludzi. Z premedytacją. – Przełknąłem ślinę, ale wyjawilem mu coś jeszcze: – Sprawilo mi to przyjemność.

Pocałował mnie, a potem oznajmił:

– Jesteś wilkołakiem, drapieżnikiem. Potrafisz zabijać, ale nie robisz tego bezmyślnie. Tak jak ja. To, że moje ofiary wciąż się ruszają, kiedy z nimi kończę, niczego nie zmienia.

Spojrzałem na niego, a on uśmiechnął się do mnie krzywo.

– Jesteś już gotów pozbyć się tego mieszkania?

Zaśmiałem się i wtuliłem w niego.

– Może – odparłem. – Może i tak.

BRADLEY DENTON

Bradley Denton, laureat World Fantasy Award, John W. Campbell Memorial Award oraz Theodore Sturgeon Memorial Award, urodził się w 1958 roku, dorastał w Kansas i ukończył studia magisterskie z twórczego pisania na University of Kansas. Swoje pierwsze opowiadanie sprzedał w 1984, a kolejne wkrótce zaczęły się regularnie ukazywać w „The Magazine of Fantasy and Science Fiction”. Jego pierwsza powieść, *Wrack and Roll*, trafiła do księgarni w 1986 roku, a po niej pojawiły się *Buddy Holly Is Alive and Well on Ganymede* (*Buddy Holly żyje i pozdrawia z Ganimedesa*, przeł. Ewa Jurewicz, Zysk i S-ka, 2002), *Blackburn, Lunatics* (*Obłąkani*, przeł. Jacek Spólny, Zysk i S-ka, 2000) oraz *Laughin' Boy*. Najbardziej zasłynął dzięki serii opowiadań i powieści „Blackburn”, opowiadającej o ekscentrycznym seryjnym mordercy, ale John W. Campbell Memorial Award zdobył za powieść *Buddy Holly żyje i pozdrawia z Ganimedesa*, a Theodore Sturgeon Memorial Award za nowelę *Sergeant Chip*. Jego dwutomowy zbiór *A Conflagration Artist* oraz *The Calvin Coolidge Home for Dead Comedians* zdobył World Fantasy Award w kategorii „najlepszy zbiór”, a jego opowiadania opublikowano też w antologii *One Day Closer to Death: Eight Stabs at Immortality*. Mieszka w Austin w stanie Teksas.

W tym opowiadaniu zabiera nas na zamarznięte,

wysmagane wiatrem Aleuty, gdzie dołączamy do grupy żołnierzy – z których jednego może rozpoznać – strzegących jałowej skały podczas drugiej wojny światowej. Muszą oni stawić czoło złowrogiej magii i jeszcze bardziej złowrogim tajemnicom ludzkiego serca.

„ORZEŁ ADACKI”

I

Orła zamęczono na śmierć.

Tak to wyglądało. Był przybity do zbocza góry na wznak, miał rozciągnięte skrzydła i nogi, a głowę wykręconą na bok. Dziób miał szeroko otwarty, jakby krzyczał. Otwarte oko patrzyłoby prosto na mnie, gdyby nie to, że ktoś zatopił w nim długi, żelazny gwóźdź, przybijając białą głowę do ziemi. Kolejne gwoździe utrzymywały na miejscach skrzydła i nogi. Kilka oderwanych piór uniosło się na wietrze.

Ptak był wielki, skrzydła miały rozpiętość może trzech i pół metra. Widziałem już na Aleutach bieliki amerykańskie, ale nigdy z bliska. Ten był znacznie większy, niż mógłbym się spodziewać.

Biorąc pod uwagę to, co mu zrobiono, zastanawiałem się, czy nie rozciągnięto go do tych rozmiarów. Jego tułów rozplątano wzdłuż, a jelita wywleczono, leżały pod skrzydłami. Ścierwo jeszcze nie śmierdziało, ale już zaczęły się zlatywać muchy.

Gapilem się na bielika może trzydzieści sekund. Potem zjechałem z góry najszybciej, jak mogłem, i poszedłem powiedzieć pułkownikowi. Wcześniej rozkazał

mi meldować o każdej dziwnej rzeczy, a to była najdziwniejsza rzecz, którą widziałem na Adak.

I tak właśnie poznałem pięćdziesięcioletniego kaprała, na którego mówili „Tato”.

A poznanie Taty skończyło się tym, że zobaczyłem przyszłość.

Wierzcie mi: nie należy tego robić. A już na pewno nie wtedy, kiedy ta przyszłość nawet nie należy do was.

Bo wtedy nie ma cienia pieprzonej szansy, że uda się wam ją zmienić.

II

Znalazłem Tatę w baraku rekreacyjnym w kształcie połowy walca. Widywałem go już wcześniej, ale nigdy nie miałem powodu, żeby z nim rozmawiać, dopóki pułkownik nie wydał mi takiego rozkazu. Właśnie był pogrążony w grze w ping-ponga ze spoconym, półnagim przeciwnikiem, który był jakieś trzydzieści lat młodszy od niego. Mógł być w moim wieku.

Tato już go rozpracował. Ubrany był w zapięty pod szyję mundur połowy, ale na jego twarzy nie było choćby kropelki potu. Miał siwe włosy, brązowego wąsa, był wysoki, chudy jak patyk i nie wyglądał na atletę. Właściwie to wyglądał trochę słabowicie, jakby był chory.

Ale odbijał piłeczkę spokojnymi, lekceważącymi ruchami nadgarstka, a ona mknęła po stole jak pocisk.

Był wczesny środowy poranek i mieli barak właściwie do swojej dyspozycji; poza nimi były tam tylko trzy oferty grające w pokera na tyłach. Tato stał twarzą do drzwi, więc kiedy wszedłem, popatrzył prosto na mnie. Wymieniliśmy spojrzenia, a on musiał się domyślić, że przyszedłem po niego. Ale grał dalej.

Poczekalem, aż jego przeciwnik chybił tak, że zaklął i rzucił paletkę na ziemię. Wtedy podszedłem bliżej i powiedziałem:

– Przepraszam, kapralu?

Tato zmrużył oczy za okularami.

– Będziesz musiał wyrażać się jaśniej – powiedział. Jego głos brzmiał tak, jakby urodził się ze szklaneczką szkockiej w jednej ręce i papierosem w drugiej.

– Chodzi mu o ciebie, Tato – odparł spocony facet, podnosząc koszulę z krzesła stojącego przy zakrzywionej ścianie z blachy falistej. – Mnie nikt nie szuka.

Tato rzucił mu krótki uśmiech. Pod wąsem mignęły mi źle dopasowane sztuczne zęby. Przez nie Tato wyglądał na starszego, a już i tak wyglądał staro.

– Ciesz się chwilami, kiedy nikt cię nie szuka – powiedział. – I nie mów do mnie „Tato”. Może być „Szefie”.

– Ej, ale ja lubię „Tato” – odparł ten spocony. – Można by pomyśleć, że jesteś miłym, starszym panem.

– Nie jestem ani jednym, ani drugim – odparł Tato.

– W połowie masz rację. – Spocony zarzucił kurtkę od munduru polowego i mnie wyminął. – Idę na śniadanie. Do zobaczenia w kieracie.

Tato odłożył paletkę.

– Poczekaj. Pójdę z tobą.

Spocony zerknął na mnie, a potem znowu na Tatę.

– Raczej zobaczymy się później – stwierdził i wyszedł na szary poranek. Który nawet w czerwcu niezbyt się różnił od nieco ciemniejszej, czterogodzinnej nocy na Adak.

Tato odwrócił się ode mnie i zrobił krok w stronę trzech gości grających w pokera.

– Kapralu – powiedziałem.

Odwrócił się z powrotem w moją stronę i położył dłonie na stole do ping-ponga, patrząc na mnie jak sędzia ze swojej ławy. Już to kiedyś widziałem, więc nie zrobiło to na mnie wrażenia.

– Jesteś szeregowym – powiedział. To nie było pytanie.

– Tak jest, kapralu.

Zmarszczył czoło, a między jego brwiami pojawiło się ostre „V”.

– To powinieneś wiedzieć, że nie należy zwracać się do innych żołnierzy po randze, chyba że „sierżancie”. Wszyscy jesteśmy tutaj szeregowcami, którzy sikają do tej samej beczki, synu. Jeśli wiatr nie zwieje nam sików w twarz.

– To jak mam się do ciebie zwracać? – zapytałem.

Wciąż marszczył brwi.

– Dlaczego w ogóle miałbyś się do mnie jakoś zwracać?

Miałem wrażenie, że dźga mnie słowami, jakbym był zbirem z jego książek, a on – bitnym bohaterem. Ale wtedy miałem za sobą lekturę tylko kawałka jednej z tych książek, tej o posążku ptaka. Przeczytałem tylko dlatego, że nudziło mi się kiedyś po wieczornym żarciu, a książka w twardej okładce właśnie przypadkiem leżała na pryczy gościa z mojego baraku. Wtedy niezbyt się interesowałem książkami, więc średnio mnie obeszło, jak dobry jest Tato w dźganiu słowami.

– Muszę się jakoś zwracać – powiedziałem. – Przysłał mnie pułkownik, żebym załatwił z tobą jedną sprawę.

Grymas Taty się zmienił: nie wyrażał już irytacji, tylko obrzydzenie.

– Pułkownik? – powtórzył głosem pełnym pogardy. – Jeśli mówisz o tym, o kim myślę, to jest to oficer wywiadu, który nigdy w życiu niczego się nie wywiedziało. A poza tym wciąż nosi listek dębowy. Z tego, co słyszałem, ku swojemu rozgoryczeniu. A zatem zapewne chodzi ci o podpułkownika.

– Właśnie – powiedziałem. Nie znałem innego pułkownika. – Chce, żebyś się ze mną przejechał, i chce, żeby to było natychmiast. Jeśli nie jadłeś jeszcze śniadania, mam w dziupie kilka kanapek z mielonką. Wsunąłem je pod siedzenie, żeby kruki się do nich nie

dobrały.

Tato zabrał dłonie ze stołu, podszedł do krzeseł stojących wzdłuż ściany i zdjął z jednego z nich kurtkę. Włożył ją gwałtownymi, gniewnymi ruchami.

– Możesz mu powiedzieć, że nie mam czasu na jego bzdury – rzucił. – Możesz mu powiedzieć, że zjem ciepły posiłek, a potem zabiorę się do jutrzejszego wydania. Nie interesują mnie jego komentarze, pomysły na artykuły ani dziennikarskie czy literackie ambicje. A jeśli to mu się nie podoba, może o tym porozmawiać z generałem.

Pokręciłem głową.

– Generała nie ma w obozie. Wczoraj wieczorem pojechał na jakąś wielką naradę wojenną. Podobno nie będzie go przez tydzień albo dłużej. Więc jeśli powtórzę pułkownikowi to, co właśnie powiedziałaś, będę miał przesrane.

Tato prychnął.

– Jesteś w armii i stacjonujesz na Aleutach. Już masz przesrane.

Spróbował mnie wyminąć, ale zastąpiłem mu drogę.

To mu się nie spodobało.

– Co zrobisz, synu? Spuścisz manto staruszkowi? – Znowu wlepił we mnie wzrok sędziego, ale takiego, który ma zaraz wydać wyrok. Co też już kiedyś widziałem, więc się nie przejąłem.

– Wolałbym nie – powiedziałem.

Tato obejrzał się na grających w pokera. Pewnie myślał, że się za nim wstawią. Ale oni wlepiali wzrok w

karty, jakby chcieli wypatrzeć farbę, i się nie ruszyli.

– Widziałeś wczoraj pojedynki bokserskie? – zapytałem.

Tato obejrzał się z powrotem na mnie. Znów zmrużył oczy.

– Był spory tłum – odparł. – Ale tak, przyglądałem się z daleka. Świetny sposób na świętowanie Dnia Niepodległości: zbić na kwaśne jabłko towarzysza broni. Podobno żołnierza marynarki, który walczył w drugim pojedynku, zabrali do szpitala.

Wzruszyłem ramionami.

– Opuścił lewą gardę. Musiałem wykorzystać okazję.

Tato obnażył te fatalne sztuczne zęby.

– Teraz cię poznaję. Znokautowałeś go. Ale on najpierw przywalił ci kilka razy, prawda?

– Nie zwróciłem uwagi. – Dzięki pułkownikowi przez dwa całe tygodnie moim jedynym obowiązkiem był trening. Potrafiłem przyjąć cios.

– Czyli twardziel z ciebie – powiedział Tato. W jego głosie pobrzmiwała pogarda. – Wygląda mi na to, że twardziel powinien zabijać Japońców w imię swojego kraju, a nie być chłopcem na posyłki jakiegoś idioty. Twardziel powinien... – Urwał. Potem poprawił okulary i obrzucił mnie długim spojrzeniem. Wreszcie znów się odezwał, ale ciszej: – Tak sobie myślę, że może w zeszłym roku byłeś na Attu. Czyli może już zabiłeś trochę Japońców.

Nie lubiłem, kiedy przypominano mi o Attu. Po

pierwsze, to tam pułkownik postanowił zrobić ze mnie swojego osobistego pomocnika. Po drugie, był to jeden wielki koszmar zakończony odmrożeniami. I siedmiu gości z mojego plutonu nie wróciło.

Ale nie miałem zamiaru mówić o tym Tacie.

– Kilku – powiedziałem. – A gdyby grube ryby zapytały mnie o zdanie, powiedziałbym im, że chętnie zabiłbym jeszcze paru. Ale nie pytają.

Tato westchnął ze zmęczeniem.

– Nie. Oni nigdy nie pytają. – Wsunął palce w swoją gęstą, siwą czuprynę. – No to z czym mam ci pomóc z nakazu podpułkownika? Zakładam, że ma to coś wspólnego z jakimiś nudnymi „aktualnościami”, które chciałby, żebym zamieścił w „Orle”?

Zawahałem się.

– Byłoby lepiej, gdybym mógł ci to po prostu pokazać.

Tato uniósł brwi.

– O, świetnie. – Ton jego głosu był sarkastyczny. – Tajemnica. – Wskazał ręką drzwi. – Ty przodem, szeregowy.

Znowu poczułem, jakby mnie dźgał słowami.

– Mówiłeś przecież, że żołnierze nie powinni zwracać się do siebie po randze.

– Robię wyjątek.

W porządku.

– To ja będę mówił do ciebie „kapralu”.

Akurat w chwili, kiedy otworzyłem drzwi, zaczął

wiać williwaw, ale i tak usłyszałem odpowiedź Taty.
– Wolę „Szefie”.

III

Zeszliśmy ze wzgórza śliskimi od błota chodnikami z desek. Na Adak wiało prawie zawsze, ale najmocniejszy wiatr, zwany williwaw, potrafił dmuchnąć w mgnieniu oka i prawie zerwać człowiekowi nos z twarzy. Ten, który się zerwał, kiedy wychodziliśmy z baraku, nie był najgorszy, ale i tak pomyślałem sobie, że taki stary chudzielec pewnie polecą w błoto. Ale on trzymał się poręczy, tam gdzie była poręcz, liny, tam gdzie była lina, i poradził sobie całkiem nieźle.

Ja sam byłem na tyle niski i ciężki, że słabszy wiatr mi nie przeszkadzał. Ale kiedy spojrzałem w dół zbocza, na zabłoconą drogę, którą nazywaliśmy Main Street, zobaczyłem, że stalowa beczka mknie w stronę obozu marynarki, odbijając się od ziemi, z prędkością jakichś sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Niektóre z grubych słupów, które podtrzymywały całe kilometry kabli telefonicznych i elektrycznych biegnących nad obozem, chwiały się niczym bambus. Nasza przejażdżka musiała poczekać, aż wiatr osłabnie.

Nie sprzeciwiłem się więc, kiedy Tato chwycił mnie

za łokieć i wciągnął za jeden z baraków. Myślałem, że chce tylko, żebyśmy na chwilę schronili się przed wiatrem, ale on wsunął się do przedsionka osłaniającego drzwi i wszedł do środka. Podążyłem za nim, dochodząc do wniosku, że pewnie tam jest jego prycza. Ale gdyby nie łzawiły mi oczy, może zauważyłbym, że na drzwiach napisano za pomocą szablonu „Orzeł Adacki”.

Wewnątrz otarłem oczy i zobaczyłem stoły, krzesła, maszyny do pisania, dwie duże skrzynie ze sklejki ze szklanymi wierzchami, walcowatą maszynę z korbą i tuziny ryz papieru. W pomieszczeniu unosił się mocny zapach tuszu do powielacza. Na dwóch stołach leżeli mężczyźni i spali jak zabici, odwróceny tyłkami do przesuniętych pod ściany maszyn do pisania. Trzeci mężczyzna – szczupły Murzyn o jasnym odcieniu skóry – pracował przy desce kreślarskiej. Wyglądało na to, że coś rysuje.

Podniósł na nas zdumiony wzrok.

– Już wróciłeś, Tato? – mówił cicho, więc wycie wiatru przetaczającego się nad dachem z blachy falistej prawie go zagłuszyło.

– Ile razy mam ci mówić? „Tato” mi się nie podoba. Wolę „Szefie”.

– Jak sobie życzysz, Tato. Skończyła się jajecznicza?

– Nie wiem. Moje śniadanie się opóźni. – Tato wskazał mnie kciukiem. – Ten żołnierz zabiera mnie na misję na rozkaz podpułkownika.

Rysownik przewrócił oczami.

– Szczęściarz z ciebie. Może będziesz mógł przeczytać jedną z jego nowel.

– Tego się właśnie boję – odparł Tato. – Nie mam na to przy sobie dość whisky. – Machnął ręką lekceważąco. – Ale przerwaliśmy ci. Proszę, pracuj dalej.

Rysownik pochylił się znów nad deską kreślarską.

– Ja zawsze pracuję.

Tato podszedł do prawie pustego stołu, odsunął na bok kilka stosów papieru i wyciągnął się na plecach. Na wierzchu najbliższej sterty leżała strona, na której widniał wielki napis: „Hammet bez hamulców – pięćdziesiąt punktów pękło”.

– Siadaj, żołnierzu – powiedział Tato. – Albo się połóż, jeśli znajdziesz miejsce. – Zamknął oczy. – Sam Bóg pierdzi. Pewnie tu chwilę pobędziemy.

Rozejrzałem się po ciemnym wnętrzu baraku. Żarówka nad deską kreślarską była zapalona, ale poza nią wnętrze rozjaśniało tylko szare światło wpadające przez małe okna przy wejściu. Poza wyciem wiatru panowała cisza. Od wstąpienia do armii nie byłem w spokojniejszym miejscu.

– To tu drukujecie gazetę? – zapytałem.

– Powinieneś być detektywem – odparł Tato.

Spojrzałem na dwóch śpiących mężczyzn.

– Wygląda to na łatwą robotę.

Tacie udało się zrobić gniewną minę bez otwierania oczu.

– Żołnierzu, widziałeś kiedyś w ogóle „Orła”?

Możliwe, że nie, ponieważ w obozie jest teraz ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, a my możemy wydrukować tylko sześć tysięcy kopii dziennie.

– Widziałem – powiedziałem. – Widziałem numer o europejskiej inwazji i może kilka innych.

Tato wydał z siebie pomruk.

– No dobrze. A kiedy go widziałeś?

– Ludzie najczęściej przynoszą go na śniadanie.

Teraz Tato otworzył oczy.

– To dlatego, że moi ludzie pracują całą noc, żeby gazeta była gotowa przed śniadaniem. Od wczorajszego popołudnia spisywali raporty nadawane przez krótkofalówkę przez naszego człowieka w stacji radiowej, pisali artykuły i skróty wydarzeń, wycinali, sklejali i robili wszystko to, co jest konieczne do wydrukowania i powielenia sześciu tysięcy sześciostronicowych egzemplarzy gazety przed wschodem słońca. Dlatego też teraz większość z nich padła na prycze na kilka godzin, zanim zacznie się praca nad jutrzejszym wydaniem. Nie wiem, co ci trzej tu jeszcze robią.

Murzyn odezwał się znad deski kreślarskiej, nie podnosząc wzroku:

– Ci dwaj przynieśli piwo na śniadanie, więc wyjść już im się nie udało. Jeśli chodzi o mnie, przyszedł mi do głowy pomysł na jutrzejszy rysunek i postanowiłem przygotować go od razu, zanim zapomnę.

– Co to za pomysł? – zapytał Tato.

– O dwóch facetach, którzy piją piwo na śniadanie.

– Bardzo na temat – mruknął Tato.

Potem zapadła cisza. Przeczekałem długą chwilę w pozycji „spocznij”, ale kiedy tylko usłyszałem, że wiatr dmie trochę ciszej, uchyliłem drzwi. Williwaw osłabł do silnej bryzy, nie gorszej od powiewów, które w domu, w Nebrasce, podobno przewracają krowy na polach.

– Musimy jechać, Szefie – powiedziałem
Tato się nie ruszył, ale rysownik zagwizdał.

– Hej, Tato! Budź się, ty stary komuchu.

Tato usiadł i zamrugął. Rozczochrane siwe włosy, okrągłe okulary i ostry nos nadawały mu wygląd zirytowanej sowy.

– Przestań mówić na mnie „Tato”.

Na zewnątrz, kiedy znów schodziliśmy ze wzgórza, powiedziałem:

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

– Czego? – zapytał Tato, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć wiatr.

– Murzyna pełniącego służbę biurową razem z białymi żołnierzami.

Tato zerknął na mnie z ukosa.

– Przeszkadza ci to, żołnierzu? Z pewnością przeszkadza podpułkownikowi.

Zastanowiłem się nad tym.

– Nie, nie przeszkadza mi. Po prostu jestem ciekaw, jak to się stało.

– Stało się, bo potrzebowałem cholernie dobrego rysownika, a on jest cholernie dobrym rysownikiem.

To rozumiałem.

– Lubię rysunki w gazetach – powiedziałem.

Tato znowu mruknął.

– Czy możemy się umówić, żołnierzu, że nie zamienimy więcej ani słowa, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne?

Nie miałem nic przeciwko temu. Zbliżaliśmy się już do dżipa, a po zapaleniu silnika i tak byśmy się nie słyszeli. W tłumiku miał dziurę, więc wył prawie tak głośno jak williwaw.

IV

Zatrzymałem dżipa w połowie drogi na szczyt uśpionego wulkanu o nazwie Mount Moffett, jakieś półtora kilometra po tym, jak musieliśmy się uporać z dwoma kretynami na posterunku kontrolnym marynarki. Droga była tu bardziej błotnistą ścieżką.

– Teraz musimy iść piechotą – powiedziałem Tacie.

Rozejrzał się.

– Dokąd? Nie ma tu nic poza skałami i tundrą.

To była prawda. Nie było tu nawet kruków, wszechobecnych w obozie i dookoła lotniska. Zbocze góry było całkowicie opustoszałe, a mnie akurat się to podobało. A przynajmniej podobało mi się, zanim

znalazłem bielika. Rozumiałem jednak, że dla kogoś, kto dobrze się czuje wśród ludzi, mogło to być najgorsze miejsce na ziemi.

– Goście z marynarki mówią, że wygląda tu lepiej, kiedy pada śnieg – powiedziałem. – Jeżdżą wtedy na nartach.

– Byłem ciekaw, o czym z nimi rozmawiasz – odparł Tato. – Nie słyszałem ani słowa po tym, jak odsunąłeś się od dżipa.

Postanowiłem nie powtarzać mu, co chłopaki z marynarki mówili o starym pierdzielu, którego wożę.

– No, powiedzieli, że martwią się, że zostawimy koleiny, przez które nie będą mogli jeździć na nartach, kiedy spadnie śnieg. Potem wymieniliśmy się komplementami na temat naszych matek. Potem zaczęli gadać przez telefon z jakimś chorążym albo matem, albo kimś w tym rodzaju, który powiedział, że nie obchodzi go, czy przepuszczą choćby całą pieprzoną armię.

Kuląc ramiona dla ochrony przed wiatrem, wysiadłem z dżipa i zacząłem wspinać się po zboczu. Było pochmurno, ale przynajmniej niezbyt zimno. Pogoda była mniej więcej taka jak w domu późną jesienią. Tutaj podłoże tundry nie było tak gąbczaste jak w dole, bliżej obozu. Ale przez kamienie i ukryte kałuże było trochę niebezpiecznie.

Tato podążył za mną i pomyślałem sobie, że temu staremu chudzielcowi chyba trudno utrzymać równowagę. On jednak nie narzekał. To pewnie było jedno z jego

najmniejszych zmartwień.

– Powiedz prawdę, żołnierzu – rzucił, niemal rżąc.
– To jakaś kara, prawda? Podpułkownik zatrzymał mnie kilka miesięcy temu na Main Street i poprosił, żebym przyszedł na kolację i przeczytał jedno z jego opowiadań. Ale byli ze mną moi chłopcy, więc odpowiedziałem: „Oczywiście, jeśli będę mógł przyprowadzić ze sobą tych dżentelmenów”. Wtedy zaproszenie się zdezaktualizowało. Zalażem mu za skórę, i to dlatego tu jesteśmy, prawda?

Odwróciłem się twarzą do niego, ale szedłem dalej, tyłem.

– Nie wydaje mi się. Kiedy wysłał mnie tutaj dziś rano, sprawa nie miała z tobą nic wspólnego. Miałem znaleźć starą aleucką chatę, która gdzieś tu jest. Pułkownik powiedział, że zapewne znajduje się w trzech czwartych pod ziemią i że będę musiał nieźle się naszukać.

Tato wciąż rżęził.

– One nazywają się *ulax*. Dobrze chronią przed żywiołami. Ale wątpię, żeby którąś z nich kiedykolwiek zbudowano tak blisko szczytu, chyba że z jakiegoś rytualnego powodu. A nawet jeśli jest tu *ulax*, nie rozumiem, dlaczego podpułkownik miałby cię wysłać na jej poszukiwania.

– Według pewnego raportu żołnierze piją tam alkohol i spotykają się z pielęgniarkami ze sto siedemdziesiątki dziewiątki – wyjaśniłem. – Chce odnaleźć to miejsce, aby

położyć kres takim rzeczom.

Tato zmarszczył brwi.

– Ktoś tu kłamie. Ten szpital ma najwyżej dwadzieścia pielęgniarek. Każda z nich, która byłaby chętna do „takich rzeczy”, miałaby za sobą kolejkę oficerów od momentu przyjazdu. Żaden żołnierz nie miałby z nią szans. Szczególnie jeśli ta pani musiałaby też wspiąć się najpierw na górę i wejść do lepianki przez dziurę w ziemi.

– Nieważne, czy to prawda. I tak nie znalazłem żadnej chaty. – Odwróciłem się na powrót twarzą do zbocza. Już prawie byliśmy na miejscu.

– To wciąż nie wyjaśnia, dlaczego tu jesteśmy – stwierdził Tato.

Tym razem nie odpowiedziałem. Choć Tato był kapralem, zdaje się, że nie pojmował, iż szeregowy nie powinien mieć swojego zdania. Jeśli oficer zaprasza cię na kolację albo do malowania latryny, mówisz tylko: „Tak jest”. A jeśli każe ci przejechać się na wulkan, mówisz to samo. Nie ma sensu pytać po co, bo i tak trzeba to zrobić.

– Mamy zamiar obejść górę dookoła? – krzyknął Tato, rzeżąc jeszcze bardziej. – Czy za następną skałą czeka kosz piknikowy? Jeśli tak, lepiej, żeby nie było w nim kolejnej kanapki z mielonką.

– Nie musiałeś jej jeść – odparłem.

Tato już miał się odciąć, ale jego słowa przeszły w atak kaszlu. Zatrzymałem się, odwróciłem i zobaczyłem, że jest zgięty wpół, opiera dłonie na kolanach i kaszle tak

strasznie, że pomyślałem, że zaraz straci przytomność.

Zastanowiłem się, czy nie walnąć go w plecy, ale się bałem, że to by go zabiło. Więc tylko patrzyłem, jak wstrząsa nim kaszel, i myślałem, że jeśli tu umrze, pułkownik mnie zniszczy.

Kaszel Taty zmienił się w przeciągły odgłos podobny do torsji, a potem Tato wypluł na ziemię wodnisty, czarny skrzep. Ucichł na kilka sekund, dysząc ciężko, a potem znów wyrzucił z siebie czarną maź. Z trzecią konwulsją było jej trochę mniej, a za czwartym razem nie było prawie wcale.

W końcu wytarł usta rękawem i się wyprostował. Twarz miał bladą, ale oczy przytomne.

– Wody – wychrypiał.

Pobiegłem z powrotem do dzipa, potykając się – raz upadłem – i wróciłem z manierką. Tato wziął ją bez słowa, napił się, a potem zamknął oczy i nabrał głęboko tchu.

– Już lepiej – powiedział. Prawie wrócił mu normalny głos. Wsadził nakrętkę na manierkę i wyciągnął ją przed siebie, nie unosząc powiek.

Wziąłem ją od niego i próbowałem na oślep zawiesić sobie przy pasie.

– Co to było? Co się stało? – Zaskoczyło mnie, jaki drżący miałem głos. Bóg jeden wiedział, że widziałem gorsze rzeczy niż to, co wykaszlał Tato.

Otworzył oczy. Wyglądał na rozbawionego.

– Co się stało? – powtórzył. – No cóż, nazywamy to

kaszlem.

Zaprzestałem prób przytroczenia manierki do pasa i ścisnąłem ją po prostu w ręce.

– Nie, chodzi mi o to, co wyplułeś. – Wciąż widziałem to na ziemi u naszych stóp. Wyglądało, jakby pulsowało.

– To tylko krew – mruknął Tato.

Pokręciłem głową.

– Nie. Widziałem już krew. – Faktycznie. I to dużo. Ale nigdy nie była tak czarna.

Tato na nią zerknął.

– Nie widziałeś starej krwi – powiedział. – Gdyby była czerwona, znaczyłoby to, że jest świeża i że mam problem. Ale to tylko stare problemy o sobie przypominają.

– Stare problemy?

– Gruźlica, synu. Złapałem ją podczas poprzedniej wojny, która miała być kresem wszelkich wojen. Ale się nie martw. Nie zarazisz się ode mnie.

O to się nie martwiłem. Ale czegoś nie rozumiałem.

– Jeśli walczyłeś w pierwszej wojnie światowej i nabawiłeś się gruźlicy, dlaczego znowu przyjęli cię do armii?

Tato się uśmiechnął. Na tych okropnych sztucznych zębach widniały teraz czarne plamki.

– Bo beze mnie nie wygrają. – Wskazał przed siebie.
– Załatwmy to już, żołnierzu, o cokolwiek tu chodzi. Muszę wracać i zacząć strzelać z bata albo jutro nie

będzie gazety.

Odwróciłem się więc i znów ruszyłem po zboczu. Jakieś kilkadziesiąt metrów przed nami widziałem już wzgórek, który oznaczyłem kamieniami. Miałem nadzieję, że Tato nie dostanie kolejnego napadu kaszlu.

V

Tato uniósł brwi, kiedy zobaczył bielika, ale poza tym nie wyglądało na to, żeby widok zrobił na nim wrażenie.

– No, to coś nowego – powiedział.

Kiwnąłem głową.

– Też tak sobie pomyślałem.

Tato zachichotał.

– Z pewnością, żołnierzu. – Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami, ale tym razem bardziej ze zdziwieniem niż z gniewem. – Kiedy zapytałem cię, o co chodzi, powiedziałaś, że najlepiej będzie, jak mi to po prostu pokażesz. Pokazałaś. Czego więc, do cholery, chce ode mnie podpułkownik? Żebym to opisał w „Orle”?

– Myślę, że to ostatnie, czego by chciał – odparłem. – Mówi, że to mogłoby źle wpłynąć na morale.

Tato przewrócił oczami.

– Chryste, pewnie z powodu niskiego morale i

zwykłej nudy to się w ogóle stało. Ludzie są zdolni do najróżniejszych obłąkańczych i bezsensownych czynów, żeby się rozerwać. Właśnie z tym mamy tu do czynienia. Grube ryby nam powiedziały, że nie możemy strzelać do pieprzonych kruków, więc jacyś sfrustrowani chłopcy przyszli tutaj i udało im się pociąć bielika. Wyrazili też osobiste niezadowolenie ze służby wojskowej, robiąc ze ścierwa przewrotną drwinę z Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych.

– Czego? – zapytałem.

Tato wskazał ptaka.

– Nie ma gałązki oliwnej ani strzał, ale poza tym tak to wygląda. Przypomina Wielką Pieczęć. Oczywiście poza tym, że go wybebeszono. Ale to zapewne tylko taka zabawa chłopaków.

– Myślisz, że zrobił to więcej niż jeden człowiek? – zapytałem.

Tato spojrzał na mnie, jakbym był stuknięty.

– Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

– Powiedziałeś „chłopaków”. To znaczy, że było ich więcej.

– Tylko spekulowałem. Nie mam pojęcia, czy zrobił to jeden człowiek czy dwudziestu.

Przerzuciłem manierkę z ręki do ręki.

– No dobra, zrób to, co musisz zrobić, żeby wykombinować, kto to był.

Teraz spojrzał na mnie tak, jakbym był nie tylko stuknięty, ale i głupi.

– Nie ma sposobu, żeby stwierdzić, kto to zrobił. Ani nawet dlaczego. Możemy tylko spekulować. Możliwe, że ptaka zabito z nudów, z nienawiści, może nawet z powodu jakiegoś przesądu. Nie mam pojęcia.

Nie brzmiało to jak coś, co mógłbym wsadzić do raportu.

– Ale pułkownik mówi, że byłeś kiedyś detektywem. Zanim napisałeś książki.

Tato zdjął okulary i potarł oczy.

– Bardziej byłem podobny do Pinkertona niż do Sherlocka Holmesa. A taki detektyw nie potrafi spojrzeć na miejsce zbrodni i wydedukować, jak nazywał się sprawca, kim był z zawodu i jakiego koloru miał skarpetki. Zazwyczaj tylko śledzi podejrzanego. Potem, jeśli sprzyja mu szczęście, podejrzanemu powija się noga i można go złapać na gorącym uczynku. – Tato na powrót założył okulary i wyciągnął przed siebie puste dłonie. – Ale tutaj nie ma kogo śledzić, chyba że każdego z dwudziestu tysięcy ludzi w obozie. Masz kogoś konkretnego na myśli? Jeśli nie, nic tu nie wskóramy.

Spuściłem wzrok na bielika. Choć za życia mógł być wielki i majestatyczny, teraz był tylko martwym ptakiem. To, co się tu wydarzyło, było dziwne i okropne, ale nie było tragedią. Przecież to nie człowieka przybito do zbocza i wypatroszono.

Ale na swój sposób ta sprawa wytrąciła mnie z równowagi prawie tak samo jak to, co widziałem i robiłem na Attu. Tamte wydarzenia przynajmniej miały

powód. Tutaj powodu nie było żadnego – chyba że Tato miał rację i stało się to po prostu z nudów. Jeśli tak, nie chciałem wiedzieć, którym żołnierzom aż tak się nudziło. Bo gdybym się dowiedział, mógłbym rozgniewać się tak bardzo, żeby ich skrzywdzić. I byłaby to kolejna rzecz, którą musiałbym raz po raz na nowo oglądać w snach.

– No dobra, Tato – powiedziałem, nie spuszczać wzroku z bielika. – W dziapie jest puszka benzyny. A gdybyśmy powiedzieli pułkownikowi, że kiedy tu dotarliśmy, okazało się, że ktoś to spalił?

Tato odchrząknął.

– Byłbyś gotów to zrobić, żołnierzu? Okłamać podpułkownika?

Jeszcze nigdy nie odmówiłem wykonania rozkazu. Pułkownik zmusił mnie już do głupich i okropnych czynów, ale wyglądało na to, że po raz pierwszy robię z jego rozkazu coś bezsensownego. Poza tym Tato był starszy i mądrzejszy od pułkownika – nawet ja to widziałem – i jeśli jego zdaniem sprawa z bielikiem była stratą czasu, zapewne tak było.

Poza tym byliśmy szeregowcami i musieliśmy trzymać się razem. Jeśli w pobliżu nie było żadnego oficera, który mógłby nas na tym przyłapać.

– Pewno – odparłem, znów patrząc na Tatę. – Zdarzyło mi się już kłamać. W Nebrasce okłamałem nawet sędziego.

Tato uśmiechnął się do mnie z zaciśniętymi ustami.

– Co takiego zrobiłeś, że wylądowałeś przed sądem?

Od tamtej pory zrobiłem tyle gorszych rzeczy, że nie wydawało mi się, żeby to była jakaś wielka sprawa.

– Pobiłem takiego młodego panicza z Omahy za to, że nazwał mnie głupim Pepikiem – powiedziałem. – Potem ukradłem jego hudsona, wjechałem nim na pole i pogoniłem krowy. Możliwe, że przy okazji przejechałem przez kilka płotów.

Tato zachichotał.

– Nie brzmi najgorzej. Niejeden sędzia mógłby nawet uznać, że było to usprawiedliwione.

– No cóż, walnąłem też zastępcę szeryfa, kiedy próbował mnie aresztować. Ale sędzia chyba naprawdę się rozgniewał, kiedy powiedziałem, że nie jestem głupim Pepikiem, tylko głupim Polaczkiem.

– Dlaczego miałby się z tego powodu rozgniewać? – zapytał Tato.

– Bo sam był Polaczkiem – odparłem. – No to dał mi trzydzieści dni odsiadki, po której miał nastąpić natychmiastowy werbunek, albo dwa lata kicia. To było w porządku, bo i tak chciałem się zaciągnąć. Ale te trzydzieści dni było ciężkie. Mój stary musiał sam skosić siano. W zeszłym tygodniu dostałem list od matki. Pisze, że ojciec wciąż ma zamiar złoić mi skórę, jak wrócę.

Zauważyłem, że Tato przeniósł wzrok na coś innego. Patrzył w dal, ponad moim ramieniem. Odwróciłem się i nad skrajem innego wzgórzka, jakieś pięćdziesiąt kroków od nas, zobaczyłem głowę i ramiona mężczyzny. Miał na sobie płaszcz z kapturem obszytym futrem, a jego twarz

miała miedziany kolor. Wyglądało na to, że wlepia w nas wzrok.

– Znasz go? – zapytał Tato.

Zmrużyłem oczy.

– Nie wydaje mi się – powiedziałem. – Wygląda na Eskimosa.

– Sądzę, że to Aleut – oznajmił Tato. – A jedyni tubylcy, jakich widziałem w obozie, należeli do Zwiadowców Alaskańskich, lepiej znanych jako Nożownicy Castnera. Ale nie wiem, czy naprawdę używają noży.

Wciąż patrzyłem na mężczyznę, który odwzajemniał moje spojrzenie.

– Używają – powiedziałem.

– No to pilnujmy własnych... – zaczął Tato.

Nie dokończył, ponieważ nagle od podnóża góry dobiegł głośny gwizd. Miałem wrażenie, że rozbrzmiewa wszędzie pod nami, i z każdą sekundą robił się głośniejszy.

– Cholera – zakląłem. Myślę, że Tato też zaklął.

Obaj wiedzieliśmy, co to oznacza i że ten podmuch będzie mocny. W dodatku nie było tu żadnych budynków, które mogłyby go spowolnić. Na górze szalał potworny williwaw, a my mieliśmy ledwie kilka sekund, zanim wiatr dogoni własny dźwięk. Do dżipa było kilkaset kroków, a nawet gdyby udało się nam do niego dotrzeć, wcale by nas nie ochronił. Mogliśmy tylko położyć się na płasko w niewielkim zagłębieniu, gdzie przybito

martwego bielika. Jeśli będziemy mieli szczęście, wiatr nie zedrze nam odsłoniętej skóry z twarzy i dłoni. A jeśli będziemy mieć wyjątkowe szczęście, może uda się nam nabrać kilka razy tchu. Przemknęło mi przez głowę, że to nie jest dobra chwila na to, żeby mieć gruźlicę.

Kiedy właśnie miałem gestem nakazać Tacie, by padł na ziemię, zobaczyłem, że widoczny w oddali Nożownik znika. Wyglądało to tak, jakby jego głowa i ramiona zapadły się pod ziemię za wzniesieniem. W jednym z niewielu przeblysków inteligencji zrozumiałem, gdzie się podział.

– Chodź! – krzyknąłem do Taty, rzuciłem manierkę i puściłem się pędem w stronę wzgórka. Ale przebiegłem tylko około dwudziestu kroków, kiedy się zorientowałem, że Tato nie nadąza, więc wróciłem, chwyciłem go za ramię i pociągnąłem za sobą.

To mu się nie spodobało i spróbował mi się wyrwać. Ale ja byłem silniejszy, więc mógł tylko mnie przeklinać, kiedy targałem go za sobą najszybciej, jak tylko potrafiłem.

Wtedy dopadł nas williwaw i Tato nie mógł już nawet kląć. Nasze czapki pomknęły w dal niczym pociski, a ja ogłuchłem i oślepnąłem, kiedy uszy wypełniło mi wycie, a oczy – ziemia i lzy. Miałem wrażenie, że w prawą część mojej twarzy wbił się tysiąc igiełek.

Nie widziałem już, dokąd biegniemy, ale wciąż pędziłem, całym ciężarem ciała napierając na wiatr, żeby nie zepchnął mnie z drogi. Choć równie dobrze mogłem

biec nie tam, gdzie trzeba. Nie miałem jak się połapać, czy teren pod moimi stopami wciąż się wznosi, czy minęliśmy już szczyt wzgórka. Ale gdyby nie udało mi się znaleźć miejsca, gdzie zniknął Nożownik, i to dość, cholera, szybko, musielibyśmy paść na ziemię i zaryzykować. Może los by się do nas uśmiechnął i williwaw ucichłby na tyle szybko, żeby nas nie zabić.

Wtedy obsunęła mi się stopa i upadłem na kolana. Okręciłem się, chcąc złapać Tatę, żeby nie uderzył głową o ziemię, a potem obaj się poślizgnęliśmy i wpadliśmy w czarną dziurę w ziemi.

VI

W ziemnym dachu chaty *ulax* były dziury. Kiedy więc moje oczy się przyzwyczyły do ciemności, okazało się, że w środku jest dość światła. Tato wylądował jednak na mnie i z początku widziałem tylko jego wąsa.

– Twój oddech średnio pachnie, Tato – powiedziałem. – Może byś tak ze mnie zszedł?

Najpierw pomyślałem, że mnie nie usłyszał z powodu wycia wiatru, ale w końcu stęknął, zarzęził i odepchnął się ode mnie, po czym usiadł pod ścianą z ubitej ziemi. Ja też usiadłem i przysunąłem się do niego.

Poprawił okulary, które się przekrzywiły. Potem

podniósł wzrok na największą dziurę w dachu, przez którą – tak mi się wydawało – wpadliśmy do środka. Ziała mniej więcej dwa i pół metra nad klepiskiem.

– Dzięki, że złagodziłeś mój upadek – powiedział, podnosząc głos. – Mam nadzieję, że nie zrobiłem ci krzywdy. Choć mogłeś tego uniknąć, gdybyś mi powiedział, co robisz, zamiast wlec mnie za sobą.

Nie odpowiedziałem, tylko rozejrzałem się po znajdującym się w większości pod ziemią pokoju. Miał może sześć metrów na trzy. Na drugim końcu leżała sterta ziemi, drewna i fiszbin, która wyglądała jak fragment zapadniętego sufitu. Ale dach nad tym miejscem był w lepszym stanie niż wszędzie indziej; jego reszta składała się mniej więcej po równo ze starej darni i dziur. Po podłodze porozrzucone były puste butelki i puszki, a na zrobionych z ziemi platformach biegnących przy dwóch dłuższych ścianach leżało kilka strasznie brudnych, rzuconych byle jak koców.

Ale po Nożowniku nie było śladu. Na moich oczach schował się w tej samej dziurze, do której wpadłem wraz z Tata. Byłem pewien, że tak właśnie się stało. Ale teraz go tutaj nie widziałem.

– Co się stało z Eskimosem? – zapytałem.

Tato rozejrzył się po wnętrzu chaty i zmarszczył brwi.

– Pewnie poszedł gdzie indziej.

– Nie ma gdzie indziej – prawie krzyknąłem.

Wyciągnąłem palec w górę. – Posłuchaj tego. To jedyne schronienie na zboczu.

Tato pokręcił głową.

– Człowiek, którego widzieliśmy, jest tubylcem. Możliwe, że zna tutaj schronienia, których my byśmy nie znaleźli, choćbyśmy szukali czterdzieści lat. A może jest tak przyzwyczajony do takiego wiatru, że stoi twarzą do niego i się uśmiecha.

Podniosłem wzrok na wielką dziurę i zobaczyłem, jak przelatuje nad nią coś, co wyglądało jak dziesięciokilogramowy kamień.

– Widziałem, że się tu schował. Dzięki temu wiedziałem, dokąd uciekać. Myślę, że bym zobaczył, gdyby się stąd na powrót wyczołgał. Chyba że potrafi się robić niewidzialny.

Właśnie wtedy zza sterty ziemi i fiszbin na drugim końcu chaty wyłonił się Nożownik. Miał zsunięty kaptur, a jego ciemne włosy lśniły. Nogi miał ugięte i trzymał przy boku nóż myśliwski. Duży nóż.

– Kim wy, u diabła, jesteście? – zapytał.

Głos miał cichy i zachrypnięty, ale i tak dało się go słyszeć mimo wycia nad nami. Ten człowiek był przyzwyczajony do przekrzykiwania wiatru.

Tato zakaszłał sucho. Potem spojrzał na mnie i powiedział:

– No cóż, żołnierzu, chyba jednak nie zniknął.

Miałem ochotę go uderzyć, ale tylko dlatego, że się bałem. Żałowałem, że Nożownik naprawdę nie zniknął. Nie rozpoznawałem jego ciemnej, porośniętej rzadkim zarostem twarzy, ale to o niczym nie świadczyło. Nie

pamiętałem z Attu wielu twarzy.

Pamiętałem jednak Zwiadowców jako grupę. Pamiętałem, jak pojawiali się i znikali w zmrożonym krajobrazie niczym wilki polarne.

Pamiętałem też ich noże.

– Pytałem was o coś – powiedział mężczyzna, celując w nas nożem. – Jesteście z żandarmerii? A jeśli nie, to co tu robicie?

Tato znowu zakaszłał. Tym razem nie był to atak gruźlicy, tylko coś w rodzaju uprzejmego odchrząknięcia. Zdałem sobie sprawę, że nie rozumiem, z kim mamy do czynienia. Ale może to dobrze. Bo gdyby miał okazję widzieć kiedyś Nożowników w akcji, może odebrałoby mu mowę tak jak mnie. A któryś z nas musiał odpowiedzieć na pytanie mężczyzny, żeby się nie rozgniewał.

– Nie jesteśmy z żandarmerii – odparł Tato. – Więc jeśli zrobiłeś coś, czego nie powinienes, nie musisz się nami przejmować.

– Nic, kurwa, nie zrobiłem – rzucił Nożownik. Choć głos miał chropawy i choć kłął, jego słowa miały charakterystyczny aleucki rytm. Prawie jak muzyka. – Przyszedłem tu tylko dlatego, że ktoś powiedział mi o martwym orle. Pomyślałem, że zbiorę trochę piór. Jestem pieprzonym tubylcem, jak powiedziałeś.

Udało mi się oderwać od niego wzrok na dość długo, żeby zerknąć na Tatę. Miał taką samą minę jak wtedy, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, kiedy rozwał

tamtego młodego, półnagiętego osiłka w ping-ponga. Był spokojny i pewny siebie. W kącikach jego oczu i ust pojawiły się nawet drobne zmarszczki rozbawienia, jakby siedział bezpiecznie w kryjówce obrośniętej głógiem, o którego kolce porani się każdy następny wchodzący do niej człowiek.

To niebywałe: mieć taki wyraz twarzy, kiedy siedział w dole na zboczu wulkanu w towarzystwie człowieka z nożem i z pędzącym sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę wiatrem nad głową.

– Świetnie rozumiem – powiedział Tato. – Też przyszliśmy tutaj odnaleźć orła, ale nie mieliśmy dobrego powodu. Jesteśmy tu tylko dlatego, że pewnemu kretyńskiemu podpułkownikowi nie przyszedł do głowy żaden inny pomysł na to, żeby zrobić z nas swoje marionetki. To głupia, bezsensowna misja na polecenie głupiego, bezsensownego dowódcy.

Nożownik zamrugnął, a potem się wyprostował. Opuścił nóż.

– Pieprzone grube ryby – mruknął.

– Nam to mówisz... – odparł Tato.

Mężczyzna wsunął nóż do pochwy przy pasie.

– Pułkownik Castner nie jest taki zły. Pozwala nam robić to, na czym się znamy. Ale reszta... Ja pieprzę. Nie słuchali na Attu i potem też nie.

Wiedziałem, o czym mówi. Miejscowi udali się na zwiady na Attu przed naszą inwazją i powiedzieli grubym rybom, ilu jest tam Japońców i czego się po nich

spodziewać. Ale ostrzegali też, że z powodu wiecznej zmarzliny na Attu pojazdy na kołach będą prawie bezużyteczne i że będzie nam trzeba porządnych butów i ubrań na zimno. I dodatkowego jedzenia. A mimo to wjechaliśmy na wyspę dżipami i ciężarówkami, w standardowych mundurach. Do jedzenia mieliśmy racje żywnościowe typu C, a i tych niewiele. Zrobił się z tego jeden wielki bajzel i skończyłoby się katastrofą, gdyby Nożownicy nie wzięli na siebie dostarczenia do każdego plutonu suszonych ryb i dodatkowych zapasów.

Nie wspominając o martwych japońskich snajperach i obsłudze karabinów maszynowych, których my, zwykli żołnierze, znajdowaliśmy po drodze. Tych, którym prawie odcięto głowy.

– Byłem współautorem broszury na temat walk o Wyspy Aleuckie – powiedział Tato. – Ale oczywiście grube ryby musiały ją zatwierdzić, więc nie mogliśmy wspomnieć o tym, co wiemy na temat ich pomyłek. Nie pozwolili nam też napisać o Zwiadowcach Alaskańskich. Podobno generałowie uznali, że wspomnianie o jednej konkretnej jednostce mogłoby sugerować, że inne nie były równie przydatne.

Nożownik splunął głośno.

– Bo niektóre nie były. – Usiadł i oparł się plecami o kupę ziemi i fiszbinów. – Nieważne. Byłem tam i zabiłem trochę Japońców. Niezbyt mnie obchodzi, co się teraz o tym mówi.

Williwaw ucichł nieco, więc kiedy Tato znów się

odezwał, jego głos był zaskakująco donośny:

– Jeśli wolno wiedzieć, dlaczego jesteś na Adak? – zapytał. – Słyszałem, że Zwiadowcy wrócili do Fort Richardson.

Nożownik skrzywił się i wskazał palcem swoje prawe udo.

– Zranili mnie w nogę na Attu i od ponad roku mam pieprzone zakażenie. Już jest lepiej, ale kiedy pozostali musieli wyjeżdżać, z rany wciąż ciekła ropa. Kapitan powiedział, że muszę zostać tutaj, dopóki się nie zagoi. A teraz muszę czekać na autoryzowaną przeprawę. A póki czekam, każą mi być sanitariuszem w szpitalu. Nie po to się zaciągnąłem. Kilka tygodni temu spróbowałem zakraść się na łódź płynącą do Dutch Harbor, ale pieprzona żandarmeria mnie z niej wyrzuciła.

– Czyli że teraz jesteś dezertorem ze szpitala – powiedział Tato. – To wyjaśnia, dlaczego myślałeś, że możemy być z żandarmerii.

Nożownik pokręcił głową.

– E, nie. Dowódca w szpitalu ma gdzieś, co robię. Pozwolił mi wstawić pryczę do baraku z zaopatrzeniem i właściwie nie zwraca na mnie uwagi. Jestem, jak to się mówi, personelem ponadplanowym. – Wskazał kciukiem za siebie. – Pomyślałem, że możecie być z żandarmerii, z powodu tamtego martwego gościa. Myślę, że to ten sam facet, który powiedział mi o bieliku, ale może i nie. Według mnie wy wszyscy jesteście do siebie podobni.

Minęło kilka sekund, zanim uświadomiłem sobie, co

powiedział. Potem zerknąłem na Tatę. Miał lekko uniesione brwi.

– Miałbyś coś przeciwko temu, że rzucę okiem? – zapytał.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Co mi zależy? To nie mój trup.

Tato wstał z trudnością, ja też. Przy akompaniamencie cichszego już nieco wiatru przeszliśmy, pochyleni, do miejsca, gdzie siedział Nożownik. Zobaczyłem teraz, że *ulax* ma drugie, mniejsze pomieszczenie, którego wejście częściowo zasłaniała sterta śmieci.

Obeszliśmy ją, precyzyjnie się przez wąskie przejście przy ścianie i dostaliśmy się do drugiej komory. Miała może trzy na dwa i pół metra. Tutaj też w dachu były dziury, przez które wpadało światło. Były jednak mniejsze i zmieniły wycie wiatru w wysoki, zawodzący świst.

Na podłodze leżał na wznak krępy mężczyzna. Otwarte oczy wgapiały się w dziury, nad którymi przetaczał się wiatr. Włosy miał ciemne i jakby mokre, a twarz bladą jak blok soli, poza wielkim sińcem pod lewym okiem. Usta były luźno otwarte. Miał na sobie ciemną, dwurzędową kurtkę, taką, jaką noszą w marynarce, ciemne spodnie i czarne jak błoto buty. Palce jego pustych dłoni bez rękawiczek były zakrzywione niczym szpony.

Tato i ja przyglądaliśmy się mu przez długą chwilę w

milczeniu.

Z początku go nie rozpoznałem, bo wyglądał zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Ale potem skupiłem wzrok na siniaku pod okiem i już wiedziałem kto to. Żołądek wywinął mi fikołka.

Tuż za mną rozległ się głos Nożownika.

– Ktoś zmiażdżył mu tył głowy.

Zaskoczony odwróciłem się błyskawicznie, unosząc pięści.

Nóż myśliwski wystrzelił z pochwy i zatrzymał się pięć centymetrów od mojej twarzy.

Potem między klingą a moim nosem pojawiła się dłoń Taty.

– Spokojnie, chłopcy – powiedział. – Jestem obozowym redaktorem. Nie chcielibyście, żeby wasze nazwiska trafiły do gazety.

Opuściłem pięści.

– Przepraszam – mruknąłem. Oddychałem ciężko, ale próbowałem nie dać tego po sobie poznać. – To tylko odruch.

Mężczyzna też opuścił nóż, ale wolniej.

– Teraz cię poznaję – odparł, przyglądając mi się uważnie. – Biłeś się wczoraj. I byłeś na Attu. Okej, u mnie to też tylko odruch.

Wciąż go nie rozpoznawałem, ale to nic nie znaczyło. Kiedy w ogóle zdarzało mi się widywać Nożowników, nigdy nie zostawali w jednym miejscu zbyt długo. Poza tym niektórzy ani na chwilę nie ściągali obszytych futrem

kapturów.

Tato zabrał rękę i wszyscy trzej popatrzyliśmy na zwłoki. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle odjęło mi głos. Wyglądało na to, że ani Tato, ani Nożownik tego nie zauważyli.

– Jest z marynarki – oznajmił Tato. – Albo z floty handlowej. Młody, jak wy wszyscy. – Choć głos Taty był na tyle donośny, że było go słychać mimo wiatru, lekko drżał.

– Nie martw się, staruszkule – powiedział Nożownik. – Teraz to tylko kolejny nieżywy facet. Widziało się już niejednego.

Tato uklęknął na jedno kolano przy zwłokach.

– Nie na tej wyspie. Poza nielicznymi ofiarami nieudanych lądowań bombowców na Adak jak na razie nie zginął prawie nikt. – Dotknął ostrożnie twarzy martwego żołnierza i przechylił jego głowę, tak żeby odsłonić potylicę. Czaszkę zmiażdżono sporym kamieniem, który wciąż pod nią leżał. Ciemna maź na kamieniu przypominała to, co Tato wcześniej wykaszłał.

Zrobiło mi się niedobrze, więc odwróciłem wzrok i wlepiłem go w Nożownika. Próbowałem wyczytać coś z jego twarzy, tak jak podczas walki bokserskiej. Słyszałem, że można się domyślić, co przeciwnik robi – a czasem nawet nad czym się tylko zastanawia – wyłącznie na podstawie wyrazu jego twarzy.

Mężczyzna rzucił mi wrogie spojrzenie.

– Na mnie nie patrz, młody – powiedział. – Ja bym to

zrobił schludniej.

Tato rozpiął kurtkę nieżyjącego, odsłaniając niebieską, marynarską koszulę roboczą. Widziałem, że trochę trzęsą mu się ręce.

– Wierzę ci – rzekł. – Cokolwiek się tu stało, było niechlujne. Może nawet to był wypadek. – Odchylił poły kurtki tak, żeby odsłonić prawe ramię. – Żadnych odznaczeń. To zwykły marynarz. – Rozpiął kołnierzyk koszuli. – Nieśmiertelnika też nie ma.

Później sięgnął do wielkich, głębokich kieszeni kurtki, najpierw do lewej, potem do prawej. Z prawej coś wyciągnął.

Podniósł to do promienia szarego światła wpadającego przez jedną z dziur w dachu.

Było to wielkie, ciemnobrązowe pióro, długości może trzydziestu pięciu centymetrów. Zgięte w połowie.

– Z tym ptakiem są same problemy – stwierdził Tato.

VII

Zostawiliśmy zwłoki na miejscu i wróciliśmy do większego pomieszczenia. Wiatr wciąż szalał nad nami, więc na razie nie mogliśmy się stamtąd ruszyć. Tato i ja usiedliśmy z powrotem pod ścianą na drugim końcu komory, a Nożownik ułożył się na ziemnej półce pod

długą ścianą po naszej prawej stronie.

Tato nie wyglądał najlepiej. Był blady i kaszłał od czasu do czasu. Chyba próbował udawać, że widok trupa nie zrobił na nim wrażenia. Pewnie widział już wcześniej śmierć, ale nie na taką skalę jak ja i Nożownik.

A jednak tym razem było inaczej. Podczas bitwy człowiek spodziewa się śmierci. W obozie, kiedy pole bitwy jest daleko, to nie to samo. Więc też byłem trochę wstrząśnięty.

Nie wyglądało na to, żeby Nożownik był choć trochę poruszony. Już myślał o czymś innym.

– Ten pieprzony williwaw może porwać tego bielika – powiedział – i nie pozbieram sobie piór. Powinienem był przyjść z drugiej strony, jak wy. Widziałem, kiedy przy nim staliście, ale potem poczułem, że zbiera się na wiatr. Nie sądziłem, że uda się wam tu dotrzeć.

– My też nie – przyznał Tato. – Ale jeśli chcesz pióro bielika, możesz sobie wziąć to, które zabrałem tamtemu młodemu człowiekowi. – Sięgnął do kieszeni kurtki.

Nożownik machnął ręką.

– Jest złamane. Nie przyda mi się. Jego moc też jest teraz złamana.

– Jakiego rodzaju moc czerpiesz z piór? – zapytałem i natychmiast tego pożałowałem.

Rzucił mi spojrzenie tak wrogie, że nie wzniosło się nawet do poziomu pogardy.

– Nie twój pieprzony interes. Tak właściwie zastanawiam się, czego wy i wasz przeklęty

podpułkownik w ogóle chcecie od tego bielika.

Tato zakaszłał.

– Szeregowy i ja nie chcemy od niego absolutnie nic. Ale zdaje się, że podpułkownik jest ciekaw, kto go zabił, wypatroszył i przybił do zbrocza. Błędnie uznał, że pomogę mu się tego dowiedzieć.

Nożownik usiadł z wyprostowanymi plecami.

– Ktoś go rozmyślnie zabił?

– Na to wygląda – powiedział Tato. – Nie widziałeś go?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Widziałem tylko was dwóch i jego skrzydła, a potem uderzył we mnie wiatr, zanim zdążyłem się zbliżyć. Mówisz, że ktoś go wybebeszył?

– Tak. – Tato już nabierał rumieńców. – I przybił gwoździem do ziemi. Coś ci to mówi?

Nożownik spojrzał na niego gniewnie.

– Tak, to mi mówi, że ktoś jest pieprzonym sukinsynem. Jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszałem. – Podrapał się w rzadką brodę. – Chyba że przyjechał tu szaman z któregoś plemienia ze stałego lądu, żeby odprawić jakiś rytuał.

Tato nachylił się do niego. Oczy mu błyszczały.

– Dlaczego zabicie bielika miałoby być rytuałem?

Dłoń mężczyzny opadła na rękojeść noża. Zrobiłem się nerwowy.

– Ludzie nad Jukonem mają legendę o orłach – powiedział. – Wy, biali, uwielbiacie, kiedy dzikusy snują

takie opowieści. Pewnej nocy na Attu powtórzyłem ją nawet kilku oficerom. Mogli na chwilę przestać myśleć o tym, że z ich rozkazów ginie sporo dzieciaków. Obiecali mi za to sześć piw. I nawet je dostałem. – Rzucił Tacie wymowne spojrzenie.

Tato uśmiechnął się lekko.

– Nie mam przy sobie piwa. Mogę ci być dłużny?

Nożownik odpowiedział na uśmiech Taty, szczerząc ponuro zęby.

– Nie zdziw się, kiedy po nie przyjdę. – Nachylił się.

– No dobra. Dawno temu na szczycie wulkanu uwiła gniazdo para wielkich orłów. Mówię o orłach dziewięć, dziesięć razy większych niż te, które żyją dzisiaj. Łapały dorosłe wieloryby i przynosiły do gniazda, żeby nakarmić pisklęta. Czasami, jeśli nie mogły znaleźć żadnego wieloryba, przelatowały nad wioską i porywały kilkoro ludzi. Działo się tak przez wiele lat, a gigantycznym orłom co rok wykluwały się młode. Kiedy dorastały, wiły własne gniazda na innych wulkanach i atakowały inne wioski.

Tato wyciągnął z kieszeni kurtki zapalniczkę Zippo i paczkę cameli.

– Czyli rozprzestrzeniały się jak Niemcy i Japończycy.

Nożownik skinął głową.

– No, może i tak. W każdym razie któregoś dnia jeden z pierwszych orłów, ojciec, poleciał na polowanie i nie znalazł ani renifera, ani wieloryba, ani nic. No i

pomyślał sobie, pieprzyć to, dzieci są głodne. Poleciał więc nad wioskę i porwał kobietę sprzed domu. Zaniósł ją na wulkan, rozerwał na kawałki, wybebeszył i nakarmił swoje ogromne pisklęta.

Wycie wiatru na zewnątrz zmieniło ton na nieco niższy, a Nożownik przerwał opowieść i nadstawił ucha. Tato zapalił papierosa, a potem wyciągnął paczkę w stronę tubylca i mnie. On wziął sobie jednego, ale ja podziękowałem. Obiecałem matce, że nie będę palił.

Wiatr znów zawył bardziej wysoko, kiedy Tato zapalał papierosa Nożownikowi. Potem mężczyzna opowiadał dalej:

– Ale tak się złożyło, że ta biedna kobieta była żoną najlepszego myśliwego w wiosce. – Wydmuchnął dym. – A kiedy myśliwy wrócił i usłyszał, co się stało, wpadł w szal. Wziął swój łuk i strzały i choć wszyscy mówili mu, że jest głupcem, wspiał się na wulkan.

– Większość naprawdę odważnych mężczyzn to głupcy – wtrącił Tato. Wskazał mnie papierosem.

Nie wiedziałem dlaczego.

– Ja tam nie wiem – powiedział Nożownik. – W Zwiadowcach próbujemy być raczej przebiegli niż odważni. To lepsze. No więc kiedy myśliwy dotarł do gniazda orłów, znalazł sześć piskląt, z których każde było trzy razy większe niż żyjący dzisiaj dorosły orzeł. Dookoła leżały połamane kajaki, żebra wielorybów i ludzkie kości. Myśliwy wiedział, że niektóre należą do jego żony i że pisklęta ją zjadły. Każdemu przebił oczy

strzałami, a one padły martwe. Potem usłyszał głośny krzyk z nieba: wracała matka piskląt. Wycelował łuk pod jej skrzydło właśnie w chwili, kiedy miała go pochwycić, a potem przestrzelił jej oczy. Sturlała się z góry i było po niej. Potem rozległ się kolejny głośny krzyk. Tym razem był to ojciec...

– I oczywiście myśliwy zabił też orła-ojca – powiedział Tato.

Nożownik spiorunował go wzrokiem.

– Kto opowiada tę pieprzoną legendę, starcze? Nie, myśliwy nie zabił cholernego orła-ojca. Orzeł atakował go raz po raz i za każdym razem kolejna strzała myśliwego przebijała inną część jego ciała. Ale myśliwy ani razu nie trafił w oko. W końcu więc naszpikowany strzałami wielki orzeł, który właśnie stracił całą rodzinę, odleciał na północ i ani jego, ani żadnego z jego pobratymców już nigdy nie widziano. Ale podobno żyjące dzisiaj orły są potomkami tych, które wcześniej założyły własne gniazda. – Beknął głośno. – A przynajmniej tak głosi legenda.

Tato na powrót oparł się o ścianę, podnosząc wzrok na dziury w dachu i wypuszczając w ich stronę dym.

– Niezła – stwierdził. – Ale brakuje w niej napięcia. Nie jestem pewien, czy jest warta sześciu piw.

– Nie obchodzi mnie, ile według ciebie jest warta – powiedział Nożownik, strzepując popiół z papierosa. – To i tak nie moja opowieść. Matka usłyszała ją dawno temu od Inuitów na stałym lądzie i opowiedziała mi, kiedy

byłem mały. Ale my jesteśmy Unanganami, nie Eskimosami.

– Myślisz więc, że jakiś Eskimos mógł zabić tego orła? – zapytał Tato. – Przybić go do ziemi i wypatroszyć?

Nożownik zmarszczył brwi.

– Tak jak mówiłem, nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem. Ale o wielu rzeczach nie słyszałem. Może niektórzy szamani wciąż żywią urazę do orłów. Ludzie potrafią się gniewać za takie pierdoły przez pięćset, sześćset lat. A może jakiemuś facetowi po prostu przyszło do głowy, że jeśli zabije orła, zdobędzie jego moc i będzie lepszym myśliwym, albo rybakiem, albo wojownikiem. O tym słyszałem. No i wy, biali, lubicie takie rzeczy. To dorzucę za darmo.

Tato mierzył mężczyznę spokojnym spojrzeniem.

– Ale mówisz, że to nie ty zabiłeś orła. Ani żaden inny Unangan.

Pokręcił głową.

– Wątpię. Orły czasem pokazują nam, gdzie są ryby. Czasem w zamian rzucamy im kilka. Jesteśmy w dobrych stosunkach.

Tato skinął głową, oparł się o ścianę ziemianki i zamknął oczy. Zaciągnął się głęboko papierosem.

– Wiele razy objechałem całą placówkę, zarówno obóz armii, jak i marynarki. Ale widziałem bardzo niewiele Aleutów czy Eskimosów. Choćby z tego powodu jest mało prawdopodobne, że naszym zabójcą orłów jest

tubylec.

Choć nie miałem ochoty nic gadać przy Nożowniku, nie potrafiłem już utrzymać języka za zębami. Tato doprowadzał mnie do szału.

– Tam leży martwy człowiek! – krzyknąłem, wskazując palcem zapadnięty fragment dachu. – Kogo teraz obchodzi orzeł?

Tato otworzył oczy i spojrzał na mnie przez kłęb dymu.

– Tak naprawdę ptak nie obchodzi mnie za bardzo – powiedział. – Ale z powodu tego martwego człowieka orzeł stał się nieco bardziej interesujący.

– Dlaczego? – zapytałem, wciąż wściekły. – Tylko dlatego, że gość miał pióro w kieszeni? To nic nie znaczy. Mógł je po prostu znaleźć.

Brwi Taty się uniosły.

– Nie wydaje mi się. Zarówno on, jak i orzeł nie żyją najwyżej dzień. Podobny czas zgonu i pióro w kieszeni człowieka sugerują związek między nimi. Albo zabił orła, a potem miał nieszczęśliwy wypadek... – ponownie utkwiał wzrok w miejscowego – ...albo ten, kto zabił orła lub pomógł mu go zabić, później zamordował i jego.

Nożownik wgniół niedopałek w ziemię.

– Już wam mówiłem. Ja tego nie zrobiłem.

– A ja nadal ci wierzę – zapewnił Tato. – Jestem tylko ciekaw, czy masz pojęcie, kto mógł to zrobić.

– Nie – odparł Nożownik bez chwili wahania.

Tato znów oparł się o ścianę i spojrzał na dziury w

dachu.

– Ja też nie mam pojęcia – powiedział. – Ale myślę, że w jednej kwestii miałeś rację.

– He? – rzucił Nożownik. – W jakiej?

– Kimkolwiek był, to pieprzony sukinsyn. Wiatr zawył głośniej jakby w odpowiedzi.

VIII

Williwaw w końcu osłabł trochę po dwunastej i zostawił po sobie tylko porywiste powiewy. Nasza trójka zmusiła do ruchu zeszywniałe stawy oraz mięśnie i podniosła się z miejsc w głównym pomieszczeniu *ulax*.

Tato i Nożownik przysnęli po tym, jak skończyli palić, ale ja czuwałem. Wiedziałem, kim jest ten nieżyjący człowiek. Ale nie powiedziałem Tacie, bo się bałem, że Nożownik usłyszy.

A to dlatego, że choć nie rozpoznałem tego konkretnego Nożownika, wiedziałem też, kim jest. Na Attu Zwiadowcy Alaskańscy ocalili życie mnie i moim kumplom, ale nie dokonali tego za pomocą dobroci i łagodności, lecz okrucieństwa i bezwzględności względem naszych wrogów.

A ja wiedziałem, że człowiek nie potrafi tego po prostu wyłączyć, kiedy nie jest już potrzebne. Miałem co

do tego absolutną pewność.

Podsadziłem Tatę przez dziurę w dachu, przez którą wcześniej wpadliśmy, a potem podążyłem za nim, podskakując z podniesionej ziemnej platformy przy ścianie, chwytając się kości wieloryba i podciągając się na niej. Dołączyłem do Taty na wzgórku tuż przy *ulax*, mrugając, kiedy wiatr zawiał mi w twarz, a potem obejrzałem się i zobaczyłem, że Nożownik już stoi za mną. Jakby wyfrunął z chaty.

– Czyli to tam w środku to nie nasz pieprzony problem – powiedział, przekrzykując wiatr. – Co do tego się zgadzamy.

Tato pokiwał głową.

– To zwłoki człowieka z marynarki. Szeregowy i ja powiemy więc chłopcom z punktu kontrolnego, żeby przyjechali rzucić okiem. A jeśli zapytają, jak się nazywamy, albo jeśli wiedzą, kim jestem, poradzę sobie z nimi. To dwudziestolatki, którym przypadła służba w punkcie kontrolnym u podnóża wygasłego wulkanu. Nie są więc najbystrzejszymi umysłami naszej operacji wojskowej.

Nie podobało mi się to, co mówił Tato. Ale na razie trzymałem język za zębami.

Nożownik kiwnął głową.

– No dobra. – Odwrócił się i zaczął schodzić ze zbocza.

– Mamy dzipa – zawołał za nim Tato.

Nożownik nawet się nie obejrzał. Tato zerknął więc

na mnie i wzruszył ramionami, po czym ruszyliśmy z powrotem w kierunku, z którego przyszliśmy. Kilka sekund później, kiedy znów obrzuciłem wzrokiem zbocze, nie zobaczyłem już mężczyzny.

Gdy dotarliśmy na miejsce, gdzie wcześniej był przybity orzeł, przez moment przemknęło mi przez głowę, że poszliśmy w złym kierunku. Ale wtedy dostrzegłem kamienie, których użyłem jako znaczników. Byliśmy więc jednak na właściwym miejscu. Orzeł po prostu zniknął. Gwoździe też. I moja manierka.

– Zwiadowca miał rację – powiedział Tato. – Wiatr go porwał.

Wysilając wzrok, potrafiłem dostrzec ciemniejsze plamy na połaci nagiej ziemi, gdzie wcześniej leżał ptak, a kiedy spojrzałem w górę, wydało mi się, że widzę w oddali kilka pojedynczych piór. Ale sam bielik był już gdzieś daleko. Może w oceanie. Może nawet na Attu.

– To dobrze – stwierdził Tato, ruszając w stronę dżipa. – Teraz możesz z czystym sumieniem powiedzieć podpułkownikowi, że orzeł zniknął. Albo prawie czystym. Jedno jest pewne: przepadł. Dzięki temu powinienem móc wrócić do gazety, zanim przyjdzie mu do głowy inny sposób dręczenia mnie.

Spojrzał na mnie i odsłonił te okropne zęby w uśmiechu, jakbym powinien być zadowolony z tego, jak potoczyła się sprawa. Ale ja nie widziałem powodów do radości.

– A co z człowiekiem w chacie? – zapytałem.

Tato zmarszczył brwi.

– Zawiadomimy marynarke.

– Wiem. Ale co mam powiedzieć pułkownikowi?

Tato się zatrzymał i położył mi dłoń na ramieniu.

– Posłuchaj, synu. – Jego spojrzenie było pewne i poważne. – Teraz nie żartuję. Słuchasz mnie?

Skinąłem krótko głową.

– No dobrze. – Tato nabrał głęboko powietrza przez usta i wypuścił nosem. – Kiedy zobaczysz się z podpułkownikiem, nie wspominaj o zwłokach. Zgodnie z rozkazami przywiozłeś mnie tutaj, żeby pokazać mi orła, a on zdążył zniknąć. To wszystko. Rozumiesz?

Rozumiałem. Ale mi się to nie podobało.

– To niewłaściwe – powiedziałem.

Tato opuścił rękę i spojrzał na mnie tak, jakbym go właśnie spoliczkował.

– Niewłaściwe? O ile bardziej „właściwa” byłaby cała prawda? Przede wszystkim nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, co przytrafiło się bielikowi. Więc nie ma sposobu na dostarczenie podpułkownikowi tej informacji. A teraz orzeł zniknął, co oznacza, że problem też zniknął.

– Wiesz, że nie mam na myśli orła.

Teraz spojrzenie Taty zrobiło się więcej niż poważne – stało się ponure.

– Tak, znaleźliśmy trupa. A leżący niedaleko wypatroszony orzeł i pióro w kieszeni martwego nasuwają pewne pytania. Ale są to pytania, na które nie potrafimy odpowiedzieć. Najprostsze wyjaśnienie? Śmierć

marynarza była wypadkiem. Przyszedł tutaj, sam albo z towarzyszami, upił się i uderzył w głowę, kiedy stracił przytomność. Ale nawet jeśli było to nieumyślne spowodowanie śmierci albo morderstwo, był z marynarki i sprawca zapewne też. Więc powiemy o tym ludziom z marynarki. Potem to już nie będzie nasza sprawa. Poza tym, żołnierzu, jak sądzisz: co zrobiłby podpułkownik, gdybyś go o tym zawiadomił?

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem tylko w ponure oczy Taty.

– Powiem ci. Wielokrotnie by nas przesłuchiwał. Zmusiłby nas do przyjechania tu ponownie, z żandarmerią. Rozkazałby nam wypełnić sprawozdania w trzech kopiach. Ja musiałbym zamieścić pełny spekulacji, sensacyjny artykuł w „Orle”, choć to sprawa marynarki i ani trochę nie dotyczy naszych chłopców. A potem przepytałby nas ponownie i kazałby nam wypełnić jeszcze trochę raportów. I po co to wszystko? Jaki byłby tego skutek?

Znałem odpowiedź.

– Skutek byłby taki, że ten człowiek wciąż by nie żył. I wciąż byłaby to sprawa marynarki – powiedziałem.

Tato wycelował we mnie palec.

– Otóż to. Zawiadamianie o tym podpułkownika absolutnie niczego nie zmieni.

Obejrzałem się na *ulax*.

– To wciąż niewłaściwe – stwierdziłem.

Zimne, ponure spojrzenie Taty złagodniało.

– W śmierci młodego człowieka nigdy nie ma nic właściwego. Szczególnie jeśli to bezsensowna śmierć. Ale w tej wojnie zginęło wielu młodych ludzi, część z nich też bezsensownie. Więc jedyne, co możemy zrobić, to tylko to, co trzeba zrobić, nic więcej. Ponieważ próba zrobienia czegoś więcej byłaby tylko mnożeniem rzeczy niepotrzebnych. – Wsunął ręce do kieszeni kurtki. – A w tym wypadku musimy powiedzieć ludziom z marynarki. I tyle.

Potem znów ruszył w stronę dżipa. Ale ja nie poszedłem za nim.

– To się na tym nie skończy – zawołałem.

Odwrócił się i spiorunował mnie wzrokiem. Wiatr szarpał jego siwe włosy.

– Dlaczego nie? – krzyknął.

Wskazałem kciukiem za siebie.

– Bo to ja nabiłem mu tego siniaka pod okiem.

Tato patrzył na mnie przez długą chwilę, a jego chude jak patyk ciało chwiało się nieco. Odniosłem wrażenie, że nie rozumie.

– To jemu skopałem wczoraj tyłek na ringu – dodałem.

Tato tylko gapił się na mnie przez kolejnych kilka sekund. Potem wyciągnął prawą rękę z kieszeni i uniósł, jakby chciał poprawić okulary. Ale zamarł, kiedy zobaczył, że trzyma zgięte orle pióro, które znalazł przy zwłokach.

Zobaczyłem, że jego wąskie usta ruszają się pod

wąsem. Jeśli odezwał się na głos, mówił zbyt cicho, żebym go usłyszał. Ale odczytałem słowa z ruchu warg.

– Same problemy – powtórzył.

IX

Tym razem ja zostałem w dżipie, a Tato rozmawiał z chłopakami z marynarki w punkcie kontrolnym. Powiedział, że będzie lepiej, jeśli pozwolę mu się tym zająć. Przyszło mi do głowy, że mogą dać mu do wiwatu, bo tego ranka podczas rozmowy ze mną nie mieli dobrych humorów. Kiedy jednak o tym wspomniałem, Tato zaśmiał się słabo. Zapewnił mnie, że to nie problem.

Potrwało to może dwadzieścia minut, może dłużej. Ale w końcu Tato wrócił do dżipa. Przez otwarte drzwi budy widziałem, że jeden z ludzi rozmawia z kimś przez telefon.

– Jedźmy – powiedział Tato.

Wciąż miałem wrażenie, że robimy coś niewłaściwego. Znałem tego nieżyjącego gościa, nawet jeśli tylko przez kilka chwil, na ringu. I choć widziałem, co stało się z tyłem jego głowy, choć wiedziałem, że musiało się to stać właśnie tam, gdzie go znaleźliśmy, nie potrafiłem wyzbyć się przekonania, że do jego śmierci w jakiś sposób przyczyniło się to, że mu poprzedniego dnia

przyłożyłem.

Tato trącił mnie w ramię.

– Powiedziałem: jedźmy. Może będziemy musieli odpowiedzieć na kilka pytań tego, kto się tym zajmie, ale to mało prawdopodobne. Chłopcy powiedzieli mi, że *ulax*, który znaleźliśmy, jest świetnie znany ich towarzyszom jako niezatwierdzony barak rekreacyjny. Nigdy nawet nie słyszeli o tym, żeby korzystał z niego personel armii. Czyli to naprawdę sprawa marynarki.

Nie odpowiedziałem. Zamiast tego uruchomiłem dżipa, którym z klekotem i wyciem silnika wróciliśmy do obozu. Po drodze nie próbowałem rozmawiać z Tata. Nawet na niego nie patrzyłem.

On też ani razu się do mnie nie zwrócił, dopóki nie zatrzymałem dżipa na Main Street, przy końcu chodnika z desek prowadzącego pod górę do baraku redakcji gazety. Nie chciałem wyłączyć silnika, sam zgasł.

– Możesz wrócić do pracy – powiedziałem. Patrzyłem na Main Street, na długie rzędy baraków, na rozrzucone gdzieś wśrodku nich, zbudowane byle jak drewniane chaty... na ludzi brnących tu i tam przez czerwcowe błoto... na huśtające się, buczące kable telefoniczne między słupami... na czarne kruki polatujące nad tym wszystkim w szarym powietrzu. Wciąż nie spojrzałem na Tatę.

– Powiem pułkownikowi, że orzeł zniknął. Jak kazaleś.

Tato zakaszlał parę razy.

– A co z trupem? – zapytał. – Wspomnisz o nim czy posłuchasz mojej rady i zostawisz go marynarce?

Wtedy w końcu na niego spojrzałem. Zobaczyłem wychudłego, zmęczonego, starego człowieka. Może i miał pięćdziesiątkę, ale według mnie wyglądał na co najmniej osiemdziesiąt lat. A ja chciałem go nie lubić bardziej, niż go nie lubiłem. Chciałem go nienawidzić.

– Powiem mu, że znalazłem ciało – odparłem. – Ale nie będę cię w to mieszał. Nożownika też nie, bo tak się umawialiśmy. Powiem tylko, że dostrzegłem *ulax* i poszedłem się rozejrzeć, ale tobie zrobiło się niedobrze i wróciłeś do dżipa. Powiem mu, że znalazłem nieżyjącego gościa i opowiedziałem ci o nim, ale że ty go nie widziałeś. I że zjechaliśmy na dół i powiedzieliśmy ludziom z marynarki.

Tato zmarszczył brwi.

– To nie wystarczy. Po takiej historyjce będzie się chciał bawić w detektywa. Czyli i tak spróbuje mnie w to wciągnąć.

Wzruszyłem ramionami.

– To najlepsze, co mogę zrobić. Znalazłem trupa, kiedy wypełniałem polecenie pułkownika, i muszę mu o tym powiedzieć. Tym bardziej że zorganizował mi walkę z tym facetem. Więc nawet jeśli marynarka się tym zajmie, on i tak się dowie. A gdy się dowie, gdzie i kiedy go znaleźli, zapyta mnie o to. Więc muszę mu powiedzieć. Jeśli tego nie zrobię, potem będzie jeszcze gorzej.

Tato zagryzł wargę, a ja dostrzegłem, jak przesuwają

się jego sztuczne zęby. Wepchnął je kciukiem z powrotem na miejsce. Potem popatrzył w głąb Main Street, tak jak ja przed chwilą.

– Od rana się nad czymś zastanawiam – powiedział cicho. – Jak to się w ogóle dzieje, że podpułkownik zrobił z szeregowca swojego adiutanta? Oficerowie o randze wyższej niż kapitan zazwyczaj nie zadają się z żołnierzami o stopniu poniżej starszego sierżanta. Chyba że żołnierz o niższej randze może się przydać do czegoś innego. Jak ja.

– No to pewnie ja też się przydam do czegoś innego – odparłem. – Poza tym nie jestem jego adiutantem. Ma do tego porucznika. Ale kiedy wróciliśmy z Attu, powiedział, że każe mnie przenieść do plutonu technicznego, żebym był pod ręką do innych rzeczy. Teraz załatwiam dla niego różne sprawy. Czyszczę mu buty. Dostarczam wiadomości. Boksuję. A kiedy mnie nie potrzebuje, wracam do swojego plutonu i próbuję nie słuchać tego gówna, które opowiadają o mnie pozostali.

Tato znowu zakaszłał. Nie brzmiało to dobrze, ale pewnie był do tego przyzwyczajony.

– Nie odpowiedziałeś tak naprawdę na moje pytanie – powiedział. – Wyjaśniłeś, co dla niego robisz. Ale nie wyjaśniłeś, dlaczego akurat ciebie wybrał. Jak to się stało, że zwrócił uwagę akurat na ciebie, spośród wszystkich żołnierzy?

Znowu mnie dźgał słowami. Przemknęło mi przez głowę, czyby mu na stałe nie wybić tych sztucznych

zębów.

Zamiast tego mu powiedziałem, tyle, ile potrafiłem powiedzieć:

– To było na Attu. – Mój głos rozbrzmiewał mi głucho w czaszce. – Zaraz po szarży banzai Japońców. Wtedy niektórzy z tych małych drani mieli już tylko bagnety przywiązane do patyków. Ale wciąż pojawiali się kolejni. Mój oddział został zepchnięty aż do linii zaopatrzenia, zanim nadeszli ostatni. Jednego nawet pojмалиśmy. Miał miecz, ale któryś z nas trafił go w rękę i potem nie miał już nic. No to żeśmy go przewrócili, usiedliśmy na nim i związaliśmy mu nadgarstki na plecach moimi sznurówkami. – Spojrzałem gniewnie na Tatę. – Nasz sierżant zginął i wtedy poza mną było już tylko dwóch facetów. Kiedy związaliśmy Japońca, ci dwaj zostawili mnie z nim i poszli szukać reszty naszego plutonu. Potem pojawił się pułkownik. On też stracił kontakt ze swoją jednostką i chciał, żebym pomógł mu ją znaleźć. Ale miałem jeńca. Więc pułkownik wydał mi rozkaz.

Tato wyglądał na zaintrygowanego.

– I co?

– I wypełniłem rozkaz.

Tato na moment odwrócił wzrok, a potem znów na mnie spojrzał. Pomyślałem, że każe mi powiedzieć to na głos.

Ale potarł ręką szczękę, podniósł oczy do nieba i westchnął.

– No dobra – mruknął. – Pójdę z tobą porozmawiać z podpułkownikiem. Nie będziesz musiał mu mówić, że nie widziałem zwłok. Ale naszego przyjaciela ze Zwiadowców Alaskańskich nie możemy w to mieszać. A ja najpierw muszę pójść do redakcji, żeby dopilnować, by chłopcy zaczęli pracę nad jutrzejszym wydaniem. Nie ma tam nikogo o randze wyższej od kaprała, a oni odmawiają wypełniania nawzajem swoich poleceń, jeśli ja im nie każę. Ja oczywiście też jestem kapralem, ale nasz ukochany generał obdarzył mnie boską władzą w tym małym zakątku. Jest moim wielbicielem. Okazało się, że ci chłopcy z marynarki na Mount Moffett też. Choć odniosłem wrażenie, że jeden z nich tak naprawdę lubi raczej filmy z Bogartem, a drugi sądzi, że będę mógł go przedstawić Myrnie Loy. Ale obaj byli pod wrażeniem, że udało mi się poznać Olivię de Havilland, kiedy tu przyjechała.

Tato lubił mówić o sobie trochę więcej, niż mi się podobało. Ale jeśli miał zamiar postąpić właściwie, nie obchodziło mnie to.

Wysiadłem z dżipa.

– Pójdę z tobą do redakcji. Na wypadek gdybyś zapomniał wrócić.

Tato też wysiadł.

– Żołnierzu, zapewniam cię, że na tym etapie już nigdy o tobie nie zapomnę.

Po krótkich odwiedzinach w najbliższej latrynie wspięliśmy się do baraku redakcji. Tato wszedł pierwszy,

ale zatrzymał się raptownie tuż za drzwiami. Prawie na niego wpadłem.

– Co, do diabła? – rzucił.

Ponad ramieniem Taty zobaczyłem dziewięciu ludzi stojących na baczność, w tym trzech, których widziałem w baraku tego ranka. Wyglądali jak posągi i wlepiali wzrok w ścianę przed sobą. Nawet nie zerknęli na Tatę.

Ktoś po lewej odchrząknął. Rozpoznałem głos.

Spojrzałem w stronę stołu, na którym Tato przysnął dziś rano, i zobaczyłem, że z krzesła wstaje pułkownik. Adiutant stał tuż za nim, mierząc pracowników gazety wrogim spojrzeniem. Odniosłem wrażenie, że kazano im stać na baczność za karę.

Pułkownik poprawił furażerkę, postukał paznokciem w naszyty na nią srebrny listek dębowy, a potem poprawił pasek na niewielkim brzuszku i się przeciągnął. Nie był roslym mężczyzną, ale kiedy się przeciągał, wyglądał na wyższego. W jego ciemnych oczach o ostrym spojrzeniu pojawił się jakby błysk, kiedy kiwnął głową z zadowoleniem i podrapał się w różowy, nieco obwisły policzek.

– Najwyższa pora, do cholery – powiedział ze swoim mocnym teksaskim akcentem. Potem obejrzał się na adiutanta. – Wszyscy na zewnątrz poza tymi dwoma. Ty też.

Adiutant strzelił obcasami i wskazał drzwi.

Tato i ja się odsunęliśmy, kiedy pracownicy redakcji wychodzili. Wszyscy mierzyli go zdziwionymi

spojrzeniami, kilku próbowało z nim rozmawiać. Wtedy adiutant zaczął na nich warczeć i ruszyli w stronę drzwi.

Adiutant wyszedł ostatni i zamknął za sobą drzwi. W baraku został tylko pułkownik, Tato i ja. Na desce kreślarskiej przy prawej ręce Taty zauważyłem skończony rysunek przedstawiający dwóch żołnierzy, którzy pili piwo na śniadanie. Jeden mówił do drugiego: „Wodnisty jęczmień jest znacznie lepszy od wodnistych jajek!”.

Tato miał zmarszczone brwi. Wlepiał chmurny wzrok w pułkownika.

– Nie wiem, jak długo musieli tak stać – powiedział.
– Ale porozmawiam o tym z generałem, kiedy wróci.

Uśmiech pułkownika wyglądał prawie jak grymas.

– Wszystko w swoim czasie. Teraz interesuje mnie co innego. Otrzymałem telefon od porucznika marynarki, który powiedział mi, że na Mount Moffett znaleziono zwłoki marynarza. Powiedział mi, że zwłoki odkrył pan, kapralu. Gram w karty z tym człowiekiem. Jest bystry. Wierzę mu.

Tato usiadł na stołku rysownika. Wciąż był kilka centymetrów wyższy ode mnie i pułkownika.

– To prawda – przyznał Tato. Wciąż marszczył brwi, ale na powrót zaczął mówić chłodnym, pełnym wyższości tonem. – Na pana prośbę pojechałem z tym żołnierzem poszukać martwego orła, którego wcześniej znalazł. Okazało się jednak, że ptaka porwał wiatr. Potem zaczął wiać williwaw, więc schroniliśmy się w starej aleuckiej chacie. To tam znaleźliśmy tego nieszczęsnego

marynarza.

Pułkownik zwrócił się do mnie:

– Rozumiem, że to z tym marynarzem wczoraj się biłeś.

– Tak jest, pułkowniku – odparłem. Kiedy tylko się do mnie odezwał, odruchowo stanąłem na baczność.

– Co się stało? – zapytał pułkownik. – Próbował ci znowu przywalić? – Wciąż się uśmiechał w sposób, który według niego zapewne miał być ojcowski. – Czy to była samoobrona, żołnierzu?

Poczułem się tak, jakby ktoś wbił mi sopel lodu w kręgosłup przez czaszkę.

– Pułkowniku. – Nie wiem, jak mi się to udało, ale głos mi nie drżał. – Nie żył, kiedy go znaleźliśmy.

Ojcowski uśmiech pułkownika zbladł.

– Jesteś pewien? A może kaprał kazał ci tak mówić?

Tato patrzył teraz na pułkownika zmrużonymi oczami. On też się uśmiechał, ale był to ponury, znaczący uśmiech.

– Sukinsyn – powiedział.

Pułkownik odwrócił się do niego, rozwścieczony. Jego różowa twarz zrobiła się purpurowa.

– Nie mówiłem do pana, kapralu! – warknął. – Kiedy będę chciał uzyskać odpowiedzi od zapijaczanej, zżeranej chorobą byłej gwiazdy, która nie napisała książki od dziesięciu lat, natychmiast się do pana zwrócę. Teraz jednak posłucham odpowiedzi szeregowego.

Tato pokiwał głową.

– Jasne. To tylko dzieciak, który nie ma po swojej stronie generała. Więc teraz robi pan z niego taki sam użytek jak na Attu. Co się tam w ogóle stało?

– Wygraliśmy – powiedział pułkownik. – Na pewno nie dzięki takim jak pan.

Tato uniósł dłonie.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej. Byłem wtedy w Stanach, gdzie na koszt Wujka Sama wyrywano mi spróchniałe zęby.

Pułkownik podszedł do Taty i przez moment miałem wrażenie, że da mu w twarz.

– Jesteś tylko zadowolonym z siebie, uprzywilejowanym, komunistycznym kutasem – syknął. – Generał może tego nie widzi, ale ja tak. Czytałem pochlebne artykuły, które drukujesz o zwycięstwach Sowietów. Równie dobrze mógłbyś walczyć po stronie Japońców.

Tato otworzył szeroko oczy.

– Pułkowniku, już rozumiem, że pana nastawienie do mnie jest wyłącznie moją winą. Z perspektywy czasu bardzo żałuję, że nie przyjąłem pana zaproszenia na kolację. Na swoją obronę mogę jednak powiedzieć, że zanim je pan wystosował, zdążyłem już się zaznajomić z próbką tekstu pana autorstwa. I była ona wprost okropna.

Pułkownik poczerwieniał jeszcze bardziej. Uniósł rękę.

Potem, zamiast uderzyć Tatę, sięgnął do deski kreślarskiej, chwycił rysunek i podarł go na kawałki, które

upuścił na podłogę u stóp Taty.

– Koniec żartów na temat piwa – oświadczył. – Osłabiają dyscyplinę. Szczególnie jeśli rysuje je czarnuch.

Potem spojrzał na mnie, a kolor jego twarzy powoli zaczął wracać do normy.

– Żołnierzu – powiedział już ciszej – musimy porozmawiać. Właśnie idę na obiad, a potem muszę się spotkać z kilkoma oficerami. Resztę popołudnia oraz wieczoru mam zajętą. Masz więc stawić się w moim biurze o dwudziestej pierwszej. Nie wcześniej, nie później. Zrozumiano?

– Tak jest, pułkowniku – powiedziałem.

Skinął krótko głową.

– Dobrze. Tymczasem masz zostać w baraku. Jeśli potrzebujesz jedzenia, weź je sobie. Ale potem idź na swoją pryczę i z nikim nie rozmawiaj. Zalecam, żebyś dokładnie się zastanowił, co się dzisiaj wydarzyło i co mi o tym powiesz. Jeśli zrobiłeś to w samoobronie, będę mógł ci pomóc. W przeciwnym razie możesz mieć kłopoty. – Zerknął na Tatę, a potem znowu na mnie. – I trzymaj się z daleka od kaprała.

– Tak jest, pułkowniku.

Pułkownik wskazał drzwi, więc odwróciłem się i wymaszerowałem. Mignął mi adiutant i pracownicy gazety, którzy stali pod ścianą baraku, a potem ruszyłem chodnikiem w dół, w stronę Main Street. Uderzył mnie podmuch wiatru i zadrzałem. Musiałem jeszcze odstawić dzipa na parking. Potem wziąć sobie trochę żarcia. I pójść

na pryczę. Po kolei. Dżip, żarcie, prycza. Dżip, żarcie, prycza.

Pułkownik, zdaje się, myślał, że zabiłem tego marynarza. I że Tato kazał mi na ten temat kłamać.

Dżip, żarcie, prycza.

Tato faktycznie kazał mi kłamać, ale nie o tym. Bo to się nie zdarzyło.

A może tak? Czy mogłem zrobić coś takiego i o tym zapomnieć? Dlaczego nie? Przecież zrobiłem już wiele złych rzeczy.

Dżip, żarcie, prycza.

Wiedziałem na pewno tylko tyle, że pułkownik nienawidzi Taty i że wpadłem w tarapaty w chwili, kiedy znalazłem orła.

Dżip, żarcie, prycza. To nie pomagało.

Żałowałem, że w ogóle zobaczyłem tego bielika. I *ulax*.

Żałowałem, że po Attu spotkałem jakiegokolwiek Nożownika.

Żałowałem, że nie mogłem zostać w swojej jednostce bojowej.

Żałowałem, że poznałem Tatę.

Żałowałem, że w ogóle wysłano mnie na Aleuty.

Żałowałem, że przywaliłem temu bogatemu dzieciakowi z Omahy i nie mogłem zostać w domu dość długo, żeby pomóc staremu w sianokosach.

X

Miałem barak dla siebie, kiedy czekałem, aż popołudnie powoli się przeczołga. Nie wiedziałem, co robi reszta moich towarzyszy z baraku, ale to nie miało znaczenia. Miałem ochotę ich znaleźć i trochę popracować, żeby nie musieć myśleć. Ale dostałem rozkaz, żeby się stąd nie ruszać.

Nie wiedziałem, co poza prawdą powiedzieć pułkownikowi, kiedy w końcu nadejdzie dwudziesta pierwsza. Nawet gdybym wyjawiał każdy szczegół, nawet to, o czym postanowiliśmy z Tatą nie wspominać, to i tak nie będzie to, co pułkownik chce usłyszeć. A ja wiedziałem, że nie jestem na tyle bystry, żeby wykombinować, co chce usłyszeć.

Nie wziąłem sobie nic do jedzenia. Miałem boleśnie ściśnięty żołądek i wiedziałem, że powinienem być coś zjeść. Ale byłem też prawie pewien, że od razu bym to zwrócił.

Jasne, zdarzyło mi się już mieć kłopoty. Ale wtedy byłem tylko głupim Pepikiem, który wdał się w bójkę, zwędził hudsona i obraził sędziego. Niezbyt się tym przejąłem. Tym razem było zupełnie inaczej.

Nie byłem nawet do końca pewien, co się właściwie zdarzyło tym razem. Wiedziałem jednak, że innemu dzieciakowi – bardzo podobnemu do mnie, tyle że

służącemu w marynarce – ktoś zmiażdżył czaszkę. A pułkownik myślał, że zrobiłem to ja.

Wszystko to raz po raz przemykało mi przez głowę, a w żołądku ścisnęło mnie coraz bardziej. Położyłem się na pryczy i zamknąłem oczy, ale nie mogłem zasnąć. Na zewnątrz aleucki wiatr gwizdał i jęczał, a o blachę falistą baraku grzechotał czasem deszcz. Od czasu do czasu słyszałem, że na lotnisku samoloty startują lub lądują z rykiem. Próbowałem zgadnąć, co to za samoloty, ponieważ naloty bombowców z Adak właściwie się skończyły, kiedy już odzyskaliśmy Attu i Kiskę. Ale domyślanie się modelu samolotu po dźwięku silnika nigdy nie wychodziło mi najlepiej. Jeśli nie chodziło o silnik traktora albo dżipa, nie potrafiłem się rozeznać.

– Pierwsze wrażenie może być tak mylące – odezwał się niski, spokojny głos.

Otworzyłem oczy. Na stołku obok mojej pryczy siedział Tato. Garbił się, opierając łokcie o kolana. Splótł dłonie pod brodą i przyglądał mi się ciemnymi oczami znad okularów. Nie usłyszałem, jak wchodził.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mam pryczę? – zapytałem.

Tato zignorował to pytanie.

– Nie dalej jak dziś rano, żołnierzu – ciągnął – robiłeś wrażenie takiego twardego, zaprawionego w bojach. A jednak oto ledwie dziewięć godzin później leżysz tu jak worek z piaskiem. Pokonany. Rozgromiony.

– Czy te słowa nie znaczą to samo?

Tato rzucił mi ten swój cienki uśmiezek.

– Chodzi mi o to, że się nie bronisz. To mi nie pasuje do kogoś, kto miał śmiałość przyłożyć tamtemu bogaczowi z Omahy.

Odwróciłem się do niego plecami, twarzą do zimnej, metalowej ściany baraku.

– Dostałem rozkazy – powiedziałem. – I mam z tobą nie rozmawiać.

Tato wybuchnął długim, suchym śmiechem, który zakończył się zwyczajowym uporczywym kaszlem.

– Dostałeś rozkazy? – zapytał między kaszlnięciami.
– A jak według ciebie wpakowałeś się w ogóle w tę całą zagmatwaną imitację sądu polowego? Wypełniałeś rozkazy, oto jak. Zatem z logicznego punktu widzenia jedynym wyjściem z obecnej sytuacji jest przeciwstawienie się rozkazom, choćby ten jeden raz. Jest dopiero szesnasta trzydzieści, a podpułkownik nie będzie cię szukał aż do dwudziestej pierwszej. Już zmarnowałeś ponad dwie godziny, użalając się nad sobą, więc sugeruję, żebyś więcej nie tracił czasu.

Na powrót zwróciłem się do niego.

– Co niby mam zrobić? – zapytałem. – Nie mam wyboru: muszę opowiedzieć mu o wszystkim, co się stało, i pieprzyć to, co obiecaliśmy Nożownikowi. Więc to właśnie zrobię.

Tato pokręcił głową.

– Nie możesz powiedzieć mu wszystkiego – oznajmił
– ponieważ nie wiesz wszystkiego.

– A ty wiesz?

– Nie. – Tato wstał i wskazał kciukiem drzwi. – Ale wiem trochę i mam zamiar dowiedzieć się reszty. Widzisz, w odróżnieniu od ciebie przez ostatnie kilka godzin coś robiłem. Moim zadaniem jest zdobywanie wiadomości, a to w sporej mierze wymaga nakłaniania ludzi, żeby z tobą rozmawiali. Więc od dwóch godzin ludzie sporo rozmawiali ze mną i moimi chłopcami. Ale teraz chłopcy muszą pracować nad gazetą. A mój rysownik musi stworzyć nowy rysunek, za co mam ochotę się zemścić.

– No to się mścij – powiedziałem. – Co to ma wspólnego ze mną?

Tato nachylił się nade mną i spojrzał na mnie gniewnie.

– To też twoja zemsta. Poza tym nie sądzę, żebym mógł dowiedzieć się reszty, jeśli nie pójdziesz ze mną.

Podparłem się na łokciach i podniosłem na niego wzrok. To prawda: wypełnianie rozkazów nie wyszło mi na dobre. Ale nie rozumiałem, jak mogłoby mi pomóc posłuchanie Taty.

– Wspomniałeś, że trochę już wiesz. Powiedz mi.

Tato się zawahał. Potem się odwrócił, przeszedł na drugą stronę baraku i usiadł na pustej pryczy.

– Wiem, że podpułkownik postawił na ciebie we wczorajszej bójce – powiedział. – Sporo postawił. I wiem, że twój przeciwnik słynął jako świetny bokser. Wygrał osiemnaście pojedynków, sześć przez nokaut. Ile ty wygrałeś?

– Dwa – odparłem. – Wczoraj była moja druga walka. Pierwszą stoczyłem z facetem, na którego pryczy siedzisz. O wyniku zdecydował sędzia.

Tato zmrużył oczy.

– Więc każdy rozsądny postawiłby wczoraj na marynarza. A ja widziałem tę walkę, żołnierzu. Wygrywał. Aż do trzeciej rundy, kiedy to opuścił lewą gardę. Jak powiedziałeś mi dziś rano, wykorzystałeś tę szansę. Kto by tego nie zrobił?

Usiadłem na skraju pryczy. Poza ściśniętym żołądkiem dokuczał mi teraz pulsujący ból z tyłu głowy.

– Chcesz powiedzieć, że walka była ustawiona – stwierdziłem.

– Gdybyśmy się mieli zakładać, powiedziałbym, że tak. – Tato machnął ręką. – Ale zostawmy to na razie. Zamiast tego zastanów się nad kilkoma rzeczami. Przede wszystkim wiemy, że *ulax*, który znaleźliśmy, był miejscem nieoficjalnych rozrywek marynarzy. Martwy człowiek należał do marynarki. A chłopcy z marynarki, z którymi rozmawialiśmy, powiedzieli, że nie słyszeli, żeby zabawiał się tam ktokolwiek poza nimi. Przecież kontrolują dostęp do tej części wyspy. A jednak podpułkownik wysłał cię tam, ponieważ, jak twierdził, otrzymał doniesienia, że żołnierze z armii spotykają się tam z pielęgniarkami. Co niezbyt pasuje do wersji marynarki.

– To może i trochę dziwne – powiedziałem. – Ale nie dowiedziałeś się tego w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Tato spuścił wzrok i znów splótł palce.

– Nie – odparł. Odgłosy szalejących na zewnątrz żywiołów prawie zagłuszały jego głos. – Dziś po południu dowiedziałem się jeszcze dwóch rzeczy. Po pierwsze, podpułkownik wkrótce będzie miał szansę na awans na pułkownika. Znowu. Po tym, jak poprzednio przynajmniej raz pominięto go przy awansach. Wiem, że bardzo tego chce. Tak bardzo, że byłby gotów uciec się do najróżniejszych zabiegów, żeby to sobie zapewnić.

Tato umilkł. Wciąż patrzył w podłogę.

Wstałem. Bolały mnie brzuch i głowa. Wydawało mi się, że znam odpowiedź na swoje drugie pytanie. Ale i tak musiałem je zadać.

– Powiedziałeś, że dowiedziałeś się dwóch rzeczy. A ta druga?

Tato podniósł na mnie wzrok. Pierwszy raz tego dnia zobaczyłem u niego tak łagodny wyraz twarzy. Wyglądał dobrotliwie. Współczująco. Już wcześniej miałem ochotę go uderzyć, ale nie tak bardzo jak teraz.

– To tak naprawdę nic nowego – stwierdził. – Już mi to powiedziałeś. Albo prawie. Ale oczywiście wiem, jaki rozkaz dostałeś od podpułkownika na Attu.

Zacisnąłem pięści. Może jednak uderzę tego starca. Może przez dłuższą chwilę nie przestanę go bić.

– Nie powiem tego głośno, jeśli nie chcesz – ciągnął Tato.

Odwróciłem się i ruszyłem w stronę drzwi. Nie miałem pojęcia, dokąd mam zamiar pójść, wiedziałem

tylko, że chcę się oddalić od Taty.

Poszedł za mną i zatrzymał, kładąc mi rękę na ramieniu, a ja odwróciłem się błyskawicznie, wymierzając mu prawego sierpowego. Odchylił się w samą porę i moja pięść otarła się o jego wąsa.

– Jezu Chryste, synu! – krzyknął.

Chwyciłem go za chude ramiona i odepchnąłem. Zatoczył się do tyłu, ale nie upadł.

– To był Japoniec – rzuciłem. Cały się trząsałem. – Ledwie pięć minut wcześniej próbował mnie zabić. To był rozkaz. To był rozkaz pieprzonego pułkownika.

Tato nabrał głęboko tchu i poprawił okulary.

– To był rozkaz – powtórzyłem.

Tato kiwnął głową.

– Wiem. Teraz chcę, żebyś mnie posłuchał. Słuchasz, żołnierzu?

Zgromiłem go spojrzeniem.

– A zatem – zaczął Tato. – Nikt, naprawdę nikt... ani twój kapelan, ani generał, ani nikt z rodziny, a na pewno nie ja... nikt nie potępiłby cię za to, co zrobiłeś. W innych okolicznościach ten Japoniec tak samo postąpiłby z tobą, nie czekając nawet na rozkaz.

Wciąż miałem go przed oczami, jak tak leżał, a jego krew nagle zabarwiła cienką skorupę śniegu szkarłatem. Był drobny jak dziecko. Jego mundur wyglądał jak brudne ubranka do zabawy.

Był Japońcem. Ale leżał na ziemi. Z rękami związanymi za plecami. Nie miał miecza.

Tato jeszcze nie skończył.

– Problemem nie jest to, że wypełniłeś rozkaz. Problemem jest to, że choć walczyliście na Attu z trzema tysiącami Japońców, wzięliście tylko dwudziestu ośmiu jeńców. Nie twierdzę, że zabicie reszty było złem. Ale jeńcy mogą być przydatni. Szczególnie jeśli to dowódcy. A człowiek z mieczem mógł być dowódcą. Więc ktoś mógł chcieć zadać mu kilka pytań, na przykład o jego stopień, przełożonych, mapy, rozkazy, liczebność żołnierzy na Kisce i gdzie Yamamoto chodzi się rano wysrać. Coś w tym rodzaju.

Tato znowu dużo mówił. Męczyło mnie to. A samolot Yamamoto zestrzelono na miesiąc przed tym, jak trafiliśmy na Attu. Ale teraz przynajmniej mogłem myśleć o czymś innym.

– Chcesz powiedzieć, że potrzebny nam zapas Japońców? – zapytałem.

Tato uśmiechnął się cienko, jak to on.

– Chcę powiedzieć, że podpułkownik z wywiadu głupio postąpił. Nie powinien się nawet zbliżać do pola bitwy. Ale szarża banzai wylądowała strasznie blisko jego pozycji. Więc z gniewu albo ze strachu zapomniał o swoich obowiązkach i rozkazał ci zniszczyć coś, co wywiadowi bardzo by się przydało. To mogłoby zmniejszyć jego szanse na awans. – Tato znów wycelował we mnie palec. – Gdyby ktoś poświadczył, że tak się stało.

Potarłem kark, próbując pozbyć się bólu u podstawy

czaszki.

– Nie rozumiem, jak to, co właśnie powiedziałaś, ma się do tego, co dziś widzieliśmy.

Teraz Tato wskazał palcem za mnie, w stronę drzwi.

– Właśnie dlatego trzeba dowiedzieć się więcej i dlatego potrzebuję przy tym twojej pomocy. Dziś rano na górze był z nami jeszcze jeden człowiek. Myślę, że ponieważ obaj zamierzaliście i walczyliście na Attu, podczas gdy ja byłem gdzie indziej, w twojej obecności byłby bardziej skłonny podzielić się tym, co wie.

To miało sens. Nożownik mnie nie polubił, ale może bardziej zasługiwałem na jego szacunek.

A jednak wiedziałem, że podczas całej tej swojej mowy Tato o jednym nie wspomniał.

– A co z orłem? – zapytałem.

Obnażył sztuczne zęby.

– To klucz – powiedział. – Dlatego musimy znów porozmawiać ze zwiadowcą. Pamiętasz, co mówił o magii i mocy? No cóż, wspomniał też, że tę samą historię opowiedział oficerom na Attu. – Wyminął mnie w drodze do drzwi. – To co, idziesz ze mną?

Odwróciłem się, żeby za nim podążyć, a potem się zawahałem.

– Czekaj. – Wciąż próbowałem poukładać sobie to wszystko w głowie. – Chcesz powiedzieć, że pułkownik wierzy w magię Eskimosów?

Tato uniósł ręce.

– Nie mam pojęcia. Ale magia i religia opierają się na

symbolach, które mogą być cholernie potężne. I wiem, że w to akurat podpułkownik wierzy. W końcu jest jeden symbol, który bardzo chce zdobyć.

Większość słów Taty wciąż była dla mnie zagmatwana. Ale to jedno nagle zrozumiałem.

Symbolem rangi pułkownika jest orzeł.

Poszedłem za Tatą.

XI

Szpital polowy numer 179 nie mieścił się w jednym budynku. Był to kompleks baraków z blachy i drewnianych domów, miał nawet podziemny bunkier. Kiedy Olivia de Havilland odwiedziła w marcu Adak, spędziła tam cały dzień, rozmawiając z chorymi i rannymi. Codziennie przebywało tam kilkuset pacjentów.

Ale my musieliśmy tylko odnaleźć Nożownika. Poczekalem więc przed głównym budynkiem, podczas gdy Tato wszedł do środka i oczarował tego, kogo trzeba było oczarować, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co chciał wiedzieć. Zaczynałem zdawać sobie sprawę, że nawet w armii pewne rzeczy mają większą wagę niż stopień.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, z rękami w kieszeniach kurtki, przechylił tylko głowę i ruszył na tyły. Podążyłem

za nim w stronę trzech baraków stojących za głównym budynkiem. Zatrzymał się w przedsionku pierwszego baraku i rozejrzał na wszystkie strony, kiedy do niego dołączyłem. Niedaleko brnęło dokądś kilku żołnierzy. Nie wyglądało na to, żeby szli w jakimś konkretnym kierunku. Pomyślałem, że może próbują tylko sprawiać wrażenie zajętych, żeby nie wysłano ich na południowy Pacyfik.

– Widzisz kogoś znajomego? – zapytał Tato. – Kogoś, kto mógłby donieść podpułkownikowi, że tu jesteśmy?

Spróbowałem się dokładnie rozejrzeć. Ale zwyczajowe szare światło gasło już wraz z nadejściem wieczoru i wszyscy żołnierze też wyglądali szaro.

– Nie wydaje mi się. Ale wszyscy zaczynają wyglądać podobnie.

Tato zerknął na mnie z irytacją.

– Mówisz jak zwiadowca – powiedział. Odsunął się, przeszedł szybko do następnego baraku i wślizgnął się do przedsionka. Podążyłem za nim. Potem wtargnął do środka bez pukania.

Znaleźliśmy Nożownika w niewielkiej otwartej przestrzeni pośrodku baraku, otoczonej półkami wyładowanymi pudłami i puszkami. Siedział na skraju pryczy pod samotną żarówką zawieszoną u sufitu i nachylał się nad poobijaną kawiarką ustawioną na przenośnej kuchence. Czuć było zapach nie tylko kawy, ale też nieświeżego gulaszu z wołowiny, wodorostów i błota. Mój wciąż ściśnięty żołądek znów wywrócił

fikołka.

Nożownik podniósł oczy, a jego gładkie, ciemne włosy zaślnęły w świetle żarówki.

– To wy. – Nie robił wrażenia zaskoczonego. – Przynieśliście moje piwa?

Tato i ja weszliśmy dalej, a ja zamknąłem za nami drzwi. Po naszej stronie kuchenki stały dwa składane stołki.

– Przyniosę ci jutro. – Tato podszedł do stołka po prawej i usiadł. – Tymczasem chcę, żebyś wiedział, że zarówno ten tu żołnierz, jak i ja robimy, co możemy, żeby dotrzymać zawartej rano umowy. Nikomu nie wspomnieliśmy o twojej obecności na Mount Moffett.

– Wierzę ci – powiedział Nożownik.

– Ale mamy problem – ciągnął Tato. – I możliwe, że nie będziemy w stanie dłużej dochowywać tajemnicy. Pewien podpułkownik chce wykorzystać śmierć tamtego marynarza, żeby urządzić nam piekło na ziemi.

Nożownik ponownie spojrzał na swój napar.

– Tak, wiem. – Potarł prawe udo. – Cholera, noga mnie dziś boli. Lepiej, żebym na jakiś czas przestał się wspinać na góry.

Usiadłem na stołku po lewej. Znad kawiarki unosiły się gęste kłęby pary.

– Jak to: wiesz? – zapytałem. – Skąd możesz to wiedzieć?

Nożownik zerknął na mnie.

– Nie byłem pewien, czy wam zaufać. Więc

poszedłem za wami. Nie jechaliście za szybko. Stałem za tylną ścianą baraku redakcji, kiedy was opierdział. Nie słyszałem wszystkiego, ale większość tak. Ale się na was wziął. Poznałem jego głos.

Tato uniósł brwi.

– Sprytnie z twojej strony.

Nożownik prychnął.

– Podkradałem się już do Japońców z karabinami maszynowymi, a w dodatku oni wiedzieli, że przyjdę. Banda urzędasów, którzy się mnie nie spodziewają, to bułka z masłem.

– A jednak – mruknął Tato. – Szanuję człowieka, który potrafi tak wprawnie śledzić. Szczególnie jeśli to mnie śledzi.

Nożownik sięgnął na półkę za sobą i zdjął z niej trzy blaszane kubki.

– Chcecie kawy, zanim zaczniecie zadręczać mnie pytaniami?

– A więc to kawa? – zapytałem.

Nożownik obrzucił mnie spojrzeniem prawie tak wrogim jak wtedy w *ulax*.

– Musisz popracować nad swoimi pieprzonymi manierami.

Tato i ja wzięliśmy kubki, a Nożownik nalał do nich gęstego, czarnego płynu. On też skojarzył mi się z tym, co Tato wykaszlał tego poranka.

Potem napełnił własny kubek i odstawił kawiarkę na kuchenkę. Pociągnął łyk i się uśmiechnął.

– Dobrze – powiedział. – Pomaga myśleć.

Tato też się napił, a ja z wahaniem wysączyłem nieco z mojego kubka. Napój smakował lepiej, niż pachniał, więc wypilem jeszcze trochę. Poczulem posmak gnijącego podszyca. Ale przynajmniej było to gorące.

– Dziękuję – powiedział Tato. Upił kolejny wielki łyk. – Ale tak jak podejrzewałeś, teraz będę cię dręczył. Jak rozpoznałeś głos podpułkownika?

Nożownik dmuchnął do swojego kubka, a dookoła jego twarzy uniosła się para.

– Bo już go kiedyś słyszałem. Na Attu był jednym z tych gnojków, którzy nie chcieli słuchać raportów zwiadowczych. Ale uwielbiał nasze barwne opowieści. Tutaj, na Adak, przynosiłem kawę i alkohol jemu i jego kumplom oficerom, kiedy grali w tym baraku w pokera. A kiedy już się porządnie naprali, chcieli, żebym opowiadał im kolejne historie. Tak jak mówiłem, wam nigdy nie dość tych bzdur o szlachetnych dzikusach.

– Czy wśród tych kumpli od pokera jest dowódca z marynarki? – zapytał Tato.

– Wydaje mi się, że tak – odparł Nożownik. – On i podpułkownik zorganizowali wczorajsze walki bokserskie. Założyli się o wynik pojedynku między człowiekiem z armii a gościem z marynarki. – Wskazał mnie. – Podpułkownik postawił na niego.

– Wiem – powiedział Tato. – Sporo pieniędzy, prawda?

Nożownik zmarszczył brwi i pociągnął z kubka.

– Może inni założyli się przy okazji i o pieniądze. Ale podpułkownik i dowódca marynarki założyli się o coś innego. Widzisz, facet z marynarki ma wysoko postawionych przyjaciół i rodzinę. Mówię o poziomie pieprzonego Kongresu. Więc dowódca obiecał, że jeśli wygra człowiek z armii, to on poprosi, żeby ci znajomi pociągnęli za sznurki i pomogli podpułkownikowi przy awansie.

– A gdyby wygrał człowiek z marynarki? – zapytał Tato.

Nożownik wyszczerzył zęby i pokręcił głową.

– Wtedy dowódca miał zjeść kolację z tobą, kapralu. To właśnie obiecał mu podpułkownik. Pewno jesteś sławny albo bogaty czy coś. Muszę przyznać, że mi to wygląda na nierówny zakład.

Tato opróżnił kubek i odstawił go na podłogę. Miałem wrażenie, że chwieje się trochę na stołku.

– Faktycznie, bardzo nierówny – zgodził się – a to dlatego, że nie wyświadczyłbym przysługi podpułkownikowi, choćby zależało od tego moje życie.

Do tej pory sączyłem gorącą kawę i słuchałem bez słowa, ale teraz się odezwałem:

– A co z bielikiem?

Nożownik wlepił we mnie spokojne spojrzenie.

– Wciąż tego nie wiem. Nie na pewno. Ale nikt nie wie niczego na pewno. Nieważne, kogo zapytasz i czego się dowiesz. Nigdy nie będziesz wiedział wszystkiego o przeszłości.

Żarówka zaczęła migotać. W brzuchu już mnie nie ścisnęło, ale teraz poczułem lekkie zawroty głowy. Wiedziałem, że trzeba było coś zjeść.

– Daję więc wam szansę na to, żebyście wiedzieli tyle, ile podpułkownik – powiedział Nożownik. – Opowiedziałem mu tę samą legendę. Raz zapytał mnie o czerpanie mocy od zwierząt. Powiedziałem, że nie potrafię tego tak naprawdę wyjaśnić, bo sam nie rozumiem. Ale gdyby odbył podróż duchową albo miał wizje, jak niektórzy szamani, może udałoby mu się rozwikłać wszystkie tajemnice, na których mu zależy. Może by umarł i się odrodził. Może zostałby rozdarty na strzępy i stworzony na nowo. Może spotkałby zwierzę ze swojego totemu i otrzymał jego siłę. Mógłby zyskać to, czego pragnie. Mógłby nawet zobaczyć całe swoje życie, od narodzin po śmierć. – Nożownik wzruszył ramionami. – A może by oszalał. Albo po prostu stracił przytomność i to przespał. Wszystko zależy od człowieka.

Wstał z pryczy i na moich oczach rozdzielił się na pięciu ludzi.

– Proszę – powiedzieli wszyscy chórem. Sięgnęli po Tatę i chwycili go za przedramiona. – Ty połóż się na pryczy. Moja matka dostała ten przepis od tych samych ludzi, którzy opowiedzieli jej legendę o orle, i zawsze mawiała, że najważniejsze, to, kurwa, się położyć. Jest w tym trochę grzybów i innego gówna, no i nie chcielibyście wiedzieć, co muszę zrobić, żeby to dobrze przyrządzić. Ale rzadko kiedy ktoś od tego umiera.

Pięciu Nożowników położyło Tatę na pryczy, a on skulił się na boku. Wyglądał jak zabawka z oliwkowych wyciorów do fajki o głowie zrobionej z wacika. Widziałem jego oczy za szklami okularów: przypominały ugotowane na twardo jajka.

Potem Nożownik zamienił się z powrotem w jednego człowieka i sięgnął po mnie.

– Ty będziesz musiał położyć się na ziemi – powiedział. – Ale jesteś młodszy. Tak będzie sprawiedliwie.

Kiedy chwycił mój nadgarstek, patrzyłem, jak blaszany kubek wypada z moich zdrętwiałych palców. Obracał się raz po raz, a brązowe kropelki wypadły ze środka i zaczęły go okręzać. Kubek zamienił się w słońce.

Jasne światło było wysoko nade mną. Widziałem je między palcami Taty.

– To najlepsze, co mogę dla was zrobić – powiedział głos Nożownika. Jego samego już nie widziałem. Był daleko. – Wasz wróg odbył tę podróż przed wami. Ale może wy bardziej się do tego nadajecie. Nie mówię, że dzięki temu go pokonacie albo że zrozumiecie to, co zrobił. Ale teraz przynajmniej macie tę samą magię, więc to sprawiedliwa walka. Nie dziękujcie.

Ziemia zatrzęsała się z ogłuszającym łoskotem, a grzbiet dłoni Taty opadł na moje czoło.

Potem – wśród jasnych rozbłysków, kakofonii głosów, hałasów i muzyki – zacząłem widzieć wszystko.

Wszystko.

Zobaczyłem przeszłość i przyszłość każdego miejsca, w którym kiedykolwiek byłem, każdego przedmiotu, którego dotknąłem, wszystkiego, co kiedykolwiek zrobiłem. Tak jakbym był kamerą filmową, która ogląda to wszystko z nieba.

Kiedy przeszłość i przyszłość wciąż jeszcze błyskały i przemykały dookoła mnie, zobaczyłem też przyszłość. I to nie tylko moją.

Taty też.

Moja rada: nigdy nie patrzcie w przyszłość.

Niczyją.

*

Jestem w okopie, Japończycy przypuszczają atak. Z trudem sięgam po hełm, po broń. Kiedy udaje mi się wydostać z okopu, ruszam tyłem, strzelając, kiedy oni nacierają. Niektórzy biegną nawet po tym, jak ich trafiłem. Jeden podbiega bardzo blisko i wyciąga zawleczkę granatu ręcznego, próbując zabić nas obu. Potyka się jednak i upada, ciałem przykrywa granat i nic mi nie grozi. Potem dostrzegam, że po lewej sierżant właśnie ginie od ciosu bagnetem. Zabijam tego, kto to zrobił. Ale jest za późno.

Młodszy Tato, z jeszcze nie całkiem siwymi włosami, siedzi przy maszynie do pisania. Jej klawisze stukają, a dzwonek dzwoni raz po raz. Tato wkłada do niej kartkę po kartce. Odpala jednego papierosa od drugiego i osusza dwie butelki whisky, ale nie przestaje pisać. Robi to przez

trzydzieści godzin bez przerwy. Kiedy w końcu przestaje, widzę jego oczy i wiem, że wylał z siebie wszystko. Nic nie zostało.

Pułkownik wskazuje palcem drobnego mężczyznę leżącego na ziemi i krzyczy na mnie. Patrzę na mężczyznę i wiem, że to Japonec, który właśnie próbował mnie zabić. Ale teraz leży twarzą w dół, z rękami związanymi na plecach. Prawie nie wygląda już jak Japonec. Pułkownik wyciąga palec i krzyczy raz po raz, coraz głośniej. Przykładam wylot lufy mojego M1 do podstawy czaszki drobnego mężczyzny i pociągam za spust.

Znacznie młodszy Tato wchodzi w mundurze do szpitala. Wspinając się po schodach, zgina się wpół i kaszle. Ładna pielęgniarka podbiega do niego i obejmuje go ramieniem.

Jestem sporo starszy i siedzę w plątaninie metalu i plastiku. Młody mężczyzna wielkimi stalowymi szczękami rozpycha metal i robi w nim dla mnie dziurę. Wszystko będzie dobrze, proszę pana, mówi. Wyciągnę pana. Udaje mi się wyciągnąć z kieszeni niewielki, plastikowy prostokąt. Ma małe, kwadratowe guziczki. Wciskam je i dzwonię do córki. Masz rację, mówię jej. Nie powinienem już prowadzić samochodu.

Pułkownik stoi nad martwym bielikiem. Trzyma nóż. Marynarz, który się ze mną bił, pojawia się przy wzgórku obok chaty, a pułkownik do niego podchodzi. Na razie muszę być twoim dłużnikiem, mówi. Trochę potrwa, zanim odbiorę swoją wygraną. Ale dobrze się spisałeś. I dzięki

za ptaka.

Uzbrojeni strażnicy wyprowadzają z autobusu Tatę, który wygląda na tylko trochę starszego, ale ma na sobie niezły garnitur. Idą z nim do więzienia i wsadzają go do pojedynczej celi. Siedzi w więzieniu przez sześć miesięcy. Pisze dużo listów. Ale wszystkie jego książki znikają z księgarni. Pieniądze z radia przestają napływać. Kiedy go wypuszczają, jest strasznie chory i wygląda na dwadzieścia lat starszego. Nie ma grosza przy duszy i wprowadza się do małej chatki, która należy do jego przyjaciół.

Pewnie nie mam wyboru, mówi marynarz. Ale wiem, że dotrzyma pan słowa, pułkowniku. Czy dalej czeka mnie randka z pielęgniarką? Tą blondynką, która opatrzyła mi twarz i powiedziała, że jestem przystojny jak na człowieka z marynarki?

Stoję przy ołtarzu z moim młodszym bratem u boku i patrzę na drugi koniec nawy. Rozlega się muzyka organowa i ludzie siedzący w ławkach wstają. Pojawia się śliczna kobieta w bieli, trzymająca pod ramię starszego mężczyznę. Idą w moją stronę, uśmiechnięci. Nie mogę się doczekać, aż się ze mną zrównają, żebym mógł się dowiedzieć, jak ona ma na imię.

Tak, randka będzie, mówi pułkownik i wyciąga przed siebie zgięte orle pióro. Pokaż jej to, kiedy przyjdzie. Ciemno tu, a ona musi po czymś poznać, że to ty. Będzie tu już niedługo. Zejdź na dół i poczekaj.

Gruby, spocony mężczyzna z tłustymi strąkami

włosów pochyla się do przodu i spogląda w dół ze swojego wysokiego, długiego pulpitu. Chciałbym zapytać, mówi ochryplym głosem, czy pan Budenz zgodnie z prawdą twierdzi, że był pan komunistą? Wtedy Tato też się pochyla w stronę mikrofonów stojących na stole, przy którym go usadzili, i mówi, odmawiam odpowiedzi, ponieważ jej udzielenie może mnie obciążyć. Wyszedł z więzienia i jest biedny. Ale oni nie chcą go zostawić w spokoju. Nie pozwalają mu nawet pisać.

Marynarz schodzi do chaty, a pułkownik się oddala, mijając bielika. Zbliża się inny marynarz. Jest tam, mówi pułkownik, wskazując za siebie, w stronę chaty. Tam, gdzie wy, chłopcy, się bawicie. Zawalił walkę. Przez niego przepadły wasze pieniądze.

Trzymam maleńką dziewczynkę. Jej oczy wyglądają jak moje. Zastanawiam się, jak to się, u diabła, stało. Jak to możliwe, że po wszystkich tych latach w końcu mamy dziewczynkę? Jak to możliwe, że po wszystkich tych okropnych czynach, które mam na koncie, moje życie zrobiło się takie piękne?

Drugi marynarz zatrzymuje się i wlepia wzrok w orła. To nieważne, mówi pułkownik. To tylko martwy ptak. Nie twoja sprawa. Idź porozmawiać z kolegą. Zawalił walkę.

Tato leży w łóżku szpitalnym. Otwiera oczy i widzi kobietę. Kobiet były tuziny. Nawet żona. Ale ona jest tą jedyną. Tą jedną jedyną, naprawdę. Nachyla się nad nim.

Dwaj marynarze kłócą się w chacie. Zawiodłeś nas, mówi drugi marynarz. Pierwszy na to, nie, podzielę się z

wami wygraną. Jeszcze jej nie dostałem, ale dostanę. Joe, uspokój się. Joe, nie.

Moja córka klaszcze, kiedy pierwszy raz idę do skrzynki na listy i z powrotem bez pomocy kul. Prawdziwy z ciebie orzeł, mówi. Tak, odpowiadam. Tak. Mam jedno pióro w swoim pokoju. Pokazywałem ci je kiedyś?

Kobieta, która nachyla się nad Tatą, jest zarówno zwyczajna, jak i piękna. To ten paradoks przyciągnął jego uwagę, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. A potem jej strasznie bystry umysł go przy niej zatrzymał. To już ponad trzydzieści lat. Jest jego najlepszą przyjaciółką, kilka razy była kochanką, zawsze – zbawczynią. Ale i on był tym samym dla niej, więc to sprawiedliwe. Wygląda na przestraszoną. Tato jest ciekaw, dlaczego – a potem już wie. Ta myśl i jego przeraża. I budzi jego gniew. Ma sześćdziesiąt sześć lat. Jeszcze na to za wcześnie, prawda?

Dwaj marynarze zaczynają się bić. Pierwszy wali drugiego w żuchwę, ale ten potem odpycha go w stronę małego pomieszczenia za stertą darni i kości. Przewraca go i wali jego głową o ziemię. Potem jeszcze raz.

Tato jest przerażony i zagniewany tylko przez chwilę. Potem opada w dół, w ciepłą, czarną bawełnę, i słyszy szloch kobiety, ale z daleka, z bardzo daleka. Już dobrze, Liliszko, próbuje powiedzieć. Już dobrze.

Mój mały wnuczek i wnuczka wybiegają z domu i obejmują rączkami moje nogi, a ja upuszczam wszystkie listy. Podnoszę więc oczy na córkę, która stoi na ganku, i proszę ją, żeby zawołała do pomocy matkę. Ale ona

marszczy brwi i mówi, tato, nie pamiętasz?

Nie pamiętam. Więc ona zaczyna mówić.

XII

Potem Tato uderzał mnie w twarz, mocno, raz po raz, w oba policzki.

– Dosyć – powiedział. – Wystarczy już tego, cholera. Wstawaj. Wstawaj natychmiast, żołnierzu.

Chwycił mnie za kołnierz i spróbował podnieść na nogi, ale nie był dość silny. Pozwolił mi więc z powrotem opaść na ziemię. Moja głowa uderzyła o sklejkową podłogę, a potem znów zaczął wymierzać mi policzki. Żarówka wisząca nad nami tworzyła aureolę dookoła jego rozczochranych, siwych włosów.

Prawie wślizgnąłem się na powrót w świat wizji, ale Tato nie przestawał mnie uderzać. W końcu udało mi się wyłonić ze stanu zawieszenia na tyle, żeby chwycić go za prawy nadgarstek lewą ręką. Prawą dłoń zacisnąłem w pięść.

– Uderz mnie jeszcze raz, stary – wybełkotałem. – Uderz mnie jeszcze raz, a cię znokautuję.

Tato usiadł na skraju pryczy i przeczesał dłonią włosy.

– Dobra – westchnął. – Chciałbym to zobaczyć. Już

raz próbowałaś mnie walnąć i poczułem tylko chłodny wietrzyk. Zaczynam myśleć, że tak naprawdę nie byłbyś w stanie uderzyć nikogo, komu nie zapłacono, żeby ci się podłożył.

Z wysiłkiem dźwignąłem się na kolana i spróbowałem wstać, ale opadłem na jeden ze stołków. Przechylił się, ale Tato chwycił mnie za rękaw, żebym się nie przewrócił.

Nie podziękowałem. Byłem na niego wściekły, że mnie obić. Paliły mnie policzki.

Tato puścił mój rękaw, a potem potrząsnął głową, jakby próbując oprzytomnieć.

– To była chyba najgorsza kawa w moim życiu – oświadczył.

Byłem otępiały i widziałem Tatę raz bardziej, raz mniej wyraźnie. Ale na powrót znalazłem się w baraku zaopatrzeniowym szpitala. Byłem tu i teraz. Rozejrzałem się za Nożownikiem, ale go nie zauważyłem.

– Nie było go, kiedy się ocknąłem – powiedział Tato, uprzedzając moje pytanie. – Potem usłyszałem, że rozmawiasz z ludźmi, którzy na pewno jeszcze się nie urodzili. Postanowiłem więc, że lepiej będzie, żebyś już dłużej nie doświadczał tego, co przeżywałaś. Jesteś za młody na obowiązki rodzinne.

Gniew na Tatę zaczął mi przechodzić, kiedy spojrzałem na niego i przypomniałem sobie, co właśnie zobaczyłem. Jego dłoń dotykała wcześniej mojego czoła, a ja widziałem całe jego życie.

W tym śmierć.

– Miałeś... halucynacje? – zapytałem.

Tato spojrzał na zegarek i wstał.

– Obaj wiemy, że to było coś więcej niż halucynacje. Sądzę też, że obaj widzieliśmy i słyszeliśmy to samo, do chwili, kiedy się otrząsałem. Ale teraz jest osiemnasta trzydzieści, a ja muszę sikać jak koń czystej krwi. Potem muszę pójść do obozu marynarki i popytać o pewnego dowódcę. Podobno jest moim wielbicielem. Dojdiesz sam do pryczy, kantyny czy gdziekolwiek chcesz pójść?

Też wstałem, ale wyglądało na to, że czuję się znacznie mniej pewnie niż Tato.

– Dlaczego cię to nie ruszyło? – zapytałem. – Gdybyś zobaczył coś podobnego do tego, co ja widziałem, ruszyłoby cię.

Tato rzucił mi ten swój wąski uśmiech.

– Niejedno już widziałem, żołnierzu. Wszystko mnie poruszyło, nawet jeśli w grę nie wchodziła aleucka magia. Ale najważniejsze to zdać sobie sprawę, że całe życie takie jest. Wszystko to magia, obłąd. Więc człowiek próbuje zrozumieć to, co potrafi, a w pozostałych kwestiach polega na alkoholu. – Wskazał drzwi. – A teraz naprawdę muszę już iść.

– Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym poszedł z tobą, Tato? – zapytałem. – Nie podoba mi się, że będziesz musiał sam sobie radzić z tymi matołami z marynarki. No i muszę być w biurze pułkownika dopiero o dwudziestej pierwszej.

Tak naprawdę chciałem się go trzymać, żeby nie myśleć o tym spotkaniu. Wciąż nie miałem pojęcia, co powiem pułkownikowi. Co miałbym mu powiedzieć? Że miałem wizję na temat tego, co zrobić? Wątpiłem, żeby to się spodobało pułkownikowi – czy też sądowi polowemu.

Tato pokręcił głową.

– Nie, żołnierzu, tym razem nie chcę, żebyś mi towarzyszył. Szczerze mówiąc, mam lepszy kontakt z ludźmi z marynarki niż ty. Ale chciałbym, żebyś pod moją nieobecność zrobił dwie rzeczy.

– Co tylko chcesz – powiedziałem. – Mów.

Tato podniósł palec wskazujący.

– Po pierwsze: nie idź do biura podpułkownika o dwudziestej pierwszej. Wiem, że rozkazał ci się tam stawić. Ale powtarzam: zapytaj samego siebie, jak przysłużyło ci się dotychczas wypełnianie jego rozkazów. Zostań w swoim baraku albo gdzieś się schowaj. Jeśli sprzyja nam szczęście, wrócę przed dwudziestą pierwszą. I zajmę się tym wszystkim.

Wyminął mnie i podszedł do drzwi.

– Jak, Tato? – zapytałem. – Jak to zrobisz? Nie mamy żadnych dowodów. Mamy tylko halucynacje.

Tato zatrzymał się przy drzwiach i obejrzał na mnie.

– Bez obrazy, żołnierzu, ale to ty masz tylko tyle. Ja mam zamiar wrócić z czymś więcej. – Odwrócił się i otworzył drzwi.

– Poczekaj. Powiedziałeś, że chcesz, żebym zrobił dwie rzeczy. A ta druga?

Podniósł dwa palce i odpowiedział, nie patrząc na mnie:

– Nie mów do mnie „Tato”. – Potem drzwi się za nim zamknęły.

Wyszedłem na zewnątrz ledwie chwilę później i zobaczyłem, że opadła gęsta, aleucka mgła. Wiatr – dla odmiany – ucichł.

Sięgnąłem wzrokiem za trzeci barak zaopatrzeniowy. Ale z powodu mgły i słabego światła dostrzegłem tylko zarys chudej, niewyraźnej sylwetki Taty, zanim zniknął.

XIII

Mój oddział zdążył już wrócić do baraku, kiedy tam trafiłem, i poszedłem z chłopakami do kantyny. Kilku z nich próbowało mi trochę dokuczać, dopytując się, jakie to niezwykle ważne obowiązki miałem tego dnia, ale nawet na nich nie spojrzałem. Wkrótce zrozumieli, o co chodzi, i zostawili mnie w spokoju.

Zmusiłem się do zjedzenia czegoś. Nie pamiętam, co to było. Jakieś szare adackie jedzenie, które pasowało do szarej adackiej mgły na zewnątrz. Nie miałem na nie ochoty, ale wiedziałem, że jeśli nie chcę zemdleć, muszę wsadzić coś do brzucha. Ostatnio jadłem tę kanapkę z mielonką ponad dwanaście godzin wcześniej. Poza tym

chciałem, żeby coś wchłonęło ewentualne resztki czarnej mazi Nożownika. Czymkolwiek była.

Cały pluton dostał wolny wieczór, co oznaczało, że barak będzie pełen gadania i grania w karty. Nie miałem ochoty brać w tym udziału, więc po jedzeniu zacząłem brnąć Main Street na północ, w stronę lotniska, w kierunku przeciwnym do obozu marynarki. Tato wyraził się jasno: nie chciał mieć mnie przy sobie. Próbowałem więc uniknąć pokusy poszukania go.

Poznałem go ledwie tego ranka, ale teraz miałem wrażenie, że to mój jedyny przyjaciel na całej wyspie. Mojego dawnego sierżanta uważałem za przyjaciela, ale on zginął na Attu. Od tamtej pory najbliższym byłem z tamtym biednym marynarzem podczas walki bokserskiej w Dniu Niepodległości. Ale widocznie to nie była szczerą relacją.

Jakimś sposobem zawędrowałem na wschód, na skaliste wybrzeże zatoki Kuluk. Lekko wzburzona woda w kolorze żelaza rozciągała się poza mgłę, a lodowaty wiatr wiał mi w twarz, aż zdrętwiała. Nie widać było nawet statków, bo wszystkie stały na kotwicy na południu, w Sweeper Cove. Odniosłem więc wrażenie, że jestem sam na skraju świata i że muszę tylko wejść w tę ciemną, zimną wodę, aby mnie pochłonęła, zamrożonego i bezpiecznego.

Zerknąłem na zegarek, który dał mi mój stary, zanim wyjechałem na obóz z przysposobienia wojskowego. Zegarek był beznadziejny i spóźniał się prawie kwadrans

każdego dnia. Teraz pokazywał ósmą trzydzieści sześć, co oznaczało, że tak naprawdę jest jakieś dziewięć minut przed dziesiątą. Kiedy to według rozkazu pułkownika miałem się stawić w jego biurze. Według rozkazu, którego zdaniem Taty nie powinienem posłuchać.

Zastanowiłem się nad tym.

Potem ruszyłem drogą, którą przyszedłem, brnąc przez błoto najszybciej, jak potrafiłem. Może Tato miał rację i stanowiłem przeszkodę dla awansu pułkownika. Może chciał zrzucić na mnie winę za śmierć marynarza. Może postawi mnie przed sądem polowym. A może po prostu chce mnie zastraszyć, żebym trzymał gębę na kłódkę niezależnie od tego, kto i o co mnie zapyta.

To nie miało znaczenia. Nie mogłem liczyć na to, że Tato wypłaci mnie z tego, co mnie czeka. Wcześniej widziałem, że wkrótce sam wpadnie w tarapaty.

Wiedziałem też, że moje życie się ułoży. To też zobaczyłem. Nie każdy dzień, nie każdy szczegół – i byłem świadom, że czekają mnie też ciężkie czasy – ale ogólnie rzecz biorąc, powinienem mieć lepsze życie niż większość ludzi. Lepsze niż zasłużyłem.

W każdym razie lepsze niż to, które czekało Tatę.

Kiedy dotarłem do niewielkiego, drewnianego budynku, który mieścił biuro i kwaterę pułkownika, musiałem się zatrzymać i spojrzeć na niego z drugiej strony ulicy. Na całej długości skraju spiczastego dachu usadowiły się kruki; poza kilkoma złowrogimi trzepotami skrzydeł były całkowicie nieruchome. Powinny latać,

skrzecząc, nad moją głową. Ale siedziały cicho na dachu pułkownika. Musiało ich być z pięćdziesiąt.

Kilku mijających mnie żołnierzy podniosło oczy i jeden z nich powiedział coś o „tych dziwnych ptakach”. Poza nimi jednak Main Street była prawie pusta. To też było dziwne.

Przeszedłem przez błoto, wspiałem się na drewniane schody i wytarłem nogi na wycieracze u ich szczytu. Była prawie dokładnie dwudziesta pierwsza. Zastukałem do drzwi i poczekałem, aż adiutant pułkownika mnie wpuści.

Zamiast tego usłyszałem – jakby z wielkiej odległości – jak pułkownik mówi „Wejść” szorstkim głosem.

Otworzyłem drzwi i wszedłem. Pierwszym pomieszczeniem był przedsionek, w którym zazwyczaj siedział adiutant. Lampa na jego biurku się paliła, ale adiutanta nie było. Drzwi do biura pułkownika były uchylone. Podeszedłem do nich i się zawahałem.

Ze środka znów rozległ się głos pułkownika.

– Powiedziałem wejść.

Pchnąłem drzwi tylko na tyle, żeby się w nich zmieścić, i znalazłem się w biurze. Było niewielkie, proste i wypełnione szafami na dokumenty. Biurko stało na samym środku, a wisząca nad nim żarówka oświetlała niewielki plik kartek widoczny między dłońmi pułkownika. Jego rozprostowana schludnie furazerka, na której lśnił srebrny dębowy listek, leżała przy papierach. Większość twarzy pułkownika była pogrążona w cieniu,

światło padało tylko na czubek nosa.

Zbliżyłem się żwawo do biurka na odległość około pół metra, a potem zasalutowałem i stanąłem na baczność. Tak samo zrobiłem za każdym razem, kiedy musiałem się stawić w tym miejscu.

– Dziękuję za przybycie, żołnierzu – powiedział pułkownik.

Prawie się roześmiałem. Nigdy wcześniej nie podziękował mi za przybycie. Ale teraz to zrobił, jakbyśmy byli sobie równi, a ja wyświadczałem mu przysługę. Podziękował mi, jakbym nie przyszedł tam z powodu bezpośredniego rozkazu owiniętego dookoła groźby.

– Tak jest, pułkowniku – powiedziałem. – Cała przyjemność po mojej stronie. – Wlepiałem wzrok w punkt tuż nad jego głową, ale i tak widziałem każdy jego gest.

Pułkownik położył czubki palców na papierach i pchnął leżącą na wierzchu kartkę w moją stronę.

– Nie będę marnował twojego ani mojego czasu, żołnierzu – powiedział. – Z tego oświadczenia wynika, że dzisiejszego ranka, piątego czerwca czterdziestego czwartego roku, udałeś się wraz ze swoim przyjacielem, kapralem, na pijacką eskapadę, podczas której zabiliście bielika amerykańskiego, a potem przyczyniliście się do przypadkowej śmierci marynarza. Masz podpisać u dołu kartki. Osobiście zaręczam, że spędzisz nie dłużej niż rok w więzieniu wojskowym w Stanach, a potem zostaniesz

zwolniony.

Położył na kartce wieczne pióro.

Nawet nie próbowałem się zastanawiać. Stałem tylko dalej na baczność, z ramionami wyciągniętymi sztywno wzdłuż boków i z oczami wlepionymi w punkt nad jego głową.

– Pułkowniku – usłyszałem własny głos. – Odmawiam podpisania tego oświadczenia, ponieważ podpisanie go mogłoby mnie obciążyć.

Ledwie kilka godzin wcześniej usłyszałem podobne słowa. Ale one zostaną wypowiedziane dopiero za kilka lat.

Pułkownik warknął. Podniósł pióro, wsunął pod nie kolejną kartkę i ponownie ułożył je na wierzchu.

– No dobrze – rzucił. – Z tego oświadczenia wynika, że wcale nie byłeś pod wpływem alkoholu, ale poróżniłeś się z marynarzem i nieumyślnie spowodowałeś jego śmierć. Kapral był świadkiem.

– Pułkowniku – znów usłyszałem własny głos. – Odmawiam podpisania, ponieważ mogłoby mnie to obciążyć.

Pułkownik wstał, położył dłonie na biurku i nachylił się w krąg światła, jak sędzia z Nebraski. Teraz mój wzrok skupił się na czubku jego głowy. Miał takie same tłuste strąki włosów jak mężczyzna, który w mojej wizji siedział za wysokim, długim pulpitem.

– Synu, lepiej, żebyś mnie posłuchał, i to uważnie – syknął. Wsunął pozostałe trzy kartki na dwie poprzednie.

– Mam tu pięć zeznań, z których każde opowiada nieco inną wersję tego, co ty i kapral zrobiliście. Możesz podpisać którekolwiek z nich. Konsekwencje różnią się w zależności od tego, które wybierzesz. Ale jeśli nie wybierzesz żadnego, zrobię to za ciebie. A to ci się nie spodoba. Nie spodoba ci się również, jak potoczą się twoje sprawy, kiedy mój adiutant i ja przysięgniemy, że byliśmy świadkami następstw twoich zbrodni, a także tego, jak podpisywałeś zeznanie.

Usłyszałem każde jego słowo i wiedziałem, co wszystko to oznacza.

Ale odpowiedziałem:

– Pułkowniku, odmawiam podpisania, ponieważ...

Wtedy usłyszałem charakterystyczny odgłos odbezpieczanej broni i oderwałem wzrok od czubka głowy pułkownika. Spuściłem oczy i zobaczyłem w jego ręku służbowy automat kalibru .45. Był wycelowany w mój brzuch.

– Ujmę to inaczej, żołnierzu – powiedział. Przeciągle, z teksaska wymawiane samogłoski nabrały tonu samozadowolenia. – Możesz podpisać jedną z tych kartek albo mogę powiedzieć prokuratorowi wojskowemu, że wpadłeś w szal, kiedy przedstawiłem ci dowody. Mogę mu powiedzieć, że zaatakowałeś znacznie wyższego od siebie rangą oficera, czyli mnie, i że musiałem się bronić.

Zapatrzyłem się w wylot lufy czterdziestkiptki na chwilę, która wydawała mi się bardzo długa. Potem na powrót wbiłem wzrok w punkt nad głową pułkownika.

Może jednak nie widziałem przyszłości. Może to właśnie była przyszłość. Może tak było sprawiedliwie.

Może dzięki temu będę kwita z losem.

– Pułkowniku – powiedziałem. – Odmawiam podpisania. Wie pan już dlaczego.

Pułkownik wydał jęk zdegustowania.

– To cholernie zła decyzja, synu. Ale jeśli chcesz, żeby tak było...

Rozległ się drugi odgłos odbezpieczanej broni.

Rozbrzmiał za mną. Po nim dał się słyszeć rzęzący, gruźliczy kaszel. Ale trwał tylko chwilę.

Potem usłyszałem spokojny, wyrafinowany głos.

– Skoro już mówimy o cholernie złych decyzjach... – powiedział Tato.

Ponownie spuściłem wzrok na pułkownika. Oczy miał wytrzeszczone, a jego twarz drgała od mieszanki furii i strachu.

Ale strach wygrał. Lewym kciukiem opuścił powoli kurek czterdziestki, a potem odłożył broń na plik kartek z zeznaniami.

– Cudownie – mruknął Tato, pojawiając się po mojej prawej stronie. W wolnej ręce trzymał butelkę czerwonego johnny'ego walkera. Bóg jeden wiedział, skąd ją wziął. – A teraz się napijmy.

Tato nawet na mnie nie zerknął. Nie odrywał wzroku od pułkownika, darząc go tym samym oszczędnym uśmiechem, który widziałem u niego przez cały dzień. W prawej ręce trzymał rewolwer kalibru .38, a w lewej butelkę.

– Możesz usiąść – powiedział do pułkownika. – Ale my postoiemy.

Pułkownik usiadł. Spojrzał na Tatę z ironiczną kopią jego uśmiechu na twarzy. Był to odrażający grymas.

– Kapral komunista, który grozi pistoletem podpułkownikowi – powiedział. – To się nie skończy dla ciebie dobrze.

Tato postawił butelkę whisky przy kartkach.

– Nic się nie kończy dobrze dla nikogo – powiedział. Wziął czterdziestkępiątkę i wrzucił do małego, metalowego kosza na papiery stojącego na podłodze przy biurku. – Masz jakieś szklanki? Wolałbym nie pić z butelki.

Pułkownik wskazał głową miejsce za mną.

– W dolnej szufladzie szafy przy drzwiach. Ale nie tykaj mojej brandy.

Tato nie spuścił z niego oka.

– Żołnierzu, byłbyś łaskaw?

Zrobiłem kilka kroków w tył, wpadłem na szafę i kucnąłem, żeby otworzyć szufladę. Były tam dwie niskie szklanki i karafka pełna alkoholu. Wyjąłem szklanki,

zamknąłem szufladę i zaniósłem je do biurka.

– Potrzebujemy trzech – zauważył Tato.

Postawiłem szklanki przy zeznaniach.

– Odmawiam picia – powiedziałem. Matka prosiła mnie, żebym unikał też alkoholu.

Tato nie oderwał wzroku od pułkownika, ale uśmiechnął się szeroko. Jego sztuczne zęby nagle nie wyglądały już tak źle.

– Jesteś zabawnym młodzieńcem, żołnierzu – powiedział.

Pułkownik skrzyżował ramiona na piersi.

– Żadnemu z was nie będzie do śmiechu, kiedy wróci mój adiutant. Obaj będziecie skończeni.

Tato wzruszył ramionami.

– I tak jesteśmy skończeni. Poza tym przypadkiem wiem, że twój adiutant jest w kinie z pewną znaną mi pielęgniarzką. Będzie tam jeszcze przez co najmniej godzinę. Wydaje mi się, że dziś wyświetlają *Umarłych w butach*. Co nie jest zbyt zaskakujące, biorąc pod uwagę to, że Olivia de Havilland jest tu ostatnio dość popularna. Choć opowieść o szarży Custerza nie stanowi chyba najlepszego wyboru na pokaz dla widowni złożonej z żołnierzy.

Pułkownik popatrzył na niego spode łba.

– Jeśli mnie zastrzelisz, wszyscy usłyszą. Tuziny ludzi zbiegną się przed tym budynkiem, zanim wyjdiesz za drzwi.

Tato w końcu na mnie spojrzał. Jego oczy lśniły.

Zaśmiał się głośno.

– Słyszysz tego żartownisia? – zapytał. – Teraz się martwi o to, że strzał wszyscy usłyszą.

Tato odwrócił się na powrót w stronę biurka, wyciągnął lewą rękę i otworzył butelkę. Upuścił zakrętkę i nalał do obu szklanek po sporej porcji. Trochę alkoholu wylało się na zeznania.

– Nie mam zamiaru cię zabić – powiedział pułkownikowi. – Przyniosłem pistolet tylko dlatego, żebyś ty nas nie zastrzelił. – Przechylił głowę w moją stronę. – Tak, żołnierzu. Wiedziałem, że tu będziesz. Od rana mnie nie słuchasz.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie jesteś oficerem.

Tato odstawił butelkę i podniósł jedną ze szklanek.

– Wypiję za to – oznajmił i wychylił zawartość trzema łykami. Potem znów postawił szklankę na biurku i ponownie ją nappełnił. – Proszę wypić, pułkowniku. – Słowo „pułkowniku” ociekało sarkazmem. – Zostaje pan w tyle.

Druga szklanka stała nietknięta, bursztynowy płyn drżał.

Pułkownik obnażył zęby.

– Nie pijam takich rzeczy.

Tato znów podniósł swoją szklankę.

– Ach. Ale wiem, co zdarza ci się pijać. Wychyliłeś sobie troszkę czegoś, co przygotował jeden z naszych Zwiadowców Alaskańskich, prawda? Nie wiedziałeś jednak, że mistyczne mikstury niektórym służą, a innym

nie. Widzisz, żeby podjąć duchową podróż, trzeba mieć pieprzoną duszę. W przeciwnym razie można się tylko nabawić manii wielkości. Szczególnie jeśli już wcześniej miało się ku niej skłonności. – Wypił drugą szklanę johnny’ego walkera.

Pułkownik się pochylił.

– Proszę wypić jeszcze jedną, kapralu – prawie wysyczał. – Serdecznie zapraszam.

Tato nalał sobie trzecią porcję.

– Hmm, Tato... – zacząłem.

Tato podniósł swoją szklanę po raz trzeci.

– To dla mnie jak mleko matki, chłopcze – powiedział. – I nie mów do mnie „Tato”.

Kiedy Tato wychylał whisky, pułkownik rzucił się w bok i w dół, sięgając do kosza na śmieci. Tato jednak odsunął go stopą, jednocześnie osuszając szklanę i nie wylewając ani kropelki. Poruszał się swobodnie i płynnie, jak wtedy, kiedy odbijał piłeczkę pingpongową.

Pułkownik opadł na czworaki. Tato się nad nim pochylił i przycisnął mu lufę trzydziestkiósemki do podstawy czaszki.

– Znajome uczucie? – zapytał Tato.

Pułkownik zakwilił.

– Bum – mruknął Tato. Potem się wyprostował, odstawił szklanę i podszedł do szafy, przy której zatrzymał się kosz. Przyniósł go z powrotem do biurka i postawił w rogu blatu.

Pułkownik niezgrabnie wspiął się z powrotem na

krzesło. Twarz miał zaczerwienioną i spoconą.

– Jeśli nie masz zamiaru mnie zastrzelić, to czego chcesz? – zapytał.

Tato podrapał się w policzek lufą rewolweru, po czym znów wycelował go w pułkownika.

– Chyba chcę po prostu patrzeć ci w twarz, kiedy będę mówił, co według mnie się stało – powiedział. – Chcę zobaczyć, jak bliski jestem prawdy. A potem powinienem zwrócić ten pistolet dowódcy marynarki. Świetny facet, tak przy okazji. Mówi, że jesteś beznadziejny w pokera.

Pułkownik zbladł i wyglądał na coraz bardziej spoconego. Mokre strąki włosów wisiały mu przed oczami.

– Pijąc i grając w karty – Tato potrząsnął trzydziestkąósemką jak napominającym palcem – słuchałeś legend snutyh przez naszego zaprzyjaźnionego zwiadowcę. Niektóre z nich opowiedział ci już na Attu. Postanowiłeś, że chcesz sam spróbować tego, o czym mówił. On nie miał nic przeciwko temu. Dlaczego miałby dbać o to, co chce zrobić ze sobą głupi biały człowiek? Poza tym jesteś podpułkownikiem. Gdyby ci się sprzeciwił, mogłeś wyrzucić go z baraku szpitalnego i kazać mu kopać latryny. Dał ci więc magiczny napój, a ty go wypiełeś. Ale tak jak mówiłem: ty i magia do siebie nie pasujecie. Twój ogólnie nieprzyjemny charakter nabrał bardziej skoncentrowanej, obłąkanej podłości. Uznałeś, że znudziło cię już czekanie na obiecany awans.

Postanowiłeś, że zrobisz kilka rzeczy, aby go przyspieszyć. Na przykład zabijesz symbol władzy, której pragniesz, i dzięki temu zyskasz jego potęgę. A czekając na tę szansę, zaprzyjaźnisz się z dowódcą marynarki, który dysponuje władzą innego rodzaju: koneksjami politycznymi. W końcu wyeliminujesz pewne przeszkody i wyrównasz porachunki. Aby tego dokonać, wykorzystasz zarówno martwego bielika, jak i ustawioną walkę. Wrobisz żołnierza, który mógłby złożyć zeznania na temat twojej spowodowanej paniką wpadki na Attu. Wrobisz też ohydny, niezasłużenie słynny marksistowski kaprala, który zlekceważył ciebie i twój talent... i który mógłby narobić ci problemów, ponieważ ma zwyczaj rozmawiać z każdym żołnierzem w obozie. A także, od czasu do czasu, z marynarzami.

Tato sięgnął wolną ręką po zeznania i wrzucił je do kosza na śmieci, gdzie wciąż leżał pistolet. Potem wycelował broń w pierś pułkownika.

– Zrobiłeś kopie? – zapytał Tato. – Tylko nie kłam. Byłem detektywem.

Blady i zlany potem pułkownik pokręcił głową.

Tato podniósł jego nietkniętą szklankę whisky i wylał zawartość do kosza.

– Nie potrafię tylko wykombinować – powiedział – jak wymierzyłeś czas i ustawiłeś morderstwo. Wiem, jak ściągnąłeś swoją ofiarę do chaty tego ranka: obietnicą pieniędzy i seksu. Ale nie wiem, jak udało ci się doprowadzić do tego, że prawie w tym samym czasie

schwytał ci orła do zabicia. Nie wiem też, jak mogłeś mieć pewność, że drugi marynarz, choć rozgniewany tym, że go oszukano, posunie się aż do zabicia boksera.

Teraz pułkownik, wciąż blady i spocony, się uśmiechnął. Wyglądał na szczęśliwego. Od czasu Attu nie widziałem nic równie przerażającego.

– Widziałem przyszłość – powiedział. Ton jego głosu był jak wulkaniczne błoto. – Oto jak.

Tato przechylił głowę.

– Ach. No cóż, wczoraj nie miałoby to dla mnie sensu. Ale już jest dzisiaj. – Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął zapalniczkę Zippo. – Więc może to też widziałeś.

Zapalił płomień i wrzucił zapalniczkę do kosza. Niebieskie i żółte płomienie wyskoczyły na pół wysokości pokoju, a potem opadły do kilkunastu centymetrów nad skrajem kosza i płonęły już spokojniej.

– My już pójdziemy – powiedział do pułkownika Tato. Zakręcił butelkę johnny’ego walkera. – Nie będziesz się już nam naprzykrzał. Ten żołnierz nie jest już twoim niewolnikiem. A ja nie mam czasu ani ochoty czytać twoich opowiadań. – Podniósł butelkę wolną dłonią i zrobił kilka kroków w tył w stronę przedsionka.

Zawahałem się, czy nie zgasić ognia. Ale wyglądało na to, że ani Tato, ani pułkownik się nim nie przejmują.

– Niczego nie udowodnisz – powiedział pułkownik. Jego głos był teraz roztrzęsiony. – Nie masz nic, co mógłbyś komuś przedstawić. Nic mi nie zrobisz.

Tato się zatrzymał, a potem znowu do niego podszedł. Wyciągnął butelkę whisky w moją stronę. Wziąłem ją.

Tato zabezpieczył trzydziestkęósemkę i wsunął broń do prawej kieszeni kurtki. Znow zbliżył się do biurka. Kiedy kiwnął pułkownikowi głową, zobaczyłem, jak płomienie odbijają się w szklach jego okularów.

– Po części masz rację – powiedział. – Nikt nie może stanąć przed sądem polowym i przedstawić wizji jako dowodu. Ale mam kilka wiadomości, których mogę użyć w innych kontekstach. Mam nowego przyjaciela w marynarce, wielbiciela moich książek, który jest świetnie ustosunkowany. Podałem temu przyjacielowi imię potencjalnego mordercy. To marynarz o imieniu Joe. Nie musiałem mu mówić, dlaczego ani jak je zdobyłem. Odniosłem wrażenie, że moja reputacja w kwestii morderstw, choć fikcyjnych, mu wystarczy. Możliwe, że śledczy z marynarki nie znajdą właściwego Joego, a nawet jeśli im się to uda, może nie dowiodą, co zrobił. Szczególnie jeśli będzie na tyle mądry, że się nie przyzna. Ale ten Joe jest w gorącej wodzie kąpany. Ponieważ więc chłopcy z marynarki przepytają każdego marynarza na Adak o imieniu Joe, pewien rozgniewany Joe może wyjawić, że jedna z wczorajszych walk bokserskich była ustawiona. Może też im powiedzieć, kto jeszcze o tym wie i kogo widział tamtego ranka przy martwym ptaku. A potem ci chłopcy z marynarki mogą przyjść porozmawiać ze swoimi znajomymi w armii. Nie uważasz?

Pułkownik zaczął podnosić się z krzesła.

– Pieprzony obleśny komuch...

Błyskawicznie niczym atakujący wąż Tato sięgnął do prawej kieszeni kurtki i wyciągnął zgięte orle pióro. Podsunął je pułkownikowi pod nos.

– Już... na zawsze... się od nas... odpieprzysz.

Potem lewą ręką sięgnął po furazerkę pułkownika. Wrzucił ją do kosza na śmieci.

Płomienie wystrzeliły wyżej i w koszu coś zapiszczało.

Pułkownik rozdziawił usta. Wytrzeszczonymi oczami, nie mrugając, gapił się na ogień. Wyglądał jak woskowa figura albo zwłoki w stężeniu pośmiertnym.

Tato się odwrócił i wsunął pióro z powrotem do kieszeni. Potem zerknął na mnie i wskazał głową drzwi. Też się odwróciłem i wyszedłem wraz z nim.

Tato po raz ostatni obejrzał się na pułkownika.

– A tak przy okazji – powiedział – jeśli kiedykolwiek zastanawiałeś się nad poproszeniem o przeniesienie, teraz jest idealna okazja. Podobno MacArthur strasznie chce wrócić na Filipiny. Na pewno przydałaby mu się pomoc.

Wyszliśmy. Mgła wciąż była gęsta, ale widzieliśmy, dokąd idziemy. Nawet tak późno gdzieś za tą szarą zasłoną świeciło słońce. Było aleuckie lato.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że kruki zniknęły.

Kiedy Tato i ja wchodziliśmy na wzgórze, przez okna baraku redakcji widać było palące się jasno lampy. Ich złote promienie przebijały się przez mgłę. W miarę zbliżania się zacząłem słyszeć stuk klawiszy maszyny do pisania i szmer głosów. Ludzie Taty pracowali ciężko nad wydaniem z szóstego czerwca.

– Przykro mi, że twój rysownik musi zacząć pracę od nowa – powiedziałem, kiedy pokonywaliśmy ostatnie stopnie.

Tato zakaszłał.

– Był zły. Ale tak między nami, nie było to jego najlepsze dzieło. Podejrzewam, że teraz narysuje coś lepszego. niesprawiedliwa strata może być inspirująca.

Kiedy dotarliśmy do przedsionka przy drzwiach, wyłoniła się z niego jakaś postać. Był to Nożownik. Nie zaskoczył nas.

– Co tak długo? – zapytał. – Buda pułkownika nie jest aż tak daleko. Jestem tu już od pięciu minut. Myślałem, że umarliście czy coś.

Tato i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Znowu podsłuchiwałeś, co? – zapytałem.

Spojrzał na mnie jak na idiotę.

– A jak myślisz? Chciałem się dowiedzieć, co zrobicie. Nie tego się spodziewałem, ale pewnie i tak wyszło w porządku. Może jednak byłoby lepiej,

gdybyście go zastrzelili. – Podrapał się w żuchwę. – Jesteście pewni, że zostawi was w spokoju? A co ważniejsze: czy zostawi w spokoju mnie?

– Chyba nie ma wyboru – powiedział Tato. – Widzisz, już poprosiłem mojego nowego przyjaciela z marynarki, żeby popytał wśród swoich wysoko postawionych przyjaciół o możliwość przeniesienia podpułkownika. Więc niezależnie od tego, czy o nie poprosi czy nie, wkrótce ktoś mu je zaproponuje. Zakładając, że wcześniej i tak nie będzie miał przechlapane, bo kiedy tylko wróci generał, z nim też mam zamiar porozmawiać.

Nożownik parsknął śmiechem.

– Cholernie dziwna z ciebie namiastka kaprała.

– To fakt – przyznał Tato. – A ty robisz najdziwniejszą kawę, jaką w życiu piłem. Następnym razem sam sobie zaparzę.

Ale Nożownik już ruszył chodnikiem.

– Zostawcie te sześć piw przed moim barakiem – zawołał jeszcze. Na kilka sekund oświetliły go złote promienie poświaty z baraku redakcji, a potem zniknął.

Tato odwrócił się do mnie.

– Miło z twojej strony, że mnie odprowadziłeś, żołnierzu. Ale to nie było konieczne. Może i wyglądam na słabego staruszka, ale mimo siwych włosów i zżartych gruźlicą płuc jakoś sobie radzę, prawda?

– Tak jest, kapralu – odparłem.

– Jezu Chryste – westchnął Tato. Wycelował we mnie

butelkę johnny'ego walkera. – Co ci mówiłem o zwracaniu się po randze do żołnierzy?

Wyciągnąłem rękę.

– No cóż, salutować ci nie zamierzam.

Uściskał mi szybko dłoń, mocniej niż się spodziewałem.

– To był długi i nazbyt interesujący dzień, żołnierzu – powiedział. – I mam nadzieję, ty głupi Pepiku, że od tej pory będę cię spotykał tylko przelotnie. Bez obrazy.

– Nie ma o czym mówić.

Odwrócił się, żeby wejść do środka.

– Dobranoc, żołnierzu.

Ale ja nie mogłem tego tak zostawić.

– Ten chłopak z marynarki nie żyje – wyrzuciłem z siebie. – To była wina pułkownika, a my pozwalamy, żeby mu to uszło na sucho.

Tato zatrzymał się tuż za wejściem do przedsionka.

– Może i tak. – Obejrzał się na mnie. – Ale czasami najlepsze, co można zrobić, to zranić wroga... a potem pozwolić mu odlecieć.

– Czy to właśnie się stało? – zapytałem. – To miałeś na myśli, kiedy pokazałeś mi pióro?

Tato przewrócił oczami i wyszczerzył te okropne zęby.

– Dla mnie to nic nie znaczyło – powiedział. – Ale dla niego najwyraźniej tak. – Zerknął na zegarek. – A teraz naprawdę muszę się zająć wydawaniem gazety. Jeszcze jakieś głupie pytania?

Jedno.

– Jak ci się to udaje? – zapytałem.

Tato zmarszczył brwi.

– Jak co mi się udaje?

Przez całą drogę z biura pułkownika zmagalem się w myślach ze słowami. Niezbyt sobie radziłem ze słowami. A Tato już i tak uważał mnie za głupiego. Wiedziałem więc, że nie wyrażę się odpowiednio. Ale musiałem spróbować.

– Jak możesz wrócić do tego, co robiłeś wcześniej? Jak możesz robić cokolwiek, skoro już... – Zacisnąłem palce w pięści, jakbym mógł z mgły pochwycić to, co chciałem powiedzieć. – Skoro już wiesz, co się stanie.

Tato się zgarbił i przez moment błędził gdzieś wzrokiem.

Ale tylko przez moment.

Potem wyprostował się nagle i znów spojrzał mi w oczy. Jego spojrzenie było pełne ognia.

– Bo jeszcze nie umarłem – odpowiedział i się odwrócił. – Ty też nie.

Otworzył drzwi, na których napisano za pomocą szablonu „Orzeł Adacki”. Uniósł butelkę z whisky i przywitał go chór głosów. Potem drzwi się zamknęły, a długi dzień dobiegł końca.

Ruszyłem w dół chodnikiem. Pomyślałem, że może wrócę do zatoki i będę po prostu całą noc patrzył na wodę. Bez płaszcza pewnie strasznie zmarznę, nawet w czerwcu. Ale jeśli nie dopadnie mnie williwaw, nic mi nie będzie.

Rano, przy śniadaniu, powiem dowódcy mojego oddziału, że jestem do jego dyspozycji.

Epilog

Przez kilka kolejnych dni obóz huczał od plotek na temat morderstwa w marynarce i w końcu usłyszałem, że aresztowano marynarza o imieniu Joe. Mnie jednak nikt nie przepytał i nigdy się nie dowiedziałem, co z nim zrobili. Nie próbowałem się dowiedzieć.

Nożownika zobaczyłem później już tylko raz, z oddali, ledwie kilka dni po piątym czerwca. Wchodził na pokład statku w Sweeper Cove. Nie wyglądało na to, żeby się skradał. Myślę więc, że zapewne udało mu się wrócić do Fort Richardson i spędzić resztę wojny ze Zwiadowcami Alaskańskimi. Ale nie wiem na pewno.

Podpułkownik opuścił Adak niecałe dwa tygodnie później. Nie dowiedziałem się, dokąd go wysłano. Ale kilka dni po zwycięstwie nad Japonią moja ciekawość zwyciężyła i trochę popytałem. Okazało się, że pojechał na Filipiny i zginął na początku bitwy o Leyte, w październiku czterdziestego czwartego. Kamikaze zaatakował jego statek i podpułkownik spłonął żywcem, nie otrzymawszy upragnionego awansu.

Nigdy więcej nie rozmawiałem z Tata. Przez resztę

lipca i pierwszą część sierpnia widywałem go w obozie, bo trudno go było przegapić. Kilka razy nawet minąłem go na Main Street. Raz skinął mi głową, a ja odpowiedziałem mu tym samym.

To był cały nasz kontakt, zanim Tatę przeniesiono na stały ład. Wszyscy o tym słyszeliśmy, ponieważ był gwiazdą obozu i sporo dyskutowano o tym, czy to dobrze czy źle, że wyjeżdża. Nikt chyba jednak nie wiedział dokładnie, kiedy to nastąpi.

Pewnego wieczoru w sierpniu wróciłem do baraku po długim dniu pracy przy nowym pasie startowym. Na mojej poduszce leżała brązowa koperta. W środku znalazłem zgięte orle pióro i napisaną na maszynie notkę:

ROBIŁEM PORZĄDKI. POMYŚLAŁEM, ŻE MOŻE CHCIAŁBYŚ TO MIEĆ. JESTEŚ MI WINIEN ZIPPO.

PS KIEDY BĘDZIESZ SIĘ CHWALIŁ SWOIM DZIECIOM, ŻE MNIE POZNAŁEŚ, NIE MÓW O MNIE „TATO”.

D.H.

Nie spełniłem jego prośby.

Pod koniec wojny dowiedziałem się, że Tato został sierżantem i wrócił na Adak na początku czterdziestego piątego. Mnie już tam jednak nie było. Wcześniej wysłano

mnie na południe, abym dołączył do swojej starej jednostki bojowej i szkolił się do inwazji na Wyspy Japońskie.

Potem zrzucono bombę atomową, a ja przed Gwiazdką byłem już w Nebrasce.

Teraz, jako stary człowiek, wyciągam zgięte orle pióro z koperty co roku, piątego lipca. Tylko na chwilę.

Miałem dobre życie, ale niebyt zaskakujące. Większości tego, co się stało, od dawna się spodziewałem.

Ale potem Tato obudził mnie serią uderzeń w twarz. Obudził mnie i uniemożliwił mi zobaczenie końca.

Zawsze byłem mu za to wdzięczny.

Nie wiem, czy był komunistą. Nie wiem, czy chciał obalić konstytucję, czy wspierał tyranów, czy kłamał przed Kongresem, czy zrobił cokolwiek z tego, co mu zarzucano.

Ale wiem, że podczas dwóch wojen światowych nosił mundur swojego kraju. Wiem też, że pogrzebano go na Narodowym Cmentarzu w Arlington.

I jeszcze jedno.

Właśnie dzisiaj, dziesiątki lat po tym, jak zobaczyłem tamten egzemplarz w twardej okładce na cudzej pryczy...

W końcu doczytałem *Sokoła maltańskiego*.

I wiecie co? Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego Tacie – to cholernie dobra książka.